

STEVE BERRY

ZAGINIONY ROZKAZ

ZAKON RYCERZY
ZŁOTEGO KRĘGU CHCE
ZMIENIĆ KONSTYTUCJĘ



STEVE BERRY

ZAGINIONY ROZKAZ

Z języka angielskiego przełożył
Adam Olesiejuk



Tytuł oryginału:
THE LOST ORDER

Copyright © 2017 by Magellan Billet, Inc.
Copyright © 2017 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia
Draga

Projekt graficzny okładki:
Mariusz Banachowicz

Redakcja:
Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta:
Joanna Rodkiewicz, Marta Chmarzyńska, Edyta Antoniak-Kiedos

opracowanie wersji elektronicznej
lesiojot

ISBN: 978-83-8110-113-4

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

Katowice 2017

Nakładem Wydawnictwa Sonia Draga ukazały się następujące powieści tego autora:

Bursztynowa komnata
Dziedzictwo templariuszy
Grobowiec cesarza
Klucz Jeffersona
Królewski spisak
Mit Lincolna
Paryska wendeta
Przepowiednia dla Romanowów
Stan zagrożenia
Tajemnica grobowca
Tajemnica Kolumba
Trzecia tajemnica
Wenecka intryga
Zagadka Aleksandryjska

Dla pracowników i darczyńców
Bibliotek Instytutu Smithsona

PODZIĘKOWANIA

Już po raz trzeci składam serdeczne podziękowania Johnowi Sargentowi, szefowi Macmillana, Sally Richardson, która dowodzi St. Martin's, oraz mojemu wydawcy z Minotaura, Andrew Martinowi. Ogromny dług wdzięczności mam także wobec Hectora Dejeana z działu promocji; Jeffa Dodesa i całej ekipy z działu marketingu i sprzedaży, ze szczególnym uwzględnieniem Paula Hochmana. Podziękowania należą się również Jen Enderlin, która o wydaniach w miękkiej oprawie wie wszystko, Davidowi Rotsteinowi, który stworzył okładkę, Stevenowi Seighmanowi, odpowiedzialnemu za projekt typograficzny książki, oraz Mary Beth Roche i jej ludziom z działu audio.

Głęboki ukłon kieruję w stronę Simona Lipskara, mojego agenta i przyjaciela. Dziękuję też mojej redaktorce Kelley Ragland, z którą praca to sama przyjemność, a także jej wspaniałej asystentce, Elizabeth Lacks.

Na wyróżnienie zasługuje jeszcze kilka osób: Meryl Moss i jej niesamowity zespół od promocji (zwłaszcza Deb Zipf i JeriAnn Geller); Jessica Johns i Esther Garver, dzięki którym Steve Berry Enterprises działa bez zarzutu; kustosz Zamku w Instytucie Smithsona, Richard Stamm, który pokazał mi różne tajne zakamarki tego miejsca, odpowiadał na niezliczone pytania oraz służył pomocą przy pierwszej korekcie rękopisu; Nancy Gwinn, dyrektorka Bibliotek Instytutu Smithsona, która wsparła mnie swoją nie2wykłą wnikliwością i czujnym okiem; William Baxter z tejże instytucji, który oprowadził mnie po Narodowym Muzeum Historii Amerykańskiej; Jerry Conlon, z którym zwiedziłem Narodowe Muzeum Historii Naturalnej; i wreszcie Tina Muracco z Bibliotek Instytutu Smithsona, dzięki której odbyłem niezwykle pouczającą wizytę w Waszyngtonie oraz poznałem takich

ludzi jak: Tom Wickham, członek Izby Reprezentantów; Matthew Wasniewski, historyk Izby Reprezentantów oraz jego kolega po fachu Kenneth Kato; Brian Reisinger, były pracownik kancelarii senatora Lamara Alexandra; oraz członkini Izby Reprezentantów Marsha Blackburn, która wraz ze swoim personelem oprowadziła nas po budynku Kapitolu. Wszystkim wam serdecznie dziękuję.

Nie mógłbym zapomnieć o mojej żonie Elizabeth, która towarzyszyła mi na każdym etapie tej podróży, nieustannie mnie dopingując i zachęcając do pisania (a czasem, gdy zaszła taka potrzeba, siłą zapędzając mnie do roboty).

W tej opowieści o Cottonie osiłą fabuły uczyniłem Instytut Smithsona, co szczerze mówiąc, już od dawna chodziło mi po głowie. Obecnie mam zaszczyt zasiadać w Komisji Doradczej Bibliotek Instytutu Smithsona. Na terenie całego kraju, w każdym muzeum i każdym ośrodku badawczym należącym do instytutu, znajduje się w sumie 21 bibliotek (plus jedna w Panamie). I choć są z reguły ulokowane na uboczu, z dala od tłumów, bez wątplenia to właśnie one stanowią intelektualne centrum każdej z tych placówek.

Biblioteki Instytutu Smithsona razem tworzą jedną z największych na świecie kopalni wiedzy, z której korzystają corocznie miliony osób. Całym kompleksem tych placówek dowodzi aktualnie Nancy Gwint, która zawiaduje personelem liczącym 130 osób. Wspólnymi siłami wprowadzają w życie marzenie Jamesa Smithsona o tym, by „w Waszyngtonie powstała placówka pod nazwą Instytut Smithsona, której celem będzie wzbogacanie wiedzy i szerzenie jej wśród ludzi”.

Jednakże prowadzenie bibliotek wymaga ogromnych nakładów finansowych.

W 2016 roku całkowite koszty utrzymania wyniosły 17 milionów dolarów. Kongres pokrywa mniej więcej 70% tych potrzeb. Reszta, czyli 30%, pochodzi z różnych zewnętrznych źródeł. Darowizny (zwolnione z podatku) pochodzą zarówno od firm, jak i osób prywatnych. W większości są to niewielkie datki i tylko z rzadka zdarzają się naprawdę pokaźne kwoty. Niemniej w 2016 roku ogólna suma donacji wyniosła

półtora miliona dolarów, dzięki czemu biblioteki nadal działają i każdy może z nich korzystać za darmo.

Dlatego tę książkę dedykuję personelowi bibliotek oraz wszystkim tym, którzy je wspierają.

Biblioteki Instytutu Smithsona istnieją właśnie dzięki Wam.

Gdyby ludzie byli aniołami,
żadna władza nie byłaby potrzebna.

James Madison

[Ale] jeżeli sami staniemy się owcami, zjedzą nas wilki.

Benjamin Franklin

PROLOG

WASZYNGTON
24 STYCZNIA 1865
GODZ. 14:45

NAGŁY WYRAZ ZANIEPOKOJENIA na twarzy gospodarza wydał mu się co najmniej zaskakujący, zwłaszcza biorąc pod uwagę reputację tego człowieka oraz pełnioną przez niego funkcję. Joseph Henry cieszył się opinią jednego z najwybitniejszych naukowców w Ameryce.

Był także sekretarzem Instytutu Smithsona.

Siedział na wygodnej skórzanej kanapie w jego chłodnym gabinecie. Ich rozmowa zbliżała się do końca. To spotkanie, które zostało umówione już lulka tygodni temu, miało się odbyć wczoraj, ale on nie zdołał przybyć na czas. Nic dziwnego, w końcu zaraz za rzeką, w Wirginii, wciąż trwała wojna domowa, choć walki powoli już wygasły. Przełomem okazała się bitwa pod Gettysburgiem. Zginęło w niej prawie 5 tysięcy żołnierzy Konfederacji, ponad 12 tysięcy zostało rannych, kolejne kilka tysięcy dostało się do niewoli lub zaginęło. Przedtem zwycięstwo Południa wydawało się wciąż możliwe, ale teraz wszystko wskazywało na to, że dni Konfederatów są już policzone.

- Słyszałeś to? - zapytał Henry.

Owszem, słyszał. Głośny dźwięk przypominający strzał, dochodzący gdzieś z góry. Gabinet z wielką rozetą w oknie mieścił się na pierwszym piętrze budynku, pomiędzy dwiema charakterystycznymi wieżami.

- Może to lód spadający z dachu? - powiedział.

Dzień był wyjątkowo mroźny. Potomak niemal całkiem pokryła gruba warstwa lodu, co mocno zahamowało transport rzeczny i znacząco opóźniło jego przyjazd. Ostatnio nie było łatwo dostać się do stolicy

Unii. Cały dystrykt federalny otaczały forty, wszędzie obozowało wojsko. Do tego bardzo zaostrzono środki bezpieczeństwa. Każdy, kto chciał wjechać do miasta lub z niego wyjechać, musiał odpowiedzieć na wiele pytań i przejść liczne punkty kontrolne. On jednak posiadał na szczęście wszelkie niezbędne upoważnienia i dlatego to właśnie jemu powierzono tę misję.

Nad ich głowami ponownie coś trzasnęło. I jeszcze raz.

-Tak, tak mógłby brzmieć pękający lód - odparł Henry. - Ale to coś innego.

Gospodarz wstał i podbiegł do drzwi, a on ruszył w jego ślady. Wyszli do ogromnej, wysokiej sali wykładowej, gdzie pod sufitem unosiły się gęste kłęby dymu.

- Budynek się pali! - krzyknął Henry. - Trzeba wszcząć alarm.

Sekretarz zbiegł po schodach na parter. Naturalne światło, które zazwyczaj wpadało do środka przez okna i okrągły otwór w sklepieniu, nabrało ciemnej, ponurej barwy. Dym osnuwający mury gmachu od zewnątrz zaczął wdzierać się do wnętrza. Słyszać było odgłos ciężkich kroków, dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi, krzyki. Audytorium wypełniło się ludźmi uciekającymi na parter.

Mężczyzna ruszył przejściem pomiędzy ławami w kierunku wystawy obrazów, nad którymi z sufitu sypał się tynk, odsłaniając płomienie trawiące poddasze i dach. Kilka płócien zajęło się już ogniem, a ponieważ on sam był malarzem, na ten widok zrobiło mu się słabo. Ogień wydawał się w tym miejscu szczególnie intensywny, co mogło wskazywać na źródło pożaru. Szybko otrząsnął się, uciszył w sobie artystę, a zaczął myśleć jak agent służb wywiadowczych, analizując dostępne opcje i wyciągając stosowne wnioski.

Wokół niego kłębił się czarny dym. Oddychanie stawało się coraz trudniejsze.

Przyjechał tu z Richmond z sekretną misją zleconą mu przez samego prezydenta Jeffersona Davisa. Fakt, że miał już wcześniej kontakt z Instytutem Smithsona oraz znał osobiście Josepha Henry ego, czynił go idealnym kandydatem do tego zadania. Za dwa tygodnie miała się

odbyć tajna konferencja pokojowa w Hampton Roads z udziałem Abrahama Lincolna oraz wiceprezydenta Konfederacji Alexandra Stephensa, który już od dwóch lat starał się doprowadzić do końca wojny. Jeff Davis nie znosił swojego niesfornego zastępcy, uważał go za słabeusza i zdracę. Ale pochodzący z Georgii Stephens nie tracił nadziei na to, że w drodze negocjacji da się zakończyć ten konflikt bez uszczerbku na honorze.

Podniósł rękę i zakrył usta rękawem wełnianego płaszcza, żeby móc oddychać. Za drzwiami po drugiej stronie pomieszczenia ogień trawił pokój, w którym trzymano kolekcję rzadkich instrumentów naukowych. Ściany wewnętrzne ustawione na obrzeżach auli nie dochodziły do stropu - dzięki temu w razie potrzeby można było je łatwo usunąć, by zlikwidować audytorium i przekształcić całe piętro w wielką przestrzeń wystawową. W tej chwili jednak to wygodne rozwiązanie sprzyjało tylko szybkiemu rozprzestrzenianiu się pożaru.

- Nic się już nie da zrobić! - krzyknął jakiś człowiek biegnący przez salę ze skrzynią w rękach. - Wszyscy muszą opuścić budynek!

Prawdopodobnie była to słuszna ocena sytuacji, więc nie została ani chwila do stracenia. Cel wizyty mężczyzny, który należało bezpiecznie stąd wydostać, nadal znajdował się w gabinecie Henry ego, na blacie biurka. Płomienie jeszcze tam nie dotarły, ale była to tylko kwestia czasu. Wszędzie naokoło biegali pracownicy instytutu, niektórzy dźwigali obrazy, inni księgi i dokumenty, a kilku trzymało w rękach poszczególne eksponaty, najwyraźniej zbyt cenne, żeby pozwolić im przepaść. Gmach został wzniesiony w 1846 roku, kiedy Kongres zdecydował wreszcie, co zrobić z kwotą pięciuset tysięcy dolarów zapisaną w testamencie przez mało znanego brytyjskiego chemika Jamesa Smithsona, który zostawił także nieco zagadkowe instrukcje: „W Waszyngtonie ma powstać placówka pod nazwą Instytut Smithsona, której celem będzie wzbogacanie wiedzy i szerzenie jej wśród ludzi”.

Jeszcze dziwniejszy wydawał się fakt, że Smithson ani razu nie odwiedził Stanów Zjednoczonych, a mimo to przekazał całą swoją fortunę na ręce amerykańskiego rządu. Minęły lata, zanim Kongres

podjął jakiegokolwiek kroki.

Jedni uważali, że „placówka” powinna być wielką biblioteką, drudzy, że muzeum. Niektórzy proponowali serię wykładów, a inni publikowanie prestiżowych rozpraw naukowych. Kongresmani ze stanów południowych bardzo sceptycznie patrzyli na całe przedsięwzięcie, ponieważ podejrzewali, że planowana instytucja może stać się czymś w rodzaju forum dla zwolenników zniesienia niewolnictwa. Sprzeciwiali się dalszym działaniom i postulowali, żeby po prostu zwrócić te pieniądze. Ostatecznie zatriumfował zdrowy rozsądek i uchwalono statut nowej placówki, która miała łączyć funkcje biblioteki, muzeum, galerii sztuki oraz sali wykładowej, a także zatwierdzono budowę siedziby „słusznych rozmiarów”, która mogłaby to wszystko pomieścić. Powstał wówczas gmach w dwunastowiecznym stylu romańskim, z imponującymi skrzydłami, wysokimi wieżami, lukami i dachem z płytek łupkowych, unikatowy w skali kraju, a kształtem i ścianami z czerwonego piaskowca przypominający raczej klasztor. Był to zamierzony zabieg, tworzący kontrast z dominującą w Waszyngtonie architekturą klasycystyczną. Efekt końcowy wzbudzał głęboką niechęć Josepha Henry ego, który uważał budynek za „wydumany i niemalże bezużyteczny” oraz nazywał go „godnym pożałowania błędem”. Mimo to wśród mieszkańców miasta szybko przyjęło się inne potoczne określenie: Zamek.

A teraz ten zamek stanął w płomieniach.

Kiedy mężczyzna wbiegł z powrotem do gabinetu Henry ego, zastał tam jakiegoś człowieka. W pierwszej chwili wziął go za członka personelu, potem jednak zwrócił uwagę na granatowy mundur przykryty grubym płaszczem oraz insygnia kapitana armii Unii na ramionach. Obcy odwrócił się i bez chwili wahania sięgnął po broń przy boku.

Wcześniej wydawało mu się, że ktoś go śledzi. Zamierzał wślizgnąć się do Zamku i wymknąć z niego przez nikogo niezauważony. Ale nie zawsze wszystko idzie zgodnie z planem.

Rozległ się strzał i kula roztrzaskała futrynę drzwi, ale on zdążył

odskoczyć w bok. Zauważył, że napastnik ma rewolwer nowego typu, w którym mechanizm automatycznie odciąga kurek i obraca cylinder.

Taka broń należała do rzadkości i była bardzo droga.

Wylądował na korytarzu i wyciągnął z kabury pod płaszczem własny rewolwer. Miał nadzieję, że uda się uniknąć przemocy, ale człowiek w gabinecie Henry ego nie pozostawił mu wyboru. Zerwał się z podłogi i przygotował do ataku. Ponad siedem metrów nad jego głową płomienie sunęły po suficie, pozostawiając za sobą czarny, wypalony ślad. Prawie cała aula była już wypełniona dymem, z góry sypały się odłamki płonącego drewna. Po chwili ujrzał wybiegającego z gabinetu kapitana, który w jednym ręku trzymał broń, a w drugim to, co on sam przed chwilą zostawił u Josepha Henry ego.

„Oddaj to sekretarzowi”, poinstruował go Jefferson Davis, wręczając mu mosiężny klucz. „I odzyskaj swój dziennik”.

Wcześniej książka leżała na biurku Henry ego, ale teraz widział, że kapitan zabrał ją razem z kluczem. Kimkolwiek był ten obcy, dokładnie wiedział, po co przyszedł. Wydawało się to co najmniej niepokojące.

Dlatego niewiele myśląc, rzucił się na intruza i przewrócił go na ziemię.

Potoczyli się razem w stronę podwyższenia znajdującego się na przeciwko półokrągłego audytorium. Kapitan wyrwał się z uścisku i zerwał na równe nogi, ale został zatrzymany mocnym szarpnięciem za obie kostki. Zachwiał się, młóćąc ramionami powietrze i z hukiem runął z powrotem na drewnianą podłogę.

Upuszczając przy tym wszystko, co trzymał w rękach.

- Pięknie dziękuję - powiedział wysłannik prezydenta, chwytając klucz i dziennik.

Wstał i kopnął broń oszołomionego kapitana, posyłając ją w kłęb dymu. Już miał stamtąd uciekać, gdy jego przeciwnik doszedł do siebie, pozbierał się z ziemi i przycupnął, gotowy do skoku.

- Naprawdę musisz? - rzucił do żołnierza, po czym wymierzył mu kopniaka czubkiem buta w podbródek. Kapitan padł nieprzytomny. - A teraz się stąd nie ruszaj.

Pospieszył w stronę schodów i zbiegł na parter. Na szczęście ogień, który opanował górne piętra, jeszcze tu nie dotarł, więc na dole było znacznie mniej dymu. Zauważył, że woda w wiadrach rozmieszczonych naokoło głównego holu właśnie z myślą o pożarze jest zamrożona na kamień, a zatem w tej sytuacji zupełnie bezużyteczna. Zresztą nawet gdyby nie zmieniała się w lód, pożar i tak był zbyt intensywny, żeby dało się coś zdziałać kilkoma wiadrami wody.

Usłyszał huk i domyślił się, że spadła się kolejna część dachu.

Najwyższy czas się stąd wynosić.

Pomyślał o znokautowanym kapitanie, któremu zapewne nie uda się uciec z budynku. Ale czy powinno go to obchodzić?

Sumienie potrafi skomplikować człowiekowi życie.

Wcisnął swoją broń do kabury, a klucz i dziennik schował w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Następnie wbrew rozsądkowi wspiął się z powrotem na górę, znalazł nieprzytomnego żołnierza i zarzucił sobie jego bezwładne ciało na ramię. Zniósł go po schodach i wypadł na zewnątrz w chwili, gdy na teren instytutu wjechały parowe wozy strażackie.

Pod Zamkiem zebrał się już spory tłum.

Z górnych partii budynku buchał dym, płomienie wiły się po kamiennych ścianach, lizały ozdobne luki i trójlistne rozety. Z okien leciały książki wyrzucane przez zdesperowanych pracowników próbujących ocalić, co się da. Jedna z wież zawałiła się w kłębach dymu i rozżarzonego gruzu.

Mężczyzna odciągnął kapitana od budynku i położył go w miejscu, gdzie zebrał się ludzie, którzy zanosząc się kaszlem, czekali na badanie lekarskie.

Jeszcze raz popatrzył na tę katastrofę.

Wysoka galeria, na której ścianach wisiały majestatyczne portrety Indian, wydawała się doszczętnie zniszczona, podobnie jak gabinet Henry ego. Z okien na górze sypał się deszcz odłamków szkła. Strażacy rozpoczęli pracę, którą znacznie utrudniało przejmujące zimno. O dziwo, wschodnia część budynku, gdzie sekretarz instytutu mieszkał ze

swoją rodziną, wyglądała na nienaruszoną; zasięg pożaru ograniczał się do zachodniej strony pierwszego piętra.

To wszystko jednak nie był jego problem. Będą musieli się tym zająć inni, na czele z sekretarzem Henrym, wysokim, ascetycznym mężczyzną, który teraz owinięty bezkształtną czarną peleryną biegał po całym dziedzińcu, wydając polecenia. W którymś momencie ich spojrzenia się skrzyżowały i mężczyzna dyskretnie wskazał na kieszeń swojego płaszcza, dając naukowcowi do zrozumienia, że wszystko udało się uratować. Henry porozumiewawczo pokiwał głową, po czym dał znak, że jego gość powinien czym prędzej ruszać w dalszą drogę.

Doskonała rada.

Joseph Henry bez dwóch zdań prowadził niebezpieczną grę. Z jednej strony zasiadał w Komisji Stałej Departamentu Marynarki Wojennej i doradzał Unii w sprawach takich jak nowoczesne rodzaje uzbrojenia, możliwości wykorzystania balonów w działaniach bojowych czy nawet wydobywanie węgla w Ameryce Środkowej. Ale z drugiej strony nadal głęboko wierzył w konieczność upowszechniania wiedzy naukowej i poważnie traktował swoje obowiązki jako sekretarza Instytutu Smithsona. Z tego też powodu odmówił wywieszenia nad Zamkiem flagi państwowej i nie zgadzał się na zakwaterowanie w nim wojsk Unii, argumentując, że Instytut jest neutralną organizacją naukową o charakterze międzynarodowym. Jego przedwojenna przyjaźń z Jeffersonem Davisem nie była dla nikogo tajemnicą, a dzisiejsze spotkanie zostało umówione bezpośrednio pomiędzy Henrym a władzami w Richmond. Gołębie pocztowe już od jakiegoś czasu latały w tę i z powrotem, przynosząc zaszyfrowane wiadomości.

Na scenie pojawił się oddział żołnierzy Unii.

Zdecydowanie należało się stąd ulotnić.

Mężczyzna wmieszał się w tłum i wolno zaczął się oddalać od płonącego gmachu. Rozpoznawał twarze niektórych gapiów i stwierdził, że Kongres musiał zrobić sobie przerwę w obradach - wśród ludzi stało wielu znanych polityków Północy z Partii Republikańskiej. Dziennik miał schowany w bezpiecznej kryjówce pod płaszczem, blisko piersi.

Znów był sam i miał misję do wykonania.

Dokładnie tak jak lubił.

Zobaczył, że żołnierze rozproszyli się i zaczęli lustrować zebrany tłum, choć wydawałoby się, że powinni raczej pomóc w gaszeniu pożaru. Po chwili dostrzegł także kapitana, na którego natknął się w budynku; oficer odzyskał już przytomność i teraz kierował poszukiwaniami.

W pobliżu stało kilka powozów, a ich pasażerowie wpatrywali się w płonący budynek. Skoncentrował się na jednym, z którego wyglądała owalna twarz ładnej kobiety w średnim wieku, z brązowymi włosami do ramion. Na szyi miała złoty medalion, który ostro odbijał się na tle jej czarnego płaszcza, zapiętego pod samą szyję.

Zwrócił uwagę na kształt wisiorka.



Krzyż wpisany w okrąg.

Żołnierze byli coraz bliżej, ale on dalej spokojnym krokiem posuwał się w stronę powozu. Głowę trzymał nisko, gardło drapało go od wdychania mroźnego powietrza.

Gdy doszedł do celu, powiedział:

- „Wy wszyscy młodzi, którzy przechodzicie obok, kiedyś sam byłem taki jak wy”.

Kobieta w powozie uśmiechnęła się.

-Jaki z pana poeta.

- Może pani dopisze dalszy ciąg?

- „Z czasem musicie stać się tacy jak ja, dlatego szykujcie się, by podążyć za mną”.

Dokładnie na te słowa czekał. Tak brzmiało epitafium, które przeczytał kiedyś na starym nagrobku i z jakiegoś powodu wryło mu się w pamięć. Często mu się to zdarzało. Właściwie niczego nie zapominał. Najróżniejsze szczegóły zostawały mu na zawsze w głowie, a w ciągu

ostatnich kilku lat ten talent wielokrotnie okazał się przydatny. Według pierwotnego planu miał spotkać tę atrakcyjną kobietę zaraz po wyjściu z Zamku, gdy będzie przejeżdżała 10. Ulicą dokładnie o godzinie 16.00.

- Proszę do mnie dołączyć - powiedziała.

Wsiadł do powozu i zamknął za sobą drzwiczki. Zajął miejsce naprzeciwko niej, odsuwając się jak najdalej od okna.

- Jeszcze chwila i by pana dopadli - szepnęła.

- To prawda.

Rzadko kiedy zdarzało mu się czuć strach, z reguły umiał zachować zimną krew nawet w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa. Ale zawsze gdy zagrożenie mijało, a on znalazł się w bezpiecznym miejscu, przychodził moment wyciszenia, kiedy pozwalał, by ogarnęło go poczucie ulgi.

Tak jak teraz.

Kobieta schowała wisiołek pod płaszcz, po czym kazała woźnicy jechać i konie ruszyły przed siebie. Według planu wysłannik prezydenta miał najpierw zakończyć sprawę z sekretarzem Henrym, a następnie dziś wieczorem połączyć siły z pasażerką powozu i przejść do drugiej części swojej misji. W Waszyngtonie rozpoczął się już sezon towarzyski, czas przyjęć, balów i uroczystych obiadów. Dzisiejszy raut w domu sekretarza marynarki wojennej Gideona Wellesa na pewno jak zwykle okaże się wielkim wydarzeniem, które przyciągnie wiele wpływowych osób. W stolicy Unii mieszkało niemal 75 tysięcy ludzi, z czego jedna trzecia sympatyzowała z Południem. Jego zadanie polegało na tym, by pojawić się na przyjęciu z pasażerką tego powozu u boku i mieć oczy i uszy otwarte. W końcu do tego przede wszystkim sprowadza się praca szpiega. Ale teraz to nie było już możliwe.

Sytuacja się zmieniała.

Cóż, przynajmniej miał klucz i dziennik.

Nie uznał za konieczne wspominać o konfrontacji z oficerem armii Unii. Pełen raport z przebiegu misji był przeznaczony wyłącznie dla uszu Jeffersona Davisa. Wiedział jednak, że jest winien swojej wybawicielce podziękowanie, więc uchylił kapelusza i uśmiechnął się.

- Angus Adams, do usług szanownej pani.

Odwzajemniła uśmiech.

- Marianna McLoughlin. Dla przyjaciół Mary.

- Miło mi cię poznać, Mary. Moi przyjaciele mówią na mnie Cotton.

DZISIAJ

ROZDZIAŁ 1

ZACHODNIE ARKANSAS
WTOREK, 25 MAJA
GODZ. 13:06

COTTON MALONE ANI na chwilę nie przestawał myśleć o skarbie.

Poszukiwania rozpoczęły się trzy godziny temu, kiedy opuścił pobliskie schronisko górskie i został przewieziony trzydzieści kilometrów dalej, na północne obrzeża lasu państwowego Ouachita, który obejmował ponad 700 tysięcy hektarów porośniętych starymi dębami, bukami, Cedrami i wiązami. Dziś ta głusza przyciągała głównie miłośników przyrody, ale sto pięćdziesiąt lat temu cieszyła się dużą popularnością wśród zbiegłych kryminalistów, ponieważ górzysty, gęsto zalesiony teren oferował wiele potencjalnych kryjówek, zarówno dla zrabowanych łupów, jak i ludzi uciekających przed prawem.

Malone znalazł się tu na prośbę Narodowego Muzeum Historii Amerykańskiej. Z chęcią przyjął to zlecenie. Zazwyczaj do współpracy werbowwała go jego dawna szefowa Stephanie Nelle, ale tym razem odezwał się do niego sam kanclerz Instytutu Smithsona, przewodniczący Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, który wyjaśnił mu problem i przekazał dostateczną ilość informacji, żeby wzbudzić jego zainteresowanie. Do tego zaoferował mu bardzo szczodre honorarium w wysokości 25 tysięcy dolarów. Prawdę powiedziawszy, Malone zajęłby się tym nawet za darmo, ponieważ miał wielką słabość do Instytutu

Smithsona.

Poza tym kto nie chciałby znaleźć ukrytego skarbu?

Otoczający go las rozciągał się od nierównych płaskowyżów Krainy Ozark na północnym krańcu stanu do falistego pasma gór Ouachita na południu. Pomiędzy jednym a drugim końcem leżały doliny, szczyty, znajdowały się punkty widokowe, jaskinie oraz niezliczone rzeki i strumienie. Malone nigdy wcześniej nie odwiedził tego rajskiego miejsca, co stanowiło kolejny powód, dla którego przyjął zadanie.

Przybył wyposażony w zdobycze technologii dwudziestego pierwszego wieku, takie jak magnetometr i lokalizator GPS z wpisanymi koordynatami startowymi. Korzystając z pomocy tego urządzenia, posuwał się wolno pomiędzy drzewami, stopniowo zbliżając się do punktu, który satelita znajdujący się tysiące kilometrów nad ziemią powinien oznaczyć jako cel jego wędrówki.

Cała sprawa wydawała się naprawdę intrygująca.

Pracownik biblioteki Muzeum Historii Amerykańskiej, niejaki Martin Thomas, studiował zbiór starych map, notatek i dzienników zgromadzonych w przepastnych archiwach Instytutu Smithsona. Dostęp do dokumentów był zastrzeżony. Dotyczyły badań przeprowadzonych przez członków Instytutu w 1909 roku, w tym również wcześniejszej ekspedycji na tereny zachodniego Arkansas. Z wyprawy nie wynikło nic poza tym, że szef zespołu badawczego został zabity przez myśliwych, którzy omyłkowo wzięli go za jelenia. Oczywiście mógł to być zwykły wypadek, ale Cotton dobrze wiedział, że każdy lokalny szeryf przede wszystkim dba o interesy swoich wyborców - a trudno sobie wyobrazić lepszy przykład tak pojętej „lokalności” niż dzikie obszary Arkansas u progu dwudziestego wieku.

W takim miejscu łatwo zamieść to i owo pod dywan.

Na lokalizatorze nieustannie błyskały cyferki. Malone skorygował kierunek marszu i szedł dalej. Ostatnie trzy dni spędził w Waszyngtonie, zaznajamiając się z tymi samymi raportami, książkami, dokumentami i mapami, które wcześniej zwróciły uwagę Martina Thomasa. Wszystkie te materiały udostępniono mu za osobistą zgodą kanclerza. Bardzo dużo

czytał na temat tego, co spodziewał się znaleźć tu, w Arkansas. Otrzymał także najświeższe notatki autorstwa samego Thomasa, w których bibliotekarz opisał konkretne drzewo stanowiące punkt orientacyjny, łącznie z dokładnymi współrzędnymi. Gospodarz schroniska również okazał się bardzo pomocny i opowiedział mu ogólnie o obszarze, na którym powinien znajdować się okazały buk.

Lokalizator zaczął pikać.

Udało się znaleźć miejsce zaznaczone krzyżykiem na mapie.

Drzewo miało co najmniej piętnaście metrów wysokości. Na jego pniu było wyciętych 65 rysunków. Wiedział to, ponieważ Thomas był tu miesiąc temu i osobiście je pobczył. Zdarzyło się jednak wtedy coś dziwnego. Nad szlakiem ktoś zawiesił kukłę pozbawioną głowy i podziurawioną kulami. Zwisała z gałęzi jak ofiara linczu, dyndając ponad stosem zużytych łusek. Na wszystkich sąsiednich drzewach namalowano odwrócone krzyże. Wszystko to wysłało jasny komunikat: Precz stąd.

Wiadomość odniosła pożądany skutek. Thomas wziął nogi za pas.

Tym razem jednak na miejsce przybył zawodowiec umiejący sobie radzić w trudnych sytuacjach.

Malone zbliżył się do drzewa i dostrzegł znaki na korze. Wolno przesunął palcami po rysunkach przedstawiających ptaka, dzwon i coś, co przypominało konia bez nóg. Botanik z Muzeum Historii Naturalnej powiedział mu, że cienka, gładka kora buku rośnie wolno, co zapobiega pękaniu. A zatem wszelkie nacięcia pozostałyby na niej widoczne nawet przez kilkadziesiąt lat. Wiele spośród rysunków porosło już mchem, niektóre zniekształcił naturalny przyrost kory. Ale większość była nadal czytelna. Malone wyciągnął z plecaka miękka, nylonową szczotkę i delikatnie usunął mech, odsłaniając kolejne litery i symbole. Miał ochotę dokładniej się im przyjrzeć i zastanowić nad ich interpretacją, ale w tym momencie nie to było najważniejsze. Przyjmując oznakowany buk za punkt startowy, zaczął się rozglądać za następnym drzewem.

Po chwili je zobaczył. Stało jakieś dziesięć metrów dalej.

Był to sporej wielkości dąb czerwony o konarach dawno temu uformowanych ręką człowieka, przypominających słupki bramki w

futbolu amerykańskim. Malone zauważył biegnącą za drzewem ścieżkę i wycelował w tamtą stronę swój GPS. Musiał teraz poruszać się w linii prostej, kierując się na te słupki, tak aby we współrzędnych wyświetlanych przez lokalizator długość geograficzna pozostawała ta sama, a zmieniała się jedynie szerokość. Aż trudno uwierzyć, że kiedyś drogę odnajdywano jedynie za pomocą nawigacji zliczeniowej.

Ruszył naprzód przez rzadkie podszycie, omijając grube drzewa. Przez dach z wiosennych liści gdzieś przebijały się promienie słońca, pokrywając ziemię jasnymi cętkami. Gorące, wilgotne powietrze, ciężkie jak mokry ręcznik, prześlizgiwało się po jego lepkiej skórze, przywodząc na myśl dziecięce lata spędzone w Georgii.

Niecałe dwadzieścia metrów od pierwszego drzewa znalazł stertę kamieni porośniętą grubą warstwą mchu. Wiedział, że właśnie tego miał wypatrywać. Schylił się, żeby oczyścić kamienie z zielonej warstwy i bliżej się im przyjrzeć. Na jednym z nich, leżącym niemal przy samej ziemi, widniała wryta liczba 7. Była nieco zatarta, ale wciąż widoczna.

Podniósł kamień wielkości piłki softballowej i szybko przetarł go szczotką od spodu, odsłaniając dwie litery.

SE.

W tych lasach umieszczono wiele tego typu znaczników. Były tak oczywiste, że nikt nie zwróciłby na nie uwagi. Ten stos kamieni stanowił idealny przykład. Wydawały się zupełnie bez znaczenia, chyba że ktoś dokładnie wiedział, na co zwracać uwagę. Przyszło mu do głowy coś, co powiedział mu kiedyś dziadek.

„Po co ukrywać łupy, jeśli nie masz jak ich potem odszukać?”

Otóż to.

Zakładał, że „SE” oznacza południowy wschód. A cyfra 7? Kto to może wiedzieć? Może miał to być tylko fałszywy trop? Normalnie nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby odwrócić kamień. Ale na kogoś wtajemniczonego, kto przybyłby tu w poszukiwaniu tajnej kryjówki, ta siódemka zadziałałaby jak przykuwający uwagę billboard. Malone wiedział też, że dla sekretnego stowarzyszenia, które ponoć ukryło tu swoje skarby, liczba 7 miała symboliczne znaczenie. Mówiła: „Most

zwozdzony został opuszczony, droga stoi otworem”. Wszystko to stanowiło część ich tajemnego języka.

Włączył magnetometr, którego do tej pory nie używał, żeby oszczędzać baterię. Skręcił na południowy wschód, czyli z powrotem w kierunku pierwszego drzewa. Rozglądał się czujnie, ponieważ w notatkach z 1909 roku była mowa o jeszcze innych ukrytych znacznikach.

Cóż za sprytny system zabezpieczeń. Prawdziwy dowód ludzkiej pomysłowości.

Trzymał magnetometr tuż nad ziemią, a w drugim ręku niósł lokalizator. Szedł prosto na południowy zachód, machając w tę i z powrotem wykrywaczem metalu. Po niecałych dwudziestu metrach urządzenie zaczęło brzęczeć. Malone odłożył wszystko i wyciągnął z plecaka składaną łopatę. Uklęknął i zaczął ostrożnie odgarniać ziemię we wskazanym miejscu; miękka, wilgotna gleba odchodziła całymi grudami. Piętnaście centymetrów pod powierzchnią znalazł mocno zardzewiały lemiesz żelaznego pługa. Wiedział, że nie wolno mu go ruszać. Miał się tylko z niego czegoś dowiedzieć.

Odgarnął jeszcze trochę ziemi i sprawdził, w którym kierunku wskazywało ostrze.

Na południowy zachód.

Nie mógł się nadziwić, że ten przedmiot wciąż leży na swoim miejscu. Według notatek z 1909 roku znajdowało się tu więcej takich niespodzianek: końskie i osłe podkowy, kilofy, ostrza siekier, a także lemiesz, wszystkie zakopane 10-15 centymetrów pod ziemią. Wystarczająco głęboko, żeby pozostawać w ukryciu, ale nie dość, żeby nie mogła ich namierzyć igła kompasu. Wystarczy przesunąć kompas ponad zakopanym żelazem, a igła drgnie. Martin Thomas przetestował tę teorię, kiedy przyjechał tu przed miesiącem z nowym lemieszem. Metoda ta nie okazała się oczywiście nawet w połowie tak skuteczna jak magnetometr, ale zdecydowanie była zaczątkiem tego wynalazku. W tym równaniu nie został jedynie uwzględniony zgubny wpływ czasu. Korozja metalu osłabiała jego właściwości magnetyczne, więc wydaje się raczej wątpliwe, czy dziś do odnalezienia znaczników wystarczyłoby

zwykły kompas. Dzięki Bogu za nowoczesną technologię.

W trzewiach czuł narastającą ekscytację.

Jego dziadkowi też by się to podobało.

Ale sytuacja była poważna. Dawno temu w tym samym miejscu zginął człowiek, a zupełnie niedawno ktoś próbował zastraszyć Martina Thomasa. Dlatego Cotton musiał zachować czujność.

Pozbierał cały sprzęt i ruszył na południowy zachód. Po kolejnych dwudziestu metrach znalazł następny zakopany znacznik, tym razem głowicę siekiery, która również wskazywała na południowy zachód. Ostrożnie stawiał kroki i powoli kopał w ziemi. Na tych terenach żyły grzechotniki i być może kilka z nich wyszło z kryjówek, żeby skorzystać z ciepłego popołudnia. To jeden z powodów, dla których Cotton w plecaku trzymał również kaburę ze swoją beretką.

Kiedy obrany kurs doprowadził go z powrotem do pierwszego drzewa, zdał sobie sprawę, że jego trasa nakreśliła wielki trójkąt. Teraz wiedział, gdzie powinien szukać swojego celu. W grę nie wchodziło już całe terytorium stanu Arkansas, lecz jedynie obszar leżący pomiędzy tymi trzema liniami.

Przeszedł na sam środek trójkąta.

Czarne, matowe szkła jego okularów łagodziły nieco jaskrawy blask słońca. Korony drzew rozbrzmiewały odgłosami ptaków, wiewiórek i owadów. Ta część Arkansas naprawdę wyglądała na istny klejnot ukryty niemal w samym środku kraju. Sto pięćdziesiąt lat temu była odcięta od świata i niewiele się od tego czasu zmieniło, z tą różnicą, że teraz Służba Parków Narodowych dbała o to, by wszystko pozostawało w nienaruszonym stanie. Malone nie wiedział na pewno, czy znajduje się teraz w granicach parku, ale nawet jeśli nie, to na pewno był bardzo blisko.

Choć w Arkansas nigdy nie wydobywano znaczących ilości złota, o tutejszych zasobach cennego kruszcu od dawna krążyły legendy. Nie chodziło jednak o złoto pochodzące ze strumienia czy skalnej żyły, tylko o takie, które zostało tu przywiezione z zewnątrz. Pierwotne hipotezy dotyczyły szesnastowiecznych Hiszpanów, którzy zostawili setki tajnych składów złota na całym środkowym zachodzie i zachodzie kraju. Poza

tym w tych lasach często ukrywali się także zbiegli przestępcy. No i była jeszcze jedna grupa, z dziewiętnastego wieku, która chętnie korzystała z możliwości oferowanych przez te tereny.

Rycerze Złotego Kręgu.

Bezpośrednio przed sobą, niemal w samym środku trójkąta, Malone zobaczył duży klon z ledwo zauważalną długą pionową linią wrośniętą w korę.

Łatwo dałoby się ją przeoczyć.

Przejechał magnetometrem nad ziemią wokół drzewa, a urządzenie głośnym brzęczeniem oznajmiło, że coś znalazło. Malone klęknął i zaczął ostrożnie kopać. Piętnaście centymetrów - nic. Kopał dalej. Około trzydziestu centymetrów pod powierzchnią poczuł pod łopatą coś twardego. Przedmiot zakopany tak głęboko, że nigdy nie wykryłby go żaden kompas.

Wiedział, co to oznacza. Tu właśnie czekała główna nagroda, dostępna jedynie dla tego, kto rozszyfruje pozostałe wskazówki i będzie wiedział, gdzie dokładnie kopać.

W dole bezsprzecznie znajdowała się własność Rycerzy Złotego Kręgu.

Malone odgarnął ziemię i jego oczom ukazał się szklany słoik z metalową pokrywką, która dawno już przerdzewiała na wylot. Wydobył go na powierzchnię. Słoik o pojemności mniej więcej dwóch litrów był wypełniony złotymi monetami, które mimo upływu czasu prawie nie straciły nic ze swego blasku. Próbował oszacować, ile może ich być w środku. Poinstruowano go, że zanim czegokolwiek dotknie, ma wszystko sfotografować, więc odstawił słoik na ziemię, wyciągnął telefon i włączył aparat.

Miał właśnie pstryknąć kilka zdjęć, kiedy nagle usłyszał jakiś ruch.

Coś zbliżało się w jego stronę. I to całkiem szybko.

Wcisnął rękę do plecaka, złapał swoją berettę i obrócił się w miejscu. Przed oczami mignęła mu tylko zmierzająca ku niemu ciemna sylwetka i znajomy kontur karabinu.

A potem zapadła ciemność.

ROZDZIAŁ 2

WSCHODNIE TENNESSEE

GODZ. 16:50

DANNY DANIELS NIE znosił pogrzebów i kiedy tylko mógł, unikał ich jak ognia. Będąc prezydentem Stanów Zjednoczonych, uczestniczył zaledwie w kilku, najczęściej zlecając ten smutny obowiązek innym. Teraz, jako były prezydent, nie miał już pod sobą ludzi, których mógłby wysłać w swoim imieniu. Ale to wszystko nieważne. Ten pogrzeb i tak stanowił dla niego wyjątek od reguły.

Znał zmarłego od czasów, gdy sam zasiadał jeszcze w radzie miasta Maryville, a Alex Sherwood służył w zgromadzeniu ustawodawczym stanu Tennessee. Z czasem obaj zaszli znacznie dalej - Daniels na fotel gubernatora, do Kongresu i wreszcie do Białego Domu, natomiast Sherwood został najpierw spikerem legislatury stanowej Tennessee, a potem senatorem. Dwaj chłopcy z prowincji, którym udało się osiągnąć w życiu sukces.

W trakcie swoich dwóch kadencji w Białym Domu Daniels zawsze mógł liczyć na Alexa. Wiedział, że jego staremu przyjacielowi również marzy się prezydentura. Ale nie było mu to pisane. Alex, który nie szczędził nikomu pochwał i przymykał oko na wady innych, był na to po prostu zbyt miły. Prezydent musi mieć wiele twarzy - nie tylko podejmować decyzje, ale także umieć przekonać wszystkich wokoło, że wie, co robi. Czasami trzeba w tym celu kogoś opieprzyć, a to umiejętność, której stary kumpel Daniela nigdy nie opanował.

Alex stosował inne metody: uprzejmość, życzliwość, rozsądek. Takie podejście w wielu sytuacjach zwyczajnie się nie sprawdzało.

Większość żałobników stała pod parasolami, kryjąc się przed deszczem

padającym z szarego wiosennego nieba. Daniels zostawił parasol w domu. Włożył jedynie płaszcz przeciwdeszczowy, żeby nie zmoczyć garnituru. Kiedy cztery miesiące temu jego prezydentura dobiegła końca, postanowił wrócić w rodzinne strony, do hrabstwa Blount w stanie Tennessee.

Żeby rozpocząć nowe życie.

- Proszę, dołączcie do nas - powiedział pastor, zachęcając ludzi, żeby podeszli bliżej grobu.

W kościele na ogólnodostępnym nabożeństwie zjawilo się ponad pięćset osób. Ale tu, na stary cmentarz u stóp Appalachów została zaproszona niecała setka krewnych i najbliższych znajomych. Żadnych dziennikarzy. Senat Stanów Zjednoczonych reprezentował lider większości rządzącej i jego ośmiu współpracowników. Izba Reprezentantów także wysłała delegację, na której czele stał sam spiker. Obecny przewodniczącym izby niższej Kongresu był zarozumiały, nadęty dupek z Karoliny Południowej, niejaki Lucius Vance. Daniels nigdy za nim nie przepadał. Należeli do różnych partii, pochodzili z różnych stanów, mieli diametralnie różne poglądy. Vance do mistrzostwa opanował jednak sztukę dogadzania innym, zjednywania sobie sojuszników oraz robienia tysiąca innych rzeczy, dzięki którym mógł utrzymać się na stanowisku. Był pełnokrwistym politykiem, przyzwyczajonym do tego, że jego praca co dwa lata zostaje poddana ocenie, i doskonale zdawał sobie sprawę, jak szybko przychylnosc opinii publicznej potrafi zmienić się we wrogość. Dziewięć lat temu ta wiedza w połączeniu z ponaddwudziestoletnim doświadczeniem w polityce w końcu pozwoliła mu zostać sześćdziesiątym drugim spikerem Izby Reprezentantów.

Dawniej Danny bacznie obserwował działania opozycji, znał każde posunięcie swoich przeciwników. Kiedy to było? No tak, jeszcze cztery miesiące temu. Ale sytuacja się zmieniła. Zresztą to przecież bez znaczenia. Byli prezydenci rzadko kiedy zaznaczali swoją obecność. Ich jedynym zadaniem było usunąć się w cień. Vance natomiast nadal szedł do przodu, mocno dzierząc stery władzy. Przez osiem lat był solą w oku

Danielsa, w pragmatyczny i precyzyjny sposób wykorzystując wszelkie możliwości, by zablokować wszystkie propozycje wychodzące z Białego Domu.

Najczęściej mu się to udawało.

Ale to już nie był problem Danny ego.

Teraz będzie musiał się tym martwić prezydent Warner Scott Fox, który ma tę przewagę, że należy do tej samej partii co Vance. Chociaż niewykluczone, że niewiele mu to pomoże.

W Kongresie bratobójcze walki są na porządku dziennym.

Żałobnicy zgromadzili się wokół dużego namiotu ustawionego nad grobem. Wdowa po Alexie, Diane, siedziała na krześle ze złączonymi dłońmi. Związek państwa Sherwoodów przetrwał naprawdę długo, w przeciwieństwie do małżeństwa Danielsa, które się rozpadło. Danny i Pauline podpisali już papiery rozwodowe. Ustalili, że złożą je pierwszego lipca i tego dnia oficjalnie się ze sobą rozstaną. Do tego czasu ludzie powinni dawno już zapomnieć o poprzednim prezydencie i jego pierwszej damie.

Zabawne, jak bardzo zmieniło się jego życie.

Jeszcze całkiem niedawno był najważniejszym człowiekiem na świecie. Tysiące ludzi pracowały non stop, żeby spełnić jego oczekiwania. Dowodził najpotężniejszą armią na tej planecie. Jego decyzje dotyczyły setek milionów ludzi. A teraz ponownie stał się zwykłym obywatelem. Oczywiście nie tak dawno temu Alex Sherwood wciąż żył, więc Danny wiedział, że nie powinien się skarżyć. Pauline wydawała się szczęśliwa w swoim nowym życiu i nowym związku. A on był szczęśliwy ze Stephanie Nelle. Może niektórzy uznaliby, że dziwnie się to wszystko ułożyło. Danny powiedziałby po prostu, że tak to już jest w życiu. Spełnił obowiązek, służąc swojemu krajowi. Tak samo Pauline. Teraz przyszedł czas, żeby każde z nich zaczęło myśleć o sobie.

Z rękami w kieszeniach płaszcza przeszedł przez mokrą trawę. Pod podeszwami chrzęściły mu drobne kamyczki. Zatrzymał się, gdy tylko znalazł się pod namiotem, gdzie mimo deszczu bębniącego o płótno dało się dosłyszeć głos pastora. Był tam gubernator, kolejny ze starych

przyjaciół, razem z delegacją stanowego zgromadzenia ustawodawczego. Diane widocznie nie zapomniała o wymogach protokołu, bo nie pominęła żadnej z najważniejszych osobistości.

Pastor wygłosił improwizowaną przemowę na temat śmierci i zmartwychwstania. Potem zaczął mówić o samym Alexie, którego znał osobiście. Był to jeden z powodów awersji Danny ego do pogrzebów. Duchowni nader często coś udawali. Ten tutaj mówił jednak prosto z serca. Danny poczuł się nagle bardzo stary, choć wiedział, że nie powinien się tak czuć. Wkrótce miał skończyć sześćdziesiąt pięć lat i będzie mu się należała emerytura, której nie przyjmie, tak samo jak zrezygnował z ochrony Secret Service, którą zapewniano wszystkim byłym prezydentom. Ostatnie, czego mu było trzeba, to zastęp nianiek chodzących za nim krok w krok. Chciał móc wreszcie pod każdym względem cieszyć się wolnością.

Niewielki oddział tajniaków towarzyszył na ceremonii pogrzebowej spikerowi Izby Reprezentantów. Vance stał przed namiotem z parasolem w ręku. Miał gęstą czuprynę czarnych włosów i oczy koloru miedzianych monet, a z jego przystojnej twarzy biła pewność siebie. Nawet w drodze castingu nie dałoby się znaleźć lepszego kandydata na przewodniczącego Izby. Dzieliło ich piętnaście lat, ale Danny miał wrażenie, że różnica wynosi raczej sto pięćdziesiąt. Władza potrafi zarówno dodać człowiekowi skrzydeł, jak i kompletnie pozbawić go sił, zwłaszcza taka, która wiąże się z dwiema kadencjami w Białym Domu.

Daniels zwrócił uwagę na beznamietne spojrzenie Vance'a, kojarzące się z nieruchomym manekinem. Był to wyraz twarzy człowieka, który nie chce zdradzić swoich myśli. W pewnym momencie obecny spiker Izby Reprezentantów pozdrowił byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych lekkim skinieniem głowy. Danny był pod wrażeniem. Przez całe ostatnie osiem lat nie doświadczył ze strony Vance'a tyle kurtuazji. Łatwo jednak okazywać uprzejmość komuś, kto nie może ci już w żaden sposób zaszkodzić.

Daniels poczuł się przez to jeszcze starszy.

Powinien założyć grupę wsparcia dla Ludzi, Którzy Przestali Być

Ważni. Osoby takie jak on mogłyby pomagać sobie wzajemnie wyjść z uzależnienia od władzy. Niektórzy z ulgą opuszczali publiczne stanowiska. Inni kierowali swoją energią na działalność filantropijną albo po prostu robili karierę w biznesie i zaczęli zbijać fortunę. I wreszcie byli też tacy jak on, którzy właściwie nie umieli robić nic innego. Dla Danny ego określenie „polityk” nie brzmiało jak obelga.

Oznaczało po prostu kogoś, kto potrafi osiągać kompromis. Bo tak właśnie działa ta branża. Fundamentem polityki nie jest wizja, lecz konsensus. Nikt - ani on, ani Lucius Vance, ani Warner Fox - nie stawia na swoim przez cały czas. Sztuka polega na tym, aby przy każdej możliwej okazji ugrać jak najwięcej. „Jeśli nie jesteś w stanie zdobyć wszystkiego, co chcesz, bierz tyle, ile możesz” - tak zawsze brzmiało jego motto. I dzięki temu jego legislacyjne sukcesy jako prezydenta, pomimo nieustających wysiłków ludzi pokroju Luciusa Vance’a, były całkiem znaczące.

Pastor skończył, a żałobnicy zaczęli jeden za drugim przechodzić wolno obok trumny, żeby oddać hołd zmarłemu. Większość miała spuszczone wzrok, niektórzy pozwalali sobie na ostatni, delikatny dotyk. Daniels obserwował Vance’a, który łagodnie ucisnął rękę Diane i zamienił z nią kilka słów.

Odczekał jeszcze chwilę i sam dołączył do kolejki. Przywitało się z nim kilku starych znajomych.

Hrabstwo Blount powstało w 1795 roku. Jego nazwa pochodziła od nazwiska ówczesnego gubernatora, a nazwa miasta Maryville, siedziby lokalnych władz, od imienia jego żony. To się nazywa próżność. Wcześniej ta ziemia należała do plemienia Czirokezów, ale zagarnęli ją farmerzy, którzy wyemigrowali na zachód z Wirginii i Karoliny Północnej. Wśród tych pierwszych osadników znaleźli się także przodkowie Danielsa. Obszar całego hrabstwa porastała bujna roślinność. Pokryte lasami wzgórza falowały na horyzoncie niczym ocean. Pasma Błękitne nadawało charakter tej krainie, a w wielu parkach narodowych już dawno zrezygnowano z wycinki drzew. W hrabstwie mieściło się aż dwieście kościołów, co musiało stanowić swego rodzaju rekord.

Najsłynniejszym mieszkańcem był pewnie on sam, a tuż za nim plasował się Alex Sherwood. Ale tu, wśród przyjaciół, nie czuł się prezydentem ani eksprezydentem. Nikt też nie używał tu jego pełnego nazwiska: Robert Edward Daniels junior. Dla wszystkich był po prostu Dannym, facetem, który swego czasu zasiadał w radzie miasta Maryville.

Lubił to uczucie.

Kiedy przyszła jego kolej, zbliżył się do Diane. Miała na sobie stylową czarną suknię i koronkową woalkę, a w ręku ścisnęła zgniecioną chusteczkę. Pochylił się nad jej krzesłem i złożył jej wyrazy współczucia.

- Dzięki, że przyszedłeś - powiedziała.

Tak naprawdę nigdy nie darzył jej wielką sympatią. Ona też go nie lubiła. Wiedział, że powinien wziąć ją za ręce czy coś takiego, ale tego typu gesty nie były w jego stylu. Dlatego powiedział po prostu:

- Będzie mi go brakowało.

- Wpadnij później do nas do domu.

Nie wybierał się na żadną stypę. Miał nadzieję, że uda mu się uniknąć zarówno dłuższego przebywania z Diane, jak i bezsensownej gadki szmatki, która stanowi nieodłączny element każdego pogrzebu we wschodnim Tennessee. Nie chciał jednak robić scen, więc odparł tylko:

- Postaram się.

Ale ani myślał dotrzymać słowa.

Opuścił namiot i ruszył z powrotem w stronę swojego samochodu. Z tym cmentarzem wiązało się wiele wspomnień. Leżeli tu jego rodzice, dziadkowie i wujkowie.

Był też jeszcze jeden grób. Jego córki.

Zginęła w pożarze kilkadziesiąt lat temu. Tamtej nocy Danny bezpowrotnie stracił też część siebie. Tak samo jak Pauline. Mary była ich jedynym dzieckiem. Później nie zdecydowali się już na kolejne. Nie było dnia, żeby o niej nie myślał, choć minęły lata, odkąd ostatni raz odwiedził jej grób. Fakt, że nigdy do końca nie pogodził się z tragiczną śmiercią córki, walnie przyczynił się do rozpadu jego małżeństwa.

Oddalił się od tłumu i zaczął lawirować pomiędzy rzędami pomników i nagrobków. Zroszony deszczem cmentarz był cichy i pogrążony w

półmroku. Odnalazł grób swojej córki pod starym dębem, od południowej strony zadrzewionego pagórka. Miejsce było zadbane, a trawa ładnie przystrzyżona. Na kamiennej płycie leżącej na równi z ziemią widniało pełne nazwisko, data urodzin, data śmierci oraz słowa „ukochana córka”. Danny stanął nad grobem z rękami w kieszeniach i mokrymi od deszczu włosami i po raz kolejny poprosił, by mu wybaczyła.

Minęło już tak wiele lat.

A jednak ból nadal był tak świeży, jakby to się wydarzyło wczoraj.

W żołądku poczuł znajomą pustkę. Przymknął oczy, żeby się nie rozpłakać. Całe życie starał się robić wrażenie człowieka silnego i twardego. Nigdy nie pozwalał, by cokolwiek wyprowadziło go z równowagi.

Z wyjątkiem tego.

- Muszę z panem porozmawiać - usłyszał za sobą kobiecy głos.

Nie zdawał sobie sprawy, że ktoś jest w pobliżu, ale szybko opanował zaskoczenie. Kiedy się odwrócił, ujrzał kobietę, mniej więcej sześćdziesięcioletnią, z gęstymi spletanymi włosami i dużymi brązowymi oczami.

- Kim pani jest? - zapytał.

- Przyjaciółką Alexa.

- Dzisiaj jest tu wielu jego przyjaciół.

- Panie prezydencie...

Przerwał jej, unosząc rękę.

- Mam na imię Danny.

Zdobyła się na błady uśmiech.

- Wiem. Jest coś, o czym powinien pan wiedzieć.

Czekał cierpliwie.

- Alex został zamordowany.

Długie lata w polityce nauczyły go, jak cenna jest pokerowa twarz, szczególnie gdy rozmówca próbuje wywołać u nas określoną reakcję. Dlatego nawet nie drgnął, pozwalając, by deszcz zmył wilgoć, która przed chwilą zaczęła się zbierać w jego oczach.

- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie - powiedział. - Kim pani

jest?

- Musimy porozmawiać na osobności.

Nadal nie poznał odpowiedzi.

- Dlaczego uważa pani, że Alex został zamordowany?

- To jedyne sensowne wytłumaczenie tego, co się stało.

ROZDZIAŁ 3

ARKANSAS

COTTON ROZEJRZAŁ SIĘ po swoim więzieniu. Musiał przyznać, że w takim miejscu jeszcze nikt go nie zamknął. Znajdował się na dnie żelaznego cylindra, szerokiego na jakieś dwa i pół metra i wysokiego na co najmniej sześć metrów, który dawno temu służył prawdopodobnie jako piec do spalania odpadów. Obejrzał dokładnie każdy centymetr zardzewiałego metalu, ale nie znalazł żadnego słabego punktu. Jedynym wyjściem z pułapki była zamknięta klapa, otwierana na zewnątrz, ale choć Malone napierał z całych sił, ani drgnęła. Ciężkie, lepkie powietrze cuchnęło rdzą i sadzą. Cotton ocknął się w środku, wcześniej pewnie kilka godzin leżał nieprzytomny. Na czole, tuż pod linią włosów, wykwitł mu guz wielkości półdolarówki.

Ktoś nieźle go załatwił.

W metalowej puszcze nagrzonej przez popołudniowe słońce było gorąco jak w piekle. Komary dostawały się do środka przez otwory u szczytu, rzucające kraciaste cienie na brunatne ściany. Od ugryzień swędziała go skóra na całym ciele. Siedząc w zamknięciu, zastanawiał się, jak to się stało, że po raz kolejny porzucił swoją księgarnię w Kopenhadze. Ostatnio coraz więcej czasu spędzał z dala od swojego sklepu. Na szczęście jego pracownicy umieli o wszystko zadbać pod jego nieobecność.

Przynajmniej tym razem w grę wchodził zakopany pod ziemią skarb.

Nie miał przy sobie ani złotych monet, ani plecaka, telefonu, okularów słonecznych czy narzędzi. To oczywiście żadna niespodzianka. Ten, kto go znokautował, pewnie z przyjemnością przywłaszczył sobie jego rzeczy. Zazwyczaj nie czuł się dobrze w ciasnych miejscach, ale tu

przynajmniej widział nad sobą kawałek niebieskiego nieba i mógł się swobodnie poruszać, więc sytuacja nie wyglądała jeszcze całkiem tragicznie. Nadal znajdował się w otwartej przestrzeni - tylko nieco ograniczonej.

W koniuszkach palców czuł palące ciepło, zaczynało mu też dokuczać pragnienie. Nad jego głową przeleciała mucha, przecinając skośne pasma światła na wewnętrznej ścianie cylindra. Już niedługo to więzienie zmieni się w piekarnik, a żar stanie się nie do wytrzymania - i zapewne właśnie taki był plan. Ten, kto go tu zamknął, zamierzał po prostu tak go zostawić. Może krzyżeć ile sił w płucach, a i tak nikt go nie usłyszy, bo w promieniu wielu kilometrów nie ma żywej duszy. Odsunął od siebie tę uroczą myśl i ręką przepędził muchę, która nie chciała mu dać spokoju. W skroniach pulsował mu ból i miał zawroty głowy. W lewym ramieniu coś strzyknęło, a wszystkie kości zeszywniały.

Naprawdę robił się już za stary na takie rzeczy.

Kiedy na zewnątrz rozległ się nagle głośny brzęk, Malone aż podskoczył z wrażenia, tak bardzo przyzwyczał się już do grobowej ciszy. Czekał na moment, gdy metal zgrzytnie o metal i właz się otworzy.

Ale nic takiego nie nastąpiło.

Coś natomiast uderzyło w kratkę u wylotu pieca.

Malone spojrzął w górę i ujrzał grubą linę, która przeszła przez otwór pomiędzy prętami i zniżała się ku niemu. Do jej końca był przywiązany kamień, wystarczająco ciężki, żeby pociągnąć luźno zwisający sznur w dół.

Kamień uderzył w podłogę jakiś metr od niego. Pomiędzy nim a liną tkwiła kartka z odręcznym napisem.

„Tęskniłeś?”

Malone pokręcił głową i uśmiechnął się. Wyplątał kamień i szarpnął za sznur. Był mocno napięty. Tylko korzystać.

Wiedział, co trzeba zrobić. Zapierając się nogą o żelazną ścianę, zaczął podciągać się na linie. Przedramiona i barki bolały niemiłosiernie, ale dał radę wspiąć się na samą górę. Tam złapał za jedną z zardzewiałych

żelaznych belek, licząc na to, że jest dostatecznie solidna, by utrzymać jego ciężar. Zamachnął się i kopnął w kratę zasłaniającą otwór wylotowy. Jeszcze gdy siedział na dnie, zauważył, że niektóre listwy są mocno skorodowane i ledwo trzymają się w ramach. Ta, którą wziął na cel, skrzypnęła żałośnie, ale zaraz odskoczyła.

Malone wygrzebał się przez szczelinę i chwycił za kolejną starą belkę. Wcześniej rzucił okiem od jednego końca do drugiego i upewnił się, że jest stabilna. Na szczycie zobaczył też kilkumetrowy komin, stanowiący przedłużenie konstrukcji pieca. Wstał i zaczął ostrożnie kroczyć po rozgrzanym metalu, balansując rękami jak akrobata, aż znalazł się nad krawędzią, za którą zniknęła lina.

Poniżej, w gęstych zaroślach, stała Cassiopeia Vitt. Piec z wszystkich stron otaczały drzewa.

- Nie mogłaś po prostu otworzyć drzwiczek? - zapytał.

- Są zamknięte na kłódkę.

-Więc czemu jej nie otworzyłaś?

Wiedział, że Cassiopeia zawsze nosi przy sobie zestaw wytrychów.

- To kłódka z zamkiem szyfrowym. Dlatego musiałam znaleźć linę, a to nie było takie łatwe.

- Mogłaś zawołać i powiedzieć mi, co robisz.

Posłała mu uśmiech.

- A jaka w tym zabawa?

Rozdzielili się dziś rano. Cassiopeia wyrzuciła go w środku lasu, a sama pojechała dalej, żeby spotkać się ze strażnikami leśnymi i uzyskać od nich więcej informacji. Odnalezienie go nie nastrożyło jej większych trudności, ponieważ na ręku miał zegarek z wbudowanym nadajnikiem GPS, który został mu z czasów służby w jednostce Magellan Billet, a jej smartfon był w stanie namierzyć sygnał.

- Zakładam, że kryje się za tym dobra historia - powiedziała.

- Uśmiejesz się do łez.

Od ziemi dzieliło go ponad sześć metrów, więc wybrał resztę liny z wnętrza pieca i przywiązał ją do jednej z belek. Znajdował się na tyle wysoko, że z góry widział ten sam błady szczyt, który zlokalizował

wcześniej za pomocą współrzędnych GPS i od którego rozpoczął swoje poszukiwania.

Nadal był całkiem blisko tamtego miejsca.

W tym momencie rozległ się huk wystrzału i jakieś dwa metry od niego od żelaza odbiła się kula.

Malone rzucił się płasko na belkę, chowając się za nadbudowanym kominem. Pot spływał mu po czole i szczypał w oczy. Zamrugął, żeby odzyskać ostrość widzenia, i dostrzegł pomiędzy drzewami człowieka ze strzelbą oddalonego mniej więcej o pięćdziesiąt metrów. Strzelec zaczął się na innym wzniesieniu, skryty za wielkimi głazami, i właśnie się przemieszczał, być może szukając lepszej pozycji do oddania strzału.

- Kochanie - z dołu dobiegł protekcjonalny ton Cassiopei. - Wyciągnij tę linę.

Zrobił tak, jak mówiła. Do drugiego końca sznura był przywiązany pistolet kalibru dziewięć milimetrów. Niewiele myśląc, odwiązał broń i od razu wycelował w kryjówkę Strzelca, czekając, aż ten wychyli się zza swojej osłony.

Dwa razy pociągnął za spust.

Kule odbiły się od skał jak kamienie.

Napastnik zszedł z linii strzału i schował się za skupiskiem głazów. Malone miał dzięki temu czas, żeby wcisnąć pistolet za pasek, z powrotem przerzucić linę przez krawędź pieca i ześlizgnąć się na dół, gdzie żelazna konstrukcja oraz liczne drzewa zapewniały dostateczną osłonę.

- Wyglądasz okropnie - stwierdziła Cassiopeia, gdy tylko znalazł się na ziemi.

Był mokry, nieogolony i nie najlepiej pachniał. Całe ubranie, a także ręce miał czerwone od rdzy. Cassiopeia tymczasem wyglądała świetnie. Poruszała się ze swobodą i gracją osoby, która dobrze się czuje w obcisłych jeansach. Zwykle jej kruczoczarne włosy luźno opadały na ramiona, ale dziś upięła je w wygodny kok. Jej kawowa skóra, odziedziczona po hiszpańskich przodkach, była przyzwyczajona do gorąca, a szczerą twarz o pięknych rysach czyniła z niej kobietę, która

przyciągała wzrok, gdziekolwiek się znalazła.

Malone uspokoił oddech. Próbował odzyskać trzeźwość umysłu, zmąconego przez nagły przyływ adrenaliny.

- Bardzo boli? - zapytała, spoglądając na jego czoło.

Pokręcił głową z udawanym wigorem. W myślach analizował sytuację i ustalał plan działania. Przede wszystkim musiał się dowiedzieć, kto go zaatakował, ale zdrowy rozsądek podpowiadał, że odpowiedź na to pytanie znajduje się na skalistym wzniesieniu ponad nimi.

- Ty idź dalej i spróbuj odwrócić uwagę Strzelca - polecił. - W tak gęstych zaroślach nie da rady do ciebie strzelić. Postaraj się narobić przy tym trochę hałasu. Ja pobiegnę naokoło i zajmę go od tyłu.

- Ludzie z Instytutu Smithsona chyba nie mają pojęcia, co tu się dzieje.

- To mało powiedziane - przyznał. - O mały włos nie zabrałem ze sobą Gary ego.

Jego siedemnastoletni syn koniecznie chciał mu towarzyszyć w tej wyprawie i Malone już prawie ustąpił, ale na szczęście został w porę ostrzeżony przez Martina Thomasa, który opowiedział, co przydarzyło mu się podczas poprzedniej wizyty w tym miejscu. Do tego dochodziła szkoła. Gary mieszkał ze swoją matką w Atlancie i do końca roku szkolnego zostały mu jeszcze dwa tygodnie.

Malone owi wciąż lekko kręciło się w głowie, a każdy oddech ranił gardło, jakby łykał kawałki szkła.

- Masz wodę?

Cassiopeia wyciągnęła z plecaka plastikową butelkę. Odkręcił ją i wziął spory łyk letniego płynu, nie zważając na metaliczny posmak. Ktoś musiał go obserwować w lesie, ktoś, kto dokładnie wiedział, gdzie się zacząć, i potrafił niepostrzeżenie się do niego zbliżyć. Następnie przyniesiono go tutaj i wrzucono do tej żelaznej puszki.

Ktoś zadał sobie sporo trudu. Ale po co?

Czas się tego dowiedzieć.

ROZDZIAŁ 4

DANNY STANAŁ NA pustym parkingu pod Misjonarskim Kościołem Baptistycznym. Kobieta z cmentarza siedziała na miejscu pasażera. To wprawdzie niezbyt rozsądne, żeby były prezydent przebywał sam na sam z kompletnie obcą osobą, ale instynkt podpowiadał mu, że ta kobieta nie stanowi zagrożenia. Krople deszczu bez ustanku stuknęły o dach, maskę i przednią szybę. Przez całą drogę jechali w milczeniu, po tym jak wymknęli się ukradkiem z pogrzebu.

- Zamierza się pani kiedyś przedstawić? - odezwał się.

- Alex mówił, że byliście najlepszymi przyjaciółmi. Czy to prawda?

- A jak długo pani się z nim „przyjaźniła”?

Nigdy by nie przypuszczał, że Alex Sherwood miał kochankę.

- Zналиśmy się sześć lat - odparła.

To zdumiało go jeszcze bardziej.

- I udało się wam tak długo utrzymać to w tajemnicy?

- Owszem, ponieważ naprawdę byliśmy tylko przyjaciółmi. Niczym więcej. Alex nigdy nie zdradził swojej żony.

- A co jego żona myślała o tej waszej przyjaźni?

- Nie mam pojęcia. Przyjeżdżała do Waszyngtonu ledwie kilka razy w roku. Nie wiem, czy tak bardzo zaprzętała sobie głowę tym, co robi jej mąż.

Powiedziała to raczej pogardliwym tonem. Ale dosyć często zdarzało się, że małżonkowie członków Kongresu zostawali w domu, gdzie mieli pracę albo dzieci, które potrzebowały opieki. A życie w Waszyngtonie nigdy nie należało do tanich. Wbrew powszechnie panującej opinii ludzie zasiadający w Kongresie w większości nie są wcale bogaci, ich zarobki zaś ledwie starczą na pokrycie wszystkich kosztów związanych ze służbą publiczną.

- Alex i ja bardzo długo byliśmy sąsiadami - kontynuowała. - Mieszkaliśmy na tym samym piętrze, drzwi w drzwi. Był naprawdę uroczym człowiekiem. Widzę, że pan mi nie wierzy, ale nasza relacja nie miała charakteru erotycznego.

Danny potrafił zrozumieć samokontrolę starego przyjaciela. On sam był z początku wrogo nastawiony do Stephanie, zresztą z wzajemnością. Dopiero później zostali przyjaciółmi, a teraz nawet więcej niż przyjaciółmi. Ale on też nigdy nie zdradził swojej żony.

- Lubiliśmy ze sobą przebywać - powiedziała. - Oglądaliśmy razem filmy, jedliśmy, czytaliśmy. Planował, że za dwa lata wycofa się z polityki.

Kolejna niespodzianka.

- A potem?

- Mówił, że rozwiedzie się z żoną.

- Z pani powodu?

- Nie wiem. Rzadko o niej rozmawialiśmy. Ale w ostatnich tygodniach zaczął mówić więcej. I nie przypominał w tym typowego sfrustrowanego męża wyzwalającego się innej kobiecie. Sprawiał wrażenie głęboko nieszczęśliwego człowieka, który oddalił się od swojej żony.

- A pani obecność nie miała z tym nic wspólnego?

- Kiedy wyjawiał mi, że zamierza wziąć rozwód, byłam w szoku. Ale nie twierdzę, że nie podobała mi się ta perspektywa. Chciał to zrobić, kiedy tylko przestanie być osobą publiczną. Wiem, co pan myśli: to samolubne z jego strony. Ale on uznał, że tak będzie lepiej dla wszystkich zainteresowanych.

Danny doskonale rozumiał tok myślenia swojego przyjaciela. On sam postąpił dokładnie tak samo. Jedyne różnice polegały na tym, że on i Pauline zgodnie podjęli decyzję o rozstaniu.

- Chcę, żeby pan wiedział, że nie dążyłam do tego, by Alex zostawił żonę i związał się ze mną. Do niedawna nawet nie poruszaliśmy tego tematu. Byłam z nim, ponieważ z czasem go pokochałam i wierzę, że on kochał mnie. Ale decyzję o rozwodzie podjął samodzielnie. Ja w żaden sposób go nie naciskałam.

Na twarzy tej kobiety widział niepokój i troskę. Nie wydawała się osobą lekkomyślną ani przesadnie uczuciową. Wierzył w każde wypowiedziane przez nią słowo.

- Przejdźmy do rzeczy - zaproponował.

- W ostatnich tygodniach przed śmiercią Alex był bardzo podenerwowany. Wszystko zaczęło się od tego notatnika, który czytał.

Danny słuchał z uwagą.

- Był tej wielkości. - Kobieta nakreśliła w powietrzu prostokąt o wymiarach mniej więcej piętnaście na dwadzieścia centymetrów. - Alex spędził nad nim wiele wieczorów.

- Skąd go miał?

- Od swojego szwagra.

Danny wiedział jedynie, że szwagier Alexa nazywa się Kenneth Layne i stoi na czele jakiejś komisji politycznej, która kontaktuje się ze stanowymi ciałami ustawodawczymi w całym kraju.

- Na pewno pan pamięta, jaki potrafił być Alex, kiedy się w coś zaangażował.

To prawda. Danny emu szczególnie utkwiła w pamięci sprawa 28. poprawki. Alex od dawna opowiadał się za zmodyfikowaniem konstytucji tak, aby każda uchwała podjęta na szczeblu federalnym w równym stopniu dotyczyła samych członków Kongresu. Nie podobało mu się to, że przedstawiciele władzy legislacyjnej uważali się za zwolnionych z obowiązku przestrzegania prawa obowiązującego wszystkich innych obywateli, przez co stanowili w praktyce swoistą klasę rządzącą. „Rząd stworzony przez ludzi dla ludzi powinien stosować się do reguł, które nakłada na cały naród”. Senator Sherwood z Tennessee powtarzał te słowa do znudzenia. Wielokrotnie próbował przeforsować swój projekt poprawki, ale nigdy nie udało mu się zdobyć niezbędnego poparcia. Danny przypominał sobie, że dwa lata temu jego przyjaciel starał się zwrócić na tę kwestię uwagę opinii publicznej, proponując ustawę, która zmniejszyłaby przesadnie wysokie emerytury dla kongresmanów, co oczywiście także spotkało się ze zdecydowanym sprzeciwem. Odpowiedź Alexa - którą wygłaszał na antenie każdej stacji

telewizyjnej - idealnie podsumowywała jego stanowisko. „Jak Amerykanie mogą ufać, że Kongres naprawi to wszystko, co nie działa w Waszyngtonie, skoro członkowie Kongresu nie przestrzegają nawet tych samych zasad co wszyscy inni?”

Trudno było nie przyznać mu racji.

- Kiedy opowiadał mi o tym notatniku - kontynuowała kobieta - wspominał o Senacie i o potrzebie radykalnych zmian. Mówił, że trzeba znaleźć sposób, by wyleczyć chorobę trawiącą Waszyngton. Ze Kongres jest sparaliżowany i nie jest w stanie niczego zrobić. Ale to, co wyczytał w tym notatniku, to nie było według niego właściwe rozwiązanie. Wiem, że wszystko to brzmi dość zagadkowo, ale on sam mówił o tym w podobny sposób.

Danny emu nie trzeba było tłumaczyć, że Senat Stanów Zjednoczonych źle funkcjonuje. Trzy kadencje spędzone w tamtejszych ławach nauczyły go, w jaki sposób jeden senator może doprowadzić do obstrukcji parlamentarnej i zablokować cały proces legislacyjny w obu izbach Kongresu jednocześnie. Sam nawet kilka razy wykorzystał tę taktykę. Ale szybkie i sprawne działanie nigdy nie było w Senacie priorytetem. Amerykańscy Ojcowie Założyciele śmiertelnie bali się Izby Reprezentantów, niosącej ze sobą groźbę populizmu, i dlatego utworzyli Senat, który miał hamować pospieszne i nieprzemyślane decyzje ustawodawcze, a tym samym stanowić przeciwwagę zarówno dla Izby Reprezentantów, jak i dla prezydenta. Z tego właśnie powodu senatorzy byli pierwotnie wybierani przez władze stanowe, a nie w drodze wyborów powszechnych. Zmieniło się to na początku dwudziestego wieku wraz z przyjęciem 17. poprawki do konstytucji. Senat przekształcił się wówczas w ciało, którego założyciele dziś z pewnością sami by nie rozpoznali.

Będąc prezydentem, Danny nieraz poczuł na własnej skórze, co znaczy sprzeciw izby wyższej Kongresu.

W trakcie jego drugiej kadencji Senat zablokował ważny pakiet ustaw finansowych, propozycję przeznaczenia dodatkowych środków na obronność oraz reformę systemu budownictwa społecznego, a wszystko

to za sprawą garstki obstrukcjonistów, którzy domagali się wprowadzenia niepotrzebnych poprawek przynoszących korzyść jedynie im samym. W którymś momencie senatorzy wstrzymali nawet finansowanie kilku agencji federalnych, włączając w to Narodową Radę ds. Stosunków Pracy, tylko po to, by jeden z nich mógł postawić na swoim. A w ciągu całych ośmiu lat prezydentury Daniela Senat zatwierdził jedynie 70% jego nominacji sędziowskich, co stanowiło marny wynik, zważywszy na to, że w przypadku Clintona, Reagana i obydwu Bushów wskaźnik ten wynosił ponad 90%.

W ciągu ostatnich czterech miesięcy konflikt jeszcze bardziej się nasilił.

Kandydaci prezydenta Foxa na szefów departamentów Pracy, Obrony i Transportu oraz Agencji Ochrony Środowiska zostali zablokowani, ponieważ Senat nigdy nie poddał tych nominacji pod głosowanie. Do tej bezprecedensowej sytuacji przyłożyło rękę kilku senatorów, z których każdy miał własne cele, ale wszyscy tak samo nie liczyli się z konsekwencjami. Senat odmówił nawet zatwierdzenia byłego członka Izby Reprezentantów nominowanego do Federalnej Agencji Finansowania Mieszkalnictwa.

To było jak policzek.

Nie dalej jak wczoraj prasa pisała o tym, że zatwierdzenie nowego prezesa Systemu Rezerwy Federalnej może napotkać trudności. Nie to miały nadzieję usłyszeć instytucje finansowe z Wall Street. Sama perspektywa komplikacji sprawiła, że indeks Dow Jones od razu stracił pięć punktów procentowych. Od dnia inauguracji telewizje informacyjne, publicyści i media społecznościowe nie zostawiły suchej nitki na żadnym z setki senatorów. Jak wykazało zeszlotygodniowe badanie opinii publicznej, tylko niespełna 12% społeczeństwa uważało, że Senat dobrze spełnia swoją funkcję.

Co więc mogło tak bardzo zainteresować Alexa? Danny musiał się dowiedzieć więcej.

- Mówiła pani, że Alex dostał to, co czytał, od brata Diane.

-Tak mi powiedział. Nie wiem nic na temat tego człowieka.

Ale wiem, że lektura tego notatnika zrobiła ogromne wrażenie na

Alexie. Był wyprowadzony z równowagi, wręcz wściekły, a to praktycznie nigdy mu się nie zdarzało. A dwa dni temu ktoś wszedł do jego mieszkania. Usłyszałam hałas na korytarzu i wyjrzałam przez wizjer w drzwiach.

- Kto to był?

- Biały mężczyzna w średnim wieku. Nie widziałam twarzy, ale napatrzyłam się na jego plecy i kark. Miał na szyi szerokie znamię naczyniowe. Był w mieszkaniu tylko kilka minut. - Przerwała na chwilę, po czym dodała: - Miał klucz.

- Może to ktoś z biura Alexa.

Kobieta pokręciła głową.

- To nie był żaden z jego pracowników. Wyszedł z mieszkania z notatnikiem w ręku. Niósł też dwie torby pełne książek dotyczących tych samych kwestii, które budziły niepokój Alexa. To nie jest coś, co czyta się dla rozrywki. Konwencje konstytucyjne, obstrukcja parlamentarna, historia Kongresu. Kupował te wszystkie książki w Politics and Prose.

Danny dobrze znał tę księgarnię. Wszyscy w Waszyngtonie ją znali.

-Wiem to, ponieważ sama je odbierałam w jego imieniu. Bez wątpienia szukał w nich czegoś konkretnego.

- Alex nie mówił nic na temat zawartości notatnika?

- Nie. Zachowywał to dla siebie. Myślę, że to jedna z cech, które we mnie cenil. Nie byłam ciekawska. Nie przekraczałam pewnych granic.

- Może to, co się wydarzyło, da się jakoś logicznie wytłumaczyć. Przecież jego żona mogła mieć klucz do mieszkania.

- Z pewnością. Ale mam jeszcze to.

Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła z niej łańcuszek ze złotym medalem w kształcie krzyża wpisanego w okrąg.



- Znalazłam to w śmieciach - powiedziała, wręczając mu wisiolek.

Tak samo jak Danny, Alex nie cierpiał biżuterii. Nie nosił nawet ślubnych obrączek. Pauline, która nie ruszała się z domu bez pierścionków, doprowadzało to do szału. Danny nie chciał jej w ten sposób okazać braku szacunku, wszelka biżuteria zwyczajnie go drażniła. Dlatego nie nosił żadnych pierścieni, łańcuszków ani nawet zegarka.

- Wie pani, co to może być?

Pokręciła głową.

- Znalazłam to nazajutrz po jego wyjeździe do Tennessee. Jakiś tydzień przed jego śmiercią. Kiedy wyjeżdżał, zajmowałam się jego mieszkaniem. Sprzątałam, pilnowałam, żeby po powrocie w łódź czekało na niego jedzenie. Zobaczyłam ten wisiolek w śmietniku. Nie wiem, dlaczego go stamtąd wyciągnęłam i dlaczego go zachowałam. Ale zamierzałam zapytać o niego Alexa, kiedy tylko nadarzy się okazja.

- A co z nieprzekraczaniem granic?

- Chyba w końcu je naruszyłam.

Danny czytał artykuły w prasie. Przed pięcioma dniami Alex wybrał się na spacer w lesie za swoim domem. Kiedy nie wrócił przed zmierzchem, Diane zaczęła się denerwować. Dwie godziny później szeryf i jego ludzie znaleźli ciało Alexa wyrzucone na brzeg rzeki. Sekcja zwłok nie wykazała żadnych śladów przemocy. Senator stanu Tennessee wpadł do rzeki i utonął. Można tylko spekulować, w którym miejscu się to stało. Jego śmierć była tak nagła, tak tragiczna i bezsensowna. Okoliczności zgonu mogły wprawdzie budzić pewne wątpliwości, zwłaszcza ze względu na brak jakichkolwiek świadków, ale ostatecznie na tych terenach podobne wypadki zdarzały się regularnie.

- Dlaczego uważa pani, że Alex został zamordowany? - zapytał.

- Dzień przed wyjazdem powiedział mi, że musi dopilnować, by nie wydarzyło się coś wielkiego. Wówczas także naruszyłam nasze zasady i spytałam, co ma na myśli.

Danny czekał cierpliwie.

- Znowu przybrał ten swój tajemniczy ton i odpowiedział: „Jeżeli sami staniemy się owcami, zjedzą nas wilki”.

- To słowa Benjamina Franklina.

- Wiem. Sam to powiedział. Pod moim naciskiem przyznał, że to ma związek z tym, co ostatnio czytał. Zostawił notatnik na swoim biurku, razem z wszystkimi książkami, o których wspominałam. Notatnik był oprawiony w brązową skórę, a na okładce miał wytłoczony ten sam symbol - tu kobieta wskazała ponownie na wisiołek. - To raczej nie wygląda na zbieg okoliczności, prawda?

Musiał przyznać jej rację.

- Człowiek, który był w jego mieszkaniu, zabrał ze sobą tylko ten notatnik i pozostałe książki. Nie wziął nic innego.

- I właśnie dlatego myśli pani, że to było morderstwo?

- Alex nie mógł po prostu wpaść do rzeki - stwierdziła. - To nie ma sensu. Ten człowiek, ten z kluczem do mieszkania, to dowód, że mam rację.

Trudno było się z tym spierać.

- Czego pani ode mnie oczekuje? - zapytał Danny.

- On był pańskim przyjacielem. Zawsze wypowiadał się o panu z wielkim szacunkiem. Ja też się z nim przyjaźniłam. Musimy się dowiedzieć, jak i dlaczego umarł. Jesteśmy mu to winni.

- Diane nic o pani nie wie?

- Nie sędzę. Nigdy nie zostałam u Alexa na noc i nie pokazywaliśmy się razem publicznie. To spokojny budynek, gdzie każdy pilnuje swojego nosa, więc nikt się nam nie naprzykrzał. A Alex nie należał raczej do ludzi budzących jakieś kontrowersje.

- Pomijając fakt, że chciał zrewolucjonizować Kongres.

- Kto by nie chciał? - odparła z uśmiechem. - Me nie zrobił wielkich postępów, zresztą sam pan wie. Wyobrażam sobie, że postrzegano go bardziej jako ekscentryka niż kogoś, kto stanowi realne zagrożenie.

To kolejny powód, dla którego jego stary przyjaciel nigdy nie mógłby zostać prezydentem. Wyborcy wołają kandydatów, którzy mają na koncie realne sukcesy.

- Nadal nie powiedziała pani, jak się nazywa.

- Taisley Forsberg.

- Zdaje sobie pani sprawę, że jeśli bliżej się tym zainteresuję, może na tym ucierpieć pani reputacja.

- Tak. Ale musimy poznać prawdę.

Być może. Aczkolwiek z wyjątkiem jej opowieści nie było żadnego dowodu, że w mieszkaniu Alexa pojawił się jakiś nieznajomy. Równie dobrze mogła to przecież zmyślić. Z drugiej strony Taisley Forsberg podsyciła w Dannym jego własne wątpliwości. Za jej sprawą powróciły myśli, które chodziły mu po głowie od chwili, gdy usłyszał te tragiczne wieści. Przez ostatnich kilka minut jego wewnętrzny radar działał na pełnych obrotach, a mimo to nie wykrył w jej słowach ani śladu fałszu czy ubarwiania prawdy w celu wzmocnienia własnych argumentów. Przeciwnie, wszystko, co od niej usłyszał, wydawało się co najmniej prawdopodobne.

Ta kobieta miała rację. Alex Sherwood nie wpadłby ot, tak do rzeki.

A ten notatnik od brata Diane, zawierający zapiski dotyczące jakichś fundamentalnych zmian? Co to może do cholery znaczyć?

Danny przypomniał sobie, że sprzed chwilą otrzymał zaproszenie do domu Sherwoodów. Może powinien jednak z niego skorzystać.

- Jak się z panią skontaktuję? - zapytał.

Kobieta wręczyła mu wizytówkę, z której wynikało, że jest prawnikiem w jednej z waszyngtońskich kancelarii. Danny znał tę firmę.

- Na odwrocie jest numer mojej komórki.

Nadał trzymał w ręku wisiołek.

- Mogę to na razie zatrzymać?

- Należy do pana.

Otworzyła drzwi, szykując się do wyjścia.

- Dokąd pani idzie? - zapytał Danny, łapiąc ją za rękę.

- Lepiej, żeby nie widziano nas razem.

- Jestem dorosły, poradzę sobie. Proszę powiedzieć, gdzie mam panią podrzucić. Mówiłem poważnie - dodał, uznając, że ona także zasługuje, by traktować ją jak dorosłą. - Niewykluczone, że Diane Sherwood będzie musiała się dowiedzieć o pani i Alexie.

Na jej twarzy pojawił się cień smutku, oczy załśniły, a po policzkach w

końcu pociekły łzy.

- Alexa już nie ma. I niezależnie od tego, co jej zdaniem było między nami, kiedy jeszcze żył, mam nadzieję, że zależy jej na tym, by się dowiedzieć, jak i dlaczego umarł jej mąż.

ROZDZIAŁ 5

CASSIOPEIA ZANURKOWAŁA W GĘSTWINE, zgodnie z instrukcjami Cottona. Poruszała się na tyle głośno, żeby ściągnąć na siebie całą uwagę snajpera.

Po raz kolejny wkraczali razem do akcji. Jako zespół.

Oboje z Cottonem byli uzależnieni od adrenaliny. Kiedy próbowali przekonywać, że jest inaczej, tylko oszukiwali samych siebie. Ta konkretna misja szczególnie zainteresowała Cottona, który przy okazji przybliżył jej trochę historię swojej rodziny z Georgii, łącznie z jej powiazaniami z amerykańską wojną domową oraz Instytutem Smithsona. Cassiopeia chciała wciąż dowiadywać się jak najwięcej o jego przeszłości, więc gdy zaproponował, żeby pojechała razem z nim, nie wahała się ani chwili.

Powietrze przeszył huk strzału.

Cassiopeia stanęła w pół kroku.

To nie był chyba jednak najlepszy pomysł, żeby robiła za przynętę. Zawsze istniała szansa, że dosięgnie ją jakaś zabłąkana kula, gdzieś w pobliżu mógł też czaić się drugi strzelec. Teraz żałowała, że droczyła się z Cottonem. Powinna była mu powiedzieć od razu, że jest przy piecu i pracuje nad tym, by go stamtąd wyciągnąć. Został przecież zaatakowany, a guz na jego czole wyglądał dość poważnie. Właściwie powinien na niego rzucić okiem lekarz, ale Cassiopeia wiedziała, że nie ma na to najmniejszych szans. To nie w stylu Cottona.

Podczas lotu z Waszyngtonu opowiedział jej o przodkach swojej matki. Należeli do starego ziemiaństwa, które popierało przedwojenne Południe i walczyło po stronie Konfederacji. Z kolei rodzina jego ojca pochodziła z północnej części Georgii, a wśród jej członków trafiali się zarówno zwolennicy Północy, jak i Południa. Ich historia była znacznie

mniej przejrzysta.

Rodzice Cassiopei mieli korzenie iberyjskie. Zawsze zależało im na tym, aby ich córka знаła i doceniała swoje kulturowe dziedzictwo, choć oni sami częściowo je odrzucili, wybierając zupełnie inną ścieżkę niż przodkowie. Ona w ostatecznym rozrachunku także dokonała pewnych wyborów, jednych lepszych, innych gorszych, i nieraz musiała się mierzyć z demonami przeszłości. W tym ostatnim bardzo pomógł jej Cotton. Z początku próbowała się od niego odcinać i wypierała się swoich uczuć, ale koniec końców zrozumiała, że jej przeznaczenie i jego wydają się ze sobą nierozzerwalnie splecione. Dziś już ani trochę jej to nie przeszkadzało.

On był naprawę wyjątkowym człowiekiem.

Przeszli razem bardzo wiele. Niejeden raz ratowali sobie wzajemnie życie. On okazywał jej wyłącznie miłość i szacunek, a ona odwdzięczała się tym samym. Jeśli miałaby to być oznaka słabości, to Cassiopeia w pełni akceptowała taką słabość.

Ruszyła dalej przez zarośla, robiąc jak najwięcej hałasu, żeby ściągnąć na siebie ogień snajpera, po czym po cichu zmieniając kierunek marszu.

Rozległ się kolejny strzał i kula świsnęła pomiędzy drzewami kilka kroków za nią. Fortel chyba okazał się skuteczny. Cotton ruszył szlakiem prowadzącym na szczyt wzniesienia, a ona właśnie dostrzegła przed sobą jeszcze jedną drogę na górę, również wiodącą do kryjówki Strzelca. Postanowiła spróbować podejść od drugiej strony i wspólnie z Cottonem wziąć napastnika w kleszcze.

Jej życie z pewnością nie było nudne. Mieszkała w dworku we Francji, gdzie odbudowywała trzynastowieczny zamek z użyciem wyłącznie narzędzi i materiałów dostępnych osiemset lat temu. Jej rodzinny biznes prężnie się rozwijał, przynosząc setki milionów euro zysku rocznie. Ojciec zostawił jej całą firmę, ponieważ najwyraźniej wierzył, że jego córka, i jedyna spadkobierczyni, da sobie z wszystkim radę. I nie pomylił się. Od czasu do czasu pokazywała się w siedzibie firmy, żeby pozostawać na bieżąco, ale w dużej mierze pozwalała swojej kadrze kierowniczej prowadzić interesy wedle uznania.

Podniosła z ziemi dwa spore kamienie i cisnęła je w lewo, żeby odwrócić uwagę snajpera. Wylądowały z łoskotem, a sekundę później w tę samą stronę padł strzał. Wykorzystała ten moment, żeby nieopstrzeżenie podbiec do stóp wzniesienia. Nie było tam wyraźnej ścieżki, a zbocze okazało się na tyle łagodne, że nie musiała nawet zbytnio zwalniać tempa. Przywarła do ziemi i wykorzystując naturalną osłonę, jaką zapewniała roślinność, ruszyła w górę. Trochę ucierpiała na tym jej garderoba, ale na szczęście miała na sobie jeansy, ciężkie buty i mocną koszulę, a jej ciemne długie włosy były upięte w kok, dzięki czemu kosmyki nie opadały jej na twarz. Czoło miała lepkie, oczy szczypały od słonego potu. Dobrze, że zrezygnowała dzisiaj z makijażu, chociaż i tak zazwyczaj malowała się bardzo oszczędnie.

Wiedziała, że to szczęście znaleźć w życiu kogoś takiego jak Cotton. Był od niej o kilka lat starszy, miał złotoblonde włosy, szerokie ramiona i poważną, godną zaufania twarz. Skóra na jego policzkach wciąż pozostawała jędrna i raczej nie groził mu drugi podbródek. W jego zielonych oczach tańczyły radosne iskierki, czym niezmiennie ją urzekał. Jak również tym, że tak skrętnie próbował ukryć głębię swoich uczuć, choć ostatnio oboje mieli z tym coraz większe trudności. W jego ruchach, przemyślanych i wyważonych, nie dostrzegła cienia pretensjonalności. Był kiedyś taki czas, kiedy nie chciała, by ktokolwiek zakłócał jej samotność. Kiedy jej serce się buntowało i złościły ją jej własne słabości. Ale po tym wszystkim, co między nimi zaszło, zrozumiała, że nie może żyć bez Cottona, i postanowiła, że już nigdy więcej nie będzie sobie wmawiać, że jest inaczej.

W normalnych warunkach trudno byłoby go ruszyć z Kopenhagi. Nie ciągnęło go już do ratowania świata tak jak kiedyś. Dawno temu zakończył swoją przygodę z jednostką Magellan Billet, gdzie przez dwanaście lat służył jako jeden z agentów specjalnych pod rozkazami Stephanie Nelle. Jak czasem mawiał: „teraz niech ktoś inny się tym zajmie”. Ale niektóre zlecenia nadal budziły jego zainteresowanie, choć coraz częściej była to po prostu kwestia pieniędzy. W końcu trzeba za coś żyć, a na posiadane przez niego umiejętności zawsze jest popyt.

W tym przypadku skusił go jednak przede wszystkim bezpośredni związek tej sprawy z historią jego rodziny.

A głównie zjednym, konkretnym przodkiem: Angusem Adamsem.

Który, jak się dowiedziała, był szpiegiem Konfederacji i również posługiwał się pseudonimem Cotton.

Ośłoniła ręką oczy przed słońcem i wolno posuwała się do przodu. Na jej ramionach lśniły drobne kropelki potu. Tymczasem człowiek kryjący się na górze przestał na razie strzelać. Cassiopeia zakładała, że Cotton powinien już dotrzeć na drugą stronę wzniesienia, dlatego zatrzymała się i przez chwilę leżała nieruchomo na rozgrzanej ziemi, dając mu czas, żeby wysunął się na prowadzenie.

Niewiele wiedziała o Instytucie Smithsona, poza tym że organizacja ta posiada jeden z największych na świecie zbiorów artefaktów i źródeł historycznych, a jej działalność cieszy się w środowisku naukowym ogromnym szacunkiem. Sama nazwa instytutu kojarzyła się z historią, tajemnicą i przygodą. I oto właśnie za jego sprawą znaleźli się w samym środku jakiejś kolejnej intrygi. Na razie jednak nie wyglądało to tak efektownie jak w książkach i w filmach.

Leżała na brzuchu, na spalonej słońcem ziemi, kryjąc się wśród ciężkich, gorących liści, na których roiło się od robaków, a nad jej głową ktoś strzelał do niej z karabinu.

Czy mogłaby wziąć z Cottonem ślub?

Cóż za osobliwa myśl, zważywszy na okoliczności.

A jednak ostatnio coraz częściej przychodziło jej to do głowy. Może to nic więcej jak tylko fantazja. Wszyscy miewają fantazje, prawda? Dlaczego więc ona miałaby być wyjątkiem? Nigdy wcześniej nie zastanawiała się nad małżeństwem, ale to pewnie głównie dlatego, że nie spotkała dotąd nikogo, kto mógłby zaoferować jej obietnicę długoterminowego szczęścia. Teraz to się zmieniło.

W tej chwili jednak priorytetem było schwywanie tego snajpera. A co się wydarzy potem? Kto to wie? To właśnie jest najpiękniejsze, kiedy rozpoczyna się nową przygodę, czy to w życiu, czy w miłości.

Nigdy nie wiadomo, jak będzie finał.

ROZDZIAŁ 6

COTTON ODDALIŁ się od pieca i szybkim krokiem ruszył w stronę szlaku prowadzącego na szczyt wzniesienia, gdzie ukrywał się strzelec. Otrząsnął się już całkiem ze zmęczenia, które ogarnęło go, gdy siedział w zamknięciu. Cassiopeia pobiegła w przeciwnym kierunku, skutecznie odciągając uwagę snajpera. Przepocone, brudne ubrania kleiły mu się do skóry, a unoszący się w powietrzu zapach suchej ziemi przywodził na myśl farmę jego dziadka. Jego matka odziedziczyła to 120-hektarowe gospodarstwo, mieszkała tam do dziś i nadal uprawiała cebulę vidalia, która swój słodki smak zawdzięczała niskiej zawartości siarki w glebie. Było to oficjalne warzywo stanu Georgia. To wszystko przypomniało mu, że powinien odwiedzić matkę. Od dawna się z nią nie widział, a ostatnio nawet coraz rzadziej zdarzało mu się dzwonić. Ona oczywiście nigdy się nie skarżyła, ponieważ to nie leżało w jej naturze, ale Cotton wiedział, że już czas najwyższy złożyć wizytę kobiecie, którą tak bardzo kochał.

Skrył się pod sztywnymi gałęziami podniszczonego drzewa i na chwilę przystanął. W kierunku Cassiopei padły kolejne strzały. Cotton dostrzegł wąską ścieżkę biegnącą po stromym zboczu. Po obu stronach była porośnięta wysokimi drzewami. Cały czas brał pod uwagę, że napastników może być więcej, ale jak dotąd nic na to nie wskazywało - wszystkie strzały zostały oddane z tego samego miejsca. Wydarzenia ostatnich kilku godzin wydawały się dość niezrozumiałe.

Podążając za kolejnymi wskazówkami, odnalazł tajny skład złotych monet, które ponoć zakopano tu w drugiej połowie dziewiętnastego wieku. Nasuwał się wniosek, że w tym samym czasie ktoś inny również szukał tego samego skarbu albo Cotton po prostu miał pecha i znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Ale czy to możliwe, że

ktoś akurat przebywał w pobliżu drzewa stanowiącego punkt orientacyjny na jego mapie?

Pod warunkiem, że ten ktoś również wiedział, gdzie go szukać.

Od kilku minut nie padł żaden strzał. Malone postanowił wykorzystać okazję i pomknął w górę, zgięty wpół, po luźnych kamieniach i łupkach. Idąc z wyciągniętą przed siebie bronią i kryjąc się za drzewami, czuł się jak szeryf na Dzikim Zachodzie ścigający bandytę. Tego rodzaju podchody różniły się od jego zwyczajowych metod działania. Na co dzień był raczej miejskim kowbojem.

Zatrzymał się i nadstawił uszu, rozglądając się za strzelcem. Wszędzie naokoło brzęczały muchy, w pobliskich zaroślach szeleściły ptaki. Cotton wciąż miał w ustach zatechły, metaliczny posmak kurzu, a w nozdrzach czuł jego zapach. Nagle po swojej lewej stronie i kawałek wyżej dostrzegł jakiś ruch. Dyskretnie wychylił głowę i zobaczył przed sobą skupisko głązów, które zapewniały doskonałą osłonę. Na szczęście Cotton podchodził od tyłu, więc powinien wziąć snajpera z zaskoczenia.

Rozległ się huk kolejnego strzału.

Malone miał nadzieję, że Cassiopeia panuje nad sytuacją. W końcu umiała o siebie zadbać. Nikomu nie ufał bardziej niż jej. Byli razem tak długo, że znali już wszystkie swoje mocne i słabe strony. Przeżyli trochę spektakularnych wlotów i upadków, ale teraz wreszcie wszystko się między nimi ułożyło. Przy całej swej nieobliczalności miała w sobie determinację, którą zawsze w niej podziwiał. Oboje byli zdeklarowanymi samotnikami, po mistrzowsku umiejącymi bronić się przed niechcianymi uczuciami. Ona rezydowała na południu Francji i jak mało kto znała się na historii i architekturze. On mieszkał w Kopenhadze, w skromnym mieszkanku nad swoją księgarnią na Hojbro Plads. Zarabiał nie najgorzej, zwłaszcza że co jakiś czas powracał do swojej dawnej profesji. Jak dotąd żadne z nich nie poruszyło nigdy tematu małżeństwa, ale gdyby kiedyś się na to zdecydowali, jedno z nich musiałoby poważnie zmienić styl życia.

Na głązach odbijał się czyjś cień. Malone opuścił swoją kryjówkę i ze schyloną głową podbiegł dalej, starając się nie szurać nogami na

piaszczystej ścieżce. Gęsto rosnące drzewa i krzewy pozwalały mu przez cały czas pozostawać w ukryciu, choć teren był skąpany w słońcu. Szlak, którego się trzymał, wyglądał na mocno wydeptany, być może często korzystali z niego miłośnicy pieszych wędrówek. Prowadził na sam szczyt wzgórza, skąd z pewnością rozciągała się piękna panorama okolicy. Wzdłuż ścieżki gdzieś rosnęły żółte żonkile. Szum lecącego wysoko na niebie samolotu zlewał się z bzyczeniem szerszenia. Malone ostatnie kilka kroków pokonał, czołgając się po trawie, drapiąc ziemię paznokciami. Gdy dotarł na szczyt, przywarł do rosnącej nisko grubej, powyginanej gałęzi.

Po swojej lewej widział Strzelca.

Okazała się nim smukła, ciemnowłosa kobieta o orzechowym kolorze skóry. Była ubrana w jeansy, tenisówki i zgniętą koszulę i miała najwyżej dwadzieścia lat. Leżała wyciągnięta jak struna na brzuchu, a w rękach ścisnęła szary matowy karabin z długą lufą. W pełni koncentrowała się na tym, co się dzieje na dole, zupełnie zapominając o pilnowaniu swoich tyłów.

Duży błąd.

- Leż spokojnie i nie ruszaj się - powiedział Malone.

Zamarła.

- Nie odwracaj się, dopóki ci nie każę.

Odciągnął kurek pistoletu, żeby dać do zrozumienia, że nie żartuje.

- Niech mnie pan nie zabija.

- Daj mi jeden dobry powód.

- Nie chciałam pana trafić. Tylko przestraszyć.

Kątem oka widział, jak z gęstwiny po drugiej stronie wzniesienia wyłania się Cassiopeia i kieruje w jego stronę. Z wyrazu jej twarzy wnioskował, że jest równie zaskoczona jak on.

- Z każdą chwilą robi się coraz dziwniej - szepnął.

Kiwnięciem głowy przyznała mu rację.

- Puść karabin - powiedział głośno. - Potem wolno się odwróć. Ale ręce cały czas trzymaj na widoku.

Młoda kobieta wykonała polecenie. Leżała teraz na plecach z wysoko

uniesionymi rękami i patrzyła na nich. Kiedy oboje podeszli trochę bliżej, Malone zapytał:

- To ty zaatakowałaś mnie dziś rano? I wrzuciłaś mnie do tego starego pieca?

-Ja tylko pomagałam.

- Nie każesz mi chyba pytać, prawda?

- To mój dziadek pana wytropił, a potem znokautował. Razem zanieśliśmy pana do zbiornika.

- Dlaczego to zrobił? - odezwała się Cassiopeia.

- Taką ma pracę.

Malone kucnął przy dziewczynie.

- Jesteśmy agentami federalnymi. Twój dziadek na mnie napadł, a ty do nas strzelałaś. To ciężkie przestępstwa. Chcesz iść do więzienia?

Potrząsnęła energicznie głową, nadal trzymając ręce w górze.

- Więc sugeruję, żebyś zaczęła mówić.

- On jest strażnikiem. Jego zadaniem jest ochrona kryjówek.

- Czyli złotych monet?

Skinęła głową.

- Między innymi. Jego ojciec też był strażnikiem, a przed nim jego ojciec.

Malone zerknął na Cassiopeję. Nie miał wątpliwości, że dziewczyna mówi prawdę.

- Te monety bardzo długo leżały w ziemi. Sto trzydzieści albo sto czterdzieści lat. Twierdzisz, że przez cały ten czas ktoś ich pilnował?

- Takie jest zadanie strażnika. Ja miałam być następną.

- Czy twój dziadek kazał ci do nas strzelać?

- Kazał zostać tu na straży. Mówił, że jeśli się pan stamtąd wydostanie, mam dopilnować, żeby jak najszybciej opuścił pan ten teren. Nie zamierzałam zrobić panu krzywdy.

- A co by się stało, gdybym się nie uwolnił?

- Miałam otworzyć włącznik o zmierzchu. Cały dzień wkurze to zwykle w zupełności wystarcza.

- Przed nami byli tu inni? - zapytała Cassiopeia, uprzedzając Malone'a.

- Raz na jakiś czas ktoś się zjawia. Głównie poszukiwacze skarbów. Ale po kilku godzinach w tej puszczy sami się stąd wynoszą.

- Twój dziadek ma monety i moje rzeczy?

Dziewczyna skinęła głową.

- Zabrał wszystko do domu.

Malone wstał i dał jej znak, żeby też podniosła się z ziemi.

- Zaprowadzisz nas do niego. I to już.

ROZDZIAŁ 7

GODZ. 18:00

DANNY ZAWSZE PODZIWIAŁ dom Alexa Sherwooda, który przypominał mu stare górskie chaty w Tennessee. Większość z nich już dawno przestała istnieć, ale przestronny budynek należący do Alexa nie dał się upływowi czasu. Masywna drewniana konstrukcja z ceglano-kamienną fasadą sprawiała wrażenie, jakby wyrastała bezpośrednio z zalesionego wzgórza. Na nieco zmatowiałej, drewnianej podłodze w salonie leżały grube dywany, wysoki sufit zdobiły odkryte krokwie, a kamienny kominek miał tak duże palenisko, że mogłoby w nim stanąć kilka osób. Dziś nie palił się na nim ogień, ale zimą, po rozpaleniu, było tu zawsze ciepło i przytulnie. Za przeszkloną ścianą rozciągał się taras upstrzony licznymi paprociami i innymi roślinami. Tu także zamontowano palenisko, a z dwóch huśtawek i foteli na biegunach z wysokimi oparciami można było podziwiać pocztówkowy wręcz widok na pobliskie pasmo Appalachów, góry Great Smoky. Dziadek Alexa kupił tę ziemię za bezcen przed stu laty, a potem jego syn, również za grosze, wybudował na niej dom. Czasy się jednak zmieniły i teraz już nie każdego było stać na zakup działki w Blount County. Wiele koncernów takich jak Alcoa, Denso czy Toyota, które mają dziś swoje siedziby w tym regionie, przyczyniło się do gospodarczego rozkwitu hrabstwa, a co za tym idzie, do wzrostu cen na rynku nieruchomości.

Wystrój wnętrza miał charakter rustykalny. Dobry gust i elegancja spotykały się tu z głębokim przywiązaniem do tradycji. Swego czasu redaktor naczelny magazynu „Architectural Digest” chciał zaprezentować w swoim piśmie to niezwykle stylowe wnętrze, lecz Alex odmówił. Jak mawiał: „Fajnie mieć taki dom, ale niekoniecznie trzeba

się tym przechwalać”.

Po wysadzeniu Taisley w Maryville Danny odbył półgodzinną podróż do domu Alexa w nieustających strugach wiosennego deszczu. W Blount County nigdy nie brakowało wody za sprawą rzeki Little Tennessee, niezliczonych potoków oraz systemu sztucznych jezior utworzonych na zachodniej granicy hrabstwa.

Na kameralnym spotkaniu zjawilo się około pięćdziesięciu osób. Danny od razu zwrócił uwagę na nieobecność Luciusa Vance'a i delegacji Izby Reprezentantów. Przedstawiciele Senatu również zniknęli. Przybył za to gubernator, stary przyjaciel, który służył jako sekretarz stanu Tennessee w czasach, gdy urząd gubernatora piastował Danny. Wspólnie stoczyli niejedną polityczną batalię, nierzadko z Alexem u boku.

Lawirując pomiędzy grupkami żałobników, Danny dotarł do jadalni, ale nigdzie nie widział Diane. Przywitał się ze znajomymi, z niektórymi zamienił parę słów. Obecność byłego prezydenta musiała budzić zainteresowanie, lecz nikt nie wydawał się tym faktem specjalnie przejęty. Długi dębowy stół był cały zastawiony potrawami przyniesionymi przez gości. Jedzenia zebrało się tyle, że spokojnie starczyłoby nie tylko na ten wieczór, ale i na najbliższy tydzień. Danny cieszył się, że nie podąży już za nim krok w krok zastęp asystentów, a jego każdego ruchu nie obserwują uzbrojeni goryle. Nikt nie chodził za nim z walizką, za pomocą której można rozpocząć globalną wojnę nuklearną. Nie musiał się już martwić, że każde jego słowo zostanie skrzętnie odnotowane przez dziennikarzy. Znow był po prostu Danym Danielsem, zwykłym obywatelem.

Kiedy oddalił się od reszty towarzystwa i stanął nieco na uboczu, podszedł do niego gubernator i szepnął:

- Jakie to uczucie nie przejmować się już żadnymi wyborami?

- Wcale nie takie przyjemne, jak ci się wydaje - wyznał Danny, również ściszym głosem. - Muszę porozmawiać z Diane. Wiesz może, gdzie się ukrywa jej wysokość?

- Przyjmuje audiencje w swoim gabinecie.

Danny ego ani trochę nie zdziwił ten sarkazm. Wiedział, że ten

człowiek również nie należy do wielbicieli Diane Sherwood.

O dach wciąż stukały krople deszczu.

- Pogadamy później - powiedział i wyszedł z jadalni.

ZNALAZŁ JĄ W POMIESZCZENIU wyłożonym sosnową boazerią, którego wystrój odzwierciedlał zainteresowania właścicielki pragnącej uchodzić za znawczynię historii. Ściany zdobiły górskie krajobrazy, a na stołach leżały przeróżne lokalne pamiątki i eksponaty. Diane stała przy oknie naprzeciwko drzwi, wpatrując się w dziką przyrodę na zewnątrz. Wciąż miała na sobie tę samą czarną suknię co na pogrzebie, zdjęła tylko woal. Drzwi były otwarte, ale Danny przed wejściem i tak lekko zapukał w futrynę.

Odwróciła się i gestem zaprosiła go do środka. W pokoju przebywały też dwie inne kobiety, ale szybko się wycofały, zostawiając ich samych. Czuł się szalenie niekomfortowo, ponieważ nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek odbył z Diane rozmowę w cztery oczy. Zawsze spotykali się w większym gronie, w towarzystwie współmałżonków, co stanowiło rodzaj bufora. Dziwne, że w ten sposób się przy niej czuł, skoro przecież zawsze był tak blisko z Alexem. Ale Pauline też nigdy nie przepadała za Diane.

- Czym sobie zasłużyłam na ten zaszczyt, panie prezydencie? - odezwała się.

Z łóżka w rogu pokoju podniósł się miniaturowy pudeł i przez chwilę próbował zwrócić na siebie uwagę Diane, po czym stukając łapami o podłogę, pobiegł się schować pod stojącym nieopodal krzesłem.

- Zaprosiłaś mnie - przypomniał.

- Nie spodziewałam się, że przyjmiesz zaproszenie.

- Zmarł mój przyjaciel.

Jej niebieskie oczy przesywały go na wylot.

- Tak. To prawda.

Umiał czytać między wierszami: Do rzeczy.

- Chcę cię o coś zapytać. Nie masz żadnych zastrzeżeń do oficjalnego

wyjaśnienia przyczyny śmierci Alexa?

- A ty masz? - odparła z dziwnym wyrazem twarzy.

- To nie jest odpowiedź.

Wolno odsunęła się od poznaczonego kroplami okna.

- Masz rację. Ale czy wypada pytać o coś takiego wdowę w dzień, kiedy pochowała swojego męża?

- To bardzo proste pytanie, a ty unikasz odpowiedzi.

Posłała mu lodowate spojrzenie.

- Alex tak cię podziwiał. Aż niedobrze się robiło. Wiesz, że ja zawsze uważałam cię za durnia.

Na moment wezbrał w nim gniew, ale dawno temu nauczył się nie łykać takiej trefnej przynęty.

- Słyszałem gorsze rzeczy na swój temat.

- Nie wątpię - odparła z zimnym uśmiechem. - Ale wiedz, że nie głosowałam na ciebie ani razu.

Danny naprężył całe ciało, jak zawsze przy tego typu konfrontacjach.

- Właściwie mam gdzieś, co o mnie myślisz. Chcę tylko wiedzieć, czy okoliczności śmierci Alexa nie budzą w tobie żadnych wątpliwości.

Wzruszyła ramionami.

- Wpadł do rzeki i utonął. Nie ma tu czego roztrząsać. Nikogo przy tym nie było. Nie ma powodów przypuszczać, że wydarzyło się coś podejrzanego. Media walcowały to przez cały ostatni tydzień. Gdyby ktoś coś wiedział, to już dawno by się z tym ujawnił.

Wszystko to brzmiało bardzo rozsądnie. Danny postanowił zmienić taktykę.

- Podobno Alex wahał się, czy powinien za dwa lata startować w kolejnych wyborach. Czy to prawda?

Pokiwała głową.

- Rozmawialiśmy o tym. Chcieliśmy wreszcie pojeździć po święcie, trochę się rozerwać. Myślę, że nie mógł się już doczekać emerytury.

Taisley twierdziła co innego.

- Rozumiem więc, że między wami wszystko było w porządku?

Popatrzyła na niego pytająco.

- A czemu miałoby być inaczej?

Czas przestać silić się na uprzejmość.

- Po prostu zastanawiam się, czy w końcu nie uznał, że ma dość twojej czarującej osobowości.

Podeszła do dębowego biurka stojącego po przeciwnej stronie pokoju, pomiędzy dwoma zamglonymi oknami.

- Skoro jesteśmy tu tylko ty i ja, a ty postanowiłeś grać w otwarte karty, czy mogę również pozwolić sobie na szczerość?

- Oczywiście.

- Mój mąż kochał mnie, a ja kochałam jego. Bardzo długo byliśmy parą i zamierzaliśmy nią pozostać. Mogłabym nadmienić, że twoje małżeństwo, w przeciwieństwie do naszego, się rozpadło. Alex mi powiedział.

- A dlaczego nagle interesuje cię moje małżeństwo?

- Ważniejsze wydaje się pytanie, dlaczego moje małżeństwo interesuje ciebie. O ile pamiętam, moje zdanie nigdy zbytnio cię nie obchodziło.

Wiedział, do czego odnosi się ta aluzja. Chodziło o moment, kiedy ich stosunki całkiem się popsuły. Zdarzyło się to w połowie jego pierwszej kadencji. Właśnie zwolniło się miejsce w Sądzie Najwyższym i Diane chciała, żeby nominację otrzymał Alex. W tym celu wysłała do Białego Domu list, który Danny pokazał swojemu przyjacielowi.

- Wiedziałem o tym - powiedział Alex, oddając mu kartkę. - Jest absolutnie przekonana do tego pomysłu.

-A ty?

- Wiesz, co sędzę o sędziach w togach. Banda padlinożerców. Nie mam ochoty być jednym z nich.

Danny uśmiechnął się, ponieważ w pełni podzielał krytyczną opinię przyjaciela.

-Jak to przyjmie twoja żona?

-Jakoś to przeżyje.

- Dobrze wiesz, że Alex wcale nie chciał zostać sędzią Sądu Najwyższego.

- Alex sam nie wiedział, czego chce. Dlatego ja podejmowałam za

niego najważniejsze decyzje.

Jej ton się zmienił, z posępnego stał się bardziej zaczepny. Zastanowił się nad tym, co powiedziała. Alex Sherwood może i mógł wydawać się przesadnie miły, ale nie był pantoflarzem. Zawsze miał jednak wielką słabość do tej kobiety. Rzadko poruszali ten temat w rozmowie, w końcu nigdy nie należy krytykować cudzej żony.

- To już bez znaczenia - powiedziała. - Alex odszedł. Ja zostałam wdową, ty jesteś byłym prezydentem. Polityka się skończyła. Przyszł czas, żebyśmy oboje usunęli się w cień.

Wycieczki osobiste nie robiły na nim wrażenia, ale sugerując, że przestał się liczyć, naprawdę mu dopiekle. Postanowił więc sam wbić jej jakąś szpilę.

- Jak wam się układało z Alexem? Słyszałem, że od dawna prawie nie bywałaś w Waszyngtonie.

- Nie przypuszczałam, że aż tak się interesujesz moim życiem.

- Zacząłem dopiero po nagłej śmierci twojego męża.

Danny wcale nie chciał, żeby zabrzmiało to jak oskarżenie, ale ta kobieta miała talent do wyzwalania w nim najgorszych instynktów. Wiele razy zastanawiał się, dlaczego Alex Sherwood, porządny człowiek z Tennessee, ożenił się z taką wredną babą. Na pewno nie dla pieniędzy - jej rodzina była bez grosza. Nie mogło chodzić też o wpływy, bo i pod tym względem nie miała nic do zaoferowania. Charakter? Raczej nie, chyba że Alex wyjątkowo cenił sobie opryskliwość. Być może zdecydował jej wygląd. Miała regularne rysy twarzy, nieduży nos, wysokie kości policzkowe i ładnie wyprofilowany podbródek. Gęste rdzawobrazowe włosy lekko muskały kark i smukłą szyję, a nieskazitelnie gładka skóra świadczyła o tym, że żyje w miejscu, gdzie jest zdrowe, czyste powietrze. Jej uroda niewątpliwie robiła wrażenie. Alex sam był nieznośnie wręcz przystojny i w zestawieniu z nim niewiele kobiet w tym wieku wyszłoby obronną ręką. Ale Diane zdecydowanie się do nich zaliczała. Może jednak chodziło raczej o jej pewność siebie? Zawsze roztaczała wokół siebie aurę gwiazdy filmowej i z pewnością nie była głupia. W końcu miała dyplom z historii Ameryki.

- Nie wszystko, czym się zajmuję, dotyczy kariery mojego męża - powiedziała. - Zasiadam w kilku komisjach, jedną z nich jest Komisja Doradcza Bibliotek Instytutu Smithsona. Z uwagi na liczne obowiązki dużo jeżdżę po kraju, dlatego rzadko mogę odwiedzać Waszyngton. Alex to rozumiał. Sam mnie zachęcał do aktywności.

Co w kontekście jego znajomości z Taisley nawet nie zaskakiwało.

- Nie byłam w Waszyngtonie od kilku miesięcy - kontynuowała. - Ale wbrew temu co twierdzisz, przyjeżdżałam co najmniej dwa razy w roku na zebrania w Instytucie Smithsona. Jutro jadę, żeby zająć się mieszkaniem Alexa. To nie będzie przyjemna wizyta.

Jej twarz była napięta i nieruchoma jak maska. Próbował analizować jej odpowiedzi, przez cały czas zadając sobie pytanie, po co właściwie to robi. Przecież i tak nie zamierzał ani słowem wspomnieć o tej drugiej kobiecie. Nic dobrego by z tego nie wynikło, a już na pewno nie dla Alexa. Może więc powinien po prostu się pożegnać. Już chciał zbierać się do wyjścia, gdy zauważył coś na podłodze pod oknami. Za biurkiem leżały dwie torby pełne książek. Widział tytuł tomu znajdującego się na wierzchu w jednej z nich.

Brawura polityczna: Zgromadzenie Narodowe i poprawki do konstytucji.

Jakie tematy ostatnio pochłaniały Alexa według relacji Taisley? „Konwencje konstytucyjne, obstrukcja parlamentarna, historia Kongresu”.

W drugiej torbie na samej górze leżał brązowy skórzany notatnik. Na oko jakieś piętnaście na dwadzieścia centymetrów.

Na okładce widniał krzyż wpisany w okrąg.

Dokładnie tak jak mówiła Taisley.

Kto by się spodziewał?

Ale skąd te książk się tutaj wzięły? Diane sama przyznała, że od dawna nie była w Waszyngtonie, a Alex trzymał przecież notatnik u siebie na biurku. Zaraz jednak przypomniało mu się jeszcze coś, co usłyszał od Taisley.

Człowiek, który wszedł do mieszkania Alexa, miał klucz.

„Spokojnie, Columbo”, pomyślał Danny.

Postanowił wykonać kolejny krok. Wyciągnął z keszeni wisiorek i pokazał go Diane.

- Skąd to masz? - spytała, wyraźnie zaskoczona.

- Alex wpadł do mnie kilka dni przed śmiercią. Niechący zostawił ten wisiorek. Zamierzałem mu go zwrócić, ale nie miałem już okazji.

Kłamstwo nie budziło żadnych wątpliwości, ponieważ ta wizyta rzeczywiście miała miejsce. Widzieli się wtedy po raz ostatni. Diane włożyła rękę pod kołnierz sukni i wydobyła łańcuszek, na którego końcu wisiał identyczny złoty kżyż w okęgu.

- To krzyż słoneczny - powiedziała. - Starożytny symbol pomysłności. Podobał mi się, dlatego zamówiłam po jednym dla siebie i Alexa.

- W takim razie powinienem ci to oddać - stwierdził, wręczając jej naszyjnik.

Diane przez chwilę wpatrywała się bez słowa w wisiorek.

- Teraz rozumiem, skąd masz te wszystkie informacje - odezwała się w końcu. - Powinna być się domyślić, że będziecie o tym rozmawiać.

Postanowił nie wyprowadzać jej z błędu.

- Wiesz - ciągnęła - nie ma żadnego powodu, żebyśmy byli do siebie wrogo nastawieni. Podejrzewam, że już nigdy więcej się nie spotkamy, więc może spróbujemy rozstać się jako... może nie od razu przyjaciele, ale jako dwoje ludzi, którzy kochali Alexa Sherwooda.

Stała przed nim, wysoka i majestatyczna, z wypiętą piersią i podniesionym czołem. I chociaż jej słowa miały w sobie coś mechanicznego i beznamiętnego, zdobyła się na ten pojednawczy gest. A może po prostu próbowała uspić jego czujność. Tak czy inaczej to już i tak nie miało znaczenia. Dowiedział się tyle, ile mógł.

- Jestem za - odrzekł.

Po czym wyszedł z pokoju, zostawiając ją samą.

W głębi korytarza znajdowało się wejście do gabinetu Alexa, w którym Danny bywał wielokrotnie. Miał ochotę spojrzeć na niego po raz ostatni, ale podejrzewał, że nie znajdzie tam nic godnego uwagi. Ktoś już wszystko posprzątał, zarówno tu, jak i w Waszyngtonie. Miał złe

przeczcucia, podsuwała mu je intuicja, którą nabył przez te wszystkie lata politycznych zmaganiań. Może i był eksprezydentem, a jego służba dobiegła końca, ale jeszcze nie przeniósł się na tamten świat.

Ciągle żył.

Wolnym krokiem wrócił do wielkiego salonu i spędził kilka minut na pogawędkach ze starymi znajomymi. Gubernator robił to samo po drugiej stronie pomieszczenia. W którymś momencie pojawiła się Diane i dołączyła do grupki stojącej na zewnątrz, na zadaszonej części werandy. Dziękowała ludziom za przybycie i przyjmowała ich kondolencje. Danny obserwował ją uważnie. Nie wykazywała ani śladu oszołomienia czy zagubienia typowego dla osoby świeżo dotkniętej taką tragedią.

W głowie zaświtała mu szalona myśl.

Dlaczego nie?

Przeprosił rozmówców i ponownie ruszył korytarzem w stronę łazienki i gabinetu Diane. Stał w otwartych drzwiach i zobaczył, że w pokoju nie ma nikogo, nawet psa. Bez wahania wszedł do środka, wyciągnął skórzany notatnik z torby i schował go pod marynarką na plecach, wciskając go za pasek spodni.

Jeśli zachowa ostrożność i nie będzie napinał materiału, nikt nie powinien zauważyć, a kiedy włoży prochowiec, będzie już całkiem bezpieczny.

Skierował się z powrotem do salonu.

Ledwo przestał być prezydentem, a już wkroczył na ścieżkę przestępstwa.

ROZDZIAŁ 8

COTTON ZAJĄŁ MIEJSCE za kierownicą, a swojego więźnia posadził obok. Dziewczyna nazywała się Lea Morse. Jej dziadek, Terry Morse, mieszkał tu całe życie, na ziemi, która od dwustu lat należała do jego rodziny. Wnuczka bez dwóch zdań bardzo mocno kochała i podziwiała swojego dziadka. Ale równie mocno nie chciała iść do więzienia.

- Próbuję mu tłumaczyć - odezwała się - że to wszystko się skończyło. Ze to już nie ma znaczenia. Ale on nie słucha.

- Co się skończyło? - zapytał Cotton.

- Te sekrety, którymi dziadek ciągle żyje.

- Ale kochasz go, więc robisz to, o co prosi?

Lea skinęła głową.

- Mieszkam z nim od dawna. Moi rodzice się nie sprawdzili. Dziadek się mną opiekuje. Ale musimy skończyć z tą całą zabawą w strażnika. Naprawdę mogliśmy panu dzisiaj zrobić krzywdę.

- Właściwie ciągle jeszcze kręci mi się w głowie.

Jechał wynajętym samochodem zgodnie z instrukcjami dziewczyny, która prowadziła ich na wschód po dwupasmowej drodze stanowej. Cassiopeia siedziała z tyłu, w milczeniu słuchając ich rozmowy. Wkrótce wyjechali z lasu państwowego i znaleźli się na terenach wiejskich. Ziemia Morse'a leżała na północ od małego miasteczka, na końcu gruntowej drogi porośniętej z obu stron drzewami. Cotton musiał bardzo uważać i mocno ścisnąć kierownicę, która szarpała mu się w rękach na nierównej nawierzchni.

W końcu zobaczyli przed sobą typowy amerykański drewniany dom jednopiętrowy z wąskimi wysokimi oknami, zadaszonym gankiem i ceglanym kominem. Z wszystkich stron otaczały go drzewa z gęstymi koronami. Po obejściu przechadzały się kury, a Malone kątem oka

dostrzegł różowy zad świni truchtającej w stronę drewnianych zabudowań gospodarczych; ich blaszane dachy lśniły w popołudniowym słońcu.

Zaparkował bezpośrednio przed wejściem, pod niskim drewnianym płotem biegnącym naokoło całego podwórza, i wysiadł z samochodu. W ciepłym powietrzu unosił się ostry zapach obornika. Z drzwi frontowych wyłonił się starszy mężczyzna ubrany w wypłowiałą niebieską koszulę, znoszone ogrodniczki, ciężkie buty i kapelusz z szerokim rondem, który sprawiał wrażenie przyklejonego na stałe do głowy. W rękę trzymał jednołufową strzelbę myśliwską - prawdopodobnie kaliber 0.41 cala, jak ocenił szybko Cotton.

- Dziadku, nie! - krzyknęła Lea. - Odłóż broń.

Terry Morse nawet nie drgnął. Cotton sięgnął po własny pistolet.

- No już! - wrzasnęła Lea.

Jej dziadek opuścił strzelbę.

- Ci ludzie są agentami federalnymi - wyjaśniła dziewczyna. - Tym razem przeholowałeś.

COTTON ROZEJRZAŁ się po prosto urządzonego pokoju. Jedną ścianę zajmował jasny regał zastawiony książkami o Harrym Potterze oraz powieściami z cyklu Gęsia skórka. Na drewnianej podłodze leżał dywan o nieokreślonym kolorze. Przy sosnowym stole stało sześć krzeseł, a ściany zdobiły fotografie w czarnych ramkach. Ktokolwiek urządzał to wnętrze, wyraźnie kierował się bardziej względami praktycznymi niż estetycznymi. Właściwie to miejsce kojarzyło się Cottonowi z domem jego matki w Georgii. Było tu bardzo czysto i porządnie, a jedynym minusem wydawał się gryzący zapach nikotyny i kilka popielniczek wypełnionych zgniecionymi niedopałkami.

Pokazał swoją odznakę agenta Magellan Billet i podkreślił, że pracuje dla Departamentu Sprawiedliwości. Jego plecak, telefon i pistolet leżały na stole. Z zadowoleniem stwierdził, że są tam nawet jego okulary, a także słoik pełen monet.

- Będzie mi pan musiał to wyjaśnić - powiedział do Morse'a, wskazując na złoto.

- Nie ma co wyjaśniać. To zakopany skarb, a pan go znalazł.

- Czym zajmuje się strażnik? - zapytała Cassiopeia.

- Skąd o tym wiecie?

- Powiedziałam im - odezwała się Lea. - To się musi skończyć, dziadku. Nie ma sensu dłużej tego ciągnąć.

- A skąd ty wiesz, co ma sens, a co nie ma? - odparł Morse.

- Wiem całkiem sporo. Sam mnie uczyłeś, pamiętasz?

Morse skrzyżował ręce na piersi i poprawił się na skrzypiącym krześle. Ten niski, przysadzisty i twardy jak skała mężczyzna musiał chyba dobijać do siedemdziesiątki. Miał dużą płaską twarz i brązową skórę koloru tytoniu, tak samo jak jego wnuczka. Włosy porastające jego głowę, podbródek, brwi i szyję, a także wystające z uszu były całkiem siwe.

- Masz rację - przyznał chropowatym szeptem. - Zrozumiałem to już dawno temu. Ale to całe moje życie. Nigdy nie robiłem nic innego. Naprawdę lubię być strażnikiem.

- I jest pan w tym całkiem dobry - pochwalił go Cotton. - Ten guz na moim czole stanowi najlepszy dowód.

- Chcieliśmy tylko, żebyście stąd odeszli.

- Nic z tego. Niech nam pan lepiej powie, o co w tym wszystkim chodzi.

Starszy mężczyzna wziął do ręki odkręcony słoik i wysypał brudne monety na stół. Cotton, który interesował się trochę numizmatyką, bez trudu rozpoznał w stosie złote pięciodolarówki z 1861 roku, dwudziestodolarówki z 1854 i dziesięciodolarówki z 1845. Najstarsze monety pochodziły z 1825, a najmłodsze z 1865 roku. W sumie było ich około pięćdziesięciu. Cała kolekcja musiała być warta majątek.

- Czy to łupy z napadów? - zapytał Morse'a.

Mężczyzna nie odpowiedział.

- Nie każe mi pan chyba powtarzać pytania, prawda? Bo następnym razem usłyszysz je pan w biurze FBI w Little Rock, gdzie obojgu wam

zostanie postawiona cała lista zarzutów.

- To złoto konfederatów.

Musiał przyznać, że samo brzmienie tych słów przyprawiło go o dreszcz. Urodził się i wychował w Georgii, był pełnokrwistym chłopakiem z Południa. Choć jako dziecko nieustannie przeprowadzał się z miejsca na miejsce, ponieważ jego ojciec całe życie służył w marynarce wojennej, obojgu rodzicom zawsze zależało na tym, by ich syn rozumiał, skąd pochodzi. Po śmierci ojca matka zabrała go z powrotem do Georgii, gdzie pozostał aż do skończenia osiemnastu lat i wyjazdu na studia. Potem trafił do marynarki wojennej i ukończył prawo, a kiedy dołączył do jednostki Magellan Billet, znów powrócił w rodzinne strony, ponieważ Stephanie Nelle założyła siedzibę agencji w Atlancie. Po tym jak przeszedł na wcześniejszą emeryturę i rozwiódł się z żoną, sprzedał dom i przeniósł się do Danii, gdzie otworzył księgarnię. Przez całe życie słyszał opowieści o tym, że mieszkańcy Georgii byli zagorzałymi zwolennikami Konfederacji i zażarcie walczyli przeciwko wojskom Północy, ale na koniec większość z nich straciła wszystko. Rodzina jego matki miała szczęście i zdołała zachować swoją ziemię, na której do dzisiaj na wielką skalę uprawiano słynną cebulę vidalia.

W środkowej i południowej Georgii zawsze opowiadano sobie historie o zaginionym złocie rebeliantów. Wiceprezydent Konfederacji Alexander Stephens mieszkał w Crawfordville, całkiem niedaleko od ziemi należącej do rodziny matki Cottona. Po wojnie przez te tereny uciekał Jefferson Davis, próbując uniknąć aresztowania. Przewożono tędy nawet ponoć sam skarb konfederatów, który później zniknął i obrósł legendą. Wszystkie te skojarzenia przemknęły Cottonowi przez myśl, kiedy zadzwonił do niego kanclerz Instytutu Smithsona z prośbą o pomoc.

Rzucił okiem na Cassiopeję, która wydawała się równie mocno zainteresowana tym, co ma do powiedzenia stary strażnik. Ale zacięte usta Morse'a, ukryte wśród białych pasm sztywnej brody, nie wyrażały bynajmniej chęci do współpracy.

- Powiedz im, dziadku - nalegała Lea. - Bo jeśli nie, to ja to zrobię.

- Dziewczyny... - Morse pokręcił głową - Tak różne od chłopców. Nie mogłem się doczekać, żeby przejąć obowiązki od swojego ojca. Ale dziewczyny... Są o wiele mądrzejsze niż którykolwiek z nas.

- Dziadek jest rycerzem - powiedziała Lea. - Pokaż im.

Morse podwinął rękaw na prawej ręce, odsłaniając wyblakły tatuaż.



- Krzyż i okrąg - mruknął pod nosem Cotton.

- Zna pan ten znak? - zapytał mężczyzna.

Małone próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widział ten symbol. Co najmniej dwadzieścia lat temu. Jego umysł znów pracował na przyspieszonych obrotach, tak samo jak w Muzeum Historii Amerykańskiej w Waszyngtonie, gdy przeglądał dokumenty z 1909 roku. Wiszący na ścianie zegar z mosiężnymi wskazówkami dał znać, że minęła połowa godziny.

- Ty wiesz, o czym on mówi, prawda? - odezwała się Cassiopeia.

Cotton skinął głową.

- Wiem wszystko o Rycerzach Złotego Kręgu.

ROZDZIAŁ 9

DANNY DANIELS ZBUDZIŁ się z głębokiego snu i poczuł zapach dymu.

Ciemną sypialnię wypełniała gęsta, gryząca mgła. Danny wziął oddech i zakrztusił się dymem. Potrząsnął Pauline, żeby ją obudzić, i zrzucił z łóżka kołdrę. W mgnieniu oka odzyskał trzeźwość umysłu i zrozumiał, co się dzieje.

Ich dom się palił.

Usłyszał trzask łamiącego się drewna świadczący o tym, że stara konstrukcja ustępuje pod naporem płomieni. Zarówno ich sypialnia, jak i pokój ich córki mieściły się na piętrze.

- O Boże -jęknęła Pauline. - Mary.

- Mary! - krzyknął Danny, stając w otwartych drzwiach. - Mary!

Całe piętro stało w płomieniach, schody prowadzące na dół spowijała pomarańczowa łuna. Wyglądało na to, że jedynym pomieszczeniem, które nie zajęło się ogniem, była ich sypialnia.

-Mary! Odezwij się, Mary!

Pauline była już u jego boku i też zaczęła wołać ich dziewięcioletnią córkę.

- Idę po nią - oznajmiła.

Danny chwycił ją za rękę.

- Nie ma mowy. Nie dasz rady. Podłoga się zawali.

- Nie będę stała beczynn timer, kiedy ona jest tam zamknięta.

On też nie zamierzał się poddawać, ale wiedział, że nie można działać bezmyślnie.

- Mary! - wrzasnęła Pauline. - Powiedz coś!

Jego żona była bliska hysterii. Korytarz coraz bardziej wypełniał się dymem. Danny rzucił się do okna i otworzył je na oścież. Budzik przy

łóżku wskazywał godzinę 3:15 nad ranem. Nie słychać było syren wozów strażackich. Ich farma znajdowała się pięć kilometrów od centrum miasta, na ziemi należącej do jego rodziny od pokoleń, a najbliżsi sąsiedzi mieszkali niemal kilometr stąd.

Chciwie zaczerpnął świeżego powietrza.

- Cholera, Danny! - krzyknęła Pauline. - 2. rób coś!

Podjął decyzję.

Złapał swoją żonę i pociągnął ją w stronę okna. Bezpośrednio pod nim, ponad cztery metry niżej, rósł rząd krzewów. Nie mogli wyjść na korytarz, więc to była jedyna droga ucieczki, ale Danny wiedział, że Pauline będzie stawiać opór.

- Oddychaj - powiedział.

Postuchała jego rady i zanosząc się kaszlem, wystawiła głowę za okno. W tym momencie Danny chwycił ją za nogi i wypchnął na zewnątrz, obracając przy tym jej ciało tak, by wylądowała bokiem w zaroślach. Nawet jeśli jego żona coś sobie złamie, to przynajmniej nie zginie w ogniu. Musiał zająć się tym sam.

Widział, że krzaki złagodziły upadek i Pauline wstała o własnych siłach.

- Odsuń się od domu! - krzyknął do niej, po czym podbiegł z powrotem do wyjścia z sypialni.

- Tato, pomocy! - usłyszał głos Mary.

- Kochanie, jestem tutaj! - zawołał, przekrzykując trzaskający ogień. - Jesteś w pokoju?

- Tato, co się dzieje? Wszystko się pali. Nie mogę oddychać.

Nie miał się jak do niej dostać. Korytarz na piętrze przestał istnieć - pomiędzy drzwiami sypialni a pokojem jego córki rozciągała się piętnastometrowa rozpadlina. Nie było czasu, żeby wyskoczyć przez okno, znaleźć drabinę i wspiąć się do okna Mary. Jeszcze kilka minut i z jego sypialni również nic nie zostanie. Dym palił oczy i zatykał płuca, żar stawał się nie do zniesienia.

Jego córka będzie musiała sama wyskoczyć.

- Mary, odezwij się. - Nie doczekał się odpowiedzi. - Mary!

Musiał się do niej dostać.

Popędził z powrotem do otwartego okna i spojrzął w dół, ale nigdzie nie widział Pauline. Wygramolił się na zewnątrz, zwiesił się z parapetu i zeskoczył na ziemię, przebijając się przez zarośla i lądując na nogach. Przepchnął się przez gałęzie i ruszył biegiem naokoło. Gdy tylko znalazł się po drugiej stronie, potwierdziły się jego najgorsze obawy. Pożar ogarnął całe piętro, łącznie z pokojem ich córki. Na ścianach zewnętrznych tańczyły płomienie, z dachu zostały zgłiszczą.

Pauline stała z zadartą głową i splecionymi bezradnie rękami.

- Moje dziecko... - zawodziła przez łzy. - Moja córeczka...

Danny zamknął oczy, żeby odpędzić straszliwe wspomnienie, które prześladowało go od czterdziestu lat.

Jaka była przyczyna pożaru? Jego cygaro, które zostawił na rogu biurka.

W tamtym czasie zasiadał w radzie miasta Maryville i lubił sobie zapalić. Pauline błagała, żeby rzucił, ale on nie dał się przekonać. Domowe wykrywacze dymu należały jeszcze wtedy do rzadkości. Mimo to według oficjalnego raportu pożar był „wypadkiem, któremu można było zapobiec”.

Wizyta na grobie Mary na nowo rozdrapała stare rany.

Dlatego właśnie Danny tak rzadko go odwiedzał.

Stał na deszczu na progu swojego domu i próbował wziąć się w garść. Podczas drogi powrotnej ze stypy nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Danny mieszkał teraz sam. Pauline nie wróciła tu już z nim po inauguracji. Przeniosła się do Nashville, gdzie rozpoczęła nowe życie. On miał spróbować zrobić to samo w swoich rodzinnych stronach.

I naprawdę się starał.

Przekręcił gałkę i wszedł do środka.

Nigdy nie zamykał na klucz. Szkoda zachodu. Jeżeli ktoś postanowi się włamać, to i tak się włamie. Po co jeszcze dokładać sobie kłopotu z naprawą rozwalonych drzwi? Okoliczne tereny wyglądały dokładnie tak samo jak czterdzieści lat temu, ale dom był całkiem inny, ponieważ Danny zburzył resztki dawnej konstrukcji i wybudował go od zera. Po

pożarze życie toczyło się dalej. Z czasem został gubernatorem, a potem prezydentem. Cały czas bezskutecznie próbował zapomnieć, wybaczyć samemu sobie. Ostatecznie to poczucie winy położyło kres jego małżeństwu, ponieważ jego żona nigdy nie zapomniała ani mu nie wybaczyła. Na szczęście w końcu udało im się zawrzeć pokój. Chciał, żeby była szczęśliwa. Zaslugiwała na to jak mało kto.

Ale czy on także nie zasługiwał na szczęście?

Położył skradziony notes na stole, po czym zdjął mokry prochowiec i powiesił na dębowym wieszaku w przedpokoju. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, kiedy wychodził z domu Sherwoodów. Diane pewnie w którymś momencie się zorientuje, że książka zniknęła, ale dlaczego miałyby go o cokolwiek podejrzewać?

Ich spotkanie wciąż nie dawało mu spokoju.

Wygląda na to, że Diane kazała przeszukać mieszkanie Alexa i wynieść stamtąd niektóre rzeczy. Po co? Czy to oznacza, że wiedziała również o Taisley? Trudno orzec. Danny przypomniał sobie, co mówiła o Alexie jego przyjaciółka. „Wspominał o Senacie i o potrzebie radykalnych zmian. Mówił, że trzeba znaleźć sposób, by wyleczyć chorobę trawiącą Waszyngton”.

Ambitne zadanie. Przed nim wielu już podjęło tę próbę i poniosło porażkę.

„Jeżeli sami staniemy się owcami, zjedzą nas wilki”.

Ben Franklin miał całkowitą rację. Ale James Madison też dorzucił swoje trzy grosze: „Gdyby ludzie byli aniołami, żadna władza nie byłaby potrzebna”.

Wszyscy mieli jak najgorsze zdanie o Kongresie. Wskaźnik społecznego poparcia dla amerykańskiego parlamentu osiągał rekordowo niskie poziomy. Ale czego można się spodziewać, kiedy 535 ludzi próbuje coś wspólnie postanowić? Jak powiedział kiedyś Mark Twain, „wielbłąd to koń zaprojektowany komisyjnie”. W grę wchodzi zbyt wiele charakterów, zbyt wiele osobistych ambicji, a za mało jest gotowości do kompromisu. Tym bardziej może więc wydawać się zdumiewające, że władzy ustawodawczej zawsze udawało się zrehabilitować i

stanać na wysokości zadania w chwilach, gdy Stany Zjednoczone naprawdę tego potrzebowały. Dwie wojny światowe, wielki kryzys, niezliczone kryzysy gospodarcze, ubezpieczenia społeczne, uczciwe standardy pracy, prawa obywatelskie, służba zdrowia - przykłady można mnożyć. Wszystkimi tymi kwestiami zajmował się Kongres. Ludzie często o tym zapominają. Ale nie Danny, który doskonale zdawał sobie sprawę, że malkontenci również mają swoje prywatne cele.

Wziął do ręki notes, wyszedł na ganek przed domem i usiadł na jednym z bujanych foteli. W domu jego matki, podobnie jak w domu babci, znajdował się niewielki salon, dlatego i on urządził u siebie tego typu pomieszczenie, chociaż tak naprawdę właściwie z niego nie korzystał. Pauline uważała, że to strata miejsca, ale zrobiła mu tę przyjemność i nawet zadbała o tradycyjny wystrój w stylu Tennessee. W czasie jego prezydentury nie bywali tu zbyt często - agenci Secret Service domagaliby się wprowadzenia poważnych zmian w celu zwiększenia środków bezpieczeństwa. Danny zawsze wiedział, że po zakończeniu urzędowania zamieszka właśnie tu, dlatego wolał, żeby dom pozostał nietknięty.

Udało się. A teraz ten dom należał tylko do niego.

Spojrzał na notes z krzyżem w okręgu na skórzanej okładce. „To krzyż słoneczny”, wyjaśniła Diane. „Starożytny symbol pomyślności”. W zeszłym tygodniu Alex był u niego z wizytą. Wtedy widzieli się po raz ostatni. Cieszył się ze spotkania ze starym przyjacielem, ale prawie nie rozmawiali o polityce, tylko o pieszych wędrownkach i wędkowaniu. Alex słowem nie wspomniał o przechodzeniu na emeryturę ani o żadnej „wielkiej zmianie”. Nie dał też do zrozumienia, że jego małżeństwo przeżywa kryzys. Danny również nie wyczuł, żeby coś było nie tak. Czyjego przyjaciel świadomie coś przed nim ukrywał? Niewykluczone. W końcu człowiek, który przez tyle kadencji zasiadał w Senacie, z pewnością wiedział, co to dyskrecja. Zresztą Danny rozumiał, że w końcu nie jest to jego sprawa. Ale on i Alex byli przyjaciółmi, zawsze mówili sobie bardzo dużo. Cóż, najwyraźniej nie wszystko. Czy jednak miał prawo go krytykować? On sam nigdy nie zwierzył się przyjacielowi

z tego, co czuł do Stephanie Nelle, choć przyznał się, że postanowili z Pauline wziąć rozwód.

Musiał wiedzieć, czy obawy Taisley są uzasadnione. Nadal nie mógł uwierzyć, że Alex przez sześć lat utrzymywał relacje z inną kobietą, i nikt, włączając w to jego żonę, niczego nawet nie podejrzewał.

Ale przecież dokładnie tak samo wyglądało to z nim i Stephanie. Przez osiem lat większość ich rozmów odbywała się na forum publicznym, tylko z rzadka mieli okazję, żeby porozmawiać na osobności. I nikt nie przypuszczał, że łączy ich coś więcej niż przyjaźń.

Nawet Pauline.

Deszcz cicho stukał o szyby.

Danny usłyszał, jak na żwirowym podjeździe przed domem zatrzymują się samochody.

Wcześniej, niż się spodziewał.

Trzasnęły zamykane drzwi, a po chwili deski na ganku skrzypnęły pod ciężkimi krokami.

Rzucił okiem przez moskitierę i zobaczył gubernatora Tennessee. Podczas pobytu w mieście gubernator planował spotkanie z liderami lokalnego przemysłu. Kilka dni temu zadzwonił do Danny ego i zapytał, czy mógłby zatrzymać się u niego i przespać się w jego gościnnym pokoju. Do Nashville było stąd niecałe trzysta kilometrów, więc jego stary znajomy mógł z łatwością wrócić na noc do siedziby gubernatora, ale Danny cieszył się, że będzie miał towarzystwo.

Otworzył szufladę w stoliku obok bujanego fotela i schował do niej skórzany notatnik.

Nie ma potrzeby wciągać w tę intrygę kolejnych osób.

Następnie wstał i zawołał:

- Zapraszam.

ROZDZIAŁ 10

DIANE SHERWOOD SIEDZIAŁA przy swoim biurku.

Po domu wciąż kręcili się ludzie wspominający jej zmarłego męża, ale dochodziła dziewiętnasta, więc stypa powinna niedługo dobiec końca. Potem służba posprząta po gościach i wszystko wróci do normy. Za kilka tygodni dom zostanie wystawiony na sprzedaż, a oficjalne wytłumaczenie będzie takie, że Diane nie jest w stanie mieszkać w nim bez męża. Zbudowali go przed łąty za pieniądze Alexa, a ponieważ nie mieli dzieci, cały majątek zapisali w testamentach sobie nawzajem.

Za oknem w dalszym ciągu padał deszcz.

Kiedy Diane powiedziała, że chce przez chwilę побыć sama, wszyscy okazali całkowite zrozumienie. W końcu była wdową w żałobie. Przeżyła z Alexem wiele lat. Poznali się, kiedy oboje ledwo skończyli trzydziestkę, a on miał przed sobą świetlaną przyszłość. Właśnie zaczynał służbę we władzach stanowych Tennessee, ale niektórzy już wróżyli mu karierę w Senacie, może nawet start w wyborach prezydenckich. Niestety zamiast niego do Białego Domu trafił inny człowiek z Tennessee. Nadęty, arogancki, zadufany w sobie dureń.

Danny Daniels.

Jego wizyta przyprawiła ją o mdłości.

Ale już dawno temu nauczyła się, że Danny Daniels nie jest głupi. Za tą fasadą porządnego faceta skrywał się przebiegły umysł. Zaprosiła go z kurtuazji, ponieważ gdyby tego nie zrobiła, ludzie zaczęliby zadawać niepotrzebne pytania. Kiedy zamienili kilka słów na cmentarzu i wydawało się, że Daniels nie zamierza zjawić się na stypie, była niezmiernie zadowolona. Spełniła swój obowiązek. On jednak nie tylko przyszedł do jej domu, ale zaczął też wypytywać o różne rzeczy. Na szczęście przyjął jej pojednawczy gest. Miała szczerą nadzieję, że była to

ich ostatnia rozmowa w życiu.

Kiedy nieco odetchnęła, nalała sobie szklankę whisky. Popijała wolno, pozwalając, by alkohol ukoił jej nerwy.

W pewnym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł jej brat.

Diane wcześniej poprosiła jedną z kobiet, żeby skierowała go do niej. W nikim nie powinno budzić żadnych podejrzeń, że w tych trudnych chwilach chciałaby przebywać w towarzystwie najbliższej rodziny.

- Zamknij za sobą i usiądź - powiedziała tonem zdradzającym zły nastrój. Kilka małych łyków szkockiej sprawiło, że poczuła się nieco lepiej.

Kenneth Layne nie budził wielkiego respektu ani posturą, ani intelektem. Był wysoki i chudy, po ich ojcu odziedziczył płowe włosy i wąsy. Jego pozbawiona wyrazu twarz przez całe życie budziła w Diane irytację. Tę wrodzoną obojętność w większości zawdzięczał matce, spokojnej i uległej kobiecie, która nie miała własnych przekonań i celu w życiu. Na szczęście Diane nie wdała się w matkę tylko w ojca, człowieka pełnego wigoru, silnego i twardego jak stal. Tym jednak, co najbardziej drażniło ją w bracie, był kompletny brak odwagi. Kenneth chętniej oddawał się refleksji, niż brał sprawy w swoje ręce. Potrafił zdobyć się na śmiałe posunięcie, ale nigdy w pojedynkę. Ryzyko i niebezpieczeństwo napawały go strachem. Ona natomiast zawsze lubiła przekraczać granice.

Usiadł na jednym z krzeseł po drugiej stronie pokoju. Diane podeszła do niego. Oczy miała zwężone, zimne usta zaciśnięte.

- Zdajesz sobie sprawę, jakiego narobiłeś bałaganu?

Kłopoty zaczęły się kilka tygodni temu, kiedy odebrała telefon od

Alexa. Wcześniej Kenneth pojechał do Waszyngtonu, żeby się z nim spotkać, wyjaśnić, jakie mają plany, i poprosić o pomoc.

- *To, co zamierzacie zrobić razem z Kennethem, zmieniłoby bieg historii tego kraju - stwierdził przez telefon Alex.*

- *Przecież dokładnie o tym mówiłeś przez ostatnich dwadzieścia lat. Może już czas, żebyśmy faktycznie wykonali jakiś krok.*

- *Wydaje mi się, że ta decyzja nie należy do nas. Ani do mnie, ani do*

ciebie, ani do Kennetha. Ludzie muszą sami dokonać tego wyboru, po otwartej debacie publicznej.

- Zejdź na ziemię, Alex. Do tego nigdy nie dojdzie. Ludzie nie mają pojęcia, czego chcą. Otwiera się przed nami szansa. Dlaczego nie mielibyśmy jej wykorzystać?

- Spiker Izby jest z wami?

- Oczywiście.

- On ci tak powiedział?

-I to bez ogródek. Jest gotowy stworzyć historię.

- Nie wątpię, zważywszy na ogromne korzyści, które by mu to przyniosło. Czytałem notatnik Kennetha i zamówiłem parę książek. Choć trudno w to uwierzyć, wasza propozycja wydaje się całkowicie legalna i w pełni zgodna z konstytucją.

- Ludzie wiedzieli to jeszcze przed wojną secesyjną. Pomysł nie jest wcale nowy. Szczerze mówiąc, nie zamierzałam cię w to wciągać. Kenneth zdecydował o tym sam, bez konsultacji ze mną.

- To tylko dowodzi, jak bardzo się od siebie oddaliliśmy.

- Oboje wiemy, że jesteśmy małżeństwem już tylko z nazwy.

- I teraz rozumiem, co zaprzętało twoją głowę przez ostatnie lata. Byłaś bardziej zajęta, niż podejrzewałem.

- Chcę czegoś dokonać, Alex. I teraz mam okazję.

- Nie jestem do tego równie przekonany jak ty.

Te ostatnie słowa przyprawiły ją o dreszcz. Najważniejsza z wszystkiego była dyskrecja, a samowolna decyzja Kennetha o wtaïmniczeniu w ich plany Alexa naraziła całe przedsięwzięcie na niepowodzenie. Alex był idealistą, który zbyt mocno wierzył w istniejący system. Jak wielu innych głośno domagał się zmian, ale nie robił praktycznie nic, aby rzeczywiście do nich doprowadzić.

- Popełniłeś wielki błąd - powiedziała do brata Diane. - Gdybym chciała wciągać w to Alexa, sama bym to zrobiła.

- A kto powiedział, że to ty tu rządysz?

- Ty, kiedy przyszedłeś prosić mnie o pomoc.

Nie zaprzeczył, ponieważ Diane od początku stawiała sprawę jasno:

ceną za jej współudział jest to, że wszelkie kluczowe decyzje będą należały do niej.

- Alex był nam potrzebny - przekonywał. - Senat na pewno będzie przeciw, a on mógł pomóc złagodzić ich opór. Teraz trzeba będzie znaleźć kogoś innego.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Kogo obchodzi, co myśli Senat? Senatorowie zatracili prawo do posiadania jakiegokolwiek opinii w chwili, gdy zdecydowali, że są lepsi od wszystkich innych. Nie obawiam się, że będą stawiać opór. Właściwie nawet na to liczę.

Kto jak kto, ale Diane nigdy w życiu nie unikała konfrontacji.

Ona i Kenneth byli bliźniakami dwujajowymi - pochodzili z dwóch różnych jajeczek zapłodnionych przez dwa różne plemniki - dzięki czemu na szczęście wyrosli na dwoje diametralnie różnych ludzi. Nie tylko wyglądali, ale także zachowywali się całkiem inaczej. Pasją Diane stała się historia i rzetelne badania naukowe, podczas gdy jej brat preferował politykę, a gdzie tylko mógł, szedł na skróty. Kierował obywatelską inicjatywą o nazwie Komitet Ocalenia Ameryki, do której należało niemal 60% członków stanowych ciał ustawodawczych z całego kraju. Głównym celem organizacji było doprowadzenie do konwencji konstytucyjnej, co zgodnie z artykułem piątym konstytucji mogło odbyć się na wniosek dwóch trzecich wszystkich stanów. Jak dotąd trzydzieści spośród wymaganych trzydziestu czterech stanów przedłożyło oficjalną prośbę do Kongresu. Jeszcze cztery i kongresmani nie będą mieli innego wyjścia, jak tylko zwołać konwencję narodową w celu rozpatrzenia nowych poprawek do konstytucji. Dzięki swoim wysiłkom w tym zakresie Kennethowi udało się uzyskać dostęp do samego spikera Izby Reprezentantów, Luciusa Vance'a, któremu następnie przedstawił również swoją siostrę.

Wszystko to doprowadziło ich do tej chwili.

- Głupio zrobiłeś, przekazując Alexowi swój notes - podkreśliła Diane.

Na twarzy jej brata odmalował się wyraz zaskoczenia.

- Powiedział ci o tym?

- O tak. I dlaczego w ogóle musiałeś to wszystko spisywać? Chryste, nawet wybiłeś na okładce krzyż w okręgu.

- Dałem Alexowi notatki, żeby pokazać, że nie zwariowaliśmy. Że to, co robimy, opiera się na solidnych prawnych podstawach. Gruntownie przebadalem tę kwestię i naprawdę chciałem poznać jego stanowisko. Co za różnica, jak wygląda okładka? Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi i tak nie ma pojęcia, co to za symbol.

- Tak się składa, że Alex też trochę poczytał na ten temat - odparła. - I tak jak się spodziewałam, miał poważne obiekcje. Powiedział mi wprost, że nie zamierza brać w tym udziału.

Kenneth pokręcił głową.

- Nie wierzę ci. Na tym właśnie polega twój problem. Wydaje ci się, że wszyscy są głupszy od ciebie. Nigdy nie doceniałaś Alexa.

Jak zwykle sprawiał wrażenie, jakby nawet nie zarejestrował jej słów. Diane wróciła do swojego biurka i wzięła do ręki wisiołek w kształcie krzyża w okręgu, który oddał jej Danny Daniels.

- A czemu dałeś mu to?

- Żeby poczuł, że jest jednym z nas - odparł Kenneth, wzruszając ramionami. - Był wdzięczny za ten gest.

- Dałeś mu się zmanipulować. Ile mu powiedziałaś?

- Na tyle dużo, żeby zobaczył, że to, co robimy to nic nowego. Pomysł powstał już dawno. Wpadli na niego ludzie znacznie mądrzejsi od nas.

- Powiedziałaś mu o Zakonie?

- Oczywiście. Był tym zafascynowany. Skąd masz ten wisiołek?

- Ile dokładnie mu powiedziałaś?

- Sporo. Musiał zrozumieć, że to właśnie może być sposób na osiągnięcie tego, o czym sam mówił od lat. Ze mamy szansę zmienić Kongres i zmienić ten kraj.

Co za idiota.

- Alex mówił to, co chciałeś usłyszeć, żeby wyciągnąć z ciebie ile się da. Naprawdę słabo go znałeś, co? Lubił wygłaszać mowy, występować w telewizji i opowiadać, jak jest źle, ale nie robił nic konkretnego, żeby poprawić sytuację. Nigdy cię to nie zastanowiło? To właściwie całkiem

powszechne we współczesnym świecie. Ludzie narzekają, że hamburgery w McDonalddie smakują okropnie, ale nadal kupują ich miliony, bez końca. Dlaczego? Bo to bezpieczna opcja. Zero ryzyka. Wiesz dokładnie, co dostaniesz, znasz zalety i wady. Żadnych niespodzianek. Z polityką jest tak samo. Ludzie tacy jak Alex wciąż wygrywają kolejne wybory, bo każdy wie, co otrzyma w zamian. Dzięki temu nie są groźni. Kandydaci niezależni rzadko się przebijają, a jeżeli już, to nigdy nie zostają wybrani na kolejną kadencję. Alex nie doprowadziłby do żadnych zmian. - Urwała na chwilę. - Ty zresztą też nie, gdybym sama nie postanowiła się w to zaangażować.

Oskarżycielsko wycelował w nią palec.

- To ja mam kontakt z Vance'em. To ja współpracuję z władzami stanowymi. Te wszystkie petycje wzywające do zorganizowania drugiej konwencji konstytucyjnej nie biorą się znikąd. Ja za tym stoję. Ale to ty podbiłaś stawkę i zaczęłaś dążyć do reformy Kongresu.

To prawda. Przecież trzeba wykorzystywać każdą nadarzającą się sposobność.

Przez całe życie słyszała opowieści o Rycerzach Złotego Kręgu. Jej praca magisterska traktowała o tajnych organizacjach z dziewiętnastego wieku, takich jak Bractwo Unii, Towarzystwa Wolnościowe czy Krąg Honoru; rozprawa okazała się tak dobra, że niektórzy recenzenci namawiali Diane, by opublikowała ją w formie książki. Ona jednak przez ostatnie trzy lata pracowała potajemnie nad wprowadzeniem w życie planu opracowanego sto siedemdziesiąt lat temu. A potem ten imbecyl, z którym niestety przez dziewięć miesięcy siedziała w jednej macy, postanowił raz w życiu podjąć samodzielną decyzję.

Ona także próbowała raz wtajemniczyć w to wszystko Alexa, ale nie do tego stopnia co Kenneth, i na pewno nie tak otwarcie.

Kiedy w 1846 roku utworzono Instytut Smithsona, kierownictwo nad nim powierzono siedemnastoosobowemu zarządowi. Obecnie zarząd składał się z trzech senatorów, mianowanych przez przewodniczącego pro tempore Senatu, trzech członków Izby Reprezentantów, wyznaczonych przez Spikera, oraz dziewięciu zwykłych obywateli.

Członkami rady byli także z urzędu przewodniczący Sądu Najwyższego i wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, przy czym ten pierwszy pełnił funkcję kanclerza całej instytucji. Przez ostatnich pięć lat Alex zasiadał w zarządzie jako jeden z przedstawicieli Senatu. Dwa lata temu Diane wykorzystała ten fakt - mąż załatwił jej miejsce w jednej z wielu rad doradczych Instytutu. Interesowała ją ta, która zajmowała się bibliotekami. Zastaniając się swoim zamiłowaniem do książek i historii, przekonała go, by wstawił się za nią, co uczynił z ochotą. Nie było w tym absolutnie nic podejrzanego. Po prostu mąż pomógł swojej wysoce wykwalifikowanej żonie w karierze.

Diane w pełni wykorzystała możliwości, które dało jej nowe stanowisko.

W tej chwili prowadziła równoczesne działania na dwóch frontach: w Arkansas i w Waszyngtonie.

- Mam dosyć tych kłótni - powiedział Kenneth. - Zresztą to już i tak bez znaczenia. Alex nie żyje. Vance wpadnie później. Przed chwilą zadzwonił i potwierdził spotkanie.

- Niech przyjdzie naprawdę późno. Kiedy wszyscy już sobie pójdą. Nie potrzebujemy kolejnych przecieków.

- Wciąż mamy jeden poważny problem - przypomniał Kenneth. - Pozostający poza naszą kontrolą.

Wiedziała, kogo ma na myśli.

Czwartą osobę w ich kręgu.

- Dziś wieczorem wybiera się do Instytutu Smithsona - powiedziała. - I on przynajmniej robi, co do niego należy.

Kenneth pokręcił głową.

- Twierdzisz, że to ja sprawiam problemy? Grant Breckinridge jest nieobliczalny. Jeśli chodzi o kłopoty, ten drań gra w zupełnie innej lidze niż ja.

Diane przeszła brata wzrokiem.

- Pewne rzeczy po prostu trzeba zrobić, a większość z nich oznacza złamanie prawa. Jesteś gotowy podjąć takie ryzyko? Żeby popchnąć sprawę do przodu? Bo jeśli tak, Kenneth, to natychmiast pozbędę się

Granta i przekażę wszystko w twoje ręce. Ale jeśli nie, to zamknij gębę i zostaw to mnie.

Nie żartowała.

Grant był im potrzebny. Wrodzony urok osobisty i zmysł cwaniactwa w połączeniu z siłą i wielką pewnością siebie czyniły z niego wartościowego sojusznika, a także dobrą przeciwwagę dla wiecznie narzekającego na wszystko Kennetha. Grant faktycznie często ryzykował, a Diane w pełni zdawała sobie sprawę, jak ważne są zadania, które powierzyła mu w Arkansas i Waszyngtonie. Ale jak sama przed chwilą zauważyła, czasem trzeba mieć przy sobie kogoś, kto odwali brudną robotę.

Odwróciła się od brata na znak, że rozmowa dobiegła końca. Dłuższe przebywanie w towarzystwie Kennetha przyprawiało ją o mdłości. Na szczęście Grant udał się do mieszkania Alexa i odzyskał notes, jak również trochę cennych książek. Dwie przyniesione przez niego torby stały za jej biurkiem, pod masywnym oknem. Diane nie miała jednak wcześniej pojęcia o wisiorcu, który dziś niespodziewanie się odnalazł.

Rzuciła okiem w stronę biurka i od razu zobaczyła, że coś jest nie tak.

Od kilku dni na wierzchu w jednej z toreb leżał skórzany notatnik Kennetha z wytłoczonym na okładce krzyżem w okręgu.

Ale teraz go tam nie było.

Spojrzała na pudła, który spał w swoim legowisku. Czy to on był winowajcą? A może notatnik po prostu wsunął się głębiej do torby.

Kenneth podniósł się z krzesła.

- Zadzwoń do Vance'a i potwierdź godzinę. Położę się na chwilę i odpocznę, zanim przyjdzie.

- Dobrze. I do tego czasu postaraj się już więcej nie namieszać.

Zignorował przytyk i wyszedł z pokoju.

Diane natychmiast rzuciła się do toreb, ale znalazła w nich tylko książki. Przez cały dzień kręciło się tu mnóstwo ludzi, nie było jednak wśród nich nikogo, kogo by zainteresował ten dziennik.

Na pewno?

Wciąż trzymała w ręku wisior w kształcie krzyża w okręgu, który dostała od Danny ego Daniela. Kiedy wytłumaczył, skąd go ma,

brzmiało to zupełnie prawdopodobnie. Pamiętała, że Alex wybrał się do niego z wizytą. Czy rozmawiali wtedy o czymś więcej niż tylko o dalszej karierze politycznej Alexa? Czy Alex zwierzył się Danielsowi? Czy też było tak, jak wyjaśnił Daniels, i wisiołek po prostu się zawieruszył.

Ogarnęło ją nieprzyjemne, paranoiczne uczucie. Nie podobało się jej to.

Sięgnęła po telefon i wybrała numer Granta.

ROZDZIAŁ 11

GRANT BRECKINRIDGE NIESPECJALNIE dbał o swoje nazwisko, choć jego korzenie sięgały dziewiętnastego wieku. John C. Breckinridge służył pod Jamesem Buchananiem jako najmłodszy wiceprezydent Stanów Zjednoczonych w historii. Później w 1860 roku sam wystartował w wyborach, ale przegrał z Abrahamem Lincolnem. Kiedy wybuchła wojna secesyjna, stanął po stronie swojego rodzinnego Kentucky i został generałem Konfederacji. Walczył w bitwach pod Shiloh, nad Stones River i nad Chickamaugą, a następnie objął dowództwo nad wojskami Południa w dolinie Shenandoah. Pod koniec wojny pełnił funkcję ostatniego sekretarza wojny Konfederacji. Po porażce zbiegł za granicę, ale powrócił do kraju, gdy Andrew Johnson ogłosił powszechną amnestię. Grantowi od dziecka powtarzano, że jest potomkiem właśnie tego Breckenridge'a. Tylko kogo to obchodziło? Grant nie był jednym z tych, którzy tęsknili za dawnym Południem i do dziś rozpamiętywali niewybaczalną agresję Północy. Dla niego to wszystko nie miało najmniejszego znaczenia.

Z wyjątkiem jednego.

Interesowało go srebro i złoto. Skarby konfederatów.

Grant odczuwał wewnętrzną potrzebę bycia bogatym, pewnie dlatego, że przez całe życie nie zaznał tego uczucia. Rodzice byli nim rozczarowani, ponieważ nigdy nie garnał się do nauki. Jego ojciec zrobił karierę w kręgach akademickich, a w końcu zdobył posadę w Instytucie Smithsona. Dzisiaj jednak był już tylko bełkoczącym bez sensu starcem.

Co za rozczarowanie.

-Jak się dzisiaj czujesz? - zapytał ojca.

Frank Breckinridge dobijał do osiemdziesiątki. Jego ciało trzymało się w stosunkowo niezłym stanie, ale umysł odmawiał posłuszeństwa.

Mimo to starzec mieszkał sam, ponieważ wciąż potrafił o siebie zadbać. Jakimś cudem nadal własnoręcznie przygotowywał sobie posiłki i utrzymywał dom w jako takim porządku. Ale Grant wiedział, że już niedługo trzeba będzie znaleźć dla niego dom opieki.

- Czy my się znamy? - odparł ojciec.

Niestety, wyglądało na to, że szykuje się wyjątkowo trudny wieczór. Grant nie miał czasu na te bzdury. Potrzebował odpowiedzi.

Dom stał nad Potomakiem od strony Wirginii, zaraz za obwodnicą Waszyngtonu. Został spłacony wiele lat temu, dzięki czemu staruszka stać było na komfortowe życie za pieniądze z pomocy społecznej i emeryturę wypłacaną mu przez Instytut Smithsona.

- To ja, Grant. Twój syn. Skup się. Spróbuj sobie przypomnieć.

- Mój syn wyjechał na studia. Chce zostać nauczycielem. Nauczyciel to porządny zawód.

- Nie, jestem tutaj, to ja jestem Grant. Musisz się skoncentrować. Zrobisz to dla mnie?

- Julie. Julie! - zawołał starzec.

Grant pokręcił głową. Jego matka zmarła przed laty.

- Mamy tu nie ma. Nie żyje. Już ci to mówiłem.

Ojciec wpatrywał się w niego ze zdumionym wyrazem twarzy.

- Dlaczego opowiadasz takie rzeczy? Gdyby tu był mój syn, Grant, dałby ci po twarzy. Mówisz o jego matce. Ona jest tu, ze mną. Widziałem ją kilka minut temu. Julie!

Upór to również coś, co nauczył się cierpliwie znosić.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Każdy kawałek wolnej przestrzeni, od podłogi po sufit, wypełniały książki. Ale większość istotnych pozycji przeniósł już do własnego mieszkania, a resztę sprzedał do antykwariatów. Jego ojciec i tak nie był już w stanie czytać. Słowa do niego nie docierały. Mógł tylko cały dzień siedzieć przed telewizorem i mechanicznie przełączać kanały, tak naprawdę nie oglądając nic.

- Posłuchaj mnie - Grant podniósł głos. - Musisz się skoncentrować. Dziś wieczorem jadę do Instytutu Smithsona. Pamiętaj Instytut.

- Pracuję w nim. Dzisiaj tam byłem.

- Nie, nie byłeś. Nie byłeś tam od dawna. Posłuchaj... Musisz mi powiedzieć kilka rzeczy.

- Młody człowieku, jestem głównym kustoszem Zamku i nie podoba mi się twój ton. Ani trochę.

Ojciec Granta rzeczywiście piastował kiedyś szaczone stanowisko kustosza Zamku, co oznaczało, że opiekował się główną siedzibą Instytutu. Pracował tam od 1969 do 1992 roku i był pierwszą zaledwie trzech osób, które pełniły tę funkcję. Grant i jego matka byli przy tym, kiedy w dzień przejścia na emeryturę sekretarz Instytutu publicznie dziękował jego ojcu za służbę, a współpracownicy zebrali się, żeby życzyć mu długiego życia. Pamiętał, że na moment ogarnęła go wtedy duma, jaką każdy chłopak powinien odczuwać w stosunku do swojego ojca. Ale takie chwile zdarzały się w jego życiu niezmiernie rzadko. Dziś chory umysł jego ojca najwyraźniej cofnął się w czasie o dwadzieścia pięć lat. Dlatego postanowił wykorzystać te urojenia dla swoich celów.

- Nie chciałem cię urazić. Ale muszę cię zapytać o jeden z waszych eksponatów.

- Ojku, mamy ich tak wiele.

- Mnie interesuje klucz ceremonialny. Opowiedz mi o nim.

Starzec zmarszczył czoło.

- Jaki klucz? Mam całe mnóstwo kluczy. Zdecydowanie za dużo. Próbowałem tłumaczyć ludziom, że powinniśmy likwidować zamki w drzwiach, ale oni ciągle dodają nowe. A ja muszę nosić przy sobie klucze do wszystkich zamków. Polecenie sekretarza. Kustosz musi mieć dostęp do wszystkiego. Bez wyjątku.

Schorowany umysł ojca Granta przynajmniej skupił się na jednym temacie. Zawsze to jakiś postęp.

-Posłuchaj mnie... Chodzi o klucz ceremonialny. Możesz mi coś o nim powiedzieć?

- Dziwne pytanie.

- Wcale nie. Zastanów się.

- Pleciesz głupstwa - odparł starzec, lekceważąco machając pomarszczoną ręką. - Klucz to klucz, i tyle. Zwykły klucz.

- Nieprawda.

Chciał najpierw spróbować po dobroci, dobrze wiedząc, że prawdopodobnie nic z tego nie będzie. Ale przynajmniej próbował. Czas uciec się do metod, które zawsze się sprawdzają.

Schylił się, chwycił ojca za gardło i brutalnie poderwał go z krzesła. Ze ściśniętej krtani starca wyrwał się świszczący oddech. Grant przygwoździł go do ściany, lekko odrywając jego stopy od ziemi.

- Nie mam czasu - syknął, ani na sekundę nie zwalniając żelaznego uchwytu, tak że do płuc starca docierała jedynie minimalna ilość powietrza. - Masz się skoncentrować i słuchać, co mówię.

Jego ojciec się nie poruszył Jak zawsze w takich chwilach. Normalna komunikacja rzadko przynosiła jakiegokolwiek efekty, ale fizyczna pręma z jakiegoś powodu pobudzała schorowany umysł. Może po prostu uaktywniał się wtedy pierwotny instynkt przetrwania albo wydzielała się jakaś substancja chemiczna czy hormon. Grant nie miał pojęcia, jak to działa. Wiedział tylko, że siłą potrafił przebić się przez tę mgłę.

- Zapytam jeszcze raz. Klucz ceremonialny. Muszę zdobyć oryginał, zgadza się?

Rozmawiali już kiedyś na ten temat.

- Ja go znalazłem, wiesz? - odpowiedział starzec. - To ja znalazłem ten klucz.

Pamiętał. Dowiedział się kiedyś w podobnych okolicznościach.

- Był w Zamku, na strychu. Pod dachem. Po prostu sobie tam leżał. Cały z mosiądzu. Wyglądał jak nowy, jakby go dopiero co odlano. Oddałem go sekretarzowi.

Wszystko to Grant słyszał już wcześniej.

Mocniej zacisnął palce na gardle. Jego ojciec otworzył szerzej oczy, z trudem łapiąc powietrze.

Powoli kończyła mu się cierpliwość.

Sflaczałe mięśnie starca nie były w stanie stawić żadnego oporu. Grant podniósł ojca nieco wyżej, co jeszcze bardziej zwiększyło nacisk na gardło, cały czas przyciskając go plecami do ściany.

- Czy on otworzy ten zamek? - wycedził.

Jego ojciec oddychał coraz ciężiej.

- Przysięgam, pułkowniku... Jestem lojalnym żołnierzem Południa. .. Nie jestem... szpiegiem...

A niech to. Wróciły urojenia na temat wojny secesyjnej. Grant miał nadzieję, że uda się tego uniknąć.

- Zamek jest... tylko dla sprawiedliwych. Dla członków... Zakonu. Tych, którzy ślubowali... wierność naszej sprawie. Czy jesteś... jednym z nich, pułkowniku?

Grant znał prawidłową odpowiedź.

-Tak.

Oczy ojca spojrzały na niego życzliwiej, jakby w mrocznych zakamarkach jego mózgu zapaliło się światło.

- W takim razie... powiem ci.

Grant opuścił ojca na ziemię i rozluźnił chwyt, pozwalając mu oddychać swobodnie.

- „Rycerze Czcigodni... spowici w szarość... Przed wielką próbą staje Południe. I choć spoczynku pragniecie na starość... Do boju prowadźcie, odważnie i chlubnie”.

Popatrzył na stukniętego staruszka i pokręcił głową.

Cholera. Znowu gada od rzeczy.

Czy ten stary dureń nie może po prostu umrzeć? Nie. Jego ojciec zamierzał żyć wiecznie. Gdyby chociaż dało się od niego uzyskać jakieś wartościowe informacje, nie byłoby jeszcze tak źle. Ale Grant musiał znosić brednie i majaki, z których jedynie z rzadka dało się wyłowić coś przydatnego, strzępy wiedzy rzucane w chwilowych przebłyskach świadomości. Czas jednak nagiął, dlatego dziś wieczorem trzeba będzie podjąć wielkie ryzyko. Sukces misji zależał od dwóch czynników, a oba były zamknięte na klucz w Instytucie Smithsona.

- „Sędziwi Rycerze odziani w szarości, nie rozplływajcie się w nicości. .. Konfederatów głos was wzywa, Srebrni Rycerze, niech szarża przybywa”.

Grant słuchał tych głupot przez całe życie. Kiedy był mały, z początku wydawały mu się nawet intrygujące, ale z czasem zaczęły działać mu na nerwy. Nikogo już dawno nie obchodziła wojna secesyjna. Ale zaginione

miliardy dolarów w złocie i srebrze? To zainteresowałoby każdego.

- Złoto, ty kretyne - wycedził. - Nie możesz powiedzieć czegoś o złocie? Potrzebujemy tego klucza?

- „Sługa wiary, prowadzę na wypas na północ od rzeki. Ścieżka jest niebezpieczna. Idę do osiemnastu miejsc. Szukajcie mapy. Szukajcie serca”.

W trzewiach Granta wezbrała fala wściekłości.

Zamachnął się i wbił pięść w brzuch ojca, nie na tyle mocno, żeby go poważnie uszkodzić, ale wystarczająco, żeby dać do zrozumienia, co o tym wszystkim myśli. Z płuc starca gwałtownie uszło powietrze i jego ciało bezwładnie osunęło się na podłogę. Grantowi przeszło przez myśl, że powinien wyciągnąć broń z kabury na ramieniu i po prostu zastrzelić starego durnia na miejscu, jak kulawego konia, który może już tylko żałośnie rzeć z bólu.

Jego cierpliwość się wyczerpała.

Gdzieś tam czekały na niego stopy złota. Ukryte od ponad stu lat.

Właściwie wiedza o istnieniu tego skarbu to jedyna wartościowa rzecz, jaką kiedykolwiek otrzymał od swojego ojca. Teraz, jako trzydziestopięcioletni mężczyzna, miał już dosyć tak dobrze znanego gorzkiego smaku porażki. Szkoła nigdy do niego nie przemawiała, tak samo jak stała praca od dziewiętej do siedemnastej. Jedno i drugie wydawało mu się przerażająco nudne. Dwukrotnie był żonaty, ale na całe szczęście nie dorobił się dzieci. Podejrzewał, że jest bezpłodny, ponieważ nigdy tak naprawdę nie stosował żadnej formy antykoncepcji. Był już zmęczony tym, że zawsze mu czegoś brakowało. Dwa lata temu aktywnie zaangażował się w coś, co mogło wreszcie zmienić jego życie. Zapewnić drogę do szybkiego wzbogacenia się. Ale powodzenie tego planu było uzależnione od tej żalosnej kreatury, która rzeziła ciężko u jego stóp.

- Nie powiesz mi, co?

Jego ojciec nadal klęczał na ziemi z opuszczoną głową i zanosił się kaszlem.

- „Walka niewolę niech w wolność obróci... I naszej ziemi światłość

przywróci. Boże Wszechmocny, dziś Cię błagamy... I na kolana przed Tobą padamy”.

Grant nie przepadał za zagadkami i nie był dobry w łamigłówkach. Na szczęście Diane poznała już sekrety strażników, co okazało się bardzo pomocne. Przy odrobinie szczęścia jeszcze dziś wieczorem zdobędą wszystko, czego potrzebują, zarówno tutaj, jak i w Arkansas. Liczył na to, że zanim wyruszy do miasta, uda mu się jeszcze wyjaśnić parę kwestii, dzięki czemu zyska pewność, że ryzyko jest tego warte. Cóż, będzie musiał po prostu zaufać intuicji. Zgodnie z planem za nieco ponad godzinę miał się stawić w Muzeum Historii Naturalnej.

Jego ojciec wciąż siedział skulony na podłodze.

Grant kopnął starca w klatkę piersiową, znów głównie po to, by wyrazić swoją irytację. Najlepsze było to, że jego ojciec i tak nic z tego nie zapamięta. W jego schorowanej pamięci nigdy nie zapisał się ani jeden cios.

Każda wizyta była jak pierwsza.

Na szczęście wiedział dostatecznie dużo, żeby móc działać dalej. Ostatnie lata spędził, przedzierając się przez niezliczone księgi, manuskrypty, listy i stare dokumenty. Pracownicy Muzeum Amerykańskiej Wojny Domowej w Richmond rozpoznawali go z daleka. Jeżeli był w czymś naprawdę dobry, to w odnajdywaniu tego, co zaginione.

Niesamowite, jak bardzo upływ czasu zmienił zasady gry. Kiedyś Zakon Rycerzy Złotego Kręgu liczył dziesiątki tysięcy członków. Dziś pozostały tylko niedobitki takie jak tamten stary strażnik w Arkansas i ten człowiek krztuszący się na podłodze u jego stóp. Który, praktycznie rzecz biorąc już i tak był martwy. Grant wynajął kilku ludzi i wysłał ich do Arkansas. Zgodnie z poleceniem Diane zapłacił im złotem konfederatów, które odnalazł osobiście. Wprawdzie zarówno on sam, jak i Diane i jej brat nosili krzyż w okręgu na znak ich wspólnoty, ale daleko im było do rycerzy. Szczególnie Diane - kobietom nigdy nie pozwalano złożyć przysięgi. Mimo to cała ich trójka wzorem dawnych rycerzy postanowiła się zjednoczyć. Połączył ich wspólny cel.

A Grant ogrywał w ich grupie kluczową rolę.

W kieszeni poczuł wibracje telefonu komórkowego.

Spojrzał na wyświetlacz. Dzwoniła Diane.

Po chwili namysłu uznał, że nie będzie odbierać. Nie miał czasu na tę rozmowę.

W tej chwili czekał przede wszystkim na telefon z Arkansas.

ROZDZIAŁ 12

ZAKON RYCERZY ŻŁOTEGO Kręgu wykształcił się z Klubów na rzecz Praw Stanów Południa, które powstały w latach trzydziestych XIX wieku i otwarcie orędowny za przywróceniem handlu afrykańskimi niewolnikami, od 1807 roku zakazanego przez Kongres. Drugie źródło inspiracji stanowił Zakon Samotnej Gwiazdy, który miał swoją rolę w uniezależnieniu się Teksasu od Meksyku w 1836 roku. Niektórzy twierdzą nawet, że korzenie organizacji sięgają wstecz aż do stowarzyszenia Synów Wolności i czasów amerykańskiej wojny o niepodległość.

Zakon został oficjalnie powołany do życia w Lexington w stanie Kentucky 4 lipca 1854 roku, przez pięciu ludzi, których nazwiska przepadły w mrokach historii. Jego członkowie lubowali się w rytuałach, w większości zapożyczonych od masonów. Lokalne oddziały nosiły miano zamków, a cały zakon stał się największą i najniebezpieczniejszą organizacją wywrotową w amerykańskiej historii. Do 1860 roku liczył już 48 tysięcy członków, rozsianych po wszystkich stanach i terytoriach zależnych. Politycznym i gospodarczym celem zakonu było stworzenie zamożnego, niewolniczego imperium ze stolicą w Hawanie, które obejmowałoby południowe stany USA, Karaiby i Amerykę Środkową. Plan zakładał także wchłonięcie Meksyku, który miał zostać podzielony na piętnaście nowych stanów, dzięki czemu zmieniałaby się równowaga sił w Kongresie i szala przechyliłaby się na korzyść zwolenników niewolnictwa. W ten sposób nowe stany tworzące półksiężyc nad Aatoką Meksykańską stałyby się częścią większego „złotego kręgu”. Gospodarkę opartą w całości na pracy niewolników miała napędzać uprawa bawełny, cukru, tytoniu, ryżu, kawy oraz indy go, a także górnictwo.

Na początku 1860 roku prasa w całym kraju donosiła, że Zakon werbuje wojska pod kątem planowanej inwazji na Meksyk. Z niewiadomych

przyczyn ofensywa nigdy nie doszła jednak do skutku. W opinii niektórych powodem był niedobór ludzi i zasobów, lecz zważywszy na groźbę wojny domowej, bardziej logiczny wydaje się wniosek, że Zakon nie chciał walczyć jednocześnie na dwóch frontach. Dlatego plany odnośnie do Meksyku zostały odroczone, aby organizacja mogła się przygotować do walki z północnymi stanami.

W styczniu 1861 roku rozpoczęła się secesja Południa. W lutym siedem byłych stanów ratyfikowało nową konstytucję i wybrało Jeffersona Davisa na tymczasowego prezydenta. Rycerze Złotego Kręgu natychmiast porzucili swoje plany ekspansji i stali się sojusznikami nowo powstałych Skonfederowanych Stanów Ameryki.

Był to okres ich największej świetności.

Wiele południowych ugrupowań militarnych składało się w całości lub w większości z rycerzy Zakonu. Zinfiltrowali oni także federalne arsenały, mennice, stocznie marynarki wojennej, jednostki wojskowe i samorządy lokalne, odgrywając ważną rolę w spisku północno-zachodnim, mającym na celu podsycanie nastrojów rewolucyjnych w Indianie, Illinois i Ohio. Na terenach wiejskich kradli konie, aby nie mogły posłużyć wojskom Północy. Przejmowali kontrolę nad małymi miasteczkami i nad gazetami, gromadzili broń, amunicję, mundury i zaopatrzenie. Ich głównymi metodami działania były podpalenia, grabieże i terror. Wgruncie rzeczy stali się tajną jednostką paramilitarną prowadzącą działalność kontrwywiadowczą. Niewiele wiadomo o ich konkretnych posunięciach, ponieważ większość dokumentacji przechowywanej przez sekretarza stanu Konfederacji, który komunikował się z Zakonem, zaginęła, gdy Richmond padło w kwietniu 1865 roku. Ale kiedy generał Lee skapitulował pod Appomattox i wojna oficjalnie dobiegła końca, Zakon się nie rozwiązał. Tajna organizacja stała się jeszcze bardziej skryta, całkiem schodząc do podziemia, a jej członkowie, ukrywając się pod pseudonimami, zaczęli potajemne przygotowania do drugiej wojny domowej. Mówiło się, że inwestują w kopalnie, kolej i transport morski, zbijając wielkie fortuny, które zmieniają w złoto i srebro, a następnie metodycznie zakopują te skarby na terenie całego kraju.

Rycerze Złotego Kręgu rzekomo wstrzymali wszelką działalność około

1916 roku, kiedy Stany Zjednoczone walczyły w pierwszej wojnie światowej. Do tego czasu większość fanatycznych rebeliantów już nie żyła.
Nie zanosilo się na kolejną wojnę domową.

- ZAKON JUŻ NIE istnieje - powiedział do Terry ego Morse'a Cotton.

- Dlatego że pan tak mówi? - odparł starszy mężczyzna. - Oni chcą, żeby właśnie tak się wam wydawało. Ale nadal mają się dobrze.

Cotton słyszał te opowieści od dziecka. Jego prapradziadek od strony matki, Angus Adams - który walczył w wojnie domowej jako szpieg Konfederacji - także był rycerzem Złotego Kręgu. Na strychu w domu dziadka Cottona leżały listy i inne papiery traktujące o konferencji zorganizowanej w 1859 roku w kurorcie Greenbrier na terenie ówczesnej Wirginii. Wzięło w niej udział niemal 1200 osób, w tym ministrowie, gubernatorzy i kongresmani. Uczestnicy konferencji zatwierdzili sześćdziesięciostronicową broszurę pt. Zasady funkcjonowania i kodeks Amerykańskiego Legionu Rycerzy Złotego Kręgu, w której spisano zamiary i cele organizacji. Cotton czytał książeczkę, której egzemplarz znalazł na strychu u dziadka, i pamiętał jej pierwsze zdania: „Niechaj nie będzie pomiędzy nami zwady, albowiem jesteśmy braćmi. Naszym zadaniem jest stać na straży konstytucji i przywrócić Unię w jej dawnym kształcie”. Dąb, drzewo wyrastające z żołądzia, stał się jednym z ich wielu symboli, reprezentującym siłę, rozwój i różnorodność. W szeregi organizacji wstąpiła większość wpływowych mieszkańców Południa, włączając w to przodków Cottona. Nie chcieli już jedynie osobnej konfederacji, ale wielkiego imperium.

Cotton zauważył, że Morse ma tatuaż. Przedstawiał krzyż wpisany w okrąg.

Jedną z pamiątek rodowych jego matki był złoty krzyż w okręgu.

- Co to? - zapytał matkę.

- Pamiątka po czymś', co już dawno nie istnieje.

Teraz naprawdę zżerała go ciekawość.

- Czyli po czym?'

- Po czasach, kiedy ludzie wierzyli w rzeczy, które dzisiaj wydają się nam obrzydliwe. Kiedy cała rasa ludzi żyła w niewoli. Kiedy kobiety nie znaczyły prawie nic, a Południe uważało samo siebie za niezwykione.

- Mówisz o wojnie secesyjnej?

Był zaledwie w piątej klasie i dopiero zaczynał się uczyć o Abrahamie Lincolnie i tym wszystkim, co działo się pomiędzy 1860 a 1865 rokiem. Ale medalion, który trzymała jego matka, budził jego fascynację.

- Dlaczego nie wyrzuciłaś tego wisiorka ?

- Dał mi go mój dziadek i powiedział, że pewnego dnia mam go przekazać swojemu dziecku. Chciał, żebyśmy zawsze pamiętali. Ale ja chyba raz na zawsze zerwę z tą tradycją.

To mu się nie podobało.

- Dlaczego?

Jego matka wrzuciła medalion z powrotem do szkatułki na biżuterię i odstawiła ją na najwyższą półkę w swojej szafie.

- Ponieważ już czas, żeby te wspomnienia całkiem się zatarty.

Cotton powrócił do chwili obecnej i spojrzął na Morse'a.

- Rycerze niewątpliwie bardzo liczyli się i przed wojną secesyjną i później. Ale do czasu pierwszej wojny światowej odeszli w niepamięć, a ich cel stał się nieaktualny.

- Ja wiem tylko, że mam zadanie do wykonania i dałem słowo mojemu tacie, że będę je wykonywał do końca swoich dni.

Cassiopeia siedziała w milczeniu, obserwując mężczyznę i jego wnuczkę. W pewnym momencie posłała Cottonowi pytające spojrzenie. Przed miesiącem zawarli pakt. Koniec ściemniania. Między nimi miało nie być więcej żadnych sekretów. Dlatego mrugnął do niej na znak, że później wszystko jej wytłumaczy.

- Dziadek jest rycerzem i strażnikiem - odezwała się Lea. - To ludzie, którzy strzegą skarbu. Chronią go i nie pozwalają innym go odnaleźć.

- Od jak dawna? - spytała Cassiopeia.

- Od pokoleń. To misja naszej rodziny. - Dziewczyna wypowiedziała te słowa z nieskrywaną dumą. - Podobno w tych lasach jest pełno złota.

- Należącego do Rycerzy Złotego Kręgu? - upewnił się Malone.

- Zgadza się - odparł Morse. - Ukryli je i zostawili znaki na drzewach, na ziemi, wszędzie. Takie jak te, po których pan tu dzisiaj trafił. Nieźle panu poszło. Ludzie często mówią, że to pieniądze bandytów. Ale to nieprawda. Należą do konfederatów.

Dziadek Cottona powiedział mu kiedyś, że rycerze „świetnie umieli ukrywać różne rzeczy, jednocześnie pozostawiając je na widoku”.

Dziś okazało się, że to prawda.

Za oknem zmierzch powoli przechodził w ciepły wieczór. Zegarek pokazywał godzinę 19:40. To był długi dzień, a do tego przebiegł zupełnie inaczej, niż Malone to sobie wyobrażał, gdy rano wyruszał w drogę. Planował jedynie zbadać wyznaczone miejsce, odnaleźć znaczniki oraz wypytać miejscowych, co wiedzą o całej sprawie. Miał tu spędzić najwyżej dwa dni, a potem wrócić do Waszyngtonu.

- Co pan miał na myśli wcześniej? - zapytał. - Rycerze chcą, żebyśmy myśleli, że Zakon przestał istnieć?

-Jakiś miesiąc temu przyszli do mnie obcy mi ludzie. Znali specjalny uścisk dłoni.

Morse wyciągnął prawą rękę, a Cotton ją ucisnął. Strażnik miał mocny chwyt, ale użył jedynie kciuka i dwóch pierwszych palców; serdeczny i mały pozostały wyprostowane. Cotton poszedł za jego przykładem i ich wolne palce się złączyły.

Znajome uczucie.

- Czemu tak zrobiłeś? - spytał swojego dziadka.

Byli na strychu domu w Georgii. W zakurzonej powietrzu dało się odczuć chłód jesiennego poranka.

-Jesteś już dostatecznie duży, żeby zrozumieć to, co chcę ci powiedzieć.

- Mam dopiero jedenaście lat.

-Ale jesteś naprawdę mądry - odparł ze śmiechem dziadek. - Dlatego chciałem, żebyś coś zobaczył.

Normalnie nie wolno mu było wchodzić na strych. Razem z matką mieszkali w domu jej rodziców już niemal rok, odkąd jego ojciec zaginął na morzu podczas wykonywania misji i został uznany za zmarłego. Dowiedzieli się tylko, że okręt podwodny, którym płynął, zatonął wraz z całą

załogą. Jego matka, która bardzo to przeżyła, znalazła w końcu ukojenie, rzucając się w wir pracy na rodzinnej farmie cebuli. On sam zrobił to co zawsze, czyli zachował swój ból dla siebie. Ale ostatnio coraz więcej czasu spędzał z dziadkiem.

Dziś wybrali się wspólnie na strych.

A tam dziadek pokazał mu dziwny uścisk dłoni, w którym splatało się ze sobą dwa ostatnie palce.

- Widzisz ? To właśnie uścisk członków Zakonu. Jeden podawał drugiemu rękę na oczach postronnych osób. I zadawał pytanie: „Należysz?”. Prawidłowa odpowiedź brzmiała: „Należę”. To oznaczało, że obaj są rycerzami.

Już przedtem słyszał od dziadka historie o Rycerzach Złotego Kregu, do których zaliczali się zarówno jego pra-, jak i prapradziadek. Szukał nawet w bibliotece na ten temat jakichś książek, ale niczego nie znalazł. Spytał też o to swojego nauczyciela historii, ale on nigdy nie słyszał o Zakonie.

Dlatego zaczął się poważnie zastanawiać, czy to w ogóle jest prawda.

- Mieli swój zamek, tutaj, w hrabstwie Toombs - ciągnął dziadek. - Tak nazywali swoje lokalne oddziały. Zamki. Mój ojciec służył w Zakonie, tak samo jak przedtem jego ojciec. Ci rycerze to były niezłe diabły.

Cotton otrząsnął się ze wspomnień i puścił rękę Morse'a.

Starszy mężczyzna patrzył na niego z zaciekawieniem.

- Pan wie, że mówię prawdę. Mam rację?

Malone nie chciał się jeszcze do niczego przyznawać.

- Czego chcieli ci ludzie, którzy pana odwiedzili? - zapytał.

- To było zaraz po tym, jak wypłoszyłem stąd poprzedniego faceta, który przyszedł węszyć przy tych drzewach. Nie wyglądał na poszukiwacza skarbów. Nie wiem, co to za jeden, ale raczej nie interesowały go lasy. Łatwo dał się nastraszyć. Zawiesiłem mu na drodze kukłę i zaraz wzięł nogi za pas.

Wszystko zgadzało się z relacją Martina Thomasa.

- Ale zdążył zakopać w ziemi ostrze od pługa i namierzył je za pomocą kompasu - ciągnął Morse. - A zatem ewidentnie wiedział, co robi. Tak samo jak pan dzisiaj. Obserwowałem pana. Ktoś pana poinstruował,

prawda?

Malone dostrzegął już, że ten stary człowiek jest o wiele sprytniejszy, niż chciałby zdradzić.

- Ludzie, którzy do mnie przyszli, wiedzieli, że jestem strażnikiem - mówił dalej Morse. - Wiedzieli też, czego pilnuję. Ale nic im nie powiedziałem. Nie ufałem im za grosz.

- Chociaż byli rycerzami?

- Nie jestem pewny, kim byli. Dlatego siedziałem cicho.

- Widzi pan - powiedział Malone - z nami nie ma pan wyboru. To jak będzie? Powie mi pan wreszcie, czego oni chcieli?

- Nawet lepiej. Pokażę panu.

ROZDZIAŁ 13

TENNESSEE

GODZ. 20:00

DANNY SIEDZIAŁ W SWOIM wysłużonym rozkładanym fotelu, w otoczeniu ulubionych przedmiotów. Po jego prawej paliła się lampka, na kolanach miał rozłożony notatnik. Przeczytał uważnie każdą stronę.

Kiedy gubernator położył się spać, on sam zamknął się w swojej sypialni na piętrze. Na kolację zamówili pizzę z pobliskiej restauracji. Miło było pogadać i powspominać dawne czasy. W ciągu ostatnich czterech miesięcy nieczęsto zdarzało mu się przyjmować gości. Właściwie widywał się tylko z Alexem oraz z agentem literackim, który uparcie namawiał go do rozpoczęcia pracy nad spisywaniem swoich pamiętników. Najwyraźniej napisanie książki należało do obowiązków każdego byłego prezydenta. Wyglądało na to, że jego historia cieszy się dużym zainteresowaniem, ponieważ aż trzech wydawców zaoferowało mu już siedmiocyfrową kwotę za rękopis. Danny musiałby zatrudnić pisarza widmo i zacząć dyktować mu swoje wspomnienia, ale na samą myśl robiło mu się słabo. To tak jakby oficjalnie uznać, że jego życie dobiegło końca i teraz pozostaje jedynie wszystko spisać przed śmiercią. Danny nie potrzebował więcej pieniędzy i na pewno nie miał ochoty przypominać sobie wszystkich, także tych mniej przyjemnych, szczegółów swojego życia.

Ale ten notatnik zdecydowanie rozbudził jego ciekawość.

Alex z pewnością coś planował.

Po raz drugi przekartkował ręcznie zapisane strony, gdzieś zatrzymując się na dłużej, żeby nauczyć się niektórych zdań na pamięć.

W latach 1789- 1795 Senat Stanów Zjednoczonych obradował potajemnie. Nie odbywały się żadne publiczne posiedzenia, ale nikt nie zwracał na to większej uwagi. Senat uważano za polityczną czarną dziurę, w której nie dało się zrobić prawdziwej kariery. Senatorowie nie mieli rzeczywistego wpływu, na prawodawstwo i praktycznie przestali się liczyć w polityce. Tymczasem Izba Reprezentantów, która organizowała publiczne posiedzenia, całkiem zdominowała Kongres. To tam podejmowano wszystkie decyzje. Senat stał się niemalże zapomnianą instytucją. Według słów Henry'ego Clay'a zapanała w nim „ponura cisza”.

W 1806 roku Aaron Burr, aktualny wiceprezydent, przekonał resztę Senatu, że zasada, według której można przegłosować koniec debaty, jest niepotrzebna. Pozostali przyznali mu rację i od tamtej pory senatorowie mieli prawo do nieograniczonych czasowo wystąpień, których nie można było przerywać. Sami nie mieli wtedy jeszcze pojęcia, co to oznacza.

W latach dwudziestych XIX wieku sytuacja zaczęła się zmieniać. Izba Reprezentantów rozrosła się do 181 członków, podczas gdy w Senacie nadal zasiadało tylko 48 osób. Członków Izby Reprezentantów wybierał naród, zaś senatorów mianowały władze stanowe. Obie instytucje rządziły się innymi prawami. Izba Reprezentantów regulowała czas przeznaczony na każdą debatę. W Senacie nie obowiązywały podobne ograniczenia, a członków wręcz zachęcano do dyskutowania. Senatorzy mogli przemawiać w nieskończoność. W dalszym ciągu jednak nie zdawano sobie sprawy z drzemającego w tym potencjału.

W latach trzydziestych XIX wieku senatorowie z Południa, odkryli, że zgodnie z przepisami, kiedy już zaczną przemawiać, nie muszą

nikomu oddawać głosu. Do tego dochodził fakt, że nie obowiązywał żaden limit czasowy, a, pozostali członkowie Senatu nie mieli możliwości przerwania ich wystąpienia. Tym samym południowcy zdali sobie sprawę, że mogą blokować mównicę w nieskończoność. Tak narodziła się obstrukcja parlamentarna. Webster, Calhoun, Clay i inni wykorzystywali tę metodę do paraliżowania pracy Senatu i torpedowania, wszelkich projektów legislacyjnych, które były im nie w smak.

Notatki te widniały pod nagłówkiem „Kontrargumenty”, tak jakby ich autor przygotowywał się do wygłoszenia przemówienia lub też napisania artykułu. Danny dobrze znał charakter pisma Alexa i natychmiast zauważył, że notatnik nie wyszedł spod ręki jego przyjaciela.

Przerzucił kilka kolejnych stron.

Większość zawierała obserwacje na temat mało znanych punktów regulaminu Senatu, rzeczy, które prawie nikogo by nie zainteresowały.

Choć powinny.

Te przepisy i procedury determinowały sposób, w jaki uchwalano prawo. Co sprytniejsi kongresmani potrafili przekuć szczegółową wiedzę na ten temat w taktyczną przewagę. Podczas swoich trzech kadencji w Senacie Danny poznał wszystkie niuanse 1500-stronicowego regulaminu.

Poczynając od 1789 roku, w Senacie Stanów Zjednoczonych służyło niecałe dwa tysiące mężczyzn i kobiet. Ogólnie rzecz biorąc, wszystkie te osoby dałoby się podzielić na dwie podstawowe kategorie: konie robocze i konie wystawowe. Jedni starali się wykonywać swoją pracę, drudzy chcieli tylko przypisywać sobie zasługi albo zrzucać winę na innych. Ostatnio ten podział stał się jeszcze wyraźniejszy, ponieważ Senat wydawał się dziś zdominowany przez tych ostatnich.

Wszyscy chcieli być na świeczniku.

Przez ostatnie cztery miesiące uwagę telewizji i prasy bez reszty absorbował fakt, że Senat odmawiał zatwierdzenia nominacji

gabinetowych prezydenta Foxa. Jeden senator, później wsparty przez drugiego, zablokował głosowanie w tej sprawie, w praktyce ubezwłasnowolniając pozostałych dziewięćdziesięciu dziewięciu. Wprawdzie na początku dwudziestego wieku wprowadzono zabezpieczenie, które pozwalało przełamać obstrukcję sześćdziesięcioma głosami, ale doprowadzenie do sytuacji, w której trzy piąte składu Senatu zgodziłoby się w jakiegokolwiek sprawie, i tak graniczyło z niemożliwością. Zwłaszcza jeśli chodziło o zakończenie debaty. Była to swoista forma kurtuazji. Jeżeli jeden senator zechciał uprawiać obstrukcję, pozostali po prostu na to przyzwalałi, wiedząc, że następnym razem to oni mogą znaleźć się na jego miejscu.

Danny z powrotem spojrzął w notatki.

Artykuł 1, sekcja. 5, klauzula. 2 konstytucji głosi, że obie izby Kongresu, są jedynymi arbitrami w kwestii swoich własnych procedur. Według postanowienia Sądu Najwyższego przepisy regulujące pracę Izby Reprezentantów są, przyjmowane co dwa lata, przez każdy nowy Kongres. Jednakże zasady obowiązujące w Senacie pozostają w mocy, o ile nie zostaną, oficjalnie zmienione. W 1892 roku w procesie Stany Zjednoczone kontra Ballin Sąd Najwyższy orzekł, że wystarczy do tego względnie uzasadniona, relacja pomiędzy istniejącą, regułą, a pożądanym rezultatem. Ta dość otwarta interpretacja w praktyce oznaczała, że kompetencje Kongresu w kwestiach zmian proceduralnych są, nieograniczone. Uprawnienia te mają, charakter ciągły, absolutny i nie mogą, być zakwestionowane przez żadną, inną, instytucję czy trybunał.

Danny podniósł wzrok znad notatnika.

To wszystko z trudem mieściło się w głowie.

Taisley powiedziała, że Alex dostał notatnik od brata Diane, Kennetha Layne'a. Wyglądało to jak streszczenie czyichś badań na temat zasad funkcjonowania Senatu i Izby Reprezentantów, zawierające odwołania

do wielu wyroków sądowych. Były tam też fragmenty dotyczące artykułu piątego konstytucji, który ustalał sposób wprowadzania poprawek do konstytucji - to kolejna niszowa kwestia, która najwyraźniej pasjonowała Kennetha Layne'a. Co on kombinował? I dlaczego, jak twierdziła Taisley, Alex był temu przeciwny?

Ostatnie strony notatnika wydały się Dannyemu szczególnie interesujące.

Jefferson Davis i Alexander Stephens nie znosili się wzajemnie. Chociaż piastowali urzędy prezydenta i wiceprezydenta Konfederacji, mieli zupełnie różne podejście. Davis opowiadał się za wojną, Stephens preferował dążenie do zmian na drodze konstytucyjnej. Stephens nigdy nie chciał wybuchu wojny ale pozostał lojalny wobec Georgii i poparł swój stan, kiedy zapadła decyzja o secesji. Ale choć Davis z początku uznawał zmiany prawne za niemożliwe, w kwietniu 1865 roku sam również doszedł do wniosku, że to prawdopodobnie jedyne wyjście, jakie im pozostało, skoro wojna zakończyła się klęską.

Stephens zasiadał w Izbie Reprezentantów od 1843 do 1859 roku. Wraz ze wzrostem znaczenia Senatu coraz bardziej utrwalała się praktyka obstrukcji parlamentarnej. W latach pięćdziesiątych XIX wieku nie dało się już właściwie nic załatwić w Senacie bez uprzedniego udobruchania każdego senatora z osobna. Wystarczyło, aby tylko jeden z nich stał się twoim wrogiem. W końcu kongresman Alexander Stephens z Georgii, zirytowany tym stanem rzeczy, znalazł sposób na osłabienie pozycji Senatu, ale nie udało mu się zdobyć dostatecznego poparcia, aby wprowadzić swój plan w życie. Potem zaś wybuchła wojna. W latach 1873- 1882 Stephens ponownie był członkiem Izby Reprezentantów, ale do tego czasu to Senat stał się dominującą, izbą, Kongresu i nie było już mowy o żadnych zmianach.

Danny nie wiedział, jak rozumieć te uwagi. W jaki sposób Alexander

Stephens zamierzał poskromić Senat? Daniels nigdy wcześniej nie słyszał tej historii.

Zapiski wypełniały około trzech czwartych notatnika. Na ostatniej stronie widniała nazwa, którą Danny znał z różnych starych opowieści:

Rycerze Złotego kręgu.

Poniżej znajdowało się następujące stwierdzenie.

Noaród rządzony przez króla jest jak człowiek , który bierze lwa jako psa obronnego. Jeśli wybije mu zęby, lew staje się bezużyteczny. Ale jeśli zostawi mu zęby, lew go zje.

Według adnotacji autorem tego cytatu był James Smithson, człowiek, którego pieniądze dały początek Instytutowi Smithsona. Alex zasiadał w zarządzie Instytutu, więc z pewnością był dobrze obeznany z poglądami Smithsona. Ale uwagę Danny ego najbardziej przyciągnęło jedno słowo dopisane u dołu strony.

Właśnie.

Wszystkie trzy pozycje na tej stronie były zapisane innym kolorem atramentu i innym charakterem pisma niż cała reszta notatnika.

Danny bez trudu rozpoznał rękę Alexa.

Który widocznie próbował kogoś przekonać do swoich racji.

Ogarnęło go złe przeczucie.

Niestety tylko jedna osoba mogła pomóc w rozwikłaniu tej zagadki.

Diane.

Na pewno będzie na niego wściekła, ale w końcu jej przejdzie. To jeden z bonusów wynikających z bycia eksprezydentem - ludzie najczęściej są wobec ciebie dość pobłażliwi. Przypomniawszy sobie coś, co mawiał jeden z jego dawnych politycznych rywali: „Obserwuj, za-

pamiętaj, porównuj, czytaj, dyskutuj, słuchaj i zadawaj pytania”.

Danny wykonał już pierwsze sześć punktów z tej listy.

Teraz czas na pytania.

Przez chwilę siedział, wdychając swojski zapach sypialni. Cisza aż dzwoniła, namacalna jak ciśnienie powstałe po eksplozji. Bębnienie deszczu o szyby przypominało odgłosy myszy biegających po podłodze. Zerknął na okno i zobaczył, że zasłony nie są zaciągnięte. Pauline nie zносиła siedzieć wieczorem w pokoju z zapalonym światłem i odsłoniętymi oknami, ale jemu nigdy to nie przeszkadzało.

Jak Diane zareaguje na wieść, że jej mąż być może kochał inną kobietę? Ze zamierzał się z nią rozwieść? Danny chciał zachować te fakty w tajemnicy najdłużej jak się da. Chociaż nigdy zanadto nie przepadał za Diane, nie widział powodu, żeby sprawiać jej teraz dodatkowy ból.

Ściskając w ręku notatnik, podniósł się z fotela, znalazł kluczyki do samochodu i zszedł na dół. Na werandzie pełnili wartę ochroniarze gubernatora.

- Zaraz wrócę - oznajmił Danny.

-Jest strasznie późno. Potrzebuje pan eskorty? - zapytał jeden z ochroniarzy.

W tej chwili absolutnie nie miał ochoty na niczyje towarzystwo.

- Nie trzeba. Dam sobie radę.

ROZDZIAŁ 14

COTTON WYSZEDŁ ZA Morseem na zewnątrz, za nimi podążyły Cassiopeia i Lea. Dowiadywał się nowych rzeczy w małych dawkach, tak samo jak podczas rozmów ze swoim dziadkiem. Od dziesiątego do szesnastego roku życia podobne opowieści pochłaniały go bez reszty. Jego wszyscy przodkowie od strony matki byli konfederatami, dumnymi mieszkańcami Georgii, którzy pozostali wierni, kiedy ich stan opuścił Unię. To były niewątpliwie zupełnie inne czasy. Ale żaden Adams nigdy nie posiadał niewolników, całą rodziną wspólnie uprawiali ziemię. Na szczęście w miasteczku Vidalia i okolicach mieszkało tej rodziny całkiem sporo. Wówczas nie sadzono tam jeszcze cebuli - to zaczęło się dopiero w latach trzydziestych. W tamtych czasach najwięcej dało się zarobić na kukurydzy i bawełnie.

Wszyscy czworo zatrzymali się na werandzie.

- Zajmuję się tym od bardzo dawna - powiedział Morse. - Dawniej strażnicy byli rozproszeni po całym Arkansas. Każdy miał kawałek ziemi, którym się zajmował. To drzewo, które dzisiaj pan znalazł, pokazał mi mój tatko. Kiedy mi to wszystko wytłumaczył, miałem mniej lat niż Lea. To mój główny punkt orientacyjny. Dlatego stoi w tym miejscu. Wyznacza linię graniczną. Pilnuję wszystkiego w promieniu osiemdziesięciu kilometrów od niego. Oczywiście nie przez cały czas. Tylko kiedy ktoś zaczyna tu węszyć.

- A skąd pan wie, gdzie są zakopane skarby? - zapytała Cassiopeia.

- Nie wiem. Po to przecież są te wszystkie znaczniki. Tatko zdradził mi położenie jedynie kilku kryjówek. Ale to tylko doły z zapłatą.

Dzięki swojemu dziadkowi Cotton wiedział, co Morse ma na myśli. Część spośród tajnych podziemnych składów pokazywano tym, którzy mieli ich strzec. Znajdujące się tam niewielkie ilości złota i srebra

stanowiły okresowe wynagrodzenie za ich służbę.

- Przysyłano nam instrukcje, gdzie trzeba kopać - dodał Morse. - Wtedy odnajdywaliśmy kryjówkę i mieliśmy trochę złota dla siebie.

- Sam pan też to robił?

Mężczyzna pokręcił głową.

- Nie miałem okazji. Nigdy nie dostałem żadnych instrukcji. Ale ten słój, który pan dzisiaj znalazł, jest naprawdę mały. Moim zdaniem to była właśnie jedna z tych kryjówek przeznaczonych dla mojego taty.

-Więc pracował pan za darmo? - odezwała się Cassiopeia.

- Na to wychodzi. Wypatruję ludzi, którzy za bardzo interesują się określonymi miejscami, i dokładam wszelkich starań, żeby wybić im to z głowy.

Guz na czole Malone'a boleśnie o tym przypominał.

- Dużo ludzi się tu kręci?

-To jest właśnie najdziwniejsze. Bardzo długo był spokój. Ale jakiś czas temu ukazało się na ten temat parę książek i zaczęli się tu pojawiać poszukiwacze skarbów. Głównie amatorzy. Próbowali namierzyć drzewa z mapy, kopali w ziemi, szukając znaczników. Ale wypłoszyłem ich wszystkich. A potem, z miesiąc temu, przyjechał taki jeden gość, następnie tamta grupka, o której mówiłem, a później wy. Ostatnio miałem pełne ręce roboty.

-W tysiąc dziewięćset dziewiątym roku przybyła tu ekspedycja z Instytutu Smithsona. Czy pański ojciec albo dziadek kiedykolwiek o tym wspominał?

Morse rzucił Maloneowi zaciekawione spojrzenie.

- To była duża sprawa. Tatko mi o tym opowiadał. Zdaje się, że ktoś wtedy zginął. Nieszczęśliwy wypadek przy polowaniu. Takie rzeczy zdarzały się tu do czasu do czasu.

- Czy pański ojciec kiedyś zabił kogoś, kto za bardzo się zbliżył?

Mina starego strażnika świadczyła o tym, że nie podoba mu się to pytanie.

- Tata nie, ale stryj owszem. Dwóch ludzi. Zastrzelił ich i zakopał wysoko w górach.

- Przecież to morderstwo.

- Pewnie tak. Ale czy to ma jeszcze jakiegokolwiek znaczenie? I stryj, i wszyscy inni strażnicy z tamtych czasów już dawno nie żyją.

- To ma znaczenie, panie Morse - odezwała się Cassiopeia. - Ponieważ to było morderstwo.

- Zabiła pani kiedyś człowieka? - zapytał Morse.

-Tak.

- Założę się, że pan też - strażnik zwrócił się do Malone'a.

Cotton pokiwał głową.

- Wyobrażam sobie, że nie zrobiliście tego bez powodu. Oni też nie. To złoto nie należało do ludzi, którzy przyszli go szukać.

Cotton uznał, że ta dyskusja donikąd nie doprowadzi, więc zmienił strategię.

- Nigdy nie nauczył się pan odczytywać wskazówek ukrytych w lesie?

Morse pokręcił głową.

- Nigdy nie musiałem. Nie takie mam zadanie. Odnoszę wrażenie, że sporo pan o nas wie. Na pewno nie jest pan rycerzem?

Tak naprawdę Cotton nie mógł tego wykluczyć. Jego dziadek opowiadał mu o Zakonie i o tym, w jaki sposób jego członkowie ukrywali swoje łupy. Wykorzystywali do tego tak zwane krzywulce, czyli celowo wygięte lub naturalnie zdeformowane drzewa, rosnące w większych skupiskach, aby dało się je z daleka dostrzec. Albo drzewa zasadzone w szeregu, czasem z jednym brakującym elementem, wskazującym na miejsce, gdzie zakopano skarb. Czasem nienaturalne je przycinano, tak jak słupki bramki, które Cotton widział dziś rano, albo nadawano im kształt krzyża czy litery T. Zdarzały się drzewa z elementami na stałe przymocowanymi do pnia lub wrośniętymi w korę. Aby jak najdłużej utrzymały się właściwości magnetyczne, w ziemi zakopywano duże żelazne przedmioty, takie jak piece, kociołki, kanki na mleko, kasy pancerne czy pługi. Stosowano także innego rodzaju znaczniki, na przykład układano kamienie w kształt rombu, w skałach wiercono dziury i wycinano zaszyfrowane symbole - te i podobne metody służyły przekazywaniu informacji dotyczących kierunku i

odległości poprzez odniesienie do wskazań kompasu, siatki mapy lub topografii terenu.

Wszystko razem składało się na wewnętrznie spójny system, niemy język znany jedynie garstce wybrańców - do których, jak zauważył Morse, nie zaliczali się nawet strażnicy. Jak się okazuje, dziadek Malone'a wiedział co nieco na ten temat. Pytanie nasuwało się więc samo: czyjego dziadek także był strażnikiem?

- Znalazłem dziś to złoto dzięki swojej własnej wiedzy oraz notatkom sporządzonym w tysiąc dziewięćset dziewiątym roku - powiedział Cotton. - Przez tego faceta, który zginął w wypadku podczas polowania - dodał z nieskrywanym sarkazmem. - Na szczęście jego zapiski przetrwały. Ten, kto go zabił, musiał je przeoczyć. Co prawda minęło ponad sto lat, zanim komuś udało się zrobić z nich użytek, ale w końcu tu trafiliśmy. Ten człowiek, którego wypłoszył pan miesiąc temu, przyjechał tu w tym samym celu co ja dzisiaj.

Zawsze uważał, że to tylko zmyślone opowieści, którymi dziadek zabawiał wnuka. Ale teraz zmienił zdanie. Wiedział już, że to prawda, ponieważ znalazł słoń pełen złota konfederatów i spotkał prawdziwego, żywego strażnika, którego rodzina strzegła tych sekretów od pokoleń.

- Chodźcie za mną - odezwał się w końcu Morse.

Zeskoczyli z werandy i obeszlili dom naokoło, kierując się ku jednemu z trzech budynków gospodarczych z nacinanych bali. W pewnym momencie Malone usłyszał stłumione, miarowe brzęczenie.

- Co to za dźwięk? Jakaś maszyna?

Z ust Morse'a wyrwało się drwiące parsknięcie.

- Pszczoły - odrzekł.

Stary strażnik otworzył nabijane gwoździami drzwi i włączył światło. Jednostajne brzęczenie stało się znacznie głośniejsze. Powietrze w środku było przesiąknięte słodkawym zapachem. Na ciężkich stołach stało około dziesięciu drewnianych skrzyń, a każda buczała jak transformator. Wzdłuż jednej ściany biegł długi drewniany stół warsztatowy z imadłem; na jego porysowanym blacie leżały przeróżne narzędzia.

- Trzymam pszczoły tutaj, poza zasięgiem złodziei - wyjaśnił Morse.

- Ludzie je kradną? - spytała Cassiopeia.

- Cały czas. Wypożyczam je farmerom, żeby zapyliły im drzewa owocowe. Ale są też i tacy, którzyje kradną i sami je potem wynajmują. Pszczoły nie da się oznakować jak konia, więc nie majak dowieść, że są twoje. Jak je stracisz, masz problem.

Cotton zauważył szczeliny w ścianach pod sufitem, przez które owady mogły swobodnie przelatywać.

- Ci faceci, którzy mnie wtedy odwiedzili - podjął Morse - szukali czegoś specjalnego. Jakimś sposobem dowiedzieli się, że jestem strażnikiem. Ale gość, który przyjechał przed miesiącem, sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział zbyt dużo. Kiedy rozmawiał z ludźmi w mieście, pytał zupełnie nie o to, co trzeba.

- Skąd pan wiedział, że tu jesteśmy? - zapytała Cassiopeia.

- Od znajomego pracującego w waszym schronisku. Zawsze dzwoni, kiedy zjawiają się jacyś poszukiwacze skarbów. Wypytywaliście o różne rzeczy i to zwróciło jego uwagę. Tak to już u nas wygląda. Pomagamy sobie wzajemnie.

Cotton to samo mógłby powiedzieć o mieszkańcach środkowej Georgii.

Jeśli opowieści, które słyszał, były prawdziwe, Rycerze Złotego Kręgu zdołali zgromadzić ogromne zapasy złota i srebra. Część pochodziła z całkiem legalnych źródeł, a część ze skarbca Konfederacji, według niektórych relacji znalezionej w 1865 roku, a według innych wciąż pozostającego w ukryciu. Nikt nie wiedział niczego na pewno. Udokumentowanym faktem jest, że na początku wojny secesyjnej trzy amerykańskie mennice zostały napadnięte i ograbione z zasobów monet i złota. Jeszcze większą ilość bogactw zwyczajnie przywłaszczono w trakcie wojny i tuż po jej zakończeniu - okradane były zarówno banki i firmy, jak i osoby prywatne. W każdym południowym stanie przetrwały niezliczone opowieści o zaginionych skarbach, choć mocno różniące się w szczegółach. Napisano też na ten temat masę książek. Właściwie wszyscy zgadzali się tylko co do jednego: rycerze istotnie zakopywali swoje bogactwa w ziemi i to tłumaczyło, dlaczego sprawa od tak dawna

budziła zainteresowanie poszukiwaczy skarbów.

-Tatko mówił mi, że jesteśmy kimś wyjątkowym - ciągnął Morse. - Ze strzeżemy czegoś niezwykle ważnego. Tak, na naszym terenie jest zakopane złoto. Małą namiastkę sam pan dzisiaj znalazł. Ale najważniejsza rzecz, której pilnujemy, nie jest zrobiona z metalu.

Strażnik podszedł do jednego ze stołów, na których stały ule, i zgiął się w pół. Na półce pod spodem leżał jakiś przedmiot o wymiarach mniej więcej pięćdziesiąt na sześćdziesiąt centymetrów, zawinięty w brudne zielone płótno. Najwyraźniej był ciężki, ponieważ Morse z wyraźnym trudem ściągnął go z półki i położył na blacie pomiędzy dwoma ulami. Kiedy odwinął płótno, ich oczom ukazała się kamienna płyta kilkucentymetrowej grubości z wrytymi rysunkami i napisami.



- To Kamień Wiedźmy - oznajmił Morse. - A przynajmniej tak na to mówił mój tatko.

Cotton, który swojej pamięci ejdetycznej zawdzięczał znajomość kilku języków, umiał odczytać hiszpańską inskrypcję. Górna linijka głosiła „Esta bereda es peligroza”. Ta bereda jest niebezpieczna? Słowo bereda kompletnie nic mu nie mówiło, ale wiedział, że vereda oznacza ścieżkę.

Ta ścieżka jest niebezpieczna?

Druga linijka brzmiała „Yo boy 18 lugares”. W hiszpańskim nie ma słowa boy, jest za to słowo voy, które pasowało do kontekstu. Ponadto zgadzałyby się z pierwszą linijką, gdzie litera v również została

zastąpiona przez b.

Idę do osiemnastu miejsc.

Trzecia linijka, „Busca el mapa”, była łatwa.

Szukaj mapy.

Równie jednoznaczna wydawała się ostatnia linijka, „Busca el coazon”.

Musiałoby chodzić o corazón, czyli serce.

Szukaj serca.

Ta ścieżka jest niebezpieczna. Idę do osiemnastu miejsc. Szukaj mapy.

Szukaj serca.

Cassiopeia wyciągnęła telefon i szybko pstryknęła kilka zdjęć.

- Wolałbym, żeby pani tego nie robiła - powiedział Morse.

- Więc po co nam to pan pokazał? - zapytał Cotton.

Morse nie odpowiedział.

W tym momencie skrzypnęły drzwi i do środka weszło trzech mężczyzn.

Wszyscy byli uzbrojeni.

Cassiopeia natychmiast sięgnęła po broń, ale człowiek, który wyglądał na przywódcę, pokiwał groźnie palcem.

- Nie radzę. Chyba nie chce pani, żeby tej dziewczynie coś się stało, prawda? Proszę rzucić broń na ziemię.

Cassiopeia zerknęła na Cottona, który kiwnął głową. Nie było innego wyjścia. Cassiopeia wypuściła pistolet z rąk, a jeden z intruzów od razu go podniósł.

- Pan też ma broń? - przywódca zwrócił się do Malone'a.

Cotton wyciągnął swoją berettę i również rzucił ją na ziemię.

- Dobra robota - powiedział mężczyzna do Morse'a. Stary strażnik przyjął pochwałę skinieniem głowy.

Lea wydawała się szczerze wstrząśnięta.

Cotton był wkurzony.

ROZDZIAŁ 15

WASZYNGTON

GODZ. 20:50

STEPHANIE NELLE STAŁA na Constitution Avenue, nieopodal wejścia do Muzeum Historii Naturalnej. Pół godziny wcześniej odebrała telefon i przyjechała na miejsce prosto z hotelu Mandarin Oriental, w którym zatrzymywała się za każdym razem, gdy wpadała z wizytą do stolicy.

Wznoszący się przed nią gmach wchodził w skład Instytutu Smithsona, który zarządzał muzeami po obu stronach parku National Mall. Po jego północnej stronie mieściły się takie obiekty jak Muzeum Indian Amerykańskich, Muzeum Lotnictwa i Astronautyki oraz słynna romańska siedziba główna Instytutu, zwana potocznie Zamkiem; w części północnej mieściły się muzea historii naturalnej, historii amerykańskiej oraz historii i kultury afroamerykańskiej. Wszystkie te gmachy wspólnie tworzyły największy na świecie kompleks muzealny, którego zbiory liczyły 140 milionów eksponatów, a każdy z nich miał rangę skarbu narodowego. Teraz jednak budynek, zamknięty już dla zwiedzających, wydawał się niepokojąco cichy i ciemny.

Weszła do środka bocznymi drzwiami, a następnie została skierowana przez strażnika do pomieszczenia bez okien, gdzie znajdowała się cała ściana płaskich monitorów, z których każdy pokazywał inny fragment budynku. Muzeum zajmowało sześć kondygnacji o łącznej powierzchni niemal 140 tysięcy metrów kwadratowych, było więc czego pilnować. W pokoju czekał już na nią Rick Stamm, obecny kustosz Zamku, który nie do końca czuł się na swoim miejscu w Muzeum Historii Naturalnej. Przyjaźnili się od lat. Ostatnio pomógł jej w kryzysowej sytuacji. Miała

wobec niego dług wdzięczności, więc gdy przed godziną do niej zadzwonił, nie mogła mu odmówić.

- Miałaś szczęście, że akurat byłam w mieście - powiedziała.

- To prawda. Jestem ci bardzo wdzięczny za przybycie.

Rick wskazał na jeden z monitorów. Widać było na nim dwóch mężczyzn, którzy znajdowali się w pomieszczeniu pełnym książek.

- To Biblioteka Cullmana. Przyszli tu, zanim do ciebie zadzwoniłem.

Stephanie wielokrotnie bywała w bibliotekach Instytutu Smithsoniana, rozsianych po różnych budynkach, zarówno muzeach, jak i ośrodkach badawczych. W sumie było ich aż dwadzieścia jeden i powszechnie uważano je za jedną z największych na świecie kopalni wiedzy. Biblioteka Cullmana mieściła się na parterze Muzeum Historii Naturalnej i zawierała obszerny zbiór rzadkich dzieł z zakresu antropologii i nauk przyrodniczych.

- Ten z jasnymi włosami to Martin Thomas - powiedział Rick. - Jeden z naszych bibliotekarzy, pracuje u nas od dziesięciu lat i ma nieposzlakowaną opinię. Z tego co wiem, jest pierwszy w kolejce do objęcia stanowiska zarządcy biblioteki w Muzeum Historii Amerykańskiej po przejściu obecnego szefa na emeryturę.

- Co on tu robi o tej porze? - zapytała Stephanie. - Przecież Biblioteka Cullmana nie ma nic wspólnego z historią Ameryki.

Rick pokręcił głową.

- Mamy niestety tylko obraz bez dźwięku. Kiedy zjawił się ten drugi facet, Martin od razu go tu przyprowadził.

Widoczny na monitorze towarzysz Martina był wysoki i umięśniony, na głowie miał gęstą czuprynę brązowych loków. Przez cały czas wiercił się nerwowo, próbując zająć czymś ręce. Stał tyłem do kamery, więc nie sposób było dojrzeć jego twarzy. Miał na sobie ciemną sportową marynarkę, spodnie garniturowe i koszulę z rozpiętym kołnierzykiem.

- Spójrz na jego kark - powiedziała Stephanie. - Co to jest?

Oboje przyjrzeni się bliżej.

- Wygląda jak naczyniak - stwierdził Rick. - I to całkiem spory.

- Możesz mi wyjaśnić, w czym problem? Pracownicy chyba często

wpadają tu wieczorami, prawda?

- Martin pracuje z nami przy specjalnym projekcie. Sę w tym, że nie poinformował nas o swojej dzisiejszej wizycie, a powinien był to zrobić, skoro gramy w jednej drużynie. Dowiedzieliśmy się dopiero, gdy zjawił się w bibliotece w towarzystwie tego mężczyzny. Kiedy strażnik ich zobaczył, natychmiast mnie o tym poinformował. A ja postanowiłem zadzwonić do ciebie.

- Powiesz mi dlaczego?

Oprócz nich w pomieszczeniu byli jeszcze dwaj pracownicy ochrony wpatrujący się w monitory. Rick rzucił jej spojrzenie, z którego wyczytała, że to nie czas ani miejsce na "wyjaśnienia. Powiedział tylko:

- Zastanawiające jest to, że skorzystali z wejścia dla personelu.

Stephanie wiedziała, co to oznacza: ograniczona kontrola i żadnych wykrywaczy metalu.

- I nie masz pojęcia, kim może być ten drugi ani po co tu przyszedł?

Rick pokręcił głową.

- Przecież od tego masz strażników i policję.

- Ale ja wolę ciebie.

Nie musiał nic więcej dodawać.

Czasem trzeba po prostu zacisnąć zęby i spłacić dług wdzięczności.

Rick dał jej znak, żeby wyszli na korytarz. Tam wyjaśnił pokrótce, na czym polega problem. Wszystko zaczęło się kilka miesięcy wcześniej, gdy znajdujące się w muzealnym archiwum tajne akta, do których dostęp można było uzyskać jedynie za zgodą uprawnionych organów administracyjnych, dostały się w niepowołane ręce.

- Nie wiedziałam, że w Instytucie Smithsona macie tajne archiwum - zdziwiła się Stephanie.

- Nie mamy. Po prostu niektóre materiały nie są dostępne dla wszystkich.

Dzięki nagraniom z monitoringu okazało się, że to właśnie Martin Thomas był sprawcą całego zamieszania. Gdy go o to zapytano, przyznał, że działał na polecenie członkini obywatelskiej rady doradczej biblioteki. Chodziło o Diane Sherwood, żonę jednego z członków

zarządu Instytutu. To ona poprosiła Thomasa, by przejrzeć akta.

- Wdowa po senatorze Sherwoodzie?

- Zgadza się - odparł Rick, kiwając głową.

Powoli zaczęła do niej docierać powaga sytuacji.

Chcąc się przypodobać pani Sherwood, Thomas spełnił jej prośbę. Co ciekawe, zamiast wyciągnąć konsekwencje wobec sprawców i całkowicie zamknąć dostęp do akt, władze muzeum pozwoliły przejrzeć akta kolejnym osobom.

- Doszliśmy do wniosku, że najlepszy sposób, żeby się dowiedzieć, o co tak naprawdę chodzi, to pozwolić jej samej doprowadzić nas po nitce do kłębka. Martin już wtedy z nami współpracował, więc postanowiliśmy czekać na dalszy rozwój wypadków.

- I co się stało?

- Coś, czego nikt się nie spodziewał. Martin poleciał do Arkansas, skąd wrócił cały roztrzęsiony. Podobno ktoś groził mu śmiercią. To wtedy zwróciliśmy się o pomoc do Cottona Malone'a.

Stephanie nie kryła zdumienia.

- Skąd znasz Cottona?

- Wcale go nie znałem. Ale nasz kanclerz o nim słyszał i poprosił, żebym zdobył więcej informacji na jego temat. Dowiedziałem się, że kiedyś pracował dla ciebie, a teraz jest na emeryturze. No więc zadzwoniłem do jego księgarni w Kopenhadze i go wynająłem.

- To Cotton tu jest? I z wami współpracuje?

- Właściwie obecnie przebywa w Arkansas z panią Vitt, w miej scu wskazanym przez Martina Thomasa. Pojechał tam, żeby się rozejrzeć.

Zazwyczaj było na odwrót: to ona dzwoniła do Cottona i albo go zatrudniała, albo po prostu zmuszała do współpracy. Był jej pierwszym rekrutem w jednostce Magellan Billet, którą sama stworzyła. Po dwunastu latach służby przeszedł na wcześniejszą emeryturę i wyjechał do Danii. W tej chwili każdy z jej dwunastu agentów miał ręce pełne roboty, część zajmowała się wykonywaniem powierzonych im misji, a reszta pomagała jej postawić na nogi Magellan Billet, po tym, jak jednostka została tymczasowo zamknięta przez nowego prezydenta oraz

prokuratora generalnego. Stephanie przyjechała do Waszyngtonu, żeby spotkać się z nowym prokuratorem generalnym i podjąć próbę nawiązania jakichkolwiek relacji z kimś, kto ewidentnie nie miał ochoty z nią współpracować.

- Wygląda na to, że rzeczywiście macie poważny problem. Ale Cotton i Cassiopeia już nad tym pracują, a oni są naprawdę dobrzy w swoim fachu. Do czego w takim razie ja jestem ci potrzebna?

- Zamierzamy przechwycić Martina Thomasa i tego drugiego gościa. Potrzebuję do tego twojej pomocy. A potem chciałbym, żebyś mi pomogła odkryć, o co w tym tak naprawdę chodzi. To wszystko trochę przerasta moje kwalifikacje.

W tym momencie otworzyły się drzwi od dyżurki i jeden z techników poinformował ich, że obaj mężczyźni zbierają się chyba do wyjścia. Stephanie i Rick wbiegli z powrotem do środka i spojrzeli na monitory. Mężczyźni rzeczywiście opuszczali bibliotekę. Thomas żywo gestykulował i mówił coś do swojego towarzysza, który nadal stał tyłem do kamery.

- Wie, że macie monitoring - zauważyła Stephanie.

- Właśnie widzę.

Thomas wyszedł na korytarz. Jego gość podążył za nim, a kiedy skręcał w stronę drzwi, poły jego marynarki rozchyliły się na ułamek sekundy. Mężczyzna natychmiast chwycił materiał i z powrotem się zapiął, lecz kamera zdążyła zarejestrować pewien niepokojący szczegół.

- Cofnij to i puść jeszcze raz - powiedział Rick.

Najwidoczniej zauważył to samo co ona.

Pracownik obsługujący monitory wpisał coś na klawiaturze. Na jednym z ekranów pojawił się zatrzymany obraz. Pod rozchyloną marynarką mężczyzny połyskiwała rękojeść pistoletu w kaburze zawieszanej na ramieniu.

- Niedobrze - stwierdziła Stephanie. - Trzeba to natychmiast przerwać.

- Muszę się dowiedzieć, po co tu przyszli.

- A co jeśli właśnie narażasz życie tego bibliotekarza? - przekonywała Stephanie, choć doskonale rozumiała jego dylemat. - W dodatku nadal

nie powiedziałaś mi wszystkiego.

- Zaufaj mi jeszcze przez chwilę, proszę.

Zgodziła się. W końcu знаła go od wielu lat.

Dwaj mężczyźni opuścili Bibliotekę Cullmana, gdzie zaraz po ich wyjściu zgąsły wszystkie światła. Niemal w tym samym momencie pojawili się na innym monitorze przesyłającym obraz z korytarza. W końcu dotarli do metalowych drzwi, przeszli przez nie i zniknęli im z pola widzenia.

- Te drzwi prowadzą do zamkniętej części budynku, gdzie trwa właśnie remont - wyjaśnił Rick.

Stephanie wiedziała, co należy w tej sytuacji zrobić.

- Powiedz mi, jak mogę się tam dostać niezauważona.

STEPHANIE BEZGŁOŚNIE ZAMKNEŁA za sobą metalowe drzwi. Do jej paska przyczepiony był mały odbiornik radiowy, a dzięki słuchawce w uchu i mikrofonowi w klapie miała obie ręce wolne.

- Wciąż tam są - usłyszała głos Ricka. - Idź prosto, a potem skręć w pierwszy korytarz w prawo.

Wokół niej panował półmrok, ponieważ tylko pojedyncze lampy oświetlały tę ogromną przestrzeń. Mimo to widziała leżące gdzieś tam materiały budowlane. Jak dowiedziała się od Ricka, to pomieszczenie pełniło kiedyś funkcję piwnicy, w której przechowywano różne graty, choć w rzeczywistości znajdowało się na parterze. Zamknięto je rok temu i od tego czasu trwały tu prace remontowe mające na celu stworzenie dodatkowej przestrzeni biurowej. Stephanie skorzystała z innego wejścia niż mężczyźni, dzięki czemu znajdowała się na tyle daleko, że mogła ich spokojnie śledzić. Chciała usłyszeć jak najwięcej, zanim zatrzymają ich strażnicy, którzy obstawili wszystkie wyjścia ewakuacyjne i tylko czekali na jej sygnał.

Wszystkie drogi ucieczki zostały odcięte.

W tej części budynku nie było żadnych kamer. Wejścia zagrodzono barierkami, ale mężczyźni całkiem je zignorowali. Najwyraźniej to,

czego szukali, znajdowało się właśnie tutaj. Cała ta sytuacja wydawała się dość niepokojąca, jednak Stephanie zakładała, że życiu Martina Thomasa nie zagraża niebezpieczeństwo. W końcu jego towarzysz przyszedł tu w konkretnym celu i potrzebował Thomasa, żeby ten cel osiągnąć.

Przynajmniej tak sama sobie tłumaczyła.

Ostrożnie przebrnęła przez labirynt kabli, rur, drutów i różnych maszyn, po czym skręciła w prawo, tak jak poinstruował ją Rick. Jej uszu dobiegły męskie głosy odbijające się echem od niewykończonych ścian. Prawdopodobnie wybrali akurat tę część budynku ze względu na brak kamer. Nie dawała jej spokoju świadomość, że ten obcy facet ma broń. Na szczęście ona też przyszła uzbrojona - w kaburze pod żakietem tkwiła jej służbowa beretta. Kiedyś nie nosiła pistoletu, ale z czasem przekonała się, że lepiej dmuchać na zimne.

Betonowa posadzka teoretycznie powinna tłumić jej kroki, lecz warstwa trocin, śmieci i wiórów z płyt kartonowo-gipsowych utrudniała jej bezgłośnie stąpanie. Przyszło jej na myśl, że to niesamowite, jak bardzo wytrzymałe są takie budynki. Gmach muzeum został wzniesiony w 1910 roku i do tego czasu ulegał wielokrotnym przebudowom, dostosowującym go do wymogów zmieniającego się świata.

Powoli przesuwała się w kierunku męskich głosów, aż wreszcie zatrzymała się na rogu, przy ścianie wyłożonej nagimi płytami kartonowo-gipsowymi.

- Doceniam to, co zrobiłeś. Naprawdę - odezwał się jeden z mężczyzn.

- Pracuję tu od dawna, ale możesz mi wierzyć, na pewno nie trzyma mnie tu pensja - odpowiedział drugi głos, który musiał należeć do Thomasa.

- W takim razie złoto, które ci dałem, powinno się przydać. Masz tu jeszcze trzy monety za dzisiejszą fatygę.

W pomieszczeniu rozległo się dzwonienie metalu o metal.

- To rzadkie okazy - stwierdził Thomas. - Zbadałem ten temat dokładniej. Chcesz znaleźć jeszcze więcej złota, prawda?

Na kilka sekund zapadła cisza.

- Mogę ci pomóc - ciągnął Thomas.
- A co dokładnie chcesz w zamian?
- Odpalisz mi część skarbu konfederatów.

ROZDZIAŁ 16

GRANT ZMIERZYŁ WZROKIEM Martina Thomasa. Być może nie docenił tego bibliotekarza. Diane zapewniała go, że stojący przed nim człowiek będzie chętny do współpracy, zwłaszcza że z tą prośbą zwróciła się do niego żona amerykańskiego senatora oraz członka zarządu Instytutu Smithsona. I jak dotąd Thomas rzeczywiście wywiązywał się ze swojej roli bez zarzutu. Uzyskał dostęp do odpowiednich akt, udzielił niezbędnych informacji, a nawet pojechał do Arkansas, żeby osobiście się tam rozejrzeć.

To było istotne tym bardziej, że na świecie wciąż żyli strażnicy. Gdzie dokładnie? Tego niestety nikt nie wiedział. Do dziś zachowała się jedynie część archiwów Zakonu, jednak Diane dotarła do wystarczającej ilości dokumentów, by dowiedzieć się, że Kamień Wiedźmy być może znajdował się w rękach niejakiego Terry'ego Morse'a, którego rodzina od bardzo dawna miała związki z rycerzami. Dlatego właśnie poradziła Thomasowi, żeby zbadał tę sprawę na miejscu, na co bibliotekarz od razu przystał. Mieli nadzieję, że wizyta pracownika Instytutu Smithsona otworzy drzwi, które do tej pory były dla nich zamknięte, lecz tak się nie stało. Upewnili się jednak, że gdzieś w tamtym rejonie działa jeden ze strażników.

Ostrzeżenie w postaci powieszanej na drzewie kukły i łusek po kulach to stara sztuczka Zakonu. Ten złowieszczy komunikat tak bardzo wytrącił Thomasa z równowagi, że natychmiast opuścił Arkansas, nie dowiedziawszy się w zasadzie niczego konkretnego. Według pierwotnego planu miał spróbować odnaleźć tajny skład złota, posiłkując się wiedzą na temat ekspedycji z 1909 roku. Wyglądało jednak na to, że Terry Morse nadal bardzo poważnie traktował swoją funkcję. W tej sytuacji postanowili wynająć zawodowców, którzy mieli przekonać

Morse'a, że są członkami Zakonu, i wykorzystać jego lojalność przeciwko niemu. Ten sprytny fortel powinien ich doprowadzić do Kamienia Wiedźmy i Grant liczył na to, że lada chwila odbierze telefon z informacją o wykonaniu zadania. W tym momencie jedyny problem stanowił ten stojący przed nim myszowaty, irytujący bibliotekarz, a dokładniej dwa słowa, które właśnie padły z jego ust.

„Skarb konfederatów”.

- A co ty niby o tym wiesz? - spytał Thomasa.

- Bardzo uważnie przestudiowałem dokumenty. W archiwach Instytutu Smithsona można znaleźć mnóstwo informacji na ten temat. Po zakończeniu wojny zniknęły miliony dolarów w złocie i srebrze. Nikt tak naprawdę nie wie, ile tego było. W większości chodziło o takie same monety - to mówiąc, Thomas pokazał otrzymaną przed momentem nagrodę. - To dość osobliwa forma zapłaty, nie sądzisz?

- Myślałem, że docenisz ten historyczny akcent.

Thomas zaśmiał się pod nosem.

- Owszem, doceniam. Nawet bardziej, niż myślisz. Z tego co do tej pory wyczytałem, wynika, że Instytut Smithsona sam kiedyś aktywnie szukał tego samego skarbu co wy. Pierwszą próbę podjęli w tysiąc dziewięćset dziewiątym roku, a potem wrócili do tego w latach siedemdziesiątych.

- Czyżby? A co konkretnie zrobili?

- Ach, rozumiem. To ma być test. Chcesz sprawdzić, ile tak naprawdę wiem. Dobrze. Wobec tego podam ci trzy słowa: Rycerze Złotego Kręgu.

- A na ich temat jak dużo się dowiedziałeś?

- Wystarczająco dużo, żeby napisać książkę. Co zresztą zamierzam zrobić. To na pewno będzie bestseller.

Diane nie powinna była zaufać takiemu oportuniście. Z drugiej strony Grant wiedział, że jeśli dzisiejszego wieczora wszystko pójdzie dobrze, nie będą już więcej potrzebować Martina Thomasa.

W tej chwili jedyne, czego od niego oczekiwali, to zapewnienie im nieoficjalnego dostępu do budynków Instytutu. Zamierzali mu za to

zapłacić, po czym odsunąć go od całego przedsięwzięcia. Diane była przekonana, że nie będzie z nim żadnego problemu.

Najwyraźniej się pomyliła.

- Widzę, że nie próżnowałeś.

- Spędziłem wiele godzin na studiowaniu dokumentów. I dowiedziałem się naprawdę ciekawych rzeczy.

To mu wystarczyło.

- Zgoda. Dostaniesz swoją działkę.

STEPHANIE SŁUCHAŁA TEGO Z rosnącym zdumieniem. A więc Martin Thomas nie zgłosił swojej dzisiejszej wizyty, ponieważ nie chciał, by ktokolwiek się o niej dowiedział. Działał na własną rękę i z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu uznał, że uda mu się ukradkiem wślizgnąć do budynku, a nawet jeśli zauważą go strażnicy z nocnej zmiany, to i tak nie zwrócą na niego większej uwagi. W końcu wielu członków personelu pracowało po godzinach. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Co więcej, jak dowiedziała się od Ricka, pracownicy mogli przeprowadzać ze sobą osoby z zewnątrz.

Zaintrygowała ją zapowiedź Thomasa, że napisze książkę o zaginionym skarbie konfederatów. No i kim są Rycerze Złotego Kręgu?

- Zrobimy tak - usłyszała głos drugiego mężczyzny. - Pójdziemy do Zamku, tam załatwię to, co mam do załatwienia, a potem tu wrócimy. Chciałbym przed wyjściem rzucić okiem na jeszcze jedną rzecz. A później porozmawiamy o twojej działce.

Stephanie zastanawiała się, czy nie powinna działać teraz, ponieważ doskonale zdawała sobie sprawę, że tego typu propozycje nigdy nie wychodziły na dobre temu, kto je otrzymywał.

- Ale po co mamy iść do Zamku? - zapytał Thomas. - I co musisz tutaj jeszcze zobaczyć?

- Wyjaśnię ci po drodze.

Najwyraźniej Thomas nie miał zielonego pojęcia, o co może chodzić, zarówno w jednym, jak i w drugim wypadku. Gdyby teraz wkroczyła do

akcji, Rick także nigdy by się tego nie dowiedział.

Dlatego postanowiła na razie uzbroić się w cierpliwość.

- Tam jest właz - oznajmił bibliotekarz. - Nigdy wcześniej tędy nie schodziłem.

Stephanie usłyszała szuranie butów na betonowej posadzce, a potem skrzypienie zawiasów i metaliczny brzęk.

- Co się dzieje? - zapytał w słuchawce Rick.

- Nie wiem - wyszeptała. - Wygląda na to, że wychodzą.

- Ale stamtąd nie ma jak się wydostać. Musieliby przejść obok ciebie.

Wszystkie pozostałe wyjścia zostały zaplombowane na czas remontu.

Stephanie stała przez chwilę bez ruchu, lecz wokół niej panowała głucha cisza.

Wreszcie zaryzykowała i wyjrzała zza rogu.

Zobaczyła wielką przestrzeń o szerokości mniej więcej piętnastu metrów. Z dwóch wewnętrznych, nieukończonych ścian zwisały kable i druty, a nad wszystkim górował nagi betonowy strop. Zewnętrzną ścianę, wychodzącą na National Mail, wieńczył rząd małych okienek, za którymi widać było tylko mrok nocy. Pomieszczenie oświetlały jedynie dwie żarówki w osłonach. Tuż pod zewnętrzną ścianą zlokalizowała źródło wcześniejszego hałasu - otwartą żelazną klapę w podłodze.

Ostrożnie podeszła bliżej.

Zajrzała do środka, ale nie zobaczyła nikogo.

Zauważyła natomiast metalową drabinę prowadzącą w głąb włazu. Widziała także zaizolowane rury, przewody elektryczne i druty. Z dołu, a dokładniej z kolejnego, wiodącego jeszcze głębiej otworu, dochodziło światło.

- Weszli do tunelu - szepnęła do Ricka.

- Prowadzi na drugą stronę National Mail, prosto do Zamku - odparł.

- Powstał głównie z myślą o rurach grzewczych i chłodniczych. Nie używamy go jako 'wyjścia, ale da się nim przejść.

Wyglądało na to, że nie ma wyboru.

- Idę za nimi.

- W tunelu aż roi się od różnych stworzeń. Schodzimy tam tylko, jeśli

to konieczne. Poza tym możemy przecież poczekać na nich po drugiej stronie.

- Myślałam, że chcesz się dowiedzieć, czego szukają.

- Owszem.

Głos w jej głowie protestował, przekonując, że to zadanie dla któregoś z jej agentów, ale żadnego nie miała w tej chwili pod ręką. A Thomas prowadził tego mężczyznę, żeby pokazać mu coś ważnego. Nadszedł więc czas, by samemu zrobić to, co zawsze kazała robić innym.

Zacisnąc zęby i wykonać zadanie.

Schowała pistolet i zaczęła schodzić po drabinie.

GRANT Z PODZIWEM ROZGLĄDAŁ się po tunelu. Znał wiele szczegółów na jego temat. Ten podziemny korytarz miał dwieście dwadzieścia metrów długości, metr dwadzieścia szerokości i metr siedemdziesiąt "wysokości. Zbudowano go w 1909 roku. W środku jego betonowe ściany zostały zaokrąglone i wygładzone, ale widocznie niezbyt dobrze zaimpregnowane, ponieważ wszystko było przesiąknięte wilgocią. Ciasny tunel z pewnością nie nadawał się dla kogoś z klaustrofobią, ale on nigdy nie cierpiał na tę dolegliwość. Co kilka metrów paliła się lampa. Bez tego oświetlenia nie dałoby się dostrzec własnej ręki, ani tym bardziej szczurów, które w ciemnościach stanowiłyby prawdziwe zagrożenie. W dzieciństwie słyszał historie o tym, jak pracownicy obsługi urządzali w podziemiach polowania, a raz nawet sam zdobył się na odwagę i zajrzał do tunelu od strony Zamku, do którego w tej chwili zmierzali. Bycie dzieckiem kustosa Instytutu Smithsona miało mimo wszystko swoje plusy.

Oczywiście Martin Thomas nie miał o tym bladego pojęcia. Dla niego Grant był po prostu przyjacielem Diane Sherwood, który płacił za przysługi złotem. Ile to już monet wydał do tej pory? Co najmniej dziesięć, nie licząc wydatków związanych z podróżą do Arkansas. Grant zastanawiał się, jak zareaguje Diane, kiedy dowie się o podjętej przez Thomasa próbie szantażu. Znając ją, podejrzewał, że zgodzi się spełnić

jego żądania. W końcu skarbu było tyle, że spokojnie wystarczy dla wszystkich. Ale na samą myśl o takim kompromisie aż go skręcało. Sam trafił na ślad tej żyły złota i nie chciał, aby jakiś człowiek z zewnątrz pozbawił go części głównej nagrody.

- Skąd wiedziałeś o tym tunelu? - zapytał go idący przodem Thomas. - Niewiele osób wie o jego istnieniu.

- Mój ojciec kiedyś tu pracował.

- Nigdy o tym nie wspominałeś. Ale to wyjaśnia twoją obszerną wiedzę na temat Instytutu.

Grant oszacował, że uszli jakieś sto metrów. Wystarczająco daleko.

Koniec rozmowy.

Wyciągnął pistolet.

I strzelił.

STEPHANIE WOLNO POSUWAŁA się ciasnym tunelem, w którym unosił się fetor rozkładających się zwierzęcych zwłok. Gorące powietrze niemal gryzło ją w oczy, a na czoło wystąpiły krople potu. Po obu stronach wzdłuż ścian biegły kable i rury łączące Muzeum Historii Naturalnej z Zamkiem. Stephanie szła ostrożnie, uważając, żeby ich nie dotknąć.

Nagle usłyszała głośny huk.

Zatrzymała się.

Przed nią znajdował się zakręt, przez co nie widziała mężczyzn. Drogę oświetlały żarówki w metalowych kratkach. Zwoje rur i przewodów ginęły w oddali.

- Słyszysz mnie? - szepnęła do wpiętego w klapę mikrofonu, zasłaniając ręką usta, by stłumić głos.

Odpowiedziała jej głucha cisza.

Można się było tego spodziewać, w końcu znajdowała się po ziemi, odseparowana od świata grubą warstwą betonu.

W uszach nadal jej dzwoniło od tego huk. Sprawdziła broń, po czym ruszyła przed siebie, nie wiedząc, co zastanie za zakrętem. Ile zdążyła już

przejsć pod powierzchnią parku? Co najmniej kilkadziesiąt metrów.

Dotarłszy do miejsca, gdzie tunel zakręcał, ostrożnie wychyliła się zza rogu. Jakies trzydzieści metrów dalej zobaczyła ciało. Natychmiast do niego podbiegła. Martin Thomas leżał twarzą do ziemi. Z dziury w tyle głowy sączyła się krew. Nie było sensu sprawdzać pulsu. Bibliotekarz nie żył. Niech to szlag.

Podjęła zbyt duże ryzyko, zakładając, że Thomas jest bezpieczny, ponieważ tamten mężczyzna go potrzebuje.

Widocznie się pomyliła.

Gdzieś w oddali rozległ się szcęk odsuwanego rygła, a po nim głuchy brzęk. Jakby ktoś zamykał bramę.

Nagle zgasły wszystkie światła i dokoła Stephanie zapadła całkowita ciemność. Na ułamek sekundy ogarnęła ją panika, ale szybko wzięła się w garść i stanęła nieruchomo. Nie widziała już ciała Thomasa, lecz wciąż czuła je tuż obok siebie. Rury i kable także stały się niewidoczne, jak również masywne metalowe obręcze, które co kilka metrów podtrzymywały wiszące na ścianach przewody. Co gorsza, przypomniała sobie o mieszkańcach tunelu, z pewnością uwielbiających mrok. Szybko zaczęła rozważać w myślach, jakie ma opcje. Mogła oświetlić sobie drogę telefonem, ale zdradziłaby w ten sposób swoją obecność, a przecież morderca być może wciąż gdzieś tu czyhał w ciemnościach. Wszystkie urządzenia znajdowały się po jednej stronie tunelu, mogła więc spróbować wrócić do Muzeum Historii Naturalnej, posuwając się wzdłuż pustej ściany.

W tym momencie żarówki znów rozbłysły.

Stephanie zmrużyła oczy, aby przyzwyczać wzrok do światła.

Ciszę zmaćcił jakiś hałas.

Niosące się tunelem echo uniemożliwiło ustalenie kierunku, z którego dobiegał.

Z przodu? A może z tyłu?

Uniosła berettę, gotowa do konfrontacji.

Ktoś zmierzał w jej stronę.

Pytanie tylko skąd?

ROZDZIAŁ 17

CASSIOPEIA PATrzyła, JAK trzech mężczyzn rozprasza się po pomieszczeniu. Bez żadnego wyraźnego planu czy zamysłu, po prostu stanęli w różnych miejscach. Poza tym żaden z nich nie wydawał się przesadnie czujny. Od razu było widać, że to amatorzy. Wynajęci pomocnicy. Mimo to udało się im wykorzystać Terry ego Morse'a, by ten zwabił ją i Cottona w zastawione przez nich sidła, więc musiała przyznać, że się postarali.

- Znasz tych ludzi? - zapytała swojego dziadka Lea.

- To rycerze.

W jego głosie było słycać dumę.

- Nieprawda - odezwał się Cotton, który najwyraźniej także stwierdził, że to zwykłe płatne zbiry.

Jeden z mężczyzn dał drugiemu znak, żeby zrobił komórką kilka zdjęć kamiennej płyty. Ten, który wydawał rozkazy, był przysadzisty i potężnie zbudowany. Miał gęste czarne włosy, spłaszczony nos i przerwę między przednimi zębami.

- Więc po to tu jesteście? - zapytał Cotton.

- Dokładnie. Ale ponieważ pojawiliście się wy dwoje, sytuacja się zmieniła.

Złe to wszystko wyglądało. Cassiopeię najbardziej martwił fakt, że Lea znalazła się w samym środku tej awantury. Terry Morse nie zdawał sobie sprawy, z kim i z czym ma do czynienia.

Kiedy tamten skończył robić zdjęcia, Cassiopeia uznała, że trzeba będzie przechwycić telefony intruzów - to najszybszy sposób, żeby się dowiedzieć, kto się za tym wszystkim kryje.

- Zrobiłem to, co chcieliście - powiedział Morse. - Sprowadziłem ich tutaj.

- To prawda - przyznał brunet. - Dobra robota. Mówcie - zwrócił się do Cassiopei i Malone'a - po co tu przyjechaliście?

Cotton wzruszył ramionami.

- Nigdy nie widzieliśmy tej części kraju, więc postanowiliśmy urządzić sobie wycieczkę.

Przywódca zaśmiał się pod nosem.

- Chyba trafił się nam komik.

- Będę występował dwa razy dziennie w naszym schronisku. Mogę wam załatwić bilety.

- Słyszałem, jak rozmawialiście w domu - odparł brunet. - Czego szuka w takim miejscu dwoje agentów federalnych?

- Jesteśmy z Biura Spisu Powszechnego - powiedział z uśmiechem Cotton. - Zbieramy dane statystyczne.

Brunet doskoczył do Lei, złapał ją i przycisnął jej pistolet do szyi. Dziewczyna szeroko otworzyła oczy ze strachu.

- Zabieraj łapy od mojej wnuczki - wrzasnął Morse.

- Zamknij się, staruchu.

- Coś ty do mnie powiedział? - Morse rzucił się do przodu, ale jeden z pozostałych intruzów zastąpił mu drogę i uderzył go ręką w skroń. Strażnik stęknął z bólu i upadł na ziemię.

Lea głośno wciągnęła powietrze.

Cotton podniósł obie ręce w udawanym geście kapitulacji.

- To naprawę nie jest konieczne. Na pewno jakoś się dogadamy.

- W takim razie mówcie, co tu robicie.

Lea nadal miała przy szyi lufę pistoletu.

Cassiopeia postanowiła powiedzieć prawdę.

- Dobrze pan słyszał, jesteśmy agentami federalnymi. Prowadzimy tu dochodzenie w imieniu rządu Stanów Zjednoczonych. A pan narobił sobie właśnie dużych kłopotów.

- Nadal nie odpowiedzieliście na moje pytanie.

Morse próbował wstać, ale ewidentnie kręciło mu się w głowie. Człowiek stojący obok niego pchnął go z powrotem na ziemię. Pszczoły nadal brzęczały w najlepsze, zupełnie nie zwracając na nich wszystkich

uwagi.

Cassiopeia domyślała się, jak to wyglądało. Pewnego dnia zjawili się ci trzej facci i pokazali, że znają specjalny uścisk dłoni. Pewnie mówili dużo o przeszłości i o Zakonie, używając przy tym odpowiednich słów. Nie знаła Terry ego Morse'a, ale wydawał się porządnym człowiekiem, dla którego najważniejszą sprawą w życiu było zadanie, które odziedziczył po ojcu. Komuś z zewnątrz mogło się to wydawać niedorzeczne, ale dla niego było to coś namacalnego, co dawało mu poczucie przynależności. Ona sama wciąż zmagła się z własną przeszłością, nieustannie zastanawiając się, gdzie właściwie jest jej miejsce. Na szczęście zawsze mogła liczyć na Cottona. Morse, mimo wsparcia wnuczki, wydawał się swojej walce bardziej osamotniony.

- Pytam po raz ostatni - powiedział brunet. - Co tu robicie?

Nadal trzymał broń przy szyi Lei. Cassiopeia spojrzała w oczy dziewczynie i niespodziewanie dostrzegła w nich więcej determinacji niż strachu.

Lea miała jaja. Jak jej dziadek.

- My też przyszliliśmy po ten kamień - odparł Cotton, wskazując na płytę.

Było to dość wiarygodne kłamstwo, a ponadto Cassiopeia miała przecucie, że właśnie takiej odpowiedzi od nich oczekiwano.

- Kto was przysłał?

- Instytut Smithsona.

Cassiopeia uważnie obserwowała twarze wszystkich obecnych. W pewnym momencie napotkała spojrzenie zielonych oczu Cottona i momentalnie przeskoczyła między nimi iskra porozumienia. Zupełnie jakby czytali sobie w myślach. Od razu wiedziała, co robić. Była to stara sztuczka, ale prawie zawsze się sprawdzała.

- Nie róbcie nam krzywdy! - krzyknęła.

Brunet odwrócił się w jej stronę, nadal trzymając dziewczynę.

- Powiem panu wszystko - dodała.

Stała blisko jednego z uli, niemal metrowej skrzynki pełnej drobnych otworów. Wszystkie ule były zbite z cienkich desek i wyglądały na dosyć

słabe.

- Nie jestem żadną bohaterką - powiedziała - tylko zwykłym pracownikiem. Wyjaśnię panu, dlaczego tu jesteśmy.

- To mi się podoba - odparł brunet. Odepchnął od siebie Leę i wycelował broń w Cassiopeię. - Zamieniam się w słuch.

- Lepiej mi się rozmawia, kiedy nikt nie mierzy do mnie z pistoletu.

W jej głosie nie było nawet cienia nerwowości, co ten głupiec powinien bez trudu zauważyć.

Ale nie zauważył.

Cotton wykorzystał fakt, że Cassiopeia ściągnęła na siebie całą uwagę, i przesunął się niezznacznie w stronę stołów.

Brunet powoli opuścił broń.

Jednym płynnym ruchem Cotton uniósł prawą nogę i kopnął najbliższy ul. Cassiopeia, która tylko czekała na znak, wypchnęła oba łokcie do tyłu, zrzucając ze stołu jeszcze dwie skrzynie. Cienkie jak papier drewno roztrzaskało się i ramki z plastrami miodu wypadły na ziemię. Oszołomione pszczoły przez chwilę czołgały się po ziemi zbite w wielką, futrzaną bezkształtną masę, po czym zaczęły wzbijać się w powietrze.

Bzyczenie stało się głośniejsze. Owady były coraz bardziej rozdrażnione.

Cassiopeia wiedziała co nieco o pszczołach. Na pewno utworzą groźnie wyglądający rój, ale nikogo nie uządla, jeśli nie poczują się zagrożone. Trzej intruzi jednak sami pogarszali sytuację, opędzając się od pojedynczych pszczół swoimi pistoletami.

Jako pierwszy został uządlony mężczyzna po jej lewej, który nagle wrzasnął z bólu. Cassiopeia z całej siły pchnęła go na ścianę, a jego głowa głucho stuknęła o grube drewno. Zachwiał się, nogi rozjechały się pod nim na klepisku, i zaczął machać rękami, szukając podparcia. W końcu zahaczył palcami o blat jednego ze stołów, który zamiast go podtrzymać, przechylił się i przewrócił, a z rozbitych skrzynek wyleciały kolejne kłęby owadów. Cassiopeia zauważyła, że Lea natychmiast rzuciła się na ziemię i położyła twarzą w dół obok swojego dziadka.

Nadal chciała zdobyć telefon, którym tamten facet robił zdjęcia, więc pobiegła w jego stronę, przedzierając się przez latające wszędzie pszczoły. Wiedziała, że gdy już zdecydują się na atak, nie będą dzieliły ludzi na wrogów i przyjaciół. Wszyscy trzej intruzi z trudem przebijali się do wyjścia, tłukąc się otwartymi dłońmi po twarzach, szyjach, uszach i głowach.

- Na ziemię! - krzyknęła Lea. - Nie ruszaj się.

Cassiopeia położyła się obok Morseow.

Dwaj pomagierzy wydostali się już na zewnątrz, ale Cotton odciął ich przywódcy drogę ucieczki. Brunet zamarkował ruch w prawo, po czym natychmiast skoczył prosto przez pszczoły i wyprowadził cios od lewej, który jednak tylko otarł się o cel. Cotton skontrował i trafił przeciwnika łokciem w gardło, po czym chwycił go za prawą rękę, przekręcił i wykorzystując jego własny ciężar, przerzucił go sobie przez biodro.

Pistolet spadł na ziemię.

Brunet miał jednak refleks. Płynnie wyładował, zrobił przewrót, zerwał się z powrotem na równe nogi i wypadł przez drzwi wyjściowe.

Pszczoły, już w pełni pobudzone, uznały chyba, że każdy z obecnych stanowi dla nich zagrożenie. Cassiopeia strzepnęła z siebie kilka, które próbowały na niej usiąść. Lea i Morse zaczęli czołgać się w stronę drzwi. Ruszyła w ich ślady.

Cotton podniósł pistolet i także skierował się do wyjścia.

Nagle rozległy się strzały.

Przez otwarte drzwi świsnęły kule i z hukiem wbiły się w wewnętrzne ściany budynku.

- Nie podnoście się! - rozkazał Cotton.

Ciemna chmura pszczół stawiała się coraz gęstsza. Cassiopeia jak najdelikatniej odtrącała kilka z nich, starając się nie rozdrażniać ich jeszcze bardziej. Cotton przyczołgał się na brzuchu do drzwi. Usłyszeli warkot silnika, a potem chrzęst opon na sypkiej ziemi.

- Odjechali - stwierdził Cotton. - Wynośmy się stąd.

Nie czekając ani chwili dłużej, cała czwórka ruszyła biegiem w stronę domu.

- Kiepsko nam poszło - powiedziała Cassiopeia. - Może powinniśmy ich gonić?

Cotton pokręcił głową.

- Ci goście to nie nasz problem.

Przyznała mu rację.

- Dałem plamę - odezwał się Terry Morse drżącym głosem.

Trudno było nie zgodzić się z tą oceną.

Cotton, który już nieco odsapnął, spojrział na niego surowo.

- Niech mnie pan uważnie słucha - powiedział. - Ma pan teraz ostatnią szansę, żeby to naprawić. W przeciwnym wypadku oboje będziecie potrzebowali cholernie dobrego prawnika, jeśli nie chcecie trafić za kratki.

ROZDZIAŁ 18

DANNY JECHAŁ PRZEZ hrabstwo Blount, po drogach, które znał od dzieciństwa. Wycieraczki wybijały wolny, jednostajny rytm. Okolice wyglądała inaczej, niż zapamiętał, część hrabstwa zmieniła się wręcz nie do poznania, zupełnie jak jego własne życie. Udało mu się zdobyć stanowisko, które w opinii wielu uczyniło go najważniejszą osobą na świecie. Teraz zaś jego kariera dobiegła końca, choć ledwo przekroczył wiek emerytalny, a psychicznie nadal czuł się jak najwyżej pięćdziesięcioletni mężczyzna. Tak wiele jeszcze mógłby zdziałać. Ale jak? Nikogo nie obchodziło zdanie byłego prezydenta. Przyzwoitość nakazywała, aby nigdy nie wypowiadał się krytycznie ani o swoim następcy, ani o Kongresie. Najważniejsze w końcu było „podtrzymywanie prestiżu urzędu”. Historia uczyła, że jako eksprezydent mógł odtąd jedynie pisać pamiętniki, budować biblioteki i angażować się w działalność charytatywną oraz za ogromne pieniądze jeździć w różne miejsca, by dzielić się z innymi swą gromadzoną przez lata mądrością. Jednym słowem, czekał go już tylko powolny, bolesny proces odchodzenia w niepamięć.

Poza tym właściwie jaką miał do zaoferowania mądrość? Był przecież tylko chłopakiem ze wschodniego Tennessee, który miał smykałkę do polityki. Walka wyborcza stała się jego drugą naturą. Nigdy nie przegrał w żadnych wyborach. Jego obie kampanie prezydenckie zakończyły się miażdżącym zwycięstwem, zarówno jeśli chodzi o głosowanie powszechne, jak i głosy elektorskie. Wiedział, że będzie mu brakowało atmosfery tego wyścigu. Uwielbiał nawiązywać kontakt z wyborcami. Zawsze był szczery i otwarty, patrzył ludziom prosto w oczy i mówił dokładnie to, co myślał. Nieraz wpadał przez to w tarapaty, ale pozwoliło mu to także wyrobić sobie określoną reputację. Słyszał na

swój temat wiele epitetów: uparty, arogancki, apodyktyczny... Jeden idiota z Kongresu raz nawet nazwał go sukinsynem. Ale nikt nigdy nie oskarżył go o bycie hipokrytą czy kłamcą. Przyjaciele go kochali, a wrogowie się go bali. Dokładnie tak jak powinno to wyglądać.

Tak naprawdę tylko dwa razy poniósł w życiu porażkę: pozwolił Mary zginąć w pożarze i nie potrafił dać szczęścia Pauline.

Jedno i drugie przesładowało go do dzisiaj.

Jedno i drugie było nieodwracalne.

Dochodziła dziewiąta wieczorem. Danny jechał wzdłuż czarnej, nieprzeniknionej ściany lasu.

Na drodze nie spotkał nikogo, co o tej porze w hrabstwie Blount nie wydawało się niczym niezwykłym. Zwolnił i zatrzymał się na skrzyżowaniu z drogą prowadzącą do domu Sherwoodów. Po prawej ręce zobaczył przednie światła nadjeżdżającego samochodu, który po chwili przeciął skrzyżowanie i pomknął w kierunku, w którym Danny także zamierzał jechać.

Pojazd zwrócił jego uwagę. Był to czarny lincoln.

Samochody od zawsze były jego pasją. Uwielbiał je. Nawet kiedy rezydował w Białym Domu, cały czas prenumerował magazyny „Hot Rod”, „Car and Driver”, „Road & Track” i parę innych czasopism motoryzacyjnych, które dawały mu chwilę wytchnienia od pracy. Właściwie powinien spróbować załatwić sobie specjalne zaproszenie na jakiś pokaz zabytkowych wozów. To nie byłoby takie złe.

Skręcił i ruszył w ślad za lincolnem.

Notatnik leżał na siedzeniu pasażera. Nie będzie łatwo wytłumaczyć Diane, dlaczego go ukradł. Wcześniej ostrzegł też Taisley, że być może będzie musiał wyjawic jej sekret. Do pewnego stopnia miał ochotę powiedzieć Diane prawdę tylko po to, żeby zobaczyć jej minę. Wydawała się całkiem zadowolona z siebie, kiedy robiła mu przytyki na temat jego rozwodu. Ale wiedział, że w ten sposób naprawdę może ją zranić, a niezależnie od tego, jaki miał do niej stosunek, to nie było w jego stylu.

Dziwnie się czuł, pędząc samotnie po ciemnej drodze. Przez ostatnich

osiem lat jedynym miejscem, gdzie mógł побыć w samotności, była jego sypialnia w Białym Domu. Do tego azylu miał wstęp wyłącznie jego szef sztabu. Nawet Pauline pozostała wierna tradycji i miała swój własny pokój na tym samym piętrze. Z uwagi na diametralnie różny harmonogram zajęć prezydenci i pierwsze damy rzadko sypiali razem, dlatego osobne sypialnie okazały się koniecznością. Zdarzały się oczywiście wyjątki, ale ogólnie rzecz biorąc, życie w Białym Domu nie sprzyjało zdrowym relacjom małżeńskim. Ustawa o byłych prezydentach zapewniała mu dożywotnio emeryturę, ubezpieczenie zdrowotne, ochronę osobistą i środki na utrzymanie własnej kancelarii. Danny zatrzymał emeryturę - którą podzielił się po równo z Pauline, bo ze wszech miar na to zasłużyła - i ubezpieczenie, a z reszty zrezygnował. Jeśli ktoś zechce go zabić, proszę bardzo. Ale szczerze wątpił, żeby ktokolwiek aż tak się przejmował byłym prezydentem Danym Danielsem. To przecież trochę tak, jakby ktoś uparł się, żeby zastrzelić zwierzę przejechane przez samochód.

Zbliżając się do podjazdu prowadzącego do rezydencji Sherwoodów, zobaczył, że w oknach nadal jest światło. Zewnętrzne reflektory przebijały się przez gęstą mgłę i zalewały światłem frontową i boczną ścianę. Czy to możliwe, że stypa jeszcze się nie skończyła? Na półokrągłym podjeździe przed domem stał zaparkowany jeden samochód - znajomo wyglądający czarny lincoln. Danny wolno wtoczył się na pobocze po drugiej stronie drogi i zgasił światła. Przez chwilę siedział wwozie, zastanawiając się, co dalej.

Nie spodziewał się, że Diane nadal będzie miała gości.

Jego wizyta musiała więc poczekać.

Chwycił dźwignię i wrzucił wsteczny bieg. Zamierzał wrócić do domu i zająć się tą sprawą jutro. Ale zawahał się, gdy nagle w lusterku wstecznym zobaczył światła, a po chwili na podjazd pod domem Sherwoodów skręcił drugi lincoln. Deszcz zmienił jego tylną szybę w wodnisty kalejdoskop rozmazanych kształtów, dlatego opuścił okno po stronie kierowcy i wystawił głowę na zewnątrz. Pomiędzy drzewami widział, jak nowy samochód parkuje przed wejściem do domu.

Tylne drzwi się otworzyły i wysiadł z nich mężczyzna o znajomej sylwetce. Jego twarz była doskonale widoczna w świetle reflektorów na werandzie.

Lucius Vance.

Czego mógł szukać tu o tak późnej porze spiker Izby Reprezentantów? Z samochodu wyłoniło się jeszcze dwóch facetów.

Secret Service.

Spikerowi Izby, tak samo jak prezydentowi i wiceprezydentowi, od dawna przysługiwała ochrona. Ci sami agenci stali przy samochodzie Vance'a wcześniej, na cmentarzu. Teraz jeden z nich wszedł do środka ze swoim szefem, a drugi został na zewnątrz przy wozie.

Alex i Lucius Vance nigdy nie byli przyjaciółmi. Jeden służył w Senacie, drugi w Izbie Reprezentantów. A choć oba ciała Kongresu były w teorii równorzędne, wszyscy wiedzieli, że w rzeczywistości wcale tak nie jest. Każdy spośród setki senatorów dzierżył tyle samo politycznej władzy co przewodniczący Izby. Spikerzy nie lubili tego przyznawać, ale to prawda. Dlatego żaden senator nie przejmował się w najmniejszym stopniu tym, co myśli o nim ten, kto stoi na czele Izby Reprezentantów. Danny nie słyszał też nigdy o żadnych powiązaniach pomiędzy Vance'em a Diane.

No więc co on tu robił?

Wiele lat temu, kiedy po raz pierwszy znalazł się w radzie miasta Maryville, pewien wyborca skarżył się, że robotnicy zatrudnieni przez miejski wydział drogowy, zamiast pracować przez cały dzień, wyjeżdżali swoją ciężarówką do lasu, gdzie spędzali dobrych kilka godzin, paląc papierosy i pijąc piwo. To było pierwsze doświadczenie Danny ego na stanowisku publicznym i chciał zrobić dobre wrażenie, dlatego któregoś dnia sam wybrał się do lasu, znalazł sobie kryjówkę i czekał. Faktycznie, po jakimś czasie pojawili się robotnicy, żeby zrelaksować się przy piwie i papierosach. Danny miał ze sobą aparat i pstryknął im kilka efektownych fotek. Ale najbardziej zdumiał go fakt, że był z nimi ich nadzorca, człowiek, któremu on sam załatwił tę pracę w ramach przysługi wobec innego politycznego sprzymierzeńca. Bez trudu mógł

doprowadzić do tego, by wszyscy zostali zwolnieni, ale po prostu wyszedł z kryjówki, poczęstował się ich piwem i spokojnie sobie z nimi pogadał. Wy tłumaczył, że coś takiego nie ma prawa się więcej powtórzyć, a oni od tego dnia stali się najlepszymi robotnikami, jacy kiedykolwiek pracowali dla miasta, i już zawsze z wdzięcznością myśleli o radnym Dannym Danielsie.

„Postaw na swoim, ale nie rób sobie wrogów”.

Tak brzmiało jego motto.

Lucius Vance raczej nie potrafiłby zjeść sobie kogokolwiek, ale z pewnością umiał postawić na swoim. Danny postanowił jednak wysiąść, zostawiając notatnik w samochodzie. Przeszedł przez zalaną deszczem drogę i minął wylot okrągłego podjazdu. Dom stał jakieś dwadzieścia metrów od głównej drogi, skryty wśród drzew i krzewów. Alex często narzekał, ile wysiłku kosztowało go to, by okiełznać podchodzącą niemal pod same drzwi roślinność.

Dziesięć metrów za skrzynką pocztową Sherwoodów Danny zszedł z jezdni. Z tego co pamiętał, kilka kroków dalej zaczynała się leśna ścieżka. Znał ten szlak. Prowadził pod górę na tyły posesji, gdzie teren przecinało koryto Little River. Gdzieś tam stracił życie jego przyjaciel. Alex nazywał te lasy swoim gabinetem, ponieważ zawsze mógł się tam schować przed wzrokiem mediów i opinii publicznej, zapalić fajkę i w spokoju pomyśleć. Prezydenci też mieli takie zaciszne miejsce - ośrodek Camp David.

Jako dziecko, a potem nastolatek Danny spędził wiele nocy w górach Great Smokies. Jego ojciec był zapalonym myśliwym, a matka urodziła się i wychowała w Appalachach. Lubił podmokły, mroczny świat głębokiego lasu, gdzie powietrze jest przesycone zapachem wilgotnej gleby. Nauczył się już dawno temu, że nie trzeba się bać, wystarczy być czujnym. Ta rada niejednokrotnie sprawdziła się również w polityce.

Wkroczył na leśną ścieżkę i ruszył nią pod górę. Stąpając po miękkich sosnowych igłach, wolno posuwał się w kierunku domu Sherwoodów. Choć z wszystkich stron otaczał go mrok, bez większego trudu odnajdywał krętą dróżkę wśród mokrych zarośli. Na szczęście mimo lat

spędzonych w służbie publicznej nadal widział w ciemnościach równie dobrze jak za młodu.

Lekki wiatr szeleścił koronami drzew, z oddali dobiegał szum rzeki. Gdzieś zaczął szczekać pies, a jego ujadanie odbiło się echem od gór. Podkład dla pozostałych odgłosów stanowiło jednostajne cykanie świerszczy. Mieszkając w Białym Domu, Danny uwielbiał samotność, jaką niosła ze sobą noc, a jego telefony o świcie do zaspanych asystentów przeszły do legendy. W pewnym momencie ujrzał między drzewami światła w oknach. Miał nadzieję, że nikomu nie przyszło do głowy, żeby zasłonić wielkie przeszklone drzwi w salonie, ale był dobrej myśli - w końcu w promieniu wielu kilometrów nie było nic z wyjątkiem lasów.

W końcu dotarł do miejsca, z którego powinien mieć dobry widok na dom. Wskoczył w kępę paproci i podkradł się jeszcze kawałek bliżej. Zdając sobie sprawę z ryzyka, ostrożnie stawiał kroki, cały czas wypatrywał także ochroniarzy, którzy w każdej chwili mogli postanowić rozejrzeć się na tyłach domu. Na szczęście zarośla, choć mokre, nie były zbyt gęste i z łatwością dotarł do grubego pnia sosny, zza którego dokładnie mógł obserwować tylny taras. Wiedział, że to szaleństwo, ale nie mógł się powstrzymać. Tak samo jakz tymi robotnikami przed wielu laty, jakaś siła pchała go naprzód. Miał problem i musiał go osobiście rozwiązać. Ale nie był już miejskim radnym, tylko byłym prezydentem Stanów Zjednoczonych.

I po raz pierwszy od miesiąca czuł, że naprawdę żyje.

Wiosenne listowie nad jego głową w dużej mierze chroniło go przed deszczem. Gdy tylko zobaczył, że okna i szklane drzwi nie są zasłonięte żadnymi roletami czy kotarami, serce zabiło mu mocniej. Jak na dłoni widział stąd wewnątrz salonu, a w nim troje ludzi.

Diane, Vance'a i jeszcze jednego mężczyznę w średnim wieku.

Miał ciemne włosy i wąsy, był ubrany w garnitur i koszulę bez krawata. Jego twarz nie wyglądała znajomo. Danny oczywiście nic nie słyszał, ale za to mógł obserwować, jak cała trójka rozsiada się wygodnie z drinkami w rękach. Jego wewnętrzny zmysł polityczny natychmiast zaczął bić na alarm. Nie przychodziło mu do głowy żadne racjonalne

wyjaśnienie podobnego spotkania. Mimo to starał się zachować spokój. Przez całe życie myślał jak osoba stale otoczona przez wrogów. Nazywał to „uzasadnioną paranoją”, ale to właśnie dzięki temu lękowi zawsze pozostawał skupiony i czujny. Teraz zaś czuł przez skórę, że coś wisi w tym wilgotnym powietrzu. Jakaś niewypowiedziana groźba.

W głowie kłębiła mu się cała masa pytań.

ROZDZIAŁ 19

STEPHANIE ROZGLĄDAŁA się po tunelu. Za wzrokiem podążała ręka z pistoletem. Ktoś wyszedł zza zakrętu od strony muzeum i zmierzał w jej kierunku.

Rick Stamm.

Odetchnęła z ulgą.

- Straciliśmy z tobą łączność - wyszeptał, zbliżając się do niej. - O Boże - powiedział na widok martwego ciała Thomasa. - To niemożliwe.

Stephanie dostrzegła panikę w jego oczach.

- Co za koszmar.

- Nie myśl o tym w tej chwili. Już mu nie pomożesz. Teraz musimy się zająć zabójcą.

Rick skinął głową, zebrał się w sobie i oboje ruszyli szybkim krokiem, zostawiając za sobą ciało. Rick szedł przodem i zatrzymał się dopiero, gdy dotarli do żelaznej bramy na końcu tunelu. Była otwarta. Kiedy przeszli na drugą stronę, znaleźli się w jasno oświetlonym pomieszczeniu. Ich oczom ukazały się pobielone nieotynkowane ściany i wyłożona lśniącymi płytkami podłoga. Pod sufitem biegły rury, przewody i kable.

- Jesteśmy pod Zamkiem - powiedział ściszym głosem. - W piwnicy. Tam mam swój gabinet.

Zaprowadził ją do pokoju zastawionego gablotami i półkami uginającymi się od książek, a na biurku piętrzył się stos teczek i innych papierów. Wszędzie mnóstwo było muzealnych eksponatów, pochodzących zapewne ze zbiorów instytutu, a na ścianach wisiały historyczne obrazy i zdjęcia, w większości przedstawiające gmach Zamku.

- Czy w tym budynku są kamery? - spytała półgłosem.

- Tylko kilka na parterze, w głównym holu, tam gdzie chodzą zwiedzający. Zamek pełni głównie funkcje administracyjne. Nie ma tu

nic na tyle cennego, żeby przesadnie się przejmować środkami bezpieczeństwa.

- No więc co tu robi ten facet?

- Nie mam pojęcia.

Widziała, że jest wytracony z równowagi śmiercią Martina Thomasa. Ale ona ponosiła za to odpowiedzialność w równej mierze co on.

- Może powinniśmy zawiadomić strażników?

- Jeszcze nie - odpowiedział nieco zbyt pospiesznie.

- Dlaczego?

- Wiesz, co robić w takiej sytuacji, prawda? W końcu to twoja praca.

- Prawdę mówiąc, mam od tego agentów.

- Zwróciłem się z tym do ciebie, ponieważ potrzebowałem specjalisty.

Dorwijmy tego faceta i dowiedzmy się, czego tu szuka.

- Bez pomocy ochrony?

Rick wyglądał, jakby zbierał się na odwagę.

- Wstrzymajmy się z tym jeszcze, zgoda?

- W porządku. Jakoś sobie poradzę.

Nagle coś przykuło jego uwagę i jednym susem doskoczył do ściany, w której znajdowały się lekko uchylone, metalowe drzwi. Z impetem otworzył je na oścież. Za nimi ukazały się spiralne schody, wijące się w górę wśród surowych ceglanych ścian.

- Zawsze są zamknięte - oznajmił. - Musiał tędy przejść. Ten facet najwyraźniej bywał tu już wcześniej.

GRANT PIAŁ SIĘ po kręconych schodach. Znakiem rozpoznawczym Zamku było dziewięć wież. Wzniesiono je z myślą o klatkach schodowych takich jak ta, później planowano zamontować w nich windy, lecz ostatecznie powstały tam biura, laboratoria i magazyny. W dziewiętnastym wieku niektóre służyły nawet jako sypialnie dla stażystów. W jednej urządzono kiedyś ptaszarnię dla sokołów, zaś wysoka północna wieża została wykorzystana podczas wojny secesyjnej jako punkt obserwacyjny. Najślynniejszymi mieszkańcami były tu niegdyś sowy, które wprosiły się na wieże nieproszone i przegnały z National Mail jaskółki. Kiedy dzikie lokatorki zniknęły, na ich miejsce

sprowadzono z Narodowego Zoo dwa podobne ptaki, ale i one po jakimś czasie odleciały.

Grant doskonale znał historię klatki schodowej, w której właśnie się znajdował. Powstała po to, by naukowcy mogli z mieszczących się na górze laboratoriów schodzić bezpośrednio do magazynu, gdzie trzymano eksponaty w formalinie. Drzwi, z których skorzystał w gabinecie kustosza, zostały zamknięte na stałe w latach siedemdziesiątych, a ponownie otwarte na początku lat dziewięćdziesiątych. Był przy tym, gdy jego ojciec zdejmował plombę.

Zatrzymał się na pierwszym piętrze i pchnął drewniane drzwi prowadzące do dawnej galerii obrazów. Wielki pożar w 1865 roku wybuchł dokładnie w tym miejscu. Dziś znajdowały się tu niedostępne dla zwiedzających pomieszczenia administracyjne, które zajmowały praktycznie całe piętro. Z tego co pamiętał, ta część budynku przypominała istny labirynt, pełen przypadkowych zakamarków powstałych w wyniku rozlicznych remontów. Mimo że zewnętrzna elewacja pozostała nienaruszona, wewnątrz Zamku w niczym nie przypominało pierwotnej budowli.

Szybkim krokiem przeszedł przez dawną galerię i skręcił w długi wąski korytarz. Na ścianach wisały obrazy i płaskorzeźby. Na posadzce leżał dywan, a w gablotach tłoczyły się rozmaite eksponaty. Po obu stronach korytarza ciągnęły się biura. Początkowo na pierwszym piętrze mieściły się ogromna, dwukondygnacyjna sala wykładowa, muzeum techniki oraz galeria obrazów. Pierwszy sekretarz Instytutu Smithsona, Joseph Henry, także miał tutaj swój gabinet. Wszystko jednak zmieniło się po pożarze. Zlikwidowano wtedy aulę i całe piętro przystosowano do innych celów.

Grant szedł korytarzem, mijając po drodze ciemne biura.

W końcu dotarł do rotundy.

NA PIERWSZYM PIĘTRZE Stephanie wyszła z kręconej klatki schodowej prosto na galerię. Rick wyjaśnił jej, że dawniej dzięki ukrytym

schodom pracownicy mogli poruszać się między kondygnacjami z dala od gości odwiedzających muzeum. Dziś były używane głównie przez niego, gdy chciał się dostać na wyższe piętra.

Zatrzymała się i dała znak, żeby dalej szli w absolutnej ciszy. Ponieważ nie знаła drogi, puściła go przodem. Chwyliła beretkę, gotowa w każdej chwili jej użyć.

Rick podszedł do otwartych drzwi i ostrożnie zajrzał do środka, po czym natychmiast cofnął głowę.

-Jest w rotundzie, tuż obok sali zarządu-wyszeptał jej do ucha. - Nie ma tam nic, co miałoby jakąkolwiek wartość historyczną. Nic, co można by ukraść. Wiem, bo sam wstawiałem tam eksponaty. Najwyraźniej jednak się mylił.

GRANT ROZGLĄDAŁ SIĘ po rotundzie, przypominając sobie, jak kiedyś buszował po niej jeszcze jako dziecko. Dwadzieścia pięć lat temu to ośmiokątne, pozbawione okien pomieszczenie, tak jak dziś pełne biurek, kanap i foteli, pełniło funkcję poczekalni zarówno do sekretariatu, jak i do eleganckiej sali zarządu. Wtedy jednak nie stało tu aż tyle gablot. Uwagę zwracała zwłaszcza największa z nich, ozdobiona ornamentem ze złotych liści, zajmująca niemal całą ścianę. Pomieszczenie oświetlała stojąca na drewnianym stoliku zabytkowa lampa. Grant podszedł do złotej gabloty i przeczytał umieszczoną na górze tabliczkę.

S. Dillon Ripley, ósmy sekretarz Instytutu Smithsona, był swego czasu chwalony za „niemalże nadprzyrodzone wyczucie gestu symbolicznego”. Zawsze ogromną wagę przykładął do symboliki i ceremoniału. Podczas uroczystości z okazji objęcia przez niego funkcji sekretarza w 1964 roku ustępujący sekretarz Leonard Carmichael zapoczątkował zwyczaj wręczania nowo mianowanemu sekretarzowi klucza ceremonialnego, co stanowiło tradycję na wielu

uniwersytetach. Ripley zlecił później wykonanie dwóch kolejnych przedmiotów ceremonialnych powszechnie wykorzystywanych na wyższych uczelniach: buławy oraz pieczęci urzędowej. Te wyjątkowe insygnia o głębokim znaczeniu symbolicznym są dziś w pełni utożsamiane z Instytutem Smithsona.

Grant spojrzął na buławę, pieczęć i przede wszystkim na klucz ceremonialny, delikatnie bębniąc palcami o taflę szklą umieszczoną z przodu gabloty. Na oko miała jakieś półtora metra szerokości i co najmniej tyle samo wysokości. Samo szkło wydawało się dość grube, ale nie była to żadna pancerna szyba.

Zrobił krok w tył, wycelował broń i pociągnął za spust.

STEPHANIE ZERKNEŁA UKRADKIEM w głąb korytarza. Mężczyzna, którego śledzili, zniknął z pola widzenia w przestronnym pomieszczeniu nazwanym przez Ricka rotundą. Po chwili znów się pojawił, wycelował do czegoś z pistoletu i strzelił.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

Najwyraźniej znalazł to, czego szukał.

Stephanie spojrzała porozumiewawczo na Ricka, a on skinął głową: Do dzieła.

- Departament Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych - zawołała. - Rzuć broń i nie ruszaj się z miejsca.

Mężczyzna odwrócił się. Przez moment wyglądał, jakby rozważał jej słowa, po czym oddał dwa strzały w jej kierunku.

GRANT COFNAŁ SIĘ tak, aby nie było go widać z korytarza.

- Wszystkie wyjścia są zamknięte - mówił dalej kobiecy głos. - Nie masz dokąd uciekać. Wyrzuć broń na korytarz.

Zacisnął zęby, w jednej chwili zapominając o ostrożności.

Ryzyko, które podjął, obróciło się przeciwko niemu.

Departament Sprawiedliwości?

Wyjął z gabloty to, po co tu przyszedł, po czym zerknął na korytarz, skąd dobiegał głos. W pewnym momencie mignęła mu czyjaś twarz, która natychmiast skryła się za futryną.

Posłał jeszcze dwie kule w jej kierunku.

STEPHANIE COFNEŁA SIĘ gwałtownie i rzuciła na ziemię, pociągając za sobą Ricka. Kule ze świstem przeszły płytę kartonowo-gipsową, pod którą jeszcze przed sekundą stała, i poszybowały w głąb galerii.

- Nie ruszaj się z podłogi - poleciła.

Rick posłusznie kiwnął głową. Ona tymczasem podniosła się na kolana i choć wiedziała, że ryzykuje, rzuciła okiem na korytarz.

Nikogo tam jednak nie dostrzegła.

Wstała z ziemi i ruszyła w stronę rotundy. Po obu stronach korytarza ciągnęły się biura. Drzwi do większości z nich były otwarte, więc gdyby zaszła taka potrzeba, w każdej chwili mogła się w którymś skryć. Jeszcze tylko kilka metrów i będzie na miejscu. Po raz kolejny złażała samą siebie za to, że pozwoliła sytuacji wymknąć się spod kontroli. Dotarła do końca korytarza i zajrzała do rotundy. Nikogo tam nie było. Pod ścianą stała roztrzaskana gablota, a w jej tylnej ścianie widoczny był otwór po kuli.

W ośmiokątym pomieszczeniu znajdowało się kilkoro drzwi.

- Tym razem bez dyskusji - krzyknęła do Ricka. - Natychmiast zawiadom ochronę i dzwoń na policję. Te podwójne drzwi, na które właśnie patrzę, to jedyne wyjście na zewnątrz, prawda?

- Tak. Pozostałe prowadzą do biur i sal konferencyjnych.

- Zostań tam, gdzie jesteś.

Ruszyła w pogoń za zabójcą, wybierając jedyną drogę, którą mógł uciec. Minęła przedsionek z białymi ścianami i posadzką wyłożoną kaflami układającymi się we wzór czarno-białej szachownicy i wbiegła na klatkę schodową. Szybko i po cichu zeszła na dół, trzymając się blisko żelaznej poręczy. Po chwili znalazła się na parterze, pogrążonym w upiornym półmroku. Po prawej miała wejście od strony National

Mail. Po przeciwnej stronie znajdowało się wejście od ulicy. Ale wiedziała, że zabójca nie wybrał żadnego z nich - w przeciwnym razie rozdzwoniłby się alarm przeciwpożarowy. Dlatego skręciła w lewo i zaczęła się rozglądać po głównym holu.

Nagle jej uwagę przykuł jakiś ruch.

Wytężyła wzrok i wyłowiła wśród cieni sylwetkę mężczyzny, który właśnie mierzył do niej z broni.

GRANT SŁYSZAŁ, JAK kobieta każe komuś zawiadomić ochronę i policję. Chwilę później ją zobaczył. Babka w średnim wieku, z siwiejącymi blond włosami. Uzbrojona. Przyczajona za niskim murkiem we foyer, tuż pod schodami, niedaleko bocznego wejścia od strony National Mail.

Sam zaszył się w głównym holu pomiędzy kolumnami ze sztucznego marmuru, które podtrzymywały strop. Za sobą miał trzy wielkie okna, zamknięte i zakratowane, więc nie dałoby się przez nie uciec. Znał budynek jak własną kieszeń. Mógł się stąd wydostać jedynie przez sklepione przejście po lewej, za którym znajdował się krótki korytarz prowadzący do Sali Schermera.

Ścigająca go agentka zajęła pozycję jakieś piętnaście metrów od niego. Żeby dobiec do korytarza, musiałby pokonać odległość około dziesięciu metrów. Gdyby mu się udało, byłby bezpieczny. Problem w tym, że najpierw trzeba było się tam dostać. Od korytarza dzieliła go otwarta przestrzeń, a zatem wystawiłby się na łatwy cel. Gdzieś z oddali dobiegało wycie syren. Musiał spodziewać się najgorszego.

Wycelował broń i oddał dwa strzały w kierunku kobiety. Kule ze świstem przeleciały nad jej głową i rykoszetem odbiły się od ściany.

Następnie rzucił się do ucieczki.

STEPHANIE PRZYCUPNĘŁA ZA grubym murem, chowając się przed strzałami. Pociski przeleciały nad jej głową, tuż pod sklepionym

prześciem wiodącym do głównej galerii, i głośno odbiły się od żelaznej poręczy schodów za jej plecami. Miała nadzieję, że zdoła go zatrzymać albo przynajmniej skupić na sobie jego uwagę do czasu przybycia posiłków. Dźwięk policyjnych syren dodał jej otuchy. Podniosła głowę i zobaczyła, jak zabójca znika za podwójnymi drzwiami, opatrzonymi tabliczką z napisem „Do Sali Schermera i restauracji muzealnej”.

Opuściła kryjówkę i rzuciła się w pogoń.

Znajdujący się za drzwiami korytarz prowadził do urządzanej w stylu gotyckim Sali Schermera.

Nagle powietrze przeszył ostry dźwięk dzwonka.

Alarm przeciwpożarowy?

Niedobrze.

Po lewej stronie dostrzegła podświetlony znak wskazujący drogę ewakuacyjną, a za nim lekko uchylone drzwi. Natychmiast do nich podbiegła. Za nimi znajdowały się żelazne schody, które prowadziły na dół, prosto do jednego z bocznych wyjść. Uciekł jej.

Przynajmniej zdążyła mu się przyjrzeć. Był po trzydziestce. Miał prosty nos, szeroką szczękę, kwadratowy podbródek i kręcone włosy.

Wróciła do głównego holu. Drzwi po prawej stronie otwały się i do środka wpadli strażnicy.

Alarm przeciwpożarowy wreszcie ucichł.

Opowiedziała im, co się stało. Gdy skończyła, ochroniarze rozbiegli się na wszystkie strony. Część ruszyła w kierunku ogrodu i ulicy, inni cofnęli się do parku National Mail. Zdawała sobie jednak sprawę, że istnieją niewielkie szanse na odnalezienie zabójcy. Facet od samego początku wiedział dokładnie, po co tu przyszedł i jak się stąd wydostać.

Wróciła po schodach na piętro, do Ricka nadal czekającego w rotundzie. Po chwili dołączyło do nich dwóch strażników.

Stephanie po raz kolejny spojrzała na wielką, paskudną złotą gąbłotę. Na ziemi leżały kawałki rozbitej szyby.

- Masz pomysł, czego szukał? - zapytała.

Rick skinął głową.

-Wiem dokładnie, po co tu przyszedł.

ROZDZIAŁ 20

DIANE WCIĄŻ BYŁA poirytowana zachowaniem brata, który przywitał Luciusa Vance'a, jakby ten był ich dawno niewidzianym kuzynem. Brzydziło ją to, jak się przed nim płaszczył. Vance był po prostu wysokim urzędnikiem państwowym, niewolnikiem sondaży wyborczych i bogatych darczyńców. Nawet jeśli dzierżył akurat teraz jakąś władzę, to w każdej chwili mógł ją utracić. Ilu spikerów Izby Reprezentantów musiało odejść w atmosferze skandalu? Wielu. Niemal połowa z nich utrzymywała się na stanowisku najwyżej rok. Był też jeden taki, który piastował je zaledwie kilka godzin. Jej ojciec zawsze mawiał, że spikerzy przychodzą i odchodzą. Diane miała bardzo mało szacunku do polityków, zwłaszcza do tych z dwudziestego pierwszego wieku, których bardziej absorbowała walka o przetrwanie niż próby zrobienia czegoś dla innych. Vance, ogólnie rzecz biorąc, był nie lepszy od pozostałych, ale zdecydowanie wyróżniała go jego ogromna ambicja, czyli cecha, której Alex nigdy specjalnie nie cenił.

- Usiądź - zaproponował jej brat. - Mamy sporo do omówienia.

To Vance poprosił o spotkanie, kiedy tylko się okazało, że będzie mógł uczestniczyć w pogrzebie, a ona wyraziła zgodę. Zegar na przeciwległej ścianie wskazywał godzinę 23.20. Służba już sobie poszła, przywróciwszy dom do porządku po stypie. Zostali tylko Kenneth i ona, a teraz dołączyli do nich Vance i jego dwaj ochroniarze, którzy czekali na zewnątrz.

- Diane - zaczął Vance - najpierw pozwól, że jeszcze raz złożę ci najszersze kondolencje. Chociaż Alex i ja nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, nie byliśmy także wrogami. Twój mąż wiernie służył temu państwu przez długie lata i na pewno wszystkim nam będzie go brakować. To naprawdę straszne, co się stało.

Vance usadowił się wygodnie w jednym ze skórzanych foteli. Ona i Kenneth usiedli naprzeciwko niego. Zwróciła uwagę, że gdy mówi, ledwie dostrzegalnie porusza ustami, niemalże jak zawodowy brzucho mówca.

- Cieszę się, że mamy szansę porozmawiać bez świadków - dodał Vance. - Przynoszę dobre wieści. Przechodzimy do następnego etapu. Natychmiast.

To ją zaskoczyło.

- Jesteś już gotowy?

- Zbadałem sprawę z wszystkich możliwych stron. Nawet pokazałem to zaufanym prawnikom. Nie widzą żadnego problemu. Nasz ekspert od procedur parlamentarnych również twierdzi, że wszystko jest zgodne z konstytucją.

- Rozmawiałeś z nim o tym?

- Bez jego aprobaty żaden projekt nie wychodzi poza Komisję Regulaminową. Bez obaw, to mój człowiek, lojalny aż do przesady, i pracowałem z nim po cichu niemal od miesiąca. Mam zagwarantowaną wystarczającą liczbę głosów, żeby to przeprowadzić.

Były to doprawdy cudowne słowa.

Diane wyobrażała sobie te wszystkie momenty w dziejach Ameryki, kiedy właśnie na takich spotkaniach jak to, w ustronnym miejscu, w tajemnicy przed opinią publiczną, zapadały najbardziej doniosłe decyzje. Do głowy przychodził jej na przykład słynny obiad w 1790 roku, podczas którego Alexander Hamilton przekonał Thomasa Jeffersona i Jamesa Madisona, swoich politycznych rywali, do poparcia jego planu redukcji długu narodowego w zamian za obietnicę wybudowania nowej stolicy na terenie stanu Wirginia. Albo spotkanie w 1861 roku, kiedy Francis Blair w imieniu prezydenta Lincolna przekazał generałowi Robertowi Lee propozycję objęcia dowództwa nad armią Unii. Lee wówczas odmówił, złożył swoją rezygnację i wybrał wierność swojej rodzinnej Wirginii.

- Fantastyczna wiadomość - uśmiechnął się szeroko Kenneth. - Dokładnie do tego przez cały czas dążyliśmy.

Diane nie podzielała jego entuzjazmu. W każdym razie jeszcze nie. Chciała dowiedzieć się więcej.

- Czy Komisja Regulaminowa została odpowiednio poinstruowana?

- W przeciwnym wypadku nie byłoby mnie teraz tutaj.

Wszelkie zmiany proceduralne w Izbie Reprezentantów musiała najpierw zatwierdzić Komisja Regulaminowa, jedna z najstarszych stałych komisji w Kongresie, obecnie składająca się z trzynastu członków. Dziewięciu z nich mianował spiker, pozostała czwórka pochodziła z partii mniejszościowej. Potocznie nazywało się ją „komisją spikera”, ponieważ za jej pośrednictwem przewodniczący sprawował kontrolę nad Izbą. Każdy bez wyjątku wniosek musiał przejść przez komisję, zanim trafił pod głosowanie.

- Nikt się nie sprzeciwia? - zapytała.

Vance napił się swojej wody mineralnej z paroma kroplami soku z limonki.

- Nikt istotny. Moich dziewięciu ludzi zagłosuje tak, jak im powiem. A tamtych czworo? - Wzruszył ramionami. - Co za różnica? Ale jeśli naprawdę się nad tym zastanowią, to oni także mnie poprą. Ten projekt jest korzystny dla wszystkich.

- Mówimy o rewolucyjnej reformie - przypomniała. --Ten krok wzbudzi wielkie kontrowersje. Musimy brać pod uwagę możliwe konsekwencje.

Vance ponownie wzruszył ramionami.

- To idealny moment. Prasa nie zostawia suchej nitki na Senacie za to, że nie zatwierdził nominacji gabinetowych Focha: Nawet świętoszki z „New York Timesa” piszą o potrzebie zmian. Senat naraził się Izbie Reprezentantów, ponieważ między innymi odrzucił kandydaturę jednego z byłych członków Izby. Ludzie w tym kraju mają już dosyć tego, co się dzieje. My też mamy dosyć. Pora coś z tym zrobić. Nie ma sensu dłużej czekać. Zakończmy to.

Diane rozumiała, dlaczego Vance do tej pory nie mógł wykonać żadnego ruchu. Najpierw była im potrzebna zmiana w Białym Domu, która dokonana się w wyniku ostatnich wyborów. Pojawienie się nowego

prezydenta, niedoświadczonego i o niezbyt silnej pozycji, stworzyło im wymarzone warunki do działania. Zaprawiony w bojach weteran pokroju Danny ego Danielsa z pewnością okazałby się znacznie trudniejszym oponentem. Być może zdobyłby nawet dostatecznie duże poparcie społeczne, żeby całkiem pokrzyżować im plany. Natomiast w obecnej sytuacji naturalna tendencja Senatu do obstrukcjonizmu zadziałała idealnie na ich korzyść, do tego stopnia, że nawet Biały Dom dołączył do chóru sfrustrowanych głosów domagających się zmian.

Wszystko wydawało się gotowe.

Diane popiła whisky, której sama sobie naląa.

- Dobrze. Zróbmy to.

Vance się uśmiechnął.

-Trzy dni. Najpóźniej za trzy dni.Trzeba to zrobić szybko, bez zwłoki. Obowiązuje zasada jednego dnia przerwy, a zatem kiedy Komisja Regulaminowa ogłosi proponowaną zmianę, trzeba odczekać dobę, zanim będzie mogło się odbyć głosowanie. Następnie wniosek z komisji trafia prosto na salę plenarną, dosłownie w ciągu godziny. Dziennikarze na pewno coś zwęszą w trakcie jednodniowej przerwy, ale zanim zdążą zareagować, będzie już po wszystkim.

- A kiedy projekt zostanie już poddany pod głosowanie - zapytała Diane - mamy pewność, że to przejdzie?

Vance zwrócił w jej stronę swoją przystojną twarz i wyprostował się w fotelu.

- Moi ludzie robią, co trzeba. Mamy większość, niemal sześćdziesiąt procent. Ale myślę, że zdziwisz się, gdy zobaczysz, jak wielu tych z drugiej strony postanowi się do nas przyłączyć.

Partia Vance'a kontrolowała zarówno Izbę Reprezentantów, jak i urząd prezydenta. Ale z opozycją zawsze trzeba się liczyć. Na szczęście niewielu kongresmanów posiada prawdziwy zapał do walki. Najczęściej kończy się na wygrażaniu pięściami. W tej sprawie nie ma żadnego pola manewru. Albo jest się za, albo przeciw. I w jednym Vance niewątpliwie miał rację: obie strony mogły na tym sporo zyskać.

-Jestem spikerem Izby - ciągnął Vance. - A to oznacza, że liczą się dla

mnie tylko efekty. Osiagam je, nakłaniając podległych mi ludzi do robienia tego, czego od nich wymagam. Nie przyjechałbym do was, gdybym nie miał wszystkiego pod kontrolą. Będziemy przekonywać ludzi, że to nie zagranie polityczne, tylko kwestia zdrowego rozsądku. Senat na szczęście okazywał w ostatnich miesiącach tak wielką arogancję, że nasze argumenty powinny trafić na podatny grunt.

Kenneth wydawał się wniebowzięty.

Diane również była zadowolona. Przez lata wysłuchiwała monologów Alexa o tym, że Kongres pozwala sobie na różne nadużycia, że Senat staje się coraz bardziej dysfunkcyjną instytucją oraz że nie można praktycznie nic z tym zrobić.

Okazuje się, że jednak można.

Kilku mądrych ludzi z Południa dawno temu wpadło na pewien pomysł, którego nigdy nie mieli szansy wprowadzić w życie. Ci sami mędracy dali się natomiast omamić i podjęli nierozważną decyzję o odłączeniu się od Unii i rozpętaniu wojny domowej - w której Południe poniosło sromotną klęskę. Thomas Jefferson powiedział kiedyś: „Mała rebelia od czasu do czasu to nic złego; jest równie pożyteczna w świecie polityki, jak burza w świecie fizycznym”.

Miał rację.

Wszystko jednak zależy od tego, jaką formę przybierze taki bunt.

- Jakie to uczucie? - zapytała. - Już za chwilę staniesz się najpotężniejszym człowiekiem w tym kraju.

Vance pokiwał głową i posłał jej szeroki, pewny siebie uśmiech.

- To prawda. A zawdzięczam to wam.

ROZMAWIALI JESZCZE PRZEZ dwadzieścia minut, a potem jej brat pożegnał się i ruszył w drogę do Nashville. Kenneth nigdy nie przepadał za hrabstwem Blount, a Diane nie zaoferowała mu noclegu. Wołała, kiedy był trzysta kilometrów od niej. Vance nadal nie zbierał się do wyjścia, choć dochodziła pierwsza w nocy.

- Przewietrzmy się - zaproponował.

Wyszli razem na mokry taras. Deszcz wreszcie przestał padać.

-Tu jest naprawdę pięknie - powiedział. - Masz tu mały kawałek raj.

- Zamierzam sprzedać ten dom.

- Naprawdę? Nie wiedziałem, że aż tak go nie cierpisz.

- Ten rozdział mojego życia się skończył. Alexa już nie ma. Czas zostawić to wszystko za sobą.

Diane usłyszała jakiś ruch gdzieś w dole i wychyliła się za balustradę. W przytłumionym świetle zewnętrznych lamp ujrzała człowieka przechadzającego się po krótko przystrzyżonej trawie w ogrodzie, niedaleko linii drzew. Dalej zaczynała się nieprzenikniona czerń lasu, która ciągnęła się kilometrami.

Vance również zobaczył mężczyznę i zawołał:

-Jakiś problem?

Diane zdała sobie sprawę, że to jeden z agentów Secret Service patrolujący teren wokół domu.

- Nie, proszę pana - odpowiedział głos z dołu. - Chciałem tylko się rozejrzeć.

- Z jakiegoś konkretnego powodu?

- Wydawało mi się, że coś słyszałem.

ROZDZIAŁ 21

DANNY ZAMARŁ, PRZYCIŚNIĘTY do mokrego drzewa.

Jeden z ochroniarzy Vance'a stał kilka metrów od niego, w miejscu gdzie ogród na tyłach domu przechodził w las. Gdyby teraz kaszlnął, kichnął czy choćby zbyt głośno wypuścił powietrze, zdradziłby swoją pozycję. Usłyszał, jak agent mówi do swojego szefa: „Wydawało mi się, że coś słyszałem”, i zastanawiał się, jak głęboko zapuści się ten człowiek, żeby zweryfikować swoje podejrzenia.

- Coś cię niepokoi? - z tarasu dobiegł głos Vance'a.

- Jest za ciemno. Nie sposób dostrzec, co się tam może czaić. Naprawdę powinniście wrócić do środka.

- Tu zawsze tak jest - odezwała się Diane. - Jesteśmy w górach. Na pewno słyszałeś szopa pracza albo jelenia, który wyszedł po deszczu. To mógł być nawet niedźwiedź. Sporo ich tu mieszka.

Agent nic nie odpowiedział, zresztą zgodnie z oczekiwaniami. Danny dobrze znał zasady. Tajniacy nie byli od pogawędek czy wdawania się w dyskusje. Mieli po prostu robić swoje. Praca w tej branży wymaga określonego typu osobowości - trzeba być ochroniarzem, dyplomatą i powiernikiem w jednym. Korzystanie z ochrony Secret Service oznacza, że ktoś nieustannie miesza się do twoich spraw. Nie możesz już pójść, gdzie zechcesz, kiedy zechcesz. Musisz pytać, prosić, za każdym razem trzeba poczynić specjalne przygotowania. Ciekawe, czy dzisiejsza wizyta Vance'a była od dawna zaplanowana czy decyzja zapadła spontanicznie. W kontekście pracy ochroniarzy sprawiało to ogromną różnicę.

Danny nie spuszczał wzroku z agenta, który wciąż stał na skraju ogrodu zwrócony twarzą do niego. Pomiędzy nimi rozpościerała się zasłona absolutnej ciemności. Wiedział, że jest bezpieczny, o ile nie wyda z siebie żadnego dźwięku, a mężczyzna nie postanowi podejść

bliżej.

- Wszystko dobrze - przerwał ciszę Vance. - Wracaj pod główne wejście. Zaraz będziemy jechać.

Agent odwrócił się i odszedł.

Danny wypuścił powietrze i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że cały czas wstrzymywał oddech.

DIANE STANEŁA OBOK Vance'a.

-Tęskniłem za tobą - powiedział.

Minęło kilka miesięcy, odkąd ostatni raz się widzieli. Ich romans rozpoczął się dwa lata temu. Poznali się dzięki Kennethowi, który chciał, żeby podzieliła się z Vance'em swoją wiedzą, a jego od pierwszej chwili zaintrygowały perspektywy, które przed nim roztoczyła. Diane z początku myślała, że Vance tylko próbuje się jej przypodobać, ale z czasem zaczęła dostrzegać, że jest nią szczerze zainteresowany. Jej mąż już dawno przestał widzieć w niej kobietę, a w ich małżeństwie wygasła wszelka namiętność. Ona i Vance spotkali się tylko kilka razy i zawsze w miejscach odległych od Waszyngtonu i hrabstwa Blount. Nie łudziła się, że ten związek ma jakąkolwiek przyszłość. Vance miał żonę i trójkę dzieci, był weteranem dziewięciu kolejnych kadencji w Kongresie, a obecnie spikerem Izby Reprezentantów. Nie poświęciłby tego wszystkiego dla niej. A ona też wcale by tego nie chciała.

- Szkoda, że nie mogę zostać dłużej - dodał.

- To nie byłby dobry pomysł.

-Wcześniej mówiłem poważnie. Naprawdę współczuję ci z powodu śmierci Alexa. To okropne, co się stało.

- Wiem, doceniam to. Ale nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby pójść do łóżka z wdową.

- Daj spokój, Diane. Nie zgrywaj niewiniątka. Dokonałaś tego wyboru dawno temu, kiedy twój mąż jeszcze żył.

Nie zaprzeczyła.

Zastanawiające, jak łatwo było przekroczyć tę granicę moralności.

Gdyby pięć lat temu ktoś powiedział jej, że dopuści się wielokrotnej zdrady małżeńskiej, dałaby mu w twarz. Ale im była starsza, tym bardziej nie mogła znaleźć dla siebie miejsca. Pasją Alexa była polityka. Ona nie miała nic. Wszystko zmieniło się jednak w dniu, gdy odkryła zbiór starych papierów należący do jej ojca i zawarte w nich marzenia ludzi, którzy nie żyli od wielu, wielu lat.

- Myślę, że nie powinniśmy posuwać się dalej - powiedziała. - Zwłaszcza w tych okolicznościach. Jak mówiłam, niedługo będziesz najpotężniejszym człowiekiem w tym kraju. A potężny mężczyzna potrzebuje żony i dzieci, a nie kochanki.

- Zmienianie biegu historii to całkiem mocny afrodyzjak.

Stał tak blisko, że czuła na skórze jego ciepły oddech. Nie mogła się nie zgodzić z tym spostrzeżeniem. W końcu na tym w dużej mierze opierał się cały ich romans.

Ten człowiek zdecydowanie chciał zapisać się w historii.

A czego chciał Kenneth? Władzy i szacunku.

A ona?

Ona pragnęła bogactwa.

Niemal przez całe dorosłe życie utrzymywała się z tego, co Alex zarabiał na kolejnych publicznych stanowiskach, najpierw we władzach stanowych Tennessee, a potem w Senacie Stanów Zjednoczonych. Na szczęście otrzymała też skromny spadek, dzięki któremu udało się im nie popaść w długi. Ale nigdy nie pławili się w luksusach. Alex zawsze ostrożnie podchodził do kwestii darowizn i stawiał sobie bardzo wyraźne granice etyczne. W trakcie całej swojej kariery ani razu nie przyjął nawet opłaconej z góry podróży. Prawie się nie zdarzało, żeby pozwolił komuś postawić sobie obiad w restauracji. „Nic nie bierz, to nie będziesz nic winien”. Diane słyszała to z milion razy. Tymczasem ona wyznawała zgoła inną filozofię życiową. To, czego szukała, mogło być warte miliardy dolarów. Miałaby zapewnione dostatnie życie do końca swoich dni. O ukrytym złocie dowiedziała się od ojca, który wyjawiał jej ten sekret, będąc już na łożu śmierci.

- Wydajesz się jakaś nieobecna - zauważył Vance.

Miał rację. Kotłowały się w niej przeróżne uczucia: chciwość, duma, ambicja, poczucie winy. Dopiero niedawno nauczyła się, jak radzić sobie z tą dziwną mieszkanką emocji.

-Już nigdy więcej nie pójdziemy ze sobą do łóżka.

Nie wyglądał na zmartwionego.

- Z tego co pamiętam, to ty to zaczęłaś.

-To prawda. I dlatego teraz ja to zakończę.

- Jest ktoś inny?

- Można tak powiedzieć.

- Mam nadzieję, że docenia to, co ma.

Tego jeszcze nie wiedziała na pewno.

- Wracaj do swojej rodziny. Bądź grzeczny, Lucius. Nie schrzaj tego.

- Porażka nie wchodzi w grę. Dałaś mi prezent, który zamierzam mądrze wykorzystać.

- „Niemal każdy potrafi znieść przeciwności losu, ale jeśli chcesz naprawdę sprawdzić czyjś charakter, to daj mu do ręki władzę”.

-To twoje słowa?

Pokręciła głową. Jego braki w wiedzy historycznej były żenujące.

- Lincoln. Wiedział, co mówi. Już niedługo sam staniesz przed tym sprawdzianem. Nie oblej go.

- Ani myślę.

Diane wiedziała, że Vance pragnie zostać prezydentem. Przed ostatnimi wyborami zeszłej jesieni starał się wybadać grunt, ale nikt nie wydawał się zainteresowany jego kandydaturą - ani prasa, ani partia, ani wyborcy. Po raz kolejny zemścił się na nim brak wiedzy historycznej. W dziejach Ameryki tylko jeden spiker Izby Reprezentantów został później prezydentem, James Polk w 1845 roku. Dawno, dawno temu. W czasach współczesnych objęcie tego stanowiska oznaczało kres politycznej drogi. Vance pełnił tę funkcję od dziewięciu lat - w wypadku spikera była to cała wieczność. Mądrze wykorzystał ten czas, zyskując o wiele więcej sprzymierzeńców niż wrogów. Ale Diane wiedziała, jak bardzo go dotknęło to, że został zignorowany jako potencjalny kandydat na prezydenta, zwłaszcza że jego partia postawiła zamiast niego na

Warnera Foxa, który pod względem politycznym był najwyżej zawodnikiem wagi lekkiej. Dlatego bez wahania zgodził się jej pomóc, kiedy pokazała mu, w jaki sposób będąc drugim w linii sukcesji, może zostać de facto głową państwa, i to bez konieczności startu w wyborach powszechnych.

- Zmienię ten kraj na zawsze - powiedział. - Ale nie zdołałbym tego dokonać bez ciebie.

Doceniała jego kurtuazję, choć zdawała sobie sprawę, że już wkrótce ledwo będzie o niej pamiętał. To nic. Ona też miała inne priorytety.

- Ostatni pocałunek? - zapytał. - Dla wojownika, który wyrusza na bitwę?

Uśmiechnęła się. On był niemożliwy.

Ale cóż szkodził jeden pocałunek?

DANNY PATRZYŁ ZAFASCYNOWANY, jak spiker Izby Reprezentantów całuje wdowę po jednym z jego najbliższych przyjaciół. Nie był to też niewinny całus w policzek. Vance i Diane objęli się i przywarli do siebie ustami, żadne z nich nie wykazywało najmniejszego oporu. Nie mógł uwierzyć oczom i uszom - a stał na tyle blisko, że udało mu się podsłuchać całą ich rozmowę.

Bez dwóch zdań szykowało się coś dużego.

„Niedługo będziesz najpotężniejszym człowiekiem w tym kraju”.

Diane powiedziała tak do Vance'a.

Dwoje kochanków oderwało się od siebie, po czym wrócili razem do środka. Kilka minut później spod domu odjechał samochód. Danny zakładał, że Vance opuścił teren posiadłości razem ze swoimi dwoma ochroniarzami.

Więc on także szybko wyszedł z lasu.

GDY JECHAŁ Z POWROTEM do domu, w głowie kłębiła mu się cała masa różnych myśli. Bycie prezydentem Stanów Zjednoczonych to

niekończący się test zdolności umysłowych. W każdej sekundzie twój mózg musi analizować tysiące rzeczy naraz. Niektórzy ludzie źle to znoszą. Ale nie Danny. On uwielbiał to uczucie i dziś brakowało mu tego bardziej, niż mógł kiedykolwiek przypuszczać. Andrew Jackson, inny sławny syn Tennessee, stwierdził kiedyś:

„Urodziłem się, by żyć w burzy, spokój do mnie nie pasuje”.

Pięknie powiedziane.

Wyglądało na to, że niechcący wpadł w sam środek huraganu. W milczeniu ważył plusy i minusy, szukał rozwiązania, jakiejś luki prawnej, jakiejś brzytwy, której można by się jeszcze chwycić.

Ale nie znajdował nic.

Wycieraczki skrzypiały na przedniej szybie. W świetle reflektorów widział kropelki deszczu, jak małe srebrne pociski. Mokra nawierzchnia drogi połyskiwała jak czarny lód.

Niestety sytuacja nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Ogar- nęły go jak najgorsze przeczucia.

Kiedy obserwował spotkanie w domu Sherwoodów, uderzyła go wyraźna poufałość pomiędzy trójką uczestników. To, co stało się potem na tarasie, wręcz nie mieściło się w głowie. Nikt by mu nie uwierzył. Sam ledwo wierzył w to, co zobaczył.

Co robić?

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł, równie szalony, co oryginalny.

W myślach rozważył wszystkie za i przeciw.

Jego papiery rozwodowe miały zostać złożone w lipcu, a zatem uwzględniając ustawowe sześćdziesiąt dni oczekiwania, cały proces będzie sfinalizowany we wrześniu. Osiem miesięcy po tym, jak przestał być prezydentem. Razem z Pauline ustalili, że wydadzą wspólne oświadczenie wyrażające ubolewanie nad tym, co się stało, po czym nigdy więcej nie będą wracać do tej sprawy publicznie. Przyjaciele w ramach wyjaśnienia usłyszą po prostu, że to się zdarza, ale ci najbliżsi raczej nie będą zaskoczeni. Tragiczna śmierć Mary wisiała między nimi od wielu lat. Ich córka byłaby teraz dorosłą kobietą, pewnie założyłaby już własną rodzinę. Kochała muzykę i Danny wciąż słyszał w głowie jej

dziecięcą grę na flecie. Wizyta na jej grobie była dla niego pierwszym krokiem do pogodzenia się z przeszłością.

Ale wciąż pozostało mu jeszcze dużo do zrobienia.

Wszyscy wrogowie oczywiście będą krytykować jego wybujałe ego, powtarzać, że co za dużo, to niezdrowo. Ale przed opuszczeniem Białego Domu miał wgląd w wyniki sondażu, według którego cieszył się niemałą popularnością w Tennessee. Dane zebrano przy okazji badań dotyczących przyszłej lokalizacji jego prezydenckiej biblioteki. Do zrealizowania takiego projektu niezbędne jest wsparcie prywatnych darczyńców, a na przyjaznym terenie zawsze łatwiej przyciągnąć potencjalnych ofiarodawców.

Nie przychodził mu do głowy żaden nieodparty argument przeciw.

Wielu ludzi będzie rzecz jasna zgłaszało obiekcje, ale krytykan- ci mogą iść do diabła. Jego najbliższy przyjaciel nie żył, a on zupełnie przypadkiem dał się wciągnąć w próbę wyjaśnienia przyczyn jego śmierci. Był to winny Alexowi Sherwoodowi i dlatego będzie cierpliwie znosił wszelkie słowa krytyki, jakie się na niego posypią. Nigdy nie unikał walki i to właśnie ta niezachwiana odwaga uczyniła z niego zdecydowanego, pewnego siebie prezydenta. Wojsko go szanowało, Kongres się go bał, a naród w dużej mierze darzył go sympatią. Według tego samego badania przeprowadzonego pod koniec zeszłego roku wskaźnik jego zaufania społecznego w momencie złożenia urzędu wynosił 65%. W czasach współczesnych żaden inny prezydent nie mógł się pochwalić takim wynikiem. Czy pozwolił, żeby zanadto uderzyło mu to do głowy? Czy przeceniał nieco swoje siły? Być może.

Ale musiał to zrobić.

Dla Alexa.

Jadąc w deszczu, nie czuł się ani trochę śpiący. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach.

- Nie, Danny - szepnął. - Robisz to także dla siebie.

Zawsze lepiej na tym wychodził, kiedy był szczery sam ze sobą.

Znał swoje silne i słabe strony, był w pełni świadomy zarówno swoich możliwości, jak i swoich ograniczeń.

Nie tylko tego chciał. On tego potrzebował.

Zjechał z głównej drogi i wolno sunął podjazdem, aż znalazł się pod swoim domem. Ochrona nadal czuwała na ganku przed wejściem.

- Możemy jakoś panu pomóc, panie prezydencie? - zapytał jeden z mężczyzn, kiedy Danny wszedł po schodkach.

- Możecie mi załatwić trzecią kadencję - odparł z uśmiechem.

W środku ściągnął z siebie przemoczony płaszcz. Pauline kazałaby mu go zdjąć na zewnątrz. Teraz mógł robić, co chciał i kiedy chciał. Czy to dobrze, czy źle, tego jeszcze nie był pewny. Trzymając w ręku notatnik, poszedł na górę, minął swoją sypialnię i otworzył drzwi do pokoju, w którym spał jego gość. Usiadł na brzegu łóżka, włączył nocną lampkę z frędzlami i obudził go.

- Zdajesz sobie sprawę, że jestem gubernatorem tego stanu? - zapytał zaspanym głosem jego przyjaciel.

- I tak przewyższam cię rangą.

Gubernator usiadł.

- Co ty opowiadasz? Jesteś zwykłym obywatelem.

- Mamy kłopoty.

I opowiedział przyjacielowi o wszystkim, nie pomijając żadnych szczegółów dotyczących Taisley, Diane i Luciusa Vance'a.

- Mówię ci, ta narada, której właśnie byłem świadkiem, wyglądała jak scena z Siedmiu dni w maju.

Zawsze był wielbicielem zarówno książki, jak i starego czarno- -białego filmu opowiadającego o próbie przejęcia władzy w państwie przez wojskowo-polityczną klikę.

- Spiskowali - dodał. - Bez dwóch zdań.

- To ten notatnik?

Danny skinął głową i wręczył książkę przyjacielowi.

- Diane mnie okłamała. Wysłała kogoś do mieszkania Alexa, żeby to odzyskał.

- Była jego żoną i, jak mniemam, jedynym spadkobiercą? - odparł gubernator.

- Więc dlaczego kłamała?

- Ponieważ cię nie lubi? I uważa, że to nie twoja sprawa?

- Chciałbym, żeby to było takie proste. Nie, oni planują coś wielkiego. Na tyle wielkiego, że Diane przestrzegła Vance'a przed konsekwencjami władzy.

- Co my możemy z tym zrobić?

- Mam pewien pomysł.

Gubernator wpatrywał się w niego wyczekująco.

- Alexowi zostały jeszcze dwa lata kadencji. Teraz do ciebie należy mianowanie kogoś, żeby zajął jego miejsce w Senacie. Obaj wiemy, jak to działa. To musi być osoba, której kompletnie nie zależy na tym, aby pełnić tę funkcję dłużej niż dwa lata. Chodzi o zastępstwo i nic więcej. Ale jednocześnie nie może to być ktoś niekompetentny. - Danny widział, że jego przyjaciel zaczyna rozumieć, dokąd to zmierza. - Ta nominacja to może być dla ciebie pole minowe. Przeróżni ludzie będą chcieli wykorzystać tę szansę, żeby dostać się do Kongresu, nawet jeśli chodzi jedynie o zastępstwo na dwa lata. Nieważne, jaką podejmiesz decyzję, i tak ktoś się na ciebie wkurzy. Więc machnij ręką na nich wszystkich i daj tę robotę mnie.

Gubernator wyszczerzył zęby w uśmiechu.

-Jest w tym nawet jakaś sentymentalna nuta.

Owszem. W przeszłości tylko raz się zdarzyło, aby ktoś najpierw piastował urząd prezydenta, a następnie został wybrany na senatora. Andrew Johnson, który także pochodził z Tennessee, z sąsiedniego hrabstwa Greene.

- To będzie drugi taki przypadek w dziejach.

- Dla ciebie to też korzystne zagranie - przekonywał Danny. - Będę siedział cicho, a za dwa lata wyborcy spokojnie zdecydują, kto ma być ich następnym senatorem. Nikomu się nie narazisz.

- Przecież ty nigdy nie umiałeś siedzieć cicho.

- Przyznaję, że zamierzam trochę powęszyć. Dowiem się, co tu się, do cholery, dzieje. Ale obiecuję, że będę grzeczny.

- Od byłego prezydenta wszyscy oczekują, że zniknie z pola widzenia. Dobrze o tym wiesz.

- Nigdy nie lubiłem określenia „były prezydent”. Brzmi okropnie. Ale robię to dla Alexa. - Zawahał się, zdając sobie sprawę, że nie powinien próbować oszukiwać zawodowego oszusta.-A także dla siebie.

- Wiedziałem, że nie ma mowy o tym, żebyś siedział bezczynnie i spisywał pamiętniki.

Danny poczuł, że odzywa się w nim dziki, drapieżny instynkt. Ten sam, który towarzyszył mu przez osiem lat spędzonych w Białym Domu, ale ucichł cztery miesiące temu, gdy na jego oczach nowy prezydent składał przysięgę.

- Potrzebuję tego - przyznał. - Naprawdę.

- Pamiętam czasy, kiedy ja też potrzebowałem różnych rzeczy. A ty wtedy zadbałeś o to, żebym je dostał. Nie ma sprawy, Danny. Zrobię to. Dla Alexa i dla ciebie.

W jednej chwili lęk i poczucie osamotnienia, które ostatnio nie opuszczały go na krok, zmieniły się w skupienie i gotowość do działania.

Danny uświadomił sobie, że właśnie wraca do gry.

„Planuj swoje posunięcia i postępuj zgodnie z planem”.

Tak brzmiała jego osobista mantra.

Wiedział, że na jego twarzy maluje się poczucie ulgi, a w oczach tańczą figlarne iskry, więc powiedział do starego przyjaciela:

- Szykuje się coś złego. Czuję to. I możesz mi wierzyć, dowiem się, co tu jest grane.

ROZDZIAŁ 22

COTTON WPATRYWAŁ SIĘ ponad blatem kuchennego stołu w Terryego Morse'a i cierpliwość powoli mu się wyczerpywała. Gospodarz siedział ze wzrokiem wbitym w otwarte okno. Zaraz za moskitierą, pod okapem dachu, krążyło kilka brzęczących pszczół.

- Zaraz wrócą do ula - stwierdził Morse. - Jak tylko się uspokoją.

Stary strażnik zdążył już naprawić i ponownie ustawić rozbite skrzynki, a potem za pomocą dymiarki zagonił większość owadów z powrotem do ich domków.

- Pszczoły nie żyją w chaosie - dodał. - Mają wszystko dobrze zorganizowane. W ulu obowiązują jasne zasady.

Razem z nimi przy stole siedziały Cassiopeia i Lea. Cassiopeia także co jakiś czas czujnie wyglądała przez okno. W rękę trzymała pistolet, który zostawili trzej intruzi.

- Co oni panu powiedzieli? - zapytał Cotton. Jego beretta leżała przed nim na blacie. - Ze pana obowiązkiem jest wciągnąć nas w pułapkę?

Morse pokiwał głową.

- Pojawili się zaraz przed waszym przybyciem. Zaparkowali z tyłu, w ukryciu. Znali uścisk dłoni i właściwe sformułowania. Tatko uczył mnie, żebym zawsze szanował ludzi, którzy wiedzą te rzeczy. Kiedy przyszłście z Leą, oni skryli się w sypialni i podsłuchiwali. Zamierzałem pokazać im kamień, więc was też tam zaprowadziłem.

- Pański ojciec żył w innych czasach - stwierdził Cotton. - Dzisiaj sytuacja się zmieniła. Ci ludzie mają gdzieś Rycerzy Złotego Kręgu.

- Teraz to widzę. Popełniłem błąd. - Morse spojrział na wnuczkę. - Przepraszam, kochanie.

- Nie ma sprawy, nic mi się nie stało.

- Niech mi pan opowie o tym kamieniu - mówił Cotton. - I dla

własnego dobra, niech pan niczego nie ukrywa.

- Rozumie pan, że strzegłem tej tajemnicy przez bardzo wiele lat.

- Tak jak mówię, to były inne czasy. Popełniono tu wiele zbrodni, a teraz nadszedł dzień sądu.

Morse wydawał się zrezygnowany.

Malone współczuł trochę staremu strażnikowi, ale miał zadanie do wykonania.

- To jedna z pięciu takich płyt - powiedział w końcu Morse. - Tato opowiadał, że jego ojciec został specjalnie wybrany do pilnowania tej konkretnej.

Był to wielki zaszczyt, który napawał go dumą, a następnie przekazał tę misję mnie.

- Więc jak kamień trafił do pańskich pszczół? - zapytała Cassiopeia.

Cotton też chciał się tego dowiedzieć.

- To stare dzieje. Byłem wtedy niewiele młodszy od mojej wnuczki.

Morse podążył za swoim, ojcem przez gąszcz dębów, buków i sosen, czujnie wypatrując grzechotników. Kochał te lasy. Mieszkały tu dziki i jelenie, rosły orzechy, jagody i jego ukochane dzikie wiśnie. Płynęły tędy strumienie, które dawały im czystą wodę i ryby. Naprawdę czuł, że Kraina Ozark i góry Ouachita to jego dom, i miał nadzieję, że spędzi tu całe swoje życie.

Jego ojciec był wpływowym człowiekiem, który budził respekt u innych. Hodował świnie i łapał zwierzęta futerkowe. Kiedy w czasach wielkiego kryzysu panował głód, przynosił ludziom upolowaną zwierzynę i pilnował, żeby wszyscy mieli co jeść. Jego słynny bimber budził wielkie emocje zarówno wśród miejscowych, jak i przedstawicieli urzędu skarbowego. Ludzie przychodzili do niego po pomoc i po radę.

- Dokąd idziemy? - zapytał ojca.

- Polować na krowy.

Znał to sformułowanie i kiedy był młodszy, rozumiał je dosłownie.

Z czasem jednak się zorientował, że testowa mają jakieś ukryte znaczenie. Zazwyczaj kiedy ojciec szedł „polować na krowy”, siodłał konia i ruszał do

lasu sam. Dziś zabrał ze sobą syna, który jechał za nim na własnym wierzchowcu, z własną strzelbą w ręku.

Ojciec wstrzymał konia i pozwolił mu się ze sobą zrównać.

- Widzisz ten powykręcany buk, tam nad strumieniem ?

Morse spojrział w kierunku wskazanym przez ojca.

- Te drzewa wskazują drogę do skarbu. Są całe pokryte różnymi znakami.

Ten, kto umie je prawidłowo odczytać, odnajdzie zakopane złoto.

Jego ojciec nigdy wcześniej mu o tym nie mówił.

-Jesteś moim pierworodnym, a to oznacza, że będziesz następnym strażnikiem. Nauczę cię wszystkiego, co musisz wiedzieć, ale tylko jeżeli chcesz się tego nauczyć.

Po plecach przebiegł mu dreszcz, zimny jak woda w strumieniu. Jeszcze nigdy nie czuł takiej więzi ze swoim ojcem. Czy można sobie wyobrazić lepsze uczucie?

- Chcę się nauczyć-powiedział.

- Tak podejrzałem. Widzisz tę kotlinkę za potokiem?

Skinął głową.

- Ktoś jest tam pochowany. Chodził tam, gdzie nie powinien, i źle się to dla niego skończyło. To było dawno temu. Ale czasami to konieczne. Czasem trzeba zapolować na krowy.

W tym momencie Morse zrozumiał, co znaczy ten zwrot.

-Tygo zastrzeleś?

-Mój ojciec. Ale ja bytem przy tym, tak jak ty dzisiaj.

Więź stawała się coraz silniejsza, sięgała już dwa pokolenia wstecz.

- Zrobię wszystko, co będzie trzeba.

- Wiem - odparł jego ojciec z uśmiechem.

Jechali dalej, zapuszczając się w głąb lasu. Trzymali się strumienia i kierowali się na południe, coraz bardziej oddalając się od swojej chaty. Morse wielokrotnie eksplorował ten fragment lasu i napatrzył się na kształty zwierząt, zagadkowe litery, daty i inne symbole wyrze w pniach drzew i kamieniach. Ale nigdy dotąd nie rozumiał ich znaczenia. Zawsze zakładał, że po prostu zostawili je turyści. Chciał zadać więcej pytań, ale wiedział, że to kiepski pomysł. Ojciec we właściwym czasie powie mu wszystko, co

powinien wiedzieć.

Uświadomił sobie, co się przed chwilą stało.

Właśnie rozpoczęła się jego edukacja.

- Tatko był twardym człowiekiem - powiedział Morse. - Później dowiedziałem się, że polując na krowy, zabił trzech ludzi.

- Wcześniej mówił pan co innego - zauważyła Cassiopeia.

- Kłamałem.

Lea wyglądała na zaskoczoną rewelacjami dziadka.

- Nigdy mi nie mówiłeś, że ktoś tu zginął.

- Bo nigdy nie zakładałem, że będziesz zmuszona kogoś zabić. Dlatego nie musiałaś o tym wiedzieć.

- Ty też kogoś zabiłeś? - zapytała dziewczyna.

Morse pokręcił głową.

- Nie byłem w stanie. Tylko ich przepędzałem.

- Co się wydarzyło później? - odezwał się Cotton. - Tamtego dnia, kiedy ojciec zabrał pana nad strumyk?

- Pokazał mi coś.

Jechali dalej wąskim szlakiem. Podłoże wyglądało na stabilne, ale Morse na wszelki wypadek czujnie obserwował ścieżkę przed sobą.

- W tej ziemi zakopano mnóstwo złota - powiedział jego ojciec. - Więcej, niżbyśmy dali radę wydać przez całe życie. Ale ono nie należy do nas. To cudza własność. Naszym zadaniem jest chronić to złoto.

Wszystko to wydawało się szalenie ważne.

- Zresztą - kontynuował ojciec - i tak nie wiedziałbym, gdzie go szukać.

Kawałek jechali pod górę, aż znów znaleźli się na płaskim terenie.

Ojciec zatrzymał konia przed wysokim ostrokrzewem.

- Spójrz.

Morse już wcześniej zauważył rysunek wycięty na korze. Przedstawiał węża.

- Ja nie umiem odczytywać tych znaków - przyznał ojciec. - Nie mam pojęcia, co mówią. I tak właśnie ma być. My tylko ich strzeżemy.

Chronimy. Pilnujemy, żeby pozostały na swoim miejscu. Dlatego zanim odejdę, pokażę ci wszystkie, o których wiem.

- Ale nie zdążył tego zrobić - powiedział Morse. - Zmarł rok później. Spadł z konia podczas polowania na krowy.

- A co z tym kamieniem? - Cotton wrócił do tematu.

- Pokazał mi go od razu tamtego pierwszego dnia, kiedy znaleźliśmy drzewo z wyrytym węzem.

- Są zwykli strażnicy i są specjalne osoby, takie jak my - wyjaśnił jego ojciec. - Tak, wszędzie naokoło jest poukrywane złoto, ale jest tu też coś o wiele ważniejszego. I wiem, jak to odnaleźć.

Przez kilka minut jechali w milczeniu. W końcu jego ojciec zatrzymał się i zeskoczył z konia, a on poszedł w jego ślady. W podszyciu przy dużym skupisku wiązów zobaczył zardzewiałe pozostałości żelaznej kasy pancerniej.

- Ta skrzynia pochodzi z dylizansu obrabowanego w okolicach Hot Springs około tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku.

Po jednej stronie mimo rdzy dało się odczytać napis WELLS FARGO.

- Zostawił ją tutaj Jesse James, a złoto, które było w środku, zakopał. James należał do Rycerzy Złotego Kręgu. Napadał na te wszystkie banki, a łupy przywoził tutaj i zakopywał. Całe to złoto jest ukryte na tych wzgórzach. Należy do Zakonu. Ale jest jeszcze coś, o czym musisz wiedzieć. Coś specjalnego. To również pokazał mi mój ojciec.

- Większość tego złota już stąd zniknęła - powiedział Morse.

Cotton spojrzał na niego pytająco.

- Przyszli i je zabrali.

- Kto? - zapytała Cassiopeia.

- Rycerze. Chodzili po całym lesie i wykopywali złoto. Zostawili tylko niewielką część.

- I co potem zrobili z tym złotem? - spytał Cotton.

- Przewieźli wszystko w jedno miejsce. Nazywali je kryptą. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, gdzie to jest, ale tam właśnie trafił cały skarb.

Zostało jedynie kilka mniejszych kryjówek. Ale mój dziadek i tata otrzymali specjalne zadanie, które następnie przeszło na mnie. Mieliśmy pilnować tej kamiennej płyty.

- Dlaczego ona jest taka ważna?
- Ponieważ wskazuje drogę do krypty.

ROZDZIAŁ 23

WASZYNGTON GODZ. 22:45

STEPHANIE WYSZŁA Z ROTUNDY, kiedy strażnicy wraz z policją zajęli się oględzinami rozbitej gabloty. Rick zarzekał się, że nic więcej nie wie. Gdy jeden z policjantów zaczął ją wypytywać, z początku chciała mu powiedzieć o zabójstwie Thomasa, ale kątem oka uchwyciła błagalne spojrzenie Ricka i postanowiła na razie również milczeć. Machnęła tylko odznaką Magellan Billet i powiedziała funkcjonariuszom, że jeśli mają jakieś wątpliwości, niech się z tym zwrócą do prokuratury generalnej.

- Co z ciałem Thomasa? - szepnęła do Ricka, kiedy oboje odsunęli się na bok.

- W tej chwili wie o tym tylko kilka osób.

- W coś ty mnie wpakował?

Po raz kolejny podeszła do roztrzaskanej gabloty. W środku znajdowały się przedmioty ceremonialne Instytutu Smithsona. Przy każdym z nich widniała plakietka z opisem. Na tylnej ścianie wisiała srebrno-złota buława wysadzana diamentami i rubinami. Nie zabrakło na niej także błyszczącego smithsonitu - minerału wydobytego przez Jamesa Smithsona, nazwanego na cześć odkrywcy po jego śmierci. Z krótkiej notki dowiedziała się, że zdobienia na inkrustowanej buławie także odnosiły się do postaci Smithsona. Uczelnie wyższe traktowały swoje buławy jako symbol kompetencji, władzy i akademickiej niezależności. W tym wypadku musiało być podobnie. Stephanie przeczytała opis ceremonii przekazania buławy nowo mianowanemu sekretarzowi. W gablocie znajdowały się również srebrna taca oraz

pieczęć urzędowa, a na samym dole plakietka z opisem klucza ceremonialnego.

Tradycja przekazywania klucza nowemu sekretarzowi została zapoczątkowana w 1964 roku wraz z objęciem urzędu przez S. Dillona Ripleya, który został ósmym sekretarzem Instytutu Smithsona. W miejsce złożenia przysięgi odchodzący sekretarz Leonard Carmichael zaproponował ceremonię przekazania klucza na wzór tego, w jaki sposób na wielu uniwersytetach celebryje się inaugurację nowego rektora. Ówczesny kanclerz Instytutu Smithsona, przewodniczący Sądu Najwyższego Earl Warren, wręczył klucz Ripleyowi przed rozpoczęciem spotkania zarządu, które odbyło się 23 stycznia 1964 roku. Przedmiot ten, będący atrybutem strażnika wiedzy, stanowi idealny symbol tego, co reprezentuje sobą Instytut Smithsona. Wielki mosiężny klucz pochodzący z 1849 roku prawdopodobnie służył niegdyś pierwszym użytkownikom Zamku do otwierania ciężkich dębowych drzwi wejściowych.

Obok plakietki leżało niewielkie drewniane pudełko z otwartym wieczkiem, o wnętrzu wyściełanym błękitnym aksamitem. Widoczne w materiale wgniecenie miało kształt dużego klucza.

Którego nie było w środku.

- A gdzie ten klucz? - zapytał jeden z policjantów, który również zauważył puste pudełko.

- Od dawna go tu nie ma - odparł Rick. - Używamy duplikatu.

- Domyśla się pani, dlaczego włamywacz zniszczył tylko tę gablotę?

- Możliwe, że zrobił to przez przypadek - odparła Srephanie. - Bardzo mu się spieszyło do wyjścia.

- A pani co tutaj właściwie robi?

- Pomagam przyjacielowi. - To mówiąc, odwróciła się do Ricka stojącego po przeciwległej stronie rotundy. Powoli skinął głową, potwierdzając jej słowa i jednocześnie dziękując jej za to, że nie powie-

działa całej prawdy.

W tym momencie rozległo się brzęczenie telefonu. Rick odebrał, po czym wyszedł na korytarz, żeby porozmawiać na osobności.

Co takiego krył w sobie ten klucz, że Martin Thomas stracił przez niego życie?

- Stephanie - usłyszała głos Ricka.

Kiedy na niego spojrzała, dał jej znak, żeby podeszła.

Zostawiła policjantów i wyszła na korytarz.

- Ktoś chce z tobą porozmawiać.

ZESZLI PO SPIRALNYCH schodach i wrócili do gabinetu Ricka. Tam ponownie weszli do podziemnego tunelu wiodącego do muzeum Historii Naturalnej. Gdy dotarli do ciała Thomasa, zobaczyła, że zostało nakryte prześcieradłem. Obok zwłok czuwał ochroniarz. Wchodząc do tunelu, Rick zamknął bramę od strony Zamku, zaś wejścia znajdującego się w muzeum pilnował kolejny strażnik.

- Nikt tu nie wejdzie - zapewnił ją Rick.

Skierowali się prosto do biblioteki Cullmana, gdzie godzinę temu wszystko się zaczęło. W ciągu dnia muzeum tętniło życiem, było pełne ludzi, światła i zgiełku, ale teraz panowała tu isticie grobowa cisza. Jak 'wyjaśnił Rick, po godzinach w żadnym z budynków nie przebywały ekipy sprzątające. Wszystkie prace wykonywano za dnia, dlatego nocą eksponaty spoczywały w samotności i nienaturalnej ciszy. Nic dziwnego, że w książkach czy filmach często wykorzystywano dramaturgię drzemiącą w takiej nieruchomej scenerii.

W bibliotece czekał na nich mężczyzna. Jego łąsą głowę okalał wianuszek siwych włosów, co nadawało mu wygląd mnicha. Stephanie wiedziała, że ten korpulentny jegomość o pulchnych rękach i lekko podpuchniętych oczach cieszy się opinią człowieka niezwykle inteligentnego.

Był to Warren Weston. Przewodniczący Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych.

A także kanclerz Instytutu Smithsona.

Gdy Stephanie pojawiła się w progu, wstał.

- Miło mi panią poznać – powiedział.

Rick odwrócił się z powrotem do wyjścia.

- Zostań, Rick.

- Muszę się zająć Martinem, zaraz wrócę.

Kustosz wyszedł, zostawiając ich samych.

- Obawiam się, że to z mojego powodu została pani w to wciągnięta - zaczął Weston. - Potrzebowaliśmy pomocy. Dowiedziałem się, że jest pani przyjaciółką Ricka, i poprosiłem, żeby do pani zadzwonił.

- Po tym, jak zwerbował pan Cottona Malone'a. Mógłby mi pan wyjaśnić dlaczego?

- To długa historia.

Przez twarz Stephanie przebiegł cień uśmiechu. Dokładnie to samo mówił Cotton za każdym razem, gdy ktoś pytał o jego przydomek.

- Mamy naprawdę poważny problem - powiedział Weston. - Sytuacja przybrała prawdziwie tragiczny obrót. Doniesiono mi o tym, co się stało, uznałem więc, że powinienem z panią porozmawiać osobiście.

- Z całym szacunkiem, panie Weston, ale to nie jest mój problem. Znalazłam się tu tylko dlatego, że Rick zwrócił się do mnie z prośbą o pomoc. Nie wiedziałam, w co się pakuję, i niestety pozwoliłam sytuacji wymknąć się spod kontroli, co było wysoce nierozważne z mojej strony. W Magellan Billet zajmujemy się sprawami związanymi z bezpieczeństwem narodowym. W tej chwili to zadanie powinno przejąć FBI albo policja.

- Zanim tu przyjechałem, odbyłem rozmowę z prokuratorem generalnym. Powiedział mi, że agenci Magellan Billet są do mojej dyspozycji.

Stephanie nie znosiła tego typu praktyk.

- Nie było to do końca uczciwe zagranie.

- Zdaję sobie z tego sprawę i bardzo panią za to przepraszam. Ale nie miałem wyboru.

Doskonale wiedziała, co się wydarzyło. Nowy prokurator generalny

miał Magellan Billet w głębokim poważaniu, na samym początku wręcz chciał w ogóle zlikwidować agencję. Nie dopuścił do tego Danny, który w dniu inauguracji wybił prezydentowi Foxowi ten pomysł z głowy. Wprawdzie udało się zachować stary personel oraz utrzymać ten sam poziom finansowania co za poprzedniej administracji, ale Stephanie nie miała złudzeń. Wiedziała, że w Białym Domu jednostka Magellan Billet straciła dawną pozycję i jej agenci będą teraz pewnie mieli niewiele do roboty. Właśnie dlatego została wciągnięta w tę sprawę - chcieli ją czymś zająć. Owszem, sytuacja wydawała się poważna i w żadnym wypadku nie należało bagatelizować śmierci Martina Thomasa. Była jednak przekonana, że lokalna policja oraz FBI w zupełności by tu wystarczyły.

- Liczę na absolutną dyskrecję - kontynuował Weston. - I wiem, że pani agencja może mi to zagwarantować. Trzeba będzie na razie umieścić ciało Martina Thomasa w jakimś bezpiecznym miejscu, tylko na kilka dni, dopóki się z tym wszystkim nie uporamy.

- Zdaje pan sobie sprawę, że jeśli to zrobimy, dopuścimy się przestępstwa? Ten człowiek został zamordowany. To jest manipulacja dowodami zbrodni.

- W czym pani agencji z pewnością są specjalistami, skoro na co dzień zajmują się „sprawami związanymi z bezpieczeństwem narodowym”.

Stephanie wychwyciła sarkazm w jego głosie.

- Jak więc zamierza pan wytłumaczyć zniknięcie Thomasa?

- To już proszę zostawić mnie.

Ponieważ nie miała innego wyjścia, sięgnęła po komórkę i wybrała numer. Ten telefon został wyprodukowany specjalnie na potrzeby jej agencji. Był tak zaprogramowany, że mogła się dzięki niemu połączyć bezpośrednio z bezpieczną linią.

- Prześlijcie ekipę do Muzeum Historii Naturalnej - powiedziała do telefonu. - Mam tu bałagan, który trzeba natychmiast posprzątać. - Przez chwilę słuchała w milczeniu, po czym powiedziała: - Biorę to na siebie. Będę na was czekać przy wejściu do budynku od strony Constitution Avenue. Tam dostaniecie dalsze instrukcje. Pospieszcie się.

Po tych słowach się rozłączyła.

-Jestem pod wrażeniem - skomentował Weston. - Rozumiem, że w waszej branży co chwilę ktoś ginie.

-W służbie jest niewielu cywilów. Wolimy zabijać tylko ludzi odpowiednio przeszkolonych.

Widziała, że Weston bezbłędnie odczytał jej ciętą ripostę.

- Chyba rzeczywiście sobie na to zasłużyłem - przyznał, po czym zapraszającym gestem wskazał jej krzesło. Sam także usiadł.

Stephanie postanowiła zmienić taktykę i rozegrać to nieco bardziej dyplomatycznie.

- Proszę mi wybaczyć opryskliwość, ale w przeciwieństwie do pana działałam całkowicie po omacku. Poza tym cały czas nie powiedział mi pan, dlaczego wciągnęliście w to także Cottona.

- Podzielam pani frustrację. Od ponad trzydziestu lat piastuję stanowisko przewodniczącego Sądu Najwyższego. Być może już jakiś czas temu powinienem był się wycofać. Tak czy owak, kiedy odejdę na emeryturę, nie będę tęsknił za sędziowską togą, natomiast z pewnością będzie mi brakowało zaszczytu, jakim jest funkcja kanclerza tej wspaniałej instytucji. Przez te wszystkie lata ani razu nie opuściłem spotkania zarządu. Niewielu z moich poprzedników mogłoby powiedzieć to samo.

- I mówi mi pan to wszystko, bo...?

Na twarzy starszego mężczyzny pojawił się wyraz lekkiego zniecierpliwienia.

- Rozumiem pańską irytację - powiedziała. -Trudno się ze mną rozmawia. Pewnie nie ma pan na co dzień do czynienia z osobami mojego pokroju. Ale nie jestem jednym z pańskich protokolantów czy prawników przemawiających podczas rozprawy. W dodatku miałam wyjątkowo ciężki wieczór.

- To nie pani wina, że Martin Thomas zginął.

- W takim razie czyja?

W jej pytaniu kryła się oczywista sugestia.

Weston pokręcił głową.

- Nie wiedzieliśmy, że Thomas przyjdzie tu dziś z tym człowiekiem.

Naprawdę nie mieliśmy pojęcia. Sam naraził się na niebezpieczeństwo.

- Tylko że my zauważyliśmy u niego broń, a mimo to nic nie zrobiliśmy. Trzeba było natychmiast to przerwać. To ja popełniłam błąd.

- Nie, to ja ponoszę pełną odpowiedzialność za to, co się stało. Nie szukam kozła ofiarnego. W tej chwili potrzebuję pomocy.

W jego głosie dało się słyszeć nutę desperacji.

- W porządku. Zamieniam się w słuch.

Weston chyba docenił ten gest.

-Wszystko zaczęło się dawno temu, w czasach wojny secesyjnej. Instytut Smithsona prowadził wtedy niebezpieczną grę. Nasz ówczesny sekretarz, Joseph Henry, uważał, że jako międzynarodowa organizacja naukowa powinniśmy zachować neutralność i nie mieszać się do polityki. Niestety ta szlachetna postawa przysporzyła mu wielu wrogów. Na pewno nie pomógł też fakt, że Henry przyjaźnił się z Jeffersonem Davisem. W trakcie wojny ledwie byliśmy w stanie się utrzymać, a pod koniec byliśmy już całkiem pod kreską. W tej sytuacji władze instytutu musiały podjąć trudne decyzje. O niektórych z nich dowiedział się właśnie Martin Thomas, a temat ten wzbudził także żywe zainteresowanie Diane Sherwood.

Znowu to nazwisko.

- Czy kiedykolwiek rozmawiał pan o tym z senatorem Sherwoodem?

- Owszem, jakieś dwa tygodnie przed jego śmiercią. Powiedziałem mu, że jego żona wywiera nacisk na jednego z naszych pracowników, nadużywając swojej pozycji, i że najlepiej by było, gdyby zrezygnowała z miejsca w Komisji Doradczej Bibliotek Instytutu. Obiecał z nią o tym pomówić. Najwyraźniej jednak albo w ogóle nie doszło do tej rozmowy, albo ona go nie posłuchała. Teraz zaś zarówno senator, jak i Martin Thomas nie żyją.

Stephanie uznała, że powinna powiedzieć wszystko.

- Thomas nie był z panem szczery - oznajmiła, po czym opowiedziała mu to, co usłyszała o zaginionym skarbie konfederatów, o książce, którą zamierzał napisać bibliotekarz i o zapłacie, jakiej zażądał.

- Dlatego właśnie nie powiedział nikomu ani o dzisiejszej wizycie w

muzeum, ani o gościu, którego planował ze sobą przyprowadzić.

Sędzia Weston głęboko westchnął.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Muszę pani o paru sprawach opowiedzieć - odezwał się w końcu. -
Ale to musi zostać między nami.

ROZDZIAŁ 24

GRANT PRZESTAŁ BIEC i szedł teraz energicznym krokiem. Udało mu się wydostać z Zamku wyjściem ewakuacyjnym, z którego wielokrotnie korzystał jako dziecko. Drzwi wychodziły na ogrody znajdujące się od południowej strony gmachu, poprzecinane siecią asfaltowych ścieżek, a stamtąd wyskakiwało się od razu na ulicę. Wiedział, że Instytut Smithsona zainwestował w zaledwie kilka zewnętrznych kamer, skupiając się przede wszystkim na zabezpieczeniu tego, co w środku. Żeby zniknąć z pola widzenia ochrony, wystarczyło przejść na drugą stronę Independence Avenue i zapuścić się w labirynt rządowych budynków. Fakt, że nikt go nie gonił, dodał mu otuchy. Co prawda wszystko wskazywało na to, że jadące na sygnale radiowozy zmierzały w kierunku Zamku, ale tak jak podejrzewał, kobieta, przed którą uciekał, ścigała go w pojedynkę. Przez moment widział jej twarz. Ciekawe, czy rzeczywiście pracowała dla Departamentu Sprawiedliwości.

Jeśli chodzi o Martina Thomasa, nie było innego wyjścia. Musiał go zabić. Gdyby Thomas bez szemrania wykonał swoją robotę i przyjął sowite wynagrodzenie, jakie mu zaproponowali, zostawiłby go w spokoju.

Stało się jednak inaczej.

I jeszcze te groźby, że napisze książkę?

To była ostatnia rzecz, na jaką Grant mógł mu pozwolić.

Zastanawiał się, czy znaleźli podziemny tunel. I czy to możliwe, że ta kobieta z Departamentu Sprawiedliwości przysłała właśnie tą drogą. A może od razu czekała na niego w Zamku? Tylko skąd by wiedziała, że ma tam czekać? Od Thomasa? Niemożliwe. Podczas rozmowy telefonicznej, gdy ustalali szczegóły jego wieczornej wizyty, nie wspomniał ani słowem o tym, dokąd zamierza się udać. Powiedział

tylko, że chce, aby Thomas wprowadził go na teren instytutu. Dopiero gdy wyszli z Biblioteki Cullmana, wyjawił mu swój cel. Tak więc nikt, łącznie z Thomasem, nie wiedział o tym, że zamierza skorzystać z podziemnego przejścia. A zatem istniało tylko jedno wytłumaczenie. Ta kobieta zaczęła ich śledzić jeszcze w muzeum i poszła za nimi tunelem biegnącym pod National Mail. To zaś oznaczało, że musiała po drodze natknąć się na zwłoki Thomasa.

Grant wiedział, że Diane nie będzie zadowolona, kiedy się dowie, co zrobił. W końcu to ona skontaktowała go z Thomasem, dzięki czemu zyskał dostęp do budynków Instytutu Smithsona. Można się było spodziewać, że zostanie teraz przesłuchana, o ile policja odkryje powiązania łączące ich trójkę. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko mieć nadzieję, że do tego nie dojdzie. W przeciwnym razie aresztowanie go stanie się jedynie kwestią czasu. Skojarzenie ze sobą wszystkich faktów nie potrwa długo. Coś mu jednak mówiło, że druga strona działa całkiem po omacku.

Niestety musiał dzisiejszej nocy odwiedzić jeszcze dwa miejsca. Czekala go ponowna wizyta w Zamku i w Muzeum Historii Naturalnej. W tunelu zabrał Thomasowi identyfikator i kartę magnetyczną. Miał zamiar użyć ich, żeby się z powrotem dostać do muzeum, po tym jak już wykradnie klucz ceremonialny. Ale ten powrót okazał się niemożliwy, przez co sytuacja się skomplikowała.

Zwolnił kroku i uspokoił oddech.

Tym razem było naprawdę blisko. I naprawdę groźnie.

Szedł przed siebie, mijając kolejne latarnie. Czuł, jak przepoc- na koszula lepi mu się do skóry. W końcu dotarł do 14. Ulicy. Przeszedł na drugą stronę, tuż przy Muzeum Holokaustu złapał taksówkę i podjechał na Dupont Circle. Na ulicy panował niewielki ruch. Gdy wysiadł, ruszył dalej, trzymając się cichych dzielnic mieszkalnych, a omijając budynki ambasad i innych placówek dyplomatycznych, na których były zamontowane kamery. Tylko od czasu do czasu mijał go jakiś samochód. Tak przemierzył kilka przecznic, aż w końcu dotarł do rzeki, przeszedł na drugą stronę i ruszył w kierunku Georgetown. W całym tym

zamieszaniu ani razu nie spojrzął na telefon, w którym wcześniej wyłączył dźwięk. Wyciągnął go z kieszeni. W skrzynce czekał e-mail z Arkansas.

Znaleźliśmy kamień u Morse'a. Zrobiliśmy zdjęcia, są w załączniku. Nie byliśmy w stanie go zabrać, bo na miejscu pojawiło się dwoje agentów federalnych. Próbowaliśmy się dowiedzieć, skąd się tam wzięli, ale niczego od nich nie wyciągnęliśmy. Na szczęście nie wiedzą, kim jesteśmy. Udało nam się uciec i więcej tam nie wracamy.

Dopiero teraz mu o tym mówią?

Ta informacja dużo bardziej przydałaby mu się kilka godzin temu. Choć może i dobrze, że tego nie wiedział. Jeszcze straciłby zimną krew. Nadal jednak nie miał pojęcia, skąd się wzięła ta kobieta z Departamentu Sprawiedliwości, a teraz doszli jeszcze kolejni agenci w Arkansas.

Obejrzał zdjęcia przysłane w załączniku.

Kamień Wiedźmy.

Na ten widok aż przystanął.

Cholera. Terry Morse naprawdę był jego strażnikiem. Na szczęście te skąpe informacje, które znaleźli w papierach należących do ich ojców, okazały się zgodne z prawdą, dzięki czemu udało im się dotrzeć do właściwego strażnika. A zatem skoro odnaleźli jeden kamień, cztery pozostałe najprawdopodobniej również nie były mitem. Diane będzie zachwycona.

Może nawet tak bardzo, że przymknie oko na niefortunny zgon Martina Thomasa.

Teoretycznie ze sprawą śmierci bibliotekarza nie łączyło go nic poza znajomością z Diane. Za każdym razem gdy chciał się z nim skontaktować, dzwonił z niezliczonych budek telefonicznych, jakie jeszcze zostały w mieście. Wszystkie spotkania odbywały się w mieszkaniu Thomasa, bez świadków. A dziś wieczorem zachował pełną ostrożność, unikając kamer zamontowanych w budynkach instytutu. Więc jeśli

Thomas sam na niego nie doniósł - a raczej tego nie zrobił - nikt nie powinien wpaść na jego trop.

Złote monety brzęknęły mu w kieszeni.

Ich wartość nominalna wynosiła 10 dolarów.

Dziś każda z nich była warta kilka tysięcy. Tym razem wystarczyły tylko te trzy. Gdy zastrzelił Thomasa, przeszukał jego zwłoki i zabrał monety z powrotem. Nie należało zostawiać przy ciele takich dowodów. Grant osobiście wykopał je z kryjówki w zachodnim Kentucky. Złoto w jednej ze skrytek było przeznaczone dla strażnika, stanowiło jego zapłatę. Dokumenty, które przez dziesiątki lat znajdowały się w posiadaniu jego ojca, doprowadziły ich w tamto miejsce, a Diane rozszyfrowała wskazówki i określiła dokładną lokalizację metalowego wiaderka po brzegi wypełnionego złotem. Te pieniądze pomogły sfinansować wszystkie dotychczasowe przedsięwzięcia, ale zasoby z każdym dniem topniały. Niestety w innych zapiskach, które trafiły w ich ręce, nie było wartościowych informacji na temat kolejnych kryjówek.

Musieli znaleźć kryptę.

On musiał znaleźć kryptę.

Cała jego przyszłość od tego zależała. Poznał Diane dwa lata temu, kiedy odszukała jego ojca, który pracował w Instytucie Smithsona w tym samym czasie co jej ojciec. Mężczyźni początkowo się przyjaźnili, lecz później stali się zaciekłymi wrogami. Grant był o dwadzieścia lat młodszy od Diane. W tamtym czasie jego ojciec nie stracił jeszcze kontaktu z rzeczywistością. Podczas spotkania w ich domu wspominał pracę w Zamku, jej ojca i kłótnię, która doprowadziła do zerwania przyjaźni. Jeszcze tego samego dnia Grant umówił się z Diane na kolację. Po miesiącu zostali kochankami. Była niesamowitą kobietą, zupełnie inną niż wszystkie, z którymi miał do tej pory do czynienia.

Na ekranie wciąż widniało zdjęcie kamienia.

Zwrócił uwagę na napis.

Czyżby coś po hiszpańsku?

Na to wyglądało. Języki obce nigdy nie należały do jego mocnych stron.

A rysunki? Przypadkowe. Na pierwszy rzut oka zupełnie ze sobą niepowiązane. Jednak Grant wiedział, że to tylko pozory.

Sukces Zakonu opierał się przede wszystkim na inteligencji i pomysłowości jego członków. Na umiejętności zastawiania pułapek, odwracania uwagi i tworzenia fałszywych tropów. Krycie się w najbardziej widocznych miejscach doprowadzili wręcz do rangi sztuki. Dawno temu ojciec powiedział mu, że gdzieś na terenie Stanów Zjednoczonych jest ukryty skarb o niewyobrażalnej wręcz wartości, zgromadzony przez Rycerzy Złotego Kręgu. W ciągu kilku ostatnich lat na nowo wzrosło zainteresowanie Zakonem. Na rynku pojawiło się kilka książek traktujących o ich rzekomych skarbach. Jedna z nich, której autor pochodził z Arkansas, zbyt niebezpiecznie zbliżała się do prawdy. Podobnie jak w przypadku Granta i Diane, to członkowie rodziny zdradzili mu kilka sekretów, a później już sam zaczął łączyć fakty, odkrywając jeszcze więcej tajemnic. Dzięki tej wiedzy zdołał rozszyfrować znaki pozostawione w lesie, co umożliwiło mu odkrycie kilku skrytek ze złotem. Jednak Grant nie znalazł w książce ani jednej wzmianki o krypcie, co oznaczało, że przodkowie autora, którzy najprawdopodobniej sami pełnili funkcje strażników, nie we wszystko zostali wtajemniczeni i dlatego nie mieli pojęcia o kamieniach.

Jeden z nich został właśnie odnaleziony.

Teraz należało odszukać pozostałe cztery.

Przetrząsając kieszenie Thomasa, Grant trafił na kartę magnetyczną. Swoją przepustkę do instytutu. Musiał tam wrócić, niezależnie od ryzyka.

Jedna rzecz, którą usłyszał z ust bibliotekarza, nie dawała mu spokoju. Chodziło o tę jego książkę, w której byłaby mowa także o krypcie. Mieliby spory problem. Na szczęście Grant nie stracił głowy i zabrał Thomasowi również pęk kluczy. Któryś z nich na pewno pasował do drzwi jego mieszkania.

Później trzeba będzie się tam wybrać i trochę posprzątać.

ROZDZIAŁ 25

STEPHANIE Z CORAZ WIEKSZĄ, fascynacją słuchała opowieści przewodniczącego Sądu Najwyższego.

- W tysiąc osiemset czterdziestym szóstym roku prezydent James Polk doszedł do wniosku, że najszybszym sposobem na powiększenie terytorium Stanów Zjednoczonych będzie wypowiedzenie wojny Meksykowi. Nie było trudno do tego doprowadzić - Meksyk praktycznie palił się do walki od chwili, gdy utracił Teksas w latach trzydziestych dziewiętnastego wieku. Tak więc Polk sprowokował konflikt i po dwóch latach walk pokonał Meksyk. Na mocy traktatu pokojowego z Guadalupe Hidalgo Ameryka przejęła tereny, na których później powstały stany Arizona, Nowy Meksyk, Utah, Nevada i Kalifornia. W tysiąc osiemset pięćdziesiątym czwartym roku Instytut Smithsona wysłał grupę naukowców na nowo zdobyte ziemie na południowym zachodzie w celu sporządzenia map oraz przeprowadzenia badań geologicznych. Była to jedna z naszych pierwszych ekspedycji naukowych. W tamtym czasie, za kadencji prezydenta Franklina Pierce'a, Jefferson Davis piastował urząd sekretarza wojny. To właśnie wtedy potajemnie nawiązali z nim kontakt przedstawiciele nowo powstałej organizacji noszącej nazwę Rycerze Złotego Kręgu.

- Thomas o nich wspominał.

- Dobrze wiedział, o czym mówi, ponieważ osobiście badał ten temat. Członkowie Zakonu wykazywali szczególne zainteresowanie Meksykiem i Karaibami. Chcieli przejąć kontrolę nad tymi terenami i utworzyć na południu nowe imperium. Mówili o reformach politycznych kraju i o powołaniu do życia nowych stanów, co miało na celu zmianę równowagi sił w Kongresie. Wspominali też o nowej konwencji konstytucyjnej i poprawkach zabezpieczających prawa stanów

południowych. Wizja Rycerzy Złotego Kręgu zaintrygowała Jeffersona Davisa. Ich zdaniem wyprawa grupy badaczy z Instytutu Smithsona stanowiła idealną okazję do przeprowadzenia tajnego rekonesansu na nowo zdobytych ziemiach, z których zamierzali uczynić kolejne stany niewolnicze.

- Ambitny plan.

- W rzeczy samej. Jefferson Davis pod koniec lat czterdziestych dziewiętnastego wieku zasiadał w Senacie, a jednocześnie był członkiem zarządu w Instytucie Smithsona. To właśnie wtedy on i nasz sekretarz, Joseph Henry, zostali przyjaciółmi. W tysiąc osiemset pięćdziesiątym czwartym roku, już jako sekretarz wojny w gabinecie Franklina Pierce'a, Davis wykorzystał tę znajomość, żeby wysłać swojego człowieka na ekspedycję organizowaną przez Instytut Smithsona. Ostatecznie jego wysłannik zbadał cały region południowo-zachodni, zbierając cenne informacje geograficzne, geologiczne, a także polityczne. Wszystko to spisał w dzienniku, który następnie został przekazany Davisowi. Młody człowiek, któremu powierzono tę misję, nazywał się Angus Adams i był pracownikiem instytutu. Siedem lat później Adams zrezygnował z posady, wstąpił do armii Konfederacji i został słynnym szpiegiem. Dorobił się nawet przydomku... - Weston na moment zawiesił głos - Cotton.

-Jest spokrewniony z Malone'em?

- To jego prapradziadek.

- Skąd pan to wszystko wie?

- To ja przestudiowałem drzewo genealogiczne Malone'a - odezwał się Rick Stamm, który wrócił do biblioteki mniej więcej w połowie opowieści Westona.

Stephanie cisnęła się na usta cała masa pytań.

- Co się potem stało z tym dziennikiem?

- Angus Adams dostarczył go do Zamku w styczniu tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego roku, dokładnie tego samego dnia, kiedy w budynku wybuchł wielki pożar. Razem z dziennikiem przyniósł klucz.

- Ten sam, który skradziono dziś wieczorem - domyśliła się Stephanie.

- Zgadza się. Tyle tylko, że w trakcie pożaru oba te przedmioty zaginęły. Klucz odnalazł się w latach pięćdziesiątych. Zupełnie przypadkiem natknięto się na niego na poddaszu. Natomiast dziennika do tej pory nie odnaleziono.

-To tyle, jeśli chodzi o neutralność i apolityczność Instytutu.

- Dziś rzeczywiście staramy się nie mieszać do polityki - oznajmił Weston. - Ale sto sześćdziesiąt lat temu sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Wojna domowa dała się wszystkim we znaki. Lojalność wobec rodziny czy państwa nieustannie była poddawana próbie. Również tu, w tych rzekomo czcigodnych murach.

- Gdzie jest teraz Cotton?

- W Arkansas - odparł Weston. - Sprawdza dla nas pewne informacje.

- Rozumiem, że zamierza mi pan wyjaśnić, co dokładnie sprawdza i dlaczego.

Na twarzy sędziego pojawił się uśmiech.

- Oczywiście. Najpierw jednak skupmy się na Diane Sherwood, gdyż to właśnie jej zainteresowanie tą sprawą zwróciło naszą uwagę. Zapewne nie wie pani, że pod koniec lat sześćdziesiątych jej ojciec, Davis Layne, objął stanowisko dyrektora Muzeum Historii Amerykańskiej i pozostał na nim do połowy lat dziewięćdziesiątych. W tym czasie zgromadził sporą ilość informacji na temat Rycerzy Złotego Kręgu. Pan Malone spędził u nas kilka dni, przeglądając te dokumenty, a także materiały znajdujące się w naszym zastrzeżonym archiwum, które dotyczą dwóch wypraw: tej z tysiąc dziewięćset dziewiętego roku do Arkansas i tej z tysiąc osiemset pięćdziesiątego czwartego na południowy zachód.

- Dlaczego córka Layne'a tak bardzo się tym zainteresowała właśnie teraz? - zapytała Stephanie.

- Naprawdę nie wiemy.

- Domyślam się, że chodzi o skarb. Thomas wspominał o „zaginionym złocie konfederatów”.

Sędzia skinął głową.

- Owszem. To skarb, którym nasz instytut jest zainteresowany już od dawna.

Stephanie spojrzała na Ricka.

- Czy istnieje jakiś związek pomiędzy naszym zabójcą a panią Sherwood?

- Jeżeli tak, to tylko Martin mógł o tym wiedzieć. Me nam nic nie powiedział.

- Wszyscy wiemy, że na pewno mają ze sobą coś wspólnego - stwierdził Weston. - Musimy jednak zachować ostrożność. W końcu to wdowa po członku zarządu. Być może cała sprawa zaczyna się i kończy na Martinie Thomasie, który, tak jak pani wcześniej powiedziała, próbował ugrać coś dla siebie, za naszymi plecami. Nie możemy jednak zapominać, że to Diane Sherwood zwerbowała Thomasa, namawiając go, by włamał się do naszego zamkniętego archiwum.

- Ale dlaczego dostęp do tych dokumentów jest ograniczony? Przecież dotyczą naprawdę zamierzchłej przeszłości.

- Nie chcemy, żeby nasz instytut zaczęli oblegać poszukiwacze skarbów. To ostatnie, czego nam trzeba.

Stephanie postanowiła nie owijać w bawełnę.

- Nie wspominając, że po pierwsze, zrobiliby się z tego niezły skandal, a po drugie, wolelibyście zachować ten skarb dla siebie.

Sędzia nerwowo poruszył się w fotelu.

- Pani Nelle, musi pani zrozumieć naszą sytuację. Roczny koszt utrzymania instytutu to ponad miliard dolarów. Dostęp do naszych zbiorów jest darmowy. Każdy może z nich skorzystać. Nigdy nie pobieraliśmy żadnych opłat ani nie wprowadziliśmy biletów wstępu dla zwiedzających. I nie mamy zamiaru tego zmieniać. Ludziom wydaje się, że utrzymują nas władze federalne, ale to nie do końca prawda. Kongres pokrywa około siedemdziesięciu procent naszych wydatków. Pozostałe trzydzieści procent musimy zdobywać sami. Każdego roku musimy zebrać kilkaset milionów dolarów tylko po to, żeby bilans wyszedł na zero. Może sobie pani wyobrazić, jak trudne to zadanie. Pieniądze pochodzą od darczyńców z całego świata. Od jednych dostajemy więcej, od innych mniej. Najczęściej są to jednak bardzo niewielkie sumy. Gdyby ten strumień został w jakikolwiek sposób zakłócony, Instytut

Smithsona stanąłby w obliczu bankructwa. Więc tak, chcielibyśmy, żeby to złoto trafiło do nas. I rzeczywiście nie możemy sobie pozwolić na żaden poważny skandal.

- Podsumujmy sytuację - powiedziała Stephanie. - Najpierw w czasie wojny secesyjnej Instytut Smithsona grał na dwa fronty dla własnej korzyści. A dzisiaj mamy tu wdowę po członku zarządu, do tego członkinię jednego z waszych ciał doradczych, która może być zamieszana w morderstwo. Do tego dochodzi ten nieszczęsny bibliotekarz, któremu pozwoliliście zginąć, bo za wszelką cenę chcieliście utrzymać w tajemnicy fakt, że posiadacie informacje mogące pomóc w odnalezieniu zaginionego skarbu konfederatów.

- Zawsze jest pani taka złośliwa wobec ludzi, którzy proszą panią o pomoc? - spytał Weston.

- Tylko wobec tych, którzy coś przede mną ukrywają, a wy wciąż nie mówicie mi wszystkiego. Może przynajmniej dowiem się od was czegoś o tym skradzionym kluczu?

Sędzia skinął głową na Ricka.

- Nikt nie wie, co on otwiera - zaczął kustosz. - W dawnych czasach wszystkie drzwi w budynku otwierano właśnie takimi kluczami. Kilka z tych zamków przetrwało do dziś, ale klucz do żadnego z nich nie pasuje. Zgodnie z informacją umieszczoną w gablocie sekretarz Ripley postanowił uczynić z niego przedmiot ceremonialny wykorzystywany podczas uroczystości inauguracyjnej. Przez wiele lat klucz leżał w gabinecie sekretarza, ale jakieś trzydzieści lat temu został przeniesiony do gabloty. Dziś oryginał używany jest tylko podczas samej ceremonii, a nowy sekretarz dostaje duplikat.

- Ile macie tych kopii?

Rick zaczął liczyć na palcach.

- Trzy po poprzednich sekretarzach, jeden należący do obecnego, plus cztery na przyszłość, które trzymam u siebie w sejfie.

- I wszystkie są takie same?

- Tak - pokiwał głową Rick. - Sam kazałem je wykonać.

- W takim razie dlaczego temu facetowi tak bardzo zależało na

oryginał? W końcu podjął ogromne ryzyko, żeby go zdobyć.

Weston wzruszył ramionami.

- Na to pytanie niestety nie znamy odpowiedzi. To pani będzie musiała się tego dla nas dowiedzieć.

- Panie sędzio, niezależnie od tego, co powiedział panu prokurator generalny, tą sprawą powinny się zająć organy ścigania, a nie agencja wywiadowcza. Zostało popełnione morderstwo. Należy zawiadomić policję i FBI, z którymi powinien pan podjąć pełną współpracę.

- Z prawnego punktu widzenia Zamek znajduje się w dystrykcie federalnym. Żeby mógł przejść pod jurysdykcję miejscowej policji, musielibyśmy wyrazić na to zgodę. A FBI zaangażuje się tylko, jeśli się do nich z tym zwrócimy. Szczerze mówiąc, wolałbym nie robić ani jednego, ani drugiego. Nie chcemy nagłaśniać tej sprawy, przynajmniej na razie.

Stephanie mogła odmówić, ale to oznaczałoby początek kolejnego konfliktu z jej nowymi przełożonymi. Obecny prokurator generalny był wiernym sługusem prezydenta, więc dobrze wiedziała, kto przegra tę bitwę. A przecież nie mogła ciągle z nimi o wszystko walczyć. Dlatego postanowiła tym razem zacisnąć zęby i zrobić, co trzeba.

- Czego pan ode mnie oczekuje?

- Chcę, żeby przeprowadziła pani gruntowne śledztwo. Żeby pomogła pani Rickowi zdobyć jak najwięcej informacji. I przede wszystkim, żeby odnalazła pani mordercę Martina Thomasa.

- Zdaje pan sobie sprawę, że są ludzie, którzy mają do tego lepsze kwalifikacje niż ja. Chociażby Cotton.

- Owszem - odparł Weston. - I jego też ściągniemy do pomocy, jak tylko wróci z Arkansas. Tymczasem pani może już zacząć działać.

-Jakieś sugestie? - zapytała, ponieważ obaj mężczyźni mieli do czynienia z tą sprawą o wiele dłużej niż ona.

- Niech pani na początek sprawdzi mieszkanie Martina Thomasa - poradził sędzia. - W naszych archiwach brakuje dokumentów, których nie ma również w jego biurze. Muszą do nas wrócić.

- Skąd będę wiedzieć, czy to te papiery?

- Pojadę z tobą - oznajmił Rick.

Mogła się tego spodziewać.

-Jak się dostaniemy do jego mieszkania?

- Domyślam się, że potrafi pani posługiwać się wytrychem - powiedział Weston.

- Umiem otworzyć to i owo.

Na twarzy Ricka pojawił się uśmiech.

-Tak czy inaczej planowałem dziś po wszystkim pojechać tam razem z tobą i z Martinem.

- A więc podejrzewałeś, że Martin nie był z tobą szczerzy?

- Wcale nie. Domyśliłem się dopiero, kiedy zobaczyłem go z tym drugim facetem w Bibliotece Cullmana. Między innymi właśnie dlatego do ciebie zadzwoniłem.

- Dobra, jedźmy się tam rozejrzeć.

ROZDZIAŁ 26

COTTON SPOJRZAŁ NA zegarek. Już niebawem wtorek miał zmienić się w środę. Co za dzień. Rozpoczęli go o wczesnym poranku w uroczym górskim schronisku, a skończyli w upale i wilgoci typowej wiosennej nocy w Arkansas. Po drodze dwa razy wpadł w zasadzkę, strzelano do niego z broni myśliwskiej, a na koniec goniły go pszczoły.

- Co to za krypta? - zapytał Terry ego Morse'a.

- Miejsce, do którego zabrali całe złoto i srebro.

Strażnik powiedział im, co zaczęło się dzieć pod koniec dziewiętnastego wieku. Opróżniono wówczas setki podziemnych składów złota, a ich strażników zwolniono z dalszej służby. Rycerze Złotego Kręgu powoli odchodzili w niepamięć. Nadal istniał lojalny rdzeń organizacji, ale członków było już zbyt mało, aby mogli działać skutecznie. Idea drugiego ruchu na rzecz secesji wydawała się nieziszczalnym marzeniem. Dlatego zapadła decyzja o konsolidacji majątku Zakonu w miejscu, gdzie dałoby się go łatwo kontrolować i skąd można by go szybko wydobyć, gdyby kiedykolwiek zaszła taka potrzeba.

- Potem nadeszły czasy Ku Klux Klanu-wyjaśnił Morse. - Oni ściągali na siebie całą uwagę linczami i paleniem krzyży.To byli źli ludzie. Rycerze nie mieli z tym nic wspólnego. Klan to była całkiem osobna historia.

Dziadek Malone'a też zawsze to podkreślał.

-Tatko pomógł przetransportować dużą część złota stąd do Kansas City, gdzie przekazano je w ręce innych rycerzy – ciągnął Morse. - Mówił mi, że wykopywali wolno i po cichu. Minęło trzydzieści lat, zanim udało się wydobyć większość złota, ponieważ nie chcieli zwracać na siebie uwagi.

- Powiedział pan, że pański ojciec nie potrafił odczytywać znaków

umieszczonych w lesie - zauważyła Cassiopeia.

- To prawda. Ale rycerze, którzy do niego przyszli, potrafili.

- Czy podobne składy złota znajdowały się w całym kraju? - zapytał Cotton.

- Z tego co wiem, zakon tworzył je wszędzie, ale najczęściej powstało na terenie Arkansas, Tennessee i Kentucky. Im dalej od przyjezdnych z Północy, tym łatwiej było bezpiecznie ukryć złoto.

Jego tłumaczenie miało sens. Na ziemiach, gdzie po wojnie kręciło się mniej żołnierzy Unii, organizacja taka jak Rycerze Złotego Kręgu miała większą swobodę działania.

- Nadal nie powiedział pan nic o samej krypcie - zauważył Cotton.

- Bo sam niewiele wiem poza tym, że istnieje i że ta płyta leżąca przy ulach pokazuje, jak tam trafić. Nazwa Kamień Wiedźmy wzięła się od wyrytej na nim postaci w kapeluszu.

Cassiopeia wyciągnęła telefon i wyświetliła na ekranie zdjęcie kamiennej płyty.



- Skąd się u was wziął ten kamień? - zapytał Morse'a Cotton.

-Tę historię też opowiedział mi tatko, który usłyszał ją wcześniej od swojego dziadka.

Wóz stanął na ścieżce zaraz za drewnianym ogrodzeniem. Wzdłuż pokrytej koleinami drogi, która prowadziła na wschód, do oddalonego o

dziesięć kilometrów miasteczka, ciągnął się szpaler drzew. Przed kilkoma dniami szlak przecięła trąba powietrzna, zasypując go oberwanymi konarami, ale zostały już usunięte, dzięki czemu zaprzężony w trzy konie wóz mógł zagłębić się w lasy Arkansas.

- Całkiem ładne tu macie drzewo - zawołał młody woźnica.

Ogromny dąb rósł w ogrodzie przed domem w chwili, kiedy rodzina Morseow sprowadziła się tu niemal siedemdziesiąt lat temu. O jego wieku i sile świadczyły gruby pień o średnicy niemalże dwóch metrów oraz rozłożyste, potężne gałęzie.

- O tak - odpowiedział Grady Morse. - W tysiąc osiemset osiemnastym roku przedstawiciele Czirokezów usiedli pod tym drzewem z gubernatorem tego terytorium, żeby dobić targu. W ten sposób przejęliśmy wszystkie lasy na północ od rzeki.

W Arkansas rościło wiele podobnych drzew, w których cieniu swego czasu organizowano narady. Grady Morse był bardzo dumny ze swojego dębu. Przyjrzał się swoim dwóm gościom. Powoził młody dziarski chłopak, natomiast drugi mężczyzna, znacznie starszy i chudy jak szkielet, bardziej przypominał jego samego. Miał bladą twarz poznaczoną licznymi bliznami, wąską zuchwę porastała gęsta siwa broda.

- Muszę z panem porozmawiać - odezwał się starzec twardym, władczym głosem.

Grady trzymał w ręku swoją strzelbę, co było roztropnym posunięciem w sytuacji, gdy pod domem zjawiali się obcy.

- O czym ?

- O pańskich obowiązkach jako strażnika.

Starszy człowiek zeskoczył z wozu i przeszedł przez otwór w ogrodzeniu. Z bliska Grady zauważył, że gość ma zatławione, zaczerwienione i podkrążone oczy, nadające udręczonego wyraz całej twarzy. Jedno wydawało się czujne i przenikliwe, drugie było raczej zamglone, sprawiało wrażenie chorego. Zmarszczki na szyi i plamy wątrobowe na rękach zdradzały zaawansowany wiek mężczyzny. Przerzedzone siwe włosy idealnie pasowały do wełnianego płaszcza, który okrywał jego ramiona.

- Mogę uścisnąć pańską dłoń? - zapytał.

Kiedy starzec podał mu wilgotną rękę, Grady poczuł znajomy dotyk serdecznego i małego palca.

- Należy pan?

- Należę.

- Siedzieli pod tym dębem przez godzinę i starzec opowiedział mojemu pradziadkowi o Kamieniu Wiedźmy - ciągnął Morse. - Przywiózł go wtedy ze sobą.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś - odezwała się Lea.

- Było na to za wcześnie. Najpierw musiałabyś zaakceptować obowiązki strażnika, a podejrzewałem, że tego nie zrobisz. Więc milczałem.

- Dlaczego mówisz to teraz tym ludziom?

- Bo nie chcę, żeby któreś z nas trafiło do więzienia.

- Co się później stało? - dopytywał się Cotton. - Z tym kamieniem?

- Woźnica i jego pasażer odjechali z powrotem w głąb lasu. Dwa dni później wrócili i powiedzieli mojemu pradziadkowi, że ukryli go w lesie i zostawili znaczniki, jak zawsze.

- Mam dla ciebie specjalne zadanie - wyjaśnił Grady emu starzec. - Zostałeś do tego wybrany, ponieważ twoja rodzina wykazała wielkie oddanie dla naszej sprawy.

- Walczyłem w wojnie. Uśmierciłem sporo Jankesów.

- Tak słyszałem. Teraz chcemy, żebyś strzegł tego kamienia, tak samo jak naszego złota.

Po tych słowach starzec wspiął się z powrotem na wóz i usiadł obok młodego woźnicy.

- Mam jednopytanie - powiedział Grady.

- Zastanawiałem się, kiedy postanowisz je zadać. Podziwiam twoją cierpliwość. To właśnie ona, a także twoja dyskrecja, sprawiły, że zostałeś wybrany do tej szaczonej misji. Chcesz poznać moje nazwisko, prawda?

Grady kiwnął głową.

- Jestem Jefferson Davis, dawniej prezydent Skonfederowanych Stanów

Ameryki, dziś' nieulaskawiony buntownik. W dalszym ciągu wiernie służący naszej sprawie.

- To było w tysiąc osiemset siedemdziesiątym siódmym roku - dodał Morse.

- Jefferson Davis osobiście przywiózł tu ten kamień?

- Bóg mi świadkiem.

Cotton nie miał powodu, żeby wątpić w prawdziwość słów Morse a.

Ta historia nie różniła się zbyt od innych, które słyszał od własnego dziadka - opowiadały, co się działo w środkowej Georgii po wojnie. O takich rzeczach wiedzieli tylko nieliczni. W tamtych czasach ludzie potrafili dotrzymać tajemnicy, jak również zachować wierność swoim zasadom i sprawie, o którą walczyli.

- Jeff Davis był rycerzem, wysoko postawionym w hierarchii zakonu - podjął Morse. - Może i nawet stał na samym szczycie. Tego nie wiem. Ale w sumie było pięć kamieni. Tak powiedział mojemu pradziadkowi. My dostaliśmy jeden z nich, ale nie dowiedzieliśmy się niczego o pozostałych czterech.

- Więc dlaczego kamień nie jest nadal zakopany pod ziemią, tylko leży w tej szopie wśród pszczoł? - zapytał Cotton.

Morse zaśmiał się cicho.

- Mój pradziadek oszukiwał. Śledził ich, kiedy udali się do lasu, i obserwował przez dwa dni. Widział dokładnie, gdzie go zakopali. I powiedział o tym mojemu tacie.

- Więc kto go wykopał? - odezwała się Cassiopeia.

-Ja. Będzie ze czterdzieści lat temu. Wtedy też mieliśmy tu trochę ruchu, kręcili się różni ludzie. Jednego razu moje straszenie na niewiele się zdało i już myślałem, że będę musiał zrobić komuś krzywdę. Na szczęście nie musiałem i w końcu sami sobie poszli. Ale po wszystkim uznałem, że kamień będzie bezpieczniejszy pod moimi ulami.

Cotton ponownie spojrzął na obraz na ekranie telefonu Cassiopeii. Zakapturzona postać po lewej, ubrana w luźną szatę z krzyżem na rękawie, kojarzyła się z członkiem Ku Klux Klanu. Jednak długi

spiczasty kapelusz z poprzeczną wstęgą sugerował raczej coś innego. Do tego ten krzyż w rękach. Dziwne. Jeszcze raz przeczytał inskrypcję po hiszpańsku. „Ta ścieżka jest niebezpieczna. Idę do osiemnastu miejsc. Szukaj mapy. Szukaj serca”. Przyjrzał się bliżej symbolom i cyfrom umieszczonym zaraz obok postaci. Zakrzywiona linia, litera O w kółku, prostokąt z krzyżem, kolejny zawijas, kolejne kółko, a wszystko prowadziło do serca, wewnątrz którego widniała cyfra 4. Następnie sekwencja 8-N-P. Symbole były połączone w jeden ciąg, biegnący od krzyża do liter, jakby wyznaczały trasę.

Albo przekazywały jakąś wiadomość.

ROZDZIAŁ 27

STEPHANIE SPOJRZAŁA NA zegarek. Minęła północ. Razem z Rickiem opuścili Muzeum Historii Naturalnej, wsiadli do jego samochodu i pojechali do mieszkania Martina Thomasa, które znajdowało się w północnej części miasta. Gdy dotarli na miejsce, weszli na drugie piętro i znaleźli drzwi oznaczone numerem 2R

- Martin mieszkał tu sam - powiedział Rick. - Był po rozwodzie i miał trójkę dzieci. Może to tłumaczy jego zachłanność. Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co się stało - dodał, kręcąc głową.

Stephanie doskonale rozumiała, co przeżywał Rick. Sama wielokrotnie narażała swoich ludzi na niebezpieczeństwo i choć zdecydowana większość wyszła z opresji bez szwanku, zdarzały się również sytuacje tragiczne. I do dziś każde z tych potknięć spędzało jej sen z powiek.

Z muzeum przywieźli ze sobą kilka kawałków drutu. Na przestrzeni lat Stephanie nabyła wiele z umiejętności, które do perfekcji mieli opanowane jej agenci. Jedną z nich było otwieranie zamków. Raz wzięła nawet udział w zajęciach w Quantico, gdzie jej ludzie trenowali razem z innymi oficerami wywiadu. Chwyliła więc za gałkę i zaczęła przy niej majstrować swoim prowizorycznym wytrychem. Trwało to nieco dłużej, niż się spodziewała, ale w końcu zamek ustąpił.

Przekreśliła gałkę i pchnęła drzwi do środka.

Rick znalazł włącznik i zapalił światło. To kolejna rzecz, której się nauczyła. Zawsze, jeśli to możliwe, należy zapalić światło, zanim się wejdzie do jakiegoś pomieszczenia. Tylko idioci błądzą po omacku w ciemnościach.

W mieszkaniu panował absolutny porządek. Stephanie przeprowadziła szybki rekonesans: gabinet, kuchnia, dwie małe sypialnie i dwie łazienki. Całkiem sporo przestrzeni jak dla jednego samotnego faceta. To, czego

szukali, czekało na nich w gabinecie, gdzie wszędzie walały się książki i grube, zawiązywane na sznurek teczki w nieco wyblakłym kolorze ciemnej zieleni. Na rozkładanym stoliku stał laptop.

- To teczki z naszego archiwum - oznajmił Rick. - Jest na nich nasza pieczęć.

- Tego szukamy?

Rick skinął głową.

- Na to wygląda. Daj mi chwilę - powiedział, po czym zaczął przeglądać papiery. Stephanie poszła za jego przykładem. Niektóre dokumenty były pożółkłe ze starości, podczas gdy inne wyglądały na świeżo skserowane. Były tam luźne notatki, sprawozdania, korespondencja i wycinki z gazet. Całe mnóstwo gęsto zapisanych, wymiętych od wielokrotnego przeglądania kartek.

- To materiały z tysiąc dziewięćset dziewiątego roku - stwierdził Rick - Muszą do nas wrócić.

- Przecież pozwoliliście mu je zabrać.

- Owszem - przyznał Rick. - Doszliśmy do wniosku, że to najlepszy sposób, żeby poznać zamiary pani Sherwood. A Martin umiał się z nimi należycie obchodzić.

Na wszystkich meblach leżały książki dotyczące wojny domowej ostemplowane pieczęcią biblioteki Narodowego Muzeum Historii Amerykańskiej. Wśród nich znajdowały się także trzy przewodniki turystyczne po Arkansas, które Martin kupił na polecenie w księgarni Barnes & Noble, o czym świadczyły naklejki z ceną.

- Musiał się w nie zaopatrzyć przed wyjazdem - powiedział Rick, biorąc do ręki jeden z nich.

Po drugiej stronie pokoju, na przylegającym do ściany stoliku stało oprawione w ramkę zdjęcie Thomasa z trójką dzieci w różnym wieku; najstarsze wyglądało na nastolatka. Wkrótce dowiedzą się, że ich ojciec nie żyje. Stephanie przypomniała sobie, jak bardzo cierpiał jej własny syn, gdy dowiedzieli się o samobójstwie jej męża. Takiego bólu nie życzyłaby nawet największemu wrogowi.

- Nie możemy zbyt długo utrzymywać śmierci Martina w tajemnicy -

stwierdziła Stephanie. - To nie fair wobec jego rodziny. Poza tym im dłużej będziemy z tym zwlekać, tym bardziej podejrzenie będzie wyglądać cała sytuacja.

- Wypuścimy informację, że pracuje nad specjalnym projektem albo że jest niedysponowany czy coś w tym stylu. A za dzień, najwyżej dwa, ujawnimy prawdę. Liczę, że do tego czasu uda nam się schwytać zabójcę. Wiem, że jesteś wkurzona na sędziego Westona. Ale on też nie robi niczego bez powodu. Możemy z tym poczekać jeszcze dobie?

Uśmiechnęła się do niego.

- Tylko pamiętaj, że jesteś kustoszem Zamku, a nie Jamesem Bondem.

- Ostatnio sam kilka razy musiałem sobie o tym przypominać. W tym momencie jej uwagę przyciągnęła plastikowa koszulka, w której znajdowały się mapy zachodniego Arkansas i południowego zachodu Stanów Zjednoczonych, a także stary artykuł z gazety, dokładnie z „Los Angeles Herald Examiner”.

Z dnia 1 czerwca 1973 roku.

Artykuł był opatrzony wielkim nagłówkiem:

HISTORIA DEANA O „ZAGINIONYM ZŁOCIE” TO ŻADNA NOWOŚĆ

W trakcie przesłuchań w sprawie afery Watergate wciąż wychodzą na jaw nowe fakty. W zeszłym tygodniu odwołany ze stanowiska radcy prawnego Białego Domu John Dean III poruszył temat zaginionego skarbu.

Dean zeznał, że uczestniczył w lunchu, podczas którego były prokurator generalny John Mitchell powiedział H. R. Haldemanowi, byłemu szefowi sztabu Białego Domu, że „do prawnika F. Lee Baileya zgłosił się klient, który ma ogromną ilość złota i chciałby ustalić z władzami, w jaki sposób może je zwrócić, nie narażając się na odpowiedzialność karną”. Reakcja Haldemana była wedle relacji Deana „obojętna”.

Jak utrzymuje Dean, klient Baileya zaproponował, że dostarczy do Departamentu Skarbu setki sztabek złota, które stanowią rzekomo część „starożytnego skarbu Azteków”

ukrytego w południowo-zachodniej części kraju. Prawo federalne zabrania posiadania złota osobom prywatnym będącym obywatelami Stanów Zjednoczonych.

Davis Layne, dyrektor Narodowego Muzeum Historii Amerykańskiej, kwestionuje prawdziwość tych rewelacji.

- Po pierwsze - powiedział Layne w wywiadzie dla „Herald Examiner” - nie może być mowy o czystym złocie, ponieważ sztabki z pewnością zawierają także cynk, miedź oraz śladowe ilości innych substancji. Nie zmienia to jednak faktu, że przy cenie 24 dolarów za uncję taki skarb nadal byłby wart miliardy dolarów. Po drugie, to nie jest złoto Azteków.

Jak wyjaśnił Layne, złoto należało do Rycerzy Złotego Kręgu, konfederackiej organizacji szpiegowskiej, która powstała jeszcze przed wojną secesyjną i istniała do 1916 roku.

W trakcie swojej działalności jej członkowie zgromadzili skarb wart w sumie około 100 miliardów dolarów. Złoto zostało przez nich zakopane w kryjówkach rozmieszczonych na całym południowym zachodzie Stanów Zjednoczonych.

Te fundusze miały sfinansować drugą wojnę domową, do której nigdy nie doszło.

Stephanie podniosła wzrok znad gazety i spojrzała na Ricka.

- To wszystko prawda?

- Tak - potwierdził Rick. - To Layne podrzucił prasie ten temat. Ta historia z Deanem, Haldemanem i Baileyem rzeczywiście się wydarzyła.

- Czyli to wszystko ma związek z naszą sprawą?

- Owszem.

Stephanie dokończyła artykuł.

W odpowiedzi na propozycję Bailey'a przedstawiciele Departamentu Skarbu mieli stwierdzić, że aby móc podjąć dalsze kroki w tej sprawie, najpierw muszą poznać lokalizację złota oraz okoliczności, w jakich zostało odkryte. Layne, jako historyk, wyraził zrozumienie dla Bailey'a i jego klienta.

-Teraz nagle muszą ujawnić, gdzie znajduje się skarb, zanim władze w ogóle zaczną z nimi rozmawiać na temat ewentualnego przekazania złota? Moim zdaniem Bailey postąpił słusznie, a Haldeman popełnił błąd, zbywając go w ten sposób. Powstał niebezpieczny precedens. Odtąd każdy, kto znajdzie j akiekolwiek złoto, zrobi wszystko, żeby wywieźć je ze Stanów, wiedząc, że wyrachowane i nieskłonne do jakichkolwiek kompromisów władze na pewno nie wyjdą mu na przeciw. To będzie jak Bostońska Herbatka, tylko na odwrót.

Stephanie szybko odświeżyła w pamięci kilka faktów historycznych. W maju 1933 roku Roosevelt rzeczywiście wydał zakaz posiadania złota przez osoby prywatne. Rozporządzenie wykonawcze numer 6102. Kongres ratyfikował je w 1934 roku, uchwalając ustawę o rezerwach złota. Sytuacja uległa zmianie w 1974 roku, kiedy kongresmani cofnęli zakaz i na powrót zezwolili obywatelom na posiadanie złota.

Jednak artykuł, który trzymała w ręku, został napisany rok wcześniej.

- Szukanie złota przed rokiem siedemdziesiątym czwartym nie miało sensu - stwierdziła. - W ogóle nie można było z nim nic legalnie zrobić. Co innego później, po tym, jak Gerald Ford wreszcie na nowo to zalegalizował.

Jej przyjaciel milczał. Na jego twarzy malowała się frustracja. Znali się na tyle długo, że pewnych rzeczy po prostu nie dało się ukryć.

- Prędzej czy później będziesz musiał wyjawić mi całą prawdę, Rick. Będziesz musiał mi zaufać.

- Zróbmy tak - zaproponował. - Zabierzmy stąd te wszystkie papiery i wróćmy do Zamku. Tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Jest jeszcze kilka dokumentów, które powinnaś zobaczyć.

Wyglądało na to, że nareszcie zamierza jej uchylić rąbka tajemnicy. Przynajmniej taką miała nadzieję.

- Daj mi trochę tych teczek - powiedziała, wyciągając ręce. - Zacznę je już znosić do samochodu.

GRANT SIEDZIAŁ W SWOIM aucie i obserwował mieszkanie Martina Thomasa. Gdy tylko zdecydował, co musi zrobić, natychmiast wrócił do siebie, wsiadł w samochód i przyjechał prosto pod dom bibliotekarza. Przybył na miejsce dokładnie w tym samym momencie co Rick Stamm i kobieta z Zamku. Weszli razem do środka jakieś dwadzieścia minut temu.

Sytuacja coraz bardziej się komplikowała.

Musiał coś zrobić. Tylko co?

Pod numerem 2F wciąż się paliły światła.

Postanowił zaczekać jeszcze chwilę. Po kilku minutach w drzwiach ukazała się kobieta z Departamentu Sprawiedliwości. Wynosiła z mieszkania cały stos teczek. Materiały, których z pewnością będzie jeszcze potrzebował. Jeśli chodzi o mężczyznę, Grant od razu go rozpoznał. Wiedział, że Rick Stamm pełni tę samą funkcję co kiedyś jego ojciec. Nigdy nie poznał go osobiście, ale wielokrotnie zaglądał do jego książki pod tytułem Zamek, która stanowiła świetny przewodnik zarówno po architekturze, jak i historii budynku. Ale co on tu robił z tą kobietą?

Grant wpadł w lekki popłoch. Znowu poczuł się, jakby był dzieckiem, a matka nakryła go, jak robi coś złego.

Nienawidził tego uczucia, którego nie był w stanie w sobie zwalczyć.

Wciąż nie wiedział, jakie istnieje prawdopodobieństwo, że zostanie skojarzony z Diane, która utrzymywała kontakty z Martinem Thomasem. Coś mu jednak mówiło, że Thomas nikomu nie powiedział o ich relacji i że naprawdę chciał wyłudzić od niego pieniądze. Kto wie, może ludzie z Instytutu Smithsona sami już mieli go na oku?

Kobieta szła chodnikiem w stronę samochodu, którym tu przyjechała. Grant zaparkował swoje auto nieco głębiej, na jednym z miejsc parkingowych między budynkami. Nie mogła go stamtąd zobaczyć.

Sięgnął pod marynarkę i wyciągnął pistolet.

Nie miał chwili do stracenia. Musiał działać.

I zająć się nią tak samo jak Thomasem.

STEPHANIE USŁYSZAŁA DŹWIEK uruchamianego silnika. Wydało jej się to dziwne, zważywszy na tak późną porę. Kiedy odwróciła głowę, zobaczyła niewielki samochód opuszczający jedno z miejsc parkingowych. Ruszył prosto na nią. Zauważyła, że ma opuszczoną szybę od strony pasażera. W ciemnym wnętrzu siedział tylko kierowca, który podniósł prawą rękę. Trzymał w niej pistolet.

Był jakieś piętnaście metrów od niej.

Rzuciła na ziemię teczkę i sięgnęła po broń.

Sześć metrów.

Złapała za rękojęć.

Trzy metry.

Wyciągnęła swoją berettę, ale nie zdążyła strzelić. W chwili gdy samochód się z nią zrównał, z otwartego okna padły dwa strzały. Obie kule trafiły ją w klatkę piersiową. Nie zwalniając, samochód odjechał w stronę wyjazdu z osiedla. Stephanie próbowała jeszcze odczytać numery na tablicy rejestracyjnej, ale zły się w jedną niewyraźną plamę.

Świat dookoła niej powoli zaczął tracić ostrość.

Z obydwu ran tryskała krew.

Przycisnęła lewą rękę do piersi, usiłując powstrzymać krwotok. Nagle przechyliła się na bok, czując, jak jej ciało mimowolnie wiotczeje

Runęła na ziemię.

Na horyzoncie dostrzegła jeszcze wściekle czerwone światła stopu, które po chwili zniknęły za rogami.

Warkot silnika umilkł w oddali.

Za wszelką cenę usiłowała zachować przytomność umysłu, ale zaczęła ogarniać ją przerażająca ciemność.

Która w końcu całkowicie ją pochłonęła.

ROZDZIAŁ 28

ARKANSAS

ŚRODA, 26 MAJA

GODZ. 2:06

COTTON LEŻAŁ W ŁÓŻKU, wsłuchując się w chrapanie Terry e- go Morse'a. Razem z Cassiopeią wrócili do schroniska, zabierając ze sobą starego strażnika i jego wnuczkę. Tam wynajęli drugi pokój i cała czwórka udała się na spoczynek, Cassiopeia z Leą w jednym pokoju, a Malone z Morse'em w drugim, gdzie na szczęście stały dwa duże łóżka. Wszyscy byli już naprawdę zmęczeni, zwłaszcza Morse, który zasnął niemal natychmiast. Cotton cały czas zastanawiał się, co począć z tą dwójką, ale Morse powiedział mu, że rano mogą pojechać do rodziny mieszkającej na północy stanu i tam znaleźć bezpieczne schronienie. I tak wydawało się mało prawdopodobne, żeby ci ludzie, którzy napadli na nich wieczorem, zdecydowali się powrócić do domu strażnika. Malone podejrzewał, że do ich celów w zupełności wystarczy zdjęcie kamiennej płyty. W przeciwnym razie bardziej staraliby się przewyciężyć atakujące pszczoły i zabrać ją ze sobą. W tej chwili Kamień Wiedźmy leżał ukryty pod łóżkiem Cottona, owinięty kilkoma ręcznikami.

Po wczorajszym dniu z przyjemnością wziął długi prysznic. Przydałoby się też coś zjeść, ale było o wiele za późno, żeby zamówić cokolwiek w schronisku. Nie był to w końcu luksusowy hotel typu Four Seasons. Mimo że przyjemnie leżało się w chłodnej pościeli, Cotton nie mógł zasnąć, głównie przez współlokatora, który hałasował w łóżku obok jak pociąg towarowy.

Wydarzenia poprzedniego dnia obudziły w nim mnóstwo wspomnień

z dzieciństwa.

Już jako dorosły człowiek poznał w końcu prawdę na temat Rycerzy Złotego Kręgu. Wbrew jego wcześniejszym romantycznym wizjom okazało się, że była to wywrotowa organizacja z czasów wojny secesyjnej, otwarcie popierająca niewolnictwo i niestroniąca od morderstw, sabotażu i aktów terroru. Czytał wystarczająco dużo relacji spisanych przez osoby należące do poszczególnych zamków, żeby wiedzieć, że przemoc stanowiła integralną część działalności Zakonu. I nie tylko wymierzona przeciwko ludziom z zewnątrz, ale także przeciwko własnym członkom. W dzisiejszych czasach Rycerzy Złotego Kręgu bez wątpienia uznano by za niebezpieczną organizację terrorystyczną.

Po 1865 roku historia staje się bardziej mętna. Z tego co kiedyś czytał, wynikało, że Zakon istniał jeszcze przez jakieś dziesięć lat, przybierając inne nazwy. W końcu jego bardziej bojowo nastawiona odnoga przekształciła się w Ku Klux Klan, ale główny pień organizacji podobno przeszedł do historii.

Teraz nie było to już takie pewne.

Jeśli wierzyć Morseowi, począwszy od lat siedemdziesiątych XIX wieku skarby zakonu były systematycznie odkopywane i przewożone w miejsce zwane kryptą. Ale niewykluczone też, że chodziło po prostu o napchanie kieszeni garstki wtajemniczonych, którzy wykorzystywali lojalność innych, aby się wzbogacić. W tamtych czasach nie byłoby to nic trudnego. Słaba władza centralna, kulejąca egzekucja prawa, brak jakiegokolwiek nadzoru. Był to tak zwany Wiek Połączony - okres, kiedy na bazie chciwości i bezwzględności powstawały gigantyczne fortuny. Nikt nie zauważyłby kilku dodatkowych multi-milionerów, którzy nagle pojawili się znikąd.

Cotton leżał w łóżku w ubraniu, czekając, aż wreszcie nadejdzie sen. Niestety wcześniej jego organizm zdążył wejść na najwyższy bieg i teraz nie dało się go wyhamować. W czasach służby w Magellan Billet zdarzało mu się całymi tygodniami sypiać nie więcej niż po trzy godziny na dobę.

Akurat za tą częścią dawnej pracy niespecjalnie tęsknił.

Jego telefon zaczął wibrować - Malone wyłączył dźwięk zaraz po tym, gdy Morse zasnął. Otrząsając się z zamyślenia, namacał komórkę w ciemności.

Na ekranie wyświetlał się nieznany numer.

Wstał, przeszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi. Odebrał, spodziewając się najgorszego.

- Tu Rick Stamm. Mam złe wieści.

CASSIOPEIĘ OBUDZIŁO PUKANIE do drzwi.

Zerwała się z łóżka i chwyciła pistolet leżący na nocnym stoliku. Lea spała jak zabita.

Wyjrzała przez wizjer i zobaczyła pod drzwiami Cottona. Odłożyła broń, znalazła kartę magnetyczną i wyszła do niego na korytarz. Widząc wyraz jego twarzy, od razu wiedziała, że coś się stało.

- Stephanie została postrzelona.

Cassiopeia nie kryła szoku.

- Bardzo z nią źle?

- Kiepsko. Właśnie trwa operacja. Dostała dwie kule w klatkę piersiową. Przed chwilą dzwonił do mnie Rick Stamm.

Dotknęła lekko jego ramienia.

- Myślisz, że z tego wyjdzie?

- Stamm mówił tylko, że ktoś na nią napadł. Była ledwo żywa, kiedy przyjechała karetka. Martin Thomas nie żyje.

Cassiopeia nie zawsze dogadywała się ze Stephanie. Obie były silnymi i upartymi kobietami, które umiały bronić swoich racji. Nigdy jednak nie życzyła jej źle.

- Wracam do Waszyngtonu - powiedział Cotton. - Ty zostań tutaj i zobacz, jak się rozwinie sytuacja. Musimy się dowiedzieć więcej o tym kamieniu.

- Staram się zdobyć zaufanie Lei. Wydaje mi się, że potrzebuje przyjaciela.

- Pracuj nad tym dalej. Odezwę się, jak tylko będę coś wiedział. Objęła

go. Widziała, jak bardzo cierpi, choć on sam nigdy by tego nie przyznał. Cotton i Stephanie znali się od bardzo dawna. Łączyło ich coś więcej niż relacja podwładny-przełożony – byli bliskimi przyjaciółmi. Cotton miał w swoim życiu bardzo niewiele takich osób.

Tak jak ona był z natury samotnikiem.

- W swoim czasie też dostałem kulkę czy dwie - powiedział. - To część tej pracy. Ale jej to nie dotyczy. Ona przecież siedzi w biurze.

- I nigdy nie daje rady długo usiedzieć na miejscu.

- Wiem. Ostatnio coraz częściej zdarzało się jej ryzykować. Ale nie da się bez końca oszukiwać losu.

Mocno przycisnęła go do siebie i pocałowała, a on odwzajemnił pocałunek.

Kiedy w końcu się odsunęła, powiedziała:

- Chciałabym, żebyś zawsze pamiętał to, co właśnie powiedziałeś o oszukiwaniu losu.

- Nawzajem.

- Umowa stoi.

- Wezmę "wynajęty wóz i pojedę na lotnisko - stwierdził. - Samolot z Departamentu Sprawiedliwości już tam na mnie czeka.

Na pokładzie tej samej maszyny przylecieli do Arkansas.

-Jutro przyjedź po samochód. Kluczyki zostawię w schowku. Później będziemy się martwić o to, jak cię stąd wydostać.

Cassiopeia skinęła głową.

- Poradzę sobie.

- W to akurat nie wątpię.

Przez chwilę patrzyła za nim, jak wraca do swojego pokoju.

- Cotton.

Zatrzymał się i odwrócił. Popatrzył na nią z pytającym wyrazem twarzy. - Zadzwoń do Danny ego Danielsa. Powinien o tym wiedzieć.

WRÓCIŁA DO POKOJU i zobaczyła, że Lea też już nie śpi. -Jesteście parą? - zapytała dziewczyna.

- Podglądałaś?

- Usłyszałam głosy i wyjrzałam, żeby sprawdzić, co się dzieje. Niezły pocałunek.

Cassiopeia pokiwała głową z uśmiechem.

- Jesteśmy razem.

- Przystojniak z niego.

- Wraca do Waszyngtonu. Trzeba się zająć pewną sprawą. Ja zostanę z wami i dopilnuję, żeby nic się wam nie stało.

- Nie potrzebujemy niańki. Dziadek i ja sami umiemy sobie radzić.

W głosie dziewczyny nie było gniewu czy niechęci. Po prostu stwierdzała fakt.

- Wiem. Ale obecna sytuacja wykracza nieco ponad to, z czym dotychczas mieliście do czynienia.

- Skąd jesteś?

- Mieszkam we Francji. - Cassiopeia podchwyciła nagłą zmianę tematu - ale urodziłam się i dorastałam w Hiszpanii. Moja matka była biała, a ojciec miał mauretańskie korzenie.

- Masz ładne ubrania. Jesteś bogata?

Dziewczyna była naprawdę spostrzegawcza.

- Nie jestem biedna. Ojciec zostawił mi firmę, która dobrze prosperuje.

- Oglądam w Internecie strony o modzie. Lubię modę, chociaż rzadko mam okazję się wystroić.

Wznosząca się między nimi bariera zaczynała powoli pękać, więc Cassiopeia postanowiła sprawdzić, czy da się ją nadkruszyć jeszcze bardziej. Wzięła swój laptop i weszła na stronę dokumentującą jej projekt rekonstrukcji średniowiecznego zamku. Lea podeszła bliżej i razem zaczęły przeglądać witrynę pełną informacji i zdjęć.

- To moja największa pasja.

- Też mamy u nas coś takiego.

Cassiopeia wiedziała, co dziewczyna ma na myśli - fortecę Ozark, dla której jej własne przedsięwzięcie stanowiło źródło inspiracji. W tym przypadku również chodziło o odtworzenie francuskiego zamku, jednak

w przeciwieństwie do projektu Cassiopei, sfinansowanego z jej własnej kieszeni, tutejszą budowę trzeba było przerwać z powodu braku funduszy.

- Ten zamek stoi w północnej części stanu - powiedziała Lea. - Opowiadali mi o tym ludzie, którzy pojechali go zobaczyć.

Cassiopeia już wcześniej wyczuła, że tej dziewczynie brakuje kontaktu z kobietami. Kochała swojego dziadka, ale czasami to nie wystarczało. Dlatego podtrzymywała rozmowę i chętnie opowiadała jej o sobie.

- Skoro jesteś taka bogata, że budujesz zamek, to dlaczego pracujesz z agentami federalnymi?

- Cotton i ja czasami trochę im pomagamy. Oczywiście nie mieliśmy pojęcia, że tak się to wszystko potoczy. To miał być zwykły rekonesans.

- Wstyd mi za to, co zrobił dziadek - przyznała Lea. - Ze was oszukał. Zachował się głupio.

- Myślę, że on sam zdaje sobie z tego sprawę.

- Mogę ci coś powiedzieć? Tak między nami?

Skinęła głową.

- Poznałam kogoś.

Uśmiechnęła się.

- Kogoś specjalnego, tak jak Cotton dla mnie?

- Tak. Pasujemy do siebie. Ale wiem, co by o tym powiedział dziadek. Zawsze powtarza, że chłopcy są źli.

- Po prostu troszczy się o ciebie.

- Pewnie tak. Ale on naprawdę uważa, że wszyscy chłopcy są źli. Rozumiem. Chce, żebym na siebie uważała i nie robiła nic pochopnie. I wcale nie robię.

Ta młoda kobieta sprawiała wrażenie nad wyraz dojrzałej. Zresztą widać to było też po tym, jak wcześniej zareagowała na pistolet przyłożony do szyi.

- Wujek mojego chłopaka też był strażnikiem, który pilnował jakichś ważnych rzeczy, takich jak ten kamień. Rozmawialiśmy o tym, próbowaliśmy się jakoś w tym połapać.

- I do jakich wniosków doszliście?

- Ze mój dziadek i jego wujek nie są stuknięci.

Cassiopeia czuła, że dziewczynie chodzi po głowie coś jeszcze.

- Jeśli chcesz, mogę ci coś pokazać.

ROZDZIAŁ 29

TENNESSEE

DIANE NIE MOGŁA zasnąć. Położyła się niedługo po wyjściu Vance'a. Zgasiała wszystkie światła w domu i z przyjemnością zanurzyła się w ciemności. Wciąż nie dawał jej spokoju zaginiony notatnik Kennetha. Ktoś ukradł go z jej gabinetu, to nie ulegało wątpliwości. Ale kto? I po co? Na szczycie listy podejrzanych figurował Danny Daniels, zwłaszcza że miał przecież naszyjnik z krzyżem w okręgu. Zachowywał się, jakby nic na ten temat nie wiedział, ale to w końcu człowiek, który potrafił kłamać jak mało kto. Czy zdawał sobie sprawę, co oznacza krzyż w okręgu? Czy te wszystkie pytania o śmierć Alexa wynikały jedynie z ciekawości, czy też przyświecały mu inne pobudki?

Musiała przestać o tym myśleć. Zaczynała popadać w paranoję.

Danny ego Danielsa nie interesowało to, co ona robiła. Dlaczego miałyby go to obchodzić? Był po prostu przyjacielem Alexa i przyszedł tylko zwrócić wisiorek. Jeszcze raz zadała więc sobie pytanie: kto mógł zabrać notatnik? Kiedy Grant przyniósł go dwa dni temu, przeczytała go od deski do deski. Na szczęście w większości wypełniały go lakoniczne spostrzeżenia, komentarze wypisane w punktach i cytaty z aktów prawnych, które mało kto w ogóle był w stanie rozumieć, i na pewno nie wydawały się ani trochę podejrzane. Na krzyż w okręgu na okładce pewnie nikt nawet nie zwróciłby uwagi. Zwykły element ozdobny, nic więcej. Długo się zastanawiała, czy powiedzieć Vancebwi o niedyskrecji Kennetha, który wtajemniczył w sprawę Alexa, i o zniknięciu notatnika, ale ostatecznie postanowiła zachować oba te fakty dla siebie.

Tak jak wszystko inne.

- *Nie możesz tego zrobić-powiedział podniesionym głosem Alex.*

Siedzieli sami w swoim przestronnym salonie.

- Nie pozwolę ci na to - dodał.

- Niepotrzebuję twojego pozwolenia - obruszyła się Diane.

- Tak, wiem. Ale ja jestem senatorem z tego stanu i mogę cię powstrzymać. Ciebie, Kennetha i Luciusa Vance'a.

Pokręciła głową.

- Ale z ciebie hipokryta. Całe to gadanie o tym, że potrzebne są reformy. Całe to narzekanie. A teraz dostajesz do ręki sposób na naprawę tego państwa i nie chcesz z niego skorzystać.

- To nie jest naprawa, tylko rewolucja. O czymś takim powinien zdecydować naród.

- I zdecyduje, poprzez swoich legalnie wybranych przedstawicieli. Jeśli ludzie nie będą zadowoleni, mogą ich odwołać w kolejnych wyborach. Co dwa lata mają okazję zmienić skład Izby Reprezentantów.

- Dobrze wiesz, że to nie takie proste. Trudno będzie cofnąć tego rodzaju zmiany. A gdy ktoś raz zakosztuje władzy, ciężko mu się z nią rozstać. Nawet mniejszość w Izbie, która będzie przeciwna zmianom dokonany przez większość, dostrzeże, jakie płyną z tego korzyści polityczne.

- Co się stało, Alex? Boisz się, że ty i twoi kołesi z Senatu straciecie wpływy? Na razie to wy spychacie wszystkich na margines. Senatorowie dostają pieniądze i wszelką pomoc od lokalnych oddziałów swoich partii, podczas gdy kandydaci do Izby Reprezentantów walczą o resztki ze stołu, a najczęściej nawet tego nie udaje się im zdobyć. Muszą chodzić po prośbie i zbierać grosz do grosza, żeby sfinansować swoją kampanię, a wy, primadonny z Senatu, dostajecie wszystko na tacy. To się nareszcie zmieni.

- Nie zdajesz sobie sprawy z konsekwencji. Lucius Vance to nie dobrotliwy mąż stanu. Jest ambitny i arogancki i zawsze marzył o tym, żeby być prezydentem. Po tym, co planujesz, praktycznie rzecz biorąc, stanie się autokratą. Będzie potężniejszy niż jakikolwiek prezydent. Jeden człowiek nie powinien dzierżyć aż takiej władzy. Na tej zasadzie od samego początku opiera się ustrój tego państwa.

- I tu się mylisz, Alex. Ten plan oznacza właśnie powrót do tego, jak rządono tym krajem w pierwszych trzydziestu latach jego istnienia. Do-

minującą pozycję zajmowała Izba Reprezentantów, a Senat był na drugim miejscu. Ijakoś przetrwaliśmy. Teraz po prostu wrócimy do naszych korzeni.

- Byliśmy wtedy niewielkim krajem z małym rządem centralnym, który prawie nic nie robił. Świat bardzo się zmienił. Ten plan, jak to określasz, został opracowany po to, by odebrać stanom północnym możliwość trzymania w szachu stanów południowych. Stanowił deklarację politycznej wojny. I nawiasem mówiąc, planu tego nigdy nie wprowadzono w życie. Być może jego twórcy zdali sobie sprawę, tak jak ja, że ryzyko jest zbyt wielkie.

- Gdzie notes Kennetha?

- Zostawiłem go w Waszyngtonie. Jeśli będzie trzeba, posłużę za dowód rzeczowy.

- Nie powstrzymasz tego, Alex. Jeśli się z nami nie zgadzasz, to po prostu zjedź nam z drogi. Niech Vance zrobi to, co trzeba zrobić.

- Jego propozycja napotka silny sprzeciw.

- Oczywiście. Ale to co innego niż gdybyś ty, senator obecnej kadencji, mój mąż, zaczął krzyczeć o spisku. Nie wtrącaj się w to.

- Powinnaś była mi o tym powiedzieć. Nie Kenneth, tylko ty.

- Tak samo jak ty powiedziałaś mi o swojej dziewczynie?

Alex wbił w nią wzrok.

- Skąd wiedziałaś?

- Nie wiedziałam. Tylko podejrzewałam. Aż do teraz.

Pokręcił głową i zaśmiał się gorzko pod nosem.

- Piękny blef. Godny zawodowca.

- Jestem zawodowcem. Co to za jedna?

- Poznałem ją w Waszyngtonie. I możesz wierzyć lub nie, ale nie zrobiłem nic, czego bym się wstydził.

- Może poza tym, że się w niej zakochałeś.

- Nie przeczę, że lubimy spędzać ze sobą czas.

- I to mnie jeszcze bardziej boli.

- A ty jesteś taka święta, Diane?

- Skoro o to pytasz, nie. Byłam z dwoma innymi mężczyznami.

Powiedziała to, żeby go zranić. Ale nie było to kłamstwo. Dziwne, jak szybko miłość potrafi przerodzić się w nienawiść.

-Nie wiedziałem - odparł wyraźnie zaskoczony Alex. - Ale już od dawna jesteśmy sobie obcy.

- Dlatego usuń się z drogi. Pozwól mi to zrobić. Mój ojciec byłby ze mnie dumny. Całe życie studiował dzieje zakonu, poznał jego sekretny język, odnalazł wszystkie dokumenty, jakie się dało, i szukał tego, co po nich zostało. Mnie również zaraził tą pasją. Alex, pozwól mi to zrobić, nie mieszaj się.

- Żałuję, ale nie mogę.

Wybrał się na popołudniowy spacer. Diane wiedziała dokąd - na wzgórze zaczynające się na tyłach ich posesji, tam gdzie zawsze chodził w spokoju pomyśleć. Zazwyczaj siedział tam ze dwie godziny, wypalał fajkę, a potem wracał na kolację i kładł się spać. Jednak tamtego wieczoru mieli zaplanowany uroczysty posiłek z kilkoma ofiarodawcami w Knoxville. Jedno, czego na pewno nie będzie jej brakować, to nieustanne zebranie o pieniądze i głosy.

Tamtego dnia siedziała sama w salonie i zastanawiała się, co powinna zrobić. Miała wrażenie, że wszystko kręci się wokół niej. Najpierw Kenneth zwerbował ją, bo potrzebował pomocy, potem to ona znalazła Granta, dogadała się z Martinem Thomasem z Instytutu Smithsona, i w końcu musiała zmierzyć się z Alexem.

W tym kole o wielu szprychach to ona stanowiła oś.

I faktycznie przespała się z dwoma innymi mężczyznami: Lucianem Vanceem i Grantem Breckinridgeem.

W pierwszym przypadku dała się ponieść, chwilowo odurzona bliskim kontaktem z władzą i prestiżem. W drugim poddała się głębokiemu pragnieniu. Zdaniem Kennetha Grant był lekkomyślny; ona uważała, że jest raczej pełen pasji. Wydawał się taki zagubiony tamtego dnia, kiedy po raz pierwszy odwiedziła dom Breckinridgeów. Grant był wtedy asystentem w waszyngtońskiej kancelarii adwokackiej. Zastanawiał się nad studiami prawniczymi, ale uznał, że w tej profesji słowa liczą się bardziej od czynów, on zaś pragnął dreszczyku emocji. To tłumaczyło,

dłaczego zanim ją poznał, tak często zmieniał pracę, nieustannie przenosząc się z jednej waszyngtońskiej firmy do drugiej i ledwo wiążąc koniec z końcem.

Jak wielki skarb wciąż pozostawał w ukryciu? Z pewnością całe to złoto było warte wiele miliardów dolarów. Cierpliwie czekało na nową grupę rewolucjonistów, którzy przywłaszczą je sobie w imię walki o wolność. Dawno temu ludzie pełni pasji próbowali zmienić bieg historii Stanów Zjednoczonych, doprowadzając do gwałtownego rozpadu państwa. Popełnili błąd. Mądrzejszym wyjściem było wykorzystanie możliwości, które zapewniała sama konstytucja. Działanie w ramach wyznaczonych przez nią zasad. Ludzie z reguły podążają za tym rozwiązaniem, które wydaje się najbardziej sensowne. A to, co teraz planowali wspólnie z Luciuem Vance'em, bez wątpienia wpisywało się w tę kategorię.

Wydawało się to niemal zbyt idealne. Ale na tym właśnie polegało całe piękno tego pomysłu. Ci, którzy sformułowali go przed laty, również zachwycali się jego prostotą. Niestety nie byli w stanie zahamować fali radykalizmu, która z czasem zalała całe Południe. Musiało dojść do wojny, której skutkiem była śmierć setek tysięcy ludzi oraz całkowite unicestwienie dawnego stylu życia, żeby stało się jasne, na czym polegał ich błąd.

Ale kilku z tych dawnych wizjonerów miało rację co do jednego. Zmiany należy przeprowadzać od wewnątrz.

Diane leżała w swoim łóżku, wpatrując się w sufit.

W jakimś stopniu tęskniła za Alexem, który zapewniał jej komfort i stabilizację. Nigdy nie podniósł na nią ręki. Rzadko kiedy zdarzało się im pokłócić. Dzięki niemu cieszyła się w życiu wieloma przywilejami, czuła się kimś ważnym. Zawsze traktował ją z najwyższym szacunkiem, a to wcale nie miało. Z czasem jednak zaczęła ją drażnić ta wymuszona uprzejmość w ich wzajemnych relacjach. Zrozumiała, że jeśli będzie to dłużej ciągnąć, nigdy nie podejmie żadnego ryzyka, nigdy nie odważy się skoczyć w otchłań bez siatki asekuracyjnej.

Nigdy nie poczuje, że żyje.

Więc w końcu to zrobiła.

Najpierw poszła do łóżka z dwoma mężczyznami. Potem posunęła się o krok dalej i pokazała jednemu z nich, że można stworzyć nowe Stany Zjednoczone Ameryki, i wytłumaczyła, jak to zrobić. Drugiego zaś wprowadziła na ścieżkę wiodącą do niewyobrażalnego bogactwa. Była dumna z obu tych decyzji. Już wkrótce okaże się, jakie będą ich efekty.

Alex nigdy by jej na to nie pozwolił.

Dzięki Bogu, że już go nie ma.

ROZDZIAŁ 30

CASSIOPEI NIE PODOBAŁO się, że Lea uparła się iść razem z nią, ale taka była cena za jej pomoc. Po cichu opuściły schronisko, wsunawszy pod drzwi pokoju Terry ego Morse'a liścik z informacją, że wrócą niedługo. Żadna z nich nie chciała czekać z tym do rana. Okazało się, że chłopak Lei mieszka około trzydziestu kilometrów stąd. Spotykali się, kiedy dziewczyna jechała do miasta po zakupy. Ich relacja w dużej mierze rozwijała się na drodze elektronicznej - e-maile, SMS-y, komunikatory internetowe - co stanowiło już chyba normę we współczesnym świecie. Jej dziadek nie był zbyt obeznany z nowoczesną technologią, więc Lea mogła w ten sposób zachować pewną dozę prywatności.

Pożyczyły wóz Terry ego Morse'a, którym Lea i jej dziadek przyjechali tu wcześniej ze swojego domu. Na szczęście to wnuczka wtedy prowadziła i w dalszym ciągu miała przy sobie kluczyki. Dochodziła 3:30 nad ranem, nad zalesionymi wzgórzami i ciemnymi dolinami świecił błądy półksiężyc. Ich trasa prowadziła przez środek lasu na północny zachód od schroniska. Lea wyjaśniła, że kilka razy odwiedziła to miejsce razem ze swoim chłopakiem. Jego wujek zmarł lata temu, zostawiając kufer pełen map i różnych dokumentów; wiele z nich było zaszyfrowanych. Jej przyjaciel przez kilka lat próbował je odczytać, szczególnie po tym, jak Lea opowiedziała mu o strażnikach.

Najwyraźniej on nigdy nie słyszał nic na ten temat od swojego wujka, który postanowił, że jego misja umrze wraz z nim.

- Wybraliśmy się tu pewnej nocy - mówiła Lea po drodze. - Dziadek akurat wtedy wyjechał. W pobliżu nie było nikogo, więc mieliśmy to miejsce tylko dla siebie.

Rzeczywiście w zasięgu wzroku nie paliło się ani jedno światło.

- I co tam robiliście, zupełnie sami?

Lea nie odpowiedziała od razu.

- Nic złego - wybąkała w końcu.

- Rozumiem. Też kiedyś byłam w twoim wieku.

- Ja naprawdę bardzo go lubię.

- To dobrze. Ale bądź ostrożna. Nie posuwaj się za daleko. Jeżeli on też naprawdę cię lubi, nie będzie miał z tym problemu.

- Tak właśnie jest. Nie miał z tym problemu.

- Mądra dziewczyna. Dziadek byłby z ciebie dumny.

- Nie. Dziadek by go zastrzelił.

Zjechały z głównej drogi i ruszyły wyjeżdżoną ścieżką, wzdłuż której po obu stronach ciągnęły się drewniane płoty, niemal całkiem skryte w gąszczu chwastów i dzikich kwiatów wyrastających prosto z przydrożnych rowów.

- Cały ten teren należy do jego rodziny - powiedziała Lea. - Mieszkają tu od bardzo dawna, tak jak my na naszej ziemi.

Jechały przed siebie wąską, nierówną dróżką, podskakując na każdym wyboju. Zatrzymały się dopiero, gdy dotarły do skalistego wzniesienia otoczonego gęstym pierścieniem sosen i wiązów. Dalszą drogę blokowała brama, ale Cassiopeia dostrzegła, że nie jest zamknięta na kłódkę, lecz jedynie przymknięta, a krótki łańcuch leży na ziemi. Lea wolno podjechała pod samą bramę i odepchnęła ją przodem samochodu.

- Zazwyczaj droga jest zamknięta - powiedziała - i dalej trzeba iść pieszo.

-Jak daleko?

-Jakieś pięćset metrów.

Cassiopeia miała złe przeczucie. Sama nie była pewna dlaczego, ale w głowie zapaliła się jej ostrzegawcza lampka.

- Wyłącz światła i zaparkuj pomiędzy drzewami.

CASSIOPEIA SZŁA PIERWSZA, oświetlając sobie drogę latarką zalezioną pod przednim siedzeniem samochodu. Zaraz za nią podążała

Lea. Ścieżka była sucha jak pustynia. Wzdłuż trasy rosły wysokie drzewa i gęste krzewy, teren był tu bardziej górzysty niż w miejscu, które widzieli wczoraj. Pod ich butami chrzęściły sypkie okruchy skalne, ale odgłos kroków skutecznie zagłuszały brzęczące cykady. Po rozgwieżdżonym niebie sunęły postrzępione chmury.

Przed nimi pojawiły się jakieś niewyraźne kształty.

Cassiopeia naliczyła sześć porzuconych, rozpadających się budynków. Widziała powybijane okna, zawalone ściany, zapadnięte dachy. A także coś, co wyglądało na zdezelowany przenośnik taśmowy.

- Co to za miejsce?

- Stara kopalnia srebra. Jest ich tu całe mnóstwo. Ta jest zamknięta już od bardzo dawna.

- Należy do rodziny twojego chłopaka?

- Kiedyś ją dzierżawili. Ale teraz jest tu pusto. Czasem tylko przychodzi ktoś z jego krewnych, żeby polować.

- No dobra, pokaż mi to, co chciałeś pokazać.

Zabudowania znajdowały się pośrodku łańcucha zadrzewionych wzgórz biegnącego ze wschodu na zachód. Pasma stopniowo obniżało się i zwężało, przechodząc w czarną kotlinę w kształcie koryta, niknącą w mrokach nocy. Gdzieś w okolicy słychać było rwący potok, co wydawało się całkiem logiczne - każda kopalnia potrzebuje stałego dostępu do wody.

Weszły do jednego ze zrujnowanych budynków. Promień ich latarki przesuwiał się po stosie poobijanych kamiennych płyt, odłamków skał i kawałków zardzewiałego metalu zbitych w jedną, zwartą masę. Spomiędzy leżących tu od lat gruzów wyrastały chwasty. Z pierwotnej konstrukcji zostały tylko trzy częściowo stojące jeszcze ściany i małe fragmenty dachu. Budynek przylegał do pagórka i na przeciwnym końcu było widać otwór tunelu prowadzącego pod ziemię.

- Coś jest nie tak - stwierdziła Lea.

Sklepione wejście do tunelu miało trzy metry wysokości i niemal tyle samo szerokości. Było zawalone sypkimi skałami, jakby wiele lat temu osunęła się w nim ziemia. Ale w samym środku została wydrążona

świeża dziura, dostatecznie duża, żeby zmieścić się człowiek.

- Wcześniej przejście zawsze było zablokowane - ciągnęła dziewczyna. - Raz udało nam się wyciągnąć parę większych głazów i precyzyjnie przecisnąć przez szczelinę. Było ciasno, ale dało się przejść. Chciałam ci pokazać, co jest po drugiej stronie. Ale poprzednio nie było tutaj takiego otworu.

Ostrożnie wkroczyły do środka, pogrążając się w ciemności. Ciągący się przed nimi tunel nieco się podnosił, prowadząc w głąb wzgórze. Na ścianach widniały wyraźne ślady kilofów, którymi kiedyś wyrąbano to przejście. Powietrze było lepkie i stęchłe.

- Znam historię tego miejsca - odezwała się Lea. - Mniej więcej w połowie dziewiętnastego wieku miejscowi wydobywali tu ołów i srebro, które wysyłali do Anglii. Dobrze na tym zarabiali. W końcu nadeszli konfederaci i przejęli kopalnię. Przez całą wojnę pozyskiwali stąd srebro. W końcu wojska Unii wysadziły wszystko w powietrze i od tamtej pory nikt tu nie zagląda.

- Z jednym wyjątkiem, prawda?

- Tak. Wujek mojego przyjaciela pilnie strzegł tej kopalni, tak jak dziadek swojego lasu. Nie pozwalał nikomu zanadto się zbliżyć. Ale on już od lat nie żyje, a po nim nie było już następnego strażnika.

Cały czas szły tunelem pod górę. Nad ich głowami biegł wytarty, staroświecki przewód w plecionce z włókna ceramicznego, z rozmieszczonymi co pięć metrów zardzewiałymi gniazdkami. Powietrze stało nieruchomo, a więc prawdopodobnie była to droga w jedną stronę. Po przejściu około trzydziestu metrów napotkały przeszkodę w postaci żelaznej bramy z prętów grubości kciuka wwierconych bezpośrednio w skałę po bokach i na górze. W samym środku znajdowała się zakratowana furtka z wbudowanym zamkiem. Żelazo pokrywała skorupa rdzy, ale zamek i zawiasy były z mosiądzu. Brama stanowiłaby barierę nie do sforsowania, gdyby nie to, że drzwiczki czekały na nie uchylone.

- Ta furtka zawsze była zamknięta - powiedziała Lea. - Nieraz próbowaliśmy ją otworzyć, ale nie daliśmy rady. Miałam nadzieję, że może tobie się uda.

Cassiopeia słyszała w głowie dzwony alarmowe.

Zamek w bramie przypominał te, które można znaleźć w średniowiecznych twierdzach w całej Europie. Otwierał go tylko konkretny klucz. Czyżby miały przed sobą wejście do jednego z tajnych skarbców Rycerzy Złotego Kręgu? Jeśli tak, to tym bardziej powinny zachować ostrożność. W Muzeum Historii Amerykańskiej czytała o różnych pułapkach, które zakon zastawiał na intruzów. Najbardziej lubili wykorzystywać materiały wybuchowe. Instynkt podpowiadał jej jednak, że tamte zagrożenia dziś już nie są aktualne.

Kilka metrów za bramą zauważyła czarną linię na ubitej ziemi. W świetle latarki pojawił się przewód elektryczny zakończony wtyczką z trzema bolcami. Jego pozostała część znikwała w ciemnościach. Podążając za kablem, dotarły do dużej szczeliny. Główny szyb biegł dalej w głąb wzgórza, ale w tym miejscu ktoś wykopał osobny otwór w ścianie tunelu. Tam właśnie prowadził czarny przewód.

Cassiopeia wsunęła się do szczeliny i zorientowała się, że to krótki korytarz łączący się z następnym tunelem. Łatwo dałoby się w tych mrokach stracić poczucie kierunku, ale na szczęście pod nogami leżał przewód, który w razie czego mógł je wyprowadzić z powrotem tam, skąd przyszły. Nowy tunel okazał się węższy - ledwo się tu mieściły obok siebie dwie osoby - ale nadal na tyle wysoki, że mogły iść wyprostowane.

- Ktoś wiedział dokładnie, gdzie się przebić - stwierdziła Cassiopeia.

Oceniła, że tunel, w którym teraz się znalazły, biegnie prostopadle do głównego korytarza. Po drodze minęły kilka zakrętów, ale na szczęście nie było żadnych dodatkowych odgałęzień. W końcu trasa doprowadziła je pod drewniane drzwi z zardzewiałymi zawiasami. Swego czasu zamykano je na skobel, ale teraz nie było śladu po kłódce. Otwierały się do wewnątrz. Przez szczelinę przy samej framudze prześlizgiwał się czarny kabel.

Cassiopeia oddała latarkę Lei i pchnęła drzwi. Zawiasy skrzypnęły, ale nie ustąpiły ani o włos.

Mocno natarła na drzwi ramieniem. Tym razem minimalnie się uchyliły, ale nadal nie dało się przez nie przecisnąć.

Cassiopeia wzięła rozbieg i rzuciła się na drzwi całym ciałem. W końcu zawiasy puściły i gruba drewniana płyta wpadła do środka. Siła rozpędu ją także rzuciła na ziemię.

- Nie spodziewałam się aż takich trudności - skomentowała, wstając i otrzepując z pyłu ubranie.

W świetle latarki ujrzały przestronną komnatę z wyciętym w skale sklepieniem. Czarny przewód prowadził do stojaka z dwoma wielkimi reflektorami. Na ziemi stały drewniane skrzynie różnych rozmiarów. Wszystkie pokryte grubą warstwą kurzu i sklezione ze sobą zbierającym się przez dziesięciolecia brudem.

Szybko je policzyła. Było ich dziewiętnaście.

Większość była otwarta i pusta.

Siedem skrzyń wciąż pozostało zamkniętych.

Podeszła do jednej z nich i szarpnęła za wieko, które postawiło opór, ale po chwili ustąpiło.

Wewnątrz leżały sztaby złota.

Nagle usłyszała dobiegający z oddali warkot zapuszczanego silnika, a zaraz potem zapaliły się oba reflektory. Komnatę zalało światło, tak jasne, że boleśnie raziło w oczy.

Generator?

Musiały natychmiast się stąd wynosić. Ale była tylko jedna droga ucieczki.

W tym momencie w przejściu pojawił się jakiś mężczyzna. Potem dołączyło do niego jeszcze trzech.

To nie byli ci sami ludzie, którzy wczoraj zaczęli się na nich w domu Morse'a.

Ci tutaj wyglądali znacznie groźniej.

ROZDZIAŁ 31

TENNESSEE

GODZ. 5:40

DANNY STAŁ PRZY oknie swojej sypialni. Przez głowę przelatywała mu chaotyczna plątanina różnych obrazów. Wstawał świt. Pierwsze blade promienie słońca przebijały się już przez góry leżące na wschodzie i z każdą chwilą stawały coraz silniejsze. Wydarzenia minionej nocy wydawały się odległe niczym sen.

Ale to się działo naprawdę.

Gubernator już wstał i wyjechał, spiesząc się na wczesne śniadanie z wpływowymi biznesmenami. Wczoraj w nocy ustalili, że jego nominacja senatorska zostanie ogłoszona koło południa. Do tego czasu Danny zdąży dotrzeć do Waszyngtonu, żeby bezzwłocznie złożyć stosowną przysięgę przed wiceprezydentem. Od tej chwili przez następne dwa lata będzie młodszym senatorem stanu Tennessee. Już wcześniej zdecydował, że nie będzie zatrudniał nowych pracowników, tylko zachowa cały dawny personel Alexa. Zważywszy na to, że z ich byłym szefem łączyła go bliska przyjaźń, nie powinni raczej być do niego wrogo nastawieni.

Jego zadaniem numer jeden będzie dbanie o interesy mieszkańców stanu Tennessee. Ale w najbliższej perspektywie musiał przede wszystkim dowiedzieć się, co tak naprawdę przydarzyło się Alexowi, a także poznać zamiary Luciusa Vance'a. Na szczęście Danny był światowej klasy specjalistą, jeśli chodzi o pracę nad kilkoma rzeczami naraz. Do diabła, dobrze będzie znowu poczuć się potrzebnym. Zawsze wiedział, że po zakończeniu urzędowania będzie mu tego brakowało, nie przypuszczał jednak, jak bardzo.

Nie ma co owijać w bawełnę. Był uzależniony od władzy.

Nie od takiej władzy, która przynosi człowiekowi osobiste korzyści albo pozwala sprawiać ból innym. Jego uzależnienie dotyczyło raczej samego procesu rozwiązywania problemów, zmieniania świata na lepsze. Uwielbiał panującą w Waszyngtonie napiętą, teatralną atmosferę współzawodnictwa i pewności siebie. Służba społeczeństwu to nadrzędny cel każdego porządnego urzędnika państwowego. Obywatele wybierali swoich przedstawicieli, żeby ci zajmowali się ich problemami, a Danny lubił pomagać ludziom. Nigdy nie był konformistą, najczęściej płynął pod prąd, zmagając się z systemem. I nic nie sprawiało mu większej radości.

Teraz wreszcie znowu poczuł, że żyje.

Rozległ się dzwonek telefonu. Danny podszedł do stolika nocnego i podniósł słuchawkę.

- Panie prezydencie, tu Cotton Malone.

Na dźwięk jego głosu Danny cały się usztywnił. Od razu wiedział, że to nie będą dobre wieści.

- Skoro zadałeś sobie trud, żeby się ze mną skontaktować, to znaczy, że stało się coś poważnego.

- W Magellan Billet mają pański numer domowy. I ma pan rację, przynoszę złe wiadomości.

Danny natychmiast się domyślił.

- Coś się stało Stephanie?

COTTON SIĘ ROZŁĄCZYŁ i schował komórkę.

Stał w pustej poczekalni pod oddziałem intensywnej terapii, na piątym piętrze waszyngtońskiego szpitala. Nieco ponad godzinę temu wylądował na lotnisku Reagan National i przyjechał od razu tutaj. Stephanie była już po operacji, która trwała kilka godzin, ale lekarze nie mogli zagwarantować, że z tego wyjdzie. Dwie kule dokonały wielu zniszczeń w jej organizmie. Pod nieobecność szefowej jednostka Magellan Billet działała według procedur, które ona sama ustanowiła dawno temu. Stephanie nie miała oficjalnego zastępcy, ponieważ zawsze

zależało jej na tym, aby w jej komórce było jak najmniej biurokracji. Wszystko koncentrowało się wokół jej osoby, co miało swoje dobre i złe strony. Jej asystentka do spraw administracyjnych jako jedyna w całym zespole pełniła funkcję zbliżoną do wicedowódcy, i to ona w tej chwili zawiadywała agentami w terenie, ukrywając przed nimi fakt, że Stephanie jest ranna.

Danny Daniels kiepsko przyjął tę wiadomość. I tak planował dziś rano podróż do Waszyngtonu, ale obiecał, że wyruszy jak najszybciej.

„Dzwoń, jak tylko coś się zmieni” - rozkazał Maloneowi na koniec rozmowy.

Wymienili numery komórek, a Daniels obiecał przesłać SMS-em jeszcze jeden numer, pod którym również będzie można się z nim skontaktować. Cotton zdawał sobie sprawę z relacji łączącej byłego prezydenta ze Stephanie. Nie znał szczegółów, ale wiedział, że nie są sobie obojętni. Cassiopeia miała na ten temat więcej informacji, ale zachowywała je dla siebie. Kiedy powiedziała mu, żeby zadzwonił do Danielsa, zrozumiał, w czym rzecz. Chociaż ich związek to oczywiście nie jego sprawa, wiedział, że Daniels musi usłyszeć o tym, co spotkało Stephanie. Dlatego zdecydował się złamać zasady obowiązujące w jednostce Magellan Billet i wykonał telefon do byłego prezydenta. Zgodnie z rozkazem Stephanie obecna sytuacja powinna być utrzymywana w tajemnicy, chyba że jej obrażenia okazałyby się śmiertelne. Wówczas w pierwszej kolejności powinien się o tym dowiedzieć prokurator generalny i to do niego należałaby decyzja o dalszych posunięciach. Ale dopóki Stephanie oddychała, wszyscy mieli obowiązek zachować milczenie. Przyswojenie sobie tych procedur stanowiło część szkolenia każdego agenta Magellan Billet. Ich celem było zagwarantowanie, że cokolwiek przydarzy się szefowej, praca jednostki nie zostanie w żaden sposób zakłócona.

Malone czuł dziwną mieszankę emocji. Widok Stephanie otoczonej rurkami i kablami, z maską tlenową na twarzy zdecydowanie wytrącił go z równowagi. Miał na świecie niewielu prawdziwych przyjaciół. Większość ludzi, których poznawał, dość szybko zniknęła z jego życia.

Niektóre relacje okazywały się trwalsze, ale raczej trudno je nazwać przyjaźnią. Henrik Thorvaldsen, w ostatnich latach jedna z najbliższych mu osób na świecie, zginął w Paryżu. Cotton przybył na miejsce za późno, żeby go uratować, i poczucie winy z tego powodu nie opuściło go do dziś. Co gorsza, w tamtym momencie byli ze sobą skłócenii - jak to czasem bywa między przyjaciółmi, Henrik dokonał wyboru, którego on nie aprobował. Teraz druga najbliższa mu osoba, kobieta, którą znał od bardzo dawna, która zmieniła jego życie, leżała w szpitalu w stanie krytycznym.

Jak do tego doszło?

Czego szukała w Instytucie Smithsona? Kiedy przewodniczący Sądu Najwyższego poprosił go o pomoc, ani słowem nie wspomniał o Stephanie. W ciągu ostatnich kilku dni ani razu nie słyszał jej nazwiska.

Rick Stamm czekał na korytarzu, pod salą, na której leżała Stephanie. Wejścia pilnował agent Magellan Billet, co nie było częścią ustalonego planu awaryjnego, ale Cotton nalegał, aby zapewnić jej ochronę, a nikt w Atlancie nie zaoponował. Dlatego na posterunku postawiono człowieka z jej jednostki, a w drodze było już dwóch kolejnych.

Wrócił do stojącego samotnie Stamma.

- Mów. Co się stało?

- Zadzwońłem do niej z prośbą o pomoc. Jesteśmy starymi przyjaciółmi. To moja wina. To przeze mnie Thomas nie żyje, a Stephanie walczy o życie.

Cotton położył kustoszowi rękę na ramieniu.

- Nie czas teraz zastanawiać się, czyja to wina. Mów, co się dokładnie stało.

Stamm opowiedział mu, że gdy był w mieszkaniu Martina Thomasa, usłyszał dwa strzały. Wybiegł na zewnątrz i zobaczył zakrwawioną Stephanie leżącą na ziemi oraz odjeżdżający z piskiem opon samochód.

- Była obecna przy śmierci Thomasa?

Stamm kiwnął głową, po czym zrelacjonował pozostałe wydarzenia z poprzedniego wieczoru.

- Myślisz, że Stephanie mógł postrzelić ten człowiek z Zamku?

- Kto wie? Ja nic nie widziałem.

Malone opowiedział Stammowi, co razem z Cassiopeią znaleźli w Arkansas i o Kamieniu Wiedźmy.

To wyraźnie zwróciło uwagę kustosza.

- Czy tego właśnie poszukuje kanclerz? - zapytał Cotton, ale kustosz milczał. Nie podobało mu się to, że w takiej chwili wykręca się od odpowiedzi, więc dodał: - Uwierz mi, czas na powściągliwość już minął.

- Musimy wracać do Muzeum Historii Amerykańskiej - odparł Stamm. - Będziemy mogli porozmawiać w cztery oczy. Zamierzaliśmy tam pojechać ze Stephanie, kiedy... to się stało.

Wydawało się to rozsądne. Według lekarzy powinno minąć jeszcze kilka godzin, zanim Stephanie zostanie wybudzona ze śpiączki farmakologicznej.

Malone postanowił na razie odsunąć od siebie najgorsze myśli i z powrotem skoncentrować się na swojej misji. W tej sytuacji to jedyne sensowne posunięcie.

- Prowadź.

DANNY JECHAŁ NA lotnisko Knoxville, leżące na wschodnim krańcu hrabstwa Blount, gdzie miał czekać na niego samolot należący do władz stanowych. Transport zaoferował mu gubernator, a on chętnie przyjął propozycję. Po drodze przypominał sobie dzień, kiedy po raz pierwszy rozmawiał ze Stephanie, nie podczas oficjalnego spotkania, ale na osobności. Tylko we dwoje.

To było kilka lat temu w Camp David. Przy okazji innej sytuacji kryzysowej.

- Wbrew temu, co może ci się wydawać, nie jestem idiotą-powiedział.

Siedzieli na werandzie przed domkiem, na bujanych fotelach z wysokim oparciem. Danny bujał się energicznie, a deski podłogowe skrzypiały pod jego ciężarem.

- Nigdy cię tak nie nazwałam.

- Mój ojciec mawiał, że nigdy nie powiedział mamie w twarz, żejest suką.

Niewątpliwie była to prawda. Mam problem, Stephanie. Poważny.

- To zupełnie tak jak ja. Według twojego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego zostałam aresztowana. I wydawało mi się, że wcześniej mnie zwolnięś.

- Jedno i drugie było niezbędne, żebyś mogła znaleźć się tutaj.

Pamiętał, że nie wydawała się zbyt przejęta swoją sytuacją. Opowiedział jej wtedy historię.

- Jeden z moich wujków mawiał: Chcesz zabić węża? Łatwizna. Nie daj mu szansy, żeby cię ukąsił. Niech sam do ciebie przyjdzie. Wystarczy podpalić zarośla i czekać, aż wypełźnie z ukrycia. I wtedy rozwalisz mu łeb. Tak właśnie zrobimy. Podłożymy ogień. Potrzebuję twojej pomocy.

- W czym?

- W znalezieniu człowieka, który mnie zdradził.

Zrobiła dokładnie to, czego od niej oczekiwał, i to w pięknym stylu.

Uratowała wówczas jego tyłek, co zdarzało jej się później jeszcze wielokrotnie. Magellan Billet zawsze była tą agencją, której mógł w pełni ufać, a na jej czele stała niezwykła kobieta, z którą miał nadzieję spędzić resztę swoich dni.

Teraz ta kobieta walczyła o życie.

Do tej pory zamierzał jedynie wyruszyć do Waszyngtonu, by podłożyć ogień w paru miejscach, wypłoszyć wszystkie węże i rozwalić im łby.

Ale teraz dopisał jeszcze jedno zadanie do swojej listy.

I niech Bóg ma w swojej opiece drania, który strzelał do jego dziewczyny.

ROZDZIAŁ 32

CASSIOPEIA SZYBKO MRUGAŁA oczami, próbując przyzwyczać wzrok do ostrego, błękitnobiałego światła, które nagle zalało komnatę. Lea robiła to samo.

- Kim jesteście? - zapytał mężczyzna na przodzie.

Był szczupły, a wręcz wychudzony. Jego postawa wskazywała na to, że jest lub był wojskowym. Miał czterdzieści kilka lat, nawet przystojną twarz i ciemne, brązowe oczy łypiące spod zmierzwionej czupryny siwiejących włosów. Cassiopeia uznała, że ich jedyna szansa to powiedzieć prawdę.

- Nazywam się Cassiopeia Vitt. Pracuję dla amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości.

- A młoda dama?

- Lea Morse. Mieszka niedaleko stąd.

- Jesteś spokrewniona z Terrym Morse'em?

- To mój dziadek.

Mężczyzna wydawał się zaintrygowany.

- Wiesz o Kamieniu Wiedźmy?

I najwyraźniej był dobrze poinformowany.

- A jeśli tak, to co? - wtrąciła się Cassiopeia. - My nadal nie wiemy, z kim mamy przyjemność.

- James Proctor.

Sądząc po charakterystycznym przeciąganiu samogłosek, pochodził z południa Stanów, tak jak Cotton. Mężczyznom ich pokroju ten akcent w jakimś stopniu pomagał zdominować rozmówcę. Fakt, że wyjawiał swoje nazwisko, nie dodał jej otuchy, tak samo jak jego ton - obojętny, rzeczowy, chłodny.

- Co was tu sprowadza? - zapytał.

-To samo, co i was - odparła, wskazując na otwartą skrzynię. - Szukamy złota.

- Ale ono nie należy do was.

- A do was tak?

-W pewnym sensie. Zostawiono je pod naszą opieką.

- Czy to jest krypta?

Na jego usta wpełzł lekki uśmiech.

- Widzę, że pani o nas słyszała.

- Nie tylko ja.

Próbowała dać mu do zrozumienia, że jej współpracownicy w Waszyngtonie o wszystkim wiedzą. Co niestety nie do końca było prawdą.

Były zdane tylko na siebie.

Proctor podszedł do nich bliżej.

- To złoto czekało tu od bardzo dawna. Ale nie, to nie jest krypta. To tylko jedna z ostatnich kryjówek, z których korzystaliśmy.

- Chyba nie mówi pan poważnie. Rycerze Złotego Kręgu nadal istnieją?

Już wcześniej doszła do wniosku, że ci ludzie nie mają nic wspólnego z trzema oszustami, których spotkali w domu Morse'a.

- Jesteśmy rycerzami - powiedział.

Wydawał się śmiertelnie poważny, więc postanowiła go do siebie nie zrażać.

- Czy wcześniej wszystkie te skrzynie były wypełnione złotem?

Kiwnął głową.

-Wywozimy je stąd od kilku dni. Właśnie mieliśmy się zabierać za przedostatnią partię. Jeden z moich wspólników stał na straży w lesie i widział, jak tu wchodzić. A teraz mówcie, naprawdę przy- szłyście tu po złoto?

-Wiemy o strażnikach - odezwała się Lea. - Mój dziadek jest jednym z nich.

- Zgadza się, i to jednym z lepszych. Przez wiele lat wiernie pełnił swoją służbę. Jego dziadek, a twój pradziadek, został specjalnie wybrany do pilnowania Kamienia Wiedźmy.

Ten człowiek niewątpliwie posiadał dużo dokładnych informacji.

- Czy dziadek szkolił cię, abyś w przyszłości przejęła jego obowiązki? - zapytał Proctor.

- Tak - skinęła głową Lea.

Mądra dziewczyna. Wiedziała, że teraz powinna skłamać.

- Rozumiem, że w rodzinie nie ma chłopców?

- Ani jednego.

- Kobiety nie mogą pełnić tej funkcji? - zainteresowała się Cassiopeia.

- Zdarza się, choć nieczęsto - odparł Proctor, po czym ponownie zwrócił się do Lei: - Ale skoro dziadek szkolił cię na strażnika, to dlaczego tu wtargnęłaś? Strażnik ma za zadanie chronić skarb.

- Dlaczego wysłał pan tych ludzi, żeby skrzywdzili mojego dziadka?

Po raz pierwszy do początku rozmowy Proctor wydawał się zdziwiony. A zatem było tak, jak przypuszczała Cassiopeia. Tamci ludzie reprezentowali jakąś zupełnie inną grupę niż ci tutaj.

- Nikogo nie wysyłałem - zapewnił Proctor.

Cassiopeia postanowiła wykorzystać ten moment.

- A to oznacza, że ktoś was przejrzał. Oni także podawali się za rycerzy, znali uścisk dłoni i prawidłową formułę powitania.

Proctor sprawiał wrażenie zatroskanego.

-To niepokojące wieści. Ale jeszcze raz zapewniam, ci ludzie nie byli od nas.

Cassiopeia musiała odwrócić jego uwagę, więc zmieniła temat:

- Sporo tu tego złota.

Pokiwał głową.

- W sumie warte jakieś pięćdziesiąt milionów dolarów, zależnie od czystości kruszcu, ale z reguły jakość jest dość dobra.

Cassiopeia miała pistolet wciśnięty pod pasek spodni na plecach, a ponieważ noc była ciepła, nie włożyła żadnej kurtki. Gdyby się odwróciła, od razu by go zauważyli. Mogła po niego sięgnąć, ale ludzie stojący przed nią też z pewnością byli uzbrojeni. To nie byłaby równa walka i Lea mogłaby zginąć.

- Uważam się za dżentelmena - ciągnął Proctor. - Dlatego bardzo źle

się stało, że tu przyszyście. Przepraszam za to, co muszę zrobić.

Dał znak i dwóch jego ludzi ruszyło w ich stronę.

Cassiopeia sięgnęła za plecy, ale Proctor tylko uniośł prawą rękę. Trzymał w niej pistolet.

- Broń na nic się pani nie przyda.

Jego oczy na moment przesunęły się w dół i zerknął na jej piersi, widoczne nieco spod rozpiętej koszuli.

- Myślałam, że jest pan dżentelmenem.

-To nie znaczy, że jestem ślepy.

Skinął wolną ręką i jeden z mężczyzn złapał Leę, która zaczęła wierzcąc nogami. Drugi szybko chwycił ją za kostki i razem dźwignęli ją z ziemi. Cassiopeia już wcześniej zauważyła prostokątny otwór w podłodze o wymiarach mniej więcej dwa na trzy metry.

Zanieśli tam dziewczynę i wrzucili ją do środka.

Cassiopeia chciała pobiec w tamtą stronę, ale Proctor zastąpił jej drogę. Wyzywająco spojrzała mu prosto w oczy.

- Proszę bardzo - powiedział. - Ale najpierw...

Sięgnął ręką za jej plecy i zabrał jej pistolet, uśmiechając się z wyższością.

Gdy Cassiopeia podbiegła do otworu, zorientowała się, że prowadzi do pionowego korytarza przypominającego szyb windy. O jedną ścianę opierała się drabina. W dole panowała ciemność.

- Lea, jesteś cała?

Cisza.

- Lea!

- Nic mi nie jest - dobiegł z dołu głos dziewczyny. - Dno jest całkiem miękkie.

Proctor podszedł do niej od tyłu i Cassiopeia poczuła zapach jego ostatniego posiłku, obficie doprawionego czosnkiem.

-Jak mówiłem, jestem dżentelmenem. Pani kolej. Może pani sama zeskoczyć.

- Przesuń się na bok, Lea, jak najbliżej drabiny. Zaraz tam będę.

- Przy okazji, ta drabina jest bezużyteczna. Cała przegniła. Brakuje

szczebli.

Cassiopeia oderwała stopy od ziemi i skoczyła w ciemność. Dół miał może pięć metrów głębokości. Kiedy tylko wylądowała, natychmiast przekreśliła się na bok. Ale Lea miała rację. Podłoże było pokryte grubą warstwą sypkiej ziemi, która zamortyzowała upadek jak gąbka.

Rozejrzała się na boki, ale nie widziała dziewczyny.

- Wszystko dobrze? - odezwała się Lea.

Cassiopeia próbowała namierzyć ją po głosie.

- Jestem tutaj - powiedziała Lea. - Przyczołgaj się do mnie.

- Wielka szkoda, że musimy się rozstać w ten sposób - rozległ się nad nimi głos Proctora. - Ale to ważne, żeby żadna z was nie została nigdy odnaleziona.

Wiedziała, co się święci, więc natychmiast doskoczyła do Lei, która siedziała skulona przy drabinie. Ściany na dnie jamy rozszerzały się na boki, dzięki czemu albo na skutek kopania, albo samoistnego osuwania się ziemi utworzyły się niewielkie wnęki. W jednej z nich skryła się Lea, a Cassiopeia szybko przylgnęła do niej, wpychając się jak najgłębiej w szczelinę i zasłaniając dziewczynę własnym ciałem.

Padły trzy strzały. Kule z głuchym uderzeniem wbiły się w piach. Cassiopeia wiedziała, co robi ten drań Proctor. Celuje wszędzie naokoło, w nadziei że przynajmniej niektóre pociski osiągną celu. Więc dała mu to, na co liczył, i głośno jęknęła z udawanego bólu.

Strzelił jeszcze cztery razy.

Cassiopeia umilkła.

- Zaczynajcie - zakomenderował Proctor.

Chwilę później coś wpadło do dziury i uderzyło z trzaskiem o ziemię. Jej źrenice przyzwyczyły się już na tyle do ciemności, że rozpoznała kształt.

Była to jedna ze skrzyń.

Po niej na dół zleciała druga, a potem następne. Spadając, rozбивały się o siebie.

Cassiopeia zrozumiała, co się dzieje.

Chcieli zasypać szyb.

ROZDZIAŁ 33

COTTON WSZEDŁ DO Narodowego Muzeum Historii Amerykańskiej. Dzięki temu, że towarzyszył Rickowi Stammowi, ochrona bez słowa przepuściła go przez punkt kontrolny. Budynek miał zostać otwarty dla zwiedzających dopiero za dwie godziny, więc na korytarzach nie było żywej duszy. Pokonali pusty parter, weszli po schodach na piętro, minęli gablotę poświęconą amerykańskiej fladze, i znaleźli się we foyer, z którego przechodziło się do kolejnych części ekspozycji. W końcu dotarli do drzwi, które wymagały specjalnej karty magnetycznej.

Stamm przeciągnął swoją kartę przez czytnik i weszli do środka.

Zaraz za drzwiami nowoczesna elegancja części dla zwiedzających ustąpiła prostocie pomieszczeń przeznaczonych dla personelu, gdzie dominowały skromne, białe ściany i błyszczące podłogi z lastryko. Wspięli się po stromych schodach, potem Stamm ponownie użył karty, aby zyskać dostęp do przestronnej sali bez okien wypełnionej regałami na szynach. Na suficie paliły się świetlówki, stale klimatyzowane powietrze było chłodne, czyste i suche.

-To jedno z naszych kilku archiwów poświęconych amerykańskiej historii - wyjaśnił Stamm. - Znajdują się tu wyłącznie dokumenty z dziewiętnastego wieku. Większość tych materiałów nigdy nie trafiła do pomieszczeń wystawowych.

Archiwum, w którym Cotton i Cassiopeia spędzili kilka dni przed wyjazdem do Arkansas, mieściło się na czwartym piętrze, obok głównej biblioteki historycznej, gdzie pracował Martin Thomas.

Stamm wytłumaczył, że przewodniczący Sądu Najwyższego zwrócił się do Stephanie o pomoc w ukryciu ciała Martina Thomasa na dzień lub dwa, podczas gdy będą trwać poszukiwania jego zabójcy. Cotton przypuszczał, że teraz ten obowiązek spadł na niego.

- To wszystko, co się dzieje, to naprawdę nie moja liga - przyznał Stamm.

- A mimo to znalazłeś się w samym centrum wydarzeń.

Miał nadzieję, że Stamm chwyci aluzję. Poziom tolerancji na ściemnianie spadł do zera. Czas mówić otwartym tekstem.

Sala miała mniej więcej dziewięć metrów na dziewięć. Pod szarym, betonowym sufitem biegły pomalowane rury i przewody. Pomijając stłumiony szum klimatyzacji, panowała tu zupełna cisza. Wszystko było funkcjonalne i praktyczne, zero luksusów. Na jedynym metalowym biurku stał komputer. Malone postanowił przejść do rzeczy.

- Chcę wiedzieć, co łączy z tą sprawą mojego przodka, Angusa Adamsa. Dlaczego to właśnie ja zostałem zwerbowany?

Wysłuchał opowieści Stamma o wyprawie zorganizowanej przez Instytut Smithsona w 1854 roku, która miała na celu eksplorację nowo pozyskanych terytoriów południowo-zachodnich. Przy okazji tego przedsięwzięcia Rycerze Złotego Kręgu przeprowadzili swój sekretny rekonesans.

- Twój prapradziadek brał udział w tej ekspedycji, a potajemnie pracował dla Zakonu. Jak dużo wiesz o Adamsie?

Cotton właściwie wiedział całkiem sporo. Wszystko dzięki opowieściom dziadka.

Angus Adams był jednym z pierwszych ludzi zatrudnionych przed Instytut Smithsona. Zaczynał jako malarz, ale z czasem przekształcił się w pierwszorzędneho ilustratora. Na strychu u dziadka Malonea stał kufer zawierający kilka litografii wykonanych przez Adamsa w okresie pracy dla Instytutu. W epoce przed wynalezieniem fotografii jedyny sposób na uwiecznienie czegokolwiek stanowiły odręczne rysunki. Po wybuchu wojny secesyjnej Adams zrezygnował z pracy i dołączył do sformowanego w Georgii słynnego legionu Cobba, gdzie awansował na porucznika. W 1862 roku uzyskał stopień majora i przekwalifikował się na szpiega. Cotton miał u siebie kilka ziarnistych, czarno-białych zdjęć Adamsa, który był szczupłym i niskim mężczyzną, z bujną czupryną jasnych włosów i sutymi wąsami, co w tamtych czasach stanowiło

normę. Z jego listów wyłaniał się obraz łagodnego, gadatliwego człowieka ze skłonnością do pesymizmu, który na wszelki wypadek zawsze nosił przy sobie pistolet i nóż. Przyjaciele mówili, że jest oddany, wrogowie nazywali go fanatykiem, ale nikt nie uważał go za głupiego. Przedkładał muzykę nad książki i dyskusję nad milczenie, choć tak naprawdę wolał chyba przebywać na łonie natury niż wśród ludzi. Najbardziej uderzające było podobieństwo między nim a Cottonem, widoczne w kształcie podbródka, oczu, nosa i ust.

Jako szpieg Adams poprowadził pierwszą potajemną wyprawę na teren Pensylwanii, kiedy wraz z dwudziestoma innymi konfederatami podszywał się pod żołnierzy Unii tropiących dezertersów. Zdobył wówczas cenne informacje na temat ruchów wrogich wojsk, z których generał Lee skorzystał podczas swojego marszu na Gettysburg. Następnie wysłano go do Indiany, aby podburzał tamtejszą ludność do powstania i przyłączenia się do Konfederacji.

Niemal mu się to udało. Został jednak schwytany i zamknięty w więzieniu w Ohio. To, co stało się później, przeszło do legendy.

Podobno przebywając w więzieniu, Adams czytał Nędzników i ogromnie zainspirował go opis ucieczki Jeana Valjeana przez paryskie kanały. Zwrócił uwagę na to, że niżej położone cele były całkiem suche i pozbawione pleśni, choć nieprzerwanie panowała tam całkowita ciemność. Fakt ten wskazywał na stały dostęp do świeżego powietrza. I rzeczywiście, kiedy zaczął kopać, natknął się na podziemny, murowany tunel, prawdopodobnie używany do odprowadzania ścieków. Właśnie tą drogą razem z pięcioma współwięźniami zdołał się wydostać na wolność. Przed ucieczką Adams zostawił krótki liścik dla naczelnika więzienia.

Zamek Merion, cela nr 20. 27 listopada 1863. Początek kopania - 4 listopada 1863. Zakończenie - 20 listopada 1863. Trzy godziny pracy dziennie. Narzędzia: dwa małe noże.

*La patience est amere, mais son fruit est doux. Z rozkazu.
sześciu czcigodnych Konfederatów.*

Dzięki swojej pamięci ejdetycznej Cotton pamiętał treść liściku co do słowa. Dziadek powiedział mu, że Adams posiadał ten sam talent. I niewątpliwie silny charakter, czego jasno dowodzi ta zuchwała wiadomość okraszona francuskim cytatem.

„Cierpliwość jest gorzka, ale jej owoce są słodkie”.

Naczelnik nie mógł ścierpieć obelgi i rozpoczęła się zakrojona na wielką skalę obława. Adams ruszył na południe, w kierunku Kentucky. W okolicach rzeki Ohio wojska Unii osaczyły go w małym miasteczku na samej granicy stanu. Znalazł schronienie na farmie, której właściciel leżał zdjęty ciężką chorobą. Nie mając możliwości ucieczki, schował się w materacu, na którym leżał chory. Kiedy żołnierze przeszukiwali dom, sprawdzili, czy Adams nie jest człowiekiem w łóżku, ale nie przyszło im do głowy, żeby zajrzeć pod spód, do wnętrza materaca. Opuścili dom, zostawiając jednak wartowników przy wejściu. Następnego dnia mimo ulewnego deszczu chorego farmera przyszli odwiedzić znajomi. Na szczęście żołnierze nie zwracali większej uwagi na twarze skryte pod parasolami, co pozwoliło Adamsowi wymknąć się z domu. Kiedy składał raport swoim zwierzchnikom, jego wyczyny nie tylko zrobiły na nich wielkie wrażenie, ale i niezmiernie rozbawiły. Jeden z nich stwierdził, że Angus musi być miękki jak wata, skoro nikt, nawet chory leżący w łóżku, nie znalazł go w tym materacu.

Od tego czasu przyłgnął do niego przydomek Cotton¹. I tak zostało.

- Trochę o nim słyszałem - powiedział Malone. - Nadal jednak nie rozumiem, co on ma wspólnego z tym, co się teraz dzieje. Najwyraźniej na tyle dużo, że przewodniczący Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych postanowił zwrócić się akurat do mnie.

Stamm wyjaśnił, że w trakcie ekspedycji w 1854 roku Adams spisywał swoje obserwacje w dzienniku, który zaginął przed wielu laty.

- Mieliśmy nadzieję, że może ma go twoja rodzina - powiedział Stamm.

-Jeśli tak, to nigdy go nie widziałem na oczy ani nawet o nim nie

1 Cotton (ang.) - bawełna lub wata (przyp. dum.).

słyszałem. Dlaczego ten dziennik jest taki ważny?

- Naprawdę nie wiem. Przekazano mi jedynie, że kanclerz chce go odnaleźć. Będzie zawiedziony, ale tak czy inaczej potrzebujemy twojej pomocy. - Stamm podszedł do komputera, wystukał coś na klawiaturze i na ekranie pojawił się obraz mosiężnego klucza.

- Oto, co zostało skradzione zeszłej nocy. Wszystko mamy skatalogowane.

Malone przyjrzał się zdjęciom pokazującym lewą i prawą stronę oraz oba końce starego klucza. Stamm powiedział mu wszystko, co o nim wiedział, łącznie z tym, jak klucz stał się jednym z ceremonialnych przedmiotów instytutu.

-Jakiś pomysł, dlaczego temu facetowi tak bardzo na nim zależało?

- Tego również nie wiemy. Ale jest ktoś, kto mógłby wiedzieć.

Cotton słuchał uważnie.

- Kiedyś pracowało tu dwóch ludzi. Jednym z nich był ojciec Diane Sherwood, Davis Layne. Kierował tym muzeum. To on zgromadził większość zastrzeżonych zbiorów, które czytaliście. Niestety zmarł jakieś piętnaście lat temu. Drugi to Frank Breckinridge. Tak jak ja, pełnił swego czasu funkcję kustosa Zamku. To on w latach pięćdziesiątych znalazł ten klucz na strychu. On także był znawcą Rycerzy Złotego Kręgu. Na szczęście Breckinridge nadal żyje.

Stamm pokręcił głową.

- Kiedy zaczynałem pracę, jego już tu nie było.

Cotton intensywnie myślał, pocierając kilkudniowy zarost na podbródku.

- Adams to mój przodek od strony matki. Po wojnie opuścił Południe i wyjechał na zachód.

Czuł się, jakby cofnął się w czasie, i nagle zaczął przypominać sobie wszystko, co dziadek opowiadał mu o Angusie Adamsie.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek komórki.

Nie jego. Stamma.

Kustosz odebrał, przez chwilę słuchał w milczeniu, po czym rozłączył się ze zmieszonym wyrazem twarzy.

- Kazałem oznaczyć w systemie kartę Martina Thomasa. Nie znalazłem jej wczoraj przy jego ciele, więc zamierzałem ją zablokować dziś rano. Ale właśnie ktoś za jej pomocą dostał się do Muzeum Historii Naturalnej.

ROZDZIAŁ 34

CASSIOPEIA SKULIŁA SIĘ w szczelinie razem z Leą, jak najmocniej przyciskając się do ściany. Z góry wciąż spadały drewniane skrzynie, roztrzaskując się na kawałki i powoli wypełniając dno szybu. Wzbijały przy tym pył, od którego coraz ciężiej się oddychało, ale Cassiopeia zwalczyła w sobie odruch kaszlu. Starła się nie wydawać żadnych dźwięków, żeby tamci na górze nie zorientowali się, że one ciągle żyją. Wcześniej szepnęła Lei, że również musi zachować ciszę, i ku jej zadowoleniu dziewczyna wykonała polecenie. Na szczęście nie dosięgła ich żadna z kul, a Proctora i jego ludzi pewnie bardziej teraz absorbowało wywożenie złota niż sprawdzanie, czy na pewno je zabili.

Do dołu przestały wpadać skrzynie, ale powietrze nadal było pełne pyłu. Cassiopeia zasłoniła sobie twarz koszulą i starła się brać krótkie i płytkie oddechy. Przez ciemność przebijały się jedynie pojedyncze, słabe promienie światła.

-Jesteś cała? - szepnęła do Lei.

- Nic mi nie jest, ale musimy się stąd wydostać. Nie da się już oddychać.

Miała oczywiście rację, nadal pozostawał jednak problem Proctora i jego ludzi. Cassiopeia nadstawiła uszu, ale nic nie słyszała. Poszli sobie czy po prostu czekali?

Czas się przekonać.

Zaczęła się wygrzebywać, tłukąc nogami stare drewno, które łatwo ustępowało pod jej kopniakami. Na szczęście między odłamkami było dużo prześwitów. Po chwili intensywnego kopania udało się jej ruszyć z miejsca, macając wszędzie naokoło wyciągniętymi rękami. Dzięki Bogu w przeciwieństwie do Cottona nie cierpiała na klaustrofobię. Jej słabością było poruszanie się z dużą prędkością i na dużej wysokości,

przez co nie znosiła podróży samolotami i śmigłowcami.

Napierała tak długo, aż w końcu udało się jej uzyskać na tyle dużo miejsca, że mogła klęknąć i wyprostować się, opierając plecy o ścianę szybu. Oddech wciąż wiązał jej w gardle i z trudem przełykała pył. Nad głową miała jeszcze kawałki potrzaskanych skrzyń, ale nie były one ciasno zbite ze sobą. Powtarzała sobie, że musi uważać na zardzewiałe gwoździe.

- Zostań tam, gdzie jesteś - szepnęła do Lei. - Zobaczę, czy dam radę nas stąd wydostać.

Chwyliła się odłamków i podciągnęła się, odpychając część ciemnych przeszkód. Wyciągnęła komórkę, którą wciąż miała w kieszeni. W takim miejscu oczywiście nie było szans, żeby do kogokolwiek zadzwonić, ale telefon dawał na tyle dużo światła, że mogła rozejrzeć się naokoło.

Sytuacja nie wyglądała na beznadziejną. Rumowisko nie sięgało nawet do samego wylotu szybu. Cassiopeia schowała z powrotem telefon i zaczęła się wspinać na stertę, która zatrzeszczała i osiadła pod jej ciężarem.

- Wyjdz i spójrz, jak ja to robię - powiedziała do Lei.

Po chwili dziewczyna pojawiła się na dole.

Cassiopeia szacowała, że od szczytu, gdzie czekała prostokątna plama słabego światła, dzieli ją pięć metrów. Im była wyżej, tym mniej odłamków przelatywało w dół. Szyb był wąski, a jego szorstkie ściany zapewniały dużo punktów podparcia dla rąk i nóg. Mogła nawet wdrapać się na górę, zapierając się nogami o przeciwległe ściany.

Wspinaczka okazała się trudna, ale nie niewykonalna dla kogoś w tak dobrej kondycji fizycznej jak Cassiopeia. Dotarła na samą górę, mocno chwyciła się rękami krawędzi i dźwignęła się na zewnątrz. Musiała chwilę odsapnąć, żeby uspokoić oddech i odzyskać siły. Właśnie chciała pomóc Lei, kiedy usłyszała jakiś dźwięk. Dochodził od strony wejścia do komnaty.

Kroki. Coraz głośniejsze.

- Mamy towarzystwo - szepnęła do dziewczyny. - Zostań tam i bądź cicho.

W komnacie zostały jeszcze tylko dwie skrzynie. Cassiopeia zakładała, że ludzie Proctora skończyli już wywozić całe złoto, ale najwyraźniej została im ostatnia partia. Nie wiedziała, ilu ich tutaj wraca, i nie miała gdzie się schować, więc stanęła przy samym wejściu, przywierając plecami do skalnej ściany.

Do środka wszedł jeden człowiek.

Łysy, w jeansach i ciężkich butach. Był młody, wyglądał na niecałe trzydzieści lat.

Ale to nie znaczy, że nie mogła sobie z nim poradzić.

Podszedł do dwóch skrzyń i zaczął je rozwalać mocnymi kopniakami. Stare drewno nie stawiało większego oporu, a hałas idealnie maskował jej kroki. Dopadła go w dwóch susach i zdecydowanym ruchem kopnęła w nerki. Kiedy stracił równowagę, wbiła się ramieniem w jego klatkę piersiową, wpychając go na ścianę. Nie czekając, aż otrząśnie się po tym pierwszym ataku, trafiła go stopą w kolano i ścięła z nóg. Była wściekła i zamierzała wyładować gniew na tym dupku, ale zanim zdążyła go wykończyć, czyjeś ręce oplotły się wokół jej tułowia, całkiem ją unieruchamiając.

Powrócił kolejny z tamtych facetów.

Wiedziała, że nie ma sensu się opierać. Rozluźniła całe ciało, dzięki czemu zyskała na tyle dużo swobody, że zdołała się wysliznąć z jego niedźwiedziego uścisku. Natychmiast wbiła mu obcas w kolano.

Mężczyzna wrzasnął.

Obróciła się w miejscu i bez zastanowienia zaczęła okładać go pięściami, wkładając w to resztki sił. Jej przeciwnik padł na ziemię i przekręcił się na plecy, wijąc się pod jej ciosami. Zamaszysty kopniak w bok głowy pozbawił go przytomności.

- Wystarczy - odezwał się męski głos.

Odwróciła się i zobaczyła, że pierwszy z mężczyzn doszedł już do siebie i teraz mierzył do niej z pistoletu. Leżał na ziemi, przeszywając ją chłodnym, nieprzeniknionym wzrokiem, a na twarzy malowała mu się czysta furia.

- Na ziemię! - rozkazał.

Postanowiła wykonać polecenie.

Był ranny, po jej wcześniejszym ataku nie mógł stać, ale pociągnąć za spust - i owszem. Dzieliły ich jakieś dwa metry wolnej przestrzeni, dostatecznie dużo, żeby to on miał w tej sytuacji przewagę.

- Co teraz? - zapytała, nie spuszczać z niego wzroku.

Z wysiłkiem przekreślił się na bok. Najwyraźniej złamała mu jakąś kość w nodze.

- Teraz czekamy.

To znaczyło, że pozostali zaraz też tu wrócą.

Za jego plecami widziała szyb, na którego krawędzi nagle pojawiły się ręce. Chwilę później z otworu wyłoniła się głowa Lei. Dziewczyna rozglądała się, oceniając sytuację. Cassiopeia chciała jej powiedzieć, żeby się nie ruszała, ale to by tylko naraziło ją na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Dlatego bez słowa patrzyła, jak dziewczyna cicho wychodzi z szybu.

Trzeba mieć mocne nerwy, żeby nie stracić opanowania w takich okolicznościach. Cassiopeia pamiętała pierwszych kilka razy, kiedy brała udział w prawdziwej walce. Zawsze ogromnie się bała, ale ten strach nigdy jej nie paraliżował. Przeciwnie, wzmacniał w niej determinację. W najwcześniejszych akcjach brała udział na prośbę starego przyjaciela, Henrika Thorvaldsena, który od czasu do czasu potrzebował jej pomocy. Podczas jednej z takich misji kilka lat temu na południu Francji poznała Cottona. Dziś Henrik już nie żył, Panie, świeć nad jego duszą, ale ona właśnie znalazła się w samym środku kolejnej afery. Dużo się od niego nauczyła, zwłaszcza jak radzić sobie z presją. Wyglądało na to, że Lea posiadała do tego wrodzony talent, co nie ucieszyłoby pewnie zbytnio jej dziadka.

Dziewczyna wydostała się już na zewnątrz i klęczała na krawędzi szybu, z twarzą pokrytą potem i brudem. Była zbyt drobna, żeby rzucić się z gołymi rękami na męczyznę z bronią, dlatego Cassiopeia postanowiła przekazać jej ukrytą odpowiedź.

- Tamte połamane skrzynki też chciałeś nam zrzucić na głowę? - odezwała się, wskazując w kierunku sterty drewna i złota.

- Złamałaś mi nogę, do cholery - wycedził mężczyzna.

Lea zrozumiała aluzję i zaczęła się wolno przesuwać w stronę dużego kawałka jednej z roztrzaskanych skrzyń.

- No więc na co czekamy? - zapytała Cassiopeia, żeby ściągnąć na siebie całą jego uwagę.

- Zamknij się.

Lea nagle zamarła, wbijając wzrok w coś za plecami Cassiopei. Człowiek naprzeciwko też musiał to zobaczyć, bo natychmiast podniósł broń.

Rozległ się huk wystrzału.

Nie z pistoletu. Znacznie głośniejszy.

Kula rozdarła klatkę piersiową młodego mężczyzny. Z ust wydostało się śmiertelne rżenie, trysnęła fontanna krwi. Jego ciało zgięło się wzdłuż, wstrząsane nienaturalnymi drgawkami.

Lea zakryła usta z przerażenia.

Cassiopeia poczuła ciarki na plecach. Odwróciła się i ujrzała Terryego Morse'a ze strzelbą w ręku.

- Teraz nie mam czasu mówić wam, jaki jestem wściekły - oznajmił. - Musimy uciekać.

ROZDZIAŁ 35

GRANT ROZWAŻYŁ WSZYSTKIE opcje i zdecydował, że najrozsądniej będzie działać natychmiast. Co prawda ciało Martina Thomasa mogło już zostać znalezione, ale jeśli będzie dość szybki, powinien zdążyć namierzyć to, czego szuka, zanim ktokolwiek się zorientuje. Jak na razie w mediach ani słowem nie wspomniano o zabójstwie w Instytucie Smithsona. Gdyby dało się powiązać go z Diane, a Diane z Thomasem, to już dawno odezwałyby się do niego albo ona, albo policja. Tymczasem o sprawie było cicho. Grant miał nadzieję, że kobieta z Departamentu Sprawiedliwości nie żyje. Z kolei Richard Stamm nie powinien stanowić żadnego problemu. Oczywiście dobrze byłoby zdobyć dokumenty, które miała przy sobie ta agentka, ale nie miał szans zatrzymać się, by je przechwycić.

Jak gdyby nigdy nic wkroczył do Muzeum Historii Naturalnej razem z pierwszą poranną falą zwiedzających, w której znajdowały się -wycieczka szkolna oraz garstka turystów. Jako dziecko Grant dużo czasu spędzał w muzeach mieszczących się naokoło National Mail, szczególnie w Muzeum Historii Naturalnej oraz Historii Amerykańskiej. Zainteresowanie nie słabło właściwie nigdy. Każdego roku przez te placówki przewijały się miliony gości, w dużej mierze dzięki temu, że wstęp wszędzie był darmowy. Swego czasu jego ojciec ciągle o tym gadał, aż do znudzenia. Tych rozmów nie będzie mu brakowało. Ale innych owszem, zwłaszcza kiedy jego ojciec zaczynał barwnym, sugestywnym językiem opowiadać mu o historii i udawało mu się tchnąć życie w fakty z przeszłości, które normalnie wydawałyby mu się przeraźliwie nudne. To było coś, za czym Grant tęsknił.

Stał wewnątrz słynnej marmurowej rotundy, w której centralne miejsce zajmował słoń afrykański z wielkimi kłami. Na wprost szło się

do sali oceanicznej, na lewo do ssaków. Za drzwiami po prawej znajdowała się sala skamielin, chwilowo zamknięta z powodu remontu.

Tam właśnie podązał.

Nie chciał ściągać na siebie niepotrzebnej uwagi, ale wiedział, że za zamkniętymi drzwiami mogą być robotnicy. Jeżeli tak, to po prostu machnie im przed oczami identyfikatorem Thomasa, zakrywając palcem zdjęcie i przy odrobinie szczęścia nikt nie będzie zadawał zbyt wielu pytań. Rozejrzał się naokoło. Dostrzegł tylko jednego funkcjonariusza ochrony i nikogo z obsługi muzeum. Na ścianach wisiały kamery, więc powinien trzymać głowę opuszczoną i wmieszać się w tłum. Wszędzie biegały dzieci, właśnie mijala go nowo przybyła grupa zwiedzających. Lawirując między ludźmi, ruszył w kierunku sali skamielin i przeciągnął kartę przez czytnik przy wejściu, odblokowując zamek elektroniczny. Szybko wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi.

Znów otoczyła go cisza.

Na szczęście nikogo tu nie zastał. Remontowaną salę oświetlały tylko punktowe reflektory na suficie. Z betonowej posadzki zniknęły dywany. Na ścianach wciąż wisiały tabliczki opisujące ekspozycje, ale pomijając kilka największych okazów, niemal wszystkie półki były puste. Wszędzie leżały stosy materiałów budowlanych - pustaków, desek, elementów rusztowania - oraz walały się gruzy.

Wzrok Granta padł na jeden z pozostawionych na sali eksponatów - makietę rafy koralowej z okresu permu, czyli sprzed 250 milionów lat, kiedy wszystkie kontynenty tworzyły jeszcze jeden gigantyczny ląd, a dzisiejszy Nowy Meksyk i zachodnia część Teksasu leżały pod powierzchnią oceanu. Ta ekspozycja stała tu, odkąd był dzieckiem. Dwa miesiące temu Martin Thomas powiedział mu, że znalazła się na liście elementów przeznaczonych do wymiany w ramach renowacji muzeum. Nie przyszedł tu wtedy od razu, myśląc, że będzie miał na to jeszcze mnóstwo czasu.

Ale sytuacja się zmieniła.

COTTON WYPADŁ Z GMACHU Muzeum Historii Amerykańskiej, tuż za nim podążał Rick Stamm. Biegli kawałek chodnikiem wzdłuż Constitution Avenue, przecięli 12. Ulicę i po chwili dotarli już pod wejście do Muzeum Historii Naturalnej. Malone postanowił nie angażować ludzi z ochrony Instytutu Smithsona; wołał sam się tym zająć, żeby nie narażać nikogo na niebezpieczeństwo. Miał przeczucie, że intruzem jest ta sama osoba, która zabiła Martina Thomasa i postrzeliła Stephanie.

Nadal nie miał żadnych wieści ze szpitala i nie wiedział, czy to powód do radości czy zmartwienia. Sam parokrotnie otarł się o śmierć i zdążył się już z nią nieco oswoić. Nigdy nie przypuszczał jednak, że Stephanie mogłaby szybciej niż on przenieść się na tamten świat.

Cały czas zastanawiał się też, jak Cassiopeia radzi sobie w Arkansas. Powinien niedługo się do niej odezwać.

Ale najpierw musiał się dowiedzieć, kto używa identyfikatora Martina Thomasa.

GRANT NAJPIERW PRZEZ moment nasłuchiwał, żeby mieć absolutną pewność, że jest w sali całkiem sam. W każdej chwili ktoś mógł przyjść, więc szybko podszedł do makiety, która okazała się równie wielka jak w jego wspomnieniach - miała jakieś trzy metry długości, tyle samo szerokości i półtora metra głębokości. Swego czasu była cała zabudowana szkłem, ale ktoś zdemontował przednie i boczne szyby, odsłaniając różnobarwne koralowce, gąbki, gorgonie, wodorosty i muszle. Wszystko jak najdokładniej odtwarzało wygląd rafy koralowej sprzed setek milionów lat.

Kilka dni temu, po kolejnej brutalnej rozmowie, Grant wyciągnął od ojca sekret, który skrywała ta ekspozycja. W latach sześćdziesiątych jego ojciec odkrył w kolekcji Instytutu Smithsona eksponat nazywany Kamieniem Drogi. Leżał sobie po prostu w magazynie, wśród innych skatalogowanych okazów, jako jedna z milionów osobliwości zgromadzonych od początku istnienia Instytutu. Kiedy w 1974 roku zaistniała

potrzeba ukrycia kamienia, ojciec Granta wybrał do tego celu nowo stworzoną wystawę na temat rafy koralowej. Była to w jego ocenie dosyć bezpieczna opcja, ponieważ ekspozycję ufundowano za specjalną darowizną od bogatej rodziny, która postawiła warunek, że wystawa pozostanie na swoim miejscu przez co najmniej trzydzieści lat.

W sumie przetrwała ponad czterdzieści.

Ale jej czas dobiegł końca.

COTTON I STAMM WPADLI do Muzeum Historii Naturalnej przez wejście dla personelu, omijając wykrywacze metalu.

- Wszedł do sali skamielin - oznajmił strażnik, który już na nich czekał. - Jest zamknięta, trwa tam remont. Wszystko zostało wyniesione.

- Zakładam, że nie macie tam zainstalowanych kamer - odezwał się Cotton.

Stamm pokręcił głową.

- Ani jednej.

- Dobra, ja się tym zajmę. Tylko wskażcie mi drogę.

GRANT Z PODZIWEM PRZYGLĄDAŁ się wiernie odtworzonej rafie koralowej z okresu permu. Ledwo mieściło się w głowie, że czterdzieści lat temu jego ojciec wykorzystał okazję, którą stwarzało jej wykonanie, żeby ukryć Kamień Drogi.

Ale gdzie go schował?

Doszedł do wniosku, że subtelność donikąd go nie doprowadzi, poza tym makietę i tak miała przecież zostać zniszczona. Na prawo od niej stały oparte o ścianę metalowe zastrzały służące do konstrukcji rusztowania. Złapał jeden z nich i zaczął nim rozwalać ekspozycję, odłupując kawałki sztucznych koralowców, dna morskiego, wodorostów i muszli. Musiał uważać, żeby nie wbić się zbyt głęboko i niechcący nie uszkodzić Kamienia Drogi, a nie miał pojęcia, gdzie dokładnie umieścił go jego ojciec. Wszystko było zrobione w całości z poliuretanów, żywicy

epoksydowej i pianki, więc z łatwością dawało się rozkruszyć. Spod artystycznej powierzchni wyłonił się kamień- no-drewniany szkielet konstrukcji. Okazało się, że twórcy makiety wykorzystali nawet fragmenty prawdziwych skał, których odsłonięte krawędzie łączyły się płynnie ze sztuczną rafą.

I wtedy zobaczył to, czego szukał.

Wetknięta w szczelinę pomiędzy deskami leżała mniej więcej sześćdziesięciocentymetrowa kamienna płyta, gruba na jakieś osiem centymetrów. Tył ekspozycji osłaniała ściana ze sklejki, dzięki czemu Kamień Drogi był zabezpieczony ze wszystkich stron.

Grant odłożył zastrzał i ostrożnie wysunął kamień, po czym umieścił go na betonowej posadzce.



Wyglądał dokładnie tak, jak opisywała Diane. Davis Lane widział go w latach siedemdziesiątych, jeszcze zanim spór pomiędzy ich ojcami wymknął się spod kontroli. Wszystko się zgadzało: po lewej stronie wryty szept, mnóstwo krętych linii, litera R w prawym górnym rogu. Środek płyty wypełniało kilkucentymetrowe wgłębienie w kształcie serca, na jego dnie widniała data 1847, liczba 10 oraz jeszcze dwa tajemnicze symbole. Do tego wklęsłego miejsca miał pasować kolejny element układanki.

Kamień Serca.

Nie było potrzeby wynosić stąd kamienia. Całe szczęście, bo wyknęcie się z czymś tak dużym pod ręką mogłoby okazać się dość trud-

ne. Grant wyciągnął z kieszeni telefon i pstryknął kilka zdjęć z różnej odległości, które pozwolą później na zmianę rozmiaru i perspektywy.

Resztą zajmie się nowoczesna technologia.

COTTON BEZSZELESTNIE WŚLIZGNAŁ się do sali ze skamielinami.

Tak jak mówił Stamm, cała ta sekcja muzeum przechodziła gruntowny remont, wszystko zostało stąd wyniesione, a same ściany dosłownie ogołoczone. Wielką przestrzeń podzielono na mniejsze pomieszczenia, miała też kilka odgałęzień, więc pracownicy muzeum nie byli w stanie powiedzieć, w której części przebywa poszukiwany człowiek. Wiedzieli jednak, że wciąż musi być w środku, ponieważ żadne z drzwi z zamkiem elektronicznym nie zostały ponownie otwarte.

Malone szybko dostrzegł intruza, który zwrócony do niego plecami pochylał się nad czymś, co leżało na podłodze, i robił telefonem zdjęcia.

Wyciągnął beretkę i powiedział głośno:

- A teraz stań prosto i odwróć się. Bardzo powoli.

ROZDZIAŁ 36

DANNY WSZEDŁ NA salę, na której leżała Stephanie. Lekarze nie chcieli, żeby ktokolwiek ją odwiedzał, ale na szczęście jako były prezydent wciąż cieszył się pewnymi przywilejami. Podobało mu się też, że przed jej drzwiami stoi na straży uzbrojony agent Magellan Billet.

Leżała podłączona do przeróżnych maszyn monitorujących jej funkcje życiowe. Operacja trwała trzy godziny i ponoć udało się naprawić wszystkie zniszczenia dokonane przez kule. Do nosa miała wetknięte rurki i oddychała za pomocą respiratora, a miarowy puls wdechów i wydechów tworzył niemalże hipnotyczny rytm. Kolejne rurki doprowadzały do jej żył krew i leki. Fakt, że jej organizm potrzebował tyle wspomagania, nie nastrojał optymistycznie.

Danny stanął obok łóżka.

W całym swoim życiu kochał dwie kobiety. Związek z Pauline trwał wiele lat, a zaczął się jeszcze w czasach liceum. Ich małżeństwo było nieuniknione i stosunkowo szczęśliwie, do momentu śmierci Mary. Potem wszystko się zmieniło, choć oboje próbowali udawać, że jest inaczej. Nietrudno jednak wyjaśnić, dlaczego pozostali razem. Oboje byli ambitni. On umiał przyznać, że żyją w iluzji, Pauline wołała się tego wypierać. Ale Danny znał prawdę. Pauline lubiła być pierwszą damą, najpierw stanu Tennessee, a potem całych Stanów Zjednoczonych. Ta pozycja wprawdzie nie dawała jej szczęścia, ale zapewniała chwilę wytchnienia od przeraźliwego bólu, z którego nigdy nie udało mu się jej wyleczyć.

Teraz pokochał kogoś innego.

Kobietę, która leżała przed nim z dwiema ranami postrzałowymi.

Jeszcze nigdy tak naprawdę nie wyznał jej swoich uczuć. Wydawało się to niewłaściwe, w końcu był prezydentem i jej szefem. A odkąd

zakończył urzędowanie, nie spędzili zbyt dużo czasu we dwoje.

Schylił się i wziął ją za rękę.

Oddychała tak płytko, że jej klatka piersiowa niemal się nie poruszała. Lekarz powiedział, że powinna z tego wyjść, ale ponieważ obrażenia były naprawdę rozległe, istniało poważne ryzyko infekcji. Dlatego cały czas pompowano w nią antybiotyki i postanowiono wspomóc proces zdrowienia krótkotrwałą śpiączką farmakologiczną. Stąd obecność respiratora. Ale taka śpiączka również wiązała się z pewnym ryzykiem, ponieważ trzeba było ograniczyć aktywność mózgu niebezpiecznymi barbituranami. Wszystko to brzmiało co najmniej niepokojąco. Ale najważniejsze, że Stephanie nadal żyła.

Danny zastanawiał się, jaka będzie jej reakcja na wieść, że zamierza zostać senatorem. Pewnie nie będzie zaskoczona. Tak naprawdę znała go lepiej, niż on znał samego siebie.

Delikatnie ścisnął jej palce, próbując opanować wzbierające w nim gniew i żądzę zemsty. Prawie przez całe dorosłe życie musiał trzymać emocje na wodzy. Mógł przestać się pilnować jedynie, gdy był sam na sam z Pauline. Ale nawet przed nią nigdy w pełni się nie otwierał. Oboje zawsze zachowywali pewien dystans. Przez ostatnich piętnaście lat ich związek był już całkowicie platoniczny i Danny zdążył się przyzwycząić do braku fizycznej intymności. Jego afrodyzjakami stały się polityka i władza, ale one zniknęły z jego życia dwudziestego stycznia. Być może to także tłumaczyło, dlaczego w ostatnich miesiącach czuł się taki przybity. Jedynym powodem do optymizmu była perspektywa nowego życia u boku nowej miłości.

Mimo to miał właśnie zamiar po raz kolejny objąć urząd. Skłoniły go do tego śmierć starego przyjaciela oraz dwulicowość jego żony.

W tym fachu zdolność wyczucia odpowiedniej chwili ma absolutnie fundamentalne znaczenie. A Danny pod tym względem nie miał sobie równych.

Śmierć Alexa wydawała mu się podejrzana od chwili, gdy przekazano mu te smutne wieści. A teraz, po tym, co widział wczoraj wieczorem, wiedział już na pewno, że szykuje się coś złego. Jako prezydent musiał

łagodnie obchodzić się z Luciušem Vance'em, ponieważ spiker Izby Reprezentantów był w stanie sprawić władzy wykonawczej mnóstwo problemów. Ale gdy zostanie senatorem, nie będzie musiał zważać na nikogo. To właśnie jest najlepsze, jeśli chodzi o Senat Stanów Zjednoczonych - jego członkowie mogą robić, co im się żywnie podoba, i nie grożą im żadne konsekwencje poza tym, że ewentualnie zrażą do siebie wyborców. A jakie środki mają do dyspozycji? Nieograniczone debaty na każdy temat, bez jakiegokolwiek cenzury i bez możliwości odebrania głosu - chyba że zagłosowałoby za tym zgodnie aż sześćdziesięciu członków izby, co graniczy z niemożliwością.

Tylko pozazdrościć.

Tak więc jeżeli plan Vance'a wymaga zatwierdzenia przez Senat, to powodzenia.

Już on dopilnuje, żeby nic z tego nie wyszło.

Wciąż trzymał Stephanie za rękę, wdzięczny za to, że mogą być sami. Wcześniej powiedział strażnikowi przed drzwiami, żeby nie wpuszczał nikogo z wyjątkiem lekarzy i pielęgniarek.

Do diabła z konwenansami. Jeżeli Stephanie to przeżyje, nie będą dłużej zwlekać ani wypierać się prawdy. Czas, żeby oboje przestali się ukrywać i wreszcie zaczęli żyć.

Gniew powoli go opuszczał, a w jego miejsce pojawiło się dojmujące poczucie samotności.

- Kocham cię - wyszeptał.

CASSIOPEIA, LEA I TERRY Morse wydostali się z kopalni przez otwór wydrążony w rumowisku skalnym. Cassiopeia szła na przodzie, uzbrojona w pistolet zabrany jednemu z ludzi Proctora. Morse nadal trzymał w rękach swoją strzelbę. W miarę jak oddalali się od sekretnej komnaty, szum prądnicy, tak głośny wewnątrz jaskini, stawał się coraz cichszy. Nad drzewami na wschodzie niebo zaczęło się już przejaśniać.

Zatrzymali się przy wyjściu z kopalni, obserwując pustą przestrzeń pomiędzy obozem a linią lasu, skąd biegła ścieżka prowadząca z

powrotem do głównej drogi. Po prawej zobaczyli jakiś kształt przykryty czarnym brezentem i szybko sprawdzili, co jest pod spodem.

Sztabki złota. Około pięćdziesięciu, może więcej.

- Ostatni ładunek - stwierdziła Cassiopeia. - To znaczy, że ktoś po to wróci.

- Domyśliłem się, że tu będziesz - powiedział do Lei Morse.

- Skąd wiedziałeś?

- Ojciec tego twojego chłopaka też jest strażnikiem.

- To niemożliwe. Jego wujek był strażnikiem, nie ojciec.

- Dobry strażnik umie ukrywać przed ludźmi, kim naprawdę jest. Ale cierpi na artretyzm i nie jest już w stanie zbyt dużo zrobić sam, więc ostatnio trochę mu pomagałem. I nie myśl sobie, że nie wiemy o was. Wiemy wszystko. Ale machnęliśmy ręką, bo dobre z was dzieciaki.

Cassiopeia była pod wrażeniem stylu Terry ego Morse'a.

- Obudziłem się i nikogo nie było - ciągnął strażnik. - Słyszałem, jak Malone wychodził. A potem wy dwie. Gdzie indziej Lea mogłaby panią zabrać? Strażnicy stale wymieniają się informacjami. Wiedziałem, że od kilku dni coś się tu dzieje. Dlatego od razu się domyśliłem.

- Jak się pan tutaj dostał? - spytała Cassiopeia.

- Pożyczyłem samochód od znajomego ze schroniska, tego samego, który powiedział mi o pani i Malonie.

Tak samo jak ona Morse obserwował las, czujnie wypatrując jakiegokolwiek ruchu.

- Ci ludzie to poważna sprawa - powiedziała.

- Nie to co ja, stary dureń, i tamci przebierańcy?

- Nie o to mi chodziło.

- Wiem, co miała pani na myśli - odparł Morse, wpatrując się w szybko ustępującą ciemność.

- Zabiłeś człowieka - powiedziała zatroskanym głosem Lea.

- Nie dało się inaczej, dziecko.

Cassiopeia też tak uważała.

- Czy Kamień Wiedźmy jest bezpieczny?

Morse kiwnął głową.

- Dopilnowałem tego.
- Więc niech pan wraca z Leą do schroniska.
- A pani dokąd się wybiera?
- Idę znaleźć faceta, który właśnie próbował mnie zabić.

ROZDZIAŁ 37

GRANT STAŁ NIERUCHOMO, zdumiony, że ktoś tu jest. Oczywiście mógł to być po prostu funkcjonariusz ochrony albo jeden z robotników, który odkrył intruza. Przypomniawszy sobie, że ciągle ma przy sobie identyfikator Thomasa, więc może jeszcze dałby radę jakoś się z tego wyplątać. Z drugiej strony, po co ryzykować?

Po jego prawej otworzyły się drzwi i usłyszał głosy. Do zdemolowanej sali weszło więcej ludzi. Wykorzystał to chwilowe zamieszanie, żeby ponownie chwycić metalowy zastrzał, który leżał u jego stóp obok Kamienia Drogi.

- Podnieś się - rozkazał człowiek za jego plecami.

W oddali trwała rozmowa, odbijając się echem od pustych ścian. Grant musiał działać szybko. Wyprostował się, obrócił się w prawo i cisnął przed siebie metalową sztabę, jakby rzucał frisbee. Zaraz potem padł na ziemię, przekoziołkował z telefonem w ręku i rzucił okiem za siebie. Zastrzał przeszył powietrze i odbił się od betonowej posadzki. Człowiek, który jeszcze przed chwilą tam stał, odskoczył na bok, dzięki czemu Grant zyskał szansę ucieczki.

Ale w ręku tego mężczyzny dostrzegł broń.

To na pewno nie był żaden robotnik.

Rzucił się w prawo, kryjąc się za przepierzeniem z płyty karto- nowogipsowej, która osłaniała go przed potencjalnym ostrzałem.

Już wiedział, skąd dochodziły tamte głosy. Przez drzwi dokładnie na wprost właśnie weszło trzech ludzi w kaskach ochronnych.

Grant pamiętał, dokąd prowadziło to przejście. Do skrzydła badawczego, dostępnego wyłącznie dla personelu.

COTTON MUSIAŁ ZROBIĆ unik.

Widział, jak intruz bierze do ręki metalową sztabę, więc był przygotowany. Nie przewidział jednak, że nagle na salę wejdą inni ludzie. Kazał Stammowi zablokować wszystkie wyjścia, ale najwyraźniej nie każdego dało się upilnować.

Jego cel próbował uciekać, korzystając z osłony, którą dawały fragmenty ścian i pozbawiając go możliwości oddania strzału. Najwyraźniej to, czego szukał ten człowiek, było ukryte na tej sali. Stała tu jakaś makieta rafy koralowej, teraz już całkiem zdemolowana. Na posadzce leżał kolejny kamień z wyrytymi rysunkami, podobny do tego, który widzieli w Arkansas. Ale w tej chwili nie to było głównym zmartwieniem Cottona. W pierwszej kolejności musiał złapać człowieka, który starał mu się wymknąć.

Rzucił się w pościg.

Przed nim zaczynało się ogromne pomieszczenie, na oko jakieś dziesięć metrów szerokości i ponad dwadzieścia metrów długości. Z pewnością kiedyś wypełniały je szkielety dinozaurów i inne skamieliny. Teraz było puste, jeśli nie liczyć stert gruzu i trzech ludzi w kaskach ochronnych.

Zaraz za nimi Cotton zauważył jeszcze jednego człowieka.

Który biegł w stronę wyjścia.

GRANT POSTANOWIŁ WYKORZYSTAĆ trzech nowych ludzi jako zasłonę. W tym celu specjalnie zwolnił i przeszedł tuż obok nich. Na szyi miał powieszony identyfikator Martina Thomasa. Wiedział, że nikt nie będzie zwracał uwagi na zdjęcie, wystarczy sama plakietka. Ustawił się tak, aby trzech robotników znalazło się dokładnie pomiędzy nim a ścigającym go facetem z bronią. Jeśli zdoła dotrzeć do drzwi wyjściowych, zgubi pościg w labiryncie biur, który zaczynał się po drugiej stronie. Tam także nie powinno być żadnych kamer, ponieważ Instytut Smithsona rzadko kiedy monitorował części budynku przeznaczone tylko dla pracowników.

Przygotował kartę magnetyczną.

- Na ziemię! - usłyszał za sobą. - Z drogi!

COTTON, MACHAJĄC RĘKAMI, rozkazał trzem robotnikom odsunąć się i paść na podłogę. Jego cel znajdował się bezpośrednio za nimi, kierował się ku drzwiom oznakowanym jako wyjście. Trzej mężczyźni spojrzeli na niego dziwnie, ale zaraz potem musieli zauważyć pistolet w jego ręce, bo rzucili się na beton.

Uniósł broń i wycelował.

GRANT ZACHOWAŁ ZIMNĄ krew i szybkim krokiem zbliżał się do drzwi. Schował telefon do kieszeni i przesunął kartę magnetyczną przez czytnik. Zamek natychmiast się odblokował. Grant otworzył metalowe drzwi, wyskoczył na zewnątrz i mocno pociągnął za klamkę, żeby pomóc hydraulicznemu mechanizmowi szybciej się zatrzasnąć. W tym samym momencie padł strzał.

COTTON POSŁAŁ KULĘ prosto w drzwi, w których jeszcze sekundę wcześniej stał intruz.

Spóźnił się o włos.

Pocisk odbił się od metalowych drzwi. Trzej robotnicy leżeli na ziemi, ze strachu zakrywając głowy rękami.

- Wstańcie - powiedział. Przy drzwiach zauważył elektroniczny czytnik. - Jestem z Departamentu Sprawiedliwości. Któryś z was ma kartę, żeby otworzyć te drzwi?

Jeden z mężczyzn przytaknął i wyciągnął kartę z kieszeni. Malone podbiegł do niego i wyrwał mu ją z ręki.

GRANT DELEKTOWAŁ SIĘ adrenaliną wypełniającą jego żyły. Wiedział, że wszystko, co zrobił przez ostatnie kilka godzin, było nierozsądne, ale Bóg mu świadkiem, uwielbiał takie akcje. Im większe podejmował ryzyko, tym większą satysfakcję sprawiał mu sukces. Udało

mu się nawet o ułamek sekundy wyprzedzić wymierzoną prosto w niego kulę. W każdym innym wypadku podobna sytuacja wywołałaby strach, ale on czuł tylko jeszcze silniejszą determinację.

I miał ochotę na więcej.

W pamięci odtwarzał rozkład tej części muzeum. Minęło kilkadziesiąt lat, odkąd był tu ostatni raz, więc pewnie dużo się zmieniło. Ale klatka schodowa, którą pamiętał, była tuż przed nim. Mógł iść w dół albo do góry. Wybrał to pierwsze. Przeskakując po dwa stopnie naraz, zbiegł na dół i otworzył kolejne metalowe drzwi prowadzące do pomieszczeń pracowniczych na parterze. Gmach muzeum stał pomiędzy parkiem National Mall a Constitution Avenue, co oznaczało różnicę poziomów. Dlatego też drzwi na pierwszym piętrze wychodziły na park, a te na parterze - prosto na ulicę. Za zgrzebnie urządzonej częścią dla personelu, gdzie panowała cisza, mieściła się ruchliwa przestrzeń dla zwiedzających. Najbardziej tłoczno zawsze było od strony ulicy, ponieważ to tam znajdowały się sklepy z pamiątkami, kawiarnia, toalety i duża sala wykładowa.

Na ścianach wisały tam też kamery.

Ze schodów wszedł do korytarza, gdzie po obu stronach ciągnęły się biura. Szedł wolnym, pewnym siebie krokiem, z identyfikatorem dyndającym na szyi. Nikt go o nic nie pytał ani go nie zatrzymywał.

W końcu dotarł do drzwi i ostrożnie je otworzył.

Ze spuszczoną głową wszedł do zatłoczonego, tętniącego życiem holu.

I najkrótszą drogą ruszył prosto w stronę wyjścia.

COTTON NATYCHMIAST ZDAŁ sobie sprawę, że zgubił ściganego człowieka. Za metalowymi drzwiami mieściły się już tylko laboratoria i gabinety. Była tam też klatka schodowa prowadząca w górę i w dół. Jego cel mógł pójść wszędzie. Malone zaczął się teraz zastanawiać, czy intruz wiedział, któredy najlepiej stąd uciekać. Czy dobrze znał ten budynek? Na pewno nie dało się tego wykluczyć.

Otworzyły się drzwi do sekcji skamielin i pojawił się w nich Rick

Stamm.

- Tędy - powiedział.

Cotton wszedł razem z kustoszem po schodach.

- Przed chwilą otworzyły się drzwi wyjściowe, kilka minut po tym, jak nasz człowiek wszedł do muzeum, używając karty Martina. Zęby opuścić budynek, nie potrzeba karty, więc nie mamy pewności, że to on. Ale to musiał być on.

Szybko dotarli na dół, a następnie przez kolejne metalowe drzwi opuścili muzealne zaplecze. Z powrotem znaleźli się w ogólnodostępnej części gmachu, wypełnionej przez hałaśliwy tłum.

- Przyjrzałeś się mu? - zapytał Stamm.

Malone kiwnął głową.

- Na tyle, że już nie zapomnę jego twarzy. Miał brązowe kręcone włosy i znamię po lewej stronie szyi.

- To ten sam, który zabił Martina Thomasa.

Przez chwilę obaj rozglądali się wśród zwiedzających. Ale nie widzieli ani śladu intruza.

Pozwolili mu uciec.

ROZDZIAŁ 38

DIANE PRZYJECHAŁA DO mieszkania Alexa. Rano wsiadła w pierwszy samolot odlatujący z Knoxville i godzinę później wylądowała na lotnisku Reagan National. Od razu napisała do Granta, żeby spotkali się w mieszkaniu. Ostatni raz była tam zeszłego lata, przy okazji czerwcowego zebrania Komisji Doradczej Bibliotek Instytutu Smithsona. Komisja miała zwyczaj spotykać się w różnych miejscach w kraju, przy czym zjazdy w Waszyngtonie nie miały się powtarzać częściej niż raz na trzy lata. Diane lubiła tę tradycję, ponieważ sama nie znosiła stolicy, jawiącej się jej jako miasto oportunistów, pełne ludzi, którzy pragnęli jedynie dopchać się jak najbliżej do władzy. Alex nie był wcale wyjątkiem. Z jednej strony jako senator miał szerokie wpływy, ale z drugiej niewiele robił z tą władzą, poza tym że kurczowo trzymał się tych, którzy posiadali jej jeszcze więcej, jak Danny Daniels. I pomyśleć, że jeszcze w dziewiętnastym wieku pojedynczy senatorowie potrafili bez cienia strachu rzucić wyzwanie zarówno prezydentowi, jak i całej Izbie Reprezentantów. To były czasy. Nieustannie toczono zacięte batalie polityczne o wysokość ceł, o to, czy na nowo przyłączanych terytoriach będzie istniało niewolnictwo, o aneksję Teksasu czy wojnę z Meksykiem. Jednego razu na sali plenarnej Senatu członek Izby Reprezentantów Preston Brooks z Karoliny Południowej prawie zatłukł na śmierć swoją laską senatora Charlesa Sumnera.

Tamci ludzie mieli w sobie pasję.

W tamtych czasach liczyło się, kto ma jakie zdanie. I ludzie nie bali się głośno go wyrażać.

W dzisiejszych czasach walka polityczna zmieniła się niemal całkowicie w partyzantkę. Ataki przypuszczano z ukrycia, przez co często nie dało się nawet zidentyfikować agresora.

Było to szczególnie widoczne w Senacie.

- Plan Alexandra Stephensa jest niewykonalny - przekonywał ją Alex tamtego ostatniego dnia. - Ojcowie założyciele nigdy nie chcieli, żeby Kongres działał w taki sposób. W przeciwnym razie artykuł pierwszy konstytucji brzmiałby zupełnie inaczej.

Niekoniecznie.

Wielka idea, którą zrodził tak nieznaczący człowiek.

Stephens mierzył niecały metr siedemdziesiąt i ważył mniej niż pięćdziesiąt kilo.

Przez całe życie był chorowity, często przykuty do łóżka, lecz mimo to dożył wieku siedemdziesięciu dwóch lat. Przez niemal ćwierć wieku z krótkimi przerwami zasiadał w Kongresie, zarówno przed wojną secesyjną, jak i po niej, i zasłynął jako utalentowany mówca. W trakcie wojny pełnił funkcję wiceprezydenta Konfederacji. Zmarł w 1883 roku, służąc jako gubernator Georgii. Ale na długo zanim pożegnał się z tym światem, opracował sposób na pozbawienie Senatu Stanów Zjednoczonych faktycznego znaczenia, czyli cofnięcie go do stanu sprzed 1800 roku. Niech te wszystkie bufony siedzą na sali obrad i deliberują ile dusza zapagnie, niech sobie do woli uprawiają obstrukcję parlamentarną. Proszę bardzo. To i tak nie będzie miało żadnego znaczenia. Prawdziwym centrum amerykańskiego życia politycznego była przecież Izba Reprezentantów, której członkowie, wybierani co dwa lata, odpowiadali wyłącznie przed narodem. Według Stephensa nieprzypadkowo pierwsze słowa pierwszego artykułu konstytucji traktowały o Izbie Reprezentantów, a pierwszym urzędnikiem państwowym wymienionym w jej tekście był spiker Izby. Jego zdaniem był to jasny komunikat wysłany potomnym przez ojców założycieli, który ich kraj z czasem postanowił zignorować.

Ale teraz dzięki jej pomocy Lucius Vance wszystkim o tym przypomni.

W mieszkaniu jak zwykle panował idealny porządek. Alex nie lubił, kiedy rzeczy nie leżały na swoim miejscu. Ona była pod tym względem podobna, więc akurat tej cechy charakteru nie mogła mieć mu za złe. Nigdy nie czuła się w tym mieszkaniu swobodnie. To była zawsze jego

przestrzeń. Poza tym teraz więcej sensu nabierało coś, na co zwróciła uwagę już dawno temu. Nigdzie nie było widać żadnych przedmiotów osobistych. Żadnych fotografii, dyplomów ani nawet pamiątek gromadzonych przez lata małżeństwa i służby publicznej. Biuro senatorskie Alexa wyglądało po części jak muzeum, a po części jak kapliczka na jego cześć. Tutaj natomiast nie dało się znaleźć nic, co przypominałoby mu, czy komukolwiek innemu, o jego życiu.

Tamtego dnia zdecydowała się na blef, bo już od dawna podejrzewała, że jest jakaś inna kobieta. Brzmi to jak banał, ale żona naprawdę zawsze domyśli się prawdy. Oczywiście pod warunkiem, że w ogóle chce się jej zwracać na takie rzeczy uwagę. W jej przypadku nastąpiło to dopiero niedawno. Od lat nie utrzymywali ze sobą intymnych stosunków, co częściowo tłumaczyło jej własną niewierność. Ale seks nigdy nie był dla Alexa czymś specjalnie ważnym. Dlatego tym bardziej ją zabolalo, gdy zadeklarował, że nie złamał przysięgi małżeńskiej. Ponieważ mu uwierzyła.

A to znaczyło, że naprawdę czuł coś do tej drugiej kobiety.

Spotykali się tutaj. W tym mieszkaniu.

Na samą myśl robiło się jej niedobrze.

- Niech cię szlag, Alex - szepnęła do siebie. - Dlaczego nie mogłeś po prostu zostawić tego w spokoju? Podejść do tego tak jak do wszystkiego innego?

Jeden, jedyny raz w całym swoim drętwym życiu Alex Sherwood postanowił zająć twarde stanowisko i podjąć walkę. A wszystko przez jej durnego brata, który uznał, że potrzebują pomocy.

Diane zdecydowała już, że poczeka, aż upłynie okres najmu mieszkania, a potem całą jego zawartość przekaze Armii Zbawienia. Nie chciała zachować niczego, co należało do Alexa. Dzisiaj przyszła tylko po to, by upewnić się, że nie zostały tu żadne dowody mogące wskazać na jej udział w tej sprawie. Wymagało to dokonania gruntownej rewizji, którą zamierzała przeprowadzić wspólnie z Grantem. Może nawet dowie się przy okazji czegoś na temat tajemniczej kochanki Alexa.

Ale właściwie czy to miało jeszcze jakiegokolwiek znaczenie?

Alex nie żył, a tym samym jego kochanka stała się kimś zupełnie nieistotnym.

Diane rozejrzała się po mieszkaniu, ale nie znalazła ani nieodebranej poczty, ani starych gazet czy magazynów. Nawet z lodówki zniknęło wszystko, co mogło się zepsuć. Dziwne, zważywszy na to, że Alex mieszkał tu sam. Na białej tablicy wiszącej obok telefonu nie było listy zakupów czy notatki przypominającej o odebraniu rzeczy z pralni. W ogóle nic nie świadczyło o tym, że jeszcze do niedawna ktoś tu mieszkał.

Ciszę zakłóciło głośne pukanie.

Diane przeszła przez pokój i otworzyła drzwi, które skrzypnęły przeciągle.

Na zewnątrz stał Grant.

Przekroczył próg, wziął ją w ramiona i pocałował. Mocno i namiętnie. Tak jak robił to zazwyczaj.

- Tęskniłem - powiedział.
- Ostatnie dni były naprawdę ciężkie.
- Co tu robisz? - zapytał.
- Musimy mieć pewność, że nie zostały tu żadne ślady po wielkim błędzie popełnionym przez Kennetha.

Grant puścił ją i zamknął drzwi.

- Chcę się też dowiedzieć, jak poszło ci wczoraj w Zamku.
- Ta historia może ci się nie spodobać. y!le zdobyłem to.

Wsunął rękę do kieszeni jeansów i wyciągnął klucz ceremonialny.

Diane się uśmiechnęła.

- Znalazłem też Kamień Drogi.

Na razie same dobre wiadomości.

- No więc co takiego się wydarzyło, czego wolałabym nie usłyszeć?

ROZDZIAŁ 39

DANNY WSZEDŁ DO gabinetu wiceprezydenta w budynku Kapitolu, mieszczącego się tuż obok sali plenarnej. Pokój nosił oficjalne oznaczenie S-214 i kiedyś był jedynym miejscem w Waszyngtonie przydzielonym konkretnie wiceprezydentowi. Czasy się zmieniły, ale to pomieszczenie ani trochę. Marmurowy kominek, płytki na podłodze, lustro w połączanej ramie i połączone wiktoriańskie gzymsy - wszystko to pamiętało dziewiętnasty wiek. Mahoniowe biurko z dwiema szafkami wyraźnie sporo już przeszło. Używał go niemal każdy wiceprezydent aż do roku 1969, kiedy to zostało przeniesione do Gabinetu Owального, gdzie służyło Nixonowi, a potem Fordowi. Później, za rządów Jimmy'ego Cartera, wróciło na swoje miejsce. Od czasu wojny secesyjnej pokój ten był nie tylko miejscem codziennej pracy, odbywały się tu również rozmaite ceremonie, posiedzenia klubów parlamentarnych, konferencje prasowe oraz prywatne spotkania, z których kilka wpłynęło na kierunek amerykańskiej historii.

Zegar stojący wybił godzinę dziesiątą rano.

Wiceprezydent Theodore Solomon został już powiadomiony, że przybędzie do niego nowy senator, więc czekał za biurkiem. Wbrew powszechnemu przekonaniu, choć konstytucja ustanawiała wiceprezydenta przewodniczącym Senatu, tak naprawdę rzadko uczestni czył on w obradach i głosował jedynie, aby przełamać remis 50 do 50. W dawnych czasach wiceprezydenci stale zaznaczali swoją obecność w Senacie, ale dziś pojawiali się tylko, kiedy lider większości przeczuwał, że może być potrzebny rozstrzygający głos.

Co zdarzało się raczej rzadko.

Gubernator oficjalnie ogłosił jego nominację senatorską pół godziny wcześniej, na konferencji prasowej w Knoxville. Zgodnie z prze-

widywaniami wzbudziło to pewne kontrowersje, ponieważ nie wzięto nawet pod uwagę żadnych innych kandydatów. Tak jak wspólnie uzgodnili, gubernator wytłumaczył, że chodzi jedynie o zastępstwo do czasu kolejnych wyborów, kiedy zostanie wybrany nowy senator. A któż nadawałby się do tej roli lepiej niż ulubiony syn stanu Tennessee? Brzmiało to tak dobrze, że Danny niemal sam był gotów w to uwierzyć.

- Panie prezydencie - Solomon wstał, wyciągając rękę na powitanie.

Danny lubił tego człowieka.

Teddy Solomon był politykiem starej szkoły, konserwatywnym pod względem finansowym, ale potajemnie liberalnym w kwestiach społecznych, najprawdopodobniej dlatego, że jego najstarszy syn był gejem. Kiedyś zasiadali razem w Senacie i Solomon zawsze wydawał się uczciwym gościem z Missouri. Konkurował z Warnerem Foxem w prawyborach, ale ponieważ osiągał nie najlepsze rezultaty, wycofał się na wczesnym etapie kampanii. Fox, jak przystało na cwanego lisa, ostatecznie zdecydował się uczynić z potencjalnego rywala sojusznika i zaoferował mu stanowisko swojego zastępcy. Ku zaskoczeniu wielu, Solomon przystał na propozycję. Thomas Marshall, wiceprezydent w administracji Woodrowa Wilsona, powiedział kiedyś: „Bycie wiceprezydentem można by przyrównać do stanu katalepsji. Człowiek nie może mówić, nie może się ruszać. Nie czuje bólu. Jest w pełni świadomy wszystkiego, co się dzieje, ale w żaden sposób w tym nie uczestniczy”. Danny zawsze lubił ten cytat. Z drugiej strony dużo sensu miało też zdanie, które wypowiedział John Adams w czasach, gdy służył jako zastępca Washingtona: „Teraz nie mam nic, ale mogę mieć wszystko”.

Jak to się mawia, czasem wystarczy tylko chwila.

Zdarzyło się to osiem razy w historii. Dziewięć, jeśli liczyć Forda przejmującego urząd od Nixona. Śmierć lub rezygnacja ze stanowiska to bodaj jedyny sposób, żeby wiceprezydent został prezydentem. W ciągu ostatnich 125 lat tylko raz zdarzyło się, aby wiceprezydent dostał się do Białego Domu w drodze wyborów. Był to George Bush senior. Który rządził tylko przez jedną kadencję.

Solomon był wysokim i postawnym człowiekiem, o kilka lat starszym od Danny ego. Jego spojrzenie wyrażało ostrożną życzliwość, ale niekoniecznie łagodność. Mocna szczęka i wargi nadawały twarzy twardy i zdecydowany wygląd. Gładko zaczesane włosy były nadal zaskakująco ciemne, co budziło skojarzenia z Ronaldem Reaganem, który nigdy nie osiwiiał. Jak zawsze miał na sobie świeżo wyprasowany ciemny garnitur, a pod szyją elegancki jedwabny krawat.

- Jesteś tego pewny? - zapytał wiceprezydent.

Danny pokiwał głową.

- Zbrzydła mi emerytura.

- Minęło dopiero kilka miesięcy.

- Wystarczy, by się przekonać, że to nie dla mnie.

Przez chwilę słychać było tylko basowe tykanie stojącego pod ścianą zegara. Danny znał jego historię. Pojawił się za rządów McKinleya, ale zyskał sławę w czasach Franklina Roosevelta, gdy wiceprezydent John Garner zaczął według niego ustalać porę swojego wejścia do Senatu. Kiedy na piętnaście sekund przed wybiciem dwunastej odzywały się pierwsze dzwonki, Garner przerywał to, co właśnie robił, i maszerował na salę plenarną, dzięki czemu zasiadał na swoim miejscu dokładnie w samo południe.

- Chcę zostać zaprzysiężony tutaj, na osobności - powiedział do Salomona. - A potem zabieram się do pracy.

- Prasa domaga się, żebyśmy to zrobili na zewnątrz, przed kamerami. W końcu to historyczna chwila.

Danny wiedział, że Solomon podziela jego zdanie o dziennikarzach - są po to, żeby ich wykorzystywać. Ale w tej chwili media nie były mu do niczego potrzebne. Kilkadziesiąt lat temu, kiedy po raz pierwszy został wybrany do Senatu, miał wśród dziennikarzy kilku najbliższych przyjaciół. W tamtych czasach obowiązywał jednak jakiś kodeks, żelazne zasady, system honorowy, a zawód ten przyciągał ludzi zupełnie innego pokroju niż dzisiaj. Tamtych dziennikarzy wspominał z sympatią. Teraz wszystko kręciło się wokół pieniędzy i słupków oglądalności. Nikogo nie obchodziła rzetelność, liczyło się tylko to, żeby wyprzedzić konkurencję.

Żeby być pierwszym albo jeszcze lepiej - kontrowersyjnym. W mediach zostało tak niewielu prawdziwych dziennikarzy, a kanały informacyjne miały coraz więcej wspólnego z rozrywką. Danny wyobrażał sobie, jak z tej perspektywy wygląda obecna sytuacja. Wszyscy otrzymali wieści o jego nominacji jednocześnie, kiedy ogłosił to gubernator. Nikt nie miał przewagi. Każdy musi zrobić z tego nośny temat, dlatego potrzebna im była okazja, żeby zasypać go pytaniami: co, kiedy, gdzie i jak. Niech sobie dalej łamią głowy.

- To jest właśnie w tym wszystkim najlepsze - powiedział. - Nie zabawię w Senacie zbyt długo, więc nie muszę odpowiadać na żadne pytania.

Po czym uśmiechnął się szeroko.

W szarawych oczach Solomona, po których nie dałoby się stwierdzić jego wieku, rozbłysła łobuzerska iskra.

- Co o moim powrocie myśli twój szef?

- Przed chwilą rozmawiałem z nim przez telefon. Jego reakcję najlepiej oddaje chyba słowo „szok”. Fox miał nadzieję, że wreszcie się ciebie pozbył. Szczerze mówiąc, jestem przekonany, że mnie też najchętniej by się pozbył.

Wiceprezydent mówił z akcentem typowym dla ludzi ze Środkowego Zachodu. Choć on i Danny należeli do różnych partii, zawsze zgadzali się w wielu kwestiach. W ostatnich latach Solomon nieraz okazał się sprzymierzeńcem Białego Domu, a Danny odwzajemniał mu się, pilnując, aby stan Missouri nigdy nie został pokrzywdzony przy ustalaniu federalnego budżetu.

- Danny, powiedz szczerze, tak między nami: co ty tu tak naprawdę robisz?

- Przechodzę do historii. Jak Andrew Johnson. Dwaj prezydenci z Tennessee, którzy zostali potem senatorami.

Solomon oparł się o krawędź biurka, skrzyżował nogi w błyszczących butach i założył ręce na piersi.

- Nikogo więcej tu nie ma. Co się dzieje, Danny?

Wiedział, że może potrzebować wsparcia, a kto byłby lepszym

sprzymierzeńcem niż ten dryblas z Missouri? I chociaż wiceprezydent i Lucius Vance należeli do tej samej partii, Danny wiedział, że nie pałają do siebie wielką sympatią.

- Vance coś kombinuje.

- Słucham dalej.

- Nie wiem zbyt dużo, ale musiałem przyjechać i to sprawdzić. Być może będę potrzebował twojej pomocy. - Zamilkł na chwilę. - Zanim to się skończy.

- Brzmi poważnie.

- Jeszcze nie mam pewności, ale w głowie zapaliły mi się wszystkie lampki ostrzegawcze.

- Czy to może dotknąć prezydenta?

- Tego też nie wiem. Ale Vance na pewno nie umie grać w drużynie i już raz marzył mu się Biały Dom.

- Nie miał szans, podobnie jak ja. Ale przypieczętował swój los już dawno temu, kiedy przyjął stanowisko spikera.

- Obaj wiemy, że on jest niebezpieczny. Mam nadzieję, że Fox też zdaje sobie z tego sprawę.

Solomon zaśmiał się pod nosem.

- Powiedzmy tylko, że nasz nowy prezydent nie ma aż takiego rozeznania w sytuacji jak ty czyja.

- I wątpię, czy posłucha rady swojego doświadczonego zastępcy.

- Delikatnie mówiąc. Od dwudziestego stycznia rozmawiałem z nim - tu Solomon wyciągnął w górę palec - dokładnie raz. Jeden raz. Przed chwilą.

To wielki błąd ze strony Foxa, pomyślał Danny. Solomon, tak samo jak on, potrafił odczytywać to, co kryje się między wierszami, rozszyfrowywać intencje kryjące się często za okrągłymi słowami. Z tego co Danny widział i czytał na ten temat, wynikało, że administracja Foxa to rozchwiana koalicja gołębi, jastrzębi i aktywistów, a każdy sam wie najlepiej, czego ten kraj najbardziej potrzebuje. Teddy Solomon był raczej pragmatykiem zaprawionym w wielu politycznych bojach. Poza tym posiadał wręcz encyklopedyczną wiedzę na temat Waszyngtonu i

taki nowicjusz jak Fox z pewnością mógłby z tego skorzystać. Niestety często tak bywa, że pycha i głupota nie pozwalają żółtodziobom prosić innych o pomoc, co ostatecznie obraca się przeciwko nim.

Za dowód wystarczy jedno nazwisko: Jimmy Carter.

- Wiedziałeś, że będą cię ignorować - powiedział. - Więc dlaczego wzięłeś tę robotę?

- Mam sześćdziesiąt dziewięć lat, Danny. Mógłbym już do końca życia siedzieć w Senacie. Ale zawsze chciałem być prezydentem. Wiesz o tym. Nie umiem tego wytłumaczyć, po prostu takie miałem marzenie. Niestety naród chciał czego innego. - Solomon wzruszył ramionami. - Bliżej już nigdy nie będę. Trzeba brać, co ci życie przynosi.

Danny wiedział, że rozmawia z inteligentnym człowiekiem, profesjonalistą, który podobnie jak on nauczył się już dawno temu, że państwo może wyglądać tylko tak, jak życzą sobie tego obywatele. Jeśli ludzie podejmują nieprzemyślane decyzje, oparte na niewiedzy czy nawet zwyczajnej głupocie - trudno, to do nich należy ta republika. Właśnie to oznaczają słowa „My, naród”. On sam i wszyscy inni, którzy pełnią służbę na publicznych stanowiskach, mają za zadanie służyć państwu, a nie próbować je kształtować według własnego widzimisię. Mądrzy politycy to rozumieją. Wybitni, jak na przykład Teddy Solomon, wierzą w to całym swoim sercem.

Ten człowiek byłby znakomitym prezydentem.

- Mógłbyś odrobinę powęszyć po swojej stronie barykady i sprawdzić, czy coś nie szykuje się w Izbie Reprezentantów? Mam złe przeczucie, Teddy.

- Na tyle złe, że zdecydowałeś się wrócić na front? Kiedy mogłeś całymi dniami łowić ryby?

- Można tak powiedzieć. Cokolwiek się kroi, być może tylko takie dwa zniedołężniałe dziadki jak my będą w stanie to powstrzymać.

- Brzmi strasznie melodramatycznie. Ale podoba mi się.

- I niech to zostanie między nami. Na wypadek gdyby się okazało, że wygaduję bzdury.

- Tego akurat nigdy nie dało ci się zarzucić. - Solomon jeszcze raz

wyciągnął do niego rękę. - Witamy z powrotem, panie senatorze.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Czas dopełnić formalności - powiedział wiceprezydent.

Danny składał już przysięgi jako radny miejski, gubernator, senator i prezydent. Za każdym razem odbywało się to publicznie, na oczach tłumu. Teraz miał to zrobić tylko w obecności dobrego przyjaciela. Podniósł prawą rękę i powtórzył słowa, które wypowiedział w życiu już trzykrotnie.

- Uroczycie przysięgam, że będę bronił konstytucji Stanów Zjednoczonych przed wrogami zewnętrznymi i wewnętrznymi. Że pozostanę jej wierny i posłuszny. Że biorę na siebie ten obowiązek świadomie, bez zastrzeżeń i nie zamierzam się od niego uchylać, oraz że będę wiernie wypełniał obowiązki urzędu, który obejmuję. Tak mi dopomóż Bóg.

ROZDZIAŁ 40

COTTON POWRÓCIŁ DO pozbawionego okien archiwum w Muzeum Historii Amerykańskiej. Na stole przed nim leżał teraz pokryty inskrypcjami kamień z sali skamielin.



- Facet bardzo ryzykował, wracając po ten kamień - stwierdził.

Stąd wniosek, że był on naprawdę ważny. Cotton miał nadzieję, że Stamm rozumie, o co mu chodzi. Potrzebował więcej informacji, szczególnie na temat Angusa Adamsa. Jednak kustosz sprawiał wrażenie, jakby ciągle na coś czekał.

Panująca w archiwum cisza została nagle przerwana, gdy po drugiej stronie pomieszczenia otworzyły się drzwi, a po chwili znów zamknęły. Długie regały zasłaniały pole widzenia, więc Cotton cierpliwie czekał. I nie był zaskoczony, gdy zobaczył, kto do nich dołączył.

Warren Weston. Przewodniczący Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych.

Sędzia przedstawił się i podali sobie ręce.

-Więc on naprawdę tu był - mruknął Weston, spoglądając na kamień i delikatnie gładząc jego białą wapienną powierzchnię. - Przez cały ten

czas. Niewiarygodne.

- Wie pan, co to takiego? - zapytał Cotton.

- Wszystkie dostępne informacje sugerowały, że kryjówka znajduje się w jednym z muzeów. Nie wiedzieliśmy jednak w którym. Na szczęście ktoś inny nas do niej doprowadził.

- A po drodze jedna osoba zginęła, a druga wylądowała w szpitalu.

- Naprawdę mi przykro, że tak się stało - powiedział Weston. - Nie chciałem, żeby do tego doszło, ale cała sytuacja wymknęła się spod kontroli. Potrzebujemy pańskiej pomocy bardziej niż kiedykolwiek.

- Nie jesteśmy w Sądzie Najwyższym, a ja nie jestem jakimś prawnikiem. Z całym szacunkiem, muszę pana o coś zapytać i lepiej, żeby miał pan dla mnie dobrą odpowiedź.

- A jeśli nie? - zapytał Weston.

- Jeśli nie, to wycofuję się z tej zabawy.

- Prokurator generalny nie byłby zadowolony.

- Dla niego też nie pracuję. Mogę robić, co mi się żywnie spodoba. Myślę, że wystarczy jeden telefon do waszyngtońskiej policji, a potem do redakcji „Washington Post”.

- Niech pan zada swoje pytanie.

- Dlaczego mnie w to pan wciągnął?

- Ponieważ kluczem do tej sprawy jest pański przodek, Angus Adams, i mieliśmy nadzieję, że pan albo ktoś z pańskiej rodziny będzie w stanie powiedzieć nam o nim coś więcej. Fakt, że jest pan wyszkolonym agentem wywiadu - i to podobno jednym z najlepszych - wydawał się dodatkowym atutem. Dla mnie była to podwójna korzyść.

- Dlaczego Adams jest taki ważny?

- Mogę teraz ja pana o coś zapytać?

Malone postanowił pójść mu na rękę i skinął głową.

- Rozumie pan, co przedstawia ten kamień?

Laikowi mogłoby się wydawać, że te wszystkie zygzyki, liczby i sztylety nie kryją w sobie większego sensu. Ale nie jemu.

- Dziadek nauczył mnie trochę sekretnego języka Zakonu. Bawiliśmy się w przesyłanie zaszyfrowanych wiadomości.

- Na to liczyłem. Co panu mówi ta tablica?

- Wydaje się niekompletna. Jakby to była tylko część większej całości. Jest tu za mało symboli, żeby odczytać jakiś komunikat.

- Ma pan absolutną rację. Ten Kamień Drogi stanowi część czegoś większego.

Malone odrobinę oszukiwał, ponieważ Morse powiedział mu już o pięciu kamieniach. Ale tym, co najbardziej zwracało na siebie uwagę, było wgłębienie w kształcie serca. Dziadek mówił mu coś o tym. „Dla Hiszpanów, a także dla rycerzy, serce oznacza złoto”.

- Zakładam, że istnieje jeszcze jeden kamień - powiedział. - W kształcie serca, pasujący do tego wcięcia.

- Tak, chodzi o bardzo trafnie nazwany Kamień Serca.

- I on wskazuje drogę do złota.

Weston uśmiechnął się.

- Widzę, że naprawdę rozumie pan ten język. W sumie było pięć kamieni. Z tego co wiem, Kamień Wiedźmy już pan widział. Ten tutaj to Kamień Drogi. Jest jeszcze Kamień Serca. - Weston odwrócił się do Stamma i kiwnął głową. Kustosz wpisał coś w komputerze, po czym przekreślił monitor w stronę Cottona.

- Tak wygląda czwarty - powiedział sędzia. - Kamień Konia.

- Znalezione na początku dwudziestego wieku razem z Kamieniem Drogi - dodał Stamm. - Oba były przechowywane w naszych zbiorach. Niestety według oficjalnej dokumentacji około roku tysiąc dziewięćset dwudziestego Kamień Konia został zniszczony w wyniku „wypadku w jednym z magazynów”. Ale mamy zdjęcia.

Cotton spojrział na czarno-biały obraz.

Widniał na nim koń zwrócony w lewo, z ogonem wskazującym w tym samym kierunku.

Na jego ciele była albo liczba 3, albo, jeśli spojrzeć pod innym kątem, symbol oznaczający w ikonografii Zakonu ptaka, sugerujący ruch i kierunek. Pod ogonem znajdowało się coś, co wyglądało na literę E i jeszcze jeden zawijas podobny do poprzedniego.



Cotton widział też inne litery i symbole, których znaczenia się domyślał. Cyfra 5 w lewym górnym rogu, otoczona trzema równomiernie rozmieszczonymi kropkami, mogła też być odwróconą literą U.

A ta oznaczała kopalnię.

Poniżej biegła nierówna linia ze słowem rio, czyli „rzeka” po hiszpańsku. Pomiędzy nią a falistą kreską odchodzącą od pyska konia znajdowały się dwa kolejne okręgi z kropkami w środku i jeszcze jedno odwrócone U. Jeszcze niżej, blisko krawędzi, widniały samotny krzyż oraz hiszpańskie słowa el cobollo de santafe. Cotton nie znał słowa cobollo, ale caballo to co innego. Mógł więc to być rozmyślny błąd, podobnie jak na Kamieniu Wiedźmy.

El caballo de santafe.

„Koi wiary”.

Po prawej wyryto jeszcze jeden napis: Yopasto al norte del rio. To akurat łatwe. „Pasę się na północ od rzeki”. Poniżej było jeszcze coś, co wyglądało jak litera G, a może cyfra 6.

- Pan to rozumie, prawda? - zapytał Weston.

Cotton pokiwał głową.

- Jest tu mowa o koniu wiary, który pasie się na północ od rzeki. - Pokazał palcem na krzyż. - To może wskazywać na położenie kościoła albo misji. Wszędzie są symbole związane z kopalnią. Koi na pewno też nie służy do ozdoby. A co z piątym kamieniem?

Ponieważ Weston wcześniej sam powiedział, ile ich było, Cotton nie

bał się już, że niechcący zdemaskuje Morse'a.

- Podobno przywódca Zakonu zachował go dla siebie. W ramach zabezpieczenia. Był to Kamień Alfa. Bez niego cała mapa jest bezużyteczna, ponieważ to na nim umieszczono punkt początkowy. Prawdopodobnie do stworzenia kompletnej mapy potrzeba wszystkich pięciu kamieni. Czterdzieści lat temu Davis Layne postanowił, że spróbuje to ominąć. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku znaleźmy świat znacznie lepiej niż u progu dwudziestego wieku. Dzisiejsza technologia GPS daje nam jeszcze większe możliwości. Layne wierzył, że skarb da się znaleźć, używając tylko czterech kamieni, z pominięciem Kamienia Alfa. Moim zdaniem człowiek, który szuka ich teraz, uważa tak samo.

- Nasz zabójca z kręconymi włosami i znamieniem na szyi?

- Zgadza się.

- Sporo pan wie o tej sprawie - zauważył Cotton.

- Byłem bliskim przyjacielem Davisa Layne'a, odbyliśmy wiele rozmów na ten temat. W tamtym czasie służyłem w waszyngtońskim sądzie apelacyjnym. Rycerze Złotego Kręgu to być może największy syndykat zbrodni w dziejach, chociaż oni sami określiliby siebie raczej mianem patriotów. Podczas wojny domowej skradli złoto i srebro warte wiele milionów dolarów. Napadali na prywatne osoby, banki, pociągi, statki, a nawet kilka mennic państwowych. Natomiast po wojnie kradli jeszcze więcej, głównie od rekonstrukcjonistów.

Cotton opowiedział, czego dowiedział się od Morse'a.

- Kamień Wiedźmy jest bezpiecznie ukryty w Arkansas - zapewnił na koniec.

Taką przynajmniej miał nadzieję. Wciąż nie miał żadnych wieści od Cassiopei.

- Wysłaliśmy tam pana - podjął sędzia - w nadziei, że zdoła pan rozszyfrować symbole umieszczone w lesie i znajdzie tę kryjówkę. Podejrzywałem, że się panu uda. Odnalezienie Kamienia Wiedźmy to mile widziana niespodzianka.

- Mamcy cyfrowe zdjęcia - dorzucił Cotton.

Na telefonie Cassiopei.

- Odpowiadając na pana pierwsze pytanie - ciągnął Weston - pański przodek, Angus Adams, był strażnikiem, który zbudował kryptę, a potem jej strzegł. Pokaż mu, Rick.

Stamm odszukał coś w pamięci komputera i na ekranie wyświetliła się fotografia mężczyzny w dziewiętnastowiecznym stroju, szczupłego, ważącego nie więcej niż 70 kilogramów, stojącego z uniesioną głową. Cotton zwrócił uwagę na kwadratowy kształt żuchwy, przesywające oczy oraz jasne włosy.

I ujrzał w tej twarzy siebie.

- To zdjęcie zrobiono w tysiąc osiemset siedemdziesiątym siódmym roku - powiedział Weston - na długo po tym, jak Angus Adams zdobył sławę jako szpieg. Znalazłem je w archiwach Instytutu Smithsoniana. Adams przyjechał tu, żeby odwiedzić swojego przyjaciela Josepha Henrygo i wtedy został uwieczniony przez fotografa. Kilka miesięcy temu Rick badał linię genealogiczną Adamsa, co doprowadziło go w końcu do pańskiej matki i do pana. Z niemałym zdumieniem odkryliśmy, że jest pan byłym agentem wywiadu. Do tego wysoce cenionym, zupełnie jak Adams. No i nawet przybrał pan jego przydomek. Mogę zapytać, jak do tego doszło?

Normalnie Cotton nie miałby ochoty o tym rozmawiać, ale musiał przyznać, że to zdjęcie zrobiło na nim wielkie wrażenie. Ludzie często pytali go o imię Cotton i zawsze odpowiadał tak samo: to długa historia. Ale nie tym razem.

- Kiedy miałem siedem lat, dziadek pokazał mojemu tacie zdjęcie Adamsa. Nie tak ostre jak to, ale w miarę wyraźne. Na naszym zdjęciu był młodszy i szczerzył się do obiektywu z beztróskim wyrazem twarzy. Wszyscy zauważyliśmy, że jestem do niego bardzo podobny.

- To prawda - przyznał Stamm.

- Ale to tylko częściowo tłumaczy, skąd się wzięło to przezwisko.

Malone opowiedział, że pewnego dnia, niedługo po tym, jak zobaczył to stare zdjęcie, zostawiono go pod opieką sąsiadki, której nie lubił. Miała dość obrzydliwy zwyczaj: ładowała na chleb górę twarogu, a

potem całość oblewała miodem. Cottonowi robiło się na ten widok niedobrze. Była też straszną heterą. Żeby zaprotestować przeciwko jej osobie oraz zwyczajom żywieniowym, doprawił jej twaróg watą wziętą z szafki jego matki. Zrobił to tak wprawnie, że kobieta zauważyła watę dopiero, gdy spróbowała ją przełknąć. Niemal zadławiła się na śmierć. Oczywiście ojciec złożył mu skórę, ale to właśnie ten akt buntu na zawsze scementował jego związek z Angusem Adamsem.

- Od tamtego dnia ojciec mówił na mnie Cotton - podsumował. - Trzy lata później zmarł, ale zachowałem tę ksywkę. I zawsze, gdy ją słyszę, myślę o nim.

- Czytałem o pańskim ojcu - powiedział Weston. - Służył w marynarce, na okręcie podwodnym. Zaginał na morzu.

Tak brzmiała oficjalna wersja, choć Malone wiedział na ten temat nieco więcej.

- Słyszałem już o tej krypcie - postanowił powiedzieć prawdę.

- Od Morse'a?

Przytaknął.

- Większość prominentnych członków Zakonu, w tym Angus Adams, zmarła przed nadejściem dwudziestego wieku. Niestety zostawili po sobie bardzo skąpe informacje. Do dziś przetrwały tylko strzępy. Instytut dwukrotnie podjął próbę odnalezienia krypty, raz w tysiąc dziewięćset dziewiątym roku, drugi raz w latach siedemdziesiątych. Obie zakończyły się porażką.

Cotton przekazał Westonowi opowieść Morse'a o Jeffersonie Davisie, który przyjechał do Arkansas, żeby ukryć Kamień Wiedźmy.

- Davis należał do Zakonu - stwierdził Weston. - Do końca swoich dni czuł się przede wszystkim południowcem. Dobrze słyszeć, że to właśnie on pomagał chronić kryptę.

Sędzia spojrział na niego wzrokiem, w którym starał się zawrzeć cały swój autorytet. Jego oczy wyrażały siłę i nieugiętą determinację.

- Panie Malone, to wszystko przekracza nasze umiejętności. Naprawdę potrzebujemy pańskiej pomocy.

- W czym?

- W odnalezieniu krypty.
- Dla rządu? Czy dla Instytutu Smithsona?
- Czy to ważne?

- Ten skarb został skradziony.

Weston wzruszył ramionami.

- Niczego nie da się już dziś udowodnić.

Malone postanowił tego nie komentować i zmienić taktykę.

- Zdaje pan sobie sprawę, że Diane Sherwood jest najprawdopodobniej powiązana z naszym zabójcą ze znamieniem na szyi. Z człowiekiem, który zapewne postrzelił także Stephanie Nelle. Proszę mi wybaczyć, ale złapanie go jest dla mnie ważniejsze niż całe złoto świata.

- Jestem przekonany, że znalezienie krypty pozwoli panu rozwiązać również problem człowieka odpowiedzialnego za te zbrodnie. Od razu ostrzegam, że rozmawianie teraz z panią Sherwood byłoby tylko stratą czasu. Na pewno ma przygotowane idealne wytłumaczenie, które prowadzi donikąd. Lepiej będzie zachować dyskrecję i drażnić dalej. A z nią skonfrontować się dopiero, kiedy będziemy znali odpowiedzi na wszystkie nasze pytania.

- Wypowiedź godna prawnika.

- Zakładam, że pan także przyswoił sobie tę lekcję.

Jak najbardziej. Nigdy nie zadawaj świadkowi pytania, na które sam nie potrafisz odpowiedzieć.

- Diane Sherwood i tak nam się nie wywinie - dodał Weston. - A dzięki pani Nelle, która ukryła ciało Martina Thomasa, zyskaliśmy pewnie kilka dni. Spróbujmy mądrze wykorzystać ten czas.

Malone zastanawiał się, co dokładnie ma na myśli sędzia, ale postanowił posłuchać rady, której mu udzielono, i nie zadawać więcej pytań. Przynajmniej dopóki sam nie zdobędzie odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 41

DANNY WYMKNAŁ SIĘ z gabinetu wiceprezydenta w Kapitolu, ignorując dziennikarzy, którzy zebrali się w pomieszczeniu dla prasy. Chcąc całkiem uniknąć mediów, wsiadł do podziemnej kolejki, która zawiozła go prosto do Gmachu Dirksena. Tunele biegnące pod Kapitolem były przeznaczone dla senatorów i ich personelu, a samo metro tylko dla senatorów. W Gmachu Dirksena miało swoje biura siedemnastu senatorów, w tym Alex Sherwood, który zajmował kilka pomieszczeń na trzecim piętrze, przysługujących mu z uwagi na długi staż i wysoką pozycję. Budynek został nazwany na cześć długoletniego senatora z Illinois Everetta Dirksena, który zmarł pod koniec lat sześćdziesiątych, kiedy Danny był jeszcze nastolatkiem. Dirksen zasłynął z trafnych, dowcipnych komentarzy. Jeden z nich Danny przyswoił sobie jako część swojej osobistej mantry: „Jestem człowiekiem o niezmiennych, żelaznych zasadach, z których pierwsza głosi, że należy zawsze być elastycznym”.

Święta prawda. Tak jak teraz.

Jego zaprzysiężenie zapewne mocno zaskoczyło wszystkich podwładnych Alexa, którzy nagle zyskali nowego szefa. I to nie było jakiego. Byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych, a on z pewnością miał swój własny krąg zaufanych ludzi, który ich nie obejmował. Dlatego wychodząc z windy na trzecim piętrze i ruszając przed siebie długim eleganckim korytarzem, Danny powtarzał sobie, że musi być teraz wyjątkowo elastyczny.

Wcześniej zadzwonił do szpitala i dowiedział się od agenta Magellan Billet, że sytuacja się nie zmieniła. Stan Stephanie był stabilny, ale wciąż nie odzyskała przytomności. Danny miał zamiar pojechać do niej z powrotem za kilka godzin. Powiedział agentowi, żeby natychmiast dał mu znać, jeżeli cokolwiek się zmieni.

Na końcu korytarza wisiała zwyczajna brązowa tabliczka z napisem: SENATOR ALEX SHERWOOD, TENNESSEE. Niestety trzeba będzie ją zmienić. A może wcale nie. Może zostawi ją tutaj w hołdzie przyjacielowi. To kolejny plus wynikający z bycia eksprezydentem. Człowiek przestaje przywiązywać wagę do takich rzeczy.

Po obu stronach drzwi wisiały flagi, po jednej Stanów Zjednoczonych, po drugiej stanu Tennessee. Nie było żadnej gałki czy klamki, drzwi były zawsze otwarte. Miało to wysłać jasny komunikat: Wchodźcie śmiało. Jesteśmy tu, aby służyć.

Za drzwiami znajdowała się przestronna poczekalnia. Danny od razu zwrócił uwagę na ścianę po lewej, obwieszoną od podłogi aż po sufit narzędziami, skrzypcami, gitarami i innymi pamiątkami przywiezionymi z Tennessee. Wszystko to leżało na starych sosnowych deskach, które nie pozostawiały wątpliwości, z której części kraju wywodzi się lokator tego biura.

Za biurkiem siedziała młoda kobieta. Na jego widok podniosła się z krzesła.

Danny spojrzął na czerwono-czarną koszulę w kratę, która wisiała na ścianie za szkłem. Obszedł biurko recepcjonistki i stanął przed gablotą. U dołu znajdowała się kartka z wyjaśnieniem.

Podczas swojej pierwszej kampanii wyborczej Alex Sherwood przemierzył pieszo cały stan Tennessee. Każdego dnia swojej 1600-kilometrowej wędrówki nosił tradycyjne, czerwono-czarne koszule w kratę marki Levi's. Zostały wyprodukowane w Tennessee i zakupione w domu towarowym Friedman's, mieszczącym się na Hillsboro Road w Nashville.

Pamiętał, kiedy razem w Alexem wpadli na ten pomysł. Uznali, że to doskonale sposób na nawiązanie bezpośredniego kontaktu z wyborcami.

I poskutkowało. Alex wygrał z wielką przewagą głosów.

Słyszał, że za jego plecami zebrało się więcej osób, więc odwrócił się,

żeby popatrzeć na swoich nowych pracowników.

- Panie prezydencie - powiedział jeden z nich. - Przepraszam, chciałem powiedzieć: panie senatorze.

Danny uśmiechnął się i rozpoczął proces zjednywania sobie tych wszystkich ludzi.

- Doskonale to rozumiem. Ja też czuję się trochę zdezorientowany. I wy, i ja będziemy musieli przyzwycząić się do nowej sytuacji.

GRANT WYSKOCZYŁ Z ŁÓŻKA i podniósł z podłogi spodnie. Diane już wstała i była w drugim pokoju. Chciała usłyszeć szczegółowe sprawozdanie, ale on chciał najpierw czegoś innego, a ona nie wydawała się temu przeciwna, tak więc na moment oderwali się od bieżących spraw. Teraz jednak trzeba było wracać do pracy. Grant miał nadzieję, że ten namiętny przerywnik złagodzi jej reakcję na złe wieści. Wyszedł z sypialni w samych spodniach, bez koszuli.

- Nie wydaje ci się to dziwne? - zagaił. - Ty i ja, tutaj? To znaczy, mnie to nie przeszkadza, ale może tobie tak.

- Niby dlaczego? To nie świątynia. I zapewniam cię, nigdy nic się tutaj nie wydarzyło pomiędzy mną a moim mężem. To miejsce nie budzi we mnie żadnych wzruszających wspomnień. Teraz mów, co się stało wczoraj wieczorem?

- Kiedy poszedłem po klucz, Thomas próbował mnie szantażować. Domyślił się, co planujemy, i chciał dostać swoją dolę. Zagroził, że w przeciwnym razie napisze o tym książkę. Uznałem, że lepiej go zabić.

- Słucham?

- Zastrzeliłem go. - Równie dobrze mógł to powiedzieć wprost.

- W Instytucie?

- Technicznie rzecz biorąc, pod Instytutem. Ale bez obaw, nikt mnie nie widział.

Postanowił pominąć konfrontację w Zamku i kobietę z Departamentu Sprawiedliwości, którą również zastrzelił. Nie ma sensu pogarszać sytuacji. Poza tym był przekonany, że nie zostawił po sobie żadnych

śladów.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że miałam powiązania z Thomasem? - powiedziała. - Co będzie, jeśli ktoś zacznie zadawać pytania?

Nie można tego wykluczyć. Ale będą się tym martwić, kiedy do tego dojdzie. Naprawdę lubił Diane, pociągała go fizycznie i pod każdym innym względem, ale perspektywa miliardów dolarów w zaginionym złocie przebijała nawet ją.

- Wasze kontakty miały całkiem niewinny charakter, prawda?

- Oczywiście, i pewnie nawet nikt inny się o tym nie dowiedział.

Grant podejrzewał już, że to nieprawda. Kobieta z Departamentu

Sprawiedliwości zjawiała się tam z jego powodu, a potem udała się prosto do mieszkania Thomasa. To oznacza, że była dobrze poinformowana. Pozostaje mieć nadzieję, że ona też już nie żyje. A jeśli Richard Stamm albo ktokolwiek inny był w stanie powiązać Diane, Thomasa i jego samego, to dlaczego nikt nie próbował się jeszcze kontaktować z Diane? W końcu nietrudno ją znaleźć. To wszystko świadczyło o tym, że od początku miał rację. Thomas zachował szczegóły tej relacji w tajemnicy.

Postanowił zmienić temat.

- Kamień Drogi był dokładnie tam, gdzie miał być, w Muzeum Historii Naturalnej. Mój ojciec dobrze to zapamiętał. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej klucz ceremonialny. - I mam jeszcze to. Do tego dochodzi Kamień Wiedźmy z Arkansas, który znaleźli moi ludzie. Zdobyliśmy już prawie wszystko, czego nam trzeba. Mam zdjęcia wszystkich kamieni, które odszukaliśmy do tej pory. Musisz się teraz zabrać za ich rozszyfrowywanie.

Jej wkład w całą operację polegał na tym, że potrafiła odczytać tajemny język Zakonu. Potrzebowali tej wiedzy, żeby odnaleźć złoto.

- W Kongresie niedługo sporo się wydarzy - oznajmiła. - Vance zaczyna działać.

Grant wzruszył ramionami.

- To mnie nie obchodzi. Ale założę się, że twój brat aż sika po nogach z podniecenia. On chce zmieniać kraj. A ty i ja? My tylko chcemy być

bogaci.

Chciwość to doprawdy jedna z najprostszych motywacji. Zresztą przecież wcale nie zamierzał kraść czegoś, co należało do kogoś innego, kogoś żywego. Ten skarb przeleżał w ukryciu bardzo długi czas. Ludzie, którzy go zagrabili, dawno już nie żyli, a pamięć o nich przeminęła. Kenneth Layne i spiker Izby Reprezentantów planowali ponoć wskreszenie jakichś swoich starych pomysłów, ale jemu było to całkiem obojętne.

-To się naprawdę dzieje - szepnęła Diane.

To fakt. Zdecydowanie robili wreszcie postępy.

Grant podszedł do lustra na ścianie.

Chociaż nikt raczej nie widział jego twarzy, kręcone włosy mogły napytać mu kłopotów. A także znamię na szyi. Miał je od urodzenia i nigdy nie zwracał na nie większej uwagi. Właściwie nawet go nie zauważał.

Ale mogłoby się rzucić w oczy innym.

- Prześle ci e-mailem zdjęcia kamieni - powiedział, przeglądając się w lustrze. - Zaczynj nad nimi pracować. Ja muszę wyjść.

Wrócił do sypialni po koszulę.

- Dokąd idziesz?

- Muszę wybrać się do fryzjera.

DANNY POZNAŁ WSZYSTKIE czternaście osób, które pracowały w biurze Alexa, w tym szefową kancelarii. Każdy senator miał siedzibę główną w Waszyngtonie oraz satelickie biura rozsiane po obszarze stanu, który reprezentował, najczęściej po jednym w każdym okręgu wyborczym. W swoich dziesięciu różnych kancelariach Alex zatrudniał w sumie trzydzieści cztery osoby, co nie wyróżniało go raczej spośród pozostałych senatorów. Ale jeśli pomnożyć te koszty przez sto, wychodziła niemała kwota, którą rokrocznie należało uwzględnić w federalnym budżecie. Danny emu przyszło do głowy coś jeszcze, co powiedział kiedyś Everest Dirksen: „Miliard tu, miliard tam i nagle

okazuje się, że mówimy już o poważnych pieniądzach”.

Stał w azylu Alexa, jasnym, przytulnym gabinecie również ozdobionym różnymi pamiątkami z Tennessee. Na ścianach wisały dziesiątki oprawionych w ramki zdjęć, tworzących wizualną kronikę bogatej kariery politycznej. Widnieli na nich prezydenci i senatorowie, koronowane głowy, gwiazdy filmowe i sławni piosenkarze. Można wymieniać bez końca, Alex miał zdjęcie z każdym, kto się liczył. Danny rozumiał, dlaczego ważne jest, aby chwalić się podobnymi znajomościami. Wszystkie te fotki dawały subtelnie, ale jasno do zrozumienia, że człowiek, który zajmuje to biuro, zna się na rzeczy. Dlatego warto mu zaufać. Warto oddać na niego głos. Kiedyś, dawno temu, kiedy to Danny pełnił funkcję starszego senatora z Tennessee, w innym gabinecie, w innym budynku, ściany były obwieszane jego zdjęciami. To ciekawe, że prezydenci nie mają potrzeby takiego schlebienia swojej próżności. W Białym Domu jest zupełnie inaczej. Twoje poparcie zmienia się z godziny na godzinę i żadna liczba egocentrycznych fotografii nie mogła w niczym pomóc. Oczywiście wszystko, co znajdowało się w tym pomieszczeniu, prędzej czy później będzie musiało wrócić do Diane. Ta myśl budziła w nim jakiś wewnętrzny sprzeciw. Diane kazała komuś przeszukać mieszkanie Alexa. Potem spotkała się w sekrecie z Lucusem Vance'em i jakimś innym człowiekiem, a na koniec ona i Vance migdalili się do siebie. Oddawanie jej tych cennych pamiątek wydawało się czymś niestosownym. Dlatego na razie wszystko miało pozostać na swoim miejscu.

- Nikt nie straci pracy - zakomunikował stojącej za nim szefowej kancelarii.

Była kompetentnym weteranem pracy na Kapitolu. Alex nigdy nie powiedział o niej złego słowa.

- Jeśli ktoś z personelu czuje, że nie jest w stanie dla mnie pracować, może w każdej chwili zrezygnować. Każdy otrzyma moje błogosławieństwo i dobre referencje. Ale ja nie chcę, żeby ktokolwiek stąd odchodził. Decyzja należy do nich. Sytuacja i tak jest trudna, nie ma sensu jej jeszcze bardziej komplikować.

- Mówię w imieniu całego personelu - odpowiedziała. - Jesteśmy gotowi do pracy pod pana kierownictwem.

Danny od razu polubił tę kobietę.

Miał wrażenie, że całe życie otaczały go silne kobiety. Jego wieloletnia sekretarka w Białym Domu była jak lwica, Pauline też nie dawała sobie w kaszę dmuchać. Jedną trzecią jego gabinetu tworzyły kobiety. No i była jeszcze Stephanie, najtwardsza z nich wszystkich, która w tej chwili walczyła o życie.

- Dobrze to słyszeć. Teraz chciałbym, żeby coś pani dla mnie zrobiła.

Szefowa kancelarii zamieniła się w słuch.

- Proszę znaleźć Luciusa Vance'a. Tylko dyskretnie.

ROZDZIAŁ 42

COTTON CZEKAŁ, CO jeszcze powie mu przewodniczący Sądu Najwyższego. Postanowił, że pozwoli Westonowi nadawać ton rozmowie. Ten człowiek do czegoś dążył. Wyraźnie miał jakiś cel. Jaki? Tego Cotton jeszcze nie wiedział. Ale jednego był pewien - nie mówili mu wszystkiego. Doświadczenie nauczyło go, że bardziej się opłaca nadstawiać uszu, niż kłapać jęzorem, dlatego siedział cicho i słuchał.

- W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku ta instytucja przeżywała istną wojnę domową - powiedział Weston. - Davis Layne chciał odszukać zaginione złoto Zakonu. Frank Breckinridge uważał, że Instytut Smithsona nie powinien się w to angażować. Przekonywał, że popełniliśmy wystarczająco dużo błędów w czasach wojny secesyjnej, więc powinniśmy po prostu o tym zapomnieć. To złoto nie należało do nas. Jego stanowisko ostatecznie przeważało.

- A Diane Sherwood?

- Ona z pewnością wie, czym zajmował się wtedy jej ojciec. Prawdopodobnie właśnie dzięki temu udało się jej skłonić Martina Thomasa, żeby dostał się do zastrzeżonych zbiorów, w których znajdują się głównie papiery jej ojca. I można spokojnie założyć, że utożsamia się z jego poglądami. Najwyraźniej postanowiła dokończyć to, co zaczął jej ojciec, i odnaleźć ukryte złoto.

- A Martin Thomas skomplikował sprawę, próbując na własną rękę dogadać się z naszym kędzierzawym zabójcą.

- Powiedziałem mu o dwulicowości Thomasa - wyjaśnił Stamm.

- Wygląda na to, że za bardzo ufaliśmy panu Thomasowi - przyznał Weston.

Cotton zastanawiał się przez chwilę.

- Cassiopeia Vitt w dalszym ciągu przebywa w Arkansas. Rozumiem,

że chciałby pan, aby Kamień Wiedźmy również trafił tutaj?

- Jak najbardziej - odparł Weston.

To nie powinno stanowić problemu.

Cotton jeszcze raz spojrzął na Kamień Drogi i postanowił o coś zapytać.

- A jakie znaczenie ma ten klucz ceremonialny? On też musi być istotny.

Zauważył błysk w oku Westona.

- Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że od pana usłyszymy odpowiedź na to pytanie.

CASSIOPEIA SKRYŁA SIĘ między drzewami, niedaleko pick-upa Terryego Morse'a. Wstał już nowy dzień, słońce oświetlało zalesione wzgórze na wschodzie. Morse i Lea odjechali samochodem, którym strażnik przybył za nimi do kopalni. Ona została, żeby sprawdzić, kto wróci po złoto i dwóch znokautowanych pomagierów. Jej cierpliwość się opłacała, kiedy jakieś dwie i pół godziny później na drodze prowadzącej do kopalni pojawił się pick-up marki Toyota.

Nie ruszała wozu Morse'a - stał tam, kiedy ci ludzie wyszli z kopalni, więc teraz, kiedy powrócili, musiał być na swoim miejscu. W toyocie siedział tylko kierowca, czyli znalazł się trzeci z czterech mężczyzn, którzy zaskoczyli ich w komnacie. Kiedy ją mijał, udało się jej zerknąć na jego twarz. To nie był Proctor.

Samochód, obsypywany suchą ziemią przez wiatr, pojechał dalej w stronę kopalni i zniknął z zasięgu jej wzroku. Cassiopeia zajęła wygodniejszą pozycję, przetarła zmęczone oczy. Kierowca musiał teraz zobaczyć, co się stało z jego towarzyszami, a potem pomóc temu jednemu wydostać się z kopalni. Ciekawe, co zrobi z ciałem drugiego. Zostawi je w jaskini? Najprawdopodobniej. Załaduje resztę złota na swojego pick-upa? Pewnie nie, zważywszy na okoliczności. Cassiopeia uznała, że ma przed sobą dobre pół godziny czekania.

Niecałą godzinę później jej uszu dobiegł warkot silnika, a po chwili

zobaczyła, jak toyota wyłania się zza zakrętu, wzbijając kołami tumany pyłu.

W środku siedziało dwóch ludzi. Z tyłu nie było widać czarnego brezentu.

Dochodziła dziewiąta rano.

Cassiopeia wybiegła z lasu i wskoczyła do wozu Morse'a.

COTTON NIE BARDZO wiedział, jak ma rozumieć to, co powiedział przed chwilą Weston.

- Angus Adams to pański przodek. Miałem nadzieję, że zna pan jakieś rodzinne historie.

- Znam. Ale nie o Rycerzach Złotego Kręgu ani o żadnym kluczu.

Nie była to do końca prawda, ale on też umiał bawić się niedomówienia.

- Wiemy, że Adams po wojnie wyjechał na zachód - powiedział sędzia.

- Naszym zdaniem nie była to przypadkowa decyzja. Zarówno Konfederacja, jak i Unia rościły sobie prawo do terytoriów południowo-zachodnich. Na wczesnym etapie wojny Konfederacja prowadziła ambitną kampanię w Nowym Meksyku, starając się zapewnić sobie nieograniczony dostęp do Kalifornii.

Cotton czytał o tym w książkach.

- Tamten potajemny rekonesans z tysiąc osiemset pięćdziesiątego czwartego roku, który Adams przeprowadził podczas ekspedycji Instytutu Smithsona na prośbę Jeffersona Davisa i Zakonu, został wykorzystany przez Konfederację właśnie do wszczęcia tej wojny - dodał Weston.

Tego nie wiedział.

-Jego dziennik zawierał mnóstwo cennych danych geograficznych i ogólnej wiedzy na temat regionu. Niestety plany konfederatów wobec Nowego Meksyku przekreśliła bitwa na przełęczy Glorieta w tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim roku. W sześćdziesiątym piątym Adams ruszył na zachód. Ale wcześniej odwiedził Instytut Smithsona.

Dwudziestego czwartego stycznia, w dzień wielkiego pożaru.

Cotton wysłuchał opowieści o tym, jak Adams przedostał się do stolicy, żeby dostarczyć przesyłkę.

- Jefferson Davis obawiał się, że gdy upadnie Richmond, armia Unii zniszczy wszystkie archiwa Konfederacji. Nie chciał, aby historię Południa spisali na nowo zwycięzcy. Dlatego rozkazał, aby najważniejsze dokumenty zostały ukryte. Chciał, żeby trafiły do Instytutu Smithsona, bo wierzył, że tam będą najbezpieczniejsze. Davis i Joseph Henry byli przyjaciółmi. Ufał, że Henry zrobi to, co należy. Ale te dokumenty nigdy tu nie dotarły. Zagięły bez śladu.

- Czy ich także pan szuka?

- Tak naprawdę niczego nie szukamy - sprostował Weston. - Wszystko zaczęło się od Diane Sherwood, która za pośrednictwem Martina Thomasa spenetrowała nasze zastrzeżone zbiory. My jedynie prowadzimy dochodzenie w sprawie tego włamania.

- Niech pan to sobie powtarza, to może w końcu sam pan w to uwierzy.

- Mogę panu opowiedzieć pewną historię? - zapytał Weston, puszczając jego złośliwość mimo uszu.

- Czemu nie.

Weston opowiedział mu, co się wydarzyło w dniu wielkiego pożaru. Adams przyjechał, żeby przekazać klucz Josephowi Henry emu oraz odebrać swój dziennik z wyprawy z 1854 roku, który wciąż był w posiadaniu Instytutu. Ale sytuację skomplikował pożar, a także oficer armii Północy, wysłany, by pokrzyżować plany Adamsa.

- Adamsowi udało się uciec razem z kluczem i dziennikiem. Sprawa budziła później pewne wątpliwości, ale ponieważ Joseph Henry utrzymywał bliskie relacje z Lincolnem, nic konkretnego z tego nie wynikało. - Sędzia urwał na chwilę, jakby szykując się na dalszy ciąg. - Potem, w tysiąc osiemset siedemdziesiątym siódmym roku, Adams ponownie odwiedził Instytut Smithsona i po raz ostatni zobaczył się z Henrym. Zdjęcie, które pan widział, zrobiono właśnie podczas tej wizyty. Tamtego dnia zwrócił swój dziennik, który miał pozostać w

zbiorach Instytutu przez siedemdziesiąt pięć lat, a następnie wrócić do rodziny. W naszej dokumentacji jest odnotowany fakt pojawienia się dziennika w zbiorach, ale nie ma wzmianki o tym, że opuścił Instytut. Myśleliśmy, że może ktoś nieoficjalnie oddał go potomkom Adamsa i dziennik przetrwał u kogoś z pańskiej rodziny.

- Rick wspominał już o tym. Ale w moim rodzinnym domu w Georgii niczego takiego nie było. Mój dziadek też nigdy ani słowem nie wspominał o żadnym dzienniku. Opowiadał mi o Adamsie, ale nie w tym kontekście.

Niestety dziadek Cottona zmarł przed wielu laty. Wszyscy wujeczni dziadkowie także już nie żyli.

- Wróćmy zatem do tej wojny domowej, która rozgorzała w Instytucie Smithsona - zaproponował Weston. - W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku Frank Breckinridge złożył formalną skargę przeciwko Davisowi Layne'owi i ówczesny sekretarz musiał zbadać jego oskarżenia. Breckinridge twierdził, że Layne zachował się nieetycznie, ponieważ złamał nasze wewnętrzne zasady w imię osobistego zysku. Śledztwo nie przyniosło rozstrzygnięcia, ale Layne i Breckinridge wyszli z tej batalii jako zaprzysięgli wrogowie.

- Jeszcze dziesięć lat później, kiedy obejmowałem stanowisko kustosza, kontakty pomiędzy Zamkiem a Muzeum Historii Amerykańskiej były bardzo chłodne - dopowiedział Stamm. - Trzeba było włożyć sporo wysiłku, żeby podreperować te stosunki, mimo że obaj rywale już dawno u nas nie pracowali.

- Mówił pan, że Layne nie żyje. A co z Frankiem Breckinridgeem?

- Mieszka niedaleko stąd - powiedział Weston.

Cotton zrozumiał aluzję. Sędzia chciał, żeby to on się tam wybrał.

- Proszę mi podać adres.

ROZDZIAŁ 43

CASSIOPEIA ODCZEKAŁA CHWILĘ i ruszyła w ślad za toyotą, zachowując spory odstęp. Kierowca nie wydawał się bardzo przejęty. Jechał spokojnie, nie przekraczając dozwolonej prędkości, nie ściągając na siebie uwagi. Proctor na pewno chciał załatwić wszystko pod osłoną nocy, ale jej pojawienie się w kopalni mocno pokrzyżowało im plany.

Kierowali się z powrotem w stronę miasta, tą samą drogą stanową, która prowadziła także do ich schroniska. Cassiopeia powiedziała Terryemu Morseowi, żeby razem z wnuczką zaszli się w domu i czekali na jej powrót. Wiedziała, że ci dwaj faceci w samochodzie przed nią to jej najlepsza szansa, żeby dorwać Proctora, i zamierzała rozegrać to do końca. Jej komórka nadal nie mogła złapać zasięgu. Przy pierwszej okazji zadzwoni do Cottona, opowie, co się wydarzyło, i zapyta o Stephanie.

Tablica przy drodze obwieszczała, że wjeżdżali do miasta, a kolejne znaki stopniowo zmniejszały limit prędkości. Przez środek dzielnicy handlowej płynęła rzeka, wzdłuż szerokiej ulicy stał rząd staroświeckich domów z cegły i drewna. Cassiopeia widziała kawiarnie, sklepy z pamiątkami, sklep spożywczy i sportowy, wszystkie ciasno zbite ze sobą, jak kawałki mięsa w szaszłyku. Miasteczko wydawało się całkowicie nastawione na turystów i rekreację na świeżym powietrzu.

Głównym elementem krajobrazu były pensjonaty oferujące nocleg ze śniadaniem. Przed jednym z nich zatrzymała się toyota.

Kierowca wysiadł i dalej poszedł pieszo, zostawiając rannego mężczyznę w samochodzie. Na chodnikach rosły bujne drzewa i stały jasne donice z jaskrawymi pelargoniami. Ludzie zaczynali nowy dzień, na ulicach robiło się gwarno. Kierowca skierował kroki prosto do baru na parterze dwupiętrowego ceglanego budynku. Na szybie widniała

nazwa SOUTHERN BITS & BITES.

Cassiopeia zaparkowała nieopodal pensjonatu, wcisnęła pistolet zabrany z kopalni do kieszeni jeansów i zakryła go koszulą. Ruszyła w stronę baru chodnikiem po drugiej stronie ulicy, kryjąc się za stojącymi samochodami. Minęła lokal, poszła kawałek dalej, po czym przecięła ulicę i cofnęła się. Zamierzała rzucić okiem przez szybę albo na wpół przeszkłone drzwi. Zbliżając się do baru, zerknęła ukradkiem i dostrzegła kierowcę siedzącego przy stoliku razem z drugim mężczyzną, zwróconym do niej plecami.

Rozpoznała tę głowę i włosy.

Proctor.

Widocznie przyjechał na śniadanie.

Zastanawiała się, co zrobić, kiedy kierowca nagle wstał od stolika i skierował się do drzwi. Szybko cofnęła się do sąsiedniego sklepu i z wnęki przy wejściu obserwowała, jak mężczyzna wychodzi z baru, skręca i rusza z powrotem w stronę swojej toyoty.

Wyszła ze sklepu, spiesznym krokiem wkroczyła do baru i podeszła prosto do tamtego stolika. Wydobyła z tylnej kieszeni broń i jak gdyby nigdy nic usiadła na ławie naprzeciwko Proctora, który spojrzał na nią znad jedzenia, ale nie wydawał się ani trochę zaskoczony.

Przyłożyła lufę do jego prawego kolana.

- Mam wielką ochotę pociągnąć za spust i zrobić z pana kalekę - szepnęła, a ton jej głosu kłócił się z uśmiechem na jej twarzy.

- Widzę, że popełniłem błąd. Trzeba było najpierw panią zastrzelić, a dopiero potem wrzucić do tej dziury.

-Może to pan dopisać do stale powiększającej się listy swoich błędów.

Z powrotem przeniósł wzrok na szynkę i jajka na talerzu.

- A jakie były inne?

-Jeden z pańskich ludzi nie żyje. Zakładam, że powiedział to panu ten rycerz, który był tu przed chwilą. Kolejny rycerz siedzi w samochodzie z rozwaloną nogą. I nie zapominajmy o stosie złota, które nadal czeka pod gołym niebem przed wejściem do kopalni. To sporo problemów. Nie wspominając już o tym, że pańscy ludzie doprowadzili mnie prosto do

pana.

- A przyszło pani do głowy - zapytał, gestykulując nożem i widelcem - że może chciałem, aby tak się stało?

- Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

Mocniej przycisnęła pistolet do jego nogi, żeby pokazać, że nie żartuje.

Proctor wbił w nią wzrok i po raz pierwszy zobaczyła w jego oczach cień irytacji. Szczerze wątpiła, czy tę twarz kiedykolwiek rozjaśnia uśmiech, no chyba że chodzi o podstęp.

- Proszę spróbować - powiedziała, bezbłędnie odczytując jego intencje. Widziała, że bije się z myślami, rozważając otwartą walkę. - Naprawdę, nalegam.

To mówiąc, odciągnęła kciukiem kurek pistoletu. Szczęknięcie zamka było jak wykrzyknik wieńczący jej prośbę.

- Czego pani chce? - zapytał spokojnie.

- Odpowiedzi.

Znów zajął się jedzeniem i włożył sobie widelcem do ust kawałek jajka.

- Zakładałem, że niedługo będzie pani martwa, dlatego pozwoliłem sobie powiedzieć pani to i owo w kopalni. Teraz to co innego.

- I na pewno w tej chwili intensywnie zastanawia się pan, czy uda się panu stąd wyjść z obiema sprawnymi nogami.

- Przeszło mi to przez myśl - odparł, przeżuując.

- Czy Rycerze Złotego Kręgu naprawdę ciągle istnieją?

- Nie mogę na to odpowiedzieć.

Ponownie mocniej przycisnęła broń.

- Ale zabiorę panią do kogoś, kto może.

- Dobrze sobie. Kiedy mam przewagę, tak łatwo z niej nie rezygnuję.

Sięgnął po grzankę i posmarował ją masłem.

- Proszę mi wybaczyć, ale ostatni raz jadłem wczoraj po południu. A to była wyjątkowo długa noc.

- Przenoszenie stosów złota zaostrza apetyt?

- Pani nazwisko, Cassiopeia Vitt, brzmi bardzo tajemniczo.

- Jest hiszpańskie.

- Piękna z pani kobieta.

- Chyba pan nie sądzi, że to mnie zdekongcentruje.

- Nie miałem takiego zamiaru. Po prostu powiedziałem prawdę.

- Często pan to robi?

- Jem śniadanie? - spytał, patrząc na talerz. - Oczywiście. Codziennie. To najważniejszy posiłek dnia. - Wyszczrzył zęby, rozbawiony własnym dowcipem. Cassiopeia wiedziała, że nie może stracić czujności. - Jeżeli ma to jakiegokolwiek znaczenie, wrzucenie pani do tej dziury nie sprawiło mi żadnej przyjemności.

- Od razu mi lepiej. Dziękuję za to wyznanie. - Chyba za dużo czasu spędzała z Cottonem. Przejęła od niego skłonność do sarkazmu. - Wyraźnie nie rozumie pan sytuacji. Pracuję dla władz federalnych, a pan jest aresztowany.

- Pod jakim zarzutem?

- Morderstwa.

Zaśmiał się cicho.

- A kogo zabiłem? Z tego co słyszałem, to Terry Morse zastrzelił mojego człowieka. Jego też zamierza pani aresztować?

- A jak pan myśli?

- To i tak bez znaczenia. Ja się nim zajmę. Rycerzowi nie wolno zabijać drugiego rycerza.

- Myślałam, że jest strażnikiem.

- To prawda. Ale jest także rycerzem.

Postanowiła postawić sprawę jasno.

- To operacja wywiadowcza.

Proctor przez chwilę zastanawiał się nad jej słowami.

- Czuję się zaszczycony.

- Niepotrzebnie. Ale ludziom, dla których pracuję, nie zależy na tym, żebym postawiła pana przed sądem.

Zrozumiał aluzję. Nie ma żadnych zasad.

- Niczego się pani ode mnie nie dowie.

Wzruszyła ramionami.

- W Waszyngtonie został zabity człowiek, a kolejna osoba walczy o życie. To szefowa ważnej agencji wywiadowczej, tej samej, która mnie tu

przysłała. Założę się, że istnieje ścisły związek pomiędzy panem, tamtym morderstwem i tym, co ją spotkało. Ludzie z jej agencji będą chcieli zamienić z panem kilka słów i nie będą przebierać w środkach, żeby uzyskać od pana odpowiedzi.

Proctor odsunął talerz na bok i otarł usta serwetką. Jego twarz przybrała złowieszczy wyraz, co nadało mu okrutny wygląd.

- To wszystko zależy.
- Od czego?
- Od tego, czy opuści pani to miasto żywa.

ROZDZIAŁ 44

DANNY WYSIADŁ Z TAKSÓWKI. Szefowa jego nowej kancelarii ustaliła, że Lucius Vance poszedł na lunch do hotelu Willard, niedaleko Białego Domu. Danny znał to miejsce. Ten charakterystyczny budynek stanął w Waszyngtonie na długo przed wybuchem wojny secesyjnej. Kierownictwo hotelu lubiło podkreślać, że każdy prezydent od czasu Franklina Pierce'a przynajmniej raz spędził tam noc, albo chociaż uczestniczył w jakiejś uroczystości. Danny nie był pod tym względem wyjątkiem. Zatrzymywał się w tym hotelu kilkakrotnie, mieszkał w nim nawet przez kilka dni bezpośrednio przed swoją pierwszą inauguracją.

Sława hotelu Willard była zasłużona. Na jego korytarzach, zawsze wypełnionych ambasadorami, politykierami i celebrytami wszelkiej maści, wydarzyło się niemało. W jednym z pokoi został skomponowany Hymn bojowy Republiki. Martin Luther King szlifował tam swoją słynną przemowę zaczynającą się od słów „Mam marzenie”. Częstymi gośćmi hotelu byli Dickens i Hawthorne, przez jakiś czas mieszkali tam nawet Lincoln i Coolidge. Jeśli wierzyć legendzie, Ulysses Grant lubił przesiadywać w eleganckim lobby, popijając whisky i paląc cygaro. Ludzie przychodzili do niego wtedy, żeby poprosić o tę czy inną polityczną przysługę, i to ponoć dało początek terminowi „lobbing”.

Danny wszedł przez drzwi frontowe i znalazł się w bogatym wnętrzu zdobionym marmurem, mozaikami i szkłem. Zawsze wydawało mu się, że wystrój przypomina bardziej muzeum niż hotel i panuje tam podobna atmosfera ponadczasowości. Z pewnością był to jeden z najbardziej imponujących hoteli w kraju. Dzisiaj nie budowało się ich już w ten sposób.

Ruszył korytarzem zwanym Peacock Alley, wzdłuż szpaleru ozdobnych palm w donicach, do restauracji Willard Room. Chwalili się, że są

najlepszym lokalem w Waszyngtonie. Bez dwóch zdań. Czego tu nie było. Wysokie pomieszczenie, orzechowa boazeria, zielone marmurowe kolumny, przedniej jakości tkaniny. Zawsze podobało mu się, że stoliki są rozmieszczone w dużych odstępach, co zapewnia element prywatności, o którą niełatwo na tak wielkiej przestrzeni. W czasie swojej prezydentury kilkakrotnie zdarzyło mu się zapraszać tu dyplomatów na oficjalne obiady.

Drewniane drzwi prowadzące do sali jadalnej były otwarte na oścież, a na straży stało dwóch agentów Secret Service, co nie powinno dziwić, skoro w pobliżu znajdował się spiker Izby Reprezentantów. Danny od razu rozpoznał ich twarze - widział ich obu na pogrzebie Alexa, a także wczoraj wieczorem pod domem Diane. Z sali dobiegały szmer rozmów i dzwonienie sztuczków o porcelanę. Wyglądało na to, że odbywa się tu małe prywatne spotkanie, ponieważ tylko trzy stoliki były przykryte białymi obrusami, lśniącymi w świetle żyrandoli. Obsługa kręciła się w tę i z powrotem, serwując lekki posiłek, w sam raz na środek dnia. Danny obrzucił wzrokiem stoliki i naliczył dwunastu gości. Szefowa kancelarii dowiedziała się, że Vance zaprosił kilka osób na roboczy lunch.

- Zorganizowany w pośpiechu - podkreślił dyskretnie jej informator.

Najwyraźniej zależało mu też, aby spotkać się z nimi z dala od Kapitolu.

Vance siedział przy jednym ze stolików, zajęty rozmową z kilkoma kongresmanami. Danny znalazł ich wszystkich. Z zadowoleniem stwierdził, że większość pozostałych osób też udało mu się rozpoznać. Całe szczęście miał dobrą pamięć do twarzy.

Gdy próbował wejść na salę, drogę zagroził mu jeden z agentów.

- To zamknięte spotkanie, panie prezydencie.

Danny zmierzył go wzrokiem.

- Przynajmniej ciągle mnie rozpoznajecie.

- Oczywiście, panie prezydencie. I ta sytuacja jest co najmniej kłopotliwa.

- Nie dla mnie. Muszę pomówić ze spikerem.

- Poinstruował nas, aby nie wpuszczać nikogo z zewnątrz.

Zawsze irytował go fakt, że ludzie z Secret Service biorą wszystko dosłownie.

- Chyba nie mówi pan poważnie. Naprawdę chce się pan ze mną spierać? Od razu ostrzegam, że pan przegra.

Przez osiem lat zawsze musiał robić dokładnie to, czego wymagała od niego ochrona. Te wszystkie zasady i procedury doprowadzały go do szału. Z początku próbował walczyć z systemem, ale po jakimś czasie się poddał i po prostu zaczął się stosować do zaleceń. Ale to nie znaczy, że mu się to podobało. Dlatego teraz nie miał najmniejszego zamiaru pozwalać, żeby ktokolwiek mówił mu, co ma robić.

Dał agentowi chwilę, żeby zdał sobie sprawę z powagi sytuacji i mógł podjąć właściwą decyzję.

Tak się też stało. Mężczyzna odsunął się na bok.

- Słuszne posunięcie - skomentował Danny.

Wszedł na salę i ruszył prosto w kierunku Luciusa Vance'a. Wszyscy obecni natychmiast go rozpoznali, rzucając mu to spojrzenie mówiące „to prezydent Stanów Zjednoczonych”, do którego szybko się przyzwyczaił, mieszkając w Białym Domu. Kilku ludzi popatrzyło już tak na niego w hotelowym lobby, w tym portier, ale on tylko się uśmiechał i szedł przed siebie.

Vance na jego widok przestał mówić i podniósł się z krzesła.

- Ależ to nasz nowy senator z Tennessee. Co cię tu sprowadza?

Wyciągnął rękę na powitanie, a Danny ją zignorował. W normalnych okolicznościach uściśnąłby mu dłoń, żeby uspić czujność wroga, zgodnie ze starą zasadą, którą Vito Corleone przekazał swojemu najstarszemu synowi: „Nigdy nie pozwól, żeby inni wiedzieli, co naprawdę myślisz”. Ale to była zupełnie inna sytuacja. Przyszedł tu, żeby rozpalić ogień i wypłoszyć węże z zarośli. Nie miał zamiaru przebierać w słowach. Vance wyraźnie nie lubił, gdy okazywało mu się brak szacunku, zwłaszcza na oczach współpracowników.

- Musimy pogadać - stwierdził Danny.

- Jak widzisz, jestem teraz zajęty. Mam spotkanie z członkami Izby

Reprezentantów.

Oczywiście. On zawstydził go w towarzystwie, więc teraz Vance mu się odciął. Danny nie spodziewał się niczego innego. Postanowił więc zwrócić się do pozostałych, dobrze wiedząc, że oni raczej nie pozwolą sobie na taką śmiałość wobec byłego prezydenta, a obecnie senatora.

- Pozwolą państwo, że porwę go na kilka minut?

Nikt się nie odezwał nawet słowem.

Danny wyciągnął rękę w pojednawczym geście.

- Widzisz? Oni nie mają nic przeciwko.

Niezła zabawa. Przypomniały mu się czasy, gdy zasiadał w radzie miasta Maryville. Tam grało się w otwarte karty, patrząc przeciwnikowi prosto w oczy. Walka twarzą w twarz, nie to co tu, w Waszyngtonie, gdzie walczyło się z ukrycia, po partyzancku. Liczył na to, że Vance będzie zbyt ciekawy, o co tak naprawdę chodzi, żeby odrzucić jego zaproszenie. I nie pomylił się.

Spiker pokiwał głową.

- Wyjdźmy na zewnątrz.

Przeszli przez drzwi i skręcili w lewo. Ochroniarze ruszyli za nimi.

- Na pewno chcesz, żeby oni słyszeli naszą rozmowę? - szepnął Danny.

- Może właśnie chcę.

Wzruszył ramionami.

- Twój wybór. Ale pamiętaj, że cię ostrzegąłem.

Vance zatrzymał się i wbił w niego wzrok, jakby próbował wyczytać coś, cokolwiek, z jego oczu. Ale całe życie bezpardonowej walki politycznej nauczyło Danny ego, jak zachować pokerową twarz. W końcu odwrócił się do swoich agentów.

- Zaczekajcie pod restauracją. Będziemy tutaj, na końcu korytarza. W zasięgu wzroku.

Agenci skinęli głowami i cofnęli się. Vance ponownie zwrócił się do Dannyego:

- O co chodzi?

- Nie uda ci się.

Na twarzy młodszego z mężczyzn odmalowała się konsternacja.

- Nie rozumiem.

- Twój plan się nie powiedzie.

Danny postanowił blefować na całego. Na tarasie w domu Sherwoodów Diane odrzuciła zaloty Vance'a. „Myślę, że nie powinniśmy posuwać się dalej. Zwłaszcza w tych okolicznościach”. Następnie postawiła sprawę jasno: „Niedługo będziesz najpotężniejszym człowiekiem w tym kraju. A potężny mężczyzna potrzebuje żony i dzieci, a nie kochanki”.

- Nie mam bladego pojęcia, o czym mówisz.

- Zmienianie biegu historii to całkiem mocny afrodyzjak.

Dokładnie tak powiedział Vance do Diane podczas ich rozmowy na tarasie. Danny uznał, że przytoczenie słów, które jego przeciwnik wypowiedział bez żadnych świadków, to najszybszy i najpewniejszy sposób na wzniecenie ognia.

Poskutkowało.

- Nie powstrzymasz mnie - wyszeptał Vance.

- Założymy się?

- Nie mógłbyś mnie powstrzymać jako prezydent i na pewno nie zdołasz jako senator.

Boże, jakie to wspaniałe uczucie. Znów być w siodle, walczyć o poważną stawkę z godnym siebie rywalem. Danny nie wyobrażał sobie nic lepszego. Cała jego psychika wydawała się nastawiona właśnie na takie sytuacje. Czy to rodzaj choroby? Uzależnienia? Niewykluczone. Ale skoro tak, to nie miał zamiaru leczyć się z tej przypadłości. Co tu kryć. Urodził się, by żyć w burzy.

-Jakie to uczucie, kiedy twoja własna partia odmawia ci prezydenckiej nominacji? - zapytał.

-Jest wiele sposobów na zdobycie władzy. Prezydentura to tylko jeden z nich.

Danny uznał to za wskazówkę. To, co ma się stać, nie oszczędzi również Białego Domu.

- Ludzie powiedzieli ci „nie”.

- Ludzie sami nie wiedzą, czego chcą. Po prostu chcą.

- Powiedziane, jak przystało na prawdziwego oportunistę.

- Mimo wszystko doceniam twoją przestrożę - rzekł Vance. - Teraz już wiem, kogo muszę czujnie obserwować.

- Będziesz też musiał zadać sobie pytanie: dlaczego cię ostrzegłem? Dlaczego nie zachowałem tego, co wiem, dla siebie aż do chwili, gdy będę gotowy zaatakować? Możesz mi wierzyć, spodoba ci się odpowiedź na oba te pytania.

- To dlatego poprosiłeś swojego kumpla gubernatora, żeby dał ci tę nominację?

- Między innymi. Lepiej, żeby się okazało, że nie miałeś nic wspólnego ze śmiercią Alexa Sherwooda. Gubernator Tennessee był też jego przyjacielem.

Vance wydawał się zaskoczony powagą w jego głosie. Danny czekał na jakąkolwiek reakcję. Ale Vance zachował kamienną twarz.

Co też dało mu do myślenia.

Kątem oka dostrzegł agentów, którzy nie spuszczały z nich wzroku.

Vance również zwrócił na to uwagę.

- Grożenie przewodniczącemu Izby Reprezentantów to niebezpieczna zabawa.

- Jeszcze gorsze jest knucie przeciwko państwu i moim przyjaciołom.

- Nie miałem nic wspólnego ze śmiercią Alexa Sherwooda. O ile mi wiadomo, to był wypadek. Ale ten kraj potrzebuje zmian. Przyszedł już na to czas. I zamierzam się tym zająć.

- Ty będziesz naszym wybawicielem? Samotny kongresman z małego okręgu na jakimś odludziu?

- Coś w tym stylu.

Danny wiedział, że więcej już z niego nie wycisnie.

Postanowił zatem na odchodnym zadać jeszcze jeden cios.

- „Niemal każdy potrafi znieść przeciwności losu, ale jeśli chcesz naprawdę sprawdzić czyjś charakter, to daj mu do ręki władzę”.

Diane zacytowała te słowa Lincolna na moment przed ich pocałunkiem na tarasie. Vance musiał zachodzić w głowę, skąd Danny to wie.

- Życzę smacznego, panie przewodniczący.
Odwrócił się i odszedł. Nie oglądając się za siebie.
Zarośla zajęły się ogniem.
Już wkrótce zaczną z nich wyłazić węże.

ROZDZIAŁ 45

CASSIOPEIA OCENIŁA SYTUACJĘ. Przyciskała broń do kolana Proctora. On na pewno też był uzbrojony, ale obie ręce trzymał na stole. W barze przebywało sporo ludzi, a ostatnie, czego chciała, to strzelanina w miejscu publicznym. Ale dziwna pewność siebie Proctora zbiła ją z tropu.

On tymczasem rozsiadł się wygodniej na ławie.

- Pomogę pani spojrzeć na to z odpowiedniej perspektywy. Siedzi tu pani, owszem, i w każdej chwili może pani ze mnie zrobić kalekę. Aleja mam wszędzie wokół swoich ludzi.

Cassiopeia oprócz niego widziała tylko trzech, z czego jeden już nie żył, a drugi nie mógł chodzić. Do ich stolika podeszła kelnerka i zapytała, czy życzą sobie coś jeszcze.

-Ja dziękuję - odparł Proctor. - A pani?

- Poprosimy o rachunek - powiedziała Cassiopeia.

Nie uszło jej uwagi, że zanim kelnerka ich zostawiła, Proctor figlarnie puścił do niej oko.

- Zawsze z pana taki flirciarz? - zapytała.

- Tylko kiedy myślę, że mam jakieś szanse.

- I z jakiegoś powodu wydawało się panu, że miałby pan szansę u mnie?

Wzruszył ramionami.

- Kobiety czasem składają różne propozycje, kiedy są przyparte do muru.

- Ja nie znam takich kobiet.

Na jego wąskich wargach wykwitł uśmiech. Znowu to samo. Szykował jakiś podstęp.

- Wcale nie flirtowałem z tą kelnerką - powiedział. - Ona jest córką

właściciela. A pani będzie miała za chwilę duże kłopoty.

Spojrzała w prawo w momencie, gdy zza wahadłowych drzwi na zaplecze wyłonił się mężczyzna w białym fartuchu ze strzelbą w ręku. Natychmiast wyciągnęła pistolet spod stołu i strzeliła w sufit, co odniosło pożądany skutek. Ludzie w panice zerwali się od stołów i rzucili w stronę wyjścia. Zamieszanie przystopowało właściciela lokalu - Cassiopeia była pewna, że nie zacznie strzelać do własnych klientów. Wyslizgnęła się z boksu i dołączyła do uciekających. Po drodze skorzystała jeszcze z okazji i rąbnęła Proctora rękojeścią pistoletu w skroń. Stary drań zgiął się wpół i uderzył głową o blat stołu.

Właściciel próbował ją złapać, ale udało jej się już wmieszać w tłum. Wcisnęła broń w spodnie pod koszulą i wybiegła na zalaną porannym słońcem ulicę. Pick-up Morse'a stał pięćdziesiąt metrów od niej. Większość klientów uciekała na drugą stronę ulicy. Szła razem z nimi, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Przy odrobinie szczęścia nikt nie rozpozna w niej osoby, która oddała tamten strzał.

Człowiek w fartuchu wyszedł z lokalu już bez strzelby. Cassiopeia skryła się za drewnianą kolumną podtrzymującą sklepową markizę. Wokół niej wszyscy mówili podniesionymi głosami. Na ulicy pojawił się radiowóz, który z piskiem opon zatrzymał się pod barem. Wskoczył z niego umundurowany policjant i zaczął rozmawiać z właścicielem. Cassiopeia domyślała się przebiegu tej rozmowy. „Jakaś kobieta strzeliła w sufit. Ciemne włosy, hiszpańska uroda. Ubrana w jeansy, buty za kostkę i koszulę z długim rękawem”. W okolicy nie było dużo osób pasujących do tego opisu. Oczywiście nie padnie ani słowo o strzelbie właściciela. Ani o człowieku nazwiskiem Jim Proctor.

Policjant i właściciel weszli razem do środka.

Dla Cassiopei był to sygnał, że czas się zabierać.

Podbiegła do pick-upa. Po toyocie i dwóch ludziach z kopalni nie zostało ani śladu. Musiała się dowiedzieć, dokąd przewożą złoto.

Najłatwiej byłoby po prostu śledzić Proctora, ale teraz trzeba przede wszystkim opuścić to miasteczko. Całe to poruszenie przyciągnęło gapiów, którzy wysypywali się na ulicę ze sklepów i innych knajp.

Jej komórka zaczęła wibrować. Dzwoniła Lea. Wymieniły się numerami zaraz po wyjściu z kopalni.

Odebrała telefon.

- Przyszli jacyś ludzie - usłyszała nerwowy głos dziewczyny. - Dziadek kazał mi się schować, kiedy przyjechali. Zabrali go ze sobą. Grozili mu bronią.

- Gdzie jesteś?

- W domu.

- Czekaj na mnie. Już jadę.

KIEDY TYLKO ZAPARKOWAŁA pod drewnianym płotem, Lea zeskoczyła z ganku i pobiegła w jej stronę. Już wysiadając z wozu, Cassiopeia widziała przerażoną twarz dziewczyny.

- Mów, co się stało.

W domu pojawili się dwaj uzbrojeni mężczyźni. Przez chwilę trwała gorąca dyskusja. Morse poszedł z nimi, nie stawiając oporu. Cassiopeia zakładała, że zrobił to, aby chronić wnuczkę.

- Chcieli dostać Kamień Wiedźmy.

- Zabrali go?

Lea kiwnęła głową.

Najwyraźniej Proctor starał się doprowadzić sprawę do końca. I faktycznie miał do dyspozycji więcej ludzi.

- Słyszałam, dokąd jadą - dodała Lea. - Dziadek zapytał, dlaczego zabierają go z powrotem do kopalni.

Spytne zagranie ze strony Morse'a.

-Ty zostajesz tutaj - oznajmiła Cassiopeia. - Ja się tym zajmę. -Jadę z tobą.

Determinacja malująca się na twarzy Lei robiła na niej wrażenie. Zresztą i tak potrzebowała pomocy, żeby znów trafić do kopalni.

- W porządku.

ROZDZIAŁ 46

COTTON STAŁ PRZY łóżku Stephanie. Wyszedł z Muzeum Historii Amerykańskiej i postanowił zajrzeć do szpitala w drodze do domu Franka Breckinridge'a. Rick Stamm, który załatwił mu samochód, powiedział, że emerytowany kustosz dobija do osiemdziesiątki i mieszka sam, więc Cotton uznał, że nic się nie stanie, jeśli odwiedzi go godzinę później. Najbardziej martwił go teraz stan Stephanie.

Leżała nieruchomo z rękami wzdłuż boków, cała w rurkach, kropłówkach i bandażach. Dużo razem przeżyli, dzielili dobre i złe chwile. Zawdzięczał jej tyle, że nigdy nie zdołałby spłacić tego długu. Był kiedyś prawnikiem w armii i czekały go lata nudnej, prozaicznej pracy, ponieważ ugiął się pod naciskiem ludzi, którzy znali jego zmarłego ojca i uważali, że latanie myśliwcem to kiepski pomysł na karierę. A on naprawdę uwielbiał latać. Nie zaznał w życiu niczego lepszego. W tamtych czasach był jednak ślepo oddany swojemu nieobecnemu ojcu, co poskutkowało tym, że posłuchał rady tych wszystkich osób i zrobił to, co one uważały za słuszne. Całe jego życie się zmieniło w dniu, kiedy poznał Stephanie Nelle. I dowiedział się, co naprawdę kierowało tymi wszystkimi przyjaciółmi jego ojca. Został agentem jednostki Magellan Billet podlegającej Departamentowi Sprawiedliwości. Nigdy nie stracił stopnia komandora porucznika, zachował go aż do dnia, kiedy odszedł zarówno z Magellan Billet, jak i z marynarki wojennej i przeprowadził się do Danii.

Dzisiaj był księgarzem.

W pewnym sensie.

Ciekawe, co pomyślałby jego ojciec. Cotton miał nadzieję, że byłby z niego dumny.

Drzwi się otworzyły i na salę wszedł Danny Daniels. Cotton nie

widział się z nim od dnia inauguracji, kiedy cała ich czwórka - Daniels, Stephanie, Cassiopeia i on - opuściła wspólnie Biały Dom. Były prezydent miał na sobie garnitur i krawat. Nadal prezentował się po prezydencku.

- Jak sytuacja? - zapytał Daniels.

- Pielęgniarka mówiła, że bez zmian. Wciąż jest w śpiączce.

- Wiesz już, kto ją postrzelił?

- Prawie go miałem. Ale wymknął mi się.

Daniels spojrział na niego.

- Chcę wiedzieć wszystko.

Cotton opowiedział Danielsowi o Instytucie Smithsona, Rycerzach Złotego Kręgu, o wydarzeniach w Arkansas i o tym, co działo się przez ostatnich kilka godzin.

- Wszystko zaczęło się za sprawą członkini Komisji Doradczej Bibliotek Instytutu Smithsona, niejakiej Diane Sherwood - powiedział na koniec.

- To wdowa po senatorze Sherwoodzie, który zasiadał w zarządzie Instytutu. Dlatego ta sprawa jest dla nich bardzo delikatna. Zakładam, że znał pan senatora Sherwooda.

- Byliśmy bliskimi przyjaciółmi. A przy okazji, stoi przed tobą nowy młodszy senator z Tennessee. Dopiero co zostałem zaprzysiężony, żeby dokończyć kadencję Alexa.

Cotton był pod wrażeniem.

- Nie śmiem zgadywać, jak udało się panu to zorganizować. I dlaczego nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to ma związek z obecną sytuacją?

- Bo ma. Wygląda na to, że obaj wplątaliśmy się w tę samą aferę.

Teraz to Daniels wyjaśnił Maloneowi, co wydarzyło się w ciągu ostatniej doby, na zakończenie dodając:

- Dziewczyna Alexa powiedziała mi, że facet, który przyszedł do jego mieszkania po ten dziennik, był biały, w średnim wieku i miał znajomą na szyi.

- To ten sam, który zabił Martina Thomasa i najprawdopodobniej postrzelił Stephanie.

- Miał klucz do mieszkania, co oznacza, że dostał go od Diane. A

zatem ona także jest powiązana z morderstwem bibliotekarza i próbą zabójstwa Stephanie. Będziesz musiał teraz porządnie ją nastraszyć.

- Kanclerz wyraźnie mi tego zabronił.

Cotton przedstawił stanowisko przewodniczącego Sądu Najwyższego.

- Warren Weston to nadęty bufon - stwierdził Daniels. - Powinien był już dawno temu przejść na emeryturę, ale został w Sądzie Najwyższym tylko po to, żebym nie mógł mianować jego następcy. Kilka razy dawaliśmy mu do zrozumienia, że chyba czas ustąpić, ale uprzejmie odpowiadał, żebyśmy szli do diabła.

- On wie o całej sprawie, osobiście wszystko nadzoruje. Z premedytacją zaangażował w to mnie, a potem Stephanie.

Odruchowo odsunęli się od jej łóżka, jakby mogła ich usłyszeć. Chociaż tak naprawdę obaj dużo by za to dali.

Daniels przeczesał palcami swoje gęste, obsypane siwizną włosy.

- Mimo wszystko Weston może mieć rację. Jeśli ich wystraszysz, udając się prosto do Diane, zaraz się gdzieś przyczają. Lepiej niech chodzą swobodnie, przekonani, że nic im nie grozi. Ale cokolwiek planuje spiker Izby Reprezentantów, trzeba to natychmiast zastopować. Cały czas jest o kilka kroków przede mną. Muszę go dogonić.

Cotton zrozumiał sens nagłej nominacji senatorskiej.

- Funkcja senatora otwiera przed panem wiele drzwi, prawda?

- Żebyś wiedział. Ale dołączyliśmy do tej gry bardzo późno. Miejmy nadzieję, że nie za późno. Wiem, że ojciec Diane pracował kiedyś w Instytucie Smithsona. Nigdy jednak nie słyszałem o jego fascynacji Złotym Kręgiem. Nie wiem nic o jej bracie, ale to się wkrótce zmieni. Muszę się przyznać, że Rycerze Złotego Kręgu to dla mnie dość obcy temat. Raz opowiadał mi o nich dziadek. Wiem, że swego czasu liczyli się w Tennessee. Mieli nawet swój zamek w Blount County, pod koniec dziewiętnastego wieku. Ale na tym kończy się moja wiedza.

- Powinien pan chyba szybko nadrobić zaległości, bo oni są tu na pierwszym planie.

- Czy krzyż w okręgu ma z nimi coś wspólnego?

Cotton skinął głową.

- To jeden z ich symboli.

Daniels opowiedział mu o wisiorku, który oddała mu kochanka Alexa Sherwooda.

- Diane powiedziała, że sama kazała go wykonać. Jeden dla niej i jeden dla Alexa.

- Ta kobieta siedzi w tym po uszy.

- O tak - Daniels przyznał mu rację. - Ten sam symbol widnieje na okładce notatnika jej brata. To na pewno nie jest przypadek.

Cotton też tak uważał.

Obaj spojrzeli na Stephanie, która nadal oddychała przy pomocy respiratora.

- Ona jest dla pana kimś ważnym, prawda? - zapytał Cotton.

- Kocham ją. A ona kocha mnie.

- Chyba czuje pan ulgę, że może to głośno powiedzieć.

- To prawda. Zresztą czas najwyższy. Ona nie może teraz umrzeć.

Daniels podszedł z powrotem do łóżka i wziął Stephanie za rękę. Cotton zdał sobie sprawę, że ten człowiek nigdy nie zrobiłby czegoś takiego w innym towarzystwie, i był wdzięczny za zaufanie, jakie okazywał mu były prezydent. Widział też jego oczy, w których kryła się niepewność.

I może strach.

On sam też się bał.

- Posłuchaj, Cotton - odezwał się Daniels, nie odrywając wzroku od Stephanie. - Kiedy już dopadniesz tego faceta ze znamieniem na szyi, chciałbym przy tym być.

- Chce go pan sam zabić?

- Jeśli będzie taka możliwość.

- Wie pan chyba, że to ostatnie, czego życzyłaby sobie Stephanie.

-Jakoś się z tym pogodzi.

- Weston skierował mnie do innego człowieka, niejakiego Franka Breckinridge'a, który według niego mógłby nam pomóc się w tym lepiej połapać.

- Uważaj na Warrena Westona. Nigdy nie wydawał mi się przesadnie

godny zaufania. Ale ja nienawidzę wszystkich sędziów, więc może to po prostu mój problem.

Cotton podzielał tę niechęć. Na palcach jednej ręki mógł policzyć sędziów, którzy kiedykolwiek zasłużyli na jego szacunek.

- Muszę iść - powiedział Daniels. - Wrócę później. Zamierzam zostać tutaj na noc.

- Odezwę się, gdy tylko dowiem się czegoś nowego.

- Diane Sherwood i Lucius Vance szykują coś niedobrego. Pomaga im jej brat. Musimy rozgryźć, co takiego planują. Działaj ostrożnie, Cotton. Ach, jeszcze jedno. Przejąłem miejsce Alexa w Senacie razem ze wszystkim, co się z tym wiąże. To oznacza, że teraz jestem członkiem zarządu Instytutu Smithsona. Daj mi znać, jeśli będzie ci się mogło to do czegoś przydać.

Malone skinął głową i złapał za klamkę.

- Co pan będzie robił, kiedy ja pojedę odwiedzić tego Brekin-ridge'a?

- Zacznę wyłapywać węże i rozwaląć im łby.

ROZDZIAŁ 47

GRANT WYSZEDŁ OD fryzjera. Nie lubił chodzić do salonów dla kobiet, żeby obciąć włosy, zawsze preferował staroświeckie męskie zakłady fryzjerskie. Na szczęście trochę ich jeszcze zostało, w tym jeden w północnym Waszyngtonie, w którym Grant czuł się szczególnie dobrze. Przed wejściem wisiał tradycyjny pasiasty słupek fryzjerski, a w ofercie zakładu było nawet golenie i polerowanie butów. Tam pozbył się swoich brązowych loków i był teraz ostrzyżony bardzo krótko. Następnie, ponieważ środków ostrożności nigdy za wiele, wstąpił do drogerii Walgreens i kupił zestaw do makijażu.

Gdy był dzieckiem, jego ciemnofioletowy naczyniak, nazywany przez niektórych plamą czerwonego wina, sięgał od lewej strony żuchwy do karku. Nie miało to żadnego wpływu na jego zdrowie, poza tym że gdy się w tym miejscu skaleczył, trudniej było zatamować krwawienie. W szkole podstawowej dokuczano mu z powodu przebarwienia na skórze. Któregoś dnia matka postanowiła położyć temu kres i zamaskowała plamę korektorem, co jednak ściągnęło na niego jeszcze więcej docinków. Dlatego nauczył się z tym żyć, a jeśli ktoś robił mu nieprzyjemności, w ruch szły pięści. Kilka razy musiał wdać się w bójkę, ale w końcu szkolne łobuzy dały mu spokój.

Teraz jednak makijaż wydawał się sensownym pomysłem. W muzeum starał się uważać, ale ktoś mógł przecież zwrócić uwagę na jego szyję. Każdy, kto go szuka, miałby dzięki temu ułatwione zadanie. Znamię zawsze stanowiło jego znak rozpoznawczy, podobnie jak kręcone włosy. Ale jednego właśnie pozbył się u fryzjera, a drugie zatuszował warstwą podkładu.

Ogólnie rzecz biorąc, całkiem skutecznie zmienił swój wygląd.

Diane słuchała z szeroko otwartymi oczami, kiedy mówił jej tylko to,

co w jego ocenie powinna wiedzieć. Cały czas miał wątpliwości, czy postąpił słusznie, decydując się na taką szczerłość. Spodziewał się złości, oskarżeń, nawet szoku, ale jego sprawozdanie zostało po prostu przyjęte z milczeniem, a potem wręcz z aprobatą. Grant podejrzewał, że brat Diane nie okaże się równie wyrozumiały. Ale jak zdążył się już przekonać, Kenneth zawsze robił to, co kazała mu siostra.

Wiedząc, że Vance rozpoczyna zmiany w Kongresie, wydawała mu się ekscytująca. Bardzo mu się podobał udział w tej całej intrydze. To na pewno o wiele lepsze niż praktyki w kancelarii adwokackiej. Na szczęście złote monety znalezione w Kentucky nadal wystarczały na opłacenie wszystkich rachunków. Większość sprzedał kolekcjonerowi, który nie żałował pieniędzy. Mimo to Grant bardzo chciał już wreszcie zdobyć główną nagrodę.

Znaleźć kryptę.

Kiedy był mały, ojciec często opowiadał mu różne historie. Może uważał to za sposób na wzmacnianie rodzinnych więzi, a może dawało mu to nadzieję, że syn pójdzie kiedyś w jego ślady. Ale z czasem, gdy stało się jasne, że Grant nie ma głowy do nauki, opowieści się skończyły, a ojciec nie ukrywał swojego rozczarowania. Marzenia o pracy w Instytucie Smithsona nigdy nie miały się ziścić. Grant znalazł zatrudnienie gdzie indziej. A potem szczęśliwym zrzędzeniem losu znalazł się we właściwym miejscu o właściwej porze i spotkał Diane.

Czasami trzeba mieć w życiu fart.

Teraz zamierzał sam pokierować swoim losem.

Zajął się Martinem Thomasem i kobietą z Departamentu Sprawiedliwości. Odnalazł Kamień Wiedźmy i Drogi. Udało mu się też zdobyć fotografie Kamienia Konia, które czekały na nich w archiwach Instytutu.

Zostały jeszcze dwa kamienie.

Niestety, aby je odszukać, niezbędna będzie pomoc jego ojca. Grant zawczasu postanowił, że tym razem nie będzie walczyć z demencją starca. Wręcz przeciwnie - spróbuje ją wykorzystać.

W Internecie znalazł sklep, który sprzedawał mundury żołnierzy

Konfederacji, idealne dla organizatorów rekonstrukcji historycznych. Wyglądało to na całkiem spory biznes. Bez trudu kupił strój oficera, dostatecznie realistyczny, żeby oszukać schorowany umysł. Mała mistyfikacja powinna pomóc przebić się przez mgłę starczego otępienia. A jeśli to nie przyniesie efektów, cóż, zawsze może uciec się do sprawdzonych metod i wycisnąć z niego informacje siłą.

I jeśli będzie musiał, zrobi to bez wahania.

Pojechał taksówką do domu, wzięł mundur i wsiadł do swojego samochodu. Zamierzał się przebrać już w domu ojca.

Teraz celem było odnalezienie Kamienia Serca.

Zgodnie z nazwą miał on odpowiedni kształt, żeby zmieścić się we wgłębieniu na Kamieniu Drogi, i tak jak wszystkie pozostałe zawierał ważne informacje.

Ojciec Granta sprytnie ukrył Kamień Drogi wewnątrz makiety rafy koralowej w Muzeum Historii Naturalnej.

- Nie mogłem pozwolić, żeby wpadł w ręce tego głupiego Jankesa, Davisa Layne'a. Musimy chronić to, co mamy najcenniejszego. Ci z Północy mają nas wszystkich gdzieś.

Cóż to musiała być za batalia. Dwóch kustoszów przeciwko sobie.

Jednak piąty kamień, znany jako Kamień Alfa, pozostawał tajemnicą. Grant niewiele o nim wiedział. Będzie musiał wydusić z ojca coś więcej na ten temat. Gdzieniedzie pojawiały się jakieś luźne wzmianki, ale nigdy nic konkretnego. Ten kamień miał kluczowe znaczenie. Pokazywał, gdzie należy zacząć poszukiwania.

Wygrzebał kluczyki z kieszeni i triumfalnie je podrzucił.

Nareszcie wszystko rozwijało się po jego myśli.

Wsiadł do samochodu i ruszył do domu ojca po drugiej stronie miasta. Nowa fryzura pomoże mu upodobnić się do żołnierza, choć niekoniecznie takiego z czasów wojny secesyjnej. Normę stanowiły wtedy raczej długie i zmierzwione włosy. Oby wędnący umysł jego ojca nie zwrócił uwagi na takie szczegóły.

Operacja powoli wkraczała w decydującą fazę.

Czas odnaleźć ostatnie elementy układanki.

ROZDZIAŁ 48

DIANE SIEDZIAŁA W ZACISZNYM mieszkaniu Alexa i przeglądała na swoim iPadzie zdjęcia zdobyte przez Granta. Kamień Wiedźmy wydawał się łatwy do rozszyfrowania. Wyryte na nim słowa stanowiły oczywistą deklarację będącą wstępem do dalszych poszukiwań.



„Ta ścieżka jest niebezpieczna. Idę do osiemnastu miejsc. Szukaj mapy. Szukaj serca”.

Rysunki i symbole były nieco bardziej skomplikowane.

Dolna część postaci w długiej szacie nie wyglądała na jej nogi, lecz raczej na coś w rodzaju stosu czy podwyższenia. Mogło to wskazywać na jakiś wysoki, strzelisty punkt orientacyjny znajdujący się na określonym terenie. Ojciec nauczył ją, że członkowie Zakonu uwielbiali wysyłać niejasne sygnały, dezorientować i wprowadzać innych w błąd. Kierowana instynktem sprawdziła, że „wiedźma” to po hiszpańsku bruja. Czy zatem postać w szacie miała rzeczywiście przedstawiać czarownicę, a może tak naprawdę chodziło o grę słów, wykorzystującą fakt, że bruja znaczy „kompas”?

Warto wziąć pod uwagę taką możliwość.

Diane spojrzała teraz na Kamień Drogi.



Na dnie wgłębienia w kształcie serca widniały te same liczby - 1847 - które pojawiły się też na Kamieniu Wiedźmy, co być może miało połączyć je ze sobą, podobnie jak umieszczone na tym ostatnim polecenie.

„Szukaj serca”.

Jej ojciec zdążył zbadać Kamień Drogi, zanim ojciec Granta go ukrył i dokładnie jej o tym opowiedział. Co dziwne, nie zachowały się żadne zdjęcia z czasów, gdy kamień przechowywano w Instytucie Smithsona. Miała natomiast fotografie zniszczonego Kamienia Konia, które zdobył Martin Thomas.

Słowa po lewej znaczyły prawdopodobnie „koń wiary”. Jej ojciec szczegółowo analizował to zagadkowe sformułowanie i w końcu odkrył, że może odnosić się do starego hiszpańskiego wyrażenia tłumaczonego jako „jestem sługą wiary”.



Co idealnie pasowało do Zakonu.

Ich wiarą była idea nowego, południowego imperium. Marzenie o

Złotym Kręgu, które nigdy się nie ziściło.

Napis na prawo od konia - „pasę się na północ od rzeki” - musiał wskazywać kierunek, bo co innego mógłby oznaczać? Wszystko razem można było rozumieć dwojako: „Koń wiary, pasę się na północ od rzeki” lub też, jak uznał jej ojciec, „Sługa wiary, prowadzę na wypas na północ od rzeki”.

Kamień Konia wyróżniał się na tle pozostałych pod tym względem, że umieszczony na nim wizerunek figurował w archiwach Instytutu od czasów drugiej wojny światowej. Od czasu do czasu próbowali go badać ludzie, którzy zdawali sobie sprawę z jego znaczenia. Jednak w oderwaniu od innych kamieni był bezużyteczny. To pewnie tłumaczyło, dlaczego jego zdjęcia przetrwały te wszystkie lata - ponieważ prowadziły donikąd. Przypadek nowo odkrytego Kamienia Drogi był bardziej skomplikowany. To z jego przyczyny w 1973 roku wybuchł spór pomiędzy jej ojcem i ojcem Granta. Obaj mieli dostęp do kamienia, ale ostatecznie Frank Breckinridge postanowił go ukryć, tym samym wstrzymując dalsze poszukiwania krypty. Dwa lata temu Diane odwiedziła starca, żeby dowiedzieć się, gdzie schował kamień; miała nadzieję, że upływ czasu złagodził jego upór. Ale zastała jedynie schorowanego człowieka, który praktycznie stracił już kontakt z rzeczywistością.

Przyjrzała się szerokiej falistej linii przecinającej górną część Kamienia Drogi. Mogła symbolizować horyzont albo rzekę, skoro po prawej stronie widniała litera „R”, przywodząca na myśl słowo rio na Kamieniu Konia. Wielki sztylet po lewej też na pewno był istotny. Od jego rękojęści odchodziła strzałka, która wskazywała prosto na wyżłobione serce. Z kolei pod sercem znajdowała się zakręcona linia, trochę jak szlak z zaznaczonymi w równych odstępach punktami. Inskrypcja na Kamieniu Wiedźmy mówiła o „osiemnastu miejscach”.

Me widać było tylko cztery punkty.

Reszta musiała się znajdować na Kamieniu Serca.

Centralne wgłębienia otaczała cała masa falistych zawijasów, mogących oznaczać góry, wzgórze, kaniony lub jeszcze inny rodzaj terenu. Ale

równie dobrze mogły to być tylko nic nieznaczące bazarzły, dodane po to, by zaciemnić obraz i zdezorientować ewentualnych poszukiwaczy.

Diane wiedziała, co trzeba zrobić.

Kamień Drogi należy połączyć z Kamieniem Serca, a następnie oba zestawić z piątym i ostatnim fragmentem układanki.

Kamieniem Alfa.

Odnalezienie go mogło okazać się niemożliwe, skoro, o ile jej wiadomo, Zakon przestał już istnieć. Tak samo jak jej ojciec czterdzieści lat temu miała nadzieję, że współczesna technologia pomoże odślonić brakujący punkt startowy. Kamienie Drogi i Serca powinny po złożeniu stworzyć w miarę kompletną mapę. Ale misja nie należała do łatwych, co było oczywiście zrozumiałe, zważywszy na bajeczną nagrodę czekającą u celu. Poza tym zadanie skomplikowało się jeszcze bardziej za sprawą ludzi, którzy z dużym oddaniem starali się chronić zaginiony skarb.

Takich jak Frank Breckinridge.

W1973 roku ojciec Diane uznał, że już najwyższy czas odszukać to złoto. Nie było wtedy Internetu, całodobowych kanałów informacyjnych, mediów społecznościowych. Dwaj pracownicy naukowcy mogli się ze sobą spierać do woli. Dziś ich konflikt stałby się pożywką dla niezliczonych stron internetowych. Nie było już mowy o prywatności. Tak czy inaczej wszystko skończyło się, gdy Frank Breckinridge postanowił ukryć kamienie Drogi i Serca.

Jeden z nich wreszcie się odnalazł.

Teraz Grant miał za zadanie namierzyć drugi.

Cisza panująca w mieszkaniu stała się wręcz złowieszczą. Diane złapała się na tym, że wsłuchuje się w odgłosy, na które normalnie nie zwracałaby uwagi: trzeszczenie podłogi, szum w rurach, cichy pomruk telewizora gdzieś w oddali. Ta przestrzeń należała do Alexa i Diane miała wrażenie, że ściany ją obserwują. Jeśli tak, to właśnie były świadkami szokującej sceny pomiędzy nią a Grantem. Fakt, że zabrała go do łóżka Alexa, miał dla niej duże znaczenie symboliczne. Był to wyraz buntu, którego nie miała okazji uzewnętrznić za życia męża.

Czuła się skrzępowana i niespokojna, więc zaczęła krążyć w tę i z

powrotem jak w klatce, próbując opanować nerwy. W głowie ciągle słyszała, jak sprężyny łóżka skrzypią pod ich ciałami. Z jednej strony czuła wstyd i zakłopotanie, z drugiej ulgę i euforię. To ciekawe, że mogły w niej koegzystować tak skrajnie różne emocje.

- To ty byłaś hipokrytą - szepnęła do Alexa.

Nadal nie mogła uwierzyć, że Grant zabił Martina Thomasa. Zachowała jednak swoje obiekcje dla siebie. Być może Kenneth ma rację, twierdząc, że Grant jest lekkomyślny.

Na pewno jednak nie brakuje mu wiary w siebie, więc skoro to zrobił, to widocznie nie było innego wyjścia. Zresztą Grant też miał rację. Gdyby dało się ją jakoś powiązać z tym, co się stało, to już dawno zaczęliby ją ścigać.

A nic takiego nie miało miejsca.

Sprawy szły we właściwym kierunku i Diane czuła się, jakby ktoś zdjął wielki ciężar z jej ramion. Dlatego postanowiła, że nie podzieli się z nikim tym, co powiedział jej Grant.

Ani jej brat, ani Vance nigdy się o tym nie dowiedzą.

I było jeszcze coś, co wołała zachować przed nimi w tajemnicy.

ROZDZIAŁ 49

CASSIOPEIA JECHAŁA RAZEM Z Leą w stronę kopalni.

- Ci rycerze to źli ludzie - powiedziała dziewczyna. - Dotąd nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo źli. Wstyd mi, że niektórzy miejscowi też do nich należą.

- Opowiedz mi o tym.

- Zbierają się raz na jakiś czas. Zawsze wydawało się, że to jak jakiś klub. Okazja, żeby się spotkać, wypić kilka piw, poopowiadać sobie różne historie. Dziadek kilka razy do nich poszedł. Raz właśnie wtedy, kiedy wybrałam się do kopalni z moim przyjacielem, o którym wspominałam.

- Twój dziadek mówił ci coś o tej lokalnej grupie?

Lea pokręciła głową.

- Naprawdę potrafi dochować tajemnicy. Wiesz, że rozmawiał z tobą i panem Malone'em tylko dlatego, że nie chciał, żebym poszła do więzienia za strzelanie do was.

- Rozumiem.

- Teraz pojechał z tymi ludźmi, żeby trzymać ich jak najdalej ode mnie. Powinnam była ich zastrzelić. Ale moja strzelba była tutaj, wwozie.

- A broń twojego dziadka?

- Tamci dwaj mu ją zabrali.

Cassiopeia słyszała szczery żal w głosie dziewczyny.

Zbliżało się południe, świeciło słońce, więc wiedziała, że nie będzie łatwo podjechać pod kopalnię niepostrzeżenie.

- Jest tu jakaś inna droga oprócz tej, którą jechaliśmy wczoraj w nocy?

Lea kiwnęła głową.

- Ale będziemy jechać trochę dłużej.

To da im więcej czasu do namysłu. Wcześniej Cassiopeia zauważyła coś na siedzeniu za nimi.

Łuk i strzały.

- Używasz tego łuku do polowania? - zapytała.

- Próbuję. Ale nie idzie mi najlepiej.

Za to Cassiopeia uwielbiała strzelać z łuku. Ojciec nauczył ją tego, kiedy była dzieckiem, i nigdy nie wyszła z wprawy. W swojej posiadłości zainstalowała tarcze strzeleckie i przez lata zgromadziła imponującą kolekcję tej broni.

Lea wskazała kierunek i skręciły na nieznaną Cassiopei drogę gruntową prowadzącą w głąb lasu. W końcu zatrzymały się na małej polanie.

- Jesteśmy niecały kilometr na północ od kopalni. Podejdziemy od innej strony niż wczoraj. Dostaniemy się tam przez tę przełęcz.

- Ty dalej nie idziesz - oznajmiła Cassiopeia.

- Oczywiście, że idę.

- Nie. Posłuchaj Lea, to nie jest zabawa. Chyba się o tym przekonałaś, kiedy byliśmy tu poprzednim razem. Oni chcieli nas zabić. Wtedy nam się poszczęściło. Twój dziadek poświęcił się, żeby cię chronić. Nie zapominaj o tym. Będę miała większe szanse, jeśli pójdę tam sama.

Wciąż miała przy sobie swój pistolet, ale zabrała też łuk i kołczan ze strzałami z tylnego siedzenia.

- Pożyczam.

- Powinam iść z tobą - nie ustępowała Lea.

- Chcesz, żeby twój dziadek wyszedł z tego cało?

- Oczywiście.

- To pozwól mi robić swoje. Dla ciebie mam inne zadanie. Teraz jest prawie dwunasta. Jeśli nie wrócę za dwie godziny, jedź do biura szeryfa po pomoc. I niech powiadomią Departament Sprawiedliwości.

PRZECISKAŁA SIĘ PRZEZ drzewa i krzewy, nie widząc przed sobą żadnej wyraźnej ścieżki. Droga prowadziła pomiędzy dwoma zalesionymi pagórkami. Lea mówiła, że kopalnia leży za wzniesieniem po

lewej, i rzeczywiście, Cassiopeia już po chwili ujrzała poniżej znajome rozpadające się budynki. Pochyliła się i zeszła w dół po zarośniętym zboczu, a następnie wślizgnęła się między dwa głazy, które dobrze ją zasłaniały, a jednocześnie pozwalały się spokojnie rozejrzeć.

Dwaj mężczyźni ładowali właśnie sztaby złota do dużej furgonetki, która stała z otwartym tyłem. Pod zawalonymi budowlami stało jeszcze trzech innych ludzi. Cassiopeia rozpoznała tylko jedną twarz - Proctora. Za to nie widziała nigdzie Morse'a. Wyglądało na to, że trwa jakaś dyskusja, a potem z zaparkowanego nieco dalej pick-upa do furgonetki przeniesiono coś zawiniętego w ręcznik. To musiał być Kamień Wiedźmy. Następnie dwóch mężczyzn wsiadło do pick-upa i odjechało.

Zostali Proctor i jego dwaj pomocnicy przy furgonetce.

Łuk pożyczony od Lei miał nieco ponad metr długości. Bardzo funkcjonalna konstrukcja stanowiła połączenie drewna, włókna szklanego i stopu magnezu. Był lekki, ważył mniej niż dwa kilogramy. Sprawdziła naciąg - przy pełnym napięciu ciężki jego siła wynosiła dobre trzydzieści pięć kilo. Wystarczy, żeby powalić niedźwiedzia. W kołczanie miała aluminiowe strzały, równie wysokiej jakości co sam łuk.

Założyła jedną z nich i napięła łuk mniej więcej na trzy czwarte pełnego naciągu - przy większej sile strzała przeszłaby na wylot. Celowanie znacznie utrudniały głazy po obu stronach, ale wyobraziła sobie, że jest w swoim zamku, stoi wysoko na murach, przed jednym z otworów strzeleckich. Wycelowała w Proctora, czując, jak lotka strzały lekko dotyka jej policzka. Wzięła głęboki wdech, zacisnęła usta i wolno wypuściła powietrze z płuc.

Jeden z mężczyzn zamknął podwójne drzwi z tyłu furgonetki.

Cassiopeia opuściła łuk.

Odjeżdżali? Niedobrze.

Proctor niespodziewanie wszedł do jednego z zawalonych budynków, znikając jej z pola widzenia. Jego ludzie poszli za nim. Musiała wiedzieć, dokąd zabierają złoto. Zerknęła na swój nadgarstek i wpadła na pomysł, jak upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Opuściła swoją kryjówkę, przewiesiła sobie łuk przez plecy i ostrożnie

zeszła z kamienistego zbocza. Gdy tylko znalazła się na dole, schowała się za pniem grubego drzewa i zaczęła nasłuchiwać.

Cisza.

Nad jej głową pojawiło się stado gołębi, które wykonały ostry zwrot i odleciały.

Cassiopeia nie widziała żadnego z mężczyzn. Przed nią biegła ta sama droga przez ruiny, którą razem z Leą weszły wczoraj do kopalni.

Nagle rozległ się szum prądu.

Na ręku miała zegarek stanowiący przydział każdego agenta Magellan Billet, taki sam jaki nosił Cotton. Miał wbudowany odbiornik GPS, współpracujący ze specjalną aplikacją, dzięki której wczoraj namierzyła w lesie Cottona.

Teraz urządzenie pomoże jej śledzić furgonetkę.

Zdjęła zegarek i podkraśla się do tylnych drzwi, które ludzie Proctora zostawili lekko uchylone. Wsunęła zegarek do środka i umieściła na metalowej podłodze, zaraz za sztabkami złota przykrytymi czarnym brezentem.

Usłyszała za sobą jakieś odgłosy. Ktoś nadchodził.

Szybko schowała się za stosem gruzów.

Ponownie ujrzała tamtych dwóch mężczyzn. Patrzyła, jak zamykają tylne drzwi, wsiadają do szoferki i odjeżdżają.

Odczekała, aż samochód zniknie z pola widzenia, po czym odłożyła łuk i strzały, wzięła do ręki pistolet i ruszyła w stronę wejścia do kopalni.

ROZDZIAŁ 50

COTTON ODNALAZŁ ADRES Franka Breckinridge'a. Niewielki kanciasty budynek stał w spokojnej okolicy w Wirginii. W takich miejscach ludzie spędzali całe swoje życie. Drewniany dom był pomalowany na biało, miał wielką werandę i okna z kwadratowymi szybami. Rick Stamm opowiedział mu wcześniej trochę o Breckinridgeu, który za swoich czasów zdefiniował zakres obowiązków kustosza Zamku. Zanim objął posadę, odpowiedzialność za utrzymanie budynku spoczywała na kilku osobach. Poszczególne zadania przydzielano na chybił trafił, co nie zawsze okazywało się efektywnym rozwiązaniem. Dziś wszystkim zawiadywał jeden człowiek.

Cotton zaparkował na ulicy.

Stamm dał mu kluczyki do swojego samochodu. Zastanawiali się, czy nie powinien z nim pojechać, ale Cotton doszedł do wniosku, że ma większe szanse powodzenia w pojedynkę. Ruszył w kierunku werandy ścieżką wyłożoną starą kostką. Idąc, pocierał zmęczoną twarz. Co prawda przespał się kilka godzin podczas lotu z Arkansas, ale właściwie nie bardzo udało mu się wypocząć.

Drzwi wejściowe były otwarte i tylko siatkowy panel chronił wnętrze domu przed niepożądanymi stworzeniami. Cotton trzykrotnie zastukał w futrynę, zanim na korytarzu rozległy się czyjeś kroki. Twarz, która po chwili ukazała się za siatką, była pociągła i pomarszczona, zaś nad wąskimi, prostymi ustami górował wielki, orli nos. Przydługie siwe włosy sterczały na wszystkie strony, a brodę pokrywał co najmniej dwudniowy zarost.

- Kim pan jest? - zapytał mężczyzna.

- Nazywam się Cotton Malone. Przyszedłem porozmawiać z panem o Instytucie Smithsona.

- Cotton Adams? Kapitanie, to naprawdę pan?

Tego się nie spodziewał. Ale radosny ton i ekscytacja malująca się na twarzy starca wyraźnie świadczyły o tym, że jego umysł egzystował w innym świecie. Demencja? Być może. Albo jeszcze gorzej. Ale właściwie dlaczego nie miałby odrobinę poudawać?

- Tak, proszę pana, to ja. Kapitan Adams.

Drzwi się otworzyły.

- Ależ proszę wejść. Nie powinien pan tak stać na widoku. Zwłaszcza tu, w stolicy, gdzie roi się od żołnierzy Unii.

Wszedł do środka, a Breckinridge wystawił jeszcze głowę za drzwi, czujnie rozglądając się naokoło.

- Chyba jesteśmy bezpieczni - stwierdził starzec. - Wydaje mi się, że nikt pana nie śledził.

Cotton zastanawiał się, jak bardzo oderwany od rzeczywistości jest umysł Breckinridge'a. Trochę go zaniepokoiło, że nikt go nie uprzedził, jak wygląda sytuacja. Może Weston sam o tym nie wiedział? Zadawał sobie pytanie, czy w ogóle warto marnować tu czas. Postanowił jednak dać sobie jeszcze kilka minut.

- Proszę wejść - powiedział Breckinridge, wskazując drogę kościstą dłonią i ruszając po skrzypiącej podłodze.

Malone dał się zaprowadzić do małego pokoiku.

- Niech pan siada, kapitanie, proszę. Musi pan odpocząć. Na pewno jest pan zmęczony po podróży.

- Rzeczywiście jechałem z daleka.

- Aż z Richmond?

- Zgadza się.

Starzec rozsiadł się na tapicerowanym fotelu z podnóżkiem. Cotton zajął miejsce naprzeciwko. Spodziewał się zapachu stęchli- zny i starości, ale wszystko wyglądało zaskakująco czysto i świeżo. Dlatego zapytał:

- Mieszka pan sam?

- Nie, moja żona gdzieś tu się kręci. Julie! Julie! Mamy gościa. Zaparz nam kawy.

Stamm mówił, że żona Breckinridge'a zmarła lata temu, niedługo po

jego przejściu na emeryturę. Miał też syna, który dziś był już oczywiście dorosły. Ale o nim Stamm nie umiał nic powiedzieć.

- Czy jest tu pański syn? - zapytał.

- Och nie. Jest nauczycielem, wyjechał z domu jeszcze przed wojną. Niech pan powie, kapitanie, jak nam idzie na froncie? My tutaj wiemy tylko to, co da się przeczytać w jankeskich gazetach.

Sytuacja się komplikowała. Odpowiedź na to pytanie zależała od tego, w którym momencie historycznym utknął umysł Breckinridge'a. Jeśli myślami cofnął się dalej niż do połowy 1863 roku, siły Południa radzą sobie dobrze. Wygrywają bitwy, śmiało zapuszczają się na północ i na zachód. Wszystko zmieniły bitwa pod Gettysburgiem i oblężenie Vicksburga. Te dwie klęski przypieczętowały los Konfederacji.

Postanowił odpowiedzieć wymijająco.

-Jakoś sobie radzimy. Cały czas idziemy do przodu.

- Czy mogę zapytać o pański przydomek? To prawda, że schował się pan w materacu, pod chorym człowiekiem, i dzięki temu wymknął się pan Jankesom?

-To prawda. To był jedyny sposób i na szczęście się udało.

Breckinridge wybuchnął śmiechem.

- Genialne! Dobra robota. Potrzeba nam więcej takich sprytnych ludzi jak pan. No więc co sprowadza pana do stolicy? Wykonuje pan kolejną misję?

Cotton przytaknął.

- Mamy problem i potrzebuję pańskiej pomocy. Pamięta pan Kamień Serca?

- O tak. - Starzec pokiwał swoją drobną głową. - Oczywiście. To ja go uratowałem.

- Wiem o tym. Dlatego właśnie tu jestem. Musimy go odzyskać.

- My, czyli kto?

- Przysłał mnie prezydent Davis.

Cotton liczył na to, że w ten sposób doda sobie autorytetu. Ale Breckinridge splunął na podłogę.

- Cholerny głupiec. Przez niego stracimy wszystko. Przejmuje się

nieznaczącymi szczegółami i nikomu nie pozwoli sobie pomóc. Ludzie go nie znoszą. Nigdy nie zrozumieję, dlaczego nieustannie walczy z gubernatorami stanowymi. W ten sposób tylko napyta sobie biedy.

Fascynujące, że tak chory umysł mógł jednak zachować pewną bystrość. Wszystko, co mówił Breckinridge, zgadzało się z faktami historycznymi.

- Widzę, że jest pan na bieżąco.

- Słyszę to i owo. W mieście jest sporo szpiegów takich jak pan. Niech pan powie, czy skierował mnie do pana Joseph Henry?

Cotton skinął głową, dodając:

- Sekretarz powiedział, że wie pan o wszystkim.

- Dał mu pan klucz?

Klucz ceremonialny z Instytutu? Musiał improwizować.

-Tak.

- Był pan tam, kiedy w Zamku wybuchł pożar, prawda? Jak to wyglądało?

Wiedza tego człowieka była naprawdę imponująca.

- Niezwykły widok. I bardzo smutny.

- Nie wątpię. Ale obróciło się to na pańską korzyść. Dobrze się pan spisał, kapitanie. Pański dziennik jest bezpieczny. Osobiście go ukryłem.

Cotton przypomniał sobie o udziale Angusa Adamsa w ekspedycji na południowy zachód w 1854 roku i dzienniku, który prowadził podczas wyprawy.

Dzienniku, który dawno temu zaginął.

- Mówiąc między nami - dodał Breckinridge - nie ufam ludziom w Zamku Smithsona. Myślę, że są pod wpływem władz Unii.

Cotton postanowił pójść tym tropem.

- Prezydent Davis chciałby odzyskać również mój dziennik.

Wodniste oczy starca zwięzły się.

- A skąd mam wiedzieć, że mogę panu zaufać?

- Nie może pan tego wiedzieć.

- Szczwany z pana lis, kapitanie - roześmiał się znów Breckinridge. Cotton dostrzegł błysk w jego oku. - Co pan powie na mały test?

Niestety nie miał wyboru.

- Słucham.

- Niech pan wymieni nazwy wszystkich kamieni.

Na szczęście pytanie nie było trudne.

- Kamień Wiedźmy, Konia, Drogi, Serca i Alfa.

- Świetnie, kapitanie. Skoro jest pan w mieście, czy chce się pan zobaczyć z komandorem Zakonu?

Z komandorem? To coś nowego.

-Jak najbardziej.

- Mogę umówić pana na spotkanie. Bez obaw, gwarantuję pełną dyskrecję.

- Gdzie mogłoby się to odbyć?

- W tej jego cholernej Świątyni Sprawiedliwości. On i tak prawie się stamtąd nie rusza. - Starzec pochylił się do przodu. - Mówiąc między nami, kapitanie, nie ufam komandorowi. Twierdzi, że jest jednym z nas, ale ja nie jestem przekonany. Ten jego krąg włosów wokół łysej głowy za bardzo upodabnia go do zakonnika. Musimy być ostrożni. Bardzo ostrożni. Spójrzmy prawdzie w oczy, ta wojna już jest przegrana. Obaj to wiemy. Nie było powodu, żeby ją w ogóle zaczynać. Można było podejść do tego inaczej. Do diabła, Południe miało w swoich rękach Sąd Najwyższy. Niech pan spojrzy na proces Dreda Scotta,² sąd opowiedział się w stu procentach po naszej stronie. Niewolnicy to nie ludzie, tylko towar. Nawet Lincoln, kiedy zaprząsęgali go po raz pierwszy, obiecał, że nie zniesie niewolnictwa. Mieliśmy tylko zachować jedność państwa. Ale nie. Głupcy i narwańcy za wszelką cenę chcieli wojny.

- Mówi pan, że był inny sposób? - postanowił zapytać Cotton.

Breckinridge wycelował w niego palec.

- A żeby pan wiedział! I gdyby ten osioł Davis posłuchał dobrej rady, mogliśmy zrobić to wszystko w ramach istniejącego prawa. Ale wtedy

² Dred Scott - czarny niewolnik, który w połowie XIX wieku bezskutecznie próbował wywalczyć wolność na drodze sądowej, w tym przed Sądem Najwyższym (przyp. tłum.).

nikt nie chciał nas słuchać. Jeff Davis za bardzo faworyzuje swoich przyjaciół. Nie umie się dogadać z kimś, kto ma inne zdanie, i nie ma zielonego pojęcia o dowodzeniu armią. Przyznaję to z bólem, ale Lincoln jest dużo lepszym dowódcą.

Wszystko to również zgadzało się z prawdą historyczną.

-Wojna niedługo dobiegnie końca - ciągnął Breckinridge. - A kiedy to się stanie, będziemy musieli kontynuować naszą walkę. Mam jednak poważne wątpliwości co do komandora. Jak mówię, nie ufam mu.

Cotton postanowił wrócić do tego, co w tej chwili było naprawdę ważne.

- Wszystko, co pan mówi, to prawda, i właśnie dlatego tu jestem. Wojna jest już przegrana. Ale zanim będzie za późno, muszę odzyskać Kamień Serca oraz mój dziennik.

GRANT ZBLIŻYŁ SIĘ do tylnych drzwi domu swojego ojca. Podjeżdżając, zobaczył samochód zaparkowany przy krawężniku, co samo w sobie nie było niczym niezwykłym - wielu ludzi w tej części miasta zostawiało samochody na ulicy. Jego podejrzliwość wzbudziła natomiast przepustka z Instytutu Smithsona umieszczona za przednią szybą. Dlatego skręcił w następną przecznicę, zaparkował i przybiegł z powrotem wąską alejką, która oddzielała dom jego ojca od sąsiedniej działki.

Ostrożnie wszedł na ganek pod tylnymi drzwiami.

COTTON CZEKAŁ NA reakcję Breckinridge'a.

- Kamień Serca jest bezpieczny, i to od dawna. Tak samo pański dziennik. Osobiście o to zadbałem. Nie obyło się bez komplikacji. Byli ludzie, którzy chcieli wykorzystać jedno i drugie do zlokalizowania krypty. Jankesi chcą naszego złota. Aleja powstrzymałem ich zakusy. Może pan przekazać Jeffowi Davisowi, że nie ma żadnych powodów do zmartwienia.

- Potrzebuję więcej informacji. Po to tu przyjechałem.

Starzec siedział wyprostowany jak struna, z łokciami na oparciach, jak skazaniec czekający na uruchomienie krzesła elektrycznego.

- Dlaczego Davisowi tak na tym zależy?

- Nie jestem od tego, żeby kwestionować decyzje prezydenta.

- Dlaczego nie? Davis najpierw zlecił wykonanie pięciu kamieni, a potem rozkazał je ukryć. Całe to wariactwo to był jego pomysł.

- Teraz chce je z powrotem.

- Kłamie pan, kapitanie - powiedział Breckinridge, wyciągając oskarżycielsko palec.

Malone zastanawiał się, ile ten schorowany człowiek może wiedzieć o Angusie Adamsie. Najwyraźniej dostatecznie dużo, żeby znać przydomek Cotton. Warren Weston też z pewnością sporo o nim wiedział. Być może obaj czerpali swoją wiedzę z tego samego źródła.

Z archiwów Instytutu Smithsona.

Postanowił okazać oburzenie i przybrać nieco wyraźniejszy południowy akcent.

- Drogi panie, wypraszam sobie podobne insynuacje. Jestem oficerem armii Konfederacji i nigdy nie okłamałbym drugiego dżentelmena. Przysłał mnie prezydent Skonfederowanych Stanów Ameryki, abym odzyskał swój dziennik oraz Kamień Serca. Na jego rozkaz ma pan mi zdradzić miejsce ich ukrycia.

Breckinridge milczał.

Po chwili podniósł ze stolika obok niewielki notes i długopis. Cotton patrzył, jak starzec pisze, przeskakując w tę i z powrotem pomiędzy dwoma kartkami, jakby coś układał. Wreszcie skończył, oderwał jedną kartkę i dał mu ją do ręki.

- Niech pan to udowodni, kapitanie. Proszę to rozszyfrować.

GRANT SŁUCHAŁ DZIWCZNEJ wymiany zdań pomiędzy jego ojcem i jakimś mężczyzną. Jego głos wydał mu się znajomy.

To ten człowiek, który gonił go w sali ze skamielinami.

Udało mu się bezszelestnie wślizgnąć do kuchni, skąd słyszał całą rozmowę. Jego ojciec cofnął się w czasie, a ten facet dobrze odgrywał

swoją rolę. Właściwie szło mu całkiem niezle, wyciągnął z jego ojca więcej, niż on sam kiedykolwiek zdołał. Skąd on się tu wziął? Najbardziej niepokojący był fakt, że wiedział nawet o Kamieniu Serca.

I przyszedł w konkretnym celu.

COTTON SPOJRZAŁ NA kartkę, którą wręczył mu jego gospodarz. Widniał na niej ciąg liter.

ADEŁB EJ1M ANED MOTS DOPA

Niemal się uśmiechnął. I z rozrzewnieniem pomyślał o swoim dziadku.

W wieku dwunastu lat uczył się konfederackich szyfrów, które nie mogły być zbyt skomplikowane, ponieważ powstały w czasach, kiedy większość ludzi wciąż nie umiała czytać i pisać. Najczęściej stosowano proste schematy przestawiania liter. Dzisiaj tego rodzaju szyfry łamano by w kilka minut. Razem z dziadkiem często bawili się w tworzenie zakodowanych wiadomości, w czym bardzo pomagała mu jego ejdetyczna pamięć. To, co miał teraz przed oczami, to nawet nie tyle kod, co rozsypane litery, które miały zmylić osoby niepowołane.

- Mogę pożyczyć notes? - zapytał.

Breckinridge oderwał drugą zapisaną kartkę i podał mu cały notes.

W pierwszej kolejności zapisał pięć „słów” w odwrotnej kolejności.

DOPA MOTS ANED EJ1M ADEŁB

Następnie połączył wszystko w jeden ciąg.

DOPAMOTSANEDEJ1MADEŁB

Teraz ponownie odwrócił całość.

BŁĘDAMIJEDENASTOMAPOD

I natychmiast ukazały mu się trzy słowa.
Miał rację. Zwykła przestawianka.
Wystarczyło już tylko jeszcze raz zamienić kolejność i wiadomość stała się jasna.

POD JEDENASTOMA BŁĘDAMI

Zapisał odpowiedź w notesie i oddał go gospodarzowi.
Breckinridge pokiwał głową.

- Dobra robota. Tam właśnie znajdzie pan Kamień Serca.
- A co z moim dziennikiem?
- Wszystko po kolei, kapitanie. Wszystko po kolei.

ROZDZIAŁ 51

DANNY DOWIEDZIAŁ SIĘ czegoś interesującego. Kiedy wymienił nazwiska ludzi, których widział przy stolikach w Willard Room, jego nowa szefowa kancelarii natychmiast dostrzegła wspólny mianownik.

- To członkowie Komisji Regulaminowej - powiedziała. - Wszystkich mianował przewodniczący Izby.

Dlaczego Vance postanowił zaprosić na lunch swoich własnych ludzi? Nie musiał się im przecież podlizywać. Danny przypomniał sobie coś, co napisał Ian Fleming w jednej z powieści o Jamesie Bondzie. „Raz to zbieg okoliczności. Dwa razy to przypadek. Trzy razy to działanie wrogich sił”. Dobra rada ze strony pisarza wykształconego przez brytyjskie służby wywiadowcze. Ten obiad w hotelowej restauracji odbył się nie bez przyczyny i wszystkie znaki na niebie i ziemi mówiły, że miało to związek z planami Vance’a. Spiker Izby Reprezentantów był niewątpliwie wytracony z równowagi jego niespodziewaną wizytą. Nie mogło być inaczej. Tak więc jeden wąż już pewnie wychynął spomiędzy płonących krzaków. Vance na pewno zadzwonił do Diane, żeby omówić sprawę, i oboje zachodzili w głowę, skąd Danny znał przebieg ich prywatnej rozmowy. Diane z pewnością odkryła już, że notatnik zniknął, a kiedy usłyszała rewelacje Vance’a, stało się oczywiste, kto jest głównym podejrzanym. I tak z zarośli został wypłoszony również drugi z węży.

Ogólnie rzecz biorąc, całkiem niezły początek pierwszego dnia na fotelu senatora.

Danny musiał jednak dowiedzieć się więcej.

Dlatego wyszedł ze swojego biura w Gmachu Dirksena, złapał taksówkę i pojechał w kierunku parku National Mail. Dziwnie się czuł, przemierzając ulice Waszyngtonu w pojedynkę; do niedawna nie mógł

nawet opuścić swojego gabinetu bez całego tłumu agentów służb specjalnych, którzy nie odstępowali go na krok. Jego nowa szefowa kancelarii po raz kolejny udowodniła swoją obrotność, kontaktując się ze swoim odpowiednikiem w biurze kongresmana z Teksasu, Paula Frizzella. Danny od dawna znał Paula i choć należeli do różnych partii politycznych, łączyła ich przyjaźń. Widział go w Willard Room przy jednym ze stolików. Gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, Paul puścił do niego oko. On także zaliczał się do grona weteranów - to była jego piąta czy szósta kadencja. W Izbie Reprezentantów liczyły się przede wszystkim staż i doświadczenie, dlatego udało mu się zdobyć naprawdę atrakcyjną posadę członka Komisji Regulaminowej. Jak to powiedział Ben Franklin? „Pracowitość jest matką fortuny”. Święte słowa. A teraz Danny emu również udało się uszczknąć odrobinę przychylności losu, dzięki temu, że Frizzell pojawił się na właściwym miejscu we właściwym czasie.

Taksówka wjechała na Independence Avenue i zatrzymała się przy wejściu do Narodowego Muzeum Lotnictwa i Astronautyki. Danny zapłacił taksówkarzowi, który wyglądał na wyjątkowo podekscytowanego faktem, że na tylnym siedzeniu wiezie byłego prezydenta. A kiedy dodatkowo wręczył mu napiwek w wysokości dziesięciu dolarów, kierowca wpadł w jeszcze większy zachwyty.

Był ciepły, wiosenny dzień. Dochodziła szesnasta. W środku panował spory tłok. Wszędzie aż roiło się od zwiedzających, co nie mogło dziwić w przypadku jednego z najczęściej odwiedzanych muzeów świata. Prawdę mówiąc, ze wszystkich placówek należących do Instytutu Smithsona Danny najbardziej lubił właśnie to miejsce. Zawsze interesował się kosmosem. Z zafascynowaniem śledził programy kosmiczne Mercury, Gemini i Apollo i do dziś pamiętał, gdy jako nastolatek siedział wieczorem przed ekranem telewizora i oglądał lądowanie Neila Armstronga na Księżycu. Kiedy urzędował w Białym Domu, przeznaczał spore środki na finansowanie NASA, o wiele większe niż wszyscy jego poprzednicy. Ciekaw był, jak dobrze będzie wiodło się agencji za administracji Foxa.

Skreślił w prawo i ruszył w kierunku wystawy Wyciąg kosmiczny, próbując ignorować zaciekawione spojrzenia zwiedzających. Wszedł do sali, gdzie stały naturalnej wielkości rakiety z Niemiec, Ameryki i Rosji. Znał nazwę każdej z nich: V-2, Viking, Minuteman, Jupiter-C. Największe wrażenie robiła potężna stacja orbitalna Skylab. Na drugim końcu sali, tuż obok wejścia do części gastronomicznej, znajdował się moduł księżycowy. Łącznie sześć takich lądowników było z astronautami na Księżycu. Akurat ten tutaj to model zapasowy, który z powodu krótkowzroczności ówczesnych polityków nigdy nie poleciał w kosmos. Frizzell stał pod ścianą, oglądając wystawę. Danny wiedział, że Paul, podobnie jak on, miał fioła na punkcie kosmosu, i właśnie z tego powodu wybrał na spotkanie to, a nie inne miejsce.

Podszedł do starego przyjaciela i uściśnął mu dłoń.

- Moje gratulacje, panie senatorze - powiedział Paul. - Pięknie udało ci się zgarnąć tę nominację.

Danny postanowił od razu przejść do rzeczy.

- Twój dzisiejszy lunch i moja nominacja są ze sobą powiązane.

- Widziałem, że ty i przewodniczący nie pałacie do siebie miłością. Ale to żadna nowość.

- Fakt. Ale tym razem sytuacja jest inna. Chodzi o Alexa.

Paul także przyjaźnił się z Alexem Sherwoodem.

- To straszne, co się stało - powiedział Paul. - Dobry był z niego człowiek. Umarł o wiele za wcześnie.

Danny zaprowadził Paula do sąsiedniej galerii zatytułowanej Poza granice Ziemi, gdzie znajdowały się kolejne wielkoformatowe modele i repliki pojazdów kosmicznych. W tym pomieszczeniu przebywało mniej ludzi. Politycy stanęli w rogu, przy wystawie kosmicznych skafandrów.

- Wyjaśnienie śmierci Alexa nie trzyma się kupy - powiedział Danny. - Wybrał się na przechadzkę i spadł w przepaść? Przecież on całe życie chodził po tych górach. Nie mogę wdawać się w szczegóły, ale uwierz mi, że ta sprawa może budzić poważne wątpliwości. Na tyle poważne, że gubernator Tennessee przysłał mnie tu, żebym spróbował je wyjaśnić.

Znowu czuł się jak dawny Danny, nieprzebiegający w słowach i walący

prosto z mostu.

- Co to ma wspólnego ze mną? - zapytał jego przyjaciel.

- Vance jest w to zamieszany. Wiem, że planuje coś dużego. Nie wiem tylko co. Ale założę się, że ty wiesz.

Frizzell spojrział na niego zatroskany.

- Nawet gdyby tak było, nie mógłbym ci powiedzieć.

- Tamto spotkanie w Willard miało coś wspólnego z tym, o czym mówię, prawda?

- Danny, zdajesz sobie sprawę, w jak trudnym położeniu mnie stawiasz?

Owszem. Aby móc dostać się do prestiżowej Komisji Regulaminowej, członek partii rządzącej musiał posiadać dwie cechy: wieloletnie doświadczenie oraz niezachwianą lojalność wobec spikera Izby Reprezentantów. To pierwsze stanowiło obiektywny fakt, ale to drugie należało nieustannie potwierdzać, dzień za dniem. Gdyby Paul Frizzell choćby pomyślał o złamaniu tej świętej zasady, byłoby to równoznaczne z polityczną zdradą.

- Rozumiem, Paul - odparł Danny. - Wiem, że proszę o wiele. Ale znamy się od dawna, a ty w dalszym ciągu nie przerwałeś tej rozmowy. Widzę to w twoich oczach. Coś się dzieje.

Milczenie Frizzella tylko potwierdziło jego przypuszczenia.

A jego stary przyjaciel ewidentnie zmagął się z jakąś bolesną, ale nieodpartą myślą.

Dlatego nie odpuszczał.

- Pozwól, że opowiem ci pewną historię. Kilka lat temu wybrałem się na polowanie z prezydentem Bułgarii. Przez cały dzień chodziliśmy dwójkami. Wieczorem jeden z bułgarskich myśliwych wrócił sam, uginając się pod ciężarem jelenia z pięknym porożem, ósmakiem. Naprawdę solidny okaz. Zapytaliśmy, gdzie jego partner, i dowiedzieliśmy się, że złamał kość w stopie i został na szlaku, kilka kilometrów wcześniej. Prezydent zapytał go, dlaczego zostawił partnera i przyniósł zwierzynę. Facet nawet się nie zastanawiał. Odpowiedział, że partnera nikt mu nie ukradnie. Tak samo jest z tobą, Paul. Nikt cię nie ukradnie. Razem to

przetrwamy.

- W porządku, Danny - szepnął jego przyjaciel.

I opowiedział mu, co planuje Lucius Vance.

ROZDZIAŁ 52

DIANE SIEDZIAŁA W SALONIE i zastanawiała się, co powinna zrobić. Alex właśnie wyszedł na swoją popołudniową przechadzkę, wcześniej się kłócili. Przez jej brata znaleźli się w naprawdę trudnym położeniu. Alex mógł zniweczyć wszystkie ich dotychczasowe wysiłki. Skąd Kennethowi przyszło do głowy, że znajdzie w nim sprzymierzeńca? Przecież znał Alexa tak samo długo jak ona i powinien zdawać sobie sprawę z różnych słabości swojego szwagra. Trzy lata pracy miały właśnie pójść na marne. A to oznaczało, że nie będzie radykalnych zmian w Kongresie i że nie znajdą zaginionego złota. Za to Alex nadal pozostanie senatorem i poważanym dżentelmenem z Tennessee. Jego kariera polityczna będzie trwała w najlepsze. Dalej będzie narzekał na Waszyngton, wyrażał swoje poparcie wobec wszystkich, którzy zgłaszają podobne obietnice, a potem i tak nie zrobi nic, żeby cokolwiek zmienić.

Potwornieją to irytowało.

Wstała z fotela, otworzyła przeszklone drzwi, wyszła na taras i skierowała się do lasu. Znalazła szlak wiodący na wzgórze, wydeptany przez Alexa podczas jego licznych wędrówek. Pokonała tę trasę zaledwie kilka razy w życiu. Gdy wspinana się po zboczu, nagle rozjaśniło się jej w głowie i odsunęła od siebie wszelkie wątpliwości. Stąpała ostrożnie, uważając na chybotliwe kamienie. Wznoszące się dookoła niej drzewa rosły tak gęsto, że tworzyły nad głową swoisty baldachim, przez który przebijały się tylko pojedyncze promienie słońca. W jej nozdrza uderzył intensywny, niemal gryzący zapach liści. Cały las wypełniał świergot ptaków. W powietrzu czuło się powiew wiosny, uwalniającej góry z zimowego chłodu. Diane lubiła tę porę roku, choć jeszcze lepiej czuła się latem. Zima działała na nią depresyjnie. Jej życie w jakimś sensie odzwierciedlało ten cykl: po długim okresie chłodu zaczynała wreszcie zmierzać w stronę ciepła.

Gdy wyszła zza zakrętu, ujrzała Alexa.

Zobaczył ją z daleka i lekkopostukał swojąfajką o pień drzewa.

-Jeszcze coś, Diane? Czy nie powiedzieliśmy sobie wszystkiego w domu?

Przez chwilę zastanawiała się, jak to możliwe, że człowiek tak kompetentny w kwestiach wagi państwowej zupełnie nie potrafi obchodzić się z własną żoną.

- Kilka tygodni temu przeprowadzono sondaż. Wykazał, że siedemdziesięciu pięciu procentom Amerykanów nie podoba się to, jak rządzony jest ten kraj. I nie chodziło wcale o ludzi, którzy teraz sprawują władzę.

W sondażu pytano o same organy państwowe. To oznacza, że przytłaczająca większość nie jest zadowolona z obecnego systemu. Zamierzamy zaoferować tym rozczarowanym ludziom alternatywne rozwiązanie.

- Zamierzacie przeprowadzić rewolucję. Która wyniesie na sam szczyt jednego człowieka, spikera Izby Reprezentantów. Stanie się praktycznie imperatorem. A to coś zupełnie innego.

- Może czas zweryfikować, czy inny system nie sprawdziłby się lepiej?

- Vance próbował zostać prezydentem i został odrzucony przez własną partię. Nie przeszedł nawet przez prawybory w Iowa. W jego okręgu wyborczym mieszka może dwieście tysięcy ludzi. A w całym kraju trzysta milionów. Jeden kongresman, zjednego okręgu wyborczego, nie powinien nigdy dzierżyć takiej władzy, jaką ty chcesz mu dać.

- Senatorowie mają właśnie taką władzę. Używają jej każdego dnia. Jesteś zazdrosny ?

Alex zaśmiał się cicho.

-Nie. Jestem zaniepokojony. Owszem, mamy obstrukcjonistów i nasze drogocenne procedury, które są nieustannie nadużywane. Ale w tym mechanizmie są wbudowane zabezpieczenia. Sześćdziesięciu senatorów może przegłosować zamknięcie każdej debaty. Przewodniczący może nie dopuścić senatora do mównicy. Są sposoby, żeby powstrzymać takie sytuacje. W tym, co ty proponujesz, nie ma żadnych hamulców, żadnej asekuracji. Takie niepohamowane zmiany przyniosą więcej szkód niż pożytku.

Diane od jakiegoś czasu czuła narastającą presję z powodu tego, co zbliżało się wielkimi krokami. Zostawiła całą przeszłość za sobą. Teraz

liczyła się tylko przyszłość. Niezbędną częścią tego procesu było uświadomienie sobie, że jej wieloletnie małżeństwo znalazło się w martwym punkcie. Ich związek sprowadzał się do tego, że dzielili ze sobą wspólną przestrzeń. Wszelkie kontakty fizyczne, zawsze niezbyt intensywne, już dawno całkiem ustały. Brak intymności doprowadził do braku wzajemnego szacunku. Pożądanie miało swoje plusy, ale także sprawiało, że człowiek łatwiej podejmował złe decyzje.

Przez jej głowę przebiegała cała seria coraz bardziej ponurych myśli. Szczególnie jedna majaczyła groźnie na skraju jej umysłu, jak obcy, który nie wie, czy jest mile widziany, ale mimo to nie rusza się z miejsca.

Stali obok siebie na skalistym urwisku.

Alex niespiesznie nabił fajkę tytoniem i zapalił. Potem zgasił zapałkę i wyrzucił ją do rzeki płynącej pięćdziesiąt metrów pod nimi.

- Był u mnie Warren Weston - oznajmił pomiędzy pyknięciami.

Tego Diane nie wiedziała.

- Powiedział, że nadużywasz swojej pozycji w Komisji Doradczej Bibliotek Instytutu Smithsona. Wbrew przepisom kazałaś jednemu z pracowników szperać w zastrzeżonej sekcji archiwum. Czy to prawda?

Miała dość tego tonu, godnego dyrektora przesłuchującego uczennicę.

- Prawda.

- Chce, żebyś odeszła z komisji.

- Jaka szkoda, że większość z nas nigdy nie dostaje tego, czego chce.

- Mówił, że jeśli sama nie zrezygnujesz, podejmiemy kroki, żeby cię usunąć.

- A ty się z nim zgadzasz?

Alex pokręcił głową z niechęcią, ale i pewną satysfakcją. Następnie, jakby chcąc podkreślić, że nie ma z jej działaniami nic wspólnego, odsunął się od niej, nadal pochłonięty swoją fajką. Palił wyłącznie w samotności i zawsze na zewnątrz, zazwyczaj na tarasie. Ponieważ Diane nie miała najmniejszego zamiaru odejść z komisji doradczej, zapytała o coś, co naprawdę chciała wiedzieć.

- Kim ona jest, Alex?

Odwrócił się w jej stronę.

- Skoro już rozmawiamy otwarcie? - Przerwał na chwilę. - Poznałem ją

zupełnie przypadkiem i okazała się kimś wyjątkowym.

- Kochasz ją?

- Tak.

- Zamierzasz się ze mną rozwiąć?

- Jeszcze nie teraz. Ale kiedy upłynie moja kadencja w Waszyngtonie, tak, nasze małżeństwo również powinno się zakończyć.

W ciągu ostatnich dwóch godzin jej wygodny, poukładany świat został wyrócony do góry nogami, a ona musiała stawić czoło bardzo nieprzyjemnym faktom. Najpierw notatnik Kennetha i obiekcje Alexa. Teraz inna kobieta. Ciężar tych porażek niemal przygniatał ją do ziemi. Nie wspominając nawet o osobistym poczuciu odrzucenia. Jej przekonania, jej aspiracje zostały ciśnięte w kąt, jakby to, co on uważał, było w jakiś sposób nadrzędne.

Doprowadzało ją to do szału.

Uporczywa myśl w jej głowie zrobiła krok naprzód. Diane miała wrażenie, że unosi się nad krawędzią ciemnej otchłani, nie wiedząc jeszcze, czy skoczy, czy zostanie na twardym gruncie.

Ostatnio często jej się to zdarzało.

Czuła się tak, kiedy Kenneth przyszedł do niej z prośbą o pomoc. Albo kiedy dwaj różni mężczyźni złożyli jej propozycję, a ona przyjęła ich obu. Albo gdy udało się jej nakłonić Alexa, żeby załatwił jej miejsce w komisji doradczej. Za każdym razem zdecydowała się skoczyć.

Ale tym razem było inaczej.

Teraz toczyła się gra o wszystko.

Nie zamierzała nigdy więcej tłumić w sobie irytacji wywołanej jego zakłamaniami. Sytuacja wymagała rozwiązania znacznie bardziej radykalnego niż te, które stosowała do tej pory. Na szczęście w drodze na górę całkiem zostawiła za sobą strach i zwątpienie, ponieważ chciała stanąć przed nim z niezachwianą pewnością siebie. Najpierw jednak musiała jeszcze o coś zapytać.

- Rozumiem, że nie miałabym nic do powiedzenia w kwestii rozwodu?

- Wyobrażam sobie, że z zadowoleniem przyjęłabyś moją decyzję. Zwłaszcza po tym, jak przyznałaś się, że spałaś z dwoma mężczyznami.

- O których ty nawet nie zapytałeś.

Pociągnął dym z fajki.

- Bo zwyczajnie jest mi to już obojętne.

- Masz rację -przyznała. - Nasze małżeństwo się skończyło. Więc dlaczego nie możesz zostawić mnie w spokoju i nie wtrącać się w to, co robimy?

- Ponieważ to niemożliwe, i dobrze o tym wiesz.

Mówiąc to, emfaticznie machnął fajką.

To była jej ostatnia oferta. Podeszła bliżej do krawędzi i spojrzała w dół, na spieniony potok, który napełniły wiosenne deszcze. Na całej długości z wody wystawały kamienie, wygładzone i stępione przez nieustępliwy strumień. Diane pomyślała o swoim ojcu i wszystkich jego niewykorzystanych szansach. O ostatnich dziesięciu latach swojego życia, pustych i niespełnionych. Nauczyła się jakoś sobie radzić, siedzieć cicho i godzić się ze wszystkim. Być posłuszną żoną zawodowego polityka. Ale od trzech lat pracowała nad własnym projektem. Pomyślała o tym, jak przyjęłaby teraz porażkę, i dzięki temu zrobiła coś, czego nie robiła już od bardzo dawna.

Rozplakała się.

Ostatni raz płakała na pogrzebie swojego ojca.

Na tę myśl opuściła głowę, zakryła dłonią oczy i zaczęła jeszcze bardziej szlochać.

Alex zbliżył się do niej, objął ją i przyciągnął do siebie. Nie opierała się. Położyła głowę na jego ramieniu.

- Przykro mi, Diane. Naprawdę. Chciałbym móc zachować milczenie. Ale nie mogę.

- Wszystko zepsułam - wydusiła przez łzy.

Alex wolną ręką poklepał ją po ramieniu, próbując ją pocieszyć, ale ten protekcyjalny gest tylko ją rozwścieczył. Wolno odsunęła się od niego i w pełni dopuściła do siebie tę śmiałą myśl, która nagle rozgościła się w samym środku jej umysłu.

Rzuciła się do przodu, uderzając Alexa ramieniem w klatkę piersiową i odrywając go od ziemi. Głowa odskoczyła mu do tyłu i zachwiał się, próbując odzyskać równowagę. Diane spojrzała mu głęboko w oczy, jej źrenice zabłyśły jak latarnie, wargi bezgłośnie się poruszyły. On nadał

trzymał w ręku swoją fajkę. Jego twarz wyrażała bezgraniczne zdumienie.

Zepchnęła go w przepaść.

Spadał kilka sekund, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Diane rozejrzała się naokoło, ale w pobliżu nie było nikogo. Cały teren w promieniu wielu kilometrów należał do Alexa. Z impetem uderzył w wodę, prąd na chwilę go unióśł, a potem wepchnął w głębinę, i tak raz po raz. Rzeka zdawała się okrutna, tak jak ona, szarpała go z coraz większą mocą. Upadek musiał połamać mu kości i woda szybko go pochłonęła, z głośnym, brutalnym hukiem porywając jego bezradne ciało.

Diane wróciła myślami do teraźniejszości. W dalszym ciągu siedziała w mieszkaniu Alexa. Pamiętała, jak tamtego dnia szła z powrotem do domu. Weszła przez garaż i stała w ciszy niemal przez godzinę, z drżącymi rękami, przelatykając strach, zastanawiając się, czy ktoś ją widział. Przed oczami wciąż miała Alexa machającego rękami w wodzie, z otwartymi ustami, rozpaczliwie łapiącego powietrze. Przerażeniem najbardziej napełniało ją nie to, co zrobiła, ale to, że mogłaby zostać złapana. Kiedy kilka godzin później przyjechał szeryf, żeby poinformować ją, że znaleźli ciało, musiała z całych sił walczyć, żeby nie okazać po sobie ulgi. Nic nie wskazywało na morderstwo i nikt ani trochę jej nie podejrzewał.

Nie było żadnych świadków. Cały świat postrzegał ją jako kobietę, która straciła męża w wyniku tragicznego wypadku. Fakt, że był on wieloletnim senatorem, tylko potęgował ogólną żalobę.

Co Diane w pełni wykorzystała podczas pogrzebu.

Odetchnęła głęboko i wzięła się w garść, po raz kolejny rozkoszując się niesłychanym poczuciem ulgi, które ogarnęło ją w dzień, gdy zginął Alex. To wszystko to już przeszłość. Natomiast przyszłość należała do niej, była w zasięgu ręki.

Rozległ się dzwonek komórki, który zabrzmiał jak syrena alarmowa.

Na ekranie wyświetliło się nazwisko Luciusa Vance'a.

Odebrała telefon.

- Musimy pogadać, jak najszybciej -powiedział. -W cztery oczy.

Słyszała nerwowość w jego głosie i poczuła się nieswojo.

-Jestem w mieście, w mieszkaniu Alexa. To idealne miejsce.

- Podaj mi adres. Już jadę.

ROZDZIAŁ 53

GRANT POCZEKAŁ, AŻ nieznajomy wyjdzie z domu. Słyszał wszystko. Jego ojciec zapisał jakąś zakodowaną wiadomość, a ten facet z Instytutu Smithsona - ojciec nazywał go kapitanem Adamsem - złamał szyfr i ją odczytał.

I to w niezłym tempie.

Wiadomość rzekomo miała go doprowadzić do Kamienia Serca.

Później gość nie został już długo. Ojciec Granta dalej bredził coś o historii. W końcu drzwi frontowe się otworzyły, potem zaś z hukiem zamknęły. Grant został w kuchni, dopóki nie rozległ się warkot silnika, a następnie kroki ojca wracającego do swojego pokoju. Nie przyniósł ze sobą munduru, więc może powinien po niego wrócić do samochodu. Ale właściwie po co? To, czego chciał się dowiedzieć, jego ojciec właśnie wyjawiał jakiemuś obcemu człowiekowi. Mógł więc po prostu siłą wycisnąć ze starca te same informacje.

Był wkurzony do granic możliwości. Prze dwa lata musiał znosić ten absurd, wyciągając kolejne fakty kawałek po kawałku, nigdy w całości. Teraz, gdy przekonał się, że jego ojciec rozumuje na tyle jasno, że może za pomocą zaszyfrowanej notki zdradzić miejsce, gdzie znajduje się Kamień Serca, jeszcze bardziej wezbrała w nim wściekłość. Dodatkowo podsyciła ją nowa informacja, coś o jakimś dzienniku, o którym nigdy wcześniej nie słyszał, a który wydawał się całkiem istotny.

Wybiegł z kuchni i wpadł do pokoju.

- Co to ma znaczyć? - zapytał na jego widok ojciec.

Grant zastanawiał się, czy jego twarz zdołała się przebić przez mgłę.

- Wiesz, kim jestem?

- Nie wiem, proszę pana. Przyjechał pan razem z kapitanem? On właśnie wyszedł.

- Nie, staruchu. Jestem twoim synem, do cholery. Nie możesz chociaż raz mnie pamiętać?

Ojciec wlepił w niego puste, zobojętniałe oczy. Grant przeszukał wzrokiem pokój, wypatrując notesu, który przed chwilą był przekazywany w tę i z powrotem.

Ale nigdzie go nie widział

- Gdzie ten papier, na którym pisaliście?

- To była sprawa pomiędzy kapitanem a mną. Tylko dla wtajemniczonych.

Ciekawe, w jaki sposób działała dziś jego pamięć krótkotrwała.

- Powiedz mi o tym kodzie.

- Podśłuchiwałeś nas? Przyznaj się, chłopcze, szpiegowałeś?

- Pytam ostatni raz. Gdzie ten notes?

Jego ojciec nie odpowiedział.

Grant złapał go za ramiona i mocno potrząsnął.

- Chcesz oberwać w brzuch? Tego chcesz? Te twoje kości dużo nie wytrzymają. Wyprawa do szpitala może oznaczać dla ciebie koniec. Odpowiadaj na pytania, ale już!

Ojciec przechylił głowę na bok, a jego ciało zwiotczało mu w rękach, przez co trudniej było je utrzymać. Zwolnił chwyt i pchnął starca na fotel.

I wtedy zobaczył notes. W tylnej kieszeni.

Wyciągnął go, ale wszystkie strony były puste.

- Gdzie to jest? - wrzasnął. - Gdzie jest to, co napisałeś?

- Kapitan... zabrał... ze sobą.

Cholera.

Ale skoro ojciec już raz to sobie przypomniał, to uda mu się jeszcze raz. Zwłaszcza jeśli będzie miał odpowiednią motywację. Grant był gotowy mu ją zapewnić.

Rzucił notes ojcu.

- Napisz to samo, co napisałeś jemu.

- Umiesz złamać szyfr?

- Tak, tak. - Pokiwał głową. - Znam szyfr. Pisz.

Zdobędzie tyle, ile się da. Jeśli jemu nie uda się odczytać wiadomości, to Diane na pewno da radę. Przynajmniej będą mieli potrzebne informacje.

- Kapitan cię nauczył?

Musiał iść w zaparte.

- Oczywiście. Pracuję razem z nim.

Ojciec usiadł prosto, znalazł długopis, napisał kilka słów i podał mu notes. Na pierwszej kartce widniała niezrozumiała zbieranina liter:

EICZELA UŁGEIB UNYSCEIP

- To jakiś bełkot! - ryknął Grant. - Mam cię stłuc na kwaśne jabłko? Tego chcesz?

Jego ojciec pokręcił głową, w jego oczach czaił się strach. Dobrze. Nareszcie coś do niego docierało.

- Wiesz co?-zaproponował starzec. - Ja ci to rozszyfruję. Może być?

- Pewnie. Do roboty.

Ojciec zapisał coś, a Grant wyrwał mu notes z ręki i zobaczył jeden ciąg uporządkowanych liter.

ALEZCIEBIEGŁUPIECSYNU

- Podziel to na słowa. Teraz widzisz?

O tak.

ALE Z CIEBIE GŁUPIEC SYNU

Frank Breckinridge wstał z fotela. W rękę trzymał pistolet wymierzony prosto w niego.

- Moja mała mistyfikacja dobiegła końca. Już nigdy więcej nie podniesiesz na mnie ręki.

Jego słowa brzmiały mocno, czysto i była w nich znajoma surowość. Grant od lat nie słyszał tego pewnego siebie głosu.

Nagle go oświeciło.

- Jesteś równie zdrowy jak my wszyscy.

Na wąskich wargach starca pojawił się uśmiech.

- Nawet bardziej, niż myślisz. Widzę, że nie masz żadnego problemu z krzywdzeniem starszych ludzi.

Grant był w takim szoku, że nie mógł się odezwać.

- Dlaczego udawałeś? - wydusił w końcu. - I pozwoliłeś, żebym cię bił?

- Ponieważ potrzebowałem cię. Chciałem, żebyś zrobił różne rzeczy, których nie byłem w stanie zrobić sam. Każda wojna opiera się na podstępnie, chociaż pewnie nie spodoba ci się taki truizm. Ale weź sobie do serca słowa pewnego francuskiego poety: „To podwójna przyjemność oszukać oszusta”.

Jego ojciec odsunął się w stronę okna przy drzwiach wejściowych i poruszył bronią na znak, że Grant także ma się cofnąć.

- To złoto ma niesamowitą siłę przyciągania, prawda? - powiedział.

- Żebyś wiedział.

Starzec pokręcił głową.

- Bez Diane Layne, czy tam Sherwood, skoro teraz tak się nazywa, niczego byś nie osiągnął. Jej ojciec dobrze ją wyszkolił.

- Ją też oszukałeś? Kiedy do ciebie przyszła?

- Oczywiście, ale także ustaliłem, jak dużo wie. Potem patrzyłem, jak zaznajamiacie się ze sobą. A kiedy wciąż wracałeś po więcej informacji, zrozumiałem, że jesteście razem. Dlatego poprowadziłem was oboje tam, gdzie sam chciałem dotrzeć.

Grant wreszcie zrozumiał.

- Chcesz znaleźć te kamienie. Nie możesz ich zdobyć sam, więc wykorzystasteś do tego nas.

- Widzisz? Nie jesteś taki całkiem głupi. Niestety, przestajesz już być użyteczny.

Grant z coraz większym respektem zerkał na wycelowaną w niego broń.

- Dlaczego to takie ważne? - zapytał.

- Jestem Rycerzem Złotego Kręgu. Byłem nim przez większość

dorosłego życia. Niewykluczone nawet, że jestem ostatnim liczącym się rycerzem w historii Zakonu.

- Ponieważ kontrolujesz kryptę.

- No proszę. Znowu te przebłyski intelektu, co to czasem wyzieraają spod tępoty, którą okazujesz na każdym kroku. Co ta Layne w tobie widzi?

- Wiesz o naszym związku?

- Wiem bardzo dużo, mój synu. Więcej, niż sobie wyobrazasz.

- Jesteś też strażnikiem?

- Jestem najważniejszym strażnikiem. Strzegę krypty. I to od bardzo dawna. Ale jestem już stary, a przed śmiercią mam jeszcze zadanie do wykonania. Musiałem w tym celu odzyskać kamienie, a najszybsza droga do tego celu wiodła przez ciebie.

Przyłożył wolną rękę do okna.

- Ja też mógłbym zostać strażnikiem - powiedział Grant.

- Nie masz do tego ani głowy, ani charakteru. Przypominasz mi Davisa Layne'a. Jedyne, czego chciał, to zagarnąć złoto dla siebie. Chciwość nie przystoi Rycerzom Złotego Kręgu.

Nagle coś przeszło mu przez myśl.

- Kenneth. Brat Diane. On też jest rycerzem?

- Oczywiście. Został wysłany po to, by pozyskać pomoc swojej siostry, ponieważ ona posiadała cenną wiedzę.

- Więc do czego ja byłem ci potrzebny?

Siatkowe drzwi się otworzyły i do domu weszło dwóch ludzi.

Jeden z nich od razu rzucił się na Granta. Jedną rękę owinał mu wokół szyi, a drugą unieruchomił mu dłonie za plecami. Zaraz potem jego towarzysz uderzył go pięścią w bok, na wysokości nerki.

Grant poczuł przeszywający ból.

W gardle zebrała mu się żółć.

Jego ojciec się uśmiechnął.

- Ci panowie zrobią teraz z tobą dokładnie to samo, co ty z takim upodobaniem robiłeś ze mną.

Grant dostał pięścią w brzuch.

ROZDZIAŁ 54

CASSIOPEIA WESZŁA DO kopalni. Drogę oświetlały jej te same lampy, co poprzednio. Trzymała się jednej strony tunelu i szła z pistoletem w rękę, z palcem na spuście. Dotarła do otworu w bocznej ścianie, który prowadził do komnaty ze złotem. Zastanawiała się, czy powinna skierować się tam, czy zapuścić się dalej w głąb głównego korytarza.

Nagle usłyszała głosy. Dobiegały zza wyłomu.

Ruszyła więc w stronę komnaty ze złotem.

Drewniane drzwi, które wyważyła wczoraj, były otwarte na oścież. Na ścianach wewnątrz tańczyły cienie.

Głosy stały się wyraźniejsze.

- Chyba zwariowałeś! - krzyknął jakiś mężczyzna.

Zbliżyła się do progu, pilnując, żeby nie zdradzić się własnym cieniem. Rzuciła okiem do środka i zobaczyła trzech ludzi leżących na ziemi z rękami i nogami związanymi sznurem. To byli ci sami trzej, którzy zaskoczyli ich w szopie z pszczołami u Terry ego Morse'a. Nad nimi stał Proctor, z wymierzoną w dół bronią. Nigdzie j ednak nie było widać jego pomocnika, który wcześniej pomagał ładować złoto, ale nie odjechał furgonetką.

Wkroczyła do komnaty.

Proctor od razu ją zobaczył. Ale zanim zdążył podnieść pistolet, strzeliła w ziemię tuż przed jego stopami.

- Rzuć broń! - powiedziała.

Uśmiechnął się i wykonał polecenie.

- Czekałem na panią. Zakładałem, że wnuczka Morse'a odnajdzie panią, po tym jak porwałem jej dziadka, i tak się dokładnie stało. Zostawiliśmy za sobą tak wyraźny ślad, że każdy by tu za nami trafił.

- Gdzie jest Morse?

- Odjechał furgonetką.

- Nie widziałam go.

- Leżał z tyłu. Związany i nieprzytomny.

Żle to wszystko brzmiało.

- Myślałam, że macie zasady. Rycerzowi nie wolno zabić drugiego rycerza. Pana to nie dotyczy?

Uniósł ręce i wzruszył ramionami.

-Ja po prostu wymierzam sprawiedliwość.

Kazała mu podejść do dziury w ziemi, tej samej, w której została uwięziona razem z Leą.

- Teraz pańska kolej, żeby tam wskoczyć.

Stanął nad krawędzią.

Tamci trzej nadal leżeli na ziemi, jeden całkiem blisko miejsca, gdzie stała teraz Cassiopeia. Zerknęła w dół i zobaczyła, że sznury na jego nadgarstkach nie są nawet związane, po prostu luźno leżą. Zanim zdążyła zareagować, mężczyzna wyciągnął ręce i szarpnął ją za nogi.

Padła na ziemię.

Drugi z nich zaraz doskoczył i wyrwał jej z ręki broń.

- Doskonale - powiedział Proctor, przejmując od niego jej pistolet. - Dobra robota. Ci panowie zaferowali swoją pomoc, a kimże jestem, żeby odrzucać podobną uprzejmość.

Cassiopeia czuła się jak idiotka.

- Proszę wstać - rozkazał Proctor.

Podniosła się z ziemi.

- Przed pani przybyciem ucieliśmy sobie małą pogawędkę - kontynuował. - Wygląda na to, że jakiś człowiek z Waszyngtonu, niejaki Grant Breckinridge, wynajął ich, żeby podawali się za Rycerzy Złotego Kręgu. Mieli za zadanie znaleźć Kamień Wiedźmy.

- Który jest teraz w pańskich rękach - zauważyła.

- Zgadza się. Wyjaśniłem tym panom, że w czasach wojny domowej członkostwo w Zakonie uważano za wielki zaszczyt. Zanim komuś zaproponowano przyłączenie się do organizacji, najpierw gruntownie go weryfikowano. Północ była wrogiem, a każdego, kto nie postrzegął tego

w ten sposób, również uznawano za wroga. Nawet jeśli pochodził z Południa. Zazdroszczę ludziom, którzy żyli w tamtych czasach. Wszystko było wtedy o wiele prostsze.

- Zrobiliśmy to, co pan chciał - odezwał się jeden z tej trójki. - Możemy już iść?

Proctor podniósł rękę.

- Proszę, zróbcie mi tę przyjemność i zaczekajcie jeszcze chwilę.

Do komnaty wszedł ten drugi, którego Cassiopeia widziała wcześniej. Zauważyła, że lekko skinął głową w kierunku swojego szefa.

Jakby dawał znak, że wykonał jakieś zadanie.

- Ceremonia przyjmowania nowych członków Zakonu była doprawdy imponująca - podjął Proctor. - Mężczyźni zakładali karmazynowo-srebrne szaty. Na głowach mieli turbany, a na nogach sandały. Do tego dochodziły maski przedstawiające ludzkie oblicza. Nie ich własne, rzecz jasna. Każdy sam wybierał swoją maskę. Były wykonane tak misternie, że w odpowiednim świetle wyglądały jak prawdziwe twarze. Kandydaci uroczyście składali przed Bogiem dwie przysięgi. Kiedy to zrobili, wszyscy rycerze ściągali maski, odsłaniając swoje prawdziwe oblicza, i ciepło witali nowych członków, obejmując ich i podając im ręce.

- Brzmi jak jakiś klub dla chłopców.

- Bo to był klub, z którego miała wyrosnąć armia. I tak się stało. Do Zakonu wstąpiły dziesiątki tysięcy mężczyzn. Później zostali żołnierzami, urzędnikami, gubernatorami, prawodawcami. Zinfiltrowali społeczeństwo zarówno Północy, jak i Południa, na wszystkich płaszczyznach. Stworzyli sieć oczu i uszu, która potrafiła czynić spustoszenie. Cóż za zaszczyt być częścią czegoś takiego.

Po tych słowach Proctor oddał trzy strzały, po jednym w głowę każdego z trzech ludzi przysłanych z Waszyngtonu. Ich martwe ciała zwaliły się na ziemię.

- Ci oszuści zhańbili pamięć o tamtych dniach - powiedział i opuścił broń. - Wyobrażam sobie, że widok śmierci nie jest pani obcy.

- A pan jest z nią chyba za pan brat.

- Robię, co do mnie należy.

Proctor dał sygnał, a jego pomocnik podniósł z ziemi kawałek sznura i związał jej ręce za plecami. Potem zmusił ją, żeby usiadła, i skrępował jej też nogi w kostkach. Następnie podszedł z powrotem do drzwi i zabrał stamtąd dwa plecaki, które zaniósł na drugą stronę komnaty. Wyciągnął z nich jakieś elektroniczne urządzenia z odchodzącymi od nich drutami.

- W tych plecakach jest dynamit-wyjaśnił Proctor. - Rozłożyliśmy go też w tunelach. Czas, żeby to miejsce zniknęło z powierzchni ziemi. Wraz z panią. Ale jak już mówiłem przy naszym pierwszym spotkaniu, jestem dżentelmenem, dlatego zamierzam dać pani szansę.

Schylił się, złapał za jej związane kostki i odciągnął ją jakieś dziesięć metrów od dziury w ziemi. Kiedy tylko ją puścił, przekręciła się na bok i zobaczyła, że zbliża się do przegniłej drabiny wystającej z szybu. Wyciągnął z kieszeni składany nóż i otworzył go płynnym ruchem nadgarstka, odsłaniając imponujące ząbkowane ostrze.

Kucnął i wbił nóż głęboko w zmurszałe drewno.

- Może się przydać - powiedział. - A może nie.

Wstał i skierował się do wyjścia. Drugi mężczyzna wcisnął przyciski na obu urządzeniach, a na cyfrowym wyświetlaczu pokazały się trzy minuty.

- Zegnam, panno Vitt - powiedział Proctor.

I wyszli z komnaty.

ROZDZIAŁ 55

DIANE OTWORZYŁA DRZWI i wpuściła Luciusa Vance'a do środka. Wyglądał na wzburzonego.

- Mamy problem.

Zamknęła drzwi, a on opowiedział jej o wizycie Danny ego Daniela w hotelu Willard.

- Nie wiedziałaś, że został powołany na miejsce Alexa? - zapytał Vance.

Pokręciła głową.

- Nie słuchałam dzisiaj żadnych wiadomości.

- Nikt do ciebie nie dzwonił?

Wcześniej były jakieś telefony, ale zignorowała je.

- Przyjechałam tutaj, żeby popracować w spokoju.

Vance nie wiedział nic o złocie ani o ich poszukiwaniach. Po co mieliby go w to wtajemniczać? Wiedział tylko o współpracy Kennetha z władzami stanowymi oraz o propozycji zwołania drugiej konwencji konstytucyjnej. To zadziwiające, że jej brat najwyraźniej nie podzielił się planami odnalezienia złota ani z Alexem, ani z Vance'em, ponieważ żaden z nich nigdy nawet słowem nie wspomniał o zaginionym skarbie.

- Wiedział dokładnie, o czym rozmawialiśmy wczoraj wieczorem - stwierdził Vance. - Słowo w słowo.

To rzeczywiście niepokojące.

- Twojemu ochroniarzowi wydawało się, że coś słyszał. Pamiętasz? Powiedziałeś mu, że to nic takiego. Widocznie nie miałeś racji.

- Ty też nie byłaś przesadnie czujna.

To prawda.

- A zatem skoro Daniels wie, co do siebie mówiliśmy, wie także, co zrobiliśmy.

Diane przypomniała sobie wczorajszy pocałunek. I rozmowę o ich

romansie.

-Jest na naszym tropie - ciągnął Vance. - Zgaduję, że załatwił sobie nominację senatorską po to, żeby zdobyć przyczółek.

Nagle wyjaśniła się także kwestia zaginionego notatnika Kennetha. To Daniels musiał go zabrać. Miał dobrą okazję, a teraz widziała, że miał też motyw. Ale zachowała ten wniosek dla siebie.

- Co teraz zrobisz?

- Absolutnie nic. Dalej działamy według planu. Właśnie widziałem się z moimi ludźmi z Komisji Regulaminowej. Są gotowi przyjąć projekt jutro z samego rana. Zdają sobie sprawę z ryzyka i nie boją się go podjąć. Od głosowania w komisji do chwili, gdy wniosek trafi na salę plenarną, muszą minąć dwadzieścia cztery godziny. Nie mogę tego przyspieszyć. Zresztą nawet gdybym mógł, to nie byłoby rozsądne. Za bardzo wyglądałoby to, jakbym przepychał ustawę na siłę. Na pewno ściągniemy na siebie trochę uwagi. Ale członkowie Izby mają już serdecznie dość wybryków Senatu. Wszyscy, z którymi rozmawiam, są gotowi zmienić zasady gry.

- A co z Białym Domem? - zapytała.

- Zanim ten kretyn Fox zda sobie sprawę, co się stało, będzie już bezsilny. Wtedy jego zdanie nie będzie już miało znaczenia.

Vance wydawał się bardzo pewny siebie.

- Daniels wspomniał o śmierci Alexa - zmienił temat. - Zaczął mi nawet grozić. Myśli, że maczałem w tym palce. Powinienem się martwić?

- Mnie też o to pytał.

Vance spojrzał na nią zdziwiony.

- Nie mówiłaś, że z nim rozmawiałaś.

- W domu, po pogrzebie. Zaprosiłam go.

- Dlaczego?

- On i Alex byli bliskimi przyjaciółmi. No i w końcu to były prezydent. Co miałam niby zrobić? Zignorować go? To byłoby bardzo głupie. Nigdy się nie lubiliśmy, więc nie przypuszczałam, że faktycznie przyjdzie. Ale przyszedł.

I przy okazji ukradł notatnik Kennetha, który prawdopodobnie stanowił główną przyczynę jego wizyty.

- Powiedziałaś mi: Alex spadł z urwiska. To był tragiczny wypadek. Nie ma absolutnie nic, co sugerowałoby jakieś inne wytłumaczenie.

- To oficjalna wersja?

Pokiwała głową.

- Szeryf sam mi tak powiedział. FBI też się tym zainteresowało, ponieważ chodziło o członka Kongresu.

Wycisnęła z oczu parę łez, wiedząc, że zwiększy to wiarygodność jej słów.

Poskutkowało.

- Nie chciałem cię zdenerwować. Po prostu sprawy się skomplikowały. W życiu bym nie przewidział, że w to wszystko wmiesza się Daniels. Powinien już dawno zniknąć. A on może nam przysporzyć problemów.

- W Senacie? Co za różnica? Oni i tak nic nie mogą zrobić.

- Mam na myśli opinię publiczną. Daniels jest popularny, cieszy się dużym zaufaniem. I wie, jak rozmawiać z ludźmi. To śmiertelnie niebezpieczne połączenie.

Jej analityczny umysł zaczął już rozważać wszystkie opcje.

- Ale nie starczy mu czasu. Zanim zdąży się w tym połapać i zdobyć niezbędne poparcie, będzie po wszystkim. Poza tym szczerze wątpię, żeby ludzie nagle powstali w obronie Senatu. Nikogo to nie będzie obchodziło. Wszyscy będą mówić: każde rozwiązanie jest lepsze od tego, co mamy teraz.

Dokładnie na takie podejście liczyli od samego początku. Gdziekolwiek spojrzeć, wszyscy skarżyli się na władze państwowe, mówiły o tym sondaże, publicyści oraz zwykli ludzie na ulicy. Kandydaci lubili przekonywać wyborców, że są ludźmi „z zewnątrz”, niezwiązanymi z waszyngtońskim establishmentem. A potem w ciągu trzech miesięcy od objęcia publicznego stanowiska każdy bez wyjątku stawał się częścią systemu, uświadamiając sobie fundamentalną prawdę: żeby działać skutecznie, musisz dogadywać się z innymi. Dlatego właśnie nic się nigdy nie zmieniało. Dlatego właśnie ludzie tacy jak jej zmarły mąż

krzyczeli o potrzebie reform, ale nie robili nic, żeby je wprowadzić. Znacznie wygodniej pracować w ramach już istniejącego systemu i nauczyć się manipulować, kontrolować, a nawet - jeśli jest się sprytnym i dostatecznie ostrożnym - omijać jego mechanizmy. Aby stać się naprawdę efektywnym, potrzeba czasu. Im dłużej ktoś w tym siedzi, tym więcej zdobywa wpływów, które z czasem zaczynają przynosić korzyści. Każdy, kogo wybrano do Kongresu, szybko przyswajał sobie te proste prawdy. Najdłużej zaś utrzymywali się przy władzy ci, którzy nigdy ich nie zapominali.

Jeden podstawowy fakt pozostawał niezmienny. Każdy chciał, żeby go zapamiętano. W szczególności prezydenci. Pierwsza kadencja była przeznaczona na pracę, w drugiej zaczynało się myśleć o swoim dziedzictwie. W przypadku kongresmanów obowiązywały inne zasady. Nad swoją spuścizną pracowali przez całe dziesięciolecia. A Lucius Vance miał zamiar przejść do historii, wprowadzając bardziej realne zmiany niż ktokolwiek od czasu Ojców Założycieli.

- Wygrasz tę walkę - powiedziała do niego Diane.

Zebrał się w sobie.

- Tak. Wygram. Ale chcę cię o coś zapytać.

Czekała bez słowa.

- Zanim zrobię ten krok, musisz mi powiedzieć, tu i teraz: czy jest coś, o czym nie wiem i potem mogę tego żałować?

Dobrze wiedziała, co ma na myśli, ale udawała urażoną.

- Mój mąż nie żyje. Pozwól mu spoczywać w pokoju. Zginął w tragicznym wypadku.

- Czy to mogło być samobójstwo?

Ciekawy pomysł. Wcześniej właściwie nie brała tego pod uwagę.

- Ponieważ nikogo przy tym nie było, nie wiemy na pewno. Mogę tylko powiedzieć, że w ostatnich dniach przed jego śmiercią nie zauważyłam nic, co wskazywałoby na myśli samobójcze. Ale to nic nie znaczy. Alex świetnie umiał ukrywać swoje uczucia.

O czym sama się przekonała.

- Po prostu chcę się przygotować na każdą ewentualność. Danny

Daniels to wytrawny polityk i na pewno będzie groźnym przeciwnikiem.

- Mówisz tak, jakbyś się go bał.

- Ależ skąd. Ale trzeba znać swojego wroga. Ma na nasz temat dużo informacji z pierwszej ręki. Musimy się zastanowić, co jeszcze wie.

Nagle coś przyszło jej do głowy.

Wisiołek w krzyżem w okręgu.

Daniels mówił, że Alex przypadkiem zostawił go u niego w domu. Oczywiście kłamał. Na pewno to Kenneth dał go Alexowi, a ten z kolei Danielsowi. Co oznacza, że Alex zwierzył się swojemu starymu przyjacielowi.

To by tłumaczyło te wszystkie pytania i kradzież notatnika.

Vance miał rację.

Czego jeszcze dowiedział się Daniels?

ROZDZIAŁ 56

GODZ. 17:20

DANNY ZNALAZŁ TEDDY'EGO Solomona w senackiej siłowni na parterze Gmachu Russella. Miał do tego miejsca wyjątkowy sentyment, ponieważ było swego rodzaju oazą, bezpieczną przystanią, gdzie senatorowie mogli wpadać o każdej porze dnia i nocy, żeby w spokoju poćwiczyć. Tutaj nikt im nie przeszkadzał, tu wreszcie mogli być sobą. Ciekawe, że nieodłącznym elementem funkcjonowania w polityce było przywdziewanie maski. Większość polityków próbowała zachowywać się tak, jak tego od nich oczekiwano, podlizując się innym dla pieniędzy i poparcia. On sam nigdy nie wpadł w tę pułapkę. Zawsze pozostawał wierny sobie, co niekiedy stanowiło źródło problemów. Nigdy też nie należał do zagorzałych fanów ćwiczeń fizycznych, ale lubił swobodną atmosferę panującą w siłowni. Wśród tych maszyn i zapachu potu zawarto już wiele układów. Kobiety zasiadające w Senacie miały osobną szatnię i mniejsze pomieszczenie do ćwiczeń, lecz większość z nich i tak częściej korzystała z sali przeznaczonej dla mężczyzn, co zupełnie nikomu nie przeszkadzało. Żeby wejść do siłowni, należało wystukać odpowiedni kod na panelu przy drzwiach. Danny go nie znał, ale pilnujący wejścia agent Secret Service zaoferował mu pomoc i wpuścił go do środka.

Solomon ćwiczył na jednej z bieżni, wymachując ramionami. Rytmicznym ruchom rąk towarzyszyły krótkie wdechy i wydechy.

- Założę się... że ani razu... tu nie byłeś.
- Nie żeby ćwiczyć. Ale zdarzało mi się wpadać. Pytanie brzmi: co ty tu robisz?

Wiceprezydent zwolnił i wzruszył ramionami.

- Przychodziłem tu przez lata jako senator, więc nie widzę powodu, żeby teraz przestawać, nawet jeśli zostałem zdegradowany.

Danny się uśmiechnął. Poza nim w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby usłyszeć tę uwagę.

- Musimy porozmawiać - powiedział.

Solomon przerwał ćwiczenie i wyłączył maszynę.

- Czekaj chwilę - poprosił, po czym złapał ręcznik, ciężko oddychając, podszedł do drzwi i kazał stojącemu na zewnątrz agentowi dopilnować, żeby nikt im nie przeszkadzał.

- Bycie wiceprezydentem ma przynajmniej jeden plus. Można mieć całą siłownię dla siebie.

- Wiem, co planuje Vance.

Solomon otarł pot z twarzy i włosów.

- Chce wykorzystać artykuł 1, sekcję 5, klauzulę 2 konstytucji i zmienić procedury obowiązujące w Izbie Reprezentantów.

- Co z tego? Oni tak robią cały czas.

- Nie do tego stopnia.

Wcześniej, gdy słuchał wyjaśnień Paula Frizzella, wrócił myślami do notatnika Kennetha Layne'a. Zawarte w nim obserwacje w końcu nabrały sensu.

- Wszyscy wiemy, że konstytucja pozwala Senatowi i Izbie ustalać swoje własne wewnętrzne reguły - podjął. - Mogą w zasadzie robić, co chcą, a sądy nie mają w tej kwestii praktycznie nic do powiedzenia. Z uwagi na podział władzy i te sprawy Kongres ma wolną rękę w zakresie swoich własnych procedur. Vance zamierza wykorzystać tę swobodę do maksimum. To właściwie całkiem prosty zabieg, ale konsekwencje będą ogromne.

Stary przyjaciel słuchał go już z pełną uwagą.

- Chce dodać nowy przepis, mówiący, że Izba Reprezentantów rozważa i poddaje pod głosowanie jedynie projekty, które powstały wewnątrz Izby.

Odczekał chwilę, żeby do Salomona dotarła powaga sytuacji.

- O cholera - mruknął wiceprezydent.

Nie było trudno połączyć wszystkie kropki.

- I wszystko jest całkowicie zgodne z konstytucją - dodał. - W ten sposób rządono tym krajem przez pierwszych dwadzieścia lat jego istnienia. Nie było wprawdzie takiego przepisu, ale Senat nie miał wówczas żadnego znaczenia. Wszystkie ustawy wychodziły z Izby Reprezentantów. Senat na nie patrzył, czasem dodawał jakąś poprawkę, a potem głosował na tak albo na nie i odsyłał z powrotem do niższej izby. Prosto i elegancko. Nie było tych wszystkich wybiegów, które mamy dzisiaj. Nie istniała obstrukcja parlamentarna. Żaden senator nie wymyślał własnej wersji ustawy. Nikt niczego nie przeredagowywał. Senat pełnił wobec Izby Reprezentantów jedynie funkcję doradczą. To wszystko. Vance zamierza odtworzyć ten model we współczesnym świecie.

- I sam siebie uczynić królem.

Właśnie.

Teddy Solomon od razu pojął prawdziwy sens tej prostej zmiany. Skoro pod uwagę bierze się wyłącznie akty prawne powstałe w Izbie Reprezentantów, nikt więcej nie będzie musiał się przejmować Senatem. Projekt ustawy powstanie w Izbie, zostanie zatwierdzony, potem trafi do Senatu, który może „wnosić albo aprobować poprawki”, zgodnie z zapisem w konstytucji. Obie izby Kongresu nadal będą musiały wyrazić zgodę, zanim cokolwiek zostanie uchwalone i przedłożone prezydentowi do podpisania. Ale Izba Reprezentantów stanie się dominującym organem ustawodawczym. Jeśli senator zechce zaproponować coś nowego, będzie musiał przekonać członka Izby do przedstawienia tego wniosku w Izbie. Żaden senator nie będzie też już mógł zablokować całego procesu legislacyjnego. O wszystkim będzie decydowało 435 członków Izby wybieranych co dwa lata przez naród.

Pod przewodnictwem spikera.

Oczywiście Senat nie musi się zgadzać z propozycjami wysyłanymi z Izby Reprezentantów. Jego jedyną funkcją będzie głosowanie za lub przeciw całej ustawie. Stu senatorów oddaje swoje głosy w sposób jawny, a do zatwierdzenia lub odrzucenia ustawy potrzeba większości, czyli pięćdziesięciu jeden głosów.

W dzisiejszych czasach rzadko dochodziło do głosowania na sali plenarnej, ponieważ senatorowie nauczyli się chować za sprytnie wymyślonymi mechanizmami, dzięki którym rzadko kiedy ktoś musiał brać za cokolwiek odpowiedzialność. Ustawy rutynowo utrącano, nie pozostawiając po sobie żadnych odcisków palców. Po zmianach Vance'a cały Senat będzie musiał głosować nad każdym wnioskiem przekazanym przez Izbę. Oczywiście będzie mógł zgłaszać poprawia, ale one również będą musiały zostać przegłosowane przez wszystkich senatorów, a następnie Izba Reprezentantów i tak będzie mogła wyrazić swoją zgodę lub sprzeciw. Koniec z wybieraniem najbardziej dogodnych ustaw. Koniec ze zmienianiem ich treści. Koniec z graniem na zwłokę. Po prostu: za albo przeciw. Co więcej, jeśli cały proces zostanie opóźniony, ponieważ senatorowie nie będą chcieli głosować nad daną ustawą, wówczas to cały Senat ponosi za to winę. Zmienia się zasady gry. Wszystko będzie wyglądało inaczej.

- Senatorowie są jak piloci bombowców - powiedział Solomon, który przez lata zasiadał w Senacie. - Jesteśmy na wojnie, ale zabijamy ludzi anonimowo, znajdując się dziesięć tysięcy metrów nad nimi. Dość łatwo to zrobić, a jeszcze łatwiej uzasadnić. Teraz senatorowie będą musieli stanąć w jednym szeregu z piechotą i walczyć bezpośrednio, twarzą w twarz, ponosząc straty własne. Od bardzo dawna nie byli tak odsłonięci.

- Najgorsze jest to - dodał Danny - że społeczeństwo poprze takie zmiany. Nikt nie lubi impasu, a Senat jest tu bez dwóch zdań głównym winowajcą. Na tym, nawiasem mówiąc, polega jego funkcja. To jedyny powód, dla którego w ogóle powstał Senat.

Ojcowie Założyciele wiedzieli, jak działa brytyjska Izba Lordów i Izba Gmin. Skład jednej wybierali ludzie, w drugiej miejsce jest dziedziczone z pokolenia na pokolenie. Podczas pierwszej konwencji konstytucyjnej nikt nie chciał, aby naród miał nieograniczoną kontrolę nad rządem. Wszystkich napawała lękiem groźba nieprzemyślnych, impulsywnych decyzji. Dlatego ustanowiono ciało legislacyjne, które nie odpowiadało bezpośrednio przed ludźmi - Senat. Jego członków miały wybierać władze poszczególnych stanów. Jedynym zadaniem Senatu było

pilnowanie, aby Izba Reprezentantów, wybierana w wyborach powszechnych, nie zrobiła niczego głupiego. Dokładnie tak samo od dawna wyglądała relacja pomiędzy Izbą Lordów i Izbą Gmin. Z początku amerykańscy Ojcowie Założyciele chcieli, aby członkowie Senatu nie otrzymywali żadnego wynagrodzenia - tak by mogli w nim służyć tylko ludzie majątni - ale ostatecznie ten pomysł odrzucono. W końcu ustalono, że minimalny wiek senatora będzie wynosił trzydzieści lat, o pięć więcej niż w wypadku członków Izby. Kadencja miała trwać sześć lat, a wybory obmyślono w ten sposób, że za każdym razem zmieniała się tylko jedna trzecia składu Senatu. Nie był to doskonały system, ale dzięki sensownym mechanizmom wzajemnej kontroli sprawdzał się stosunkowo nieźle.

Wiadomo, od czasu do czasu zdarzały się różne problemy. Ale alternatywa była znacznie gorsza.

- Zmieni się wszystko - powiedział Danny. - W najlepszym razie każdy senator stanie się przesadnie ostrożny. Będą się bali zrobić cokolwiek, skoro jedyny sposób, żeby coś załatwić, to zdobyć sojusznika w osobie członka Izby. Nie będą chcieli nikogo urazić. Cały biznes przeniesie się po prostu z jednej strony Kapitolu na drugą.

- A wszystko to będzie kontrolować spiker Izby - zauważył Solomon.

- Co nie pozostanie bez wpływu na Biały Dom. Prezydent będzie musiał dbać o bliskie relacje nie tylko ze spikerem, ale i z każdym ważniejszym członkiem Izby. Dwuizbowa legislatura w praktyce zmieni się w jednoizbową.

- A Vance stanie się de facto jednoosobowym rządem federalnym - dodał wiceprezydent. - Wszystko będzie musiało przejść przez jego ręce. Jasne, teraz też bez zgody spikera nic nie trafia pod głosowanie. Ale po tej zmianie jego władza zwiększy się tysiąckrotnie, ponieważ nowe prawo będzie mogło powstawać tylko w Izbie Reprezentantów. Najśmieszniejsze jest to, że wszyscy to zaaprobują, ponieważ dzięki temu każdy członek Izby, po obu stronach barykady, zyska nieporównanie większe wpływy. Osłabiasz Senat, jednocześnie wzmacniając własną pozycję, a naród mówi na to: „Świetnie, tak trzymać”. Każdy by się na

coś takiego połasił. Zanim społeczeństwo zda sobie sprawę z tego, co naprawdę się stało, będzie za późno.

- Z tego co wiem, Komisja Regulaminowa przegłosuje to jutro rano. Następnego ranka wniosek trafi pod głosowanie w Izbie Reprezentantów.

Solomon zaśmiał się pod nosem.

- Niesamowite, jak szybko to wszystko działa, kiedy komuś naprawdę na tym zależy.

Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu. On i Solomon w sumie mieli za sobą prawie sto lat doświadczenia politycznego. Danny zawsze z rozbawieniem słuchał, gdy w trakcie kampanii wyborczej jakiś kandydat przedstawiał się jako „człowiek spoza waszyngtońskiego układu”. To trochę tak, jakby udać się do neurochirurga i usłyszeć od recepcjonistki, że jest ona „lekarzem spoza układu” i sama może cię zoperować taniej i lepiej. Taniej na pewno. Ale czy lepiej? Raczej trudno w to uwierzyć. Żeby umieć działać skutecznie, trzeba dobrze orientować się w zawiłościach swojej profesji, a to przychodzi jedynie z doświadczeniem. Oczywiście ludzie mogą się wiele nauczyć. Ale tak samo jak ta recepcjonistka wykonująca operację na żywym mózgu, każdy musi po drodze popełnić wiele kosztownych błędów, zanim nabierze wprawy w swoim fachu.

Dzięki Bogu on i Solomon byli doświadczonymi lekarzami.

-Jest pewien sposób, żeby to powstrzymać - oznajmił. - Właściwie to prawdopodobnie jedyny sposób.

Solomon spojrział na niego wyczekująco.

-Trzeba kogoś z jajami, żeby przeprowadzić taką akcję. Ale na nasze szczęście ja tu jestem.

ROZDZIAŁ 57

CASSIOPEIA PRZETURLAŁA SIĘ po kamienistej ziemi w stronę noża, który zostawił jej Proctor. Zegar na detonatorze w milczeniu odliczał czas, błyszczące czerwone cyfry wskazywały teraz dwie minuty i dwadzieścia trzy sekundy. Trochę spowolniło ją to, że musiała ominąć jednego z trupów.

W głowie analizowała swoje opcje. Ręce miała skrupowane za plecami, więc nie było mowy, żeby wyciągnąć nóż i przeciąć więzy. Najpierw musiała wyswobodzić nogi, żeby móc biec. Ale jeśli Proctor mówił prawdę, w sąsiednich tunelach również znajdowały się materiały wybuchowe, a nie miała powodu, by wątpić w jego słowa. Zawalenie całej kopalni wydawało się rozsądnym posunięciem. Nikt już nigdy się nie dowie, co się tutaj wydarzyło.

Ale ona ciągle jeszcze żyła.

Dostała przecież ostatnią „szansę”.

Ułożyła się stopami w stronę noża, który wystawał z drabiny jakieś dwadzieścia pięć centymetrów nad ziemią, ostrą krawędzią do góry. Ustawiła się tak, aby ostrze znalazło się pomiędzy jej kostkami, i zaczęła poruszać nogami w tę i z powrotem, przecinając sznur. Musiała napierać dość mocno, ale nie za mocno, żeby nie wypchnąć niechcący noża z drabiny.

Nie przerywając, zerknęła na zegar po drugiej stronie komnaty.

1:50.

Lina puściła.

Nie było już czasu, żeby przecinać więzy na rękach. Musiała uciekać.

1:35.

Podniosła się z ziemi, starając się nie stracić równowagi, co znacznie utrudniały związane ręce. Straciła kilka cennych sekund. W końcu

udało jej się stanąć stabilnie i pobiegła w stronę otwartych drzwi.

Ostatni raz spojrzała za siebie.

1:27.

Nieraz bywała w trudnych sytuacjach, ale to przebijało wszystko. W głębi tunelu dostrzegła kolejny plecak z licznikiem, który późnił się o kilka sekund w stosunku do tych w komnacie. Biegła przed siebie i po chwili dotarła do wyłomu, który prowadził do wyjścia.

Przeskoczyła przez otwór i znalazła się z powrotem w głównym korytarzu.

W tym miejscu również leżała bomba. Licznik wskazywał 0:59.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie, ale noga omsknęła się jej na syrkim żwirze. Upadając, zdołała przekreślić się w bok i zamiast na twarzy wylądowała na ramieniu.

Bolało.

Otrząsnęła się i podniosła się z ziemi. Teraz dopiero widziała, jak ważne dla utrzymania równowagi są ręce. Wyjście znajdowało się dwadzieścia metrów przed nią, ale pod ścianą leżał jeszcze jeden plecak, który na liczniku miał 0:32. Wzięła głęboki oddech, chcąc opanować nerwy, i zmusiła nogi do biegu. Zgarbiła się i opuściła głowę, żeby pomóc sobie zachować pewny krok. Nie stać jej było na kolejne potknięcia. Widziała światło w otworze wykopanym w rumowisku przy wejściu do kopalni. Jeśli zdoła tam dotrzeć, być może uda się jej przeżyć eksplozję. Ale cztery wiązki dynamitu poczynią tu niemałe spustoszenie.

Biegła przed siebie i choć nie mogła rozwinąć pełnej prędkości, udało się jej dotrzeć do wyjścia.

Ostatni zegar, który minęła, pokazywał 0:22.

Dwa ładunki w komnacie ze złotem były ustawione tak, aby wybuchły jako pierwsze, a więc to właśnie tam zaczęły się fajerwerki.

Wydostała się z kopalni.

Rozejrzała się naokoło i postanowiła skryć się za stosem gruzu, który zobaczyła po prawej. Rzuciła się w tamtą stronę.

Głęboki rumor dobiegający z wnętrza kopalni obwieścił, że komnata ze złotem przestała istnieć.

Chwilę potem rozległy się kolejne eksplozje.

W końcu wybuchł także dynamit przy samym wejściu, obsypując wszystko wokół pyłem i skalnymi odłamkami.

Cassiopeia leżała z twarzą przy ziemi.

Gęste kłęby pyłu wypełniły walący się budynek i wzniosły się w niebo. Cassiopeia zanosła się kaszlem i splunęła, starając się oczyścić płuca i usta. Wstała i powoli zaczęła się uspokajać.

Tym razem naprawdę niewiele brakowało.

Wejście do kopalni zniknęło. Znowu było całe zawałone ziemią i kamieniami. Chmura pyłu powoli się rozrzedzała.

Nagle usłyszała, że ktoś bije brawo. Wolno, miarowo, niemalże pogardliwie. Wyszła na powietrze i zobaczyła Proctora.

Sukinsyn.

- Dobra robota - powiedział. - Dawałem pani najwyżej dwadzieścia procent szans na wydostanie się stamtąd w trzy minuty.

Potrząsnęła głową, żeby pozbyć się pyłu z twarzy i włosów.

- A gdyby mi się nie udało?

Wzruszył ramionami.

- Problem z głowy. Ale udało się. Więc teraz wybierzemy się razem na małą przejażdżkę.

Nie miała wielkiego wyboru.

- Mogę zapytać dokąd?

- Może pani, ale nie odpowiem.

- A jeśli odmówię?

- Jak pani wiadomo, mam Terry ego Morse'a. Jeśli nie przyjadę na miejsce niedługo po tamtej furgonetce, mój wspólnik zabije staruszka.

Nie miała powodu, żeby mu nie wierzyć. Zabijanie wyraźnie sprawiało temu człowiekowi przyjemność. Dlatego zapytała po prostu:

- Rozwiąże mi pan ręce?

-Jeśli będzie pani grzeczna.

Zamierzała być grzeczna, przynajmniej dopóki nie odzyska swobody ruchów. A potem zajmie się Jamesem Proctorem.

A furgonetka? Na szczęście da się ją w każdej chwili namierzyć.

ROZDZIAŁ 58

COTTON WRÓCIŁ DO Instytutu Smithsona i znalazł Ricka Stamma w jego biurze w podziemiach Zamku. Spotkanie z Frankiem Breckinridgeem dało mu do myślenia. Do jakiego stopnia ten starzec rzeczywiście postradał zmysły? Trudno powiedzieć. Niewątpliwie myślami żył w innej rzeczywistości, ale jednocześnie nadal posiadał sporą wiedzę historyczną, dzięki czemu był w stanie bez trudu zaszyfrować informację, którą mu przekazał.

POD JEDENASTOMA BŁĘDAMI

Kiedy opowiedział o wszystkim kustoszowi, ten aż pokręcił głową z wrażenia.

- Niewiarygodne. Wiem dokładnie, gdzie musimy szukać.

GRANT OTWORZYŁ OCZY.

Nie całkiem stracił przytomność od ciosów, ale niewiele brakowało. Tamci dwaj zrobili to fachowo i w jego stylu - pobili go wystarczająco dotkliwie, żeby dać mu nauczkę, ale nie na tyle, żeby go poważnie uszkodzić. Na szczęście był w dobrej formie i jego mocne mięśnie brzucha zamortyzowały większość uderzeń. Leżał teraz na podłodze w pokoju swojego ojca, który stał na ganku przed domem i rozmawiał ze swoimi dwoma zbirami. Grant wychwytywał pojedyncze słowa, ale za mało, żeby zorientować się, o czym mówią. Przynajmniej wiedział już, jakim cudem staruszek był w stanie mieszkać sam. Cały czas tylko udawał chorego. Cała ta jego demencja to był jeden wielki fortel i trzeba przyznać, że całkiem skuteczny. Grant robił wszystko dokładnie tak, jak

chciał ojciec, nawet przez chwilę nie podejrzewając, że padł ofiarą manipulacji.

Drzwi się otworzyły i zaraz znowu zamknęły.

Ojciec wszedł do pokoju i usiadł na fotelu.

- I jak się podobało?

- Rozumiem, staruszk. Odpląciłeś mi pięknym za nadobne.

Odpowiedział mu śmiech.

- Lubię tę twoją zuchwałość. Nigdy się niczego nie bałeś. Miałeś wielki potencjał, ale zawsze brakowało ci dyscypliny, żeby go odpowiednio ukierunkować. Aż w końcu pewnego dnia skupiłeś całą uwagę na złocie. Chciwość to naprawdę potężna motywacja, prawda?

Grant czuł, że zaczyna go mdlić.

- Chciałem znaleźć ten skarb - odparł.

- Ale on nie należy do ciebie.

Roztarł obolały brzuch.

- Więc kto go zgarnie?

- To się jeszcze okaże. W tej chwili potrzebuję twojej pomocy.

COTTON OPADŁ NA krzesło naprzeciwko Stamma, który siedział za zagraconym biurkiem.

- „Pod jedenastoma błędami”. Breckinridge miał na myśli Jamesa Smithsona, tego, który ofiarował pięćset tysięcy dolarów i dał początek naszemu Instytutowi.

- Skąd wiesz?

- Zaraz pójdziemy na górę i sam się przekonasz. Ile wiesz o Smithsonie?

- Praktycznie nic.

- Cały czas staramy się, żeby wydawał się kimś więcej, niż był w rzeczywistości. Niestety niewiele miał wspólnego z Indianą Jonesem. Był całkiem zwyczajnym dziewiętnastowiecznym naukowcem. Badał takie zjawiska jak parzenie kawy, ludzkie łzy i jadowite węże. Udało mu się odkryć minerał, który po jego śmierci został nazwany od jego nazwiska:

smithsonit. Ale jest on raczej bezużyteczny. Smithson nie dokonał niczego przełomowego ani szczególnie odkrywczego. Zył jednak w czasach, kiedy chemia wyrosła na osobną gałąź nauki, odrywając się od alchemii, i stała się szanowaną dyscypliną. Smithson w niewielkim stopniu się do tego przyczynił.

- I jest pochowany na górze.

Stamm skinął głową.

- W krypcie zaraz za północnym wejściem. Leży tam od tysiąc dziewięćset piątego roku, kiedy jego szczątki zostały przywiezione z Włoch. Zaraz po śmierci pochowano go w Genui, ale Alexander Graham Bell, ówczesny członek naszego zarządu, przekonał wszystkich, że jego kości powinny znaleźć się tutaj. Bell pojechał do Włoch w tysiąc dziewięćset trzecim i osobiście nadzorował tę operację.

Następnie Stamm opowiedział, że trumna Smithsona przez ponad rok była wystawiona na widok publiczny w Sali Zarządu na górze, w czasie gdy przygotowywano grobowiec przy północnym wejściu. Pierwotnie zakładano, że będzie to jedynie tymczasowe miejsce spoczynku, dopóki nie uda się zebrać funduszy na bardziej wyszukane mauzoleum. Ale te plany nigdy nie doszły do skutku. W 1973 roku postanowiono odnowić grobowiec, aby uczynić go bardziej atrakcyjnym dla zwiedzających.

- Wtedy właśnie Breckinridge zdecydował się otworzyć grób - powiedział Stamm. - Sekretarz Instytutu przebywał akurat wówczas za granicą, w Indiach. Z pewnością Breckinridge nieprzypadkowo wybrał właśnie ten moment. Po wszystkich rozgorzał spór o to, co zrobić.

- Nie miał prawa otwierać tego grobowca?

- Trudno to jednoznacznie stwierdzić. Trwała renowacja krypty, a on był kustoszem Zamku, mógł więc podejmować wszelkie działania związane z pracami remontowymi. Z drugiej strony nie uzyskał wyrażonej zgody zarządu ani sekretarza na otwarcie grobu. Jednak zrobił to w obecności wielu ludzi: podsekretarza, kilku asystentów, kustoszy i archiwistów. Jakiś członek personelu zadzwonił do „Washington Star” i doniósł o tym, co się wydarzyło. Powiadomione zostały władze Waszyngtonu. Wygląda na to, że aby otworzyć grób w obrębie dys-

tryktu, trzeba mieć pozwolenie, którego Breckinridge nie posiadał. Dla rozładowania sytuacji zaproszono dziennikarza z gazety i pokazano mu kości. Ostatecznie napisał przychylny Instytutowi artykuł, na który nikt nawet nie zwrócił uwagi.

- No więc co było w środku?

GRANT WYSŁUCHAŁ WYJAŚNIENÍ swojego ojca.

- Grób Jamesa Smithsona zostanie ponownie otwarty.

Wiedział, że jego ojciec już raz go otworzył, wiele lat temu.

- Skąd wiesz?

- Bo człowiek, który był tu wcześniej, to ten sam, który bada tę sprawę na zlecenie Instytutu Smithsona. Wskazałem mu drogę i jeśli jest dostatecznie sprytny, zrozumie, co miałem na myśli. A zakładam, że jest. Nie oprą się pokusie, żeby zajrzeć do środka. Zrobią to jeszcze dziś wieczorem.

- Skąd wiedziałeś o tym facecie?

- Muszę wiedzieć wszystko, na tym polega moje zadanie. Monitorowałem tę sytuację już od dawna. Mam do dyspozycji wiele par oczu i uszu.

- Nie rozumiem. Dlaczego dałeś mu wskazówki?

- Udało ci się znaleźć Kamienie Wiedźmy i Drogi. Doprowadziłem cię do jednego i drugiego. Ale Kamień Serca to zupełnie co innego. Umieściłem go w grobie Smithsona w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku, po tym jak otworzyłem go pod pretekstem oględzin. Zdecydowałem się na to ryzyko, bo wiedziałem, że grobowiec to idealna kryjówka. Davis Layne chciał zebrać pięć kamieni, żeby dostać się do złota. Nie dał sobie tego wyperswadować. Próbowalem konwencjonalnych metod, uciekłem się nawet do gróźb, ale to nic nie dało. Dlatego ukryłem ten element układanki, bez którego nie był w stanie nic wskórać.

Grant nie mógł uwierzyć własnych uszom.

- Powinieneś wiedzieć, że to ja mam teraz Kamień Wiedźmy - dodał

jego ojciec.

- Jakim cudem? Moi ludzie sfotografowali go w Arkansas, ale nie byli w stanie go zdobyć.

- Tak, nie wykonali zadania. Dlatego wysłałem własnych ludzi, którzy są znacznie bardziej kompetentni, i oni przejęli kamień. Twój ludzie już nie żyją.

Grant nie krył zdumienia.

- Musiałem ich zlikwidować, przez ciebie - dodał starzec.

Cóż, ostatecznie to nie jego problem. Miał większe zmartwienia.

- Co udało ci się zdziałać w kwestii Kamienia Drogi? - zapytał jego ojciec.

- Mam tylko zdjęcia. Ktoś mi przeszkodził.

- Słyszałem, co się stało w muzeum. Masz szczęście, że cię nie aresztowali.

- Ten facet, który tu był. To on próbował mnie zatrzymać. Poznałem go po głosie.

- W takim razie dobrze, że nie wiedział o twojej obecności. Przez ciebie wszystko stało się tysiąc razy trudniejsze. Zdajesz sobie z tego sprawę? Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że mógłbyś kogoś zabić, a potem postrzelić agentkę federalną.

- Ale tobie wolno zabić trzech ludzi.

- O ich śmierci nikt się nigdy nie dowie. A ta agentka cały czas walczy o życie w szpitalu. Masz szczęście, że na razie ciągle trzymają to w tajemnicy.

- Przecież zdobyłem to, na czym ci zależało, prawda?

- O tak. Ale ściągnąłeś na siebie za dużo uwagi. Znacznie więcej, niż się spodziewaliśmy.

- My, czyli kto?

- Tego nie musisz wiedzieć. Ważne jest to, że zamierzam dać ci jeszcze jedną szansę, żebyś się zrehabilitował.

- Co mam zrobić?

- Odzyskać Kamień Serca.

COTTON PRZECZYTAŁ DWIE strony, które Stamm wydrukował z komputera. Był to raport z archiwów Instytutu Smithsona.

Temat: Ekshumacja i ponowny pochówek szczątków Jamesa Smithsona

Autor: Frank Breckinridge, kustosz budynku Instytutu Smithsona

Data: 5 października 1973

Trumna zawierająca szczątki Jamesa Smithsona, znajdująca się w krypcie w budynku Instytutu Smithsona, została ekshumowana w środę 3 października i z powrotem złożona w grobowcu w piątek 5 października 1973 roku. Niniejsze sprawozdanie ma charakter oficjalny i znajduje się w archiwach Instytutu. Nie przewiduję, aby w przyszłości była konieczna ponowna ekshumacja szczątków Smithsona, ponieważ dokonano przy tej okazji starannej i gruntownej inspekcji położenia i stanu zarówno trumny, jak i samych kości.

W połowie września 1973 roku zwróciłem się do działu konserwacji budynku z prośbą o zbadanie obszaru krypty w celu lokalizacji trumny, ponieważ w dokumentacji dotyczącej budowy grobowca z 1904 roku figurują sprzeczne informacje. 1 października 1973 roku otworzyliśmy wieko pojemnika w kształcie sarkofagu, który stoi na szczycie grobowca, ale wewnątrz okazało się puste. 2 października na moje polecenie wywiercono otwór w północnej ścianie podstawy grobowca. Tego samego dnia udało się ustalić, że trumna znajduje się wewnątrz podstawy. Cztery marmurowe boki były przytwierdzone na stałe żelaznymi nitami, kazałem zatem rozkruszyć północną ścianę podstawy wiertarkami. W celu wymienienia tej części

konstrukcji zamówiony został identycznej wielkości blok wykonany z tego samego włoskiego marmuru.

Po otwarciu wieka drewnianej trumny znaleźliśmy w środku miedzianą skrzynkę szczelnie zamkniętą spoiwem lutowniczym. Postanowiliśmy otworzyć skrzynkę za pomocą palnika gazowego. Pracownicy techniczni stopili spoiwo i wieko miedzianej skrzynki zostało usunięte. W jej wnętrzu po jednej stronie leżała czaszka Smithsona, a na całej powierzchni skrzynki były rozsypane kości, zmieszane z ziemią i fragmentami drewna z oryginalnej trumny z 1829 roku. Płomień palników stopił spoiwo, ale jednocześnie podpalił jedwabną wyściółkę trumny. Kierownik ekipy technicznej wysłał pracowników do holu, żeby napełnili usta wodą z fontanny i zgasili nią niewielki ogień, nie uszkadzając przy tym szczątków. Znajdująca się w pobliżu gaśnica nie okazała się potrzebna. Miedziana skrzynka została przykryta wiekiem i owinięta obrusem, a następnie przeniesiona przez park National Mail do laboratorium w Muzeum Historii Naturalnej. W skrzynce nie stwierdzono obecności żadnych dokumentów.

Wszystkie kości zostały zmierzone, sfotografowane, prześwietlone, skatalogowane i oczyszczone, a na koniec umieszczone w osobnych plastikowych torbach. O godzinie 13:00 w piątek 5 października 1973 roku w warsztacie mechanicznym Muzeum Historii Naturalnej zebrała się grupa świadków. Przed zamknięciem trumny umieszczono w niej spisane na maszynie sprawozdania streszczające powód i datę jej otwarcia oraz stan szczątków na tamtą chwilę. Wieko miedzianej skrzynki zostało zaplombowane spoiwem lutowniczym, a następnie przewieziono ją z powrotem przez park samochodem. 5 października o godzinie 13:45 skrzynkę umieszczono wewnątrz ozdobnej mahoniowej trumny z sześcioma srebrnymi

uchwytyami oraz srebrną tabliczką' z nazwiskiem Smithsona. Następnie całość wstawiono z powrotem do podstawy grobowca, którą w oczekiwaniu na zamówiony marmur z Włoch zabezpieczono żelazną płytą.

- Ten nowy kawał marmuru przyjechał dopiero w lutym tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku - powiedział Stamm. - A zatem Breckinridge miał aż cztery miesiące na to, żeby zdjąć żelazną płytę i schować w podstawie, co tylko chciał. Był kustoszem, miał nieograniczony dostęp do grobowca o każdej porze dnia i nocy.

Cotton przypomniał sobie, co Weston mówił mu o sporze pomiędzy dwoma pracownikami Instytutu.

- Davis Layne chciał znaleźć złoto. Zakładam, że nie da się tego zrobić bez Kamienia Serca. Dlatego Breckinridge znalazł wymówkę, żeby otworzyć grób Smithsona, a potem schował w środku kamień, ponieważ wiedział, że nikt już tam nigdy nie będzie zaglądał. Nawet sam napisał tak w swoim raporcie. „Nie przewiduję, aby w przyszłości była konieczna ponowna ekshumacja szczątków Smithsona”.

- Nie miał racji - stwierdził Stamm. - Otworzymy go dziś wieczorem, po zamknięciu budynku. Ja też jestem kustoszem i mam dostęp do wszystkiego. Ale zastanawia mnie jedno. Dlaczego teraz, po tylu latach, Breckinridge postanowił dać panu tę wskazówkę?

- Ponieważ chciał, żebyśmy się tego dowiedzieli.

Cotton już od jakiegoś czasu obmyślał plan działania. Potrzebował wsparcia.

Dlatego wykonał telefon do siedziby głównej Magellan Billet.

ROZDZIAŁ 59

GRANT JECHAŁ PRZEZ ulice Waszyngtonu na tylnym siedzeniu własnego samochodu. Jego ojciec i jeden z ludzi, którzy spuścili mu manto, siedzieli z przodu. Zabrali mu komórkę i pistolet. Nadal miał obolały brzuch, ale nic mu nie było poza tym, że czuł się jak dziecko, które spotkała kara. Nie mógł nic zrobić. Jeszcze niedawno miał poczucie, że w pełni panuje nad sytuacją, teraz został brutalnie sprowadzony do parteru. Nie docenił swojego ojca. Co gorsza, dał się wykorzystać. Zastanawiał się, czy którekolwiek z jego osiągnięć było autentyczne, czy też wszystko stanowiło część planu, w którym on w ostatecznym rozrachunku nie odgrywał żadnej istotnej roli.

- Muszę ci powiedzieć parę rzeczy - odezwał się jego ojciec z siedzenia pasażera. - I tym razem nie będziesz musiał nawet uciekać się do swoich zwyczajowych metod perswazji.

- Dałbyś już sobie spokój. Twoi goryle postawili sprawę jasno.

Staruszek zaśmiał się cicho.

- Wybacz. Mam już swoje lata i mało co jest jeszcze w stanie mnie rozbawić. Właściwie zostałeś mi tylko ty.

- Obelgi też mógłbyś już sobie darować.

Ojciec odwrócił się do niego i spojrzał mu w oczy.

- A może wolisz po prostu dostać kulkę w łeb i mieć problem z głowy?

W jego słowach nie było ani cienia żartu.

- Przejdź do rzeczy. Co chcesz mi powiedzieć?

Angus Adams cieszył się, że znów ma okazję spotkać się z Josephem Henrym. Ostatni raz widzieli się w dzień pożaru, 24 stycznia 1865 roku. Dwanaście lat temu. Przez ten czas dużo się zmieniło. Siedzieli w gabinecie Henry ego na drugim piętrze. Zamek po odbudowie ponownie stał się

tętniącą życiem placówką, choć wewnątrz wyglądało zupełnie inaczej niż kiedyś.

Dzięki Bogu wojna już się skończyła. Te lata były dla wszystkich trudne. Zwłaszcza dla szpiegów. Po zakończeniu walk wielu z nich zaczęło się ukrywać albo pod przybranym nazwiskiem, z nową tożsamością, próbowało się odciąć od dawnej kariery zawodowego kłamcy. Opanowało ich poczucie bezsilności i bezużyteczności. Powszechna depresja prowadziła do wzrostu liczby samobójstw. Nic dziwnego, gdy szpieg raz straci zimną krew, śmierć zawsze już czai się tuż za ramię. Kilku zostało wytropionych i zabitych przez wojska Unii. I to bez żadnego procesu, po prostu zastrzelono ich na miejscu, a ciała zostawiono, żeby szczęły. Im więcej sukcesów miał na koncie dany szpieg, tym usilniej na niego polowano. Adams był jednym z najlepszych, więc Jankesi nie ustawali w wysiłkach, żeby go znaleźć. Ale uciekł w takie miejsce, gdzie nikomu nieprzyszłoby do głowy go szukać.

- Niezwykle mnie ucieszył twój telegram z zapowiedzą wizyty - powiedział Henry. - Zawsze się zastanawiałem, co się z tobą stało.

Adams się uśmiechnął.

- Ledwo udało mi się wydostać z miasta w dzień pożaru. Najwyraźniej ktoś dowiedział się o mojej misji.

Henry opowiedział mu więcej o tamtych wydarzeniach.

- Unionis'd szukali archiwów rządowych Konfederacji. Wiedzieli, że dokumenty zostały przeniesione z Richmond, i powiedziano im, że miały trafić do Instytutu Smithsona. Ten kapitan, którego uratowałeś, przyszedł do mnie kilka dni później. Pytał, dlaczego miałem na biurku ten klucz i twój dziennik. Powiedziałem, że u mnie byłeś i chciałeś dokonać darowizny na rzecz naszej instytucji, ale naszą rozmowę przerwał pożar, więc nie zdążyliśmy ustalić szczegółów i w końcu nie przekazałeś nam żadnych pieniędzy. Wyjaśniłem, że zostawiłeś klucz i dziennik na moim biurku, kiedy okazało się, że budynek się pali. On następnie opowiedział mi o waszej konfrontacji w moim gabinecie. Przyznałem, że widziałem, jak przeniosłeś go w bezpieczne miejsce. Prawdopodobnie uratowałeś mu wtedy życie. W dowód wdzięczności za ten gest postanowił zapomnieć o całej sprawie.

- Bardzo wielkodusznie z jego strony, zwłaszcza że nie miał ani klucza, ani dziennika.

Henry wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dzięki twojemu refleksowi.

- Całe szczęście, że Marianna McLoughlin była na miejscu i wywiozła mnie dyskretnie z miasta. Co się z nią potem stało?

- Nadal tu mieszka, ciągle w tym samym domu. Jeśli chcesz, mogę was umówić na spotkanie.

Adams pokręcił głową.

- Chyba lepiej, żebym się niepotrzebnie nie wychylał.

- Co się z tobą przez ten czas działo, Angusie ?

- Wyjechałem na zachód, do Terytorium Nowego Meksyku. Mieszkam tam od czasu wojny.

- To jeden z regionów, które badaliście podczas ekspedycji w pięćdziesiątym czwartym.

Kiwnął głową.

- Tak mi się tam spodobało, że postanowiłem się tam osiedlić na stałe. Mam rancho w górach Sangre de Cristo, nieopodal Rio Grande. Długi, niski dom z suszonej cegły, który zlewa się z krajobrazem. Dużo pokoi, zacieniona weranda. Chętnie bym ci go pokazał.

Opowiedział starymu przyjacielowi o swoim życiu na wygnaniu. O karmieniu bydła, doglądaniu świń i pilnowaniu, żeby kury nie zostały porwane przez kojoty. O wieczorach na werandzie, kiedy kilka chłodniejszych godzin przynosi ulgę po upalnym dniu. I o nocach, tak ciemnych i spokojnych, że jedynym źródłem światła jest zapalona do cygara, a jedynym zmartwieniem komary.

- Komary są najgorsze - mówił. - Musisz albo się przyzwyczaić do ukąszeń, albo stać się prawdziwym mistrzem w ich zabijaniu. Jedyne, co rzeczywiście odstrasza, to taczka pełna gnoju, którą się podpala i stawia pod wiatr, tak że cały cuchnący dym leci w twoją stronę.

- Brzmi uroczo.

- Tam naprawdę jest wspaniale, Joseph - odparł, puszczając sarkazm mimo uszu. - To raj na ziemi. Robią tam taką pastę fasolową, smażoną na

gorącym tłuszczu... Frijoles refritos. Po prostu zjada się ją z chlebem. Moje dzieci to uwielbiają.

- Dobrze słyszeć, że ci się ułożyło. Dalej malujesz ?

Jego były szef wydawał się zmęczony, jakby upływ lat mocno dał mu się we znaki. Musiał dobijać do osiemdziesiątki, ale nadal kierował najważniejszą amerykańską instytucją naukową.

- Od czasu do czasu zdarza mi się zamalować jakieś płótno. Wciąż sprawia mi to przyjemność.

- Byłeś jednym z naszych najlepszych ilustratorów. Uwielbiałem twoje rysunki.

Podziękował za komplement.

- Cieszę się, że wojna łagodnie się z wami obeszła.

- To były ciężkie lata. Na wszystko brakowało pieniędzy. Groziło nam, że będziemy musieli zamknąć Instytut. Ale odbiliśmy się od dna i teraz idzie nam świetnie.

To dobra wiadomość.

- Tamten pożar okazał się zbawienny w skutkach - dodał Henry.

Osobliwe stwierdzenie.

- Jaka była jego przyczyna?

- Głupota. Robotnicy w galerii marzli na kość, więc przytargali piec i wydawało im się, że wstawili rurę do przewodu kominowego. Ale to nie był przewód kominowy, tylko wolna przestrzeń pomiędzy cegłami. Przez tydzień pod dachem zbierała się gorąca sadza, aż w końcu nastąpiła eksplozja.

- Zawsze myślałem, że to była robota Jankesów. Go za zbieg okoliczności, że to się zdarzyło akurat tamtego dnia.

- Czasami Opatrzność jest po naszej stronie. Niektórzy zadawali pytania, ale sprawa szybko ucichła.

- Dużo obrazów przepadło?

- Większość dzieł Charlesa Kinga i Johna Stanley a. Spłonęły wszystkie ich portrety Indian. Wodzowie Czirokezów, wojownicy Potawatomi i Osage. To była prawdopodobnie najcenniejsza taka kolekcja w kraju. Dla nas to ogromna strata.

Adams dobrze pamiętał te obrazy. Swego czasu spędził niezliczone godziny w galerii.

- Ogień zniszczył też sporo pamiątek po Smithsonie - kontynuował Henry.
- Jego rzeczy osobiste: kufry, parasol, łaskę, szablę oraz przenośne laboratorium chemiczne. Na szczęście zbioręgo książek przechowywaliśmy gdzie indziej, dzięki czemu przetrwał.

Adams uznał, że to dobry moment, żeby przejść do celu jego wizyty. Sięgnął po skórzaną torbę, którą przywiózł ze sobą.

- Uznałem, że najwyższy czas to oddać.

Podał Henry emu klucz. Ten sam, który zabrał dwanaście lat temu.

-Dobrze, że nie miałem tego u siebie po pożarze - powiedział sekretarz. - Nie byłibyśmy w stanie nawet zbliżyć się do tych archiwów. Czy one nadal istnieją?

Adams kiwnął głową.

- Tak. Ale zostały przeniesione. I obawiam się, że muszą pozostać ukryte, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. Zapewniam, że są bezpieczne, i chcę, żeby ostatecznie trafiły do Instytutu Smithsona, zgodnie z życzeniem Jeff a D avisa.

-Ile czasu powinno jeszcze minąć?

- Siedemdziesiąt pięć lat.

Henry wyglądał na zaskoczonego.

- Przetrwają tak długo?

- Myślę, że tak. Podjąłem odpowiednie kroki.

- Czy rycerze wciąż są aktywni?

- Tak. Ale czasy się zmieniły.

Henry obejrzał klucz.

- Co mam z tym zrobić?

- Pilnować.

Adams wyciągnąłjesczejeden przedmiot z torby. Piękny, oprawiony w skórę dziennik, którego karty miały lśniące, złote krawędzie. Wręczył go swojemu gospodarzowi.

Henry natychmiast domyślił się, co to takiego.

- Twój dziennik z wyprawy.

Adams skinął głową.

- Odrobinę różni się od oryginału. Zrobiłem nowy egzemplarz, czysty, bez tego całego brudu i pyłu. Pomyślałem, że zostawię go tutaj na jakiś czas. To moje obserwacje na temat pierwszej ekspedycji Instytutu na południowy zachód w roku pięćdziesiątym czwartym.

Henry przekartkował zapisaną ręcznie książkę.

- Piękna robota. Widzę, że nadal masz duszę artysty.

Uśmiechnął się.

- Jestem tylko zwyczajnym człowiekiem, który szczęśliwym zrzędzeniem losu był świadkiem kilku ważnych momentów w historii. Ten dziennik powinien stanowić atrakcyjny dodatek do waszych zbiorów. Chyba wystarczy, jeżeli wypożyczycie go Instytutowi na siedemdziesiąt pięć lat.

Widział, że Henry zrozumiał aluzję do klucza.

- Po upływie tego okresu chciałbym, aby zwrócono go mojej rodzinie w Georgii.

- Ula ciebie, stary druhu, wszystko. Jestem pewny, że nasi geolodzy, przyrodnicy i geografowie będą z zainteresowaniem studiować twoje zapiski. To pierwsze obserwacje naukowe na temat tego regionu. Powiedz mi, czy dużo się w tamtych stronach zmieniło f

- Nic a nic. To kolejny powód, dla którego tak bardzo mi się tam podoba.

- Skąd to wszystko wiesz? - zapytał swojego ojca Grant.

- Zarówno ja, jak i inne osoby stojące na czele Zakonu wiemy dokładnie, co Angus Adams zrobił tamtego dnia w tysiąc osiemset siedemdziesiątym siódmym roku. Oficjalnie zakończył swoją pierwotną misję, z jedną modyfikacją. Zamiast zabrać swój dziennik, oddał go Instytutowi.

- A co z kluczem?

- Nadal jest nam niezbędny, dlatego musisz go odzyskać.

Grant zostawił go Diane, w mieszkaniu Alexa Sherwooda.

- Chyba już rozumiesz, synu, że nie potrzebujemy tej całej Sherwood. Znajdziemy złoto bez jej pomocy. Ale musimy mieć klucz.

- Myślałem, że przestałem już być użyteczny.

- Możesz się jeszcze zrehabilitować.
- Wiedział, co należy powiedzieć.
- Zdobęde klucz.
- Tak myślałem - odparł jego ojciec z uśmiechem. - Powiedz, gdzie on jest, to pojedziemy tam od razu. Mamy czas.

GRANT WSPIĄŁ SIĘ po schodach do mieszkania Sherwooda. W budynku panowała cisza, większość mieszkańców nie wróciła jeszcze z pracy. Zastanawiał się, co powinien powiedzieć Diane, żeby oddała mu klucz.

Oczywiście mógłby go po prostu zabrać bez pytania, ale nie chciał całkiem palić za sobą tego mostu.

Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Stanął pod drzwiami i lekko zapukał.

Nikt nie odpowiedział.

Spróbował jeszcze raz, tym razem mocniej.

Nadal cisza.

Złapał za klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz.

Gdzie ona, do cholery, jest?

Mógł zadzwonić do niej na komórkę, ale zaczęłaby mu zadawać niepotrzebne pytania. Stał bez ruchu i nasłuchiwał, ale ze środka nie dobiegały żadne dźwięki. Miał nadzieję, że sąsiadów z tego samego piętra nie ma w domu. Uniósł prawą nogę i kopnął w drzwi obcasem buta.

Nieco ustąpiły, ale całkiem nie odskoczyły.

Kolejne kopnięcie wyłamało zamek i drzwi otworzyły się na oścież.

Wszedł do środka i zobaczył klucz leżący na biurku.

Mieszkanie było puste. Diane musiała gdzieś wyjść.

Doskonale.

Chwycił to, po co przyszedł, i wybiegł na klatkę.

DANNY POCZUŁ W KIESZENI wibracje telefonu.

Wciąż był w siłowni i ustalał plan działania z wiceprezydentem Solomonem.

Spojrzał na ekran i zobaczył nieznaną numer.

Mimo to postanowił odebrać.

- Panie prezydencie, tu Taisley Forsberg. Ten człowiek, który zabrał wtedy notatnik, właśnie wrócił i wyłamał drzwi do mieszkania Alexa.

ROZDZIAŁ 60

COTTON SPOJRZAŁ NA zegarek. Była dziewiętnasta.

Zamek został zamknięty półtorej godziny temu, ale na terenie budynku wciąż przebywało jeszcze kilku pracowników. Biura administracji znajdujące się na wyższych piętrach były puste. Na parterze, w głównym holu, sprzątano właśnie bar z przekąskami. W sklepie z pamiątkami dzień pracy również powoli dobiegał końca. Stamm zapewniał, że w ciągu godziny gmach powinien całkowicie opustoszeć. Ruszył w kierunku północnych drzwi wyjściowych i wszedł do przedsionka, który prowadził do krypty Smithsona. Wcześniej, w gabinecie Stamma, wziął do ręki napisaną przez kustosa książkę o historii Zamku i poczytał trochę o symbolice grobowca. Potężna urna, zwieńczona sosnową szyszką z marmuru symbolizującą odrodzenie, opierała się na czterech rzeźbionych lwich łapach. W centralnym jej punkcie znajdowała się płaskorzeźba przedstawiająca ǫmę otoczoną wieniec laurowym, co z kolei symbolizowało nowe życie po śmierci. Sam wieniec oznaczał spełnienie, zwycięstwo i wieczność. Cały sarkofag stał na marmurowym postumencie, wewnątrz którego, na wysokości posadzki, spoczywały szczątki Smithsona.

Podszedł bliżej i przeczytał inskrypcję wyrytą w kamieniu.

PAMIĘCI JAMESA SMITHSONA, CZŁONKA
TOWARZYSTWA KRÓLEWSKIEGO, KTÓRY ZMARŁ W
GENUI 26 CZERWCA 1829 ROKU W WIEKU 75 LAT

- Tam jest błąd - usłyszał za sobą głos Stamma.

Malone nie słyszał, kiedy kustosz wszedł do środka.

- Smithson miał sześćdziesiąt cztery lata, kiedy zmarł. Nie sie-

demdziesiąt pięć.

Teraz już rozumiał sens wiadomości od Breckinridge'a.

POD JEDENASTOMA BŁĘDAMI

- Niemal nikt nie zauważa tej pomyłki - ciągnął Stamm. - Ale Breckinridge dobrze o niej wie.

Po jednej stronie grobowca stała flaga Stanów Zjednoczonych, a po drugiej Wielkiej Brytanii, ponieważ Smithson był Anglikiem.

W pobliskiej gablocie leżały różne dokumenty, pamiątki oraz kopia słynnego testamentu.

- Breckinridge nieźle się spisał z tą przebudową - stwierdził Stamm. - Przed remontem to pomieszczenie było zamknięte i ciemne, a wejście zagradzała żelazna krata. Zaglądało się tu jak do celi więziennej. Dzięki niemu można tu teraz swobodnie wchodzić i obejrzeć grób z bliska.

Cotton wskazał na marmurową podstawę.

- Jak się tam dostaniemy?

- To nie powinno być trudne.

Jedna myśl wciąż nie dawała mu spokoju.

- Breckinridge dał mi naprawdę subtelną wskazówkę. Jedenaście błędów. Nieźle jak na faceta, który żyje w innej rzeczywistości.

Stamm spojrział na niego zdziwiony.

- O czym ty mówisz?

- Mamy jeszcze trochę czasu, zanim zrobi się tu całkiem pusto, a grobowiec nam nie ucieknie. Może więc najpierw wybierzemy się do staruszka z kolejną wizytą?

DIANE WRÓCIŁA DO mieszkania Alexa. Wyszła, żeby coś zjeść, i podjechała taksówką do jednej ze swoich ulubionych restauracji w Waszyngtonie. Vance nie został u niej długo, ale jego wizyta poważnie ją zmartwiła. Mimo to on cały czas zapewniał, że jutro wszystko odbędzie się zgodnie z planem. Poza tym nie miała żadnych wieści od

Granta i zaczęła się zastanawiać, co on takiego wyczynia za jej plecami.

Weszła po schodach i przeszła kawałek korytarzem. Nagle stanęła jak wryta. Drzwi były otwarte, zamek wyłamany.

W środku usłyszała jakiś ruch.

Włamywacz? Niemożliwe.

Pchnęła drzwi do wewnątrz. I ujrzała Danny ego Danielsa.

- Co ty, na miłość boską, tutaj robisz? - zapytała, nadal stojąc na progu. - Włamałeś się?

Pokręcił głową.

- Tak to już wyglądało, kiedy przyszedłem. Ktoś inny się włamał.

Diane obrzuciła wzrokiem pokój, ale jej uwagę od razu przyciągnęło biurko. Jej iPad leżał na swoim miejscu, klucz natomiast zniknął.

- Wróciłeś, żeby znowu mnie okraść?

- Widzę, że domyśliłeś się, kto ma notatnik twojego brata.

- Wzywam policję - oznajmiła.

- Dobry pomysł. Już chyba czas, żeby się o tym wszystkim dowiedzieli.

Stał pod przeciwległą ścianą, ubrany w garnitur i krawat. Patrzył na nią wyzywająco, z pewnym siebie uśmiechem.

- O czym ty mówisz? - zapytała.

- O Rycerzach Złotego Kręgu.

Wkroczyła przez rozwalone drzwi do mieszkania. Nie dała mu się sprowokować.

- Dlaczego zabrałeś notatnik?

- Żeby skończyć to, co zaczął Alex.

- Rozmawiał z tobą?

- Wiem dokładnie, co planujesz razem z Vanceem i swoim bratem.

Czuła, jak wzbiera w niej gniew. Jej mąż nie żył, ale oto kolejny mężczyzna, i to ten, którego od zawsze nie znosiła, próbuje ją tłamsić.

- Wszystko, co robimy, jest całkowicie zgodne z prawem.

- Z wyjątkiem morderstwa.

Blef? Trudno powiedzieć.

- Co ty insynuujesz?

Nie odpowiedział.

- Zadałam ci pytanie. Odpowiedz mi, do cholery! - krzyknęła.

- Masz powody do niepokoju.

- To żadna odpowiedź.

- Masz rację. Ale cokolwiek zabrał człowiek, który się tu włamał, na pewno powinnaś się tym przejąć.

- A ty akurat byłeś w pobliżu?

-Ten, kto tu był wczoraj w nocy, kogoś zabił. Prawdopodobnie postrzelił też agentkę federalną. Chcę go dorwać. Ma znamię na szyi i jeszcze wczoraj miał kręcone brązowe włosy. Teraz jest krótko ostrzyżony.

Przypomniała sobie, co powiedział przed wyjściem Grant.

„Muszę wybrać się do fryzjera”.

- Nie mam pojęcia, kto to taki.

- Na pewno? Bo kilka dni temu przysłałaś tu jednego faceta, żeby zabrał ten notatnik i książki Alexa, które widziałem u ciebie w gabinecie. On też miał kręcone brązowe włosy i znamię na szyi.

Jakim cudem on to wszystko wiedział?

Nie zdołała dłużej opanowywać wściekłości.

-Wynoś się! Wynoś się stąd natychmiast!

Powinna uważać. Jej gniew i desperackie tłumaczenia zdradzały nerwowość, której nie chciała po sobie pokazać. Na pewno nie jemu.

-Ten wisiołek, który ci oddałem, to symbol Rycerzy Złotego Kręgu - powiedział. - Sama przyznałaś, że masz taki sam. Alex swój wyrzucił. Odrzucił wasz plan, twój, twojego brata i Vance'a. A teraz nie żyje. Co za niewiarygodny zbieg okoliczności.

-Jesteś nadętym, aroganckim dupkiem. Zawsze nim byłeś. Pauline w końcu cię przejrzała i dała sobie spokój. Dobrze na tym wyszła. Szkoda, że twoja córka nie miała tej szansy.

W OCZACH DANNY'EGO ZAPŁONAŁ ogień. Diane przekroczyła granicę. Ale sam ją sprowokował, licząc, że przyzna się do winy.

Tymczasem ona przeszła do ataku, uderzając w jedyny czuły punkt, jaki mu pozostał. Ale niech sobie nie wyobraża, że pozwoli jej użyć jego zmarłej córki jako broni.

- Mary, Panie, świeć nad jej duszą, odeszła z powodu mojej nieostrożności. To niepodważalny fakt. I ten ból zawsze już będzie mi towarzyszył. Ty tymczasem nie sprawiasz wrażenia, jakby strata męża w ogóle cię zabolęła. Patrzyłem na ciebie podczas pogrzebu. Tak, dobrze grałaś rolę wdowy w żałobie. Ale bardzo szybko o tym zapomniałaś, kiedy stałaś na tarasie z Luciusem Vance'em.

Czułnie obserwował jej reakcję. Nie była nawet w połowie tak dobra jak Vance w ukrywaniu swojego zaskoczenia.

-Widziałem, jak się całujecie. Słyszałem, co do siebie mówicie. Zdradzałaś i okłamywałaś swojego męża. I jestem przekonany, że na koniec go zamordowałaś. Nie mogę tego udowodnić. Jeszcze nie. Ale udowodnię. Możesz być pewna.

Ruszył w stronę drzwi.

- Mam ci do powiedzenia tylko jedno - rzuciła.

Wyobrażał sobie, co dokładnie. Ale chciał, żeby Diane uświadomiła sobie powagę sytuacji. Dlatego odwrócił się do niej z uniesionym oskarżycielsko palcem.

- Kobieta, która jest dla mnie bardzo ważna, leży w szpitalu. Walczy o życie przez twojego współnika, kimkolwiek on jest. Dopadnę go. I ciebie też.

Wyszedł z mieszkania.

Na korytarzu zobaczył, że drzwi na końcu korytarza są lekko uchylone. W szparze dostrzegł twarz Taisley. Przez wyważone drzwi na pewno wszystko było słychać. To ona powiedziała mu przez telefon, że zabójca zmienił wygląd. Ich spojrzenia na moment się spotkały i Danny pokręcił głową, dając znak, żeby wróciła do siebie i zamknęła drzwi.

Jak dotąd nie została wciągnięta w tę aferę.

I chciał, żeby tak zostało.

ZSZEDŁ NA DÓŁ i opuścił budynek. Powinien wracać do szpitala, do Stephanie. Stojący na straży agent zadzwonił wcześniej i powiedział, że nic się nie zmieniło. Nadal była w śpiączce. Lekarze tłumaczyli, że powinna wypoczywać, bo to w tej chwili najlepsze lekarstwo. Krwawienie ustało i wyglądało na to, że operacja się udała.

Wszystko to brzmiało nieźle. A mimo to jej stan wciąż określano jako krytyczny.

Musiał złapać taksówkę, a wiedział, że nie ma na to szans na tej cichej, bocznej alei. Skręcił więc w kierunku skrzyżowania ze znacznie bardziej ruchliwą ulicą. W pewnym momencie usłyszał za sobą warkot zbliżającego się samochodu i zerknął na niego kątem oka. Coraz bardziej gardłowy odgłos silnika świadczył o tym, że pojazd zwalnia.

I w końcu się zatrzymał.

On także stanął. Kiedy się odwrócił, zobaczył czarnego lincolna nieróżniącego się niczym od tysięcy identycznych wozów, które krążyły po ulicach Waszyngtonu. Tylne drzwi się otworzyły i ze środka wyłonił się kongresman Paul Frizzell.

- Ktoś chciałby z tobą porozmawiać - oznajmił jego stary przyjaciel. W jego oczach nie było ani życzliwości, ani wrogości.

- A czyja chcę z tym kimś rozmawiać?

Paul kiwnął głową.

- Myślę, że powinienes.

Danny czuł, że jego trzewia ogarnia lodowaty chłód.

- Dzieje się coś jeszcze, nie tylko to, co mi powiedziałeś, prawda?

- Dzieje się znacznie więcej, Danny.

ROZDZIAŁ 61

COTTON I RICK STAMM weszli po schodkach na ganek przed wejściem do domu Franka Breckinridge'a. Dochodziła dwudziesta i wieczór powoli zmieniał się w noc. W środku nie paliło się światło, ale drzwi frontowe były otwarte. Malone zapukał w futrynę i zajrzał przez siatkę do przedpokoju. Ostatnim razem chwilę to potrwało, zanim wiekowy gospodarz doczłapał do drzwi.

Zapukał więc jeszcze raz.

Nadał cisza.

- Panie Breckinridge - zawołał. - To ja, kapitan Adams. Byłem u pana wcześniej.

Wciąż nie doczekał się żadnej odpowiedzi.

Sam zatem otworzył sobie drzwi.

- Czy to rozsądne? - zapytał Stamm.

- W mojej branży wręcz nieodzowne.

Weszli do środka. Dom był cichy jak kościół w poniedziałek.

- Rozejrzyjmy się. Może Breckinridge gdzieś tu jest - zaproponował.

Przeszukali cały dom, ale nigdzie nie znaleźli jego mieszkańca.

- Może poszedł odwiedzić sąsiada? - zasugerował Stamm.

Ale Cotton nie mógł się oprzeć wrażeniu, że coś jest nie tak. Cały czas zastanawiał się, czy przypadkiem nie dał się zmanipulować podczas swojej pierwszej wizyty. Teraz zaś zastał pusty dom z frontowymi i tylnymi drzwiami otwartymi na oścież. Czy starzec po prostu wstał i wyszedł? Czy naprawdę mieszkała tu osoba z demencją?

Zaczął bliżej przyglądać się rzeczom, na które nie zwrócił uwagi podczas poprzedniej wizyty. Wytarty dywan, podrapane biurko pod ścianą, sfatygowana sofa, zapadnięte fotele. I ozdoby: trochę porcelany, lampy, wazon, lustro. Nic wyszukanego. Godnym odnotowania

faktem był brak nowoczesnej technologii, z wyjątkiem telewizora z płaskim ekranem. Na spłowiełej tapecie wisiały stare, pożółkłe ryciny w ramkach. Niedużo, ale wszystkie przedstawiały historyczne sceny batalistyczne.

Postanowił rzucić na nie okiem.

Na jednej była bitwa pod Fredericksburgiem, rok 1862. Najbardziej miażdżące zwycięstwo Południa. Unia poniosła ponaddwukrotnie większe straty niż Konfederacja. Następną ryciną to bitwa nad Chickamaugą, która w 1863 roku zatrzymała ofensywę unionistów w Tennessee. Wisząca obok morska scenka przedstawiała odparcie dziewięciu pancerników Unii podczas pierwszej bitwy o port Charleston. W kolejnej ramce widać było ostatnie chwile okrętu Housatonic zatopionego przez konfederacki okręt podwodny Hunley - był to pierwszy taki przypadek w historii.

Ta mała galeria przypominała składankę największych przebojów Konfederacji.

A wewnątrz, które wcześniej wydawało się sterylne, teraz zaczęło nabierać barw, ponieważ wyczuwało się tu życiową pasję Breckinridgea.

- Cotton.

Stamm stał w jadalni i wskazywał palcem na kolejną ramkę.

Malone dołączył do niego.

- Dostał to w dzień, kiedy przeszedł na emeryturę.

Na ścianie wisiał elegancki certyfikat z nagłówkiem INSTYTUT SMITHSONA, w którym dziękowano Breckinridgeowi za trzydzieści sześć lat służby i w dowód uznania przyznawano mu Legię Zasługi. Podpisy pod nim złożyli Robert Adams, sekretarz oraz przewodniczący Sądu Najwyższego William Rehnquist, kanclerz Instytutu. Data: 6 października 1992 roku. W ramce znajdowały się także dwie kolorowe fotografie. Na jednej Breckinridge podawał sobie ręce z Rehnquistem, a u jego boku stała kobieta, zapewne pani Breckinridge. Obok było zdjęcie rodzinne na tle stojącego przed Zamkiem pomnika Josepha Henry ego: Breckinridge w towarzystwie tej samej kobiety oraz małego chłopca, na oko jedenasto- albo dwunastoletniego.

- Zauważyłeś coś ciekawego? - zapytał Cotton.

Kustosz przyjrzał się dokładniej zdjęciom.

- Chłopak ma znamię na szyi.

- Jak plama czerwonego wina.

Wiedział, co trzeba zrobić.

- Stój przed domem i daj mi znać, jak tylko ktoś się zbliży. Muszę tu trochę pomyszkować.

Już wcześniej rzucił mu się w oczy brak rodzinnych fotografii. Normalnie taki stary dom powinien być pełen uwiecznionych wspomnień. Dlatego postanowił sprawdzić, czy nie są gdzieś pochowane.

Zaczął zaglądać do wszystkich szaf i wkrótce w korytarzu na piętrze znalazł to, czego szukał - pudło pełne oprawionych zdjęć wrzuconych niedbale do środka. Większość przedstawiała Breckinridge'a i jego żonę, ale na kilku był także chłopiec, potem nastolatek i w końcu młody mężczyzna. Na niektórych dało się zauważyć wyraźne przebarwienie skóry na szyi. W tej samej szafie znajdował się także drugi karton, zawierający całe albumy ze zdjęciami. Przejrzał kilka, cały czas wypatrując syna. Leżały tam też trzy księgi pamiątkowe z liceum. Cotton wziął do ręki ostatnią z nich, pochodzącą z 1999 roku; zważywszy na zdjęcie na dole, chłopak powinien mieć na tym etapie około osiemnastu lat. Odszukał najstarszą klasę i przeszedł do litery B.

I ujrzał Granta Breckinridge'a.

Nie miał wątpliwości. Krótkie włosy, przebarwienie na szyi i ta sama twarz - choć o wiele młodsza - którą widział w sali ze skamielinami.

Wyrwał tę stronę i wrócił na dół.

- Nasz zabójca to syn Breckinridge'a - oznajmił, pokazując Stammowi efekt swoich poszukiwań. - A stary wcale nie zwariował.

Kustosz popatrzył na niego z niepokojem.

Jeszcze raz rozejrzał się po salonie, tym razem już w większym skupieniu. Nad biurkiem było pełno pustych przegródek, w rogu stał staroświecki gramofon. Cotton zauważył go podczas pierwszej wizyty. Z dołu wystawał kabel z urwaną wtyczką, obrotowy talerz był cały zardzewiały. Sprzęt powinien już dawno trafić na śmietnik. Więc dla-

czego Breckinridge go nie wyrzucił? Malone podszedł bliżej, kucnął przy szafce pod gramofonem i spróbował otworzyć drzwiczki. Były zamknięte. Szarpnął mocniej, ale zamek został dodatkowo wzmocniony stalową zasuwką.

Wydawało mu się to dziwne.

Zadzwoił jego telefon.

Cotton miał nadzieję, że to Cassiopeia. Już długo się nie odzywała. Sam dwa razy próbował się do niej dodzwonić, ale nie odebrała.

Na ekranie wyświetliło się jednak nazwisko Danny ego Daniela.

- Przynies mi nóż z kuchni - powiedział do Stamma, po czym odebrał telefon.

- Twój zabójca zmienił wygląd - oświadczył Daniels, po czym podał mu szczegóły.

- Znamy też już jego tożsamość - powiedział Cotton i wyjaśnił, czego się dowiedział.

- Dorwijmy drania.

- Pracuję nad tym - odparł Malone. - Jesteśmy w kontakcie.

Po czym się rozłączył.

Stamm wrócił z nożem rzeźnickim w rękę. Cotton zaatakował stare drewno, wygrzebując je po kawałku, aż zamek odpadł i szafka się otworzyła. W środku leżała sterta starych płyt w podartych papierowych okładkach, których z pewnością nie trzeba było zabezpieczać stalową zasuwą. Kiedy je wyciągnął, zauważył coś dziwnego - wewnętrzna półka nie sięgała tak daleko jak powinna, gdy spojrzeć z zewnątrz. Popukał w tylną ściankę i przesuwał po niej palcami, aż natknął się na metal. Zaczął więc pchać.

- Spostrzegawczy jesteś - skomentował Stamm.

- Kiedy przez tyle lat próbują cię zabić, nabierasz pewnej wprawy.

Za tylną ścianką znajdował się sekretny schowek. W środku leżała jakaś książka.

Stamm schylił się i wyciągnął ją ze schowka. Ostrożnie trzymał ją na rękach, jakby to było szkło. Cotton rozumiał, skąd ta ostrożność. Książka była w idealnym stanie, niebieska skórzana oprawa i pozłacane

krawędzie kartek wyglądały niemal jak nowe.

- Otwórz - powiedział.

Stamm powoli podniósł okładkę, odsłaniając piękną, zapisaną odręcznie stronę tytułową.

Notatki i obserwacje

*Na temat ekspedycji do nowo pozyskanych Amerykańskich terytoriów
południowo - zachodnich Trwającej od maja 1854 do maja 1856*

Zleconej przez Zarząd Instytutu Smithsona

Spisane przez Sługę Wiary Angusa Adamsa

- To dziennik Adamsa - stwierdził Stamm.

Cottonowi ciarki przeszły po plecach na myśl, że ten tom wyszedł spod ręki jego przodka, po którym odziedziczył przydomek.

- Według naszej dokumentacji ta książka miała zostać zwrócona twojej rodzinie w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku. Teraz wiemy, dlaczego tak się nie stało. Breckinridge ją sobie przywłaszczył.

„Pański dziennik jest bezpieczny. Osobiście go ukryłem”.

- Kiedy z nim rozmawiałem, powiedział, że ją schował, ale nie zwróciłem na to większej uwagi. Uznałem, że to jakieś jego kolejne urojenia. Dlaczego ten dziennik jest taki ważny?

- Naprawdę nie wiem.

- Ale Weston może wiedzieć?

Stamm nie odpowiedział. Wskazał na przedostatnią linijkę na stronie tytułowej.

- „Sługa wiary”. Takie same słowa są na Kamieniu Konia. A widziałeś okładkę?

Na skórzanej oprawie w prawym górnym i dolnym rogu były wytłoczone cyfry 4 i 8. Z tyłu zaś, w narożnikach po lewej stronie widniały litery N i P.

- Te cyfry i litery są wzięte z Kamienia Wiedźmy.

- To nie może być przypadek - powiedział Stamm.

- Myślisz? Już od dawna widać, że nic z tego, co się tutaj dzieje, nie jest

dziełem przypadku.

- Więc co z tym zrobimy? - zapytał Stamm.
- Na razie nic. Najpierw musimy się dostać do grobowca.

ROZDZIAŁ 62

GRANT ZNALAZŁ SIĘ z powrotem w Zamku, tym razem ze swoim ojcem. Wślizgnęli się do środka kilka minut przed piątą trzydzieści, dołączając do ostatnich kilku zwiedzających, którzy chodzili po wystawach na parterze. Skierowali się prosto do Sali Schermera, tej samej, z której Grantowi udało się wcześniej uciec.

- Pozmieniało się tu - skomentował jego ojciec. - Przemalowali ściany i przebudowali całą salę.

- Nie byłeś tu ani razu, odkąd przeszedłeś na emeryturę?

- Nie widziałem takiej potrzeby.

Jednym z nowych elementów w Zamku były też kamery. W Sali Schermera również ich nie brakowało.

Grant wciąż miał przy sobie kartę magnetyczną Martina Thomasa, ale nie zamierzał jej używać. Po ostatniej wizycie w sali ze skamielinami wiedział już, że cały budynek jest pod ścisłą obserwacją. Dlatego tym bardziej zastanawiał się, co oni tu w ogóle robią, ale jego ojciec twierdził, że nie mają wyboru.

To właśnie w Sali Schermera ćwierć wieku temu odbyła się uroczystość na cześć Franka Breckinridge'a z okazji jego przejścia na emeryturę. Tamtego dnia wypełniali ją bliżsi i dalsi znajomi, dzisiaj kręcili się tu sami turyści. Pod północną ścianą, w samym rogu, znajdowały się te same drzwi co wtedy. Wisiała na nich tabliczka z napisem: PRZEJŚCIE TYLKO DLA PERSONELU. W drzwiach była jedynie zwykła kłamka z prostym zamkiem. Ku zaskoczeniu Granta jego ojciec wyjął z kieszeni klucz.

- Ten zamek jest tu od czasów drugiej wojny światowej - powiedział. - Takie rzeczy rzadko się zmieniają w tym miejscu. Instytut jest zarówno badaczem, jak i niewolnikiem historii.

- Dlaczego zachowałeś ten klucz?

- Na wypadek gdybym musiał tu kiedyś wrócić.

Zamontowane tu kamery były skierowane na centralną część wnętrza oraz przestrzeń wystawową, nie pilnowały natomiast rogów sali. Dlatego Grant i jego ojciec zaczęli na odpowiedni moment i kiedy goście ruszyli w stronę wyjścia, jak gdyby nigdy nic użyli klucza i przeszli przez drzwi. Znaleźli się na klatce schodowej, spiralne schody biegnęły od piwnicy aż do górnych pięter. Wczoraj Grant dostał się tą drogą do rotundy. Minęli pierwsze piętro i skryli się w jednym z pomieszczeń w północnej wieży, gdzie w dawnych czasach mieszkali za darmo młodzi ludzie, którzy pracowali w Zamku przy katalogowaniu eksponatów oraz asystowali naukowcom.

Tam mogli w spokoju poczekać, aż budynek opustoszeje.

- Podczas wojny domowej Joseph Henry został aresztowany i zabrany przed oblicze Lincolna - powiedział ojciec Granta. - Najbardziej uczony człowiek w służbie państwowej, kierujący Instytutem Smithsona, oskarżony o szpiegostwo.

Grant nigdy o tym nie słyszał.

- Oficer, który dokonał aresztowania, od miesięcy ostrzegał swoich przełożonych, że Henry wspiera buntowników. Teraz miał dowód, ponieważ poprzedniej nocy na własne oczy widział, jak właśnie stąd, z wieży północnej, dawano sygnały świetlne wojskom Konfederacji. Tak więc przyprowadził Henry ego do Lincolna. Prezydent wycelował w niego palec i powiedział: „A zatem został pan schwytany. Co ma pan do powiedzenia, profesorze Henry? Dlaczego nie miałbym natychmiast skazać pana na karę śmierci?”. Ale Henry tylko się uśmiechnął. Wówczas Lincoln odwrócił się do tego oficera i wyjaśnił, że to on sam razem z Henrym i dwoma innymi ludźmi wdrapał się poprzedniej nocy na wieżę północną i w ramach eksperymentu wysyłał sygnały w stronę wzgórz wokół miasta. Sprawa została zamknięta.

Grant nie wiedział, co ma oznaczać ta opowieść.

- Ten oficer mylił się pod wieloma względami - dodał jego ojciec. - Joseph Henry nie był jednym z nas.

- Cały czas używasz liczby mnogiej. Ilu zostało rycerzy?
- Wystarczy, żeby wykonać zadanie.

Dochodziła godzina 21:20. Do pokoju na wieży docierało niewiele odgłosów, dlatego nie wiedzieli na pewno, czy na parterze zrobiło się już pusto. W którymś momencie będzie trzeba zejść na dół i sprawdzić. Przez okno widzieli, że w parku National Mail nadal roiło się od ludzi korzystających z ciepłego wiosennego wieczoru.

- Uważasz się za odważnego - powiedział ojciec Granta - a więc posłuchaj mnie teraz uważnie. Dziś w nocy zostanie otwarty grobowiec Smithsona. Kiedy to nastąpi, ty będziesz w gotowości. I musisz zrobić dokładnie to, co ci powiem.

COTTON I STAMM WESZLI z powrotem do krypty Smithsona.

Po powrocie z domu Breckinridge'a znaleźli potrzebne narzędzia w warsztatach w piwnicy. Zamek był pusty, a na polecenie kustosa kamery na parterze zostały na kilka godzin wyłączone. Ludzi z ochrony też nie było nigdzie w pobliżu - Stamm powiedział im, że trzeba przeprowadzić delikatne prace remontowe, które jako kustosz będzie osobiście nadzorował.

Obaj ukłękli po jednej stronie grobowca.

- Ta obudowa z czerwonego marmuru została precyzyjnie przyklejona - wyjaśnił Stamm. - Dostatecznie mocno, żeby dobrze się trzymała, ale nie na tyle, żeby nie dało się jej zdjąć, gdyby kiedykolwiek powstała taka potrzeba. Czytałem wszystkie sprawozdania, które napisał na ten temat Breckinridge.

Płyta z czerwonego marmuru miała około sześćdziesięciu centymetrów szerokości i dziewięćdziesiąt centymetrów długości. Po bokach biegła pionowo fuga. Cotton domyślił się, że marmur to tylko zewnętrzna fasada nałożona na prostą, betonową podstawę. Stamm przyłożył dłuto do jednego boku, postukał w nie gumowym młotkiem, po czym przesunął się coraz niżej, aż zaprawa zaczęła pękać. Następnie powtórzył cały proces po drugiej stronie. Nad najniższym poziomem podstawy

znajdował się jeszcze jeden, węższy pasek czerwonego marmuru, a wyżej zaczynał się szary marmur właściwej części grobowca. Stamm obluzował ten wąski pasek, dzięki czemu łatwiej było mu wcisnąć dłuto w szparę pomiędzy dolną płytą a betonową podstawą. Cotton trzymał ręce wyciągnięte, gotowy złapać płytę, kiedy cała się oderwie.

Tak też się stało.

Ostrożnie położył marmur na podłodze. Odkleił się gładko, dzięki czemu powinien z łatwością dać się później przymocować z powrotem. Za zdemontowaną płytą znajdowała się wnęka, która ciągnęła się na całej długości betonowej podstawy. Miała najwyżej czterdzieści pięć centymetrów szerokości i tyle samo wysokości. W głębi widać było bok małej mahoniowej trumny ozdobionej srebrnymi uchwytyami.

- Są tam tylko kości - powiedział Stamm - więc trumna nie musiała być duża.

- A gdybyś chciał coś tutaj ukryć, to nie zostawiłbyś tego po tej stronie - dodał Malone.

To oznaczało, że trumnę trzeba wyciągnąć z wnęki.

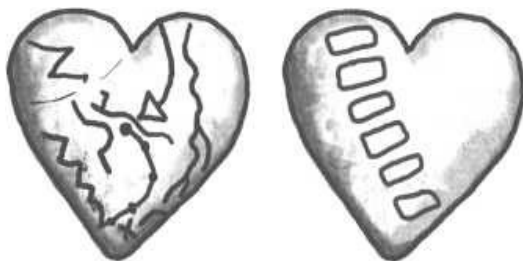
Włożył rękę do środka i chwycił srebrny uchwyt. Ciężka trumna ruszyła z pewnym oporem. Cotton przypomniał sobie raport Breckinridge'a. Szczątki Smithsona najpierw umieszczono w miedzianej skrzynce, którą następnie zamknięto w drewnianej trumnie. Gdy tylko z wnęki wysunęły się kolejne srebrne uchwyty, Stamm ustawił się po jednej stronie, Cotton po drugiej i wspólnymi siłami wyciągnęli trumnę na zewnątrz.

- Biedny Smithson nie może zaznać spokoju - zauważył Stamm. - Już czwarty raz ktoś przerzuca jego kości.

Cotton uklęknął i zajrzał do pustej wnęki. Na samym końcu widać było jakiś kształt. Sięgnął do środka i ostrożnie wydobył przedmiot, którym okazał się płaski kamień w kształcie serca. Miał jakieś trzydzieści centymetrów długości i około trzech centymetrów grubości.

Po jednej stronie widniała płatanina zakrzywionych linii, ale szczególnie wyróżniała się ta pośrodku, na której umieszczono pięć punktów w równych odstępach.

Wyglądała tak samo jak ta na Kamieniu Drogi. Z tą różnicą, że tutaj znajdował się punkt końcowy, oznaczony strzałką i odwróconą literą U, symbolizującą kopalnię.



Cotton wolno odwrócił kamień na drugą stronę i ujrzał sześć małych prostokątów biegnących po skosie. Zakładał, że kiedy ułoży się go awersem do góry we wgłębieniu w kształcie serca na Kamieniu Drogi, który czekał na niech w Muzeum Historii Amerykańskiej, odsłoni się przed nimi większość zakodowanej mapy.

Zgodnie z ustalonym wcześniej planem Stamm szybko zrobił kilka zdjęć aparatem z szerokokątnym obiektywem, który przyniósł ze swojego gabinetu, a potem także własnym telefonem.

- Teraz zamknijmy z powrotem ten grobo...

W tym momencie zgasły wszystkie światła. Budynek pogrążył się w ciemności.

ROZDZIAŁ 63

DANNY JECHAŁ NA tylnym siedzeniu czarnego lincolna, obok Frizzella. Z przodu oprócz kierowcy siedział jeszcze jeden mężczyzna, ale żaden z nich się nie odezwał. Danny znał ten typ. Akolici. Bez słowa wykonują rozkazy swoich szefów. Zastanawiał się, na czym dokładnie polega tutaj ich zadanie. Zwrócił też uwagę, że ten, kto chciał z nim rozmawiać, roztropnie wysłał po niego Frizzella, dobrze wiedząc, że Danny nie wsiadłby do samochodu z kimkolwiek.

- W co ty się wplątałeś? - zapytał swojego przyjaciela ściszym głosem.

- Bardziej chodzi o to, w co ty się wplątałeś.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Dotarli do autostrady międzystanowej nr 66 i ruszyli na zachód w kierunku Wirginii. O tej porze droga była już niemal pusta.

- Dobrze, że nie ma już wokół mnie ludzi z Secret Service - zażartował Danny, próbując rozluźnić atmosferę. - O wiele trudniej byłoby zorganizować tę małą wycieczkę.

- Niekoniecznie - odparł Paul.

Widział, że jego przyjaciel jest śmiertelnie poważny. Jeszcze nigdy go takiego nie widział.

- To sięga aż tak głęboko?

Cisza.

- Jesteś po stronie Vance'a? Zgadzasz się z tym, co on chce zrobić?

- Popieram jego cele, ale nie zgadzam się ani z nim, ani z jego metodami.

Dziwna odpowiedź. Danny nagle przypomniał sobie to, co Cotton mówił mu o Rycerzach Złotego Kręgu.

Wyciągnął prawą rękę.

- Należysz?

Frizzell obrzucił go badawczym spojrzeniem, ale podał mu dłoń, odpowiadając:

- Należę.

Złączyli ręce, w osobliwy sposób splatając palce.

Paul puścił jego dłoń.

- Wiem, że nie jesteś w Zakonie. Ale dobrze, że rozumiesz, jaka jest stawka.

- Może nie całkiem. Mówimy o zdradzie?

- W żadnym wypadku.

MINEŁI FAIRFAX I ZJECHALI Z autostrady w miejscu, gdzie nie było stacji benzynowej czy nawet parkingu. Danny chciał się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, ale cały czas martwił się też o Stephanie. Ta podróż poważnie opóźni jego wizytę w szpitalu. Mimo to wiedział, co ona sama powiedziałaaby w tej sytuacji.

„Zapomnij o mnie i rób, co trzeba”.

Jechali jeszcze jakieś półtora kilometra ciemną drogą, aż dotarli na pusty parking pod zamkniętym barem. Gdy tylko zaparkowali, dwaj ludzie z przodu wyskoczyli z wozu i otworzyli drzwi dla niego i Paula.

- Ostatnio nikt mnie już nie traktuje z taką kurtuazją - skomentował Danny, wysiadając z samochodu.

- Tędy - powiedział Paul i wskazał na budynek.

Drzwi wejściowe nie były zamknięte na klucz. Weszli do środka. Danny ego od razu uderzył zapach starego tłuszczu i chloru. Nie paliło się ani jedno światło, wszystko skrywała ciemność.

- Niech pan wejdzie, panie prezydencie - odezwał się ktoś na końcu pomieszczenia.

Głos był elektronicznie zmodyfikowany.

- Czy to naprawdę konieczne? - zapytał Danny, lekko już poirytowany.

- Wolałbym, żeby tak nie było - odparł zamaskowany głos. - I przepraszam za te środki ostrożności, ale przyszedł czas, żebyśmy

porozmawiali twarzą w twarz.

- Przecież tego nie robimy.

- Niestety nic więcej nie mogą teraz zaoferować.

Danny zaczął dodawać dwa do dwóch.

- Od jak dawna obserwujecie mieszkanie Alexa Sherwooda?

- Od jakiegoś czasu. Zaczęliśmy niedługo przed jego śmiercią. Kiedy dowiedzieliśmy się, że został w to wtajemniczony.

Rozważał w głowie różne możliwości, ale tylko jedno wytłumaczenie wchodziło w grę.

- Diane Sherwood stanowi dla was problem.

- To mało powiedziane, ale zgadza się.

- Zawsze jest pan taki strachliwy?

- Jestem ostrożny, w przeciwieństwie do Luciusa Vance'a i Diane Sherwood.

Najwyraźniej żadne z nich nie miało nic wspólnego z tym człowiekiem. Ale przysłała mu do głowy inna teoria. Szefowa jego nowej kancelarii znalazła więcej informacji na temat brata Diane, Kennetha Layne'a. Stał na czele Komitetu Ocalenia Ameryki, mającego swoją siedzibę niedaleko Kapitolu, w jednej z droższych części miasta. Zdobyła także jego fotografię i Danny natychmiast rozpoznał w nim trzeciego uczestnika spotkania w domu Sherwoodów, które odbyło się wczoraj wieczorem.

- A więc któreś z tej dwójki powiedziało Kennethowi Layne'owi, ile wiem o tej sprawie. Layne powiadomił pana. A potem, kiedy skontaktowałem się z Paulem, jako człowiek „ostrożny” musiał pan mieć sporo pytań.

- Niezupełnie, ale jest pan blisko - odparł głos.

Facet zaczynał mu działać na nerwy. Postanowił przyspieszyć tę rozmowę.

- Zgaduję, że finansuje pan Komitet Ocalenia Ameryki Kennetha Layne'a. Ktoś musi, a każdy wie, że Layne jest biedny jak mysz kościelna.

- To nasze święte prawo jako obywateli tego kraju. Wolność słowa i

zgromadzenia.

- Nigdy nie twierdziłem niczego innego. - Danny spojrział na Paula. - Naprawdę bierzesz udział w tej farsie?

- Danny, jesteśmy blisko uzyskania poparcia trzydziestu czterech stanów, dzięki czemu zmusimy Kongres do zwołania drugiej konwencji konstytucyjnej.

Tego się nie spodziewał.

- Uważaj, żeby twoje życzenie przypadkiem się nie spełniło. - Odwrócił się z powrotem w kierunku tajemniczego głosu. - Layne dał Alexowi Sherwoodowi notatnik, w którym ze szczegółami opisał plany zarówno swojego Komitetu, jak i Luciusa Vance'a. Założę się, że to było wbrew zasadom Zakonu i dlatego wzbudziło pańskie zainteresowanie. Teraz też jestem blisko?

Nikt nie odpowiedział.

- A kiedy Alex Sherwood powiedział, że nie chce w tym uczestniczyć, chwilę później zdarzył mu się tragiczny wypadek. - Teraz już strzelał na oślep, ale właściwie czemu nie? Ci ludzie zdecydowanie mieli motyw, żeby zamordować jego przyjaciela.

-W tym cała rzecz, Danny - odezwał się Paul. - Nie mieliśmy nic wspólnego ze śmiercią Alexa ani z tym, co planuje Vance. Absolutnie nic. I właśnie dlatego w tej chwili z tobą rozmawiamy.

DIANE OPUŚCIŁA MIESZKANIE zaraz po wyjściu Daniela. Nie chciała ani chwili dłużej przebywać w tym miejscu. Było tu zbyt wiele duchów, zbyt wielu nieproszonych gości. Wciąż nie miała wieści od Granta, co zaczynało ją niepokoić. Uznała, że lepiej będzie przenieść się do hotelu.

Miała wrażenie, że wszystko się psuje. Jeszcze kilka godzin temu sprawy szły po jej myśli, a teraz nagle sytuacja niesłychanie się skomplikowała. Vance wpadł w panikę, choć na szczęście nie na tyle, żeby wstrzymać całą operację. Silni mężczyźni mają to do siebie, że przeszkody zamiast ich paraliżować, stymulują do działania. Zapewnił, że

rano wszystko odbędzie się zgodnie z planem. Komisja Regulaminowa przyjmie wniosek, a następnego dnia będzie nad nim głosował cały skład Izby Reprezentantów. Jeśli chodzi o poszukiwania skarbu, mieli już trzy z pięciu kamieni. Grant powinien niedługo zdobyć jeszcze Kamień Serca, dzięki czemu będą mogli wreszcie zacząć szukać samej krypty. Ale kto włamał się do mieszkania i ukradł klucz? Dwukrotnie próbowała skontaktować się z Grantem, ale od razu uruchamiała się jego poczta głosowa.

Siedziała teraz w pokoju hotelowym i starała się pozbierać myśli. Ogarniały ją jednak tylko coraz większy niepokój, złość i rezygnacja.

Czuła się fatalnie.

Kiedy rozległ się dzwonek jej telefonu, aż podskoczyła z wrażenia. Złapała komórkę w nadziei, że to Grant. Niestety, dzwonił tylko jej brat.

- Czego chcesz, Kenneth?

- Pani Sherwood, musimy porozmawiać - usłyszała nieznany, męski głos.

- Gdzie jest Kenneth?

- Tutaj, z nami.

Nie brzmiało to jak groźba, ale mimo to przebiegła ją zimny dreszcz.

- Kim pan jest?

- Kimś, kogo pani cały czas udaje.

Dopiero po chwili pojęła, co ma na myśli.

- Czego pan chce?

- Żeby przyniosła mi pani swoje wszystkie materiały, zdjęcia i notatki dotyczące kamieni.

- Skąd pan o tym wie?

- Jak powiedziałem, jestem tym, za kogo pani się podaje.

Czy to możliwe? Ojciec zapewniał ją, że Zakon nie istnieje od bardzo dawna.

- Rycerzy już nie ma.

- Niestety, dla pani i pani brata, to nie do końca prawda.

ROZDZIAŁ 64

GRANT PATRZYŁ, JAK Richard Stamm i człowiek z sali skamielin otwierają grobowiec Smithsona. Udało mu się zejść niepostrzeżenie z wieży północnej i wślizgnąć do galerii po drugiej stronie północnego westybulu, naprzeciwko wejścia do krypty.

W czasie gdy on zajmował pozycję, jego ojciec zszedł po spiralnych schodach do piwnicy, żeby wyłączyć światła w całym budynku, dzięki czemu mieli zyskać element zaskoczenia. Koordynowali swoje ruchy za pomocą SMS-ów, ponieważ Grant tymczasem odzyskał swój telefon. Były na nim dwa nieodebrane połączenia od Diane, ale na razie postanowił je zignorować. Zdumiał się, gdy zobaczył, że jego ojciec posiada telefon komórkowy, ale w ciągu ostatnich kilku godzin przeżył już niejedno zaskoczenie. Frank Breckinridge z pewnością znał każdy kąt Zamku, łącznie z instalacją elektryczną. Gdy tylko Grant dał mu znać, że Kamień Serca został odnaleziony, zapadła ciemność.

Grant natychmiast ruszył do akcji. Przebiegł przez westybul i wpadł do krypty. Kamień Serca leżał na podłodze. Ojciec ostrzegł, że ma tylko kilka sekund, zanim uruchomi się awaryjne zasilanie, a przytłumione światło czerwonych żarówek w zupełności wystarczy, żeby zdradzić jego obecność.

Dlatego działał szybko.

Przewrócił na bok obu mężczyzn, którzy kucali na podłodze, i porwał z ziemi kamień.

COTTON UPADŁ NA podłogę, jakby zderzył się z zawodowym futbolistą. Gwałtowne zaciemnienie sprawiło, że praktyczne nic nie widział. Ale na pewno pojawił się przy nich ktoś trzeci.

A teraz ten ktoś zaczął uciekać.

Przekręcił się na brzuch i zerwał się na równe nogi.

- Nic ci nie jest? - zapytał Stamma.

-Nie.

W westybulu przy drzwiach wyjściowych zapaliły się czerwone lampy.

- Światła awaryjne - stwierdził Stamm.

Cotton wybiegł z krypty w chwili, gdy jakiś cień skręcał do głównego holu. Wyglądał, jakby ścisnął coś w rękach.

Kamień Serca.

Malone wyciągnął pistolet. Wymierzył.

I strzelił.

GRANT BYŁ W EUFORII. Udało mu się wykraść kamień, który okazał się mały i lekki, i rzucił się do ucieczki. Znowu znalazł się w głównym holu, gdzie wcześniej umknął przed tą kobietą z Departamentu Sprawiedliwości. Jeszcze kilka kroków i będzie już poza zasięgiem. Nagle rozległ się głośny huk.

Obok niego świsnęła kula, która odbiła się od jednego z kamiennych filarów.

Grant natychmiast skrył się za inną kolumną.

- Nie uciekniesz stąd - zawołał jakiś głos.

COTTON TRZYMAŁ GO w potrzasku.

Nawet w czerwonym półmroku widział, że jego przeciwnik nie ma dokąd uciekać, nie wystawiając mu się na łatwy cel. Nie wiedział, czy facet jest uzbrojony, ale musiał przyjąć takie założenie.

Stamm po chwili go dogonił.

- Wszystko pozamykane? - zapytał go Malone.

- Tak. Tym razem nikt nie ucieknie schodami pożarowymi. Stali pod niskim murkiem przy sklepionym wejściu do holu, widząc przed sobą całe pomieszczenie.

Nagle otworzyły się drzwi prowadzące do Sali Schermera.

- Kapitanie Adams - odezwał się czyjś głos. - Jak miło, że pan do nas dołączył.

Frank Breckinridge. Nadal odgrywał swoją rolę.

Starzec uniósł broń i oddał trzy strzały. Ponieważ byli odsłonięci, Cotton chwycił Stamma i pociągnął go za sobą na ziemię, kryjąc się za murkiem.

Kule przeleciały nad ich głowami.

GRANT WYKORZYSTAŁ NAGLE pojawienie się ojca. Opuścił kryjówkę i rzucił się w stronę podwójnych drzwi. Ojciec był tuż za nim.

- Musimy się spieszyć - powiedział Frank Breckinridge, zatraskując za sobą drzwi.

Ruszyli przed siebie.

COTTON ZERWAŁ SIĘ Z ziemi i zobaczył, że dwaj intruzi uciekli z głównego holu. Wiedział, że Stamm powinien zostać tutaj, ale potrzebował go z uwagi na jego znajomość budynku. Dlatego ruszyli razem wąskim, zamkniętym korytarzem i po chwili znaleźli się w przestronnej Sali Schermera. Cotton podszedł do drzwi, za którymi znajdowały się schody pożarowe, i nacisnął klamkę.

Nadal były zamknięte. W budynku nie włączył się też alarm.

A to oznaczało, że uciekinierzy postanowili skorzystać z ukrytej klatki schodowej.

Stamm wskazał na drewniane sklezione drzwi oznakowane jako przejście tylko dla personelu i wyciągnął okazały pęk kluczy.

- Stary miał klucz? - zapytał Cotton.

- Najwyraźniej - pokiwał głową Stamm.

Gdy tylko znaleźli się na spiralnych schodach, od razu pobiegli w dół - Stamm stwierdził, że na górze nie ma żadnej możliwości ucieczki, no chyba że ktoś potrafi latać.

Po chwili byli znowu w podziemnym gabinecie Stamma.
I usłyszeli kroki.

GRANT WIDZIAŁ, ŻE jego ojciec nie jest wcale taki silny i żwawy, jakiego cały czas udaje. Schodzili po schodach zdecydowanie za wolno, w piwnicy musieli zaś jeszcze bardziej zwolnić, bo ojcu zabrakło tchu. A niestety była to dwuosobowa operacja.

Wiedział, że zmierzają w kierunku Centrum Ripleya znajdującego się pod dziedzińcem i ogrodami, jeszcze głębiej niż piwnica, w której teraz stali. Zostało wybudowane w latach osiemdziesiątych, a dziś mieściły się tam galerie sztuki, biura i sale konferencyjne. Zwiedzający wchodzili tam z poziomu ziemi, przez pawilon z miedzianą kopułą, zaraz obok Zamku, ale z dołu prowadziło też na górę kilka wyjść awaryjnych.

Poszli dalej długim korytarzem, minęli podwójne drzwi i dotarli do windy i schodów prowadzących niżej, do Centrum Ripleya. Grant zawsze dziwiło, że najwyższy poziom jest oznaczony numerem 1, a najniższy numerem 3.

Jak dotąd nikt ich nie ścigał. Ale ojciec nadal miał zadyszkę.

Zjechali windą na poziom konferencyjny. Wysoki strop i oświetlone od tyłu szklane ściany stwarzały wrażenie, jakby byli w normalnym biurowcu, gdzieś wysoko nad ziemią.

- Tędy - powiedział jego ojciec.

COTTON STANAŁ W DRZWIACH łączących gabinet Ricka Stamma z piwnicą Zamku. Nie ścigali już dwóch intruzów.

- Miałeś rację - stwierdził Stamm.

Gdy Malone zorientował się, że Breckinridge chce, żeby otworzyli grobowiec, a poszukiwany przez nich zabójca to syn starego, zadzwonili do ochrony i kazali sprawdzić nagrania z kamer przy obu wejściach do Zamku. Nie minęło dużo czasu, zanim namierzono zarówno ojca, jak i syna, którzy wprawdzie weszli osobno, ale zaraz potem spotkali się w

Sali Schermera i stamtąd dostali się na spiralne schody. Stamm domyślił się, że ukryją się na górnych piętrach północnej wieży, i tak dokładnie się stało. Wspólnie z Cottonem opracowali więc nowy plan - postanowili poświęcić Kamień Serca, ale co najważniejsze, najpierw zrobić mu mnóstwo cyfrowych zdjęć.

Tak właśnie zrobili.

Malone jeszcze z domu Breckinridge'a zadzwonił do siedziby głównej Magellan Billet. Ponieważ do Waszyngtonu już wcześniej wysłano dwóch dodatkowych agentów, aby znaleźli człowieka odpowiedzialnego za postrzelenie Stephanie, Cotton poprosił, aby przydzielono ich jemu do pomocy. Chociaż nie był już zatrudniony w jednostce na stałe, a jedynie wynajmowano go od czasu do czasu do specjalnych zadań, ludziom w Atlancie zależało na jego udziale w dochodzeniu, dlatego przychylni się do jego prośby. Cotton od razu skontaktował się z tymi dwoma agentami i powiedział im, co mają zrobić.

- Kamery już działają - oznajmił Stamm.

Cotton podszedł do biurka i zobaczył na ekranie, jak obaj Breckinridge'owie wylaniają się z wejścia do Centrum Ripleya i wbiegają do ogrodu.

- Wszystko tak, jak przewidziałeś - powiedział do Stamma.

- Znam te budynki nie gorzej niż Breckinridge.

Ale ponieważ ucieczka musiała wyglądać przekonująco, Malone zaaranżował małe przedstawienie.

GRANT WYSZEDŁ ZA swoim ojcem z pawilonu prowadzącego do Centrum Ripleya. Znajdowali się teraz w ogrodach ciągnących się pomiędzy Zamkiem a Independence Avenue. Naokoło spacerowali ludzie, podziwiając podświetlane kwiaty. Brama Renwicka po ich prawej nadal był otwarta.

- Mój człowiek-odezwał się jego ojciec -powinien czekać w samochodzie zaraz za bramą.

Grant cały czas trzymał w rękach Kamień Serca. Musiał na niego

uważać, bo w przeciwieństwie do kamienia z sali skamielin ten wydawał się dość delikatny. Ponieważ naokoło byli nie tylko inni ludzie, ale i kamery, zwolnili kroku i starali się nie wyróżniać. Ale nikt nie zwracał na nich najmniejszej uwagi.

Spokojnie zmierzali w stronę bramy.

Po drugiej stronie biegła Independence Avenue, ruchliwa ulica przylegająca do National Mall i prowadząca na Wzgórze Kapitołińskie.

Ojciec Granta pierwszy przeszedł przez bramę.

- Stać! - zawołał ktoś za nimi.

Grant obejrzał się i zobaczył umundurowanego funkcjonariusza ochrony. Wiedział, że tutejsi strażnicy nie noszą broni, ale ten trzymał w ręku krótkofalówkę. Grant miał nad nim jakieś trzydzieści metrów przewagi, więc po prostu popędził przed siebie.

- Stać! Natychmiast stać! - krzyczał strażnik.

Samochód, ten sam, który ich tu przywiózł, był zaparkowany przy krawężniku, w niedozwolonym miejscu, z włączonymi światłami awaryjnymi.

Dzięki Bogu.

Ojciec sadowił się już na tylnym siedzeniu. Grant wskoczył do środka zaraz za nim i zatrzasnął drzwi.

Samochód ruszył z piskiem opon.

COTTON OBSERWOWAŁ SYTUACJĘ na Independence Avenue na ekranie komputera w gabinecie Stamma, który miał obraz z wszystkich kamer w ogrodzie. Dzięki temu widział, jak jeden z agentów Magellan Billet przebrany w uniform ochrony Instytutu Smithsona goni uciekinierów. Malone po raz pierwszy mógł lepiej się przyjrzeć młodszemu Breckinridgeowi i przekonał się, że po pierwsze, jego wygląd zgadza się z nowym opisem przekazanym przez Danny'ego Danieksa, a po drugie, to ten sam człowiek, którego spotkał w Muzeum Historii Naturalnej.

- Pojechali - usłyszeli przez radio.

- Dobra robota - powiedział do mikrofonu Cotton.

Nie chodziło wcale o to, żeby ich zatrzymać, tylko żeby pozwolić im uciec.

- Co teraz? - zapytał Stamm.

- Teraz obserwujemy.

ROZDZIAŁ 65

DANNY NIE BYŁ pewny, co ma o tym wszystkim myśleć. Nie wiedział nic o właścicielu przetworzonego głosu, przemawiającym do niego z drugiego końca ciemnego baru, i nie miał żadnego powodu, żeby mu wierzyć czy ufać. Ale Frizzell to co innego. Znał tego człowieka od lat i nigdy nie wątpił w jego prawdomówność.

- Paul - powiedział cichym i spokojnym głosem. - Musicie zacząć mówić trochę jaśniej. To wszystko nie bardzo mieści się w głowie, chyba sam rozumiesz.

- Rozumiem, Danny. Miałeś rację w samochodzie. Jestem Rycerzem Złotego Kręgu. A ten człowiek pod ścianą to obecny komandor Zakonu.

- Który musi pozostać anonimowy?

- Już od dawna działamy w ukryciu - odezwał się głos. - Tak jest bezpieczniej. To absolutnie wyjątkowa sytuacja, że przyjechaliśmy tu dziś, żeby z panem porozmawiać.

- Cóż to dla mnie za zaszczyt. Musi mi pan wybaczyć, jeśli nie jestem pod dostatecznym wrażeniem.

- Danny - wtrącił się Paul. - Po naszej poprzedniej rozmowie wykonałem telefon. Moi współpracownicy zapytali, czy jesteś człowiekiem godnym zaufania. Powiedziałem, że tak.

Zrozumiał aluzję. Jego przyjaciel za niego poręczył, więc powinien na razie darować sobie sarkazm.

- Zakon był liczącą się siłą podczas wojny secesyjnej - ciągnął Paul. - To prawda, popierał niewolnictwo i dokonywał aktów przemocy. Jedno i drugie to powód do wstydu. Ale takie były czasy. Po wojnie Zakon zszedł do podziemia. Z jego szeregów zniknęli radykałiści. Stery przejęło nowe pokolenie, reprezentujące nowoczesny i bardziej praktyczny

sposób myślenia.

Danny przypomniał sobie notatnik Kennetha Layne'a.

- Tacy jak Alexander Stephens?

Jego przyjaciel pokiwał głową.

- Był członkiem Zakonu aż do śmierci w tysiąc osiemset osiemdziesiątym trzecim roku - powiedział komandor. - Stephens był geniuszem. Gdyby ludzie posłuchali go w latach pięćdziesiątych, wojna domowa pewnie nigdy by nie wybuchła. Zmiany na Południu dokonałyby się na drodze prawnej. Niestety jego rewolucyjne propozycje zostały odrzucone.

- Takie jak pomysł zwołania drugiej konwencji konstytucyjnej?

- Właśnie - potwierdził Paul.

- Taki był plan przed rokiem tysiąc osiemset sześćdziesiątym - dodał komandor. - Podczas nowej konwencji poprawiono by konstytucję. Rozstrzygnięto sporne kwestie. A gdyby te zmiany zostały przyjęte przez wszystkie stany, pięćset tysięcy Amerykanów nie straciłoby życia na wojnie. Niestety przeważył krótkowzroczny sposób myślenia.

Danny emu przyszło na myśl coś, co powiedział o Południu Rhett Butler w Przemienię z wiatrem-. „Jedyne, co mamy, to bawełna, niewolnicy i buta”. Danny zawsze lubił ten cytat.

- Po wojnie, w okresie rekonstrukcji - kontynuował komandor - wszelkie zmiany w konstytucji, które okazałyby się korzystne dla Południa, były niemożliwe. Południowe stany nie rządziły się same. Północ kontrolowała je za pomocą armii, zupełnie nie licząc się z niczym zdaniem. Ale w latach siedemdziesiątych, kiedy rekonstrukcja dobiegła końca i Południe odzyskało możliwość decydowania o sobie, zdecydowano, że prawa stanów są ważniejsze od zmieniania konstytucji. Oczywiście Północ również nie była bastionem postępu. Tam też mieli segregację i swoje Czarne Kodeksy. W końcu w to wszystko wmieszał się Sąd Najwyższy, orzekając, że zasada „osobni, ale równi” jest zgodna z konstytucją. Była to głupia decyzja, niemniej stała się obowiązującym prawem. Południe czuło się usatysfakcjonowane.

- Wiesz, co się działo później - odezwał się Paul. - W dwudziestym

wieku z północy na południe wyemigrowały miliony ludzi, na stałe zmieniając układ sił w Kongresie i Kolegium Elektorów. Południe dosłownie powstało z kolan. Dziś zwycięstwo w tym regionie jest absolutnie niezbędne do wygrania każdego wyborów prezydenckich. Zakon tymczasem obserwował te wszystkie procesy z dystansu. Liczba członków drastycznie spadła. W połowie dziewiętnastego wieku były ich dziesiątki tysięcy, po wojnie zostało kilka tysięcy. Dziś jest nas około pięciuset pięćdziesięciu. Nie jesteśmy fanatykami, Danny, ani terrorystami czy radykałami. Brzydzymy się niewolnictwem i segregacją. Nie jesteśmy też romantykami marzącymi o powrocie do przedwojennego świata. Jesteśmy po prostu patriotami, którzy nie zgadzają się z niektórymi zasadniczymi kwestiami dotyczącymi organizacji tego państwa i chcą dokonać zmian na drodze prawnej.

Danny zrozumiał, w czym rzecz.

- Czyli inaczej niż Lucius Vance.

- Otóż to - powiedział komandor. - Diane Sherwood powiedziała mi rzeczy, o których wiedzą tylko członkowie Zakonu. Ojciec dobrze ją wyedukował. Nie był jednym z nas, ale dużo o nas wiedział. To po części nasza wina. Utrzymywaliśmy z nim relacje, ponieważ dzięki niemu mieliśmy dostęp do archiwów Instytutu Smithsona. Niestety zbyt późno zorientowaliśmy się, że Davisa Layne'a interesowało tylko nasze złoto.

Danny przypomniał sobie, co mówił mu Malone.

- Macie coś wspólnego z tym, co teraz dzieje się w Instytucie?

- Zdajemy sobie sprawę z obecnej sytuacji - odparł komandor. - To kolejny powód, dla którego z panem rozmawiamy.

- Danny - odezwał się Paul. - Plan Vance'a to czyste szaleństwo. Model, w którym Izba Reprezentantów głosuje tylko nad ustawami zgłoszonymi przez jej członków, to pomysł z innej epoki. Spiker Izby zyskałby zbyt dużą władzę. Ale ta zmiana naprawdę może się dokonać. Komisja Regulaminowa jutro poprze ten wniosek. I słyszałem już opinie członków Izby. Są gotowi spróbować wszystkiego. Zdają sobie sprawę, że Vance zdobędzie ogromną władzę, ale on jest jednym z nich i wolą zaufać jemu niż Senatowi czy prezydentowi.

- Vance stanie się cesarzem na Kapitolu. Nie będzie można pójść do kibla bez jego zgody.

- Nikt z nas tego nie chce - zapewnił komandor.

- Nie jest pan jego fanem?

- Wręcz przeciwnie.

Przez żaluzje w oknach przebijały się jedynie cienkie smużki światła, ale oczy Danny ego w pełni przyzwyczyły się już do ciemności. Właściciel przetworzonego głosu siedział w boksie jakieś sześć metrów od niego, skryty w głębokim cieniu. Nie było w nim kompletnie nic charakterystycznego. Danny rozejrzał się od niechcienia po wnętrzu i znalazł włączniki światła przy drzwiach wejściowych, zaledwie kilka kroków od niego. Miał wielką ochotę rzucić okiem na obecnego komandora Rycerzy Złotego Kręgu, zwłaszcza że ani akcent, ani tembr głosu czy dykcja w żaden sposób nie pomagały odgadnąć jego tożsamości.

- Niech mi pan powie, panie prezydencie - podjął głos. - Czy zna pan konstytucję Konfederacji?

Danny chciał trochę zyskać na czasie, więc postanowił skłamać.

- Niezbyt dobrze.

- To ciekawe. Przecież służył pan jako gubernator Tennessee.

- Nie jest to temat, do którego często się dzisiaj wraca.

„Chyba że jest się takim świrem jak pan” - dodał w duchu.

- Naprawdę powinien pan zajrzeć do tej konstytucji. To niezwykle dzieło. Najbardziej imponujący jest fakt, że została przygotowana w ciągu zaledwie kilku tygodni. Już w samej preambule zawiera jednoznaczne odwołanie do „łaskawości i opieki Boga Wszechmogącego”. Mocne sformułowanie. Nie pozostawia wątpliwości co do stanowiska autorów dokumentu. Są też inne znaczące różnice w stosunku do oryginalnej konstytucji. Mogę panu wymienić kilka z nich?

- Ależ proszę.

- Jest na przykład prawo częściowego weta, które pozwala prezydentowi przyjąć niektóre, a odrzucić inne elementy danej ustawy. Jak pan dobrze wie, obowiązująca konstytucja nie przewiduje takiej możliwości. Czy

jako prezydent nie chciałby pan mieć takiego prawa?

Danny nie mógł zaprzeczyć.

- Cła ochronne zostały zakazane, aby żadna branża przemysłu nie była n i esprawiedliwie faworyzowana. Kongres nie miał prawa umorzyć długu. Proszę się nad tym zastanowić. Nie mógł też opłacać żadnych wewnętrznych usprawnień na poziomie stanowym. To wszystko pozostawiono w wyłącznej gestii poszczególnych stanów. Nie było zatem mowy o ustawach służących jako kielbasa wyborcza. Służba pocztowa została zobowiązana do tego, by sama się utrzymywała. Wyobraża pan to sobie? Opracowano nawet konkretne klauzule mające zapobiegać korupcji przy wydawaniu publicznych pieniędzy. I co najważniejsze, to poszczególne stany, a nie rząd centralny, odgrywały nadrzędną rolę. Oczywiście ta konstytucja w dalszym ciągu sankcjonowała niewolnictwo i ograniczała prawa wszystkich ludzi w niewoli. To jej największa wada, rażący błąd wynikający ze specyfiki epoki. Ale musi pan wiedzieć jedno: nikt, kto służył w Zakonie w ciągu ostatnich siedemdziesięciu pięciu lat, nie zgadza się z odbieraniem komukolwiek praw obywatelskich. To sprzeczne ze wszystkim, co reprezentuje sobą nasza organizacja.

- Dotyczy to wszystkich mniejszości? W tym gejów i lesbijek?

- Naturalnie.

- No dobrze - powiedział Danny. - Rozumiem pański punkt widzenia. Niektóre idee Konfederacji miały sens. W naszym systemie politycznym nie wszystko działa jak należy i część z tamtych rozwiązań rzeczywiście mogłaby dzisiaj sporo naprawić. Ale bądźmy poważni, nad tym dokumentem unosi się smród niewolnictwa. Nikt nie powołałby się na niego w poważnej debacie. Wystarczy spojrzeć, co się stało ze sztandarem bojowym Konfederacji. Dzisiaj ten wzór budzi tylko obrzydzenie.

- Całkiem słusznie - odparł głos. - Pod tą flagą walczone o utrzymanie niewolnictwa. Ale zmiany, których dziś potrzebujemy, sięgają ponad podziałami rasowymi. Zarówno czarni, jak i biali chcą daleko idących zmian.

- Tylko że nie takich samych.

- Niekoniecznie - wtrącił się Paul. - Vance ma silne poparcie ze strony czarnych członków Kongresu. Pomogą mu zrealizować jego plan.

- Bo zwietrzyli szansę na zwiększenie swoich wpływów. Wiedzą, że gdy Vance wzmocni swoją pozycję, pociągnie ich za sobą. Każdy może na tym coś ugrać i nikt nie zostanie z pustymi rękami.

- Różnica pomiędzy nami a Vanceem jest taka - odezwał się znowu komandor - że my chcemy, aby nasze zmiany zostały w legalny sposób przyjęte na konwencji konstytucyjnej, po otwartej debacie, a następnie przedłożone wszystkim stanom w celu ratyfikacji.

- I zrobicie co w waszej mocy, żeby przekonać wszystkich do swoich racji.

- Mamy do tego prawo. Jestem gotowy zawierzyć los tego kraju woli narodu. A pan?

Niestety, to nie było takie proste. Wszyscy eksperci i publicyści zgadzali się, że w wypadku zwołania konwencji konstytucyjnej nikt nie jest w stanie przewidzieć, co się może wydarzyć. Niektórzy twierdzili, że można zawęzić zakres tematyczny konwencji, żeby skupić się na konkretnym zagadnieniu. W opinii innych takie ograniczenie byłoby niezgodne z prawem. W końcu konwencja konstytucyjna z tysiąc siedemset osiemdziesiątego siódmego roku została pierwotnie zwołana tylko po to, by wnieść poprawki do istniejących Artykułów Konfederacji. Tymczasem Artykuły unieważniono, a w ich miejsce stworzono całkiem nowy ustrój konstytucyjny. Tak więc skoro konwencja Ojców Założycieli mogła przybrać nieoczekiwany obrót, to dlaczego nie miałyby się to powtórzyć w innym gronie?

- Nie dałoby się nad czymś takim zapanować - stwierdził Danny. - Nagle okazałoby się, że wszystkie chwytaki są dozwolone. To pewnie tłumaczy, dlaczego nigdy nie zwołano kolejnej konwencji. Nie zrobili tego nawet ci wszyscy mędrcy żyjący w połowie dziewiętnastego wieku. A oni przecież nie prowadzili swojej walki z ukrycia.

- Nie - przyznał komandor. - Ma pan rację. Ale to były inne czasy, obowiązywały inne zwyczaje. Panie prezydencie, naprawdę uważa pan,

że Amerykanie nie poradziliby sobie z konwencją konstytucyjną? W końcu chodzi o ich własne państwo. Nawiasem mówiąc, pod tym względem konfederaci również byli znacznie bardziej progresywni. Ich wersja artykułu piątego głosiła, że wystarczy zaledwie trzy stany, aby złożyć wniosek o zwołanie zgromadzenia w celu zaproponowania zmian. Nasza konstytucja wymaga zgody aż dwóch trzecich spośród wszystkich stanów. Mimo to prawie udało nam się osiągnąć cel.

- W tej chwili priorytetem jest powstrzymanie Vance'a - powiedział Paul. - Ale ja nie mogę się mu przeciwstawić. Osobiście wybrał mnie do Komisji Regulaminowej. Gdybym teraz otwarcie wystąpił przeciwko niemu, to byłoby samobójstwo. Stracilibyśmy wgląd w działania komisji. Ty musisz to zrobić.

- Taki właśnie miałem zamiar.

- Przyjechałem tutaj - odezwał się komandor - żeby usłyszał pan z pierwszej ręki, jakie jest nasze stanowisko. Wiemy o pańskiej relacji z Alexem Sherwoodem. Wiemy również, że Kenneth Layne próbował zwerbować senatora do pomocy w tym, co zaplanował razem ze swoją siostrą i Vance'em. Rzecz jasna Kenneth Layne działał na dwa fronty. Kiedy odkryliśmy jego dwulicowość, zaczęliśmy bacznie obserwować wszystkich zainteresowanych. Layne nie powinien był wtajemniczać senatora. Wiemy, że Alex Sherwood zapowiedział swojej żonie, że miał zamiar otwarcie zaprotestować przeciwko temu, co chciał zrobić Vance. A niecałe dwie godziny później już nie żył.

Obserwowali dom Sherwoodów?

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Pokaż mu.

Paul podszedł do niego z telefonem komórkowym w rękę. Odtworzył nagranie wykonane w sosnowym lesie. Pomiędzy drzewami widać było dwoje ludzi na skalistym urwisku. Byli to Alex i Diane. Rozmawiali, a Alex palił fajkę. Potem Diane chyba się rozplakała. Alex zaczął ją pocieszać. I wtedy ona zepchnęła go ze skarpy.

Danny nie wierzył własnym oczom.

Podniósł wzrok na Frizzella, którego napiętą twarz widział w świetle

ekranu.

- Zabiła go? A wy wiedzieliście o tym i nic nie zrobiliście? - zawołał.
Człowiek pod ścianą milczał.

- Zadałem wam pytanie - nie ustępował Danny.

- Zastanawialiśmy się, co należy zrobić - odezwał się głos. - Każdy wybór wiązał się z określonym ryzykiem, ale i potencjalnym zyskiem. Słyszeliśmy pańską rozmowę z panią Sherwood w jej gabinecie zaraz po pogrzebie. Wiemy także o Taisley Forsberg. A dziś, kiedy rzucił pan wyzwanie Vance'owi w hotelu Willard, zdaliśmy sobie sprawę, dlaczego otrzymał pan nominację senatorską. Dąży pan do prawdy, panie prezydencie. My również.

- A co z Vance'em? - zapytał.

- W naszej ocenie nie wie nic o morderstwie. Rozmawiał dziś z panią Sherwood w mieszkaniu zmarłego senatora, a ona do niczego się nie przyznała.

- Wszędzie macie podsłuchy?

- Tylko tam, gdzie są nam potrzebne.

- Wtedy wiedzieliśmy już na pewno, że musimy z tobą porozmawiać - dodał Paul.

- Niech pan zrobi wszystko co konieczne, żeby powstrzymać Luciusa Vance'a - powiedział skryty w cieniu głos. - Jeśli będzie pan potrzebował pomocy, jesteśmy do pańskiej dyspozycji.

Danny miał już dość tej zabawy.

- A Diane?

- My się nią zajmiemy. Tę część musi pan zostawić nam. Proszę nam pozwolić...

Danny rzucił się do drzwi i włączył światło. Na suficie rozblęły świetlówki, zalewając całe wnętrze białym światłem. Musiał na moment zmrzyć oczy. Spojrzał w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą siedział jego rozmówca, ale ten zniknął.

Podbiegł do ściany na końcu baru. Były tam drzwi prowadzące do kuchni. Przeszedł przez nie i znalazł tylne wyjście. Szarpnął za klamkę i wypadł na zewnątrz.

Jedynе, co zdążył zobaczyć, to tylne światła samochodu, które skręciły w lewo, objechały budynek i zniknęły w mroku nocy.

ROZDZIAŁ 66

DIANE WYSIADŁA Z SAMOCHODU przed mauzoleum Lincolna. Człowiek, który do niej zadzwonił, kazał jej przyjść tutaj i zabrać ze sobą wszystkie posiadane informacje. Wszystko miała zapisane na swoim iPadzie i zmagazynowane w chmurze, więc przed wyjściem po prostu wsadziła urządzenie do torebki.

Mauzoleum stało na zachodnim krańcu National Mail. Prowadziły do niego szerokie schody. Na wschód od niego, za długim lustrzanym stawem, wznosił się podświetlony pomnik Waszyngtona, przesywający ciemne niebo jak lśniące ostrze. Dochodziła jedenasta wieczorem i chociaż nie przetaczały się już wtedy tłumy trajkoczących turystów, okolica wcale nie była wyludniona.

U szczytu schodów, pod zacienioną kolumnadą, stała ogromna statua Lincolna. Perystyl otaczało trzydzieści sześć filarów, z których każdy reprezentował jeden stan będący członkiem Unii w chwili śmierci prezydenta. Diane wspięła się po stopniach i spojrzała na smutną, zamysłoną twarz dawnego męża stanu. Panująca tu atmosfera kojarzyła się niemalże z sanktuarium.

U stóp siedzącego giganta zobaczyła przysadzistego człowieka z brązowymi włosami, małymi oczkami, niewielkimi uszami i cienkimi wargami. Od razu wiedziała, że to jego szuka, choć nie zamienili ze sobą jeszcze ani słowa.

- Co to wszystko ma znaczyć? - zapytała cichym, ale poirytowanym głosem. - I gdzie jest mój brat?

- Może na początek trochę spuści pani z tonu. To nie pani tu dyktuje warunki.

- Skąd pan wie, że nie zadzwoniłam już na policję?

Wzruszył ramionami.

-Jeśli tak, to będę musiał im pokazać to.

Wyciągnął telefon i odtworzył jej nagranie, na którym widać było, jak zabija Alexa.

Całe jej ciało ogarnął lodowaty chłód.

- Nadal chce pani wciągać w to policję?

Diane nic nie odpowiedziała.

- Przejdźmy się.

ZESZLI PO SCHODACH, zostawili za sobą mauzoleum i przecięli ulicę, zdążając w stronę lustrzanego stawu. Poprowadził ją chodnikiem biegnącym wzdłuż brzegu.

Wszystkie nerwy miała napięte, czuła przejmujące zimno.

- Pani brat zrobił coś złego - powiedział mężczyzna. - Działał w porozumieniu z nami, na rzecz naszej wspólnej sprawy. Wciągnięcie w to pani to był nasz pomysł, ale wtajemniczenie Luciusa Vance'a to zupełnie inna sprawa. No i dochodzi jeszcze kwestia pani zmarłego męża.

- Jest pan jednym z Rycerzy Złotego Kręgu?

- Dlaczego tak to panią dziwi? Pani ojciec badał naszą organizację przez wiele lat. Pani również się o nas uczyła.

- W sensie abstrakcyjnym. Nigdy nie powiedział mi, że Zakon nadal istnieje.

- Ponieważ sam tego nie wiedział. Skonfliktował się z Frankiem Breckinridgeem, nie z nami, choć Breckinridge jest również rycerzem. Pani ojciec chciał znaleźć kryptę. Najwyraźniej pani oraz syn Breckinridge'a macie ten sam cel.

- Gdzie jest Grant?

- Na jego temat nie mam najlepszych wieści. Wygląda na to, że znalazł sobie nowego współnika i nie będzie mu pani więcej potrzebna.

Wszystko zaczynało nabierać sensu.

- To on włamał się do mieszkania Alexa i ukradł klucz.

- Musiał go odzyskać.

- Szuka krypty?

Mężczyzna kiwnął głową.

- Bez pani.

- Więc tak naprawdę nie zależy panu, żeby aresztowano mnie za morderstwo?

- Nie w tej chwili. Nadal potrzebujemy pani pomocy. Pokazałem pani to nagranie, żeby nie było wątpliwości, że powinna pani potraktować naszą prośbę poważnie.

Zatrzymała się i spojrzała na niego.

- Gdzie jest Kenneth?

Postukał w ekran swojego telefonu i obrócił go w jej stronę. Zobaczyła swojego brata, którego trzymali dwaj mężczyźni, a trzeci okładał go pięściami po brzuchu. Kenneth wił się z bólu i wyraźnie nie mógł oddychać.

Potem zwymiotował na siebie.

Tamci dwaj puścili go, a on padł na kolana, z trudem łapiąc powietrze i ocierając rękami twarz.

- Dostaje właśnie cenną lekcję - powiedział mężczyzna. - To my stworzyliśmy Komitet Ocalenia Ameryki. Sfinansowaliśmy go, wynajęliśmy personel. Daliśmy mu misję i cel. Pierwotnie kierował nim ktoś inny, ale kiedy pani i Grant Breckinridge rozpoczęliście swoje poszukiwania, zatrudniliśmy Kennetha. Zaoferowaliśmy mu członkostwo w naszej organizacji i wytłumaczyliśmy, jaka jest stawka. W końcu kazaliśmy się z panią skontaktować. Miał być naszym łącznikiem, przekazywać informacje uzyskane od pani i Granta Breckinridge'a. Ale on zaczął działać na własną rękę. Podjęcie współpracy z Luciu- sem Vance'em nie było częścią naszego planu. A kiedy wciągnął w to pani zmarłego męża, sytuacja całkiem się zmieniła.

- Więc dlaczego go nie powstrzymaliście?

- Zanim się zorientowaliśmy, co się dzieje, sprawy zaszyły już za daleko. Od tamtej pory cały czas sprzątamy ten bałagan.

Na nagraniu w telefonie ktoś wylał na jej brata wiadro wody, żeby się ocknął. Dwaj mężczyźni ponownie podnieśli go z ziemi. Widziała w

jego oczach strach i bezradność.

Na jego brzuch i klatkę piersiową spadały kolejne ciosy.

- Dlaczego po prostu go nie zabijecie?

- Tak, o wiele prościej byłoby posłać kulkę w jego głupi łeb. Na swoje szczęście wciąż ma zadanie do wykonania. - Wskazał na ekran. - Trzeba go jedynie odrobinę podszkolić i odpowiednio zmotywować.

Tamci dwaj znów pozwolili mu osunąć się na podłogę. Diane wiedziała, że powinna coś poczuć na widok swojego brata bliźniaka w takim stanie, ale jedyne, o czym mogła myśleć, to nagranie, na którym widać, jak spycha Alexa w przepaść.

- I oczekujecie, że po tym będzie dalej z wami współpracował? - zapytała.

- Oczywiście. Nie ma wyboru. Udało mu się nawiązać cenne relacje z wieloma przedstawicielami władz stanowych na terenie całego kraju. Myślę, że po dzisiejszym dniu będzie jeszcze gorliwiej wypełniał swoje obowiązki. Oczywiście przestanie brać udział w pani przedsięwzięciu, podobnie jak Grant Breckinridge. Co oznacza, że została pani sama.

Rozumiała, w czym rzecz. Odizolowali ją. Odebrali jej sojuszników, wsparcie, możliwości działania.

Chcieli pozbawić ją znaczenia. Zupełnie jak Alex.

- Pani kariera poszukiwaczki skarbów dobiegła końca - powiedział, wyraźnie zadowolony z siebie. - Przyniosła pani to, o co prosiłem?

Skinęła głową.

- Wszystko jest w plikach zapisanych na moim iPadzie i zewnętrznym serwerze.

Podał jej skrawek papieru.

- Proszę przesłać wszystko e-mailem na ten adres. Następnie niech pani skasuje wszystkie pliki i raz na zawsze zapomni o tej krypcie. Zapewniam, jeśli jeszcze kiedyś podejmie pani jakąkolwiek próbę jej odnalezienia, dowiemy się o tym i zostanie pani aresztowana za morderstwo. Natomiast jeśli pani będzie siedzieć cicho, my również zachowamy milczenie.

Nie miała wyjścia.

- Oddajemy pani przysługę. Grant Breckinridge zabił już jednego pracownika Instytutu Smithsona i postrzelił agentkę federalną.

Dokładnie to samo powiedział Daniels.

- Ta agentka nazywa się Stephanie Nelle. Jest dowódcą komórki wywiadowczej należącej do Departamentu Sprawiedliwości. Leży w śpiączce w szpitalu Sibley Memorial. Jak pani widzi, Grant Breckinridge niedługo stanie się poszukiwanym człowiekiem.

- To jego problem.

- Zgadza się. A ja chcę dopilnować, żeby nie był to też pani problem.

Dotarli mniej więcej do połowy stawu.

Wokół nich nie było prawie nikogo.

Mężczyzna spojrzął na nią.

- Na tym chyba zakończymy to spotkanie. Mam nadzieję, że to była nasza ostatnia rozmowa.

Po tych słowach odwrócił się i odszedł.

Ale Diane miała do niego jeszcze jedno pytanie.

- Nie obchodzi was, że on nie żyje? - zawołała.

Zatrzymał się i spojrzął na nią. Specjalnie nie wymieniła imienia Alexa.

- Oszczędziła nam pani kłopotu.

ROZDZIAŁ 67

COTTON USŁYSZAŁ DZWONEK swojej komórki.

Był z powrotem po drugiej stronie National Mail, w Muzeum Historii Amerykańskiej, w zamkniętym archiwum, gdzie zostawili Kamień Drogi. Nadal monitorowali ruchy Breckinridge ow. Jeden z dwóch agentów Magellan Billet śledził ich samochód z powietrza, z pokładu helikoptera. Niebo nad Waszyngtonem regularnie patrolowały wojskowe śmigłowce, więc jeden więcej nie miał prawa wzbudzić niczyich podejrzeń. Poza tym była prawie 23:30 i zrobiło się już całkiem ciemno. Drugi agent jechał za nimi samochodem, zachowując bezpieczną odległość. Dzięki temu, że pozostawał w stałym kontakcie z helikoptrem, nie musiał się do nich zbliżać bardziej niż to konieczne. Uciekinierzy opuścili Waszyngton i poruszali się na zachód, w kierunku Wirginii. Cotton i Stamm postanowili tymczasem przenieść swoje centrum operacyjne z Zamku do muzeum.

Cotton spojrział na ekran telefonu. Dzwonili z siedziby głównej Magellan Billet.

Przeszedł na drugą stronę archiwum i odebrał skryty pomiędzy półkami.

To, co usłyszał, mocno go zaniepokoiło.

Cassiopeia zniknęła kilka godzin temu. Lea Morse miała się trzymać z daleka, ale nie posłuchała polecenia Cassiopei, przez co widziała wszystko na własne oczy. Najpierw w wyniku eksplozji zawałiła się stara kopalnia, a potem Cassiopeia została zabrana przez uzbrojonego człowieka, niejakiego Jamesa Proctora, który kilka godzin wcześniej próbował zabić je obie. Jej opis samochodu okazał się niezbyt przydatny. Jeszcze bardziej zastanawiające było, że Terry Morse również zaginał. To właśnie jego szukała Cassiopeia, kiedy została pojmana. Lea

znalazła szeryfa, ale miejscowi za długo czekali, zanim zawiadomili Departament Sprawiedliwości. Kiedy w końcu się odezwali, natychmiast przekierowano ich do jednostki Magellan Billet.

- Uważają, że Morse mógł zostać uwięziony w tej kopalni - usłyszał Cotton. - Więc zaczęli kopać. Próbowaliśmy namierzyć GPS Cassiopei. Z początku nam się nie udawało, ale kilka minut temu pojawił się sygnał.

Tak samo jak on Cassiopeia nosiła zegarek wydawany wszystkim agentom jednostki, który był wyposażony w lokalizator GPS. W ten sposób znalazła go w tamtym piecu w lesie. Teraz dowiedział się, że zegarek Cassiopei jest w Teksasie, nieopodal miasta Amarillo, i cały czas porusza się na zachód autostradą nr 40.

- To kawał drogi od Arkansas. Przekażcie informacje ludziom z teksaskiej drogówki. Niech ją znajdą.

-Już się tym zajęliśmy. Chcieliśmy tylko dać ci znać.

Rozłączył się. Zaczynał martwić się o Cassiopeię. Nie brzmiało to wszystko zbyt pocieszająco. Wrócił do Stamma, który siedział przed monitorem i wpatrywał się w zielonkawy obraz z kamery noktowizyjnej w helikopterze śledzącym Breckinridgeow.

-Jadą w stronę Manassas - oznajmił kustosz. - Tam jest małe lotnisko.

Wyglądało na to, że uciekinierzy zamierzają wsiąść do samolotu.

- Możemy polecieć za nimi, ale musimy znać cel ich podróży.

Chwycił mikrofon i powiedział o lotnisku obu agentom.

GRANT ZASTANAWIAŁ SIĘ, dokąd jada. Jego ojciec wcześniej przekazał kierowcy dokładne instrukcje. Jak na razie nikt ich nie ścigał.

Dobrze im szło.

- Musisz się paru rzeczy dowiedzieć - odezwał się jego ojciec.

Siedzieli razem na tylnym siedzeniu.

- Zakon liczy obecnie pięciuset pięćdziesięciu członków. W jego szeregach powstał rozłam. Jedna frakcja, dowodzona przez naszego komandora, dąży do wprowadzenia zmian w konstytucji. Ich przed-

stawicielem jest Kenneth Layne, którego poznałeś. Nie wiesz jednak, że to Zakon finansuje kierowaną przez niego organizację. Na czele drugiej frakcji stoję ja. Moim zdaniem nie powinniśmy podejmować żadnych działań.

Grant jakoś nie był zaskoczony.

- Do rewolucji potrzeba więcej niż kilkaset osób - ciągnął jego ojciec. - I mam poważne wątpliwości, czy znaczące zmiany w konstytucji są w ogóle możliwe. Zaczęłyby się konwencje, debaty, a i tak wszelkie poprawki musiałyby zostać ratyfikowane przez trzy czwarte wszystkich stanów. Do czegoś takiego potrzeba czasu i ogromnego nakładu środków. Majątek Zakonu ukryto z myślą o drugiej wojnie domowej, w nadziei że tym razem potoczyłaby się ona po naszej myśli. Zhańbiliśmy pamięć o tych wszystkich ludziach, trwoniąc ich dzieło.

-To dlatego chcesz zdobyć kamienie - domyślił się Grant. - Żeby nikt nie mógł odnaleźć krypty.

- Muszą się znaleźć w bezpiecznym miejscu. Kamień Serca, który trzymasz na kolanach, jest z nich najważniejszy.

- Dlaczego więc nie zostawiłeś go na swoim miejscu? - spytał. - Przecież o nim nikt nie wiedział.

- Ponieważ prędzej czy później ktoś otworzyłby ten grobowiec i odkrył kamień. Ktoś posiadający dostateczną ilość informacji, żeby odnaleźć kryptę. Lepiej wykorzystać nadarzącą się okazję i po prostu go zniszczyć. W ten sposób zagrożenie zostanie całkiem wyeliminowane.

- Ale jak w takim razie będzie można znaleźć kryptę?

- Nikt już jej nie znajdzie.

Grant popatrzył na ojca z niedowierzaniem.

- To znaczy, że całe to złoto po prostu zostanie pod ziemią?

- Nie należy ani do mnie, ani do ciebie, tylko do przyszłych pokoleń.

- A skąd w przyszłości będzie wiadomo, że w ogóle istnieje?

- Zostawię tropy. Rozumiem, że zaangażowałeś się w to skuszony obietnicą bogactwa. Mogę ci je zapewnić. W Arkansas moi ludzie zabezpieczyli jeden z naszych większych skarbców. Mam pokaźną ilość złota, część może być twoja. W zupełności wystarczy na wygodne życie.

Ale nie była to słynna krypta.

Przez kilka minut jechali w milczeniu. Grant rozważał w myślach swoje opcje.

- Zdajesz sobie sprawę, że oddałem ci przysługę? - odezwał się jego ojciec.

Spojrzał na niego pytająco.

- Nasz komandor postanowił wyłączyć z gry Diane i Kennetha Layne'a. Gdyby nie moja interwencja, ty byłbyś następny w kolejce. - Starzec zamilkł na chwilę. - Wiedziałeś, że Diane Sherwood zabiła swojego męża?

Grant nie umiał ukryć szoku.

- Tak myślałem.

- Co oni chcą jej zrobić?

- Po prostu ją zaszantażują, żeby wybić jej z głowy dalsze szukanie krypty. Ale jej brat zrobił coś nie do pomyślenia. Zdradził nasze sekrety senatorowi Sherwoodowi. Wyobrażam sobie, że jego kara będzie bardziej dotkliwa.

- Równie dotkliwa jak to, co zrobiłeś moim ludziom w Arkansas?

- Kiedy trzeba, używam przemocy, moi podwładni także są na to gotowi. W Arkansas pojawiło się dwoje agentów federalnych. Natknęli się na ludzi, których wynająłeś. Wiem wszystko o Terry'm Morsie, wiem, co trzymał u siebie w domu. Dlatego wysłałem grupę rycerzy, żeby zajęli się tą sytuacją, i tak się stało. Wydobyli także złoto z tamtejszej kryjówki. Było go znacznie więcej niż w skrytce, którą znalazłeś w Kentucky. Diane Sherwood wskazała ci drogę, ale ja dopilnowałem, żeby nikt nie przeszkodził ci w poszukiwaniach. Założyłem, że potrzebujesz pieniędzy, a zależało mi na tym, żebyś dalej robił to, czego od ciebie oczekiwałem.

- Chyba nie opróżniłeś tej kryjówki w Arkansas tylko z myślą o mnie.

- Miałem nadzieję, że to będzie gałązka oliwna, która zadowoli naszego komandora. Nie jestem przeciwny jego planom. Nie widzę jedynie potrzeby, żeby w imię ich realizacji uszczuplać zasoby krypty. Na szczęście mam już zarówno Kamień Wiedźmy, jak i Serca, więc krypta

jest bezpieczna.

Grant postanowił trochę popsuć ojcu humor.

- Chyba wiesz, że druga strona wcale nie musi mieć w ręku samych kamieni. To nie dziewiętnasty wiek. Obrazy można połączyć ze sobą na komputerze. Ci dwaj ludzie w grobowcu Smithsona zrobili zdjęcia kamienia, zanim zgasły światła.

Jego ojciec nie wydawał się tym jednak przejęty.

- Oni mają większe zmartwienie.

Grant czekał na dalszy ciąg.

- Nie mają pojęcia, w którym miejscu rozpocząć poszukiwania. A to wielki kraj.

- A ty to wiesz?

- Opowiadałem ci o Angusie Adamsie i jego wizycie w Instytucie Smithsona w tysiąc osiemset siedemdziesiątym siódmym roku, kiedy zwrócił klucz i swój dziennik z wyprawy. Adams był rycerzem i to on stworzył zarówno kryptę, jak i wszystkie kamienie.

Teraz zrozumiał.

-Jego dziennik? W nim jest zapisany punkt startowy?

Jego ojciec pokiwał głową.

- A ja dobrze go ukryłem.

COTTON NIEPOKOIŁ się o Cassiopeię.

Miał nadzieję, że lokalizator GPS pomoże ją odnaleźć. Nie miał nowych wieści z siedziby Magellan Billet, ale był pewny, że ktoś już nad tym pracuje. W tej chwili jego główny problem widniał na ekranie komputera.

Był nim samochód mknący ciemną drogą.

- Zdecydowanie chcą się dostać na lotnisko - stwierdził.

Pojazd Breckinridge Ów zjechał z głównej drogi na dwupasmową drogę stanową i skierował się na południe. Malone wziął do ręki radio i kazał agentowi w samochodzie jechać na lotnisko regionalne w Manassas. Z kolei temu w śmigłowcu powiedział, żeby zwiększył

dystans, ale nie zgubił celu.

Dziennik połowy Angusa Adamsa leżał na stole obok Kamienia Drogi. Cotton podniósł książkę i zaczął przeglądać jej ręcznie zapisane strony. Frank Breckinridge nie bez powodu trzymał ją w tajnej skrytce.

- Zakładam, że jesteście w stanie scalić ze sobą te dwa kamienie na komputerze? - odezwał się do Stamma.

- Mamy tu najlepszy na świecie sprzęt do cyfrowej obróbki obrazów. Prześiałem już zdjęcia do laboratorium na dole. Nasi ludzie właśnie nad tym pracują. Ale pytanie brzmi: gdzie jest początek całego szlaku?

Cotton wskazał na monitor.

- Liczę na to, że od nich się tego dowiemy.

Wciąż trzymał w ręku dziennik.

Ciekawe, co było w nim takiego ważnego?

GRANT ZORIENTOWAŁ SIĘ, że wjeżdżają na lokalne lotnisko pod miasteczkiem Manassas noszące imię Harry ego P. Davisa. W niewielkim terminalu paliły się tylko pojedyncze światła.

-Jeden z rycerzy udostępnił nam swojego gulfstreama - oznajmił jego ojciec.

Wciąż nie zapomniał ojcu jego wcześniejszych obelg. Dobrze się dzisiaj spisał i nie zasługiwał na takie traktowanie.

- Co się stało z tą dwójką agentów w Arkansas?

- Mężczyzna wyjechał. Kobietę kazałem pojmać.

- Po co?

- Na wszelki wypadek. Dobrze jest się zabezpieczyć.

Samochód stanął i jego ojciec wysiadł. Grant poszedł za nim. Zza terminalu dochodził odgłos uruchamianych silników odrzutowych.

- Nasz samolot jest gotowy do drogi - powiedział jego ojciec.

- Nie wydaje ci się, że porwanie agentki federalnej może nam przysporzyć problemów?

- Z tego co wiemy, była sama i nie miała możliwości powiadomienia swoich przełożonych. Mój człowiek łatwo sobie z nią poradził. A

według doniesień tych, którzy przebywają na miejscu, tamtejsze władze nie mają pojęcia, dokąd się udała. Tak więc nie, nie przewiduję żadnych problemów.

Grant nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

- A podobno to ja jestem lekkomyślny.

ROZDZIAŁ 68

DANNY WSZEDŁ Z POWROTEM do baru. Światła znów były zgaszone.

- Nie powinieneś był tego robić - odezwał się Frizzell. - On przyszedł w dobrej wierze.

Ale Danny nie mógł przestać myśleć o nagraniu, które mu pokazali.

- To jakieś bzdury, Paul. Powinieneś iść prosto na policję i kazać aresztować Diane za morderstwo.

- Danny, to nie takie proste. Ona czegoś szuka, a my musimy sami to odnaleźć, zanim ją wyeliminujemy.

- Szukacie krypty?

- Zgadza się. W szeregach zakonu panuje chaos, rycerze podzielili się na dwie frakcje. Źle to wygląda. Ja opowiedziałem się za komandorem, który próbuje naprawiać kraj w sposób pokojowy, poprzez zmiany w konstytucji. Dlatego tak zależy nam na znalezieniu krypty. Została stworzona właśnie w tym celu.

- A czego chcą wasi przeciwnicy?

- Twierdzą, że nie powinniśmy robić nic. Chcą zachować nasze środki na jakąś lepszą okazję.

- A teraz Lucius Vance pokrzykuje szyki i drugim.

-To mało powiedziane. Jeśli mu się uda, opinia publiczna może się całkiem zniechęcić do idei bardziej znaczących zmian konstytucyjnych. Tak się składa, że podoba nam się Senat w obecnym kształcie, pełniący funkcję kontrolną wobec Izby Reprezentantów. Mamy jednak duże zastrzeżenia co do funkcjonowania Kongresu jako całości. I jak zauważył wcześniej komandor, w konstytucji Konfederacji są rozwiązania, które dobrze sprawdziłyby się w obecnej sytuacji, usprawniłyby wiele spraw. Naszym zdaniem ludzie przyklasnęłyby podobnym zmianom. Ale nie będą chcieli nas słuchać po tym, jak

zakosztują rządów imperatora Luciusa Vance'a.

- Nic nie obrzydza rewolucji bardziej niż chciwy rewolucjonista.

- Można tak powiedzieć.

- Paul, ta sprawa jest bardziej skomplikowana, niż ci się wydaje.

Danny opowiedział przyjacielowi, czego dowiedział się od Cottona.

- Malone prowadzi w tej chwili dochodzenie w Instytucie Smithsoniana

- dodał na koniec. - Stephanie Nelle została najprawdopodobniej postrzelona przez człowieka nazwiskiem Grant Breckinridge.

- Zgadza się.

- To też widzieliście?

- Nie było nas przy tym, gdy pani Nelle została ranna, ale nietrudno się domyślić, kto za to odpowiada.

- Chcę dorwać tego sukinsyna.

- My też, Danny. Ale jak widzisz, obaj Breckinridgeowie, ojciec i syn, połączyli siły, co nam wszystkim jest bardzo nie na rękę.

Danny zastanowił się przez chwilę, dlaczego Frizzell tak powiedział. Logika podpowiadała tylko jedno wytłumaczenie.

- Nie macie pojęcia, gdzie jest krypta, prawda?

- Niestety nie. Swego czasu komandorzy posiadali na ten temat jakieś wskazówki, które jednak przepadły z biegiem lat. Ale Frank Breckinridge jest samozwańczym strażnikiem krypty. Przyjął na siebie tę rolę w latach siedemdziesiątych, kiedy popadł w konflikt z Davem Layneem. Zakon był wtedy znacznie słabszy niż teraz, więc fanatyk pokroju Breckinridge'a mógł z łatwością zdobyć dominującą pozycję. Ale pod koniec lat siedemdziesiątych władzę przejął nowy komandor i przebudował całą organizację. Przed chwilą z nim rozmawiałeś. Trzeba oddać sprawiedliwość Breckinridgeowi: ochronił kryptę przed poszukiwaczami skarbów, ale jednocześnie nie chciał podzielić się swoją wiedzą z resztą Zakonu. Stało się to zarzewiem sporu, który trwa do dziś.

- To tyle, jeśli chodzi o „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”.

- Breckinridge oczywiście twierdzi, że jest całkowicie lojalny wobec

Zakonu. Nie zgadza się, że powinniśmy zacząć działać już teraz. Zwłaszcza jeśli na czele rewolucji miałby stanąć człowiek, który był tu przed chwilą. On i Breckinridge nie przepadają za sobą. Niestety będziemy potrzebowali sporych funduszy, żeby nie tylko wpłynąć na członków drugiej konwencji konstytucyjnej, ale i przekonać trzydzieści osiem stanów, które są potrzebne do ratyfikowania przyjętych zmian. Dlatego musimy pozwolić, żeby Breckinridge doprowadził nas do krypty albo przynajmniej do kamieni. Na szczęście właśnie w tej chwili robi to, czego od niego oczekujemy.

- Mam rozumieć, że w Kongresie zasiada niewielu rycerzy?

- Tylko ja i dwóch innych, podobnie w Izbie Reprezentantów.

Jestem z nich najstarszy stażem. Ale mamy związane ręce. Jeśli zgłoszę jakiegokolwiek zastrzeżenia, nawet prywatnie, Vance usunie mnie z Komisji Regulaminowej. Zakon nie chce, żeby tak się stało.

- Co będzie z Kennethem Layneem?

- Wciąż jest nam potrzebny. Ma cenne kontakty z władzami stanowymi w całym kraju. Nie znam szczegółów, i wcale nie chcę ich znać, ale wiem, że w tej chwili płaci cenę za swoją nielojalność.

- A Diane Sherwood?

- Już się nią zajęliśmy. Pokazano jej to samo nagranie, więc wie, że my wiemy. Poza tym straciła już jednego współnika, Granta Breckinridge'a, a jeśli nam się uda, straci też Vance'a. Kiedy tak się stanie, a my zdobędziemy kamienie albo zlokalizujemy kryptę, wydamy ją w ręce policji. Zgadzam się z tobą. Jest morderczynią i musi zostać ukarana.

Danny z zadowoleniem przyjął tę deklarację.

- Wróciłeś do Senatu z powodu Vance'a - stwierdził Paul. - Dobrze cię znam, Danny. Wiem, że masz jakiś plan. Powiedz mi, co dla niego wymyśliłeś.

Wcześniej Danny wytłumaczył Teddy emu Solomonowi, w jaki sposób można by powstrzymać Vance'a. Ale nagranie, które zobaczył, nadało nowy wymiar całej sprawie.

Powiedział więc Frizzellowi, co teraz zamierza zrobić.

DIANE STAŁA PRZED pomnikiem drugiej wojny światowej i rozmyślała nad wszystkim, co się przed chwilą wydarzyło. Minęła wschodni brzeg lustrzanego stawu i zatrzymała się dopiero na placu pomiędzy kolumnami a podświetloną fontanną.

Jej cały świat właśnie się zawalił.

Posłaniec zniknął. Zegar odmierzał ostatnie minuty przed północą. Kolejna środa właśnie dobiegała końca.

Wszystko się skończyło.

Jej małżeństwo. Związek z Vance em. Grant. Złoto. Nic jej nie zostało. Jeszcze niedawno była przynajmniej żoną amerykańskiego senatora, teraz była tylko wdową. Co gorsza, ktoś wiedział, że zabiła Alexa. Ktoś ją obserwował, nagrał i czekał. Życie Alexa ani trochę ich nie obchodziło.

A teraz przekazali jej jasny komunikat.

Albo dasz sobie spokój, albo trafisz za kratki.

Spacerowała wśród granitowych kolumn stojących na baczność jak wartownicy. Wiedziała, że to miejsce powinno budzić w niej jakieś emocje, ale nic nie czuła. Była jak odrętwiała. Ale bała się. Nawet jeśli się wycofa, ci ludzie będą mogli w każdej chwili zniszczyć jej życie. Ta sprawa nigdy nie rozejdzie się po kościach.

Mieli ją w garści. Na zawsze.

A Grant?

Porzucił ją. Zabrał klucz i zniknął bez słowa.

Z nowym „wspólnikiem”, jak zauważył posłaniec.

Co za straszliwy rozwój wydarzeń. Już lepiej by na tym wyszła, gdyby po prostu pozostała żoną Alexa i żyła w pozbawionym napiętności związku z człowiekiem, którego nie darzyła ani szacunkiem, ani nawet sympatią.

Co miała robić przez resztę swojego życia?

Nie mogła już spełnić marzenia swojego ojca o odnalezieniu krypty. Miała trochę odłożonych pieniędzy, a gdyby sprzedała dom, zdobyłaby więcej. W perspektywie była emerytura należna członkom Kongresu i

pieniądze z ubezpieczenia. Zawsze to jakiś przychód. Sumując to wszystko razem, i tak byłaby bogatsza niż 99% przeciętnych Amerykanów. Ale to nie to samo, co zdobyć zaginione złoto warte miliardy dolarów.

Staęła, żeby przeczytać słowa wyryte w wielkim bloku granitu. Cytat z przemówienia Eisenhowera wygłoszonego 6 czerwca 1944 roku.

W dzień lądowania w Normandii.

Rozpoczynacie Wielką Krucjatę, do której dążyliśmy od wielu miesięcy. Oczy całego świata są zwrócone na was.

Głęboko wierzę w waszą odwagę, poczucie obowiązku i wasze umiejętności.

Ona także prowadziła wielką krucjatę, która właśnie dobiegła końca.

Tylko jeden temat nie był jeszcze zamknięty.

Danny Daniels.

Ten drań przyszedł do jej domu, ukradł notatnik, w jakiś sposób szpiegował ją i Vance'a, cały czas wtykał nos w nie swoje sprawy. Na samą myśl, że to on wyjdzie z tego zwycięsko, robiło się jej niedobrze. Wszystko mu się udawało, kroczył od sukcesu do sukcesu, a teraz postanowił zostać senatorem. Miał pozycję, dobre imię i świetlaną przyszłość.

Wszystko dzięki niej.

Przynajmniej na nim mogła się jeszcze zemścić.

ROZDZIAŁ 69

CASSIOPEIA SIEDZIAŁA NA miejscu pasażera w samochodzie prowadzonym przez Jamesa Proctora. Minęło sześć godzin, odkąd opuścili granice Arkansas. Czteropasmową autostradą przejechali całą Oklahomę i teraz byli już w Teksasie, trzydzieści kilometrów od miasta o nazwie Amarillo. Proctor nie spełnił obietnicy i Cassiopeia wciąż miała ręce związane za plecami. Dogonili furgonetkę i trzymali się kilka kilometrów za nią, ani na moment nie zbacząc z kursu na zachód.

- Zamierza mi pan powiedzieć, dokąd jedziemy? - zapytała po raz trzeci.

Proctor nie był rozmowny w trakcie podróży, a jej udało się nawet chwilę zdrzemnąć. Choć to dziwne, nie miała wrażenia, że grozi jej niebezpieczeństwo. Przynajmniej jeszcze nie teraz, kto wie, co będzie, gdy dotrą do celu. W końcu Proctor zabrał ją ze sobą nie bez powodu. Gdyby chciał ją zabić, po prostu zastrzeliłby ją w kopalni. Ale ta zabawa w kotka i myszkę chyba sprawiała mu przyjemność. Nie bez znaczenia był też pewnie fakt, że jest agentką federalną. Czy stanowiła swoistą polisę ubezpieczeniową?

A jeśli tak, to na wypadek czego?

-Jedziemy do pięknego stanu Nowy Meksyk - powiedział.

To kolejne miejsce, w którym jeszcze nigdy nie była.

- Zabija pan ludzi bez mrugnięcia okiem.

- Tylko tych, którzy muszą umrzeć.

- Słowa godne prawdziwego socjopaty.

Roześmiał się.

-Ja po prostu wykonuję swoją pracę.

- Robi pan to dla pieniędzy? Czy z jakichś innych pobudek?

- Głównie dla pieniędzy. Zakon jest hojny. Z tego złota, które jedzie

przed nami, dziesięć sztabek należy do mnie.

- A co z ludźmi, którzy z panem przyjechali?

- Też zostaną szczerze wynagrodzeni.

- Z wyjątkiem tego, który zginął.

- Którego zabił Morse - poprawił Proctor. - On też jest według pani socjopatą?

- Nie. To tylko stary człowiek trzymający się kurczowo czegoś, co łączy go z przeszłością. Ale pański podwładny groził jego wnuczce, a on zareagował tak, jak zareagowałby każdy dziadek na jego miejscu.

- Nie doceniłem go.

- Zamierza go pan zabić, prawda?

- To nie ja podejmę tę decyzję.

-W kopalni mówił pan o Złotym Kręgu, jakby to była religia. Chyba tak naprawdę pan w to nie wierzy, co?

Proctor nie odrywał wzroku od ciemnej drogi, na której było więcej ciężarówek niż samochodów osobowych.

- Mój ojciec uważał, że to jeden wielki nonsens - powiedział. - Ale mój dziadek wierzył w to całym sercem. Nie podobało mu się, w jakim kierunku zmierza ten kraj. Służył w Kongresie w latach czterdziestych i nigdy nie był fanem Roosevelta. Za to uwielbiał Trumana. To dziadek opowiedział mi o Zakonie i przedstawił mnie ludziom, którzy po latach pozwolili mi się stać częścią ich organizacji. Zarobiłem niezłe pieniądze, - wykonując posłusznie ich polecenia.

- Ale z pana wzorowy żołnierz.

- Każda armia potrzebuje takich ludzi jak ja. Dawniej Zakon liczył dziesiątki tysięcy członków. Byli wszędzie, chociaż podręczniki do historii nie wspominają o nich nawet słowem. To skandal. Ci goście mieli łeb na karku.

- Musi pan być bardzo dumny.

-Tak, jestem dumny. Południe nie miało żadnych szans na wygranie tej wojny, ale mimo to walczyło z całym światem.

- Mógłby mnie pan rozwiązać? Ręce mnie bolą. Już obiecałam, że będę grzeczna.

- Ale oboje wiemy, że to nieprawda.

- Kiedyś się wreszcie zatrzymamy? Jestem głodna, chce mi się pić. I muszę skorzystać z łazienki.

- Naprawdę ma mnie pani za takiego głupca?

Proctor zabrał jej pistolet i telefon. A Cassiopeia zupełnie nie znała tych terenów.

Nagle za nimi rozbłyły pulsujące światła.

Odwróciła głowę i ujrzała radiowozy. Na obu pasach.

Proctor też je zobaczył i przez moment wyglądał, jakby oceniał sytuację i podejmował decyzję. Wyciągnął spod kurtki pistolet i położył sobie na kolanach. Cassiopeia wiedziała, że może się zrobić nieprzyjemnie. Musiała być czujna i gotowa do akcji. Na szczęście nie miała związanych nóg.

Rozległo się wycie syren. Byli coraz bliżej.

Znajdowali się na prawym pasie. Zerknęła jeszcze raz za siebie i zobaczyła, że wóz bezpośrednio za nimi zjechał na lewy pas, a zaraz potem wyminęły ich cztery radiowozy z oznaczeniami teksaskiego patrolu drogowego. Przed nimi zapaliły się światła stopu.

Proctor nie miał wyjścia. Też musiał zwolnić.

Jeden radiowóz został za furgonetką, drugi ją wyprzedził, a dwa trzymały się po jej lewej stronie, przez co oba pasy się zatkały.

Cassiopeia spojrzała na prędkościomierz. Jechali 70 na godzinę.

Radiowozy znów zaczęły hamować i w końcu zmusiły furgonetkę, żeby zjechała na pobocze. Wysiedli z nich policjanci z bronią w rękę.

- Chyba nici z tych dziesięciu sztabek - powiedziała Cassiopeia.

- Ani słowa.

Żeby ściągnąć na siebie uwagę funkcjonariuszy, musiałaby się trochę nagimnastykować. Podkurczyć nogi, przekręcić się w bok i zacząć kopać Proctora, tak żeby stracił panowanie nad samochodem. Ale musiała to zrobić na tyle szybko, żeby nie zdążył użyć pistoletu, który miał na kolanach.

Zwolnili już do 30 kilometrów na godzinę.

Policja wyciągnęła z furgonetki kierowcę.

Cassiopeia przygotowała się do ataku.

Ale zanim cokolwiek zdążyła zrobić, coś rąbnęło ją w głowę na wysokości lewego ucha.

Świat zawirował jej przed oczami. A potem zniknął.

ROZDZIAŁ 70

CZWARTEK, 27 MAJA

GODZ. 1:30

COTTON WYJRZAŁ PRZEZ okno. W całym Waszyngtonie powoli gasły światła. Przed chwilą oderwał się od ziemi na pokładzie gulfstreama należącego do Departamentu Sprawiedliwości, tego samego, który przewiózł go do Arkansas i z powrotem. Zaczynał się nowy dzień, a on po raz kolejny leciał na zachód. Na szczęście był zapobiegliwy i cały czas miał w gotowości środek transportu. Wyruszył, gdy tylko otrzymał wieści z lotniska w Manassas.

Miał rację. Breckinridgeowie wsiedli do samolotu.

Według zadeklarowanego przez nich planu lotu udali się na kolejne lokalne lotnisko leżące pod miasteczkiem Taos w Nowym Meksyku, w samym środku gór Sangre de Cristo, nieco ponad sto kilometrów na północ od Santa Fe. Mieli nad nim prawie dwie godziny przewagi, ale piloci z Departamentu Sprawiedliwości wierzyli, że mają szansę zmniejszyć ten dystans. Breckinridgeowie lecieli wolniejszą maszyną zarejestrowaną na niejakiego Richarda Choi, który mieszkał pod Waszyngtonem. Ludzie z Magellan Billet szukali teraz wszelkich informacji na jego temat. Bez wątpienia facet miał coś wspólnego z Rycerzami Złotego Kręgu.

Rick Stamm został w Waszyngtonie i pracował nad cyfrowym połączeniem obrazów kamieni Serca i Drogi. Kiedy skończy, znowu będą wiedzieli trochę więcej. Cotton wziął ze sobą dziennik Angusa Adamsa. Przejrzał każdą ręcznie zapisaną stronę, ale nic nie zwróciło jego szczególnej uwagi. Książka była niezwykle elegancka, czysta, pozbawiona jakichkolwiek błędów i poprawek, więc nie mógł to być

oryginalny dziennik z wyprawy. Raczej reprodukcja. Wszystko wskazywało na to, że wyszła spod ręki samego Adamsa, ponieważ na pierwszej i ostatniej stronie widniał efektowny podpis:

Angus „Cotton” Adams.

Jego dziadek opowiadał mu, że po wojnie Adamsa nie widziano już nigdy w Georgii. Około roku 1900 jego najstarszy syn powrócił z własną rodziną, żeby pracować na rodzinnej farmie. Był to pradziadek Cottona. Przywiózł ze sobą kufer pełen przedwojennych listów swojego ojca. Znajdowały się w nim także różne dokumenty, rysunki i obrazy. Oraz jedna książka.

Na małym blacie przed nim stał laptop. Cotton dostał go od Stamma, który szybko zorganizował też połączenie z Internetem. Właśnie rozpoczynała się wideokonferencja. Cotton zobaczył na ekranie uśmiechniętą twarz Stamma siedzącego w archiwum Muzeum Historii Amerykańskiej.

- Udało się - oznajmił kustosz. - Spójrz na to. Dwa kamienie połączone w całość.

Na ekranie pojawił się obraz.



- Przynajmniej mamy teraz koniec trasy - powiedział.

Luk z kropkami na Kamieniu Serca złączył się z podobnym na Kamieniu Drogi, tworząc wyraźny szlak z dziewięcioma znacznikami.

Odwrócona litera U oznaczała, że na końcu drogi czeka kopalnia. Ale od swojego dziadka wiedział, że strzałka biegnąca od sztyletu do kopalni symbolizuje niebezpieczeństwo.

Wyglądało to jak ostrzeżenie.

- Nadal nie wiemy, gdzie trzeba zacząć - zauważył Stamm.

To prawda. Cotton zakładał, że na brakującym Kamieniu Alfa znajduje się pozostałych dziewięć znaczników, zgodnie z inskrypcją na Kamieniu Wiedźmy: „Idę do osiemnastu miejsc”.

A także początek całej trasy.

Instynkt podpowiadał mu, że Frank Breckinridge dysponował kompletnymi informacjami. Odtworzył w głowie wszystkie słowa, które padły podczas jego pierwszej wizyty w domu starca. Mówili dużo o historii wojny secesyjnej. O Jeffersonie Davisie i Lincolnie. O rycerzach. I o...

- Sukinsyn - mruknął pod nosem.

- Co się stało? - zapytał Stamm przez komputer.

- Breckinridge sprawdzał, czy znam nazwy kamieni i zdałem test. Sprawdził też, czy umiem złamać jego szyfr. A potem zapytał, czy chcę się spotkać z komandorem, skoro jestem w mieście. Uznałem, że chodzi mu o dowódcę zakonu. Chciał zorganizować spotkanie, a gdy zapytałem o miejsce, powiedział: „W tej jego cholernej Świątyni Sprawiedliwości”.

- Wiesz, co miał na myśli, prawda? - odparł Stamm.

- Tak. Budynek Sądu Najwyższego. Czytałem o jego historii. Kiedy przenieśli tam swoją siedzibę, większość sędziów nie była zadowolona. Te wszystkie kolumny i marmury za bardzo kojarzyły się ze starożytną Grecją. Wydawało im się to pretensjonalne i niestosowne. Jeden powiedział, że powinni w takim razie wjeżdżać na salę sądową na słońcach, a inny stwierdził, że będą wyglądać jak „dziewięć czarnych żuków w świątyni w Karnaku”. To porównanie tak się spodobało, że przyjęła się nazwa Świątynia Sprawiedliwości. Byłem skupiony na innych rzeczach, więc wcześniej nie zwróciłem uwagi na oczywistą nielogiczność.

Stamm patrzył na niego pytająco.

- Podczas rozmowy ze mną Breckinridge zachowywał się, jakby cofnął się do tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego roku, do końcowego etapu wojny. Sąd Najwyższy spotykał się wówczas w starej sali Senatu na Kapitolu, a nowy budynek powstał dopiero w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym. Dlaczego więc w swoich rzekomych urojeniach użył nazwy Świątynia Sprawiedliwości?

- Może jego umysł przeskakiwał z jednej epoki do drugiej?

- Może, ale to nie to. Wiemy, że stary wcale nie jest stuknięty. Przekazał mi zaszyfowaną informację. Dał do zrozumienia, że nie ufa swojemu dowódcy. Powiedział: „Ten jego krąg włosów wokół łysej głowy za bardzo upodabnia go do zakonnika”. Z kim ci się to kojarzy?

- Z przewodniczącym Westonem.

- No właśnie.

- To niemożliwe - odparł Stamm. - Weston jest komandorem Zakonu?

- Czemu nie? Na pewno bardzo dużo wie o tej sprawie. I nie sądzę, żeby Breckinridge wspomniał o Sądzie Najwyższym przez przypadek. W końcu wszystko inne miał precyzyjnie zaplanowane. Skierował nas do grobowca Smithsona, i tak samo skierował nas do Westona.

- Musimy mieć absolutną pewność, zanim cokolwiek z tym zrobimy - powiedział Stamm.

Cotton też tak uważał. Znów spojrzął na dziennik Adamsa.

-To by też tłumaczyło, skąd Weston wiedział tak dużo o mojej rodzinie i Angusie Adamsie. I dlaczego tak bardzo się tym wszystkim zainteresował. Miałeś z nim jakiś kontakt?

- Ostatni raz kilka godzin temu.

Wszystko zaczynało nabierać sensu.

Cotton spojrzął na zegarek.

- Powinienem lądować około piątej rano czasu lokalnego. Pracuj dalej nad tym zdjęciami. Musimy je mieć w najlepszej możliwej jakości.

- Chcesz, żebym porozmawiał z sędzią Westonem?

Właśnie się nad tym zastanawiał.

- Nie. Mam lepszy pomysł.

ROZDZIAŁ 71

WASZYNGTON

GODZ. 2:30

DANNY ZNÓW BYŁ W drodze.

Paul Frizzell podrzucił go do szpitala po spotkaniu w barze i Danny spędził kilka godzin przy łóżku Stephanie. Jej stan się nie zmieniał, chociaż lekarze wydawali się nastawieni bardziej optymistycznie niż wcześniej. W końcu przysnął. Obudził go dzwonek komórki. Wysłuchał rewelacji Malone'a, po czym stwierdził, że zajmie się tym natychmiast.

Złapał taksówkę i pojechał prosto pod dom Warrena Westona. Adres wyszukała mu nowa szefowa kancelarii. Coraz bardziej ją lubił. Chociaż wyrwał ją z głębokiego snu, bez słowa skargi wzięła się do pracy, rzucając tylko lakonicznie: „Zaraz do pana oddzwonię”. Przypominała mu równie zaradnego Edwina Davisa, który był jego zaufanym pracownikiem w Białym Domu.

To, co Malone powiedział mu na temat Warrena Westona, niemal zważyło go z nóg. Ale zgodził się z jego oceną. Frank Breckinridge podrzucił im trop, którym należało teraz podążyć.

Nieco go zaskoczyło, że przewodniczący Sądu Najwyższego mieszka w sercu Georgetown.

Weston nigdy nie wydawał mu się wyjątkowo zamożnym człowiekiem. Stanowisko w Sądzie Najwyższym przynosiło mu 250 tysięcy dolarów rocznie. To niewątpliwie porządna pensja, ale nie na tyle, żeby móc sobie pozwolić na dom w Georgetown.

Po drodze zdał sobie sprawę, że być może czeka go najpierw rozmowa z funkcjonariuszami policji sądowej, którzy mieli obowiązek ochraniać wszystkich sędziów Sądu Najwyższego. Pod drzwiami wejściowymi

Westona stał na straży jeden z nich. O dziwo, w jednym z okien na parterze paliło się światło. Danny przeszedł krótką ceglana ścieżką i stanął przed strażnikiem.

- Dobry wieczór, panie prezydencie.

- Pewnie się zastanawiasz, co tu robię o takiej porze?

- Nie, proszę pana. Przewodniczący Weston uprzedził mnie, że może pan go dzisiaj odwiedzić.

Danny niemal się uśmiechnął. Warrenowi Westonowi można zarzucić dużo, ale nie pewno nie był głupi.

- Powiedział, że mam pana od razu wpuścić.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Światło, które widział z zewnątrz, paliło się w saloniku od frontu. Wystrój przypominał trochę jego własny dom w Tennessee. Weston siedział na wysokim skórzanym krześle, trzymając w ręku szklanekę.

- Wejdz, Danny. Jeśli masz ochotę na whisky, to częstuj się, stoi na stole.

- A gdzie twój gadżet do zmieniania głosu?

- Mówiłem moim kolegom, że takie środki ostrożności to strata czasu, ale nalegali. Ja wołałbym od razu porozmawiać w takich warunkach jak teraz.

W pokoju wyłożonym boazerią panowała ciepła, przytulna atmosfera. Danny siadł na małej sofie.

-Wszystko, co mówiłem wcześniej, to prawda - zaczął Weston. - Zakon to nie jakaś grupa fanatyków. Chcemy działać wyłącznie w granicach prawa.

- Bądźmy poważni, Warren. Rycerze Złotego Kręgu byli organizacją terrorystyczną, prawdopodobnie największą i najbardziej skuteczną w historii Ameryki. Zrobili dużo złego i doprowadzili do powstania Ku Klux Klanu.

- Tak było, od tysiąc osiemset pięćdziesiątego czwartego do sześćdziesiątego piątego roku. Ale ten etap mamy dawno za sobą. I przez ponad sto lat cierpliwie czekaliśmy na moment, kiedy będziemy w stanie zrealizować wizję Alexandra Stephensa.

- I zmienić konstytucję?

Weston kiwnął głową.

- Ludzie są na to gotowi.

Danny wzruszył ramionami.

- Może i masz rację. Problem zaczyna się, kiedy trzeba zdecydować, jakie to konkretnie mają być zmiany. W tej kwestii nie wszyscy muszą się z wami zgodzić. Ale jak powiedziałeś w tamtym barze, macie prawo spróbować.

- Mamy teraz bardziej palący problem, a nawet dwa. Pierwszy to Vance. Drugi to obecna sytuacja wewnątrz Zakonu. Przeżywamy właśnie naszą własną wersję wojny domowej.

- To dlatego Breckinridge cię podkablował?

- Tak myślałem, że w ten sposób mnie znalazłeś.

- Dzisiaj dużo się działo w Instytucie Smithsona.

- Nie jestem na bieżąco, skupiłem się na spotkaniu z tobą. Możesz mi opowiedzieć?

Danny streścił Westonowi wszystko, co wiedział.

- Breckinridge naprowadził Malone'a na mój trop - skomentował sędzia - ponieważ chce mnie zająć, żeby mógł w spokoju zrobić to, co planuje.

- Czyli co?

- Zniszczyć wszystkie pięć kamieni, aby nikt nie był w stanie już odnaleźć krypty. Uważa, że zgromadzonego tam skarbu nie wolno ruszać, dopóki on sam nie uzna, że nadeszła odpowiednia chwila. Ciekawe, że tak naprawdę nie chodzi w tym wszystkim o złoto, tylko o władzę. Zarówno Breckinridge, jak i Vance chcą sami o wszystkim decydować.

- Malone ruszył w pościg za Breckinridgeem. Stary ma ze sobą swojego syna. A ten drań postrzelił kogoś, kto jest mi bardzo drogi.

- Przykro mi z powodu tego, co spotkało panią Nelle. Nie miałem pojęcia, że jesteście sobie bliscy.

- Bardziej, niż sobie wyobrażasz. Chcę dorwać Granta Breckinridge'a. Wiemy, że lecą do Nowego Meksyku. Dokąd dokładnie?

Weston nie odpowiedział. Danny nie krył irytacji.

-Warren, być może nie do końca rozumiesz sytuację. Koniec gry. Jeśli chcesz powstrzymać Vance'a, jestem twoją jedyną szansą. Jeśli chcesz powstrzymać Breckinridgea, może to zrobić tylko Malone. Siedzi im na ogonie, ale musimy mu pomóc zdobyć przewagę. Dokąd oni jadą?

- *Pasto al Norte*.

- Nigdy porządnie nie nauczyłem się hiszpańskiego.

- Pasterz Północy.

COTTON WPATRYWAŁ SIĘ w ekran laptopa.

Dodał zdjęcia kamieni Wiedźmy i Konia do złączonego obrazu kamieni Serca i Drogi. Kiedy zadzwonił telefon leżący na blacie obok komputera, odebrał w trybie głośnomówiącym.

- Cotton - rozległ się głos Danny ego Daniela. - Jestem u przewodniczącego Sądu Najwyższego. Miałeś rację. To on stoi na czele Zakonu. Celem tamtej dwójki jest kawałek ziemi, który kiedyś należał do twojego krewnego, Angusa Adamsa. Przed śmiercią zapisał swoją działkę państwu i teraz stanowi część lasu państwowego Carson w górach Sangre de Cristo. Tam właśnie znajduje się krypta.

Cotton nie odrywał oczu od ekranu.

- Jest tam stara misja, która stoi na dawnej ziemi Adamsa. A także kościół znany jako *Pasto al Norte*, czyli Pasterz Północy.

-Ta nazwa jest na Kamieniu Konia. Tylko że ja odczytałem to jako: „Koń wiary, pasę się na północ od rzeki”.

- Te hiszpańskie inskrypcje są niejednoznaczne - odezwał się Weston. - Ale od dawna uważamy, że ta ma znaczyć: „Ja, sługa wiary, prowadzę na wypas na północ od rzeki”.

Brzmiało sensownie. Cottonowi przyszło jeszcze coś do głowy.

Sięgnął po dziennik i otworzył na stronie tytułowej.

- Dziennik z wyprawy Adamsa też zawiera słowa „sługa wiary”.

Wygląda na to, że sam siebie tak nazywa.

- Znalazł pan dziennik? - zapytał Weston.

Najwyraźniej Daniels nie przekazał mu tej informacji. Wyjaśnił więc sędziemu, jak wszedł w posiadanie tej książki.

- Musimy porozmawiać - stwierdził Weston. Nie skierował tych słów do niego.

- Oddzwonimy do ciebie - powiedział Daniels.

DANNY ZAKOŃCZYŁ POŁĄCZENIE z Malone'em i spojrzał na Westona.

- Angus Adams to klucz do całej sprawy - oznajmił sędzia. - Po wojnie osobiście nadzorował konsolidację majątku Zakonu. Do tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku większość złota została zebrana i przewieziona na zachód, na jego ziemie w Nowym Meksyku, a tam złożona w składzie, który Adams zbudował w tajemnicy.

- W krypcie.

- Tak nazwał to miejsce. Wcześniej na jego polecenie stworzono kamienie, które oddano na przechowanie strażnikom w różnych częściach kraju. Ale sekrety mają to do siebie, że w końcu wychodzą na jaw, i ludzie zaczęli szukać tych kamieni. Na początku dwudziestego wieku kilku kustoszy Instytutu Smithsona znalazło trzy z nich: Konia, Drogi i Serca. Ale w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym jeden z naszych historyków został zabity podczas poszukiwań.

- Instytut chciał zdobyć to złoto?

- Oczywiście. Gdzieś tam czekały miliardy dolarów. Dla instytucji, która utrzymuje się z darowizn, to byłoby jak trafić na żyłę złota. Ale nie udało się znaleźć krypty i o sprawie zapomniano aż do lat siedemdziesiątych, kiedy tematem zainteresował się Davis Layne. To właśnie wtedy Breckinridge postanowił interweniować i zablokował dalsze poszukiwania.

- A ty kiedy zostałeś przywódcą rycerzy?

- Dołączyłem do Zakonu, kiedy miałem dwadzieścia siedem lat. W osiemdziesiątym roku zmarł poprzedni komandor i zostałem wybrany na jego następcę. To było dwa lata po mojej nominacji do Sądu

Najwyższego. Jako kanclerz Instytutu Smithsona miałem dostęp do bogatych archiwów i przez ostatnie trzydzieści lat starałem się dowiedzieć jak najwięcej. Próbowałem przekonać Breckinridge'a, żeby wszystko mi powiedział, ale ten stary dureń cały czas odmawiał. On i ja nigdy się ze sobą nie zgodziliśmy. - Weston przerwał na chwilę. - Wiem jednak, gdzie jest punkt startowy. Został stworzony i zabezpieczony przez Angusa Adamsa. Od tamtego czasu tę informację przekazywali sobie kolejni komandorowie Zakonu.

Danny słuchał z uwagą.

- Ale pojawił się pewien problem.

ROZDZIAŁ 72

COTTON SIEDZIAŁ ZE wzrokiem wbitym w dziennik swojego pradziadka. Przypomniwał sobie złoty wisiorek z krzyżem w okręgu, który widział u swojej matki w szkatułce na biżuterię. Nigdy mu o tym nie opowiadała, ale teraz już wiedział, skąd się wziął w ich rodzinie ten naszyjnik.

Stworzył go ich przodek. Angus Adams. Rycerz Złotego Kręgu.

Jego matka myślała chyba, że tradycja przekazywania sobie wisiorka z pokolenia na pokolenie skończy się na niej. Cotton pokręcił głową. Był do niej naprawdę podobny. Oboje byli z natury skryci. Ale jedną rzecz mu pokazała. Książkę ze starego kufra na strychu.

- Skąii to mamy? - zapytał.

Nigdy wcześniej nie widział takiej książki. W bibliotece szkolnej było ich wiele, ale żadna nie wyglądała tak jak ta.

- Należała do mojego krewnego - odparła jego matka. - Był szpiegiem w czasie wojny secesyjnej. A oprócz tego artystą. Malował dla Instytutu Smithsona i stworzył tę książkę.

Przeczytał tytuł - Sługa wiary.

Kiedy po raz pierwszy zobaczył te słowa na Kamieniu Konia, nie przyszło mu do głowy, że może istnieć jakikolwiek związek. Wtedy jeszcze nie wiedział, jaką rolę odegrał w tym wszystkim Angus Adams. Ale gdy znalazł dziennik ukryty pod gramofonem Breckin-ridge'a i zobaczył, co Adams napisał u dołu strony tytułowej, wreszcie skojarzył jedno z drugim.

- Czy ta książka jest stara? - zapytał.

- W środku jest data: tysiąc osiemset osiemdziesiąt dziewięć. Dostałam ją w prezencie od mojego pradziadka, który mieszkał tutaj na farmie. Ale to nie jest zwykła książka.

Sam się o tym przekonał, kiedy podniósł okładkę. Za stroną tytułową tylko dwie z blisko stu stron były zapisane. Wszystkie pozostałe kartki z pozłacanym i krawędziami pozostały puste.

- W środku jest tylko wiersz - mówiła dalej jego matka. - Zakładam, że napisał go też mój pradziadek. Miał na imię Angus. Jego wiersz nosi tytuł Sługa wiary.

Dzięki swojej ejdetycznej pamięci Malone wciąż potrafił przywołać każde słowo.

Sędziwi Rycerze odziani w szarości,
Choć włosy się srebrzą na waszych skroniach,
Nie rozplywajcie się w nicości,
Choć sił do walki nie staje w dłoniach.

Wybiła dla was godzina wieczności
I promień słońca ostatni was wzywa,
Lecz dajcie raz jeszcze swej waleczności
Wybrzmieć na ziemi, co dogorywa.

Rycerze Czcigodni spowici w szarość
Przed wielką próbą staje Południe.
I choć spoczynku pragniecie na starość
Do boju prowadźcie, odważnie i chlubnie.

Konfederatów głos was wzywa,
Walka niewolę niech w wolność obróci,
Srebrni Rycerze, niech szarża przybywa
I naszej ziemi świetność przywróci.

Boże Wszechmocny, dziś cię błagamy
O siłę dla naszych rycerzy szarych
I na kolana przed Tobą padamy,
Wznieć, Panie, płomień w ich sercach starych.

Zawsze podobał mu się ten wiersz, jego elegancki styl i pomysłowe sformułowania. Teraz wreszcie rozumiał także jego znaczenie.

- Ta książka kryje w sobie sekret-powiedziała matka z błyskiem w oku. Był coraz bardziej zaintrygowany. Zazwyczaj to dziadek opowiadał mu historie o przeszłości ich rodziny.

Ale nie dziś.

Patrzył, jak matka rozkłada książkę i ujmuje oburącz wszystkie strony. Lekko nacisnęła i rozsunała kciukami kartki jak wachlarz, a złote krawędzie wolno zmieniły się w obraz budynku w stylu puebla, stojącego na pustyni, na tle gór.

- To jakieś czary! - zawołał, nie kryjąc zachwyty.

Matka uśmiechnęła się do niego.

- To stara forma sztuki. Malarz układał kartki w określony sposób i ścisnął je imadłem, żeby pozostały lekko przesunięte. Na powstałej powierzchni malował to, co chciał. Kiedy farba wyschła, uwalniał kartki z imadła i pozłacał ich brzegi, żeby zamaskować kolory. Aby zobaczyć obraz, trzeba odpowiednio ustawić strony. Ta technika była całkiem popularna w czasach po wojnie secesyjnej.

- Co to za budynek?

- Wydaje nam się, że to dom, w którym mieszkał na zachodzie, ale nie wiem tego na pewno.

Cotton czekał, aż zostanie sam, żeby przekonać się, czy dziennik również zawiera ukryty obraz.

Wytłoczone z przodu i z tyłu litery i cyfry - 4, 8, N i P - musiały stanowić jakiś znak.

Jak tamte dziwne drzewa w lesie. Widoczne, ale nierzucające się w oczy. Mające znaczenie tylko dla kogoś, kto wiedział, czego szuka. Angus Adams nie bez powodu umieścił je zarówno na Kamieniu Wiedźmy, jak i na okładce swojego dziennika.

Warren Weston miał chyba rację, kiedy postanowił zaangażować go w tę sprawę. Rzeczywiście posiadał cenną wiedzę.

Czas więc poznać sekret dziennika.

DANNY POWOLI TRACIŁ cierpliwość. Malone czekał na odpowiedzi. Podobnie jak on sam.

- Chodzi o tę książkę, którą znalazł Malone - powiedział Weston. - Frank Breckinridge najwyraźniej wykradł ją ze zbiorów Instytutu Smithsona i ukrył u siebie. Sam nigdy nie widziałem jej na własne oczy. Wiem tylko, że Angus Adams przekazał ją Josephowi Henry emu niedługo przed jego śmiercią, w tysiąc osiemset siedemdziesiątym siódmym roku z prośbą, by wróciła do jego rodziny siedemdziesiąt pięć lat później. Miałem nadzieję, że tak właśnie się stało i że Malone zna ten dziennik. Nie wiedziałem, aż do teraz, że trzymał go Breckinridge. Kiedy dowiedziałem się o więzach krwi Adamsa i Malone'a, postanowiłem sprawdzić, dokąd może nas to zaprowadzić. Może książka została faktycznie zwrócona w pięćdziesiątym drugim roku. Instytut Smithsona z reguły sumiennie przestrzega warunków każdej umowy użyczenia czy darowizny.

- Powinieneś być szczerze wyjaśnić Malone owi, o co chodzi. To człowiek, którego niełatwo sobie zjednać. Nie lubi, gdy ktoś próbuje nim manipulować.

- O czym sam się przekonałem.

- Dlaczego ta książka jest taka ważna?

- Adams był bardzo przywiązany zarówno do Instytutu Smithsona, jak i do samego Josepha Henry ego. Był także jedynym człowiekiem na świecie, który wiedział wszystko o krypcie. Ale Zakon podjął mądrą decyzję, gdy zdecydował się na niego postawić. Był człowiekiem honoru i chronił ten skarb, jakby to był jego własny majątek. Pod koniec dziewiętnastego wieku mało kto już pamiętał o krypcie. Henry nie żył, Adams był starcem, a Zakon przeżywał poważny kryzys. Wiemy, że w tysiąc osiemset siedemdziesiątym siódmym roku Adams przekazał zarówno klucz, jak i dziennik Instytutowi Smithsona. Być może uważał, że to najbezpieczniejsze miejsce, że znikną wśród innych niezliczonych eksponatów. Wiem jedynie, że książka wskazuje drogę do krypty, chociaż nie mam pojęcia w jaki sposób.

COTTON ŚCISNAŁ WSZYSTKIE kartki w dzienniku Adamsa, tak samo jak przed laty zrobiła jego matka z inną książką jego autorstwa. Zwracał przy tym uwagę na ułożenie cyfr i liter na okładce. Uważał, żeby zbyt mocno nie zgnieść starego papieru. Powoli zaczął odginać strony, a pozłacane krawędzie na jego oczach zmieniły się w wyraźny obraz.

Przysunął książkę bliżej twarzy i dokładnie obejrzał rysunek. Jego głównym elementem była rzeka, obok której stało coś, co wyglądało na kościół, oraz trzy inne budynki. Cotton rzucił okiem na ekran laptopa i zdjęcia kamieni Wiedźmy i Konia.

Razem głosili: „Ja, sługa wiary, prowadzę na wypas na północ od rzeki. Ta ścieżka jest niebezpieczna. Idę do osiemnastu miejsc. Szukaj mapy, szukaj serca”.

Od głowy konia odchodziła zakrzywiona linia, obok której był krzyż. W górnym lewym rogu biegła druga linia podpisana rio, czyli „rzeka”, a także trzy kropki wokół symbolu przypominającego trochę wygiętą cyfrę 5, ale równie dobrze mogła to być litera L połączona z odwróconym U. Klasyczna zmyłka w stylu Rycerzy Złotego Kręgu. Wydaje ci się, że widzisz jedno, a to tak naprawdę coś zupełnie innego. Jeszcze raz spojrzaj na obraz na krawędziach stron dziennika i zauważ, że trzy budynki przed kościołem są ustawione na planie trójkąta.

Tak samo jak kropki na kamieniu.

Były to domy z suszonej cegły kryte ciężką dachówką, z przesuwanymi oknami, stojące pośród trawy i drzew.

Cotton wypuścił kartki z ręki i uśmiechnął się.

Teraz wiedział już wszystko.

DANNY SŁUCHAŁ MALONE'A, który tłumaczył przez telefon, co udało mu się ustalić.

- Kamieni nie trzeba odczytywać w konkretnej kolejności. Te cztery, które mamy, zawierają luźne instrukcje rozmieszczone w przypadkowy

sposób. Częścią łamigłówek jest złożenie tych strzępków informacji w całość. Kamień Wiedźmy jest trochę jak wstęp: droga jest niebezpieczna, do celu prowadzi osiemnaście znaczników, trzeba znaleźć mapę i serce. Podejrzewam, że postać w szacie i pozostałe symbole w którymś momencie też okażą się istotne. Kamień Konia odrobinę doprecyzowuje punkt docelowy: „na północ od rzeki”. Dlatego musimy się teraz dowiedzieć, jak wyglądały ziemie Adamsa.

- Należało do niego ponad cztery tysiące hektarów - powiedział Weston - położonych w północnej części Nowego Meksyku. Od przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku te ziemie należą do państwa.

- Gdzieś tam znajduje się krypta, a punktem startowym jest kościół stojący na północ od rzeki. Przydałby się nam obraz z satelity. Niech Rick Stamm kogoś obudzi i każe mu dokładnie określić nasz cel na mapie. Mam jeszcze dwie godziny do lądowania. Do tego czasu muszę już wiedzieć, dokąd mam jechać.

- Zakładasz więc - odezwał się Danny - że Breckinridge też widział obraz na krawędziach stron.

- Tak, możemy być tego pewni. Na nasze szczęście nie wie, że znaleźliśmy dziennik.

- On zamierza zniszczyć wszystkie kamienie - zauważył Weston. - Łącznie z Kamieniem Serca, który pozwoliliście mu zabrać.

-To nie będzie problem - odparł Malone. - Mam tu przed oczami połączone cyfrowo Kamienie Drogi i Serca. Oczywiście ciągle brakuje nam kamienia Alfa, tego który pokazuje właściwą drogę. Na naszej scalonej mapie jest widocznych tylko dziewięć znaczników, Alfa zawiera pozostałe dziewięć. Moim zdaniem ten kamień czeka u pasterza na północ od rzeki.

- Czyli musisz dotrzeć do niego przed Breckinridge'em - stwierdził Danny.

-Taki jest plan.

Rozłączyli się. Danny odwrócił się do Westona.

- My tymczasem musimy jeszcze parę rzeczy omówić.

ROZDZIAŁ 73

GRANT ZBUDZIŁ się ze snu.

Uśpił go jednostajny warkot silników odrzutowych. Po całym wczorajszym dniu potrzebował chwili odpoczynku. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że spał ponad dwie godziny. Musieli być już w połowie drogi. Jego ojciec siedział po drugiej stronie kabiny, wygodnie rozłożony na białej skórzanej sofie. Wyglądało na to, że podoba mu się ta odrobina luksusu.

- Prześpij się jeszcze - powiedział Breckinridge senior.

W kuchni pokładowej czekało na nich jedzenie i Grant trochę przekąsił przed zaśnięciem. Był wypoczęty i gotowy do działania, ale z drugiej strony czuł się, jakby mu ktoś podciął skrzydła. Nie polował już na zaginiony skarb. Teraz był więźniem swojego ojca. Obiecano mu wprawdzie nagrodę pocieszenia, ale wciąż zadawał sobie pytanie, czy miałby jeszcze szansę osiągnąć coś więcej.

- Mogę się przydać - powiedział.

Na jego ojcu nie zrobiło to wrażenia.

- Nie masz pojęcia, co to znaczy być rycerzem.

- W takim razie mi wyjaśnij.

Jego ojciec usiadł prosto.

- Rycerze ślubowali, że w obronie Zakonu i jego idei są gotowi poświęcić życie i wszystko, co miało dla nich wartość. Poprzysięgali śmierć i destrukcję abolicjonistom i nie szczędzili na środkach, by pokrzyżować im plany.

- To było sto pięćdziesiąt lat temu.

- Honor jest ponadczasowy.

- Niewolnictwo dawno zostało zniesione.

- I bardzo słusznie. Ale Zakon reprezentował sobą znacznie więcej.

Również wartości, które przemówiłyby do współczesnych Amerykanów.

- Na przykład?

- Demokracja przedstawicielska. Polityczna transparentność. Odpowiedzialność wyborców.

Grant postanowił nie spierać się więcej z ojcem. Zapytał tylko:

- Byłeś w Zakonie całe życie?

- Twój dziadek do niego należał i mnie też do tego namawiał. Ale prawdziwe powołanie poczułem dopiero podczas walki z Davi- sem Layneem.

-Jak znalazłeś klucz?

Frank Breckinridge sięgnął do kieszeni i wyciągnął klucz.

- Całkowicie przez przypadek, pod koniec lat pięćdziesiątych. Dopiero co rozpocząłem pracę w Instytucie. Byłem na strychu, żeby dokonać drobnych napraw, i jeden z robotników nagle natknął się na niego pod izolacją. Nie miał oczywiście pojęcia, jak bardzo jest cenny.

- A ty skąd to wiedziałeś?

Jego ojciec rzucił mu klucz.

- Spójrz na sam koniec.

Grant zobaczył, że na okrągłym koniuszku mosiądz został nacięty, dzięki czemu powstał krzyż w okręgu.

- To krzyżowe nacięcie jest potrzebne, dzięki niemu klucz pasuje do swojego zamka. Ale oprócz tego stanowi znak rozpoznawczy. Jest tylko jeden taki klucz na świecie. Wiedziałem w chwili, gdy go ujrzałem, że to ten sam klucz, który Angus Adams zostawił Josephowi Henry emu. Pamiętasz, jak mówiłem, że pierwotnie otwierał archiwa Konfederacji? Ale później, kiedy wszystkie dokumenty zostały przeniesione do krypty razem z całym złotem, klucz nabrał jeszcze większego znaczenia.

- Czy naprawdę może się jeszcze do czegoś przydać? Po tak długim czasie?

Jego ojciec pokiwał na niego palcem.

- Oto dlaczego nie mógłbyś być rycerzem. Brakuje ci wiary.

- Po prostu jestem realistą. Może rycerze odeszli w niepamięć właśnie dlatego, że zatracili kontakt z rzeczywistością?

Frank Breckinridge umilkł. Przez chwilę słychać było tylko odgłos silników.

- W tym, co mówisz, jest trochę racji - przyznał w końcu starzec. - Staliśmy się obojętni na zachodzące wokół nas zmiany. Dlatego to, co robimy, jest tym bardziej istotne.

Grant nadal niewiele z tego rozumiał.

- A co właściwie robimy?

- Rozstrzygamy spór.

DANNY ZASTANAWIAŁ SIĘ, czyjego opinia na temat Warrena Westona choć trochę się zmieniła. W końcu uznał, że tak. Teraz miał o nim jeszcze gorsze zdanie.

- Ciągłe nie zlokalizowaliśmy naszej jednej agentki - powiedział. - Znam ją osobiście. Prywatnie to dziewczyna Malone'a.

- Złoto znalezione w tej furgonetce w Teksasie - odparł Weston - to wyraźny sygnał wysłany przez Breckinridge'a. Gest pojednawczy wobec mojego stronnictwa. Dał do zrozumienia, że ma dość funduszy, żeby sfinansować wszystko, co zamierzamy zrobić. Ale on nie ma pojęcia, ile kosztuje przekonanie do czegoś opinii publicznej.

- Tak czy inaczej Zakon nie dostanie już tego złota. Przejęli je jankesi.

Weston zaśmiał się pod nosem.

- Tak, na to wygląda. Ale ta mała transza błędnie w porównaniu z tym, co czeka w krypcie. Poza tym są tam też prawdopodobnie archiwa Konfederacji. Te dokumenty mogłyby rzucić nowe światło na naszą historię.

- I niekoniecznie wyszłoby to nam na dobre. Tam mogą się skrywać sekrety, które nie powinny wychodzić na światło dzienne.

- Jestem gotów podjąć to ryzyko. Minęło już tak dużo czasu, a my wciąż tkwimy w miejscu i czekamy, aż coś się zmieni. Słyszałeś, co mówiłem o konstytucji Konfederacji. Są w niej pomysły, które ludzie chętnie by dziś poparli. Jak częściowe weto. Ukrócenie populistycznych ustaw. Większa autonomia stanów. Koniec umarzania długów

publicznych. Te rzeczy mają sens, Danny.

- A mimo to nawet w szeregach twojego drogiego Zakonu nie ma zgody co do tego, czy takie rozwiązania powinny być w ogóle brane pod uwagę.

- Niektórzy woleliby nadal czekać.

- Ale jedni i drudzy chcą dostać się do krypty.

Weston kiwnął głową.

- Ja chcę to złoto spożytkować. Wykorzystać ten majątek w tym celu, w jakim został zgromadzony. Dlatego postanowiłem posłużyć się Diane Sherwood, Grantem Breckinridge'em i Cottonem Malone'em. Chciałem, żeby pomogli mi znaleźć kryptę.

W Dannym znów zaczął wzbierać gniew.

- Wciągnęłaś Stephanie Nelle w niebezpieczną aferę, nie mówiąc jej nawet, z czym ma do czynienia.

- Uwierz mi, nie miałem pojęcia, że Breckinridge zabije Martina Thomasa i będzie próbował zabić ją. Nie przeszło mi to nawet przez myśl. Przez niemal dwa lata udawało nam się unikać wszelkiej przemocy. Stary Breckinridge wykorzystywał w dziwny sposób swojego syna, tak samo jak ja wykorzystywałem Diane Sherwood. Obaj chcieliśmy tego samego, ale żaden z nas nie mógł tego zdobyć w pojedynkę. Chciałem po prostu pomocy pani Nelle, a prezydent mi to zaoferował.

Coś jeszcze nie dawało mu spokoju.

- Tu nie może chodzić tylko o zaginione złoto i różnicę zdań, ani nawet o zmienianie historii. Powiedz mi, Warren, o co jeszcze toczy się ta gra?

GRANT SŁUCHAŁ OJCA, który tłumaczył mu źródło konfliktu wewnątrz Zakonu.

- W tysiąc osiemset sześćdziesiątym pierwszym roku Południe uznało, że jedynym sposobem na zakończenie sporu z Północą jest wojna. Zakon nie zgadzał się z tą decyzją. Została podjęta przez niekompetentnych ludzi, którzy ponieśli zasłużoną porażkę. Musieliśmy

wyciągnąć wnioski z ich błędów. Następnej wojny nie wolno rozpoczynać, stojąc na słabszej pozycji. Wręcz przeciwnie, powinniśmy najpierw zapewnić sobie przewagę. Niestety nadal są wśród nas ludzie, którzy nie przyswoili sobie tej lekcji.

- Więc nie zgadzasz się z Kennethem Layne'em, że należy zwołać konwencję konstytucyjną?

- Rozumiem ten tok myślenia, ale dałem komandorowi jasno do zrozumienia, że jestem temu przeciwny. On dąży do zmiany konstytucji, a to w moim odczuciu wymagałoby od nas zbyt daleko idących kompromisów. Jeśli będziemy mądrzy i cierpliwi, a Zakon zawsze taki był, możemy zdobyć wszystko za jednym zamachem, zamiast wrywać zwycięstwo po kawałku.

Grant zupełnie nie pojmował wagi tego wszystkiego, o czym mówił jego ojciec.

Starzec był po prostu szalony.

COTTON CZEKAŁ, AŻ Rick Stamm prześle mu zdjęcia satelitarne Nowego Meksyku. Instytut Smithsona miał dostęp do cyfrowych zdjęć dosłownie każdego zakątka na świecie. Bibliotekarze w muzeach historii amerykańskiej oraz historii naturalnej pracowali na pełnych obrotach, choć w Waszyngtonie był teraz środek nocy.

Tymczasem odebrał także telefon od ludzi z Magellan Billet, którzy przekazali mu zarówno dobre, jak i złe wieści. Zegarek Cassiopei znaleziono we wnętrzu furgonetki przewożącej wielki stos sztabek złota. W tym samym wozie leżał związany Terry Morse, którego przewieziono już w bezpieczne miejsce. Stary strażnik opowiedział o jakimś Jamesie Proctorze, który pozbawił go przytomności w kopalni. Jednak zanim to się stało, Morse zdążył jeszcze tam zobaczyć tych trzech ludzi, którzy zaatakowali ich w szopie z ulami. Nie wiedział jednak, co się dalej z nimi stało. Nie widział też Cassiopei i nie miał pojęcia, gdzie może przebywać. Ale Cotton dowiedział się od Lei, która była na miejscu, że zabrał ją ze sobą ten Proctor, trzymając ją na muszce. Cały

czas liczył na to, że doprowadzi ich do niej zegarek z GPS-em.

Tak się jednak nie stało.

Gdzie ona mogła być?

Chciał jak najszybciej znaleźć się z powrotem na ziemi i zacząć jej szukać, ale mknął po ciemnym niebie gdzieś nad Teksasem.

Nadrabiał straty i za jakieś półtorej godziny powinien już być w Nowym Meksyku.

Doprowadzało go do szału to, że nawet nie wiedział, czy jest cała i zdrowa. To nie była jej walka. Przyłączyła się tylko ze względu na niego.

Lekko stuknął pięścią w laptop.

Może za bardzo ryzykowali? Może zważywszy na to, co do siebie czują, przyszedł wreszcie czas, żeby zacząć wykazywać większą ostrożność. Oboje mieli już swoje lata, niemało w życiu przeszli i powinni chyba być mądrzejsi. Nadzieję dawał mu fakt, że Cassiopeia specjalnie podrzuciła ten zegarek. To bowiem oznaczało, że działała według jakiegoś planu. Liczył, że wkrótce uda się namierzyć zarówno ją, jak i tego całego Proctora.

Odpiął pasy, wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem po pustej kabinie.

Centrala Magellan Billet ustaliła, że samolot wiozący obu Breckinridgeow wyprzedza go o jakąś godzinę. Plan lotu pozostawał niezmieniony, a zatem cały czas kierowali się na lotnisko regionalne w Taos. Cotton powiedział swoim pilotom, żeby lecieli od razu w to samo miejsce, ponieważ i tak wylądują dopiero, kiedy tamci dwaj wyruszą w dalszą drogę. Skontaktowano się już z tamtejszym szeryfem, który obiecał postawić kogoś na lotnisku, żeby monitorował sytuację. Cotton zakładał, że Breckinridgeowie udadzą się na ziemię, które kiedyś należały do Angusa Adamsa, i musiał trzymać się na tyle daleko, żeby doprowadzili go prosto do celu.

Laptop powiadomił o nadchodzącym połączeniu. Cotton otworzył Skype'a i ujrzał uśmiechniętą twarz Ricka Stamma.

- Chyba już mamy, co trzeba.

ROZDZIAŁ 74

CASSIOPEIA ODZYSKAŁA PRZYTOMNOŚĆ ponad godzinę temu, ale wciąż czuła w ustach lepki, nieprzyjemny smak. Po tym jak Proctor ją znokautował, była nieprzytomna co najmniej przez kilka godzin, może dłużej. Odkąd się ocknęła, leżała bez ruchu, nie dając po sobie poznać, że wróciła między żywych. Dwa razy odebrał telefon, a ona podsłuchiwała, o czym rozmawia. Za pierwszym razem zrelacjonował komuś, co się stało ze złotem. Druga rozmowa była krótsza, a Proctor więcej słuchał, niż mówił, jakby przyjmował nowe instrukcje. Przez cały ten czas wydawał się niezbyt zainteresowany jej osobą. Chociaż wciąż była trochę oszołomiona, zarejestrowała, że na chwilę się zatrzymali, pewnie żeby zatankować. Po podłodze w samochodzie przewalały się butelki z wodą i paczki po krakersach z masłem orzechowym. Najwyraźniej Proctor w którymś momencie poczuł głód i pragnienie.

Z tablic mijanych po drodze wynikało, że są w Nowym Meksyku, ale nie na tej samej czteropasmowej autostradzie co wcześniej. Teraz mieli przed sobą tylko dwa pasy i kierowali się już nie na zachód, tylko na północ. Ręce miała cały czas związane za plecami, a ramiona bolały niemiłosiernie. Tylko jedna szansa. Więcej nie potrzebowała.

- Wiem, że już dawno pani się ocknęła - odezwał się nagle Proctor.

Cassiopeia, która do tej pory leżała z głową opartą o drzwi, podniosła się i usiadła prosto.

- Kiedy odzyskała pani przytomność, zaczęła pani inaczej oddychać.

Musieli być w drodze już dobre dziesięć godzin. Do wschodu słońca zostały jeszcze co najmniej dwie godziny. Krajobraz się zmienił. Zamiast płaskiej, bezdrzewnej równiny widziała za oknem wysoki postrzępiony las. Wiedziała też, że są coraz wyżej nad poziomem morza.

- Jedziemy w specjalne miejsce - powiedział Proctor. - Na ziemi, z

których kiedyś korzystał Zakon. Nigdy nie przypuszczałem, że kiedyś tam trafię.

W jego głosie słyhać było dumę.

- Czy ta podróż ma jakiś cel? - zapytała.

- Oczywiście.

- Będzie pan mógł zabić jeszcze jakichś ludzi?

Nie spodobał mu się ten sarkazm.

- Nie jestem pewien, czy te trzy kanalie, które zastrzeliłem w kopalni, w ogóle zasługują na miano ludzi.

- A ja i Lea Morse?

- Nie zostawiłyście mi wyboru. Ale jakie to ma znaczenie? Obie przeżyłyście. Nic się nikomu nie stało, więc nie warto tego rozpa miętywać.

Nie odpowiedziała. Miała na ten temat zupełnie inne zdanie.

DANNY CHCIAŁ USŁYSZEĆ odpowiedź.

„O co jeszcze tu chodzi?”

- Rycerze Złotego Kręgu szanują historię - powiedział Weston. - A chociaż w tej chwili jesteśmy podzieleni, obie strony są bardzo zainteresowane kryptą. I to nie tylko ze względu na jej zawartość. Wiąże się też z nią pewna legenda.

- Legenda? - powtórzył Danny, coraz bardziej rozwścieczony. - Stephanie Nelle walczy o życie przez te wasze bzdury!

- To nie bzdury - odparł Weston. - Ten kraj założyli ludzie, których zjednoczyły wspólne poglądy i dążenia. Liczyły się dla nich idee, hasła naprawdę coś znaczyły. I spójrz tylko, co udało im się stworzyć. Najwspanialsze państwo na świecie, które trwa już prawie dwieście pięćdziesiąt lat. Ludzie, który założyli Zakon Rycerzy Złotego Kręgu, również byli honorowi. Przynajmniej na początku. Z czasem jednak, jak to w przypadku każdego ruchu rozwijającego się bez żadnej kontroli, w ich działania wkradła się niepohamowana, irracjonalna przemoc. Wplątali się w wojnę, której nie dało się wygrać. Rycerze, którzy

nadeszli już po wojnie secesyjnej, byli bardziej roztropni, bardziej cierpliwi. Mieli więcej szacunku dla prawa i inaczej postrzegali wiele spraw. Kiedy pod koniec dziewiętnastego wieku znaczenie Zakonu malało, kiedy budowano kryptę i przewożono do niej cały zgromadzony majątek, ci ludzie ponoć zostawili instrukcje dla przyszłych pokoleń rycerzy.

- Jakież ostatnie wytyczne?

Weston pokręcił głową.

- Raczej zaginiony rozkaz.

GDY TYLKO COTTON wyskoczył z samolotu na ciemną płytę lotniska, dwaj zastępcy szeryfa hrabstwa Taos poinformowali go, że Breckinridgeowie wylądowali nieco ponad godzinę wcześniej. Jego zegarek pokazywał godzinę 4:50. Ich odrzutowiec stał w pobliskim hangarze, a piloci zostali zatrzymani. Sami Breckinridgeowie zaś odjechali samochodem, który czekał na nich pod terminalem.

- Udało nam się założyć na niego lokalizator - powiedział jeden z funkcjonariuszy. - Uznaliśmy, że pewnie będzie pan chciał wiedzieć, dokąd jadą.

- Tak, to właśnie pytanie za sto punktów.

- W tej chwili kierują się na północ, w stronę Lasu Państwowego imienia Carsona.

- Muszę ich wyprzedzić. Najlepiej górą.

Wcześniej rozmawiał już o tym z ludźmi z centrali, którzy mieli to załatwić z tutejszymi władzami.

- Powiedzieli nam, że w marynarce wojennej był pan pilotem myśliwca.

Skinął głową.

- Umieć latać praktycznie wszystkim, co ma skrzydła.

Funkcjonariusz się uśmiechnął.

- To dobrze, bo to, co dla pana mamy, to nie jest zwyczajna maszyna.

PODAŻAJĄC Z A WSKAZÓWKAMI swojego ojca, Grant przywiózł ich w góry Sangre de Cristo i wjechał na teren Lasu Państwowego im. Carsona. Jeszcze na pokładzie samolotu jego ojciec wykonał dwa telefony. Za pierwszym razem słuchał sprawozdania, a za drugim przekazywał polecenia osobie po drugiej stronie. Wyglądało na to, że ktoś inny kieruje się w to samo miejsce co oni.

- Niestety przeszkodziła nam policja - oznajmił jego ojciec. - Zarekwirowali złoto, które kazałem tu przewieźć.

- A co z moją działką?

- Przepadła.

- Skąd policja wiedziała o złocie?

- Domyślam się, że to twoja zasługa. Ściągnąłeś na siebie stanowczo zbyt dużo uwagi swoim strzelaniem i zabijaniem.

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Jego ojciec uśmiechnął się złośliwie.

- Mylisz się. Kiedy my stosujemy przemoc, zawsze zachowujemy ostrożność. Ty natomiast w ogóle nie znasz takiego słowa.

- Naprawdę nie wiem, co poczniesz, kiedy pewnego dnia zniknę i nie będziesz już miał na kogo zrzucać winy za swoje błędy. Niby jak moje działania w Waszyngtonie mogły doprowadzić kogoś do twojej furgonetki ze złotem, która jechała tutaj? Wygląda na to, że to ty ponosisz za to winę.

Grant nie doczekał się odpowiedzi. Widział, jak jego ojciec intensywnie myśli, analizując sytuację z wszystkich możliwych stron.

- Niemożliwe, żeby ktokolwiek wiedział, że tu jesteśmy - stwierdził w końcu, jakby próbował sam siebie przekonać.

- A po co tu jesteśmy? - zapytał Grant.

- Zęby odzyskać piąty kamień.

Dobrze. To właśnie chciał usłyszeć.

- Znajdziemy go i zniszczymy - dodał ojciec.

Może tak, może nie.

CASSIOPEIA ZACZYNAŁA SIĘ naprawdę martwić. Jej zegarek naprowadził policję na złoto, ale na nią już nie. Była na kompletnym odludziu z człowiekiem pozbawionym skrupułów. Jego intencje wobec niej nie budziły żadnych wątpliwości.

Zamierzał ją zabić.

Związane ręce bolały coraz bardziej. Była zmęczona, głodna i spragniona.

Ale bywała już w gorszych opałach.

- Mogę dostać trochę wody i tych krakersów? - zapytała. - Leżą na podłodze.

- Dam pani jeść, kiedy się zatrzymamy - odparł Proctor. - Jesteśmy już blisko.

Cassiopeia widziała, że niedługo powinno wstać słońce.

Została tu przywieziona jako zabezpieczenie. Najwyraźniej Proctor i jego wspólnicy uznali, że to dobry pomysł. Z pewnością łatwo byłoby pozbyć się jej na tym pustkowiu. Ale zatrzymanie furgonetki ze złotem pokrzyżowało im plany. Tylko ona wiedziała, że to jej zasługa. A to oznaczało, że albo Cotton, albo ktoś inny z Magellan Billet jest już na jej tropie.

„Cierpliwości” - powtarzała sobie w duchu.

„Czekaj na odpowiedni moment”.

DANNY MIAŁ JUŻ trochę dosyć tej rozmowy.

Był zmęczony, miał za sobą ciężką noc i musiał wracać do szpitala.

- O czym ty, do cholery, opowiadasz? Jaki znowu zaginiony rozkaz?

- Musisz zrozumieć - powiedział Weston - że mówimy tu o ludziach głęboko oddanych sprawie. Dla nich historia nie była czymś, o czym czyta się w książce. Historia żyła, była częścią ich samych. Przywiązywali do niej wielką wagę. Służba w Zakonie miała dla nich niesłychane znaczenie. Wierzyli, że jako rycerze mają szansę, aby w fundamentalny sposób wpłynąć na kształt całego państwa. Ten zapał pozostaje tak samo żywy w dzisiejszych członkach Zakonu. Może nawet bardziej. Dlatego

jest dla nas ogromnie ważne, żeby dowiedzieć się, co chcieli nam przekazać nasi poprzednicy.

Miał dość. Chciał już to skończyć.

- Warren, pracownik Instytutu Smithsona, został zabity, a Stephanie Nelle jest w śpiączce...

- Za jedno i drugie odpowiada człowiek spoza Zakonu.

- To ty wciągnąłeś tego zabitego bibliotekarza i Stephanie w tę awanturę, nie mówiąc im, jak wielkie grozi im niebezpieczeństwo. Malone'a też posłałeś do akcji na ślepo. - Danny sam nie wiedział, kiedy podniósł głos. - To nie są jakieś intelektualne dywagacje. Przez was giną ludzie.

Zapadła niezręczna cisza.

- Frank Breckinridge pojechał szukać Kamienia Alfa - odezwał się po chwili Weston. - Na pewno widział obraz ukryty w dzienniku Adamsa, więc musimy założyć, że wie, w którym miejscu trzeba rozpocząć poszukiwania krypty. Kiedy zdobędzie ten kamień, zniszczy go i będzie po wszystkim. Osiągnie swój cel. My nie znajdziemy już nigdy krypty, a więc ty też dostaniesz to, czego chcesz. Pozostaje tylko pytanie, czy Lucius Vance również dostanie to, czego chce.

- Nie ma mowy.

W głosie Westona słychać było rezygnację. Czas się pożegnać.

Danny wstał.

- Będziemy w kontakcie.

- Naprawdę doceniam wszystko, co robisz w tej sprawie - powiedział Weston.

Przyszło mu do głowy jeszcze jedno.

- Kiedy byłem prezydentem, nie zgadzałeś się ustąpić ze stanowiska, chociaż już dawno powinieneś przejść na emeryturę. Dobrze wiedziałem, że mnie nie lubisz i nie chcesz pozwolić, żebym to ja mianował twojego następcę. W porządku. Potrafię to uszanować. Decyzja należy do ciebie. To ty sprawujesz dożywotni urząd. Ale teraz dowiedziałem się, że kierujesz tajną organizacją, która próbuje doprowadzić do poważnych zmian w państwie. Muszę uczciwie przyznać, nie

przypominam sobie ani jednej decyzji podjętej przez ciebie jako sędziego Sądu Najwyższego, która zdradzałaby twoje prywatne przekonania. Na pewno wyznawane przez ciebie idee czasem rzutowały na twoją pracę, ale nie na tyle, żebym mógł to zauważyć ja albo ktokolwiek inny. Jeszcze raz podkreślam, to była twoja decyzja. Wszyscy sędziowie mają swoje własne poglądy, niektórzy okazują je bardziej niż inni. Ale teraz poznałem twoje. Daję ci trzydzieści dni na złożenie rezygnacji. Jeśli mnie nie posłuchasz, trzydziestego pierwszego dnia wszystko ujawnię. Jasne, niektórzy uznają, że zwariowałem, ale to dla mnie nie pierwszozna. Tak czy inaczej, możesz mi wierzyć, zrobi się wielki szum i ludzie zaczną ci zadawać dużo niewygodnych pytań. Dlatego dla twojego dobra radzę ci: odejdz z godnością.

Po tych słowach skierował się do drzwi.

- Co zamierzasz teraz zrobić? - zapytał Weston.

- Zakończę to.

ROZDZIAŁ 75

WASZYNGTON

GODZ. 7:25

DIANE WRÓCIŁA DO kamienicy Alexa. Długo rozmyślała nad wszystkim, co się stało, i uznała, że zostało jej niewiele opcji. Wczoraj razem z Grantem przeszukała całe mieszkanie, nie znajdując niczego, co łączyłoby ich dwoje z planami Vance'a. Ale to wszystko nie miało już znaczenia. Przestała dbać o dyskrecję.

Teraz pragnęła jedynie zemsty.

Zrezygnowana wspięła się po schodach.

Zawsze dotąd bardzo dokładnie planowała każde kolejne posunięcie. Szczyciła się swoją rozważą i metodycznością w działaniu. Nigdy nie robiła niczego pochopnie. Nawet kiedy zabiła Alexa, najpierw długo siedziała w zaciszu ich domu, rozważając wszystkie za i przeciw, aż uznała, że nie ma innego wyjścia. Ciekawe, że morderstwo mogło stać się tak łatwym rozwiązaniem. Z pewnością wynikało to przede wszystkim z desperacji i poczucia, że nie ma się już nic do stracenia.

Właśnie tak się teraz czuła.

Dotarła na właściwe piętro i ruszyła korytarzem. Drzwi do mieszkania Alexa były na wpół otwarte i Diane usłyszała, że ktoś jest w środku.

Tak jak wczoraj, kiedy zastała tam Danny ego Danielsa.

Wpadła przez drzwi i zobaczyła kobietę. Mniej więcej w jej wieku. Z ciemnymi włosami, dobrze zbudowaną. Atrakcyjną.

Obcą.

Domyśliła się od razu.

- Pani jest kochanką mojego męża.

Kobieta była zajęta sprzątaniami. Przerwała i popatrzyła na nią.

- Pani Sherwood, przepraszam za...

Diane przeszła kilka kroków dalej, wykorzystując element zaskoczenia.

- Widzę, że nawet nie próbuje pani zaprzeczać.

- Nie byłam kochanką Alexa - powiedziała nieznajoma, zbierając się w sobie. - Ale byliśmy w sobie zakochani.

- Ma pani jakieś nazwisko?

Cisza.

- Chyba zasługuję przynajmniej na to, żeby wiedzieć, kim pani jest.

- Nazywam się Taisley Forsberg.

- Mieszka pani w pobliżu?

- Na końcu korytarza.

- Jak -wygodnie. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek panią widziała.

- Pilnowałam, żeby tak się nie stało.

Diane obrzuciła ją spojrzeniem godnym zdradzonej żony. Nie było to trudne, zwłaszcza że ta kobieta nie wiedziała przecież o jej własnych romansach z Grantem Breckinridge'em i Luciusem Vance'em.

- Alex twierdził, że nigdy ze sobą nie spaliście - powiedziała. - Ciekawe, że oboje trzymacie się dokładnie tej samej wersji.

- Pani mąż był honorowym człowiekiem. Szanowałam go za to. I kochałam na tyle, że zgodziłam się zaczekać, aż będzie wolny.

Cóż za wielkoduszność.

- Co pani tu robi?

- Zawsze utrzymywałam to mieszkanie w należyтым porządku. Najwyraźniej ktoś się wczoraj włamał. Zamek jest rozwalony. Wezwałam dozorcę, żeby to naprawił.

- A nie policję?

- Nie widziałam takiej potrzeby. W środku nie było też żadnych ubrań czy walizek, więc wydawało mi się, że pani wyjechała. Nie spodziewałam się, że pani wróci.

Ona też nie. Ale obecność tej kobiety, która nie była żoną Alexa Sherwooda, kojarzyła się ze świętokradztwem. I chociaż dla Diane to mieszkanie nie znaczyło zupełnie nic, nie miała zamiaru ustępować

miejsca kobiecie, która romansowała z jej mężem.

- Wie pani chyba, że nie była pani jedyna - powiedziała. - Alex miał wiele kobiet.

Od razu widziała, że jej kłamstwo nie odniosło skutku.

- Nie musi pani go obrażać - odparła Taisley Forsberg. - Odszedł i nie może się już bronić.

Ta riposta jeszcze bardziej ją rozjuszyła. Jej rywalka stała po drugiej stronie pokoju, blisko kuchni i widać było, że czuje się w tym wnętrzu swobodnie.

- I proszę nie zgrywać świętej - dodała Forsberg. - Widziałam wczoraj, jak całuje się pani z tym drugim mężczyzną.

Interesujące. Najwyraźniej zobaczyła ją z Grantem. To dało jej do myślenia. Postanowiła blefować.

- Danny Daniels wspominał, że jest pani spozregawcza.

- Mówił pani o mnie?

- O tak. On też tu wczoraj był, na pewno go pani widziała. Podobno wie pani, że zabrałam stąd książki i notatnik.

Forsberg nie odpowiedziała. Tym samym potwierdzając jej przypuszczenia.

Diane podeszła do biurka Alexa. Wróciła do mieszkania z konkretnego powodu, mającego związek z Dannym Danielsem, ale teraz los sprezentował jej kochankę Alexa we własnej osobie. Mieszkającą po sąsiedzku.

Forsberg wpatrywała się w nią nieufnie. Diane widziała, że ma nad nią przewagę.

- Bez obaw - powiedziała. - Nasze małżeństwo i tak było już skończone. I jak sama się pani domyśliła, ja też nie byłam najwierniejszą żoną na świecie.

- O tym przekonałam się dopiero wczoraj. Zwróciłam się do prezydenta Danielsa, bo uznałam, że tylko on jest w stanie mi pomóc. Myślałam, że pani też chciałaby wiedzieć, co się stało z Alexem.

- Wiem dokładnie, co się stało. Zabiłam go.

Taisley Forsberg była zszokowana. Diane tymczasem otworzyła

środkową szufladę w biurku Alexa. Jak zawsze leżał tam w gotowości jego pistolet. Alex należał do zwolenników drugiej poprawki, sympatyzował z Narodowym Stowarzyszeniem Strzeleckim i bronił prawa do posiadania broni. To jedna z niewielu kwestii, w których miał tak stanowcze i jednoznaczne stanowisko.

Złapała broń i wycelowała ją w rywalkę.

Forsberg zamarła.

- O Boże. Co pani robi?

Wzruszyła ramionami.

- Co? Stać panią na to, żeby uwieść męża innej kobiety, ale już nie na to, żeby spojrzeć jej w oczy? - Obeszła biurko, cały czas nie opuszczając broni. - Ile nocy spędziła pani w tym mieszkaniu? Na tej kanapie? Razem z nim. Tylko we dwoje. No ile?

- Proszę, niech mi pani nie robi krzywdy.

- Krzywdy? A pani niby co mi zrobiła? Pomyślała pani o mnie? Teraz chyba już trochę za późno na takie skrupuły.

Forsberg stała już pod ścianą, nie miała dokąd uciekać. Diane uwielbiała to poczucie władzy, jakie dawało jej trzymanie w ręku broni. O dziwo, cały strach malujący się na twarzy drugiej kobiety nie wzbudzał w niej ani krzty współczucia, tylko jeszcze bardziej potęgował jej wściekłość. To dobrze, będzie potrzebowała tego gniewu, żeby zrobić to, co jeszcze miała w planie. Nigdy nie cofała się w obliczu wyzwania.

Nigdy.

Więc i teraz się nie cofnie.

Pociągnęła za spust. Raz i drugi.

Obie kule trafiły w brzuch.

Forsberg osunęła się na podłogę, zalewając się krwią. Przez chwilę jeszcze rzęziła, próbując łapać powietrze.

Z ust pociekła jej strużka krwi. A potem znieruchomiła.

Diane, nie zwlekając, opuściła mieszkanie i po chwili była już na schodach. Za sobą słyszała dźwięk otwieranych drzwi. Strzały na pewno słychać było w całym domu. Ale zanim ktokolwiek ją zauważy, ona będzie już daleko stąd. Oczywiście w budynku są kamery, które

zarejestrują jej ucieczkę. Zostanie zidentyfikowana i w końcu ją znajdą.
Ale zajmie to co najmniej kilka godzin.

A tyle czasu w zupełności jej wystarczy, żeby dokończyć to, co zaczęła.

ROZDZIAŁ 76

GODZ. 7:50

DANNY SIEDZIAŁ Z PRZYMKNIĘTYMI oczami na fotelu obok szpitalnego łóżka Stephanie, gdzie spędził resztę nocy. Z domu Warrena Westona wyszedł bardziej zdezorientowany niż wściekły i prosto stamtąd przyjechał taksówką do szpitala. Pod drzwiami przywitał go inny agent Magellan Billet. Danny wszedł cicho do środka, żeby czuć przy swojej dziewczynie.

Kiedy otworzył oczy, Stephanie na niego patrzyła.

Zamrugnął, żeby się upewnić, czy to nie sen.

- Jak długo nie śpisz? - zapytał.

- Kilka minut. Nie chciałam cię budzić.

Podniósł się z krzesła i stanął przy łóżku, biorąc ją za rękę.

- Jak się czujesz?

- Przeżyję. Ale nie polecam tego nikomu. Taka rana postrzałowa strasznie boli.

- Zapamiętam to sobie.

Dobrze było znowu widzieć jej oczy. I uśmiech. Bardzo mu tego brakowało. Choć w kontaktach ze swoimi podwładnymi była twarda jak skała, on znał ją także od łagodniejszej strony. Tak samo jak ona jego.

- Co się dzieje?

- Sporo. Trafiliśmy na istne gniazdo szerszeni i okazały się wyjątkowo wredne.

Popatrzyła na niego pytająco.

- Od kiedy ty też bierzesz w tym udział?

- Z początku nie brałem. A potem już tak.

Opowiedział jej o wszystkim, na zakończenie dodając:

- No więc teraz jestem senatorem.

Posłała mu spojrzenie, które dobrze już znał.

- Wiedziałam, że nie usuniesz się po prostu w cień. Zastanawiałam się, jak postanowisz wrócić. I znalazłeś cholernie oryginalny sposób.

- Jeśli chodzi o nas, to niczego nie zmienia. Mój rozwód odbędzie się zgodnie z planem. Tak naprawdę nie obchodzi mnie, co ludzie mają na ten temat do powiedzenia. Kiedy zobaczyłem cię tutaj, wszystko się dla mnie zmieniło.

Uśmiechnęła się.

- Panie prezydencie, chyba naprawdę jest pan zakochany.

Danny pokiwał głową. - Tak, proszę pani, jestem.

Stephanie mocniej ścisnęła jego rękę.

- Martwię się o Cassiopeię. To zły znak, że nie mamy żadnych wieści.

- Malone jest już na miejscu. Jak tylko upora się z Breckinri-dge'ami, zacznij jej szukać.

- Powinna być bardziej uważać. Ale wszystko stało się tak szybko. - Ucichła na moment. - Tak mi przykro z powodu Alexa.

- Był dobrym człowiekiem i nie zasłużył sobie na taką śmierć.

- Co planujesz?

- Muszę powstrzymać Vance'a. Dzisiaj. Najlepiej jeszcze zanim Komisja Regulaminowa cokolwiek ogłosi. Im mniej ludzi o tym wie, tym lepiej. - Rozejrzał się po sali. - Jak tu się wzywa pielęgniarkę? Chyba powinni wiedzieć, że się obudziłaś.

Stephanie drugą ręką podniosła pilota przy łóżku.

- Trzeba też powiadomić innych - stwierdził.

Puścił jej rękę i wyszedł na korytarz.

- Daj znać Atlancie, że szefowa odzyskała przytomność - powiedział do agenta przy drzwiach. - Wygląda na to, że z tego wyjdzie.

Mężczyzna skinął głową, wyraźnie zadowolony.

- I zrób sobie przerwę. Zjedz śniadanie. Ja tu zostanę, dopóki nie wrócisz.

- Jest pan pewny?

- Zagrożenie minęło, tamci ludzie są już na drugim końcu kraju. Nic nam nie będzie.

Agent posłuchał jego rady i już za chwilę zniknął mu z oczu.

Danny nie widział na korytarzu żadnej pielęgniarki, więc zamknął drzwi i podszedł z powrotem do łóżka.

- Zaraz zadzwonię - powiedziała Stephanie. - Weź mnie jeszcze na chwilę za rękę.

DIANE WKROCZYŁA DO windy. W głowie cały czas słyszała słowa Danielsa. „Kobieta, która jest dla mnie bardzo ważna, leży w szpitalu. Walczy o życie dzięki twojemu współnikowi, kimkolwiek on jest. Dopadnę go. I ciebie też”. Człowiek, z którym rozmawiała w National Mail, też o tym mówił, ale wymienił nazwę szpitala. - Sibley Memoriał.

Oraz nazwisko.

Stephanie Nelle.

W rejestracji wystarczyło powiedzieć, że jest siostrą pacjentki, i bez problemu podano jej numer sali.

Podczas ucieczki z mieszkania Alexa na nikogo się nie natknęła. Na pewno ktoś już znalazł ciało Taisley Forsberg i zawiadomił policję.

Ale jeszcze miała czas.

Winda zatrzymała się na czwartym piętrze.

Zawsze miała wrażenie, że szpitalne windy poruszają się szybciej i ciszej niż wszystkie inne. Drzwi się otworzyły i znalazła się na korytarzu pełnym pielęgniarek i sanitariuszy. Szła przed siebie, kierując się tabliczkami na ścianach. W torebce czuła ciężar pistoletu Alexa.

„Kobieta, która jest dla mnie bardzo ważna”.

Daniels nie zasługuje na to, żeby mieć w życiu kogoś ważnego. Pojawił się znikąd i zniszczył wszystko, nad czym tak długo pracowała. I chociaż nie była w stanie nic poradzić na interwencję Rycerzy Złotego Kręgu, mogła przynajmniej wziąć odwet na senatorze Dannym Danielsie.

Tabliczka wskazywała, że sala Stephanie Nelle jest zaraz za rogiem. Diane skręciła w lewo, ale natychmiast się zatrzymała i cofnęła. Daniels

właśnie rozmawiał na korytarzu z jakimś człowiekiem. Świetnie. On też tu jest.

Jeszcze raz ostrożnie wyrzała za róg.

Ten drugi mężczyzna ruszył właśnie w jej stronę. Wycofała się, zauważyła otwarte drzwi do pustej sali i wślizgnęła się do środka. Przeczekała w ciemności, aż tamten ją minął i poszedł dalej. Odprowadziła go wzrokiem, aż znikł za rogiem.

Korytarz był pusty. Daniela też już tam nie było.

Ale wiedziała, gdzie go znajdzie.

DANNY STANAŁ PRZY łóżku.

- Twój człowiek zadzwoni do Atlanty i da znać, że czujesz się lepiej. Powiem też Cottonowi, kiedy tylko się odezwie. Wszyscy bardzo się martwiliśmy.

- Miło to słyszeć.

- Muszę ci coś jeszcze powiedzieć. Kocham cię.

Wydawała się zaskoczona jego wyznaniem. Nic dziwnego. Do tej pory nie umiał jej tego powiedzieć.

Ale teraz to się zmieniło.

- Czas, żebyśmy mówili ze sobą otwarcie - dodał. - Zawsze myślałem, że to raczej ja trafię do szpitala. A nie ty. Nie chcę nigdy więcej tego przeżywać.

Patrzyła na niego ciepło.

- Ja też cię kocham, Danny.

Nagle drzwi się otworzyły.

Danny odwrócił głowę, spodziewając się pielęgniarki albo lekarza. Ale zamiast kogoś z personelu ujrzał Diane Sherwood.

I nie podobało mu się jej spojrzenie.

Ani to, że przekręciła za sobą zamek w drzwiach.

- Kim pani jest? - zapytała Stephanie.

Diane wyciągnęła z torebki pistolet.

- Niedobrze - mruknął Danny.

ROZDZIAŁ 77

NOWY MEKSYK

COTTON OBEJRZAŁ SZARE skrzydła ultralekkiego samolotu, jego delikatne, kanciaste płetwy ogonowe i tylne stateczniki. Wszystko to było połączone cienkim szkieletem z metalowych rur, na których opierało się także pojedyncze siedzenie i układ kontrolny. Cała konstrukcja przypominała wyglądem gigantyczną, aluminiową ćmę. Za napęd służył chłodzony powietrzem silnik, niewiele mocniejszy niż w gokarcie, oraz jedno śmigło. Malone dobrze znał tego typu samoloty, nieraz latał podobną maszyną w niedzielne popołudnia nad Sundem. Można je było wypożyczać na lotnisku w Kopenhadze, więc postanowił, że skorzysta z okazji i nauczy się je obsługiwać. Ten samolot różnił się trochę od duńskiej wersji. Był nieco cięższy, bardziej przystosowany do celów poszukiwawczo-ratowniczych.

Zastępcy szeryfa hrabstwa Taos podwieźli go na trawiaste pole leżące tuż pod granicą Lasu Carsona, gdzie trzymano całą flotyllę tych latających krzesel ogrodowych. Powiedzieli mu, że to najszybszy i najłatwiejszy sposób na monitorowanie rozległych terenów wiejskich wielkiego hrabstwa, ponieważ takie samoloty mają dość daleki zasięg, mogą latać na niskim pułapie oraz potrafią startować i wylądować niemal wszędzie.

Zapiął pasy i uruchomił silnik. Zdjął nogę z hamulca i wyjechał maszyną na otwartą łąkę. Zwiększył obroty śmigła, zaczął nabierać prędkości i już po chwili oderwał się od ziemi.

Rick Stamm porównał wszystko, co wiedzieli na temat kamieni ze zdjęciami satelitarnymi Lasu Carsona. Ponieważ powierzchnia parku rozciągała się na terytorium czterech różnych hrabstw i wynosiła prawie

sześćset tysięcy hektarów, musieli jakoś zawęzić obszar poszukiwań. Pomógł im w tym Danny, który dowiedział się, że krypty należy szukać na ziemiach należących niegdyś do Angusa Adamsa. Na szczęście rejestr gruntów hrabstwa Taos został zdigitalizowany i udostępniony w sieci, dzięki czemu Stamm mógł dokładnie zlokalizować interesujące ich sześćset hektarów. Północną część Nowego Meksyku zamieszkiwali dawniej Indianie Anasazi, którzy zostawili po sobie liczne pozostałości zabudowań z suszonej cegły. Ostatecznie wszystko przejęli Europejczycy, którzy otrzymywali tytuły prawne do tej ziemi zarówno od Hiszpanii, jak i Meksyku. W 1908 roku utworzono na tych terenach las państwowy, któremu nadano nazwę na cześć Kita Carsona. Serce lasu stanowiły ziemie подарowane przez Angusa Adamsa.

Wewnątrz kasku Cotton miał podłączone do radia słuchawki z mikrofonem. Wcześniej zdał Stammowi relację z tego, co odkrył na krawędziach stron dziennika Adamsa. Co zaskakujące, ruiny kościoła przetrwały do dziś, natomiast z trzech pozostałych budynków zachowały się jedynie fundamenty, które były jednak widoczne na zdjęciu satelitarnym i rzeczywiście tworzyły trójkąt, jak kropki na Kamieniu Konia.

Obok czterech budowli płynęła rzeka, jeden z wielu dopływów niedalekiej Rio Grande, przecinających wzdłuż i wszerz powierzchnię całego lasu. Topografia terenu wskazywała na to, że kościół został zbudowany na wzniesieniu, dokładnie tak jak na ukrytym rysunku w dzienniku. Ludzie z Instytutu Smithsona ustalili nawet współrzędne GPS, które Malone wprowadził do kompasu w kokpicie.

Jeden z zastępców szeryfa poinformował go przez radio, że samochód Breckinridgeow zbliża się do tego samego celu. Najwyraźniej stary Breckinridge również znalazł rysunek w dzienniku albo już wcześniej wiedział, gdzie należy szukać. Cotton zapytał o stary kościół, lecz żaden z funkcjonariuszy nie wiedział zbyt wiele na jego temat. Jeden z pracujących w lesie strażników miał ponoć szeroką wiedzę na temat historii tego regionu i ludzie z biura szeryfa właśnie próbowali się z nim skontaktować.

Cotton wzniósł samolot na pułap półtora tysiąca metrów i podziwiał z góry surowy krajobraz. Ze wszystkich stron otaczały go ciemnobrązowe szczyty gór, zaś w dole ciągnęły się poprzecinane szczelinami płaskowyże, zielone doliny i niekończące się połacie ziemi porośniętej świerkami, jodłami i sosnami. Na horyzoncie pojawiły się pierwsze promienie słońca, rzucając ostre cienie na górskie szczyty. W porannym świetle pasmo górskie powoli zaczęło przybierać czerwonawy odcień, zgodnie ze swoją nazwą.

Sangre de Cristo.

Krew Chrystusa.

Cotton poczuł nagle silną więź z Angusem Adamsem, który mieszkał właśnie tu, wśród tego surowego, niezmaconego piękna. Poniżej rozciągał się krajobraz pozbawiony ludzi. W zasięgu wzroku nie było ani śladu cywilizacji. A w tamtych czasach ta okolica musiała być jeszcze bardziej odcięta od świata.

Drażek sterowy znajdował się między jego nogami, stopy trzymał na pedałach sterowniczych. Jednocześnie obsługiwał jedno i drugie, dzięki czemu samolot leciał równo i pewnie. Uwielbiał latać, zwłaszcza takimi maszynami, w których człowiek najbardziej mógł poczuć się jak ptak. Jedyne, co psuło nastrój, to wycie silnika.

- Mamy więcej informacji - odezwał się głos w słuchawce. - Kościół powstał w osiemnastym wieku, ale mocno ucierpiał podczas trzęsienia ziemi w latach dwudziestych. Od tego czasu jest częściowo zniszczony. Piesi wędrowcy używają go jako punktu odniesienia, ponieważ stoi na wzniesieniu. Jest dość trudno dostępny i nikt nie zwraca na niego większej uwagi. W całym Nowym Meksyku są setki podobnych budowli.

Ciągle nie usłyszał tego, co było mu najbardziej potrzebne.

-Jak się nazywa?

- Miał kilka nazw, nikt nie wie, która jest właściwa. My mówimy na niego Pasto al Norte.

Cotton znał te słowa z Kamienia Konia. Pasterz Północy.

To mu wystarczyło.

CASSIOPEIA STAŁA PRZED samochodem. Ręce miała ciągle związane, ale przynajmniej wyszła na świeże powietrze. Znajdowali się w zalesionych górach, wóz stał zaparkowany między drzewami, jakieś pięćdziesiąt metrów od głównej drogi. Proctor też wysiadł, żeby rozprostować nogi. Poza tym ewidentnie na coś czekał. Z kącika ust zwisał mu niedbale papieros. Wokół panowała cisza. Stali tak już prawie pół godziny. Na wschodzie niebo robiło się coraz jaśniejsze.

Usłyszała warkot silnika, przybierający na sile. Po chwili pomiędzy drzewami zabłyśły światła reflektorów.

A zaraz potem obok nich zatrzymał się drugi samochód.

Wysiadło z niego dwóch ludzi, starszy i młodszy. Proctor uściśnął rękę temu pierwszemu, który przedstawił mu swojego syna, Granta.

Domyśliła się kto to. Grant Breckinridge. Ten sam, który wynajął tamtych trzech i wysłał ich do Terry ego Morse'a.

- Czy to nasza agentka federalna? - zapytał starszy Breckinridge.

- Cassiopeia Vitt - powiedział Proctor.

Stary wymierzył w nią palec.

- Podejrzewam, że to dzięki niej straciliśmy furgonetkę pełną złota.

- Miejmy nadzieję - rzuciła złośliwie, chociaż wiedziała, że sporo ryzykuje. Zastanawiała się, jak długo to jeszcze potrwa. Na pewno zabiją ją, kiedy tylko przestanie im być potrzebna. A to może nastąpić już niebawem.

Proctor dopalił papierosa. Następnie razem z Grantem otworzyli bagażnik samochodu, którym oboje przyjechali z Arkansas.

- Dobrze tu wrócić - powiedział starzec, patrząc w coraz jaśniejsze niebo i głęboko wdychając czyste powietrze.

Bagażnik się zatrzasnął.

Proctor pojawił się z karabinem na ramieniu. Grant miał w rękach kilof i łopatę, założył też plecak.

- Chodźmy znaleźć ten kamień - zarządził Breckinridge.

Wiedziała, że nie ma dokąd uciekać. Musiała więc współpracować.

Ręce i nogi miała już mniej odrętwiałe, ale ramiona i skrępowane nadgarstki cały czas bolały. Stary wszedł pierwszy pomiędzy drzewa, za nim Grant, potem ona i na końcu Proctor.

W tym momencie ciszę zakłócił jakiś nowy dźwięk, wysoki i jednostajny.

Jakby wycie.

Na razie odległy. Ale z każdą chwilą coraz bliższy.

ROZDZIAŁ 78

DIANE PATRZYŁA NA dwie znajdujące się przed nią osoby. Kobieta, mniej więcej w jej wieku, leżała na szpitalnym łóżku, podłączona do przeróżnych rurek i kabli. Obok niej stał były prezydent Stanów Zjednoczonych i wpatrywał się w nią bardzo nieprzyjemnym wzrokiem.

-To dlatego twoje małżeństwo się rozpadło? - odezwała się do Danielsa. - I ty śmiałeś mnie krytykować? Oceniać mnie? Sam nie jesteś lepszy.

- Nigdy nie twierdziłem, że jestem.

Wymierzyła w niego broń. Kobieta w łóżku chwyciła go za ramię, jakby chciała tym czułym gestem zamanifestować, że jest przy nim. Diane nie miała w życiu tak dobrze. Przy niej nikogo już nie było.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś aż tak nienormalna - powiedział Daniels.

- Nie doszłoby do tego, gdybyś nie wtykał nosa w nie swoje sprawy. Ale ty nie mogłeś się powstrzymać. Jesteś cholernym hipokrytą. Zupełnie jak Alex. Obaj jesteście nie lepsi ode mnie. Jego kochankę też już poznałam.

- Gdzie?

- W mieszkaniu Alexa. Znalazłam ją tam. Sprzątała, jakby to był jej dom. Strzeliłam do niej. Dwa razy.

Z przyjemnością patrzyła na jego zszokowaną twarz.

- Zabiłaś ją?

Wzruszyła ramionami.

- Mam nadzieję.

DANNY Z NIEPOKOJEM SPOGLĄDAŁ na wycelowany w niego pistolet, ponieważ jego właścicielka była zdecydowanie niepoczytalna. Kto

wie, na co ją stać. Może do niego strzelić, tak samo jak do Taisley. Wielu ludzi płaciło najwyższą cenę za to wszystko, co się działo w ciągu ostatnich dni. Musiał się dowiedzieć, czy Taisley żyje. Ale czuł na prawej ręce znaczący uścisk Stephanie. Wiedział, co próbuje mu powiedzieć.

„Uważaj. Nie rób nic głupiego”.

Nie miał odwagi na nią spojrzeć.

Wbił tylko wzrok w wariatkę z bronią.

Diane mówiła dalej.

- Mój ojciec był wielkim człowiekiem. Mądrym i powszechnie szanowanym. Kierował jednym z najlepszych muzeów na świecie. Na łożu śmierci prosił mnie, żebym dokończyła jego dzieło.

- Poszukiwania krypty?

- Rycerze mówią tak, jakby to złoto należało do nich. To nieprawda. Byli zwykłymi złodziejami. Ten skarb należy do tego, kto go znajdzie.

- Przez ten skarb jeden człowiek już zginął. Stephanie trafiła do szpitala, też przez ten skarb. A teraz w mieszkaniu Alexa być może leży kolejna zabita kobieta. Nie wystarczy już tego przelewu krwi?

Nie mogła słuchać, jak prawi jej morały.

- Tu chodzi o ciebie i o mnie.

Daniels pokiwał głową.

- Rozumiem. Zamordowałaś Alexa.

- Skąd taki pomysł?

- Widziałem nagranie. Podejrzewam, że ty też.

Zastanawiała się, czy to prawda.

- Rycerze nawiązali z tobą kontakt?

- O tak. Rozmawiałem z samym komandorem Zakonu, który powiedział mi prawdę o tobie i Alexie. Obserwowali was oboje. A potem pokazali mi nagranie. Nie musiałaś go zabijać.

- Ty i Alex jesteście siebie warci - odparła podniesionym głosem. - Obaj tacy zadowoleni z siebie na waszych wysokich stołkach. Przyzwyczajeni, że wszyscy wokół podskakują, kiedy tylko się odzywacie. Alex był głupcem, tak jak ty. Żaden z was nigdy w życiu o nic nie walczył.

Chyba go to zabolalo.

- Dwa razy zostałem prezydentem.

- I co takiego osiągnąłeś? Co takiego zapamięta historia z dwóch kadencji Danny ego Danielsa w Białym Domu? Na ile kompromisów musiałeś pójść, żeby cokolwiek uzyskać? Ilu ludzi udobruchać?

- Dostatecznie dużo, żeby zrobić to, co trzeba.

Jego opanowanie doprowadzało ją do szału.

- I żeby znaleźć zabójczynię mojego przyjaciela.

DANNY NIE MIAŁ zamiaru ustępować ani o krok. Jeśli ta wariatka postanowi do niego strzelić, to trudno. Pamiętał jednak, co mówiła kilka minut temu Stephanie. Rana postrzałowa cholernie boli. Lepiej więc byłoby tego unikać.

- Diane, to już koniec. Nie pogarszaj sprawy.

- Wał się, Danny. A razem z tobą ci wszyscy przekłęci rycerze. Nienawidzę ich, tak samo jak mój ojciec.

- Więc czemu nosisz krzyż w kółku?

-To był pomysł mojego brata. Chciał, żebyśmy wszyscy czuli się częścią wielkiego ruchu. Oczywiście kobiety nigdy nie mogły być rycerzami. Byłyśmy na to za głupie. Zbyt delikatne i kruche, żeby się angażować w taką działalność. Założę się, że dzisiaj jest tak samo. Klub tylko dla chłopców. Ale to ja wytłumaczyłam Vancebwi, co musi zrobić.

Stephanie mocniej zacisnęła palce na jego rękę, a on wiedział, co ma na myśli. Diane gwałtownie traciła resztki zdrowego rozsądku.

- Co planujesz w kwestii Vance'a? - zapytała Diane.

- Zostanie powstrzymany. Jeszcze dziś rano.

- Chyba że wcześniej zginiesz.

Danny z trwogą spojrzął na pistolet. Ta kobieta już raz zabiła człowieka, może dwa razy. Dlaczego nie miałyby zrobić tego ponownie? Nigdy jej nie lubił. Zawsze wydawała się zimna i naburmuszona.

Ten jeden raz, kiedy go o coś poprosiła - żeby powołał Alexa do Sądu Najwyższego - odmówił. Ale nigdy nie przypuszczał, że może być aż tak

niezrównowazona, aż tak rozgoryczona i aż tak chorobliwie ambitna. Ale teraz pokazała, że jest gotowa na wszystko, żeby osiągnąć swój cel. Wypominała mu przesadną skłonność do kompromisu, ale jej własna wersja „nieustępliwości” sprowadzała się do mordowania przeciwników. Dla niego ta opcja nigdy nie wchodziła w grę.

- Nienawidzę cię - wycodziła. - Nienawidzę cię z całego serca. Ale Danny dostrzegł w jej oczach coś, co przeczyło jej własnym słowom.

- Nie, Diane, to nie mnie nienawidzisz.

Jej źrenice zapłonęły żywym ogniem.

- Nienawidzisz siebie.

ROZDZIAŁ 79

CASSIOPEIA PRZESZŁA RAZEM Z innymi przez most linowy rozwieszony nad wartką, ale płytką rzeką, szeroką na jakieś dwadzieścia metrów. Słońce wzeszło już na tyle, że oświetlało drugi brzeg, na którym widziała kamienną wieżę wznoszącą się ponad koronami drzew. Stała na wzgórzu, a pod nią i nieco na lewo znajdowały się ruiny jakichś budowli. Kiedy znów mieli pod nogami twardą ziemię, ruszyli pod górę. Okazało się, że wieża to pozostałości starego kościoła z suszonej cegły. Z oddali wciąż dochodziło dziwne wycie i Cassiopeia zastanawiała się, co może wydawać podobny dźwięk. Jej trzej porywacze nie zwracali jednak na to uwagi, a stary Breckinridge całkowicie skoncentrował się na ruinach. W oknach nie było szyb, drzwi dawno zniknęły, ale ściany wciąż stały. Ktoś widocznie niedawno zaczął odzyskiwać resztki drewnianego dachu, bo obok leżały deski poskładane w równe sterty.

- Pasto alNorte - powiedział Breckinridge.

Pasterz Północy, pomyślała.

- Ten kościół stoi tu od bardzo dawna - kontynuował starzec. - Ale kiedyś nazywał się inaczej. *La Capilla del Psalms*. Kaplica psalmów.

Cassiopeia stwierdziła, że kościół rzeczywiście znajduje się na północnym brzegu rzeki.

- Czy to ma związek z kamieniami?

- Wie pani o kamieniach? - zdziwił się Breckinridge.

- Widziałam Kamień Wiedźmy. Podobno są jeszcze cztery.

- Grant, bądź tak uprzejmy.

Najmłodszy z mężczyzn zdjęł plecak i wyjął z niego owinięty ręcznikiem kamień w kształcie serca, podobny do tego, który widziała w Arkansas. Stary przyjrzał się inskrypcjom, które znajdowały się po obu stronach.

- To Kamień Serca, kolejny z tych pięciu. Jest niezbędny do odnalezienia krypty. Bez niego można by błądzić po tych górach i kilkadziesiąt lat, bezowocnie szukając końca trasy.

To mówiąc, z całej siły cisnął kamień na ziemię, prosto na kawałek skały wystającej spod piasku.

Kamień rozpadł się na kawałki, które starzec następnie rozgniół obcasem na drobny żwir.

GRANT NIE WIERZYŁ własnym oczom. Cały czas miał nadzieję, że ojciec zmieni zdanie.

- Powiedziałeś, że bez tego kamienia nikt nie znajdzie krypty. Jak teraz zamierzasz tam trafić?

- Nie zamierzam. W każdym razie nie teraz. Ale zostawię ślady, po których inni będą w stanie ją odnaleźć.

- Wiesz, gdzie jest krypta?

Starzec kiwnął głową.

- Oczywiście. Jestem jej strażnikiem. I jak już mówiłem, synu, twoja chciwość to powód, dla którego nigdy nie zostaniesz jednym z nas. Naszym zadaniem jest pilnować tego złota. Nic więcej. Ono nie należy do nas.

Grant miał tego dość.

- Złoto należy do tego, kto pierwszy je znajdzie.

- Tu się właśnie mylisz - odparł jego ojciec. - Rycerze zawsze bronili i zawsze będą bronić swojego skarbu przed takimi ludźmi jak ty.

- Nie zamierzałeś mi w ogóle zapłacić.

- Zgadza się.

Teraz już rozumiał, dlaczego ojciec wziął go ze sobą. Nie wiedział, co robić. Nie miał broni. Byli na zupełnym odludziu z jeszcze jednym facetem, który miał karabin. Ta kobieta teoretycznie mogłaby mu pomóc, bo prawdopodobnie nie miała pojęcia, kim jest i co ma na koncie. Może zdoła to wykorzystać, żeby się stąd wydostać.

Jednego był pewny. Nie tylko życie tej kobiety wisiało na włosku.

CASSIOPEIA WIDZIAŁA, ŻE między ojcem i synem jest wyraźny konflikt. Dziwne wycie ucichło, jakby jego źródło przeniosło się w innym kierunku.

- Za mną - powiedział Breckinridge.

Weszli do starego kościoła. Wszędzie wały się pokruszone kamienie. Te ściany, które jeszcze stały, były z gołej cegły. Naprzeciwko wejścia wznosił się podest, gdzie kiedyś musiał znajdować się ołtarz. Ponieważ większość wschodniej ściany się zawaliła, do wnętrza wpadało słońce.

- Pod koniec dziewiętnastego wieku ten kościół i całe okoliczne ziemie należały do człowieka nazwiskiem Angus Adams - zaczął Breckinridge.

Wiedziała, że chodzi o przodka Cottona.

- Adams był przemyślny. Stworzył kryptę i opracował mapę złożoną z kilku kamieni. Służył Zakonowi z wielkim oddaniem. I właśnie tu, w tym budynku, ukrył Kamień Alfa.

- Skąd pan to wie? - zapytała. - Myślałam, że to tajemnica.

- Całe życie zgłębiałem ten temat, ale miałem też dostęp do informacji, których nie posiadał nikt inny. Instytut Smithsona interesował się tymi kamieniami od wielu, wielu lat. Przypuszczam, że chcieli zagarnąć złoto dla siebie. A Adams być może chciał, aby tak się stało. W przeciwnym razie po co oddawałby swój dziennik i klucz Josephowi Henry emu?

Cassiopeia nie miała pojęcia, o czym on mówi, ale jego syn chyba rozumiał.

- Udało mi się oczyścić archiwa Instytutu Smithsona - ciągnął starzec.

- Choć muszę przyznać, że mój drogi syn i jego dziewczyna robili co mogli, żeby przysporzyć mi problemów. A zatem widziała pani Kamień Wiedźmy Pamięta pani, co było na nim wyryte?

- Ten kościół to pierwszy symbol. Krzyż w prostokącie - stwierdziła.

- Zgadza się.

Potem była czwórka w sercu, za nią ósemka, a dalej litery N i P.

Przypominała sobie sekwencję różnych symboli odchodzącą od postaci w długiej szacie, która zaczynała się od prostokąta z krzyżem.



- Litery i cyfry odnoszą się do dziennika, który napisał Adams i zostawił w Instytucie Smithsona. Jeśli ma się dziennik, można odczytać Kamień Konia. Pokaż jej.

Grant wyciągnął telefon i wyświetlił na ekranie zdjęcie innego kamienia, z wyrytym wizerunkiem konia.



- Trzy kropki w lewym górnym rogu to te trzy zburzone budynki poniżej. Niech pani wyjrzy przez okno.

Cassiopeia zrobiła tak, jak powiedział. Z tej wysokości pomiędzy

drzewami widać było kamienną konstrukcję w samym środku trójkąta, który tworzyły trzy wiekowe budowle.

- To stare poidło dla koni - wyjaśnił Breckinridge. - Stąd rysunek konia na kamieniu. Kiedyś na poidle widniała liczba 1847, była wyryta również w tym kościele. Odnosi się do jego dawnej nazwy: kaplica psalmów. Chodzi zatem o psalm 18, werset 47. Wie pani, jak brzmi ten fragment?

Pokręciła głową.

- „Niech będzie wywyższony Bóg, mój Zbawca. Bóg, który zapewnia mi pomstę i poddaje mi narody”³. Całkiem stosowny cytat, prawda?

Cassiopeia nic nie odpowiedziała.

- Angus Adams zbudował to poidło - ciągnął Breckinridge. - I umieścił w jego konstrukcji Kamień Alfa. Kiedyś stała na nim jeszcze spiczasta czapka, budząca skojarzenia z postacią na Kamieniu Wiedźmy. Usunąłem ją, gdy w siedemdziesiątym drugim roku znalazłem Kamień Alfa. Następnie postanowiłem przenieść ten kamień tutaj, co zrobiłem pewnej nocy, w pojedynkę. W tamtych czasach te tereny były znacznie trudniej dostępne i rzadziej odwiedzane.

- Dlaczego po prostu pan go nie zniszczył? - zapytała. - Tak jak zniszczył pan przed chwilą tamten drugi?

- Ponieważ wtedy wydawało mi się, że może jeszcze okazać się potrzebny. Dzisiaj wiem, że nie miałem racji.

Breckinridge podszedł do narożnika kościoła i uklęknął na popękanej posadzce. Tworzyły ją prostokątne płyty różniące się rozmiarem, a z czarnych przerw pomiędzy nimi wyrastały trawa i chwasty. Starzec skinął na syna, który zaczął kruszyć kilofem szczeliny wokół jednej z płyt, aż udało się ją podważyć. Proctor w tym czasie jednym okiem obserwował ją, a drugim zerkał na zewnątrz. W końcu Grant schylił się i przewrócił kafel na drugą stronę, odsłaniając wyryte z tyłu rysunki.

Stary Breckinridge strzepnął suchą ziemię i przejechał palcem po krzywej linii przecinającej kamień na całej długości.

3 Cytat za Biblią Tysiąclecia.



- To rzeka, którą pokonaliśmy. A tu - pokazał krzyż tuż pod rzeką, obok czegoś, co wyglądało jak toster - jest nasz kościół. Strzałka wskazuje pierwszy znacznik na trasie. Przeprowadź się przez rzekę i znajdź kolejnych siedemnaście, a dotrzesz do krypty.

COTTON PRZELECIAŁ NAD niskim wzniesieniem. Omiatające go rześkie powietrze stanowiło świetny system chłodzący, który pomagał mu oczyścić głowę z niepotrzebnych myśli. Minął jeszcze kilka podobnych grzbietów skalnych. Teren co chwila wznosił się opadał, jak kolejka górską. Malone podążał za sygnałem z GPS-u i w końcu na szczycie kolejnego wzgórza dostrzegł ruiny.

Pod sobą, nieco na zachód, zobaczył dwa samochody zaparkowane pod drzewami w wąskiej dolinie. Dalej rzekę i most linowy. Skierował samolot w stronę kościoła stojącego na samej górze i po chwili ujrzął również trójkąt utworzony z trzech zawałonych budynków poniżej świątyni, a także małą konstrukcję pośrodku.

Postanowił przyjrzeć się z bliska i zszedł na pułap niecałych stu metrów.

CASSIOPEIA ZNÓW USŁYSZAŁA wycie i zdała sobie sprawę, że to musi być silnik jakiegoś małego samolotu. Miała nadzieję, że pilot to ktoś, kogo zna - i coś jej podpowiadało, że tak rzeczywiście jest.

Proctor również zwrócił uwagę na ten odgłos i wybiegł na zewnątrz, przeszukując wzrokiem poranne niebo. Dwaj pozostali mężczyźni ruszyli za nim, a syn Breckinridge'a dał jej znak, że również ma wyjść z kościoła.

Z południa nadlatywał ultralekki samolot, unoszący się ledwie sto metrów nad ziemią. Zbliżał się do kościoła.

- Załatw go - rozkazał Breckinridge.

Proctor zdjął z ramienia karabin i zajął dogodną pozycję.

Cassiopeia wiedziała, że pocisk z takiej broni może dokonać poważnych zniszczeń.

ROZDZIAŁ 80

DIANE NIE ZAMIERZAŁA tu stać i słuchać, jak Daniels poddaje ją psychoanalizie. Miała gdzieś jego zdanie.

- Zamknij się. To ciebie nienawidzę.

- Ja jej wierzę - mruknęła Stephanie Nelle.

- Naprawdę coś czujesz do tego kretyna? - zapytała kobietę leżącą w łóżku. - Przecież to niemożliwe. To pozer. Zakłamany oszust. On jest zerem. Co takiego w życiu osiągnął poza tym, że udało mu się wygrać wybory?

Ktoś nieśmiało zapukał do drzwi. Potem jeszcze raz.

- Zapytaj, czego chcą - powiedziała do Daniela.

- Goń się.

Odciągnęła kurek broni.

Charakterystyczne szczęknięcie dało jasno do zrozumienia, że nie spodobała jej się ta odpowiedź. Następnie zamiast w niego wycelowała pistolet w Stephanie Nelle. Daniels natychmiast zasłonił ją własnym ciałem.

- Mogę najpierw zabić ciebie, a potem ją. To żaden problem.

Znowu rozległo się pukanie, tym razem bardziej zdecydowane.

- O co chodzi? - zawołał Daniels.

- Proszę otworzyć drzwi - usłyszeli kobiecie głos. - Musimy obejrzeć panią Nelle.

- Wszystko z nią w porządku. Chcemy przez kilka chwil być sami.

- Nalegam, żeby otworzył pan te drzwi.

Diane popatrzyła wymownie na Daniela.

- A ja powtarzam, żeby nas pani zostawiła. Otworzę za moment.

- Mogę pójść po klucz - ostrzegła kobieta.

Diane pokręciła głową.

- Proszę tego nie robić-powiedział. -To zajmie jeszcze tylko chwilę.
Czas uciekał. Musiała to zakończyć.

STEPHANIE LEŻAŁA W ŁÓŻKU i obserwowała reakcję Danny ego na tę kryzysową sytuację. Diane Sherwood podjęła duże ryzyko, przychodząc tutaj, ale było po niej widać, że jest zdesperowana. W końcu zamordowała własnego męża i Bóg wie kogo jeszcze. Teraz groziła śmiercią jej i byłemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Ta kobieta już dawno przestała myśleć o konsekwencjach swoich decyzji.

Wcześniej ścisnęła Danny ego za rękę, ale wyrwał się, kiedy pistolet skierował się w jej stronę. Teraz stał bezpośrednio na linii strzału, jak żywa tarcza pomiędzy nią a kulą.

Nie dało się zaprzeczyć, że miał jaja.

W drugiej ręce natomiast cały czas trzymała pilota, który pozwalał pacjentom przykutym do łóżka wezwać pielęgniarkę albo wyłączyć światło na sali. Problem w tym, że na ślepo trudno wybrać właściwy przycisk. Jej ręka z pilotem leżała poza zasięgiem wzroku Diane Sherwood, więc Stephanie mogła naciskać wszystkie guziki po kolei, aż światło zgaśnie, ale bała się, że to za bardzo zaskoczyłoby Danny ego.

Przez co mógłby oberwać kulkę.

Była z siebie dumna, że potrafiła tak trzeźwo myśleć, choć dopiero co odzyskała przytomność.

Nagły przyptyw adrenaliny zrobił swoje.

DANNY NADAL STAŁ pomiędzy Diane i Stephanie.

- Dobrze, pozbyłem się ich - powiedział. - Co teraz?

Niestety od Diane dzielił go zbyt duży dystans. Zanimby jej dosięgnął, ona zdążyłaby nacisnąć spust. Gdyby odskoczył na bok, kula mogłaby trafić Stephanie. Dlatego stał nieruchomo, tak samo jak wtedy, gdy w pewien mroźny, zimowy dzień zobaczył między drzewami jelenia z porożem o dziewięciu odnogach.

Cierpliwość zazwyczaj zostaje nagrodzona.

DIANE KŁĘBIŁO SIĘ w głowie całe mnóstwo nieprzyjemnych myśli. Tak jak tamtego dnia, kiedy po raz ostatni stała przed Alexem albo gdy rozmawiała z rycerzem w parku National Mail. Teraz na jej drodze stał kolejny mężczyzna.

Dlaczego zawsze tak musi być?

Znowu ktoś zaczął pukać do drzwi.

- Proszę natychmiast otworzyć.

Tym razem odezwał się męski głos.

Następny mężczyzna próbuje jej przeszkadzać.

Dość tego.

Podniosła broń i strzeliła w sufit.

- Odejdź! - krzyknęła. - Natychmiast!

DANNY ZAMARŁ.

Przez sekundę chciał się na nią rzucić, ale Diane szybko wycelowała pistolet z powrotem w niego. Przynajmniej wszyscy na zewnątrz wiedzieli już, co tu się naprawdę dzieje. Nie był jednak pewny, czy to im cokolwiek da.

Poczuł na nadgarstku dłoń Stephanie, która dwa razy go ścisnęła.

Sygnal?

Co ona kombinowała?

STEPHANIE ZACISNĘŁA PALCE na pilocie. Gdyby udało się jej zgasić światło w pomieszczeniu, Danny miałby szansę wykorzystać ten moment i wyrwać pistolet z rąk Diane Sherwood. Problem polegał na tym, że nie miała jak przekazać mu tego planu. Miała nadzieję, że jeśli weźmie go nagle za rękę, on domyśli się, że planuje coś zrobić.

Diane Sherwood nadal była wściekła, jednak jej oczy wydawały się bardziej smutne niż gniewne. Sprawiała wrażenie bardzo zagubionej.

- Na kolana - powiedziała do Danny ego.

Nie poruszył się.

- Nie będę powtarzać.

Powiedziała to specjalnie ściszym głosem, jakby chciała go sprowokować, żeby się jej przeciwstawił.

- Posłuchaj jej - odezwała się Stephanie, puszczając jego rękę. Zerknął na nią, a ona samymi oczami dała znak, żeby spojrzeć na prawo. Zobaczył wjej dłoni pilota. Nie wiedział dokładnie, co zamierza, ale przynajmniej dała mu do zrozumienia, że zaraz coś się stanie. Wolno uklęknął.

Stephanie już chciała wyłączyć światło, gdy nagle zauważyła coś za plecami Diane Sherwood.

Zamek w drzwiach wolno się przekręcał.

Ktoś miał klucz i otwierał drzwi od zewnątrz.

DIANE WRESZCIE ZMUSIŁA Dannyego Danielsa, żeby klęknął. Podeszła bliżej i przyłożyła mu lufę do czoła. Wpatrywał się w nią, a w jego oczach nie było nawet cienia strachu. Sprowadziła go do parteru, a mimo to jego wzrok mówił, że nigdy się przed nią nie ugnie.

To wprawiło ją w jeszcze większą furję.

I dało odwagę, żeby pociągnąć za spust.

ROZDZIAŁ 81

COTTON PODLECIAŁ BLIŻEJ samotnych ruin. Kościół na szczycie wzniesienia górował nad hektarami pofałdowanej ziemi, która kiedyś należała do jego rodziny. Zarówno z tej budowli, jak i pozostałych trzech zostało więcej, niż się spodziewał, głównie części ścian podtrzymujące fragmenty glinianych dachów. Wokół nich stały na straży wielkie stare drzewa. Scena na pewno nie wyglądała tak sielankowo, jak przedstawiał to obraz na krawędziach stron, ale to bezsprzecznie było to samo miejsce. Podszedł bardzo nisko i nagle zobaczył, że z kościoła wychodzi czworo ludzi.

Trzech mężczyzn i kobieta.

Cassiopeia.

Dzięki Bogu.

Od razu jednak zwrócił uwagę, że trzyma ręce za plecami, jakby była związana. Jeden z mężczyzn zniknął wśród drzew, a pozostali trzymali się blisko niej. Zauważył, że jeden jest dużo starszy, a drugi młodszy.

Breckinridgeowie.

Musiał znaleźć miejsce do lądowania.

Stąd niewiele mógł zdziałać.

CASSIOPEIA OCENIŁA SYTUACJĘ i podjęła decyzję. Proctor szykował się do strzału, biorąc na cel ultralekki samolot, który szybko zbliżał się w ich stronę. Stary Breckinridge wyciągnął pistolet i trzymał ją na muszce, ale widziała, że co chwilę odruchowo zerka w niebo. Grant stał po jej prawej, nieuzbrojony, również obserwując zarówno Proctora, jak i samolot.

Proctor ustawił się za jednym z grubych drzew, zapewne zamierzał się

ujawnić dopiero, kiedy samolot będzie już za blisko, żeby odbić w bok. To nie był wojskowy myśliwiec. Maszyna miała bardzo niewielką zwrotność i poruszała się w żółtym tempie. Jeśli siedział w niej rzeczywiście Cotton, a wierzyła, że tak, musiała szybko coś zrobić.

- Niech pani nawet nie drgnie - powiedział starzec, mierząc do niej z broni.

Jasne. Możesz sobie pomarzyć.

Kiedy nisko lecący samolot znalazł się kilkaset metrów od nich, Proctor wyskoczył z kryjówki, uklęknął i uniósł karabin. W tym momencie Cassiopeia ruszyła do ataku i kopnęła starego Breckinridge'a prosto w klatkę piersiową. Zatoczył się i przechylił do przodu, a wtedy wytrąciła mu nogą pistolet z ręki. Nie czekając ani sekundy, obróciła się i wbiła jego synowi obcas w krocze. Grant zgiął się wpół.

Proctor nie patrzył w jej stronę. Miała kilka sekund.

Zaczął strzelać. Krótka lufa karabinu wypluła w niebo kilka pocisków.

COTTON ZOBACZYŁ CIEMNY kształt, który na chwilę zniknął mu z oczu. Nagle znów się pojawił. Wśród drzew.

Człowiek z karabinem.

Patrzył, jak Cassiopeia załatwiła dwóch mężczyzn stojących obok niej.

Strzelec tymczasem uklęknął i wycelował w niebo.

Rozległy się strzały. Obok niego świsnęły kule.

Szarpnął dźwąg sterowniczy i próbował wykonać szybki zwrot, ale w którymś momencie usłyszał trzask. Coś pękło.

CASSIOPEIA POBIEGŁA PRZED siebie i rzuciła się na Proctora, zwalając go z nóg. Strzały uciły.

Przekręcił się na bok, gotowy do skoku, ale była o krok przed nim. Wymierzyła mu soczystego kopniaka w szczękę, z powrotem przewracając go na ziemię. Nie mogła tu zostać ani chwili dłużej. Ze związanymi rękami nie miała szans uporać się z całą trójką.

Więc zaczęła uciekać

Nad głową usłyszała, że silnik ultralekkiego samolotu zaczął się niebezpiecznie krztusić.

COTTON SZARPAŁ DRAŻKIEM na wszystkie strony, ale nie przynosiło to żadnego efektu. Układ sterowniczy przestał reagować. Samolot przechylił się w dół i wszystko zaczęło się trząść.

Nagle jednak drążek znowu zaskoczył.

Przynajmniej jedna z kuł musiała dosięgnąć celu, bo silnik cały czas kaszłał. Malone całkiem go wyłączył i próbował szybować z użyciem samego steru i lotki. Wyglądało na to, że stracił poziomy statecznik, być może urwał się jego przewód. Unosił się na wietrze, starając się utrzymać jakąkolwiek kontrolę nad maszyną. Wciskanie prawego pedału steru nic nie dawało, ale przynajmniej lewy wydawał się sprawny, dzięki czemu Cotton zdołał dociągnąć samolot bliżej ziemi. Z nieomałym wysiłkiem zwalczył w sobie panikę, która zaczęła obezwładniać jego nogi i powoli ogarniać całe ciało.

Wierzchołki drzew zbliżały się coraz szybciej. Postanowił się na nie kierować, żeby złagodzić nieco upadek. Przy odrobinie szczęścia może uda mu się otrzeć o kilka drzew i w końcu na jednym całkiem się zatrzymać.

Jeśli nie, to po tym lądowaniu na pewno zostanie ślad.

GRANT PRZEMÓGŁ MDŁOŚCI i zawroty głowy, które zmieniły jego nogi w watę. Ta jędrza kopnęła go w krocze i bolało jak diabli. Ale zwalczył w sobie ból i zaczął podnosić się z ziemi. Proctor też właśnie wstał i rozglądał się za swoją bronią.

- Za nią! - wrzasnął jego ojciec, który ciągle leżał na ziemi i wyglądał na zamroczonego. - Zabij ją!

Proctor podniósł karabin i wbiegł między drzewa.

Grant nagle przypomniał sobie o pistolecie. Tym, który ta Vitt

wytrąciła z ręki jego ojcu.

Rozejrzał się i szybko znalazł broń na suchej ziemi. Miał Kamień Alfa i chociaż Kamień Serca został zniszczony, wiedział, że istnieją zdjęcia, które w ten czy inny sposób zdobędzie. Teraz znał przynajmniej punkt startowy. Znajdował się właśnie tutaj. Diane na pewno wymyśli, co dalej. Jest przecież inteligentna, no i zrobi dla niego wszystko. Fakt, włamał się do jej mieszkania i ukradł klucz, ale zawsze mógł powiedzieć, że to wina jego ojca. Co w zasadzie było prawdą. Przypomniał sobie coś, co niedawno powiedział mu starzec: „Nie jestem tobą. W przeciwieństwie do ciebie używam mózgu”.

Tym razem się przeliczysz, staruszkule - pomyślał.

Uniósł broń.

Jego ojciec zrozumiał od razu. Grant widział to w jego oczach.

Ale nie mieli sobie już nic do powiedzenia.

Dlatego po prostu strzelił mu w głowę.

ROZDZIAŁ 82

DANNY NIE ROZUMIAŁ, dlaczego Stephanie zwleka, szczególnie że znalazł się w wyjątkowo nieciekawym położeniu. Był na kolanach, a na czole czuł twardą lufę pistoletu.

Ale kiedy zerknął w stronę drzwi, poznał odpowiedź.

Ktoś otwierał zamek od zewnątrz.

Diane nic nie widziała, bo stała tyłem do wejścia. Danny natomiast patrzył, jak drzwi się wolno uchylają i pojawia się w nich znajoma twarz agenta Magellan Billet.

- Teraz nie jest już z ciebie taki waśniak, co? - odezwała się Diane. Mocniej przycisnęła broń, odchylając mu głowę do tyłu. Wiedział, że o wszystkim zadecydują ułamki sekund.

STEPHANIE DOSTRZEĞŁA W DRZWIACH swojego agenta i natychmiast podniosła rękę z pilotem, żeby dać mu znać, co zamierza zrobić. Diane Sherwood nie miała pojęcia, że ktoś do nich dołączył. Stać ją było na wszystko, a gdy przyłożyła Danny emu pistolet do głowy, sytuacja zrobiła się naprawdę groźna.

Spojrzała porozumiewawczo na agenta.

„Trzeba to zrobić z finezją. Nie na siłę”.

Mężczyzna skinął głową na znak, że wie, o co chodzi.

Element zaskoczenia powinien zadziałać na ich korzyść. Dlatego wcisnęła guzik.

DIANE NIE MOĞŁA uwierzyć, że wszystko potoczyło się po jej myśli. Miała Danny ego Danielsa w garści.

Czas go zabić.

A potem powinna zabić też tę kobietę?

Dlaczego nie?

W tym momencie na sali zgasło światło.

STEPHANIE USŁYSZAŁA STRZAŁ i szybko nacisnęła ponownie guzik na pilocie.

Z powrotem zrobiło się jasno.

Nie wiedziała, czego się spodziewać. Ostatnie, co widziała, to pistolet przy czole Danny ego. Ale to Diane Sherwood leżała na podłodze z krwawiącą raną w klatce piersiowej. Nad nią stał jej agent z bronią w ręku. Niebezpieczeństwo zażegnane.

Danny wyciągnął rękę, sprawdził puls i pokręcił głową.

- Ta kobieta miała w głowie różne demony.

Po czym wstał.

- Zabezpieczyć pomieszczenie - powiedziała do agenta Stephanie. - I wezwać policję.

Mężczyzna skinął głową i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Nie mogę powiedzieć, że jej współczuję - powiedział Danny. - Zabiła mojego przyjaciela i dostała to, na co zasłużyła.

Stephanie przyznała mu rację.

- Muszę sprawdzić, co z Taisley. Trzeba powiadomić policję. Może potrzebować pomocy.

- I ciągle masz jeszcze jeden problem - przypomniała mu. Znowu myślała, jak przystało na szefową agencji wywiadowczej.

Spojrzał na zegarek.

- Do dziewiątej zostało parę minut. Lucysem Vance'em też zdążę się zająć.

CASSIOPEIA PĘDZIŁA NA ślepo przez las. Zbiegła w dół i minęła kamienne poidło. Słyszała za sobą strzał, ale kula nie była przeznaczona

dla niej. Miała ograniczone pole manewru. Zdobyła bardzo niewielką przewagę nad trzema mężczyznami, których zostawiła pod kościołem. Wycie ultralekkiego samolotu ucichło i zastanawiała się, czy Proctor go zestrzelił. Niestety w tej chwili nie miała czasu, żeby się o to martwić.

Przed wszystkim musiała uciec.

Widziała most prowadzący z powrotem do samochodów, ale ze związanymi rękami i tak nic by nie zdziałała. Zresztą na samym moście byłaby stanowczo za bardzo odsłonięta, a Proctor miał przecież karabin.

Uznała, że najlepszym dla niej wyjściem jest rzeka.

Wcześniej stwierdziła, że woda wydaje się płytka, ale prąd był chyba dość silny, żeby odciągnąć ją z dala od Proctora i jego karabinu. Gdyby mocno pracowała nogami i trzymała się jak najbliżej brzegu, może byjakimś cudem nie utonęła. Na pewno było to niebezpieczne. Ale nie bardziej niż jej obecna sytuacja.

Dotarła nad brzeg i zobaczyła, że od wody dzieli ją jakieś dziesięć metrów kamienistego zbocza, upstrzonego głazami wielkości człowieka, gdzieniegdzie ułożonymi jeden na drugim. Wszędzie rosło gęste sitowie i niskie topole, które zapewniały dobrą osłonę, ale utrudniały zejście na dół.

Odwróciła się i ujrzała wyłaniającego się spomiędzy drzew Proctora.

On też ją zobaczył i od razu uniósł broń.

Nie miała wyboru.

Zeskoczyła i zaczęła się toczyć po zboczu. Za nią w ziemię wbiły się kule. Piach dostał się jej do oczu, nosa i ust, przez co zaniósła się kaszlem. Leciała bezwładnie, aż uderzyła w głaz. Spojrzała w górę. W głowie jej się kręciło, całe niebo wirowało przed oczami. Kilka metrów dalej, za skałami sterczącymi pionowo w górę i tworzącymi małe kaniony pośród skarłowaciałych krzewów, zaczynała się rzeka.

Proctor będzie tu lada chwila.

Zapierając się mocno obcasami, wstała z ziemi i rzuciła się w stronę najbliższej kryjówki. Wszystko wydawało się nienaturalnie wysuszone, jakby znalazła się na innej planecie. Splunęła, żeby pozbyć się ziemi z ust. Otaczało ją już teraz dostatecznie dużo głazów, więc Proctor będzie

musiał zejść na dół, żeby ją znaleźć. Chwiejnym krokiem ruszyła w kierunku rzeki.

Z góry padły strzały.

Kule odbijały się od głazów, skalne okruchy raniły jej policzki.

Zatrzymała się na chwilę. Twarz miała zlaną potem.

I wtedy to usłyszała. Niski, miarowy pomruk.

Podniosła głowę i zobaczyła, co to takiego.

Puma.

DANNY OPUŚCIŁ STEPHANIE akurat, kiedy na miejsce przyjechała policja i ludzie z FBI. Ci ostatni zjawili się, ponieważ sprawa dotyczyła senatora. Nie przeszkadzało mu, że ściągnęli na siebie tyle uwagi, właściwie nawet się z tego cieszył. Śmierć Diane była mu w tym momencie na rękę.

Powiadomił policję o strzelaninie w budynku Alexa, ale oni już o tym wiedzieli. Kilka minut później odebrał telefon i usłyszał, że Taisley Forsberg nie żyje.

Na tę wieść ścisnęło mu się serce.

Tak bardzo starał się jej w to nie mieszać. Nie udało się.

Chwilę mu zajęło, żeby wziąć się w garść, ale kilkadziesiąt lat pracy na eksponowanych stanowiskach nauczyło go, jak zachować panowanie nad sobą w każdej sytuacji.

Trzymaj się planu.

Zrób to, co trzeba.

Zebrań Komisji Regulaminowej Izby Reprezentantów zaplanowano na dziesiątą, miał więc czterdzieści pięć minut, żeby działać. Już dawno temu zrozumiał, że politycy są jak pingwiny wchodzące do oceanu. Całe stado podchodzi do samej krawędzi, ale wszystkie czekają, aż któryś zdecyduje się skoczyć jako pierwszy. Dopiero wtedy cała reszta idzie w jego ślady. Jeśli jeden się zawaha, wszystkie się zawahają i proces zacznie się od nowa. Vance doprowadził swoje stado do samej krawędzi i wskoczył. Teraz pozostali musieli zdecydować, czy pójść za nim. Czy

woda była czysta i pełna ryb? A może rekiny albo orki tylko czekały, żeby ich pożreć? Vance zapewniał ich, że przeprawa będzie bezpieczna.

Ale Danny miał zamiar to zmienić.

Znalazł cichy kąt i wyciągnął telefon. Szefowa kancelarii podała mu numer komórki Vance'a. Zdobyła go zaraz po jego wizycie w hotelu Willard.

Telefon zadzwonił raz. Potem drugi. A potem odebrał Vance.

- Kto mówi? - zapytał spiker Izby.

- Danny Daniels.

- Chyba nie powinienem się dziwić, że mnie znowu znalazłeś. Wydawało mi się, że nie mamy już o czym rozmawiać.

- Diane Sherwood nie żyje.

Zapadła cisza.

- Słucham dalej - powiedział w końcu Vance.

CASSIOPEIA STAŁA JAK sparalizowana.

Wielki kot ważył przynajmniej pięćdziesiąt kilo. Leżał na trzymetrowej skale, w cieniu drugiej. Biła z niego arogancka pewność siebie, a może raczej wyniosła obojętność. Długie silne łapy miał wyciągnięte jak nieszkodliwy domowy kocur. Cassiopeia starała się nie poruszać i oddychać jak najwolniej. Wiedziała, że dzikie koty polują głównie nocą i ta puma nie leżałaby tu, wśród huków strzałów i innych hałasów, gdyby miała pełny brzuch. Zapewne zajęła wygodną pozycję, czekając, aż jakiś smaczny kęs przyjdzie napić się wody z rzeki. Podobno uwagę drapieżnika przyciągał ruch potencjalnej ofiary.

A bezruch kazał zachować ostrożność.

Więc nigdy, przenigdy nie wolno uciekać.

Przełknęła resztki śliny, zbyt zdenerwowana, żeby choć drgnąć, osuwając się z bliskością drapieżnika. Słyszała bicie własnego serca. Za skałami, tam, skąd sama przybiegła, rozległ się jakiś szum. Proctor widocznie ześlizgnął się na dół i zmierzał w jej kierunku.

Puma zastrzygła uszami, jakby też wychwytiła ten dźwięk. Cassiopeia

zastanawiała się, czy teraz, kiedy zwierzę zrobiło się czujne, zapach jej własnego strachu dostatecznie wzbudzi jego zainteresowanie.

Czy też skoncentruje się na czymś innym?

Czymś, co za moment może być w jego zasięgu.

ROZDZIAŁ 83

GRANT SKIEROWAŁ SIĘ do miejsca, gdzie rozbił się samolot. Musiał zająć się pilotem. W tym czasie Proctor zabija kobietę, a następnie on sam zlikwiduje Proctora. Wszystkie ciała można po prostu wrzucić do rzeki, która zanieśie je daleko stąd, dzięki czemu nie da się już potem ustalić, gdzie zginęli. Z daleka widział, jak lekki samolot ociera się o wierzchołki drzew, szybując z wyłączonym silnikiem, a chwilę później usłyszał jego twarde lądowanie.

Znowu to on kontrolował sytuację. Dobrze, że wreszcie pozbył się ojca. Miał tyle elementów układanki, że razem z Diane na pewno zdołają poskładać wszystko w całość. Odzyskał też klucz ceremonialny, który zabrał zabitemu ojcu. Jak tylko będzie po wszystkim, wróci po Diane i przywiezie ją tutaj. Wspólnymi siłami odnajdą kryptę. Jedyne, co mogłoby im przeszkodzić, to inni członkowie Zakonu. Wiedział, że na pewno gdzieś tu są i wszystko obserwują.

Musi więc po prostu być ostrożny.

Gałęzie drzew tworzyły baldachim, przez który tylko gdzieniegdzie przebijały się snopy światła. Grant dostrzegł wrak samolotu zawieszony wysoko na rozłożystej sośnie. Niesamowite, ale pilotowi jakimś cudem udało się nie uderzyć w ziemię. Podszedł bliżej i zobaczył, że siedzenie jest puste, uprząż zwisa luźno razem ze słuchawkami, dobre sześć metrów w górze. Kask leżał na trawie.

Grant rozejrzał się naokoło.

Gdzie pilot?

COTTON ZDOŁAŁ ZMUSIĆ śmiertelnie ranną maszynę do lądowania, a korony drzew złagodziły upadek. Nie poszło tak gładko, jak planował,

i ostatecznie zawisł do góry nogami, ale ultralekki samolot udowodnił, że zasługuje na swoją nazwę i osiadł między gałęziami. Malone zrzucił kask, wyplątał się z uprzęży i zeskoczył na ziemię. Od razu wyciągnął swoją berettę.

Spodziewał się, że ktoś po niego przyjdzie, więc skrył się za jedną z sosen. Po chwili na miejscu jego awaryjnego lądowania zjawił się młody mężczyzna z krótko ostrzyżonymi włosami.

Ten sam, którego spotkał w sali skamielin.

Grant Breckinridge.

Właśnie jego miał nadzieję tu zobaczyć.

GRANT CZUŁ, ŻE ktoś go obserwuje. Wokół niego wznosiły się wysokie stare drzewa, jak ściany naturalnej katedry, zasłaniając słońce i rzucając na ziemię długie, głębokie cienie. Znowu czuł się podobnie jak miesiąc temu w Kentucky, kiedy siedł po znakach ukrytych w lesie w poszukiwaniu pomniejszej kryjówki ze złotem. Wydawało mu się wtedy, że śledzi go jeden ze strażników, ale ostatecznie nikt mu nie przeszkadzał, gdy na końcu szlaku wykopał z ziemi złote monety. W oddali rozległ się strzał.

To zapewne ta kobieta zginęła z ręki Proctora.

Trzeba to wreszcie zakończyć.

COTTON OBSERWOWAŁ SWOJĄ ofiarę, człowieka, który bez żadnych skrpułów strzelał do Stephanie Nelle.

Niepokoił się o Cassiopeję, zwłaszcza że przed chwilą słyszał strzał. To nie wróżyło niczego dobrego.

Ale nie opuścił swojej kryjówki. Przesuwał się tak, żeby gruby pień był cały czas pomiędzy nim a Breckinridge'em. Dopiero kiedy przeciwnik go minął, wyszedł zza drzewa, podniósł broń i odciągnął kurek. Ten dźwięk mówił wszystko.

Breckinridge stanął w miejscu, ale się nie odwrócił.

- Wiedziałem, że gdzieś tu jesteś.

Na Cottonie nie zrobiło to wrażenia.

- Rzuć broń.

- Poznaję ten głos. Jesteś tym gościem z muzeum.

- Jak na kogoś, kto ma taki dobry słuch, kiepsko wykonujesz polecenia.

- Przysłali cię federalni?

- A kto inny?

- Myślałem, że może jesteś od Rycerzy Złotego Kręgu.

- O nich teraz najmniej musisz się martwić.

Trzymał broń gotową do strzału. Temu idiotcie naprawdę się wydawało, że może go pokonać. Najwyraźniej szczęście na tyle mu sprzyjało, i od tak dawna, że zaczął się uważać za niezwycięzonego. Zabił Martina Thomasa, znalazł Kamień Drogi, postrzelił Stephanie, ukradł Kamień Serca. Całkiem efektowna passa, choć trzeba przyznać, że los rozdał mu wyjątkowo dobre karty.

Dał mu jeszcze jedną szansę.

- Rzuć... broń... - wycedził przez zęby.

GRANT TRZYMAŁ PALEC na spuście. Kiedy się odwróci, będzie miał tylko ułamek sekundy. Liczył na to, że ten człowiek, choć uzbrojony, nie odważy się do niego strzelić. W ferworze walki, w reakcji na bezpośrednie zagrożenie czy żeby ratować własną skórę, każdy jest w stanie pociągnąć za spust. Ale jeśli będzie działać rozważnie, da pewnie radę posłać facetowi kulkę, zanim ten zorientuje się, co się dzieje. Potem przyjdzie kolej na Proctora. Zresztą jeśli będzie się ociągał z powrotem, może Proctor ułatwi mu życie i sam przyjdzie go tu szukać.

Człowiek za jego plecami po raz drugi kazał mu rzucić broń.

Grant zignorował polecenie.

I zaczął się wolno odwracać.

COTTON WIDZIAŁ, ŻE jego przeciwnik go testuje. Takie cwaniaki jak on często mają ten sam problem - nie wiedzą, kiedy opuścić.

Breckinridge wolno się obrócił, jakby chciał rzucić pistolet na ziemię i podnieść ręce. Ale w prawej dłoni wciąż trzymał broń.

Fortel. Bardzo kiepski.

Malone postanowił, że pozwoli mu robić swoje. Miał nadzieję, że się nie rozczaruje.

I nie rozczarował się.

Breckinridge nagle podniósł prawą rękę, ale nie zdążył nawet wycelować.

Malone oddał jeden strzał.

Kula wbiła się w czaszkę i przeszła na wylot, ochlapując drzewa krwią i kawałkami mózgu.

Śmierć nastąpiła natychmiast i ciało Breckinridge'a bezwładnie zważyło się na ziemię.

Opuścił broń.

- To za Stephanie.

Zaraz jednak przypomniał sobie o Cassiopei.

I pobiegł w stronę ruin.

CASSIOPEIA CIĄGLE STAŁA jak wryta na kamienistej ziemi. Puma nie spuszczała z niej oczu, nawet gdy kroki Proctora posuwającego się przez skalny labirynt stały się głośniejsze. Ale wielki kot też je słyszał. Widziała, jak jego mięśnie na przemian napinają się i z powrotem rozluźniają. Aż wreszcie wolno zaczął się podnosić.

Cassiopeia nawet nie drgnęła. Prawie przestała oddychać.

- Dobry kotek... - wyszeptała, przełykając ślinę i starając się opanować drżenie głosu.

Utknęła pomiędzy młotem a kowadłem i nie miała możliwości ucieczki.

Mogła tylko patrzeć

Proctor wybiegł zza skały i zobaczył ją. Z bronią w gotowości wyglądał jak myśliwy na safari.

- Oszczędziła mi pani kłopotu. Nie będę musiał targać pani ciała do

rzeki.

Puma wydała z siebie przeciągły ryk.

Proctor spojrzął na zwierzę i strzelił w skałę nad jego głową. Kot zeskoczył na ziemię i uciekł.

- Szkoda by było zabijać takie piękne stworzenie - powiedział. - Niestety to samo nie odnosi się do pani.

COTTON ZNALAZŁ CIAŁO Franka Breckinridge'a. Starzec został zastrzelony.

To oznaczało, że zostali tylko Cassiopeia i ten trzeci facet.

Ale gdzie oni byli?

Nagle powietrze przeszył huk wystrzału.

Dochodził od strony rzeki, która płynęła niedaleko stąd.

Ruszył w tamtą stronę. Biegł po nierównej żwirowej ścieżce usianej martwymi konarami. Po niebie krążyły sępy, wykorzystując komin termiczny, który utworzył się nad nagrzaną ziemią.

Miał nadzieję, że nie jest to zły omen.

CASSIOPEIA ZAWSZE się zastanawiała, kiedy nadejdzie koniec. Wiele razy igrała ze śmiercią, podejmując ryzyko, którego większość ludzi za wszelką cenę by unikała. Teraz znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Była uwięziona na brzegu rzeki, wśród nieprzyjaznych skał, naprzeciwko człowieka z karabinem.

- Rozumie pani - odezwał się Proctor - że to nic osobistego.

- Dla mnie tak.

Zaśmiał się pod nosem.

- Słuszna uwaga.

- Przestałam być użyteczna?

- Obawiam się, że tak. Pilot tamtego samolotu zapewne już nie żyje, a pani zaraz do niego dołączy. Potem my, rycerze, znów skryjemy się w cieniu.

Jeśli tym pilotem był Cotton, musiała do ostatniej chwili wierzyć, że nic mu nie jest. I dlaczego nie miałyby to być prawda? Przecież to Harold Earl „Cotton” Malone. Najwspanialszy człowiek, jakiego w życiu spotkała.

Dlatego zdecydowała się na radykalny krok.

I zrobiła coś, co nie zdarzyło się jej, odkąd była dzieckiem.

COTTON USŁYSZAŁ KRZYK.

Głośny. Przeszywający.

Gdzieś w pobliżu.

Nad rzeką.

Cassiopeia była jedyną kobietą w promieniu wielu kilometrów. To musiała być ona.

Puścił się biegiem.

CASSIOPEIA KONTYNUOWAŁA SWOJE małe przedstawienie. Grała na zwłokę, udając przerażoną.

- Spodziewałem się po pani nieco więcej odwagi - skomentował Proctor.

- Nikt nie chce umierać.

- Nie, to prawda. Ale pani czas nadszedł.

- Na pewno nie mogę pana jakoś przekonać? W tamtym barze wspominał pan, że kobiety oferują różne rzeczy, kiedy są przyparte do muru.

Pokręcił głową.

- Nie tym razem.

Wycelował w nią z karabinu.

Żałowała paru decyzji, ale znowu nie aż tak wielu. Zawsze żyła po swojemu, na własnych warunkach, i naprawdę nie mogła się skarżyć. Zdarzały się jej wzloty i upadki, pomyłki, nieszczęśliwe wypadki i wielkie sukcesy. Najbardziej żałowała, że więcej nie zobaczy Cottona.

Nie będzie im dane dokończyć tego, co wspólnie rozpoczęli.

Ta myśl była naprawdę bolesna.

Ale jej walka dobiegła końca. Mogłaby wskoczyć do rzeki, ale Proctor tak czy inaczej by ją zastrzelił. Ze związanymi rękami nigdzie by nie uciekła i byłaby równie łatwym celem co na brzegu. Widocznie w okolicy nie było nikogo, kto mógłby usłyszeć jej krzyk. Warto było podjąć tę próbę, nawet jeśli nic jej z tego nie przyszło. Dlatego w ostatnich sekundach swojego życia przestała udawać, że się boi, stanęła wyprostowana i wbiła wzrok prosto w lufę karabinu.

- No dalej. Niech pan pociągnie za ten cholerny spust.

- Zabijanie nigdy nie jest łatwe - powiedział Proctor. - Ale czasem jest konieczne.

Zamknęła oczy.

Rozległ się strzał.

Ale jej ciała nie przeszyła kula.

Za to Proctor zatoczył się, jakby coś uderzyło go w plecy. Za chwilę padł kolejny strzał i głowa mężczyzny rozpadła się na kawałki. Jego ciało lekko się jeszcze zakołysało, po czym przewróciło się na kamienistą ziemię.

Cassiopeia pobiegła przed siebie, minęła skały zasłaniające jej widok i ujrzała Cottona stojącego na skarpie. Poczowała niewypowiedzianą ulgę.

Boże, jak ona kochała tego faceta.

- Wszystko dobrze? - zapytał.

- Teraz już tak.

Wdrapała się na górę i z całych sił go pocałowała.

- Myślałam, że to już koniec.

- Mowy nie ma.

To jej się podobało.

- Miałam nadzieję, że usłyszysz ten krzyk.

- Całe szczęście, że przybyłem ci z odsieczą.

O tak. Ostatnio częściej bywało na odwrot.

- Naj wyższy czas, żebyś zaczął spłacać dług wdzięczności.

- Masz absolutną rację.

Wyciągnął scyzoryk i przeciął jej więzy. Ręce miała strasznie obolałe, odrętwiałe palce nie chciały się zginać. Uniosła je wysoko nad głowę.

- Co z Breckinridge'ami? - zapytała.

- Obaj nie żyją.

- Ty ich załatwiłeś?

- Tylko tego ważniejszego.

- Więc co, sprawa zamknięta?

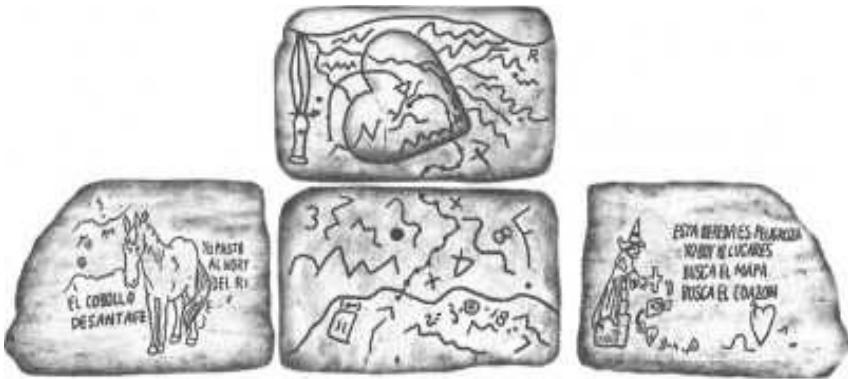
- Jeszcze nie całkiem - odparł.

Wiedziała, co ma na myśli.

ROZDZIAŁ 84

LAS PAŃSTWOWY IM. CARSONA
NIEDZIELA, 30 MAJA

COTTON STANĄŁ PRZY starym kamiennym poidle dla koni, zbudowanym -jak już się dowiedział - przez Angusa Adamsa. Od tamtej masakry minęły dwa dni. Wczoraj komunikowali się przez Internet z Zamkiem, którego eksperci połączyli wszystkie pięć kamieni w jedną cyfrową mozaikę - razem z Kamieniem Alfa odsłoniętym w kościele przez Franka Breckinridge'a.



Obrazy były w tej samej skali, żeby wszystko wyglądało tak, jakby faktyczne kamienie zostały ułożone obok siebie. Kiedy zestawiono ze sobą Kamień Alfa i Kamień Drogi, z umieszczonym w środku Kamieniem Serca, linia z osiemnastoma znacznikami utworzyła wyraźny szlak prowadzący do samego środka serca.

Czyli do krypty.

Rozszyfrowanie kamieni stanowiło niemałe wyzwanie, bez wątpienia zgodnie z intencjami Angusa Adamsa. Słowa specjalnie napisane z błędami. Niejasne sformułowania. Ukryte znaczenia. Zniekształcone, niegramatyczne zdania po hiszpańsku. Brak wyraźnej kolejności.

Wszystkie informacje należało odczytywać w połączeniu z całą resztą i w ten sposób, kawałek po kawału, zbliżyć się do końcowej odpowiedzi.

I to podejście się sprawdziło.

Papierowe mapy albo drewniane drogowskazy mogą przepaść wskutek zużycia się materiału, złych warunków atmosferycznych czy wandalizmu. Ale kamienie przetrwały w niezmiennym kształcie.

Z pomocą Muzeum Historii Naturalnej i Historii Amerykańskiej Instytutu Smithsona przygotowano zdjęcia satelitarne terenów rozciągających się na północ od kościoła i rzeki, tak jak wskazywał Kamień Alfa. O dziwo, okazało się, że zawijasy na kamieniu wiernie odzwierciedlają kształt i położenie rzeczywistych kanionów. Linia z osiemnastoma znacznikami prowadziła w góry Sangre de Cristo. Trudno było ustalić dokładne odległości, ale kropki na trasie kończącej się w centralnym punkcie Kamienia Serca wydawały się rozmieszczone w równych odstępach, co zostało uznane za kolejną wskazówkę. W czasach Adamsa powszechną jednostką miary była tzw. varna, wynosząca niecały metr. Porównując kamienie ze zdjęciami satelitarnymi, można więc było założyć, że te punkty charakterystyczne powinny znajdować się na szlaku w mniej więcej półkilometrowych odstępach. Prawdopodobnie Adams faktycznie zostawił na trasie osiemnaście wyraźnych znaczników, ale Cotton nie spodziewał się, żeby wszystkie zachowały się do naszych czasów. A nawet jeśli nadal są na swoim miejscu, to z pewnością trudno byłoby je odnaleźć. Całe te poszukiwania od samego początku stanowiły duże wyzwanie, więc dlatego na końcowym etapie miałyby nagle zrobić się łatwo?

Ostatecznie zidentyfikowano na mapie trzy możliwe lokalizacje i wprowadzono ich współrzędne do nawigacji GPS.

Danny Daniels i Warren Weston przyjechali na miejsce wczoraj. Przewodniczący Sądu Najwyższego z ulgą przyjął wieść o śmierci

Breckinridge ow, a także Jima Proctora, który od dawna był uważany za czarną owcę Zakonu. Zarówno Weston, jak i Daniels chcieli osobiście wziąć udział w tej wyprawie.

Przy poidle czekały cztery konie.

- Nie jeździłem od bardzo dawna - powiedział były prezydent. - Ale jeszcze nie zapomniałem, jak to się robi.

-Ja nigdy nie siedziałem na koniu - przyznał Weston.

- W takim razie to będzie niezły widok - stwierdził Daniels ze śmiechem.

- Ciebie to pewnie śmieszy, co?

- Właściwie tak. Nawet bardzo.

Daniels zrelacjonował im przebieg swojej konfrontacji z Vanceem. Kiedy zadzwonił do spikera Izby, zaczął od śmierci Diane, a potem po kolei opowiedział mu wszystko, co wie. Na koniec dał mu wybór: albo Vance wycofa swoje zmiany regulaminowe i nigdy więcej nie będzie wracał do tego tematu, albo młodszy senator z Tennessee, a dawniej prezydent Stanów Zjednoczonych, zwoła konferencję prasową, na której wyłoży wszystko raz jeszcze, tym razem publicznie, i wtedy się okaże, ilu członków Komisji Regulaminowej nadal popiera propozycje spikera. Lojalność to jedno, ale samobójstwo to coś zupełnie innego. Nic tak nie przekreśla rewolucji jak skandal, zwłaszcza kiedy w grę wchodzi spisek, kradzież i kilka zabójstw.

Nic dziwnego, że Vance postanowił się wycofać.

Cotton przykucnął, naszkicował palcem na ziemi trasę i wytłumaczył, czego mają wypatrywać.

- Miejsmy oczy otwarte - powiedział. - To, czego szukamy, znajduje się na widoku, ale nie zwraca na siebie uwagi.

Dosiedli koni i ruszyli w stronę pierwszych współrzędnych. Przekroczyli rzekę w płytkim miejscu, kawałek od mostu linowego. Cotton dowiedział się, że po domu Adamsa nie zostało ani śladu. Strażnicy leśni nie byli nawet pewni, gdzie swego czasu mieściło się jego ran- czo. O samym Adamsie też zachowało się niewiele informacji. Wyglądało na to, że trzymał się na uboczu, co raczej nikogo nie dziwiło.

Był malarzem, który został ilustratorem, potem szpiegiem, a w końcu Rycerzem Złotego Kręgu.

Całkiem interesująca ścieżka kariery.

Słońce zawieszono wysoko na bezchmurnym niebie paliło gołą rdzawobrazową ziemię, horyzont falował jak pustynny miraż. Wszyscy z przyjemnością wdychali ciepły zapach suchej gleby. Podążając za GPS-em, jechali niemal godzinę. W którymś momencie po ziemi przemknął czarny cień w kształcie półksiężyca. Po kilku sekundach powrócił, jak wahadło. Cotton spojrzął w górę i zobaczył jastrzębia z szerokim ogonem, szybującego po ciepłych prądach powietrza. Po drodze minęli też kilka słusznej wielkości jeleni, które umykały na ich widok.

Pierwsze miejsce okazało się chybionym strzałem. Skalne ściany były zbyt wysokie i strome.

Druha lokalizacja również nie spełniła oczekiwań.

Ale trzecia wydała się Cottonowi obiecująca.

Miejsce leżało najdalej od kamiennego poidła, a od czasów Adamsa ta okolica musiała się bardzo zmienić. Teren nawiedzały wstrząsy i gwałtowne powodzie. Ziemia ciągle pracowała, ale były też pewne stałe elementy krajobrazu, i z pewnością tym właśnie kierował się Adams.

Przed nimi wznosiło się niezbyt strome wzgórze koloru rdzy, wysokie na ponad sto metrów.

Skarpy ze skały łupkowej już dawno zostały do cna ogołoczone przez słońce, wiatr i zimowe deszcze. Droga pod górę była upstrzona dużymi głazami, które sterczały z ziemi jak pomniki. Rzadkie kępy krzewów i karłowatych dębów z trudem utrzymywały się przy życiu w wysuszonej glebie.

- Widzicie? - zapytał pozostałych.

Wszyscy zaprzeczyli. Ale on zaczynał w tym nabierać wprawy. Może to kwestia genów.

-Jakieś piętnaście metrów nad nami, ten okrągły kamień.

Wszystkie kamienie były wygładzone przez wiatr, ale jeden szczególnie zwrócił jego uwagę. Popędził konia w kierunku skupiska drzew, a reszta pojechała za nim. Teraz, patrząc pod innym kątem, widzieli drugą

stronę głazu, również zaokrągloną. W większości był zakopany w ziemi, ale wystawało go dostatecznie dużo, żeby dało się rozpoznać kształt.

Kształt serca.

- „Szukaj serca”. Taka wskazówka widnieje na Kamieniu Wiedźmy - powiedział Cotton.

- Myślisz, że to tutaj? - zapytał Weston.

Malone zeskoczył z konia.

- Zaraz się przekonamy.

CASSIOPEIA CZUŁA SIĘ o niebo lepiej - była najedzona, wyspana i znów miała u swojego boku Cottona. Związki jego rodziny ze zburzonym kościołem i kamiennym poidłem wydały się jej fascynujące. On również musiał być tym wszystkim niezwykle zaintrygowany, bo już dawno nie widziała go tak podekscytowanego. Podobało się jej to, że historia jego rodziny jest dla niego naprawdę ważna.

Cotton odwrócił się do sędziego Westona.

- Jak pan myśli, czy to może być zabójczy monument?

- Co proszę? - zapytała.

- Kamień Wiedźmy ostrzegał, że ścieżka jest niebezpieczna. A dziadek opowiadał mi o zabójczych monumentach.

- Czy pański dziadek należał do Zakonu? - spytał Weston.

Cotton pokręcił głową.

- Właściwie nie mam pojęcia. Ale na pewno bardzo dużo o nim wiedział.

Otworzył sakwy przy siodle i wyjął z nich dwie laski dynamitu oraz składaną łopatę. Straż leśna zapewniła ich, że ten teren jest zamknięty, więc nikt nie będzie im przeszkadzał. Fakt, że mieli ze sobą byłego prezydenta oraz przewodniczącego Sądu Najwyższego, na pewno pomógł uniknąć niepotrzebnych pytań, ale wszelkie wątpliwości do reszty rozwiązał telefon od ministra spraw wewnętrznych. Stephanie, wciąż leżąc w szpitalnym łóżku, złożyła prezydentowi Foxowi szczegółowy raport na temat wydarzeń ostatnich dni, co za-

gwarantowało im natychmiastową współpracę ze strony najwyższych władz państwowych. Zwłaszcza gdy nowy prezydent dowiedział się, co planował spiker Izby Reprezentantów.

Weston i Daniels zsiadli z koni.

- Serce było dla Hiszpanów symbolem złota - powiedział Cotton. - Ale złamane serce oznacza całkiem co innego. Spójrzcie na ten kamień. Jest pęknięty w trzech miejscach.

- Może to po prostu działanie czasu - zasugerował Daniels.

- Może tak. Ale równie dobrze może to być ukryta wiadomość. Coś w stylu: „twoje serce zostanie złamane, jeśli zlekceważysz to ostrzeżenie”. Pioruny i zygzaki zawsze symbolizowały śmiertelne pułapki. A na kamieniach Serca, Drogi i Alfa jest ich pełno. Odciągnijcie stąd konie, a my z Cassiopeią założymy ładunek.

Wspięli się razem na górę, wzbijając butami kłęby pyłu. Z bliska głaz w kształcie serca okazał się jeszcze bardziej imponujący. Wystawał ponad dwa metry nad ziemię i musiał ważyć dobrych kilka ton.

- Ten kamień to dość oczywisty znak, jeśli ktoś wie, czego szuka - powiedział Cotton. - Adams widocznie zakładał, że ten, kto zajdzie tak daleko, będzie posiadał wszystkie niezbędne informacje. Dlatego można bezpiecznie przyjąć, że na wszelki wypadek zastawił tu też pułapkę.

Wykopał mały dołek przy samej podstawie głazu, mniej więcej w połowie jego długości, i wcisnął w niego dwie laski dynamitu.

- I ten ktoś niekoniecznie miałby przy sobie materiały wybuchowe - powiedział, podziwiając swoje dzieło. - Ten kamień stoi pod dość dziwnym kątem względem zbocza.

Zrozumiała, co ma na myśli.

- Gdyby się obluzował, zjechałby w dół.

- I o to chodziło - odparł z uśmiechem Cotton. - Stąd właśnie „zabójczy monument”.

Roziągnął lont mniej więcej na pół metra i wyciągnął zapalniczkę.

- Gotowa do biegu?

DANNY OBSERWOWAŁ COTTONA i Cassiopeię z odległości pięćdziesięciu metrów.

- To zabójczy monument - mruknął Weston.

- Powinniśmy mu powiedzieć?

Weston również patrzył na zbocze wzgórza.

- Miałeś rację co do niego. On dobrze wie, co robi.

Danny niezmiernie się cieszył, że może w tym uczestniczyć. Stephanie odzyskiwała siły i lekarze uważali, że wyjdzie z tego. Sama należała, żeby pojechał na tę wyprawę, i czekała na relację w formie nagrania wideo, jeśli tylko cokolwiek uda się im znaleźć. Dziennikarze oblegali jego biuro, domagając się komentarza w sprawie Diane Sherwood, ale Danny na razie zachowywał całkowite milczenie. Ciało Martina Thomasa zostało zwrócone jego rodzinie; według oficjalnego wytłumaczenia padł ofiarą przestępstwa, a jego zwłoki znaleziono w tunelu dopiero po kilku dniach. Krewnych zapewniano, że cały czas trwa dochodzenie.

Danny patrzył, jak Cotton schyla się i zapala lont, po czym oboje z Cassiopeią zbiegają na dół. Dołączyli do nich w chwili, gdy nastąpiła eksplozja. W górę wystrzeliła chmura czerwonego pyłu, po zboczu stoczyła się mała lawina kamieni i żwiru.

Ale głaz w kształcie serca dalej stał na swoim miejscu.

ROZDZIAŁ 85

COTTON OBEJRZAŁ KRATER powstały wskutek wybuchu. Tak jak podejrzewał, pod głazem była gruba warstwa żwiru. Widział, że Weston również rozumie, co to oznacza.

Włożył do środka rękę i wydobył garść luźnych kamieni. Czuł się podekscytowany jak dziecko.

- Wykopujesz dół w skale głęboki na jakieś półtora metra, potem odbijasz w górę pod kątem czterdziestu pięciu stopni i dochodzisz do głazu. Wypełniasz wszystko żwirem. Jak widać większa część głazu znajduje się nad żwirem. Cała ta konstrukcja to jedna wielka pułapka.

- Zgadza się - potwierdził Weston - Ktoś niezorientowany zaczyna kopać, myśląc, że kamień oznacza wejście. Podejrzewam, że gdyby zszedł już kawałek w dół, na spodzie kamienia zobaczyłby jakieś wyryte symbole. One nic nie znaczą, są tam tylko po to, żeby zachęcić do dalszego kopania.

- W końcu dziura staje się dostatecznie głęboka, żeby uwolnić warstwę żwiru spod głazu, która działa jak łożysko kulkowe - dodał Cotton. - Grawitacja robi swoje i zabójczy monument osuwa się w dół, robiąc wszystkim sporą krzywdę. Doskonała pułapka, której nie uszkadza upływ czasu. I popatrzcie tutaj.

Wskazał na nierówny krzyż oraz literę N wycięte w spodniej części głazu. Na pewno nie znalazły się tam w sposób naturalny.

- Adams chciał, żeby ludzie kopali po tej stronie. Ale to śmiertelna pułapka.

-W takim razie gdzie jest wejście? - spytała Cassiopeia.

Cotton przypomniał sobie Kamień Konia i co znajdowało się pod ogonem. Kwadratowe U oznaczało wejście. Ale dwa kwadratowe U zostały ze sobą połączone, przez co wyglądały jak litera E.

Podwójne wejście.

Kolejny pozornie przypadkowy element układanki, który nic nie znaczył, dopóki się nie okazało, że znaczy bardzo dużo.

- To proste - powiedział. - Po drugiej stronie.

COTTON PO RAZ trzeci podpalił lont i odbiegł na bezpieczną odległość. Drugi wybuch sprawił, że gigantyczne serce zaczęło pękać. Ten powinien rozwalić go na kawałki.

I tak się stało.

Wyciągnął jeszcze dwie łopaty i wszyscy wrócili na górę. On, Cassiopeia i Daniels wzięli się do kopania. Jakiś metr pod powierzchnią pod ostrzem łopaty poczuł twardy metal. Kopali dalej, aż spod ziemi wyłoniły się prostokątne żelazne drzwi, wkomponowane w zbocze jak wejście do domowej piwnicy.

- Nie ma zawiasów - zauważył Daniels.

Cotton i Daniels wspólnie podnieśli klapę, odsłaniając ciemną wnękę prowadzącą w głąb zbocza. Ściany i sufit przy wejściu wzmocniono drewnianymi belkami, było widać -wyraźne ślady po kilofie. Wszyscy wyciągnęli latarki. Cotton ruszył pierwszy, a za nim Cassiopeia.

- Wy dwaj zaczekajcie tutaj - powiedział do Daniela i Westona. - Najpierw się upewnijmy, że droga jest czysta. W środku może być więcej pułapek, a nie chcę mieć tutaj dwóch zabitych czy okaleczonych mężów stanu.

- Damy ci pięć minut - odparł Daniels.

Cotton założył z powrotem plecak i wszedł do środka, oświetlając sobie drogę latarką. Każdy krok stawiał ostrożnie jak na polu minowym. Eksplozja, zalanie, osunięcie się ziemi - wszystko wchodziło w grę. Także proch strzelniczy, który mógłby wybuchnąć nawet po stu latach z okładem.

Spowiała ich całkowita ciemność, a światło latarek sięgało tylko kilka kroków do przodu. Cotton mógł iść prawie całkiem wyprostowany, tylko czasem ocierał się ramionami o boki. Nigdy nie przepadał za

ciasnymi, zamkniętymi przestrzeniami, ale przynajmniej ciągle widział za sobą wejście i czuł dobiegające z zewnątrz ciepłe powietrze. Cały czas rozglądał się w wielkim napięciu, na przemian oświetlając ściany, sufit i podłogę. Mało prawdopodobne, żeby w tym tunelu nie było żadnych zabezpieczeń.

Nagle coś zobaczył i od razu się zatrzymał.

Przed nimi znajdowała się ciemna rozpadlina, obejmująca całą szerokość korytarza. Podszedł bliżej i zaświecił latarką w dół. Dziurę zasłaniała kiedyś cienka skórzana płachta, zapewne przysypana warstwą ziemi. Na dnie coś błyszczało jak brylantowy diadem. Po chwili zorientował się, co to takiego.

- Wrzucili tu pokruszone szkło - stwierdził. - I to całkiem sporo. Przychodzisz, wpadasz, szatkuje cię na kawałki. Śmiertelna pułapka.

Coś podobnego widział już kilka lat temu na południu Francji.

- Ci ludzie nie żartowali - szepnęła Cassiopeia.

Zdecydowanie.

Przeskoczyli na drugą stronę.

Dalej minęli jeszcze dwa takie same doły. Jeden był nadal przykryty skórą, którą zerwali i wrzucili do środka.

Na końcu tunelu znajdowała się żelazna krata z zamkniętą bramą.

- Droga już sprawdzona - powiedział Cotton. - Przeprowadźmy pozostałych.

Cassiopeia wróciła się do wejścia, a on obejrzał bramę. Wyciągnął z kieszeni klucz, który znalazł przy ciele Granta Breckinridge'a, i poświecił na niego latarką. Powinien pasować do bramy, ale mechanizm zamka na pewno był już zardzewiały. Z drugiej strony tutejszy klimat należał do suchych, a w tunelu nie było wilgoci. Nie mógł wysadzić bramy w powietrze, bo groziłoby to zawaleniem całego tunelu, a krata trzymała się mocno i stanowiła barierę nie do pokonania.

Musiał zaryzykować.

Włożył klucz do zamka i spróbował przekręcić. Napotkał duży opór. Poruszał kluczem na boki, aż wreszcie poczuł, że zasuwę zaczyna odrobinę ustępować.

Na szczęście przezornie spakował do plecaka puszkę środka smarującego. W końcu miał ze sobą klucz, co sugerowało, że prędzej czy później mogą napotkać na drodze jakiś zamek, którego mechanizm być może będzie potrzebował odrobiny wspomagania.

Wyciągnął klucz i porządnie opryskał go smarem w sprayu.

Za sobą usłyszał kroki pozostałej trójki.

Włożył klucz z powrotem i podjął drugą próbę. Postanowił użyć jeszcze więcej sprayu.

W końcu zasuwa się przesunęła.

Reszta dołączyła do niego w chwili, gdy otwierał bramę.

- Klucz pasował? - zapytał Weston.

- Pomogła mu odrobina WD-40.

Tunel ciągnął się jeszcze tylko przez jakieś trzy metry, a na końcu zaczynało się większe pomieszczenie.

- Nie spieszymy się - powiedział Cotton. - Jak widzieliście, nie jest tu bezpiecznie.

Ruszył przodem, ale nie znalazł więcej pułapek.

Pozostali poszli za nim.

W świetle czterech latarek ujrzeli przestronną kwadratową komnatę. Miała mniej więcej dziesięć metrów szerokości i trzy metry wysokości. Wyglądała na naturalną jaskinię, która została sztucznie powiększona. Podłogę pokrywała sypka ziemia. Wszędzie wokół stały drewniane skrzynie przeróżnych kształtów i rozmiarów oraz wielkie jutowe worki, wszystkie przykryte gmbą warstwą kurzu i ziemi. Było ich zbyt wiele, żeby móc je szybko policzyć. Otaczały stół ustawiony pośrodku pomieszczenia.

Na nim znajdowała się drewniana skrzynka.

- Witamy w krypcie - powiedział pod nosem Malone.

- Niesamowite - odezwał się Weston. - Zakon zawsze sprawnie działał w podziemiu. Dosłownie i w przenośni.

- Jeżeli wszystkie te kufry i worki są wypełnione złotem i srebrem, to ten skarbiec jest wart miliardy dolarów - stwierdził Daniels.

Cotton spojrzął na ziemię pomiędzy nim a najbliższym workiem.

Grunt wydawał się stabilny. Ruszył przed siebie, wolno i ostrożnie stawiając kolejne kroki. Podszedł do worka i strzepnął z niego kurz. Wyciągnął szczyryk i przeciął skórzany pasek zawiązany na górze. Zawartość worka wysypała się na ziemię.

Złote monety i małe sztabki.

- Co za widok - powiedział Daniels.

Cotton przyniósł ze sobą mały łom w nadziei, że będzie miał okazję go użyć. Otworzył nim jedną ze skrzyń i zobaczył w środku stos sztab złota. Wziął jedną do ręki. Była ciężka.

- Spójrz tutaj! - zawołała Cassiopeia.

Zerknął w miejsce, które oświetliła latarką, i zobaczył małą kuźnię i piec hutniczy. Podszedł i nacisnął miech, ale zeszywniała skóra pękła.

- Wygląda na to, że Adams pomyślał o wszystkim. Sam przetapiał złoto, tu, na miejscu.

- Co to jest? - zapytał Daniels.

Cotton już wcześniej zauważył ciężkie kufry podróżne, ale trudno było skupić się na wszystkim jednocześnie. Czuł się jak dziecko, które w bożonarodzeniowy poranek zbiega na dół, żeby zobaczyć, co Święty Mikołaj zostawił pod choinką, i wszędzie widzi stopy zabawek. Podszedł do jednego z kufrów i otworzył go.

W środku znajdowały się różne papiery i księgi.

- Archiwum konfederatów - stwierdził Weston. - Powierzone Zakonowi na przechowanie. Mam nadzieję, że są tu też dokumenty Zakonu. Nie widziano ich od końca wojny secesyjnej.

- Musicie to zobaczyć - odezwała się Cassiopeia.

Wszyscy ruszyli w jej stronę. W świetle latarki ujrzeli dziwny, ciemny kształt nieokreślonego koloru. Cotton dopiero po chwili dostrzegł czaszkę. Zostało na niej jeszcze trochę ciemnobrązowej skóry, która ciasno opinała czoło, nos i podbródek. Zwłoki były dobrze zachowane.

- Masz pomysł, kto to jest? - zapytał Daniels.

- Nie - odparł. - To była niebezpieczna praca. Na pewno nie obyło się bez ofiar.

- Czy to Adams? - zastanawiał się Daniels.

- Raczej nie - stwierdził Cotton. - On był opiekunem tego miejsca, więc na pewno wyszedł jako ostatni, bo musiał wszystko zamknąć od zewnątrz. Z tego co pamiętam, mój dziadek mówił, że Adams zmarł około tysiąc dziewięćsetnego roku.

- Gdzie jest pochowany? - spytała Cassiopeia.

Na to nie umiał odpowiedzieć, więc spojrzał na Westona, który powiedział:

- Przykro mi, nie wiem. Nikt tego nie wie.

Przyszedł czas na stół pośrodku komnaty. Podeszli do niego bardzo ostrożnie, bo wszystko, co wyglądało tak zachęcająco, mogło się okazać przynętą.

Ale nie czekały tu już żadne pułapki.

Stało na nim rzeźbione drewniane pudełko o wymiarach około trzydzieści na sześćdziesiąt centymetrów. Widniała na nim inskrypcja:

A la Muerte del Finado Angus Adams

O śmierci Angusa Adamsa.

Cotton spróbował otworzyć wieko, ale było zamknięte. Zamek znajdował się z przodu.

- Spróbuj - powiedział Weston.

Wziął do ręki klucz ceremonialny.

- Zawsze się zastanawiałem, do czego jest ten krzyż wycięty na samym końcu - ciągnął sędzia. - Może właśnie do tego zamka.

Możliwe.

Cotton wsunął klucz i poczuł, że rowki w kształcie krzyża dopasowują się do czegoś w środku. Ku jego zdumieniu zamek otworzył się niemal bez oporu. Wewnątrz znajdowały się dwa zapisane ręcznie arkusze pergaminu.

Wyjął je i zaczął czytać na głos.

Życie nauczyło mnie, że przeszłości nie da się zmienić, ale przyszłość kryje w sobie nieograniczone możliwości. Największa nadzieja na odnowienie

czystości i braterstwa narodowej Unii opiera się na przekonaniach i charakterze ludzi, którzy zastąpią obecne pokolenie. Ufam, że będą gotowi wykonać to zaszczytne zadanie, które będzie wymagało od nich, aby czerpali swą władzę z samych źródeł naszej chwalebnej historii, zamiast z dalszej części tego strumienia, zanieczyszczonego przez egoizm karierowiczów i stwarzanie niepotrzebnych podziałów. Będąc już w sędziwym wieku, zrozumiałem, że wszelkie konflikty wynikające z chęci udoskonalenia kształtu Unii powinny być rozwiązywane nie za pomocą pocisków, lecz słów. Takie były intencje Ojców Założycieli i wielka szkoda, że tak wielu musiało zginąć, abyśmy wszyscy sobie o tym przypomnieli.

Z dumą służyłem jako rycerz Złotego Kręgu. Moją misją była ochrona dokumentów oraz skarbów, które znajdują się w tym pomieszczeniu. Niemal wszyscy, którzy walczyli w ostatniej wielkiej wojnie pomiędzy stanami, już odeszli, pozostali dołączą do nich w najbliższych latach, w tym i ja sam. Nie ma dziś zagrożenia nową rewolucją, nie wydaje się też prawdopodobne, żeby takowe powróciło w przyszłości. Unia została odbudowana i z pomocą Bożą jej sens nigdy więcej nie zostanie już zakwestionowany.

Mam nadzieję, że czytelnik tych słów przybył tu z tej świątyni wiedzy, którą nazywają Zamkiem. Spędziłem tam na malowaniu kilka na jszczęśliwszych lat mojego życia. Jakże paradoksalny wyda się fakt, że zastrugą Anglika jest powstanie tej na wskroś amerykańskiej instytucji, jaką jest Instytut Smithsona.

Obserwowałem z podziwem jej kolejne osiągnięcia w dziedzinie astronomii, geografii, meteorologii, geologii, botaniki, zoologii, anatomii i historii naturalnej. Wiedziałem, jak poważnie traktuje się tam misję propagowania wszelkiej wiedzy, nie tylko popularnej czy praktycznej, bez śladu wyniosłości czy jakichkolwiek uprzedzeń. Jak ważna pozostaje dla niej idea nauki dla samej nauki. Żałuję, że nie dane mi było służyć jako członek zarządu, lecz tak cziogodna funkcja nie powinna być pełniona przez

szpiega. Przed laty zostawiłem sekretarzowi Henry'emu wszelkie niezbędne wskazówki, w nadziei że pewnego dnia albo on sam, albo jego następca odnajdzie to sekretne miejsce, Jeśli czytelnik tych słów przybywa z Zamku, wyda je się ze wszech miar słuszne, aby zarówno archiwa Skonfederowanych Stanów Ameryki, dzieło uczciwej pracy zacnych ludzi, jak i wszystkie te bogactwa, choć skazone i zdobyte w niechlubny sposób, zostały zabrane do Instytutu Smithsona, gdzie będą mogły służyć dobru wspólnemu. W razie gdyby ta krypta została odnaleziona przez rycerzy, rozkazuję jak wyżej przekazać wszystko, co tu widzicie, Instytutowi Smithsona. Jako zaś ostatni przedstawiciel pokolenia, które stworzył nasz Zakon, nakazuję zrezygnować z dalszej walki i poprzeć odbudowne Stany Zjednoczone. Wypełniście swą przysięgę wierności, stosując się do moich ostatnich instrukcji.

Cotton Adams
6 października 1897

- Wygląda na to, że twój przodek przed śmiercią załował wielu rzeczy - odezwał się Daniels. - Miałeś rację, Warren, twoja legenda okazała się prawdziwa. Znalazłeś swój zaginiony ostatni rozkaz, chociaż zapewne nie tego się spodziewałeś.

- Zupełnie nie tego.

- Czy Adams naprawdę myślał, że ten, kto tu trafi, spełni jego życzenie? - zapytała Cassiopeia.

- Jeśli byliby to rycerze, to oczywiście - odparł Weston. - Właśnie na tym opierał się cały nasz wewnętrzny konflikt. Spieraliśmy się o to, czego oczekiwali od nas twórcy Zakonu.

- Teraz już wiesz - powiedział Daniels. - Jak to odbiorą inni członkowie?

- Nasz spór właśnie dobiegł końca.

- Adams trafił w sedno - stwierdził Daniels. - Wszystko to powinno

trafić do Instytutu Smithsona.

- To może być trudniejsze, niż ci się wydaje - zauważył Weston. - Jesteśmy na ziemiach państwowych. To złoto należy do rządu Stanów Zjednoczonych.

- Nie sądzę, żeby to był wielki problem - odparł Daniels. - Tak się składa, że spiker Izby i ja jesteśmy ze sobą bardzo blisko. Na pewno uświadomił już sobie, że mam go w garści. Na jego szczęście jestem do broduśnym dyktatorem, ale dopilnuję, żeby przepchnął przez Izbę odpowiednią ustawę, a ja sprawię, żeby przeszła przez Senat. Dostaniecie te archiwa i może niekoniecznie całe złoto, ale na pewno sporą część. W końcu kryptę znalazło dwóch przedstawicieli Instytutu Smithsona.

Cotton jeszcze raz rozejrzał się po komnacie.

- Tu są miliardy dolarów.

- Z których Instytut na pewno zrobi dobry użytek - powiedział Weston.

- A Rycerze Złotego Kręgu? - zapytała Cassiopeia. - Co będzie z nimi?

- Zrobimy to, co już dawno temu radzili Adams, Alexander Stephens i inni. Będziemy działać w granicach prawa i starać się przekonywać jak największą liczbę ludzi, że mamy rację. - Przez twarz sędziego przebiegł cień rozdrażnienia. - I będziemy to finansować z własnych środków, bez pomocy tego skarbcza.

Weston wyciągnął rękę i dotknął trzymanego przez Cottona pergaminu. Daniels i Cassiopeia zrobili to samo. Cała czwórka zawarła w tym momencie milczące porozumienie.

Decyzja zapadła.

- Mogę zatrzymać ten dokument? - zapytał z niejaką dumą w głosie Cotton. Czuł głęboką więź z człowiekiem, który go napisał. Ze szpiegiem, który walczył przeciwko Unii, ale ostatecznie, pod koniec życia, uznał swój błąd.

- Powinien należeć do ciebie - odparł Daniels.

Cotton spojrzał w ciepłe, brązowe oczy Cassiopei, czyste i niewinne jak oczy dziecka. Ujęła go czule pod rękę.

- Pójdę na górę zadzwonić do Stephanie - oznajmił Daniels.

- Idę z tobą - powiedział Weston. - Też muszę wykonać kilka telefonów.

Wyszli z komnaty.

Cotton stał pośrodku i chłonał atmosferę tego miejsca. Kilka lat temu pojednał się wreszcie ze swoim zmarłym ojcem, porządkując pewne sprawy, które wisały nad nim, odkąd miał dziesięć lat. Teraz poczuł bliskość kolejnego ze swoich przodków, z którym łączyło go zaskakująco wiele. Nie tylko wyglądał tak samo jak on, ale nosił nawet ten sam przydomek. I wykonywał tę samą profesję.

- Wszystko dobrze? - zapytała Cassiopeia.

W głowie kłębiły mu się różne myśli, nadal był oszołomiony skalą tego, co udało im się znaleźć. Była w tym miejscu jakaś siła, miał wrażenie, że czuje obok siebie czyjąś obecność.

Podobało mu się to uczucie.

Powoli schodziło z niego całe napięcie.

Zadanie wykonane.

- Wracamy do domu? - zapytał.

Cassiopeia pokiwała głową.

- Do ciebie czy do mnie?

Innymi słowy: do Francji czy do Danii. Uśmiechnął się.

- Zaskocz mnie.

OD AUTORA

PODRÓŻE ZWIĄZANE Z PRACĄ nad tą książką odbywały się w dłuższym okresie. Kilka lat temu Elizabeth i ja wybraliśmy się do Arkansas, gdzie odkryliśmy ukryte piękno tamtejszej przyrody. Kilkakrotnie odwiedziliśmy także zachodnią część Karoliny Północnej oraz wschodnią część Tennessee. Przygotowania do tej powieści wymagały również specjalnych wypraw do Waszyngtonu, gdzie pokazano nam wszystkie zakamarki licznych muzeów wchodzących w skład Instytutu Smithsona. Fascynujący zakulisowy świat tej instytucji stanowi ważny element mojej opowieści.

Czas oddzielić fakty od fikcji.

Wielki pożar w Instytucie Smithsona, opisany w prologu, zdarzył się naprawdę. Za oficjalną przyczynę uznaje się błąd podczas naprawy kanału dymowego (rozdział 59). Wszystkie informacje na temat pożaru, które zawarłem w prologu, są zgodne z prawdą. Znamy te szczegóły dzięki kilku wewnętrznym raportom opracowanym przez pracowników Instytutu. Dodałem jedynie obecność na miejscu Angusa Adamsa, jego klucz i dziennik oraz postać kapitana wojsk Unii. Pojawiający się w tej scenie automatyczny rewolwer faktycznie był w tych czasach najnowocześniejszym rodzajem broni, a spotkania w domu sekretarza marynarki wojennej Gideona Wellsa rzeczywiście odbywały się w trakcie wojny secesyjnej.

Rycerze Złotego Kręgu (rozdziały 12 i 14) istnieli naprawdę. Zakon powstał w połowie XIX wieku i odszedł w zapomnienie mniej więcej na przełomie XIX i XX wieku (rozdział 26). Była to największa i najskuteczniejsza organizacja wywrotowa w dziejach Ameryki (rozdziały 12,28,40). Liczyła dziesiątki tysięcy członków. Co ciekawe, historycy często ją ignorują, choć rzeczywiście istniały plany stworzenia

południowego imperium, tzw. Złotego Kręgu (rozdziały 12 i 25). Spotkanie w kurorcie Greenbrier w 1859 roku naprawdę miało miejsce, a broszura z zasadami funkcjonowania zakonu rzeczywiście została wydana (rozdział 12). Motto rycerzy brzmiało: „Stać na straży konstytucji i przywrócić Unię w jej dawnym kształcie”. Ich specyficzny uścisk ręki i słowa powitania to fakty historyczne (rozdział 12), ale powiązanie z zakonem symbolu krzyża w okręgu to mój własny dodatek (prolog, rozdział 8).

Większość oficjalnych archiwów Konfederacji rzeczywiście zaginęła tuż przed upadkiem Richmond i nie odnalazła się do dzisiaj (rozdział 85). Wśród tych zaginionych dokumentów znajdowała się także lwia część papierów dotyczących Rycerzy Złotego Kręgu, dlatego nigdy nie dowiemy się w pełni, jaki zasięg miała ta organizacja.

Poszukiwania skarbu, w których bierze udział Malone (rozdział 1) są oparte na autentycznych poszukiwaniach, w których występowały podobne fizyczne wskazówki. Rycerze Złotego Kręgu rzeczywiście zakopali duże zasoby złota na całym terytorium amerykańskiego Południa i zostawili w lasach znaczniki, zgodnie z tym, co zostało opisane w rozdziałach 1, 14 i 22. Większość tego bogactwa pochodziła z kradzieży i plądrowania. Część zrabował nawet sam Jesse James, który w opinii wielu także był rycerzem (rozdział 22). Napady Jamesa i niezliczonych innych sprawców mogły stanowić część zorganizowanej kampanii terroru, którą w latach powojennych rycerze prowadzili przeciwko rekonstrukcjonistom. Wspaniałym źródłem wiedzy na ten temat jest książka *Shadow of the Sentinel* [Cień strażnika] autorstwa Warrena Getlera i Boba Brewera.

Niebezpieczeństwa grożące Maloneowi w rozdziale 1 także zostały zaczerpnięte z autentycznych relacji. Ostrzeżenie w postaci wiszącej kukły i zużytych łusek od nabojów, które otrzymuje Martin Thomas w trakcie swojego pobytu w Arkansas, to sytuacja z życia wzięta - coś takiego rzeczywiście wydarzyło się w 1993 roku (rozdział 16). Użyty w rozdziale 22 termin „polowanie na krowy”, oznaczający zabijanie potencjalnych poszukiwaczy skarbów, pochodzi z opowieści ludzi,

którzy znali temat z pierwszej ręki. Czy strażnicy nadal istnieją? Nikt nie wie tego na pewno. Ale kiedy istnieli, otrzymywali wynagrodzenie w formie specjalnych kryjówek ze złotem, tak jak opisałem to w rozdziale 24. Wielu twierdzi, że pod ziemią wciąż czeka fortuna w złocie ukryta przed wielu laty. Do dziś zlokalizowano jedynie mały ułamek majątku zgromadzonego przez Zakon.

Pięć kamieni, które przewijają się przez całą opowieść (a także ich wizerunki), to w rzeczywistości owiane tajemnicą Kamienie Peralta. Nikt nie wie, gdzie ani kiedy zostały odkryte. Nie zachowały się nawet ich oryginały, jedynie kopie. Według legendy pokazują drogę do tzw. Zaginionej Kopalni Holendra w Arizonie. Kto wie, jaka jest prawda? Obecnie można je oglądać w Muzeum Historii Naturalnej w mieście Mesa w stanie Arizona. Cała interpretacja znajdujących się na kamieniach symboli po części opiera się na istniejących teoriach, a po części stanowi wytwór mojej własnej wyobraźni. Ponieważ nie wiadomo na ich temat nic pewnego i nikt nigdy nie rozszyfrował ich znaczenia, doskonale nadają się do wykorzystania w opowieściach takich jak ta.

Akcja książki rozgrywa się w wielu autentycznych miejscach. Lasy Państwowe Ouachita (rozdziały 1, 3, 5, 6) i Carsona (rozdział 77) oraz hrabstwo Blount w stanie Tennessee (rozdziały 2 i 7) zostały przedstawione w sposób zgodny z prawdą. Opuszczona kopalnia z rozdziału 30 jest wzorowana na rzeczywistych kopalniach, które znajdują się w Arkansas. Gabinet wiceprezydenta w budynku Kapitolu (rozdział 39), Gmach Dirksena (rozdział 41), siłownia w biurowcu Russella (rozdział 56) oraz hotel Willard wraz ze słynną restauracją Willard Room to również rzeczywiste miejsca, a wszystkie wydarzenia z historii hotelu przytoczone w rozdziale 44 rozegrały się naprawdę. Krytyczne uwagi członków Sądu Najwyższego na temat nowego budynku, które cytuję w rozdziale 70, są udokumentowanym faktem. Opisując Muzeum Lotnictwa i Astronautyki (rozdział 51) oraz rozkład wszystkich budynków należących do Instytutu Smithsona, trzymałem się jak najbliżej prawdy, dokonując jedynie drobnych modyfikacji. Sala skamielin (rozdział 35) przechodzi aktualnie gruntowny remont.

Makieta rafy koralowej z okresu permu stała tam przez ponad dwadzieścia lat, ale ostatnio została rozebrana (rozdział 35). Mauzoleum Lincolna (rozdział 66) oraz pomnik drugiej wojny światowej z wyrytym w granicy cytatem z przemówienia Eisenhowera to miejsca, które zdecydowanie warto odwiedzić (rozdział 68).

Spór pomiędzy Jeffersonem Davisem i Alexandrem Stephenson rzeczywiście miał miejsce (prolog, rozdział 31). Stephens chciał uniknąć wojny, a później zawrzeć pokój z Północą, Davis zaś dążył do zbrojnego konfliktu. Kariera polityczna Stephensa była długa i niezwykle barwna (rozdział 13 i 38). Zaliczał się do zwolenników działań w granicach konstytucji, ale jego związki z Rycerzami Złotego Kręgu oraz plany zreformowania Kongresu dodałem już od siebie. Wszystkie gorzkie uwagi, które na temat Jeffersona Davisa wygłasza Frank Breckinridge w rozdziale 50, opierają się na faktach historycznych. Artykuły z konstytucji Konfederacji (rozdziały 65 i 73) są zaczerpnięte bezpośrednio z oryginalnego dokumentu. Niektóre jej założenia (choćby te odnoszące się do Kongresu) istotnie mogłyby dzisiaj zyskać wielu zwolenników. Wiersz wykorzystany w rozdziałach 11 i 72 nosi tytuł Silver Knights. Znalazłem go w Internecie, lecz nie udało mi się ustalić autora. Nie wiem nawet, czy pochodzi z XIX wieku, czy też powstał współcześnie, ale jego treść idealnie pasowała do mojej fabuły.

Prezydent James Polk rzeczywiście uznał, że najszybszym sposobem na powiększenie terytorium Stanów Zjednoczonych będzie wojna z Meksykiem, która po dwóch latach walk zakończyła się zwycięstwem Amerykanów. Na mocy traktatu pokojowego podpisanego w 1848 roku w Guadalupe Hidalgo Meksyk musiał oddać Stanom Zjednoczonym dzisiejszą Arizonę, Nowy Meksyk, Nevadę i Kalifornię (rozdział 25).

Postać Angusa Adamsa jest wzorowana na kapitanie Thomasie Hinesie, słynnym szpiegu Konfederacji. Przygody Hinesa przeszły do legendy, łącznie z opowieścią o tym, jak uciekając przed żołnierzami Unii, schował się w materacu, na którym leżał ciężko chory człowiek (rozdział 33). Kiedy usłyszałem tę historię kilka lat temu, wiedziałem, że musi stać się częścią dziedzictwa Cottona Malone'a. Dobrą książką na

temat Hinesa jest Confederate Agent [Agent Konfederacji] autorstwa Jamesa Horana. Wszystkich wyczynów Adamsa, które opisałem w rozdziale 33, w rzeczywistości dokonał Hines. Nawet liścik, który zostawił za sobą Angus, gdy uciekł z więzienia, został zapożyczony od Hinesa. Historię o twarogu zmieszonym z watą (rozdział 40) opowiedziała mi osoba, którą znam osobiście i która jako dziecko zrobiła właśnie taki psikus swojej opiekunce.

Pierwowzorem kancelarii Alexa Sherwooda są biura senatora Larama Alexandra w Gmachu Dirksena, gdzie również w recepcji wisi oprawiona w ramy koszula (rozdział 41). Szyfr użyty w rozdziale 50 opiera się na autentycznych szyfrach stosowanych w czasach wojny secesyjnej. Psalm 18 to jeden z najdłuższych psalmów, a treść jego 47. wersu dobrze wpisuje się w fabułę powieści (rozdział 79). Fragment artykułu o zaginionym złocie, F. Lee Baileyu i Johnie Deanie (rozdział 27) został zacytowany niemal słowo w słowo z artykułu opublikowanego w 1973 roku. Wiatach 1934- 1974 amerykańskie prawo istotnie zabraniało osobom prywatnym posiadania złota (rozdział 27). Obrazy na krawędziach stron to dziś zapomniana sztuka (rozdział 72), ale tego rodzaju dzieła robią niesamowite wrażenie. Już od dawna chciałem umieścić ten element w jednej ze swoich książek.

Projekt 28. poprawki do konstytucji, o którym mowa w rozdziale 4, był zgłaszany kilkakrotnie, ale Kongres zawsze go ignorował. Jednym ze sposobów zmiany konstytucji jest zwołanie przez większość stanów konwencji narodowej. I prawdą jest też, że konwencji zwołanej na mocy artykułu piątego konstytucji nie regulują praktycznie żadne zasady (rozdział 65). Podczas pierwszej konwencji konstytucyjnej w 1787 roku planowano jedynie poprawić istniejące Artykuły Konfederacji, lecz ostatecznie zadanie to zignorowano, by skupić się na innych celach. Każda nowa konwencja mogłaby się potoczyć w równie nieprzewidziany sposób. Nie ma żadnych reguł. Obecnie nabiera tempa ruch na rzecz zwołania drugiej konwencji konstytucyjnej, szczególnie popierany przez niektóre stany. Znakomitą lekturą na ten temat jest książka Russella Caplana (przywołana w rozdziale 7) Brinksmanship; Amending the

Constitution by National Convention [Brawura polityczna: Zgromadzenie Narodowe i poprawki do konstytucji].

Początki funkcjonowania Izby Reprezentantów i Senatu wyglądały tak, jak zostało to opisane w rozdziale 13. Prawdziwa jest również historia narodzin obstrukcji parlamentarnej. To jedno zjawisko bardziej niż cokolwiek innego uczyniło Senat Stanów Zjednoczonych jednym najpotężniejszych ciał ustawodawczych w dziejach świata. Jeśli sześćdziesięciu senatorów nie przegłosuje odebrania komuś głosu i zamknięcia debaty (rozdział 13), jeden senator jest w stanie dosłownie zablokować cały proces legislacyjny. Tak naprawdę zdarza się to ciągle, choć w dzisiejszych czasach najczęściej nie na forum publicznym.

Tak jak przedstawiłem to w powieści, każdy wniosek, zanim trafi pod głosowanie w Izbie Reprezentantów, musi najpierw uzyskać aprobatę Komisji Regulaminowej (rozdział 20), a to ciało znajduje się pod całkowitą kontrolą spikera. Procedury dotyczące funkcjonowania Kongresu (rozdział 13) mają kluczowe znaczenie dla sprawnego procesu legislacyjnego. Obie izby Kongresu opracowują je osobno (zgodnie z konstytucją), praktycznie bez żadnego nadzoru (rozdział 13). W pierwszych latach istnienia Stanów Zjednoczonych Senat nie robił prawie nic poza doradzaniem Izbie Reprezentantów (rozdział 13). Sytuacja zupełnie zmieniła się w XIX wieku. Poprawka do regulaminu, na mocy której Izba Reprezentantów mogłaby jedynie brać pod uwagę projekty uchwał, które zgłosili jej członkowie (rozdział 56), jest nie tylko możliwa, ale i całkiem legalna. Pomysł nie jest mój, zaczerpnąłem go z książki *Ending Congressional Gridlock* [Jak przełamać impas w Kongresie] autorstwa Gary'ego Larsena. W rezultacie takiej zmiany spiker Izby Reprezentantów stałby się *de facto* najpotężniejszą osobą w państwie.

Kongres działa źle. To być może jedyna kwestia, co do której zgadzają się wszyscy Amerykanie. Ale prawdą jest również, że ten sam Kongres zawiaduje tym państwem już od ponad dwustu lat (rozdział 9). Dlatego akceptujemy jego dobre i złe strony. Impas to słowo, które zyskało w naszym potocznym języku zabarwienie bardzo pejoratywne. Jednak

mało kto zdaje sobie sprawę, że Senat powstał właśnie po to, aby działać jako legislacyjny hamulec. Jego celem było wywoływanie impasu. W przeciwieństwie do tego, co uważa wielu współczesnych publicystów, amerykańscy Ojcowie Założyciele zwyczajnie nie wierzyli w oddawanie całej władzy w ręce narodu (rozdział 56). Ten brak zaufania znalazł swoje odzwierciedlenie zarówno w kolegium elektorskim (które w imieniu obywateli dokonuje faktycznego wyboru prezydenta), jak i w dwuizbowym parlamencie (w którym skład Senatu ustalają nie wyborcy, lecz władze stanowe). Jest taka słynna anegdota: Thomas Jefferson właśnie powrócił z Francji i jadł śniadanie z Georgeem Washingtonem. Jefferson zapytał go, dlaczego na konwencji konstytucyjnej zgodził się w ogóle na utworzenie Senatu, który tak naprawdę nie jest przecież potrzebny. Izba Reprezentantów miała wyrażać wolę narodu i mogła się wszystkim zająć. Washington odpowiedział mu pytaniem. „Dlaczego przed wypiciem kawy przelałeś ją sobie na spodek?” Żeby ją ostudzić, odparł Jefferson, zauważając, że nie ma przecież gardła z mosiądzu. Washington uśmiechnął się i wyjaśnił: „Senat to właśnie taki spodek, na który przelewamy nasze uchwały, żeby je ostudzić”.

Spiker Izby Reprezentantów ma swoją własną ochronę (rozdziały 2, 21, 44). Byłym prezydentom również przysługuje obstawa Secret Service, ale mają prawo z tego przywileju zrezygnować. Przysięga pojawiająca się na końcu rozdziału 39 to formuła powtarzana przez każdego senatora. Sytuacja, w której były prezydent zostaje senatorem, jak Danny Daniels, jest nie tylko możliwa, ale faktycznie miała miejsce w 1875 roku, kiedy jako pierwszy uczynił to Andrew Johnson (rozdział 21).

Centralną rolę w mojej powieści odgrywa Instytut Smithsona. Został utworzony, kiedy mało znany brytyjski chemik James Smithson zapisał w testamencie 500 tysięcy dolarów na ten właśnie cel. Jego decyzja była tym bardziej zaskakująca, że Smithson ani razu nie był w Stanach Zjednoczonych. Od jego śmierci minęło aż siedemnaście lat, zanim Kongres w końcu postanowił stworzyć tę instytucję. W prologu wiernie przedstawiłem różne wątpliwości natury politycznej, które budziła w

tamtych czasach prośba Smithsona.

Instytutem Smithsona kieruje siedemnastoosobowy zarząd, mianowany w sposób opisany w rozdziale 10. Przewodniczący Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych pełni funkcję kanclerza (rozdział 23). Przy każdym muzeum działa osobna obywatelska komisja doradcza, która blisko współpracuje z władzami danej placówki. Aktualnie sam jestem członkiem takiej komisji związanej z Bibliotekami Instytutu Smithsona. Dwie spośród nich to Biblioteka Cullmana w Narodowym Muzeum Historii Naturalnej (rozdział 15) oraz biblioteka w Narodowym Muzeum Historii Amerykańskiej, w której pracował Martin Thomas.

Tunel pod parkiem National Mall, łączący Zamek z Muzeum Historii Naturalnej, istnieje naprawdę (rozdział 16). Ja dodałem mu jedynie zakręt, podczas gdy w rzeczywistości tunel biegnie przez 220 metrów w linii prostej. W północnej wieży Zamku rzeczywiście mieści się spiralna klatka schodowa (rozdział 19), a jej dzieje są także zgodne z prawdą. Dokonałem tylko jednej zmiany w postaci drzwi na pierwszym piętrze, które już dzisiaj nie istnieją. W wieży faktycznie zamieszkały kiedyś sowy (rozdział 19). Rotunda w Zamku wygląda dokładnie tak, jak to opisałem (rozdział 19). Stoi tam ogromna połączona gablota, w której znajdują się ceremonialne insygnia Instytutu (rozdział 23). Klucz również istnieje naprawdę (rozdział 11). Został znaleziony na poddaszu Zamku pod koniec lat pięćdziesiątych, a następnie stał się elementem ceremonii inauguracji nowego sekretarza Instytutu (rozdziały 19,23,25). Oryginał leży na stałe w połączanej gablocie w rotundzie, a każdy kolejny sekretarz otrzymuje na własność kopię (rozdział 25). Sam natomiast stworzyłem całą intrygę związaną z tym kluczem.

Jeszcze kilka kwestii dotyczących Instytutu Smithsona. Cytat przytoczony w rozdziale 13 pochodzi z jednego z listów Jamesa Smithsona. Smithsonit, nazwany tak na cześć swojego odkrywcy, to dość bezużyteczny minerał (rozdziały 23, 58), ale jego mały kawałek stoi dziś na moim biurku. Jefferson Davis istotnie był członkiem zarządu Instytutu Smithsona, a później sekretarzem wojny (rozdział 25), ale w

1854 roku nie odbyła się żadna ekspedycja na ziemie południowo-zachodnie (rozdział 25). W Zamku rzeczywiście istnieje stanowisko kustosa (rozdział 11). Obecnie tę funkcję pełni niejaki Richard Stamm, którego uczyniłem postacią w mojej książce.

Joseph Henry był pierwszym sekretarzem Instytutu Smithsona w latach 1846-1878. W czasie wojny secesyjnej współpracował z marynarką wojenną, udzielając konsultacji na temat nowych wynalazków i projektów (prolog); praktycznie rzecz biorąc, służył jako doradca Lincolna ds. naukowych. Faktem jest, że nie pałał entuzjazmem do Unii (prolog) oraz że starał się, aby Instytut Smithsona pozostał neutralny.

Ale nigdy nie okazał się nielojalny.

Historia o tym, że został aresztowany i oskarżony o szpiegostwo (rozdział 62), to prawdopodobnie tylko legenda. Informacja ta znalazła się w biografii Abrahama Lincolna autorstwa Carla Sandburga, opublikowanej około sześćdziesiąt lat po śmierci Lincolna. Większość historyków zgodnie twierdzi, że Sandburg zapewne podkoloryzował tę opowieść, ponieważ nie podał żadnych źródeł. Lincoln rzeczywiście brał udział w eksperymencie jako obserwator, ale wbrew temu, co napisał Sandburg, nie wszedł na dach Zamku razem z Josephem Henrym. Przebywał wtedy natomiast na dachu Domu Żołnierza, jakieś sześć kilometrów na północny wschód od siedziby Instytutu, podczas gdy Henry wdrapał się na szczyt wieży w Zamku. Wiemy o tym, ponieważ zachowały się dwie relacje z tego wydarzenia, znacznie mniej barwne i o wiele mniej znane niż wersja Sandburga.

Na grobowcu Smithsona w Zamku rzeczywiście znajduje się błędna informacja dotycząca jego wieku, jak również niewłaściwy dzień jego śmierci - Smithson zmarł 27 czerwca (rozdział 60). Historia o tym, w jaki sposób jego szczątki trafiły w końcu do Waszyngtonu, jest również zgodna z prawdą (rozdział 58). Przytoczony w rozdziale 58 raport z otwarcia grobu Smithsona w 1973 roku jest zaczerpnięty w niemal niezmienionej formie z autentycznego dokumentu Instytutu. Jedwabna wyściółka naprawdę zajęła się ogniem, a żeby ją zgasić, robotnicy przynieśli w ustach wodę z pobliskiego poidełka. Samo otwarcie

grobowca nie obyło się bez kontrowersji. Do dziś nie wiadomo dokładnie, dlaczego podjęto taką decyzję, a podane wówczas wyjaśnienie wydaje się nieprzekonujące. Cotton i Rick Stamm otworzyli grobowiec dokładnie w taki sposób, w jaki zrobiono by to dzisiaj (rozdział 62).

Instytut Smithsona składa się współcześnie z dziewiętnastu światowej klasy muzeów, ogrodu zoologicznego i dziewięciu ośrodków badawczych. Sercem większości z tych instytucji jest biblioteka. Najczęściej biblioteki nie mieszczą się na tym samym piętrze co wystawy. Nie wskazują do nich drogi znaki i strzałki. Są upchnięte gdzieś na uboczu, gdzie nie zwraca się na nie większej uwagi. Ale pracują ciężko każdego dnia.

Jak serce.

Nasze serce bije od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu razy na minutę. Nic czujemy tego, nie zauważamy, nawet o tym nic myślimy. Dopóki nie przestanie bić.

To samo można powiedzieć o Bibliotekach Instytutu Smithsona.

Ich zbiory zapierają dech w piersi. Ponad dwa miliony książek, rękopisów, map, odbitek, obrazów, wyników badań i fizycznych artefaktów. Jest tam wszystko, co można sobie wymarzyć. Równie imponujący jest zakres tematyczny: lotnictwo i astronautyka, antropologia, astronomia, astrofizyka, sztuka, biologia, botanika, historia, socjologia, zoologia i wiele, wiele więcej. W 2016 roku trzeba było wydać niemal 17 milionów dolarów, aby drzwi wszystkich instytucji mogły pozostać otwarte, a cała ta wiedza była dostępna dla badaczy, naukowców i zwykłych ludzi. Instytut musi prawie 30% tej sumy pozyskiwać z darowizn od firm i osób prywatnych. I w przeciwieństwie do mojej powieści nigdzie nie czeka sekretna krypta pełna złota.

Zamiast tego my wszyscy musimy zadbać o to, by Instytut mógł dalej sprawnie funkcjonować.

Przez ponad 170 lat Biblioteki Instytutu Smithsona z dumą wspierały misję całej instytucji. Kiedyś można było jedynie fizycznie odwiedzić jedną z nich, teraz stały dostęp zapewnią nam Internet. W 2016 roku

strony internetowe bibliotek odwiedził ponad milion użytkowników, którzy niemal siedemnaście milionów razy ściągnęli coś z udostępnionych cyfrowo zasobów.

To naprawdę spory ruch.

W tej chwili, gdy czytacie te słowa, w bibliotekach tych dzieją się wspaniałe rzeczy. Każda z nich to światowej klasy skarbnica wiedzy, do której ludzie przychodzą, aby przetestować swoje pomysły i rozszerzyć horyzonty. Do których wszyscy możemy się zwrócić, gdy potrzebujemy odpowiedzi. Dlatego kiedy następnym razem będziecie spacerować po Muzeum Lotnictwa i Astronautyki albo Muzeum Historii Amerykańskiej, po jednej z galerii, po zoo czy po którymkolwiek z innych muzeów czy ośrodków badawczych, pamiętajcie:

W sercu każdego z nich znajduje się biblioteka.

O Bibliotekach Instytutu Smithsona można dowiedzieć się więcej na stronie www.library.si.edu



STEVE BERRY

Jest z wykształcenia prawnikiem. Jego przygoda z pisaniem zaczęła się w 1990 roku. Zadebiutował powieścią *Bursztynowa Kominata*, która natychmiast stała się best-sellerem. Łączny nakład jego książek przekroczył już 20 milionów egzemplarzy, przetłumaczono je na 40 języków i sprzedano do 51 krajów. Razem z żoną Elizabeth założył History Matters, organizację zajmującą się ochroną dziedzictwa historycznego. Jest również założycielem i członkiem International Thriller Writers, organizacji zrzeszającej ponad 2600 pisarzy z całego świata. Przez trzy lata pełnił funkcję jej współprzewodniczącego. W ankiecie NPR przeprowadzonej w 2010 roku jego książka *Dziedzictwo templariuszy* znalazła się w setce najlepszych thrillerów wszech czasów. Jest laureatem m.in. The Spirit of Anne Frank Human Writes Award oraz International Thriller Writers Silver Bullet Award.

Więcej na stronie autora:
www.steveberry.org



ZAGINIONY ROZKAZ

Steve Berry potrafi rozpędzić akcję jak wielki rollercoaster. *Zaginiony rozkaz* to emocjonująca podróż po zacisznych korytarzach Instytutu Smithsona, nieprzyjaznych lasach Arkansas i surowych górach Nowego Meksyku. Jest to jednocześnie wyprawa w mroczną przeszłość Ameryki oraz potencjalnie jej jeszcze bardziej mroczną przyszłość.

„Jak zawsze w przypadku powieści Steve'a Berry'ego czytelnik z każdą stroną poszerza swoją wiedzę, a kłykcie zaciśniętej dłoni bieleją mu z podekscytowania”.

David Baldacci, autor bestsellera *Władza absolutna*

„Berry ciągle podnosi poprzeczkę autorom tego gatunku”.

The New York Times



ISBN: 978-83-8110-113-4



9 788381 101134

Cena detaliczna: 39,90 zł



dotępna
również jako



www.soniadraga.pl